

**Phillippa Carr**

# **Zwycięski Lew**

*The Lion Triumphant*

**Przełożyła Bożena Krzyżanowska**

## *Hiszpański galeon*

Z okna swojej wieżyczki mogłam obserwować wspaniałe okręty wpływające do portu w Plymouth. Czasami wstawałam w nocy, a na widok majestatycznego statku kołyszącego się na srebrzystych falach czułam, że poprawia mi się nastrój. Gdy w całkowitej ciemności dostrzegałam na morzu skupiska świateł, próbowałam odgadywać, jaki jest to rodzaj żaglowca. Czy filigranowa karawela, wojowniczy galeas, a może trzymasztowy statek handlowy lub stateczny galeon? Potem, nie przestając o tym myśleć, wracałam do łóżka i wyobrażałam sobie mężczyzn, którzy pływają na tych statkach. Wtedy przestawałam opłakiwać Careya oraz utraconą miłość.

Choć jeszcze nie tak dawno temu obiecywałam sobie, że do końca życia to właśnie jemu będę poświęcać każdą myśl, rankiem budziłam się zaabsorbowana wpływającymi do portu żeglarzami.

Chodziłam do Hoe sama, chociaż nie powinnam tego robić, ponieważ nie było to odpowiednie miejsce na spacery dla młodej, siedemnastoletniej damy, która w ten sposób narażała się na obcesowe zaczepki marynarzy. Jeśli już koniecznie miałam zamiar się tam wybrać, powinnam zabrać ze sobą dwie służące. Nigdy jednak nie należałam do osób, które potulnie poddają się obowiązującym normom, poza tym nie potrafiłam nikomu wytłumaczyć, że port ma dla mnie niezwykły urok tylko wtedy, gdy jestem w nim sama. Gdybym zabrała ze sobą Jennet lub Susan, zerkwałyby na marynarzy i ze śmiechem opowiadały sobie, co przydarzyło się jednej z ich przyjaciółek, dziewczynie, która zaufała człowiekowi morza. Wszystkie te historie słyszałam już

wcześniej. Teraz chciałam być sama.

Przeto wykorzystywałam każdą możliwość, by wykradać się do Hoe i tam rozpoznawać okręty, które widziałam w nocy. Spotykałam mężczyzn o ogorzałych, niemal mahoniowych twarzach. Z błyszczącymi oczyma przyglądali się dziewczętom, oceniając ich powab, który przypuszczalnie w znacznej mierze zależał od ich przystępności, gdyż marynarz bardzo krótko przebywa na lądzie, nie ma więc czasu na zaloty. Oblicza żeglarzy bardzo różniły się od twarzy ludzi, którzy przebywają z dala od morza. Może działa się tak dlatego, że marynarze bywali świadkami niecodziennych scen i ponosili ogromny trud, a przez cały czas towarzyszyło im uczucie stanowiące mieszaninę oddania, uwielbienia, strachu i nienawiści, żywione przez nich do pięknego, dzikiego i nieujarzmionego morza.

Lubiłam obserwować załadunek — wnoszenie na statek worków z mąką, solonym mięsem i fasolą. Zastanawiałam się, dokąd popłyną bele płótna i zwoje bawełny. Temu wszystkiemu towarzyszyło mnóstwo krzątaniny i podniecenia. Port nie był odpowiednim miejscem dla młodej, dobrze wychowanej dziewczyny, jednakowoż miał nieodparty urok.

Odnosiłam wrażenie, że wcześniej czy później musi zdarzyć się coś ekscytującego. I, zaiste, tak się stało. To właśnie w Hoe po raz pierwszy zobaczyłam Jake'a Pennlyona.

Był wysoki i silny, twardy i niepokonany. Natychmiast to zauważyłam. Dostrzegłam również jego śniadą cerę. Choć w chwili naszego pierwszego spotkania miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, osiem z nich spędził na morzu. Mimo młodego wieku dowodził własnym okrętem, dlatego sprawiał wrażenie niezwykle władczego. Natychmiast zorientowałam

się, że na jego widok jaśnieją oczy wszystkich kobiet, zarówno młodych, jak i starych. Porównałam go z Careyem — robiłam to zawsze, gdy napotkałam nowego, godnego zainteresowania mężczyznę. W tym zestawieniu Jake wyszedł na prostaka i człowieka pozbawionego dobrych manier.

Oczywiście, w chwili spotkania nie miałam pojęcia, kim on jest, wiedziałam jednak, że to ktoś ważny. Mężczyźni kłaniali mu się w pas, a dziewczęta dygały. Ktoś zawołał: „Dzień dobry, kapitanie Lyon!”

To nazwisko<sup>\*1</sup> w jakiś sposób do niego pasowało. Skąpana w promieniach słońca ciemna czupryna nabierała płowego koloru. Poruszał się do przodu rozkołysanym krokiem, tak charakterystycznym dla marynarza, który właśnie zszedł na ląd i nie zdążył jeszcze się przyzwyczaić, iż ma pod nogami stały grunt, a nierozkołysany pokład statku. Doszłam do wniosku, że wygląda jak typowy król zwierząt.

Potem nagle zdałam sobie sprawę, że mnie zauważył. Zatrzymał się. To była dziwna chwila. Odniosłam wrażenie, iż panująca w porcie krzątanina na chwilę całkiem ustała. Mężczyźni przerwali załadunek, a marynarz i dwie dziewczyny, z którymi rozmawiał, zamiast patrzeć na siebie spojrzeli na nas. Zamilkła nawet papuga, którą jakiś posiwiasty marynarz próbował sprzedać farmerowi odzianemu w barchanowy kaftan.

— Dzień dobry, panienko — powiedział Jake Pennlyon, kłaniając się z udaną pokorą, pod którą można było dostrzec szyderstwo.

Byłam skonsternowana. Ponieważ nie miałam żadnego towarzystwa, najwyraźniej uznał, że może mnie zaczepić. Młode damy z dobrych domów nie pojawiają się w takich

---

<sup>1</sup>\* Lyon (ang.) — lew.

miejscach bez opieki, a jeśli któraś z nich to zrobi, musi się liczyć z tym, że natknie się na jakiegoś żadnego przygód z kobietami marynarza. Czyż nie z tego właśnie powodu powinnam mieć przy sobie którąś z pokojówek?

Zachowałam się tak, jakbym nie zauważyła, że jego słowa skierowane zostały właśnie do mnie. Patrzyłam za niego, na statek, wokół którego krążyły niewielkie łódki. Jednakowoż oblałam się pąsem, dzięki czemu zorientował się, że mnie zaniepokoił.

— Chyba nie spotkaliśmy się wcześniej — ciągnął. — Dwa lata temu nie było panienki w Plymouth.

Miał w sobie coś, co sprawiało, że trudno było go zignorować.

— Jestem tu zaledwie od kilku tygodni — odparłam.

— Och, nie pochodzi panienka z Devon.

— Zaiste — przyznałam.

— Wiedziałem, ponieważ dotychczas jeszcze mi się nie zdarzyło, bym nie wpadł tu na trop tak ładnej młodej damy.

— Nie jestem zwierzyną łowną — zripostowałam.

— Tropi się nie tylko zwierzynę łowną.

Jego przenikliwe i przebiegłe, w jakiś sposób atrakcyjne, a jednocześnie odpychające błękitne oczy przeszywały mnie na wylot. Miałam wrażenie, że widzą więcej, niż powinny i niż nakazywałyby przyzwoitość. Były to najbardziej zdumiewające niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałam — lub jakie w ogóle można było zobaczyć. Lata spędzone na morzu nadały im intensywny odcień błękitu. Człowiek ten najwyraźniej uznał mnie za służącą, która przyszła do portu, ponieważ właśnie wpłynął doń statek, i wypatrywała jakiegoś marynarza.

— Podejrzewam, że mnie pan z kimś pomylił — oświadczyłam oschle.

— To raczej niemożliwe — odparł. — Ponieważ rzadko zdarza mi się taka okazja. To fakt, iż czasami rzeczywiście powoduje mną pośpiech, nigdy jednak się nie mylę, jeśli chodzi o wybór przyjaciół.

— Powtarzam, że mnie pan z kimś pomylił — wyjaśniłam.  
— Poza tym muszę już iść.

— Mogę panią odprowadzić?

— Nie idę daleko. Prawdę mówiąc, do Trewynd Grange.

Czekałam na choćby najlżejszą oznakę zaniepokojenia.

Powinien wiedzieć, że nie można bezkarnie nagabywać mieszkańców Grange.

— Muszę panią odwiedzić, oczywiście o dogodnej dla pani porze.

— Sądzę — zripostowałam — że raczej powinien pan poczekać na zaproszenie. — Ponownie się uklonił. — W każdym razie — ciągnęłam, odwracając się — może pan czekać na nie bardzo długo.

Chciałam uciec. Sprawiał wrażenie człowieka bardzo śmiałego. Przypuszczałam, że byłby w stanie popełnić każdy nietakt. W jakiś sposób przypominał korsarza, z drugiej jednak strony to samo można powiedzieć o wielu ludziach morza.

Spiesznie wróciłam do Grange. Początkowo obawiałam się, iż ten człowiek może za mną iść, potem jednak byłam chyba trochę zawiedziona, że tego nie zrobił. Powędrowałam prosto do wieży, w której znajdowała się moja komnata, i wyjrzałam przez okno. Żaglowiec — jego żaglowiec — spokojnie i cicho kołysał się na falach. Musiał mieć przynajmniej siedemset ton, a na rufie i dziobie wznosiły się wysokie nadbudówki. Dostrzegłam też baterię dział. Nie był to okręt wojenny, został jednak wyposażony w sposób pozwalający się bronić i atakować innych. Miał piękną i

pełną dostojęstwa sylwetkę. Wiedziałam, że to statek spotkanego przeze mnie mężczyzny.

Nie pójdę do Hoe dopóty, dopóki ten statek nie odpłynie. Codziennie będę wyglądać przez okno, mając nadzieję, że nazajutrz nie będzie go już w porcie. Potem wróciłam myślami do Careya — starszego ode mnie o dwa lata cudownego, kochanego Careya. W dzieciństwie bez przerwy się z nim kłóciłam. Robiłam to aż do owego cudownego dnia, kiedy nagle oboje zdaliśmy sobie sprawę, że się kochamy. Na to wspomnienie ogarnęła mnie fala smutku i ponownie zaczęłam przeżywać wszystko od nowa. Najpierw matka Careya — będąca jednocześnie kuzynką mojej mamy — potwornie się zdenerwowała, a potem oznajmiła, że za nic w świecie nie zgodzi się na nasz ślub. Następnie przysłała kolej na moją mamę, która o niczym nie wiedziała, aż do owego okropnego dnia, kiedy to wzięła mnie w ramiona i płacząc razem ze mną, wyjaśniła mi, jak to się dzieje, że dzieci płacą za grzechy ojców. W tym momencie moje wspaniałe marzenie o życiu u boku Careya nieodwracalnie legło z gruzach.

Dlaczego wszystkie te wspomnienia tak wyraźnie odżyły po spotkaniu w Hoe owego zuchwałego marynarza?

\* \* \*

Muszę wyjaśnić, w jaki sposób znalazłam się w Plymouth, w południowo-zachodnim zakątku Anglii, choć mój dom rodzinny znajdował się zaledwie kilka kilometrów na południowy wschód od Londynu.

Przyszłam na świat w Abbey — opactwie Świętego Brunona. To dziwne miejsce jak na urodziny i ilekroć oglądałam się wstecz, dochodzę do wniosku, że zawsze żyłam

wśród ortodoksów. Byłam beztroską, niefrasobliwą dziewczyną. W niczym nie przypominałam poważnej Honey, którą zawsze uważałam za swoją siostrę. W dzieciństwie mieszkaliśmy w klasztorze, który nie był klasztorem, jakkolwiek niezmiennie panowała w nim atmosfera mistycyzmu. To, że we wczesnym dzieciństwie nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy, zawdzięczałyśmy naszej matce, która była bardzo zrównoważoną osobą. Nikt tak jak ona nie potrafił dodać nam otuchy. Pewnego razu powiedziałam Careyowi, że gdy będziemy mieć dzieci, postaram się być dla nich taka, jaka dla mnie była moja matka.

W miarę dorastania coraz wyraźniej dostrzegałam napięcie istniejące między moimi rodzicami. Czasami myślałam, że się nawzajem nienawidzą. Czułam, że matka marzyła o mężu, który byłby dla niej miły i nie różniłby się niczym od przeciętnych mężczyzn, powinna zatem poślubić człowieka, który przypominałby wujka Careya — Ruperta. Rupert nigdy się nie ożenił i zawsze podejrzewałam, iż kocha się w mojej matce. Jeśli chodzi o mojego ojca, muszę przyznać, że nigdy go nie rozumiałam, aliści jestem święcie przekonana, że czasami naprawdę nienawidził matki. Musiał istnieć jakiś powód, uzasadniający taki stan rzeczy, ja jednak nie potrafiłam tego zrozumieć. Może po prostu ojciec czuł się winien? W naszym domostwie panował dziwny niepokój, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy w takim stopniu jak Honey. Ona mogła to znacznie łatwiej dostrzec, jako że miała o wiele mniej skomplikowany charakter niż ja. Powodowała nią zazdrość, gdyż wierzyła, że moja matka bardziej kocha mnie, co wydawało się całkiem naturalne, zważywszy, iż byłam jej rodzonym dzieckiem. Honey darzyła moją matkę zaborczą miłością, nie chciała się nią dzielić i nienawidziła



mojego ojca. Doskonale wiedziała, komu wszystko zawdzięcza. W moim wypadku nie było to takie proste. Ciekawe, czy Honey stała się tak samo zaborcza wobec Edwarda, jak niegdyś była wobec mojej matki? Choć może w odniesieniu do męża jest to naturalne. Byłam pewna, że zrobiłabym wszystko, by Carey nie myślał o nikim innym i kochał tylko mnie.

Ku zdumieniu wszystkich Honey wspaniale wyszła za mąż, wszakże trzeba przyznać, że jest najpiękniejszą osobką pod słońcem. W porównaniu z nią zawsze czuję się brzydka. Moja siostra ma cudowne, ciemnoniebieskie, niemal fiołkowe oczy, a dzięki długim czarnym rzęsom stają się one wręcz zdumiewające. Uroku dodają jej też ciemne, kręcone włosy. Gdziekolwiek się pojawia, natychmiast zwraca na siebie uwagę. Przy niej zawsze czuję się całkiem przeciętną osobą, aczkolwiek, gdy nie ma jej u mego boku, gęste płowe włosy i zielone oczy, które, zdaniem matki, bardzo pasują do mojego imienia, sprawiają, że mogę uchodzić za atrakcyjną. „Zaiste, Cat, dzięki zielonym oczom i twarzy w kształcie serca bardzo przypominasz kotka<sup>\*</sup>” — mawiała moja matka często. Zdaje sobie sprawę, iż w jej oczach jestem równie piękna jak Honey, ale w końcu tak właśnie na ukochane dziecko spogląda każda matka. Tak czy inaczej, syn i dziedzic lorda Calpertona, Edward Ennis, zakochał się w Honey, gdy mając siedemnaście lat, po raz pierwszy pojawiła się w towarzystwie. Efektem tego stało się ich małżeństwo. Nie przeszkodziło mu nawet dość dziwne i niskie pochodzenie Honey. W pięknym stylu zdobyła to, co często jest nieosiągalne dla dziewcząt posiadających spory posąg i bogactwo.

Matka bardzo się z tego cieszyła, ponieważ obawiała się,

---

\* Cat (ang.) — kot.

iz trudno będzie jej znaleźć męża dla swej adoptowanej córki.

Spodziewała się, że lord Calperton wysunie mnóstwo zastrzeżeń, lecz matka Careya, osoba, którą nazywam cicią Kate, usunęła wszelkie przeszkody. Zawsze należała do kobiet, które stawiają na swoim. Chociaż w tym czasie musiała mieć już około trzydziestu siedmiu lat, obdarzona była jakimś nieprawdopodobnym urokiem, dlatego kochali się w niej wszyscy mężczyźni, a lord Calperton nie stanowił pod tym względem wyjątku.

W listopadzie owego cudownego tysiąc pięćset pięćdziesiątego ósmego roku stara królowa zmarła i wszędzie zapanowała ogromna radość, ponieważ nad Anglią błysnął promyk nadziei. Za panowania Krwawej Marii naród znacznie ucierpiał, a ponieważ Abbey znajdowało się nieopodal rzeki, w odległości dwóch lub trzech kilometrów od stolicy, więc gdy wiatr wiał w odpowiednim kierunku, docierały do nas dymy znad Smithfield. W takich chwilach moja matka zazwyczaj źle się czuła, zamykała więc okna i nie chciała w ogóle wychodzić z domu.

Gdy dym zniknął, szła do ogrodu i w zależności od pory roku zbierała kwiaty, owoce lub zioła, a potem wysyłała mnie z nimi do babci, która mieszkała w domu sąsiadującym z Abbey.

Za panowania królowej Marii ojczym mojej matki został spalony na stosie jako heretyk. To dlatego dymy unoszące się nad Smithfield były dla nas takie niemiłe. Nie sądzę jednak, by babcia wciąż tak bardzo cierpiała. Zawsze była niezwykle ciekawa, co przyniosłam, i wołała bliźniaków, żeby ze mną porozmawiali. O rok starsi ode mnie Peter i Paul byli przyrodni braćmi mojej matki, a zatem moimi wujami. Stanowiliśmy dość skomplikowaną rodzinę. Nie rozumiałam, jak można mieć wujków o rok starszych od siebie, dlatego

nigdy nie zwracałam uwagi na łączący nas stopień pokrewieństwa. Uwielbiałam ich. Zawsze trzymali się razem i byli tak bardzo do siebie podobni, że niewiele osób potrafiło ich rozróżnić. Peter chciał pływać po morzach i oceanach, a ponieważ Paul we wszystkim zgadzał się ze swoim bratem, pragnął tego samego.

Ilekcroć ciocia Kate przyjeżdżała do Abbey, najczęściej szłam do swojej komnaty, zamykałam się w niej i zostawałam tam, aż w końcu pojawiała się mama, by namówić mnie do zejścia na dół. Czasami rzeczywiście to robiłam, by sprawić jej przyjemność. Zazwyczaj jednak siadywałam w oknie i spoglądałam na stary kościół klasztorny oraz budynek, w którym niegdyś mieszkali mnisi, a który mama od dawna chciała zamienić na spiżarnię. Honey często mi mówiła, że wsłuchując się uważnie w nocną ciszę, można usłyszeć śpiew zakonników, którzy mieszkali tu przed laty, a także krzyki torturowanych osób i mnichów powieszonych przy bramie przez ludzi króla Henryka — nikkzemników, którzy przyjechali rozwiązać klasztor. Często opowiadała mi te historie, pragnąc napędzić mi strachu, ponieważ była zazdrosna o to, iż jestem córką mojej matki. Nic więc dziwnego, że gdy usłyszałam pogłoski dotyczące Honey, wzięłam na niej odwet. „Jesteś nieślubnym dzieckiem — mawiałam — twoja matka była dziewczką służebną, a ojciec mordercą mnichów”. To było okrutne z mojej strony, jako że takie słowa denerwowały Honey bardziej niż wszystko inne. Nie chodziło jej o to, że jest nieślubnym dzieckiem, bardziej przeszkadzał jej fakt, że nie jest córką mojej matki. W tym czasie cała jej zaborcza miłość koncentrowała się właśnie na mojej mamie.

Często dawałam upust złości i wygłaszałam najbardziej uszczypliwe komentarze, jakie byłam w stanie wymyślić, lecz

w chwilę później nienawidziłam za to samej siebie i bardzo starałam się załagodzić własne okrucieństwo. Mówiłam więc do Honey: „To po prostu bajka. Nie ma w tym ani krztyny prawdy. W każdym razie jesteś tak piękna, że nawet gdyby twoim ojcem był sam diabeł, ludzie i tak by cię kochali”. Honey niechętnie wybaczała i bez końca roztrząsała każdą zniewagę. Wiedziała, że jej matka była służącą, a prababkę uważano za czarownicę. To ostatnie wcale jej nie przeszkadzało. Jako prawnuczka wiedźmy, posiadała wyjątkową umiejętność. Zawsze interesowała się ziołami i sposobem ich użycia.

Honey przyjechała do Abbey na koronację. Gdy zapytałam mamę, czy do tego czasu mój ojciec wróci do domu, jej twarz upodobniła się do maski, trudno więc było powiedzieć, co czuje.

— Nie, nie wróci — odparła.

— Wygląda na to, że jesteś tego całkiem pewna — zauważyłam.

— Tak — przyznała zdecydowanie. — Jestem pewna.

Pojechaliśmy do Londynu zobaczyć wjazd królowej do stolicy w celu przejęcia Tower of London. Byłam podniecona, widząc ją w rydwanie. Obok niej jechał lord Robert Dudley, jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam. Był koniuszym królewskim i z tego, co słyszałam, poznali się w Tower, gdzie oboje byli więzieni przez Marię — siostrę obecnej królowej. Miło było słyszeć salwy armatnie i szczere pozdrowienia skierowane pod adresem przejeżdżającej młodej władczyni. Zajęliśmy miejsca w pobliżu Tower, dzięki czemu udało nam się zobaczyć jej wjazd z bliska.

Była młoda — mogła mieć mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Miała rumiane policzki i rudawe włosy. Tryskała energią,

i biła od niej godność, dzięki czemu doskonale nadawała się do spełnianej roli i ludzie szczerze ją podziwiali.

Wszystkich nas wzruszyła mowa, jaką Elżbieta wygłosiła tuż przed wejściem do Tower.

— Niektóre królowe Anglii — powiedziała — straciły wysoką pozycję i były więzione w tutejszych lochach. Ja, osoba niegdyś przetrzymywana w tejże twierdzy, zostałam wyniesiona do roli królowej Anglii. Upadek moich poprzedniczek był dziełem sprawiedliwości bożej, do mojego wywyższenia przyczyniło się miłosierdzie. Ponieważ ta pierwsza jest nierychliwa, muszę być wdzięczna Bogu, nie zapominając jednocześnie o tym, by miłosiernie traktować ludzi.

W jej mowie dostrzec można było mądrość, skromność i determinację, którą słuchacze nagrodzili brawami.

W drodze powrotnej do Abbey pogrążyłam się w zadumie. Myślałam o niewiele starszej ode mnie królowej Elżbiecie, na której spoczywała teraz ogromna odpowiedzialność. Było w tej kobiecie coś porywającego. Nie mogłam przestać myśleć o jej uwadze na temat własnego pobytu w więzieniu i boskiego miłosierdzia, które pozwoliło jej na wybrnięcie z kłopotliwej sytuacji i objęcie tronu. Wyobraziłam sobie, jak wwożono ją do Tower przez Bramę Zdrajców. Na pewno zastanawiała się wówczas, kiedy — tak samo jak jej matka — zostanie wyprowadzona na Tower Green, by położyć głowę na pieńku. Jakie uczucia towarzyszą komuś tak młodemu, gdy ociera się o śmierć? Czy ta rwąca się do działania kobieta, myśląc, że może stracić życie, czuła się równie okropnie jak ja po stracie Careya?

Zdołała jednak przetrwać wszelkie kłopoty. Bóg był miłosierny, wyszła z lochów Tower, by zostać władczynią całej tej ziemi.

Wjazd królowej do stolicy bardzo podniósł mnie na duchu.

Podczas kolacji słuchałam rozmowy, w której prym wodziła ciocia Kate. Jest błyskotliwą kobietą i chociaż serdecznie jej nienawidzę, muszę przyznać, że ma niezaprzeczalny urok. Była główną atrakcją przy stole. Trajkocząc, nie zachowywała ani odrobiny dyskrecji, chociaż nikt nie mógł być pewien, co przyniesie panowanie nowej królowej i o co mogą nas ewentualnie oskarżyć podsłuchujący służący. Przynajmniej mogli to robić w czasach Marii. Dlaczego zatem mielibyśmy uważać, że za Elżbiety będzie inaczej?

— A więc mamy na tronie nową królową — oświadczyła Kate. — Córkę Anny Boleyn! Zwróćcie uwagę, że wyglądem przypomina swego królewskiego ojca. Ma ten sam ogromny temperament i kolor włosów. Właściwie jest niemal identyczny. Raz tańczyłam z Jego Wysokością, jej ojcem, i jestem święcie przekonana, że gdyby w owym czasie nie był tak bardzo oczarowany Katarzyną Howard, na pewno zwróciłby na mnie uwagę. Jakże inaczej wszystko mogłoby się wówczas potoczyć!

— Być może musiałybyś pożegnać się z głową, Kate — zauważyła moja matka. — Lepiej, że jesteś cała.

Dopisywało mi szczęście. Biedna Kasia Howard!

To ona poszła na szafot zamiast mnie. Jakież to musiał być człowiek, skoro z taką łatwością pozbywał się żon!

— Zbyt swobodnie się wypowiadasz, Kate — wtrącił jej brat, Rupert.

Kate zniżyła głos i zrobiła konspiracyjną minę.

— Musimy pamiętać — powiedziała — że to córka Henia, Henia i Anny Boleyn. Co za kombinacja!

— Nasza poprzednia królowa też była jego córką — zauważył syn Kate, Nicholas, na którego mówiliśmy po

prostu Colas.

— Och, ale wtedy liczyło się tylko to — uzupełniła Kate — żeby być dobrym katolikiem.

Moja matka próbowała zmienić temat i zapytała babcie o jakieś potrzebne jej zioła. Babcia bardzo dużo wiedziała o wszystkich możliwych roślinach i już po chwili obie zatopiły się w dyskusji dotyczącej ogrodnictwa. Jednakowoż już wkrótce głos Kate zagłuszył ich rozmowę. Mówiła o niebezpieczeństwach, na jakie narażona była nasza nowa królowa. Kiedy jej matka poszła na szafot, przyszłość małej Elżbiety stała pod znakiem zapytania, zwłaszcza że uznana została za dziecko z nieprawego łoża. Na szczęście po śmierci Jane Seymour córka Anny Boleyn była miło traktowana przez ostatnie trzy żony króla, a gdy zmarł Henryk, zamieszkała nawet w Dower House z królową Katarzyną Parr.

— Sądzę — ciągnęła Kate figlarnie — że lepiej nie wspominać, co się tam wydarzyło. Biedny Thomas Seymour! Raz go spotka łam. Co za fascynujący mężczyzna! Nie ma się co dziwić, że nasza młoda księżniczka... ale to oczywiście plotka. Z pewnością nigdy nie pozwoliła mu wejść do swojej sypialni. Krążyły nawet plotki, że Elżbieta urodziła dziecko. Kto by wierzył w takie bzdury... zwłaszcza teraz?! Ludzie, którzy rozpowszechniają te paskudne historie, zasługują na powieszenie, odcięcie żywcem ze sznura i poćwiartowanie. Powtarzanie tego teraz należy uznać za zdradę stanu. Wyobraźcie sobie chwilę, kiedy jej przekazano, że został ścięty. „Zmarł człowiek ogromnej roztropności, lecz nieumiejący należycie ocenić sytuacji” — powiedziała spokojnie, jakby byli jedynie zwyczajnymi znajomymi. Jakby nie łączyło ich żadne poważniejsze uczucie! — Kate się roześmiała, a jej oczy błysnęły. — Ciekawa jestem, jak teraz

będzie na dworze. Weselej niż za rządów Marii — to pewne. Nasza Wielce Łaskawa Pani będzie chciała okazać wdzięczność Bogu, ludziom i przeznaczeniu, które pozwoliło jej dożyć tej wspaniałej chwili. Będzie chciała zaznać radości i zapomnieć o należących już do przeszłości niespokojnych chwilach. Na Boga, po rebelii Wyatta niewiele brakowało, a poszłaby na szafot.

— Teraz to już przeszłość — powiedziała szybko matka.

— Nikt nie zdoła uciec od przeszłości, Damask — zripostowała Kate. — Zawsze wlecze się za nami niczym cień.

Niestety, twoje żalodne grzechy rzutują na moje życie — pomyślałam — lecz ty sama nigdy nie oglądasz się wstecz, więc nie dostrzegasz własnego cienia.

— Jest jeszcze coś — ciągnęła Kate. — Czy zwróciliście uwagę na jadącego obok niej lorda Roberta? Powiadają, że Elżbieta świata poza nim nie widzi.

— Zawsze będą krążyć jakieś plotki — zauważył Rupert.

— Szybko wskoczył w to siodło — zaśmiała się Kate. — Zresztą czego innego można się spodziewać po synu Northumberlanda?

Z coraz większą urazą obserwowałam ciocię Kate. Jakaż ona jest lekkomyślna, jaka nieprzyzwoita! Swoją beztroską paplaniną mogła ściągnąć na nasze domostwo poważne kłopoty, choć ona sama z pewnością wyszłaby z nich bez szwanku. Niezależnie od tego, jaki temat poruszany był podczas rozmowy, niezmiennie wracałam do swojej tragedii.

Gdy Kate i Colas wyjechali do Remus, poczułam się lepiej. Oczywiście nie byłam wcale szczęśliwa, bardzo się jednak cieszyłam, że nie muszę już widywać Kate.

Ponieważ nastał listopad, w ogrodzie nie było nic do roboty. Pogrzeżyłam się w całkowitej apatii. Doszłam do



wniosku, że Abbey jest wyjątkowo ponurym miejscem. Sam dom — wybudowany na podobieństwo zamku w Remus — po zniknięciu mojego ojca stopniowo zaczął nabierać cech normalności. Dopiero gdy wyrzało się przez okna i zobaczyło wszystkie pozostałe zabudowania klasztorne — refektarz, budynek, w którym niegdyś mieszkali mnisi, oraz stawy rybne — powracało uczucie tajemniczości.

Całe zainteresowanie matki skupiało się teraz na mnie. Bardzo zależało jej na tym, by rozwiać mój smutek i zachęcić mnie do rozpoczęcia nowego rozdziału życia. Pragnąc sprawić jej przyjemność, często udawałam, że odzyskuję radość życia, aliści zbyt mnie kochała, by udało mi się ją oszukać. Próbowwała zainteresować mnie hartowaniem, tkaniem i wykorzystaniem ziół, czego nauczyła się od swojej matki, gdy jednak zauważyła, iż robię to bez serca, postanowiła opowiedzieć mi o swoich obawach, czym pomogła mi bardziej, niż przypuszczała.

Przyszła z poważną miną do mojej komnaty. Przerażona poderwałam się z krzesła.

— Usiądź, Cat — powiedziała. — Przyszłam z tobą porozmawiać.

Usiadłam, a wówczas zaczęła:

— Martwię się, Cat.

— Widzę, mamusiu. Co cię tak niepokoi?

— Przyszłość... Dowiedziałam się dzisiaj, że aresztowano biskupa Winchesteru.

— Dlaczego?

— Wygląda na to, że konflikt religijny nie słabnie. Człowiek ten popierał papieża. To stara sprawa. O Boże, miałam nadzieję, że złe czasy dobiegły już końca.

— Powiadają, że nowa królowa będzie tolerancyjna, mamusiu.

— Władcy rzadko zdobywają się na tolerancję, gdy coś zagraża ich tronowi. Otaczają ich ambitni ludzie. W naszej rodzinie wydarzyło się tyle tragedii, Cat. Mój ojciec przypłacił głową ukrywanie księdza, natomiast ojczym spłonął na stosie na Smithfield, ponieważ był zwolennikiem reformacji. Najprawdopodobniej wiesz, że Edward jest katolikiem. Honey, wychodząc za niego za mąż, przyjęła jego wiarę. Za poprzedniej królowej popierano takie postępowanie, lecz teraz na tronie zasiada Elżbieta.

— Czyżbyś martwiła się o Honey?

— Przez całe moje życie prześladowano ludzi. Boję się, że pod tym względem nic się nie zmieni. Gdy usłyszałam, że aresztowano biskupa Winchesteru, natychmiast pomyślałam o Honey.

— Sądzisz, że nowa królowa zacznie prześladować katolików?

— Podejrzewam, że mogą to robić jej ministrowie. A wtedy odżyją wszystkie dawne obawy.

Potem rozmawiałyśmy o Honey i o tym, jak dobrze udało jej się wyjść za mąż. Na myśl o jej szczęściu matka zdołała się nieco uspokoić.

Tak więc nasza rozmowa trochę pomogła.

\* \* \*

Nadeszło Boże Narodzenie. Główne uroczystości zorganizowaliśmy w sali paradnej Abbey. Po całym domu rozchodził się zapach pieczystego. Matka powiedziała, że to będą wesołe święta, ponieważ jednocześnie uczymy nie tylko narodziny Pana, lecz także objęcie władzy przez nową królową. Przypuszczalnie, udając całkowitą pewność, że wszystko dobrze się ułoży, matka wierzyła, iż naprawdę tak

będzie.

Mojego ojca nie było już od tak dawna, że przestaliśmy wypatrywać jego powrotu. Większość naszych służących stanowili dawni mnisi, którzy znali go od dziecka. Wierzyli, że było w nim coś nadprzyrodzonego, dlatego nie kwestionowali jego zniknięcia. Nikt go nie opłakiwał, jak to się robi w wypadku zmarłych, w związku z tym nie było powodu, dla którego nie mielibyśmy uroczyście obchodzić Bożego Narodzenia i weselić się przy tejże okazji.

Okres świąteczny miał trwać dwanaście dni, a matka cieszyła się, że będą z nami Honey i jej mąż.

Przyjechali kilka dni przed świętami. Ilekroć widziałam Honey po dłuższej rozłące, nie mogłam się nadziwić jej wspaniałej urodzie. Stała na środku sali paradnej. Na zewnątrz lekko prószyło, dlatego na futrzanej czapeczce mojej siostry połyskiwały maleńkie płatki śniegu. Miała lekko zaróżowione policzki, a jej cudowne fiołkowe oczy błyszczwały.

Przytuliłam ją serdecznie. Zdarzały się nam chwile prawdziwej miłości, a teraz, kiedy ofiarowała swe serce Edwardowi, nie powinna być już tak bardzo o mnie zazdrosna. Właściwie miała na imię Honeysuckle\*. Jej matka — kobieta, która powierzyła swoje dziecko mojej mamie — twierdziła, że w chwili poczęcia córeczki czuła zapach kapryfolium.

Matka, usłyszawszy, że przyjechali goście, natychmiast przybiegła do sali paradnej. Honey rzuciła jej się w ramiona, a potem długo przyglądały się sobie nawzajem. Tak — pomyślałam — moja siostra wciąż namiętnie kocha, a zatem nadal będzie o mnie zazdrosna. Zupełnie jakby to było potrzebne. W końcu była piękna, miała zakochanego w sobie

---

\* Honeysuckle (ang.) — kapryfolium.

męża, a ja straciłam Careya.

Edward stał za nią, łagodnie usuwając się w cień. Był bardzo dobrym mężem.

Matka uznała, że Honey podczas pobytu w Abbey na pewno będzie chciała zajmować swoją dawną komnatę, co tamta przyjęła z radością, po czym wsunęła mamie dłoń pod ramię i razem ruszyły schodami w górę.

To było wesołe Boże Narodzenie — dla wszystkich oprócz mnie, aczkolwiek momentami łapałam się na tym, że tańczę i śpiewam z całą resztą. Kate przyjechała z Colasem, przybył też Rupert. Była także babcia i jej bliźniacy. Jeden dzień spędziliśmy w znajdującym się nieopodal Abbey domu babci. Była niezwykle dumna ze swoich potraw, jako że zawsze celowała w kuchni. Podała pieczone prosiaki i indyki, wspaniałe placki i ciasteczka, a wszystko to zostało suto doprawione uprawianymi przez nią ziołami, które stanowiły jej powód do dumy. Babcia straciła dwóch mężów — obaj zginęli z powodu takiej, a nie innej polityki państwa — teraz jednak z zarumienioną twarzą, mrucząc i sapiąc, wyszła z kuchni, gdzie właśnie besztala służące. Trudno byłoby się domyślić, że w jej życiu zdarzyła się jakakolwiek tragedia. Czy ja też pewnego dnia będę taka jak ona? O nie, moim zdaniem babcia nic nie wiedziała o miłości.

Nie zabrakło tradycyjnych świątecznych obrzędów. Udekorowaliśmy sale paradne ostrokrzewem i bluszczem, w Nowy Rok obdarowaliśmy się prezentami, a w wigilię Trzech Króli Colas znalazł w placku srebrnego pensa i został królem wieczoru. Mężczyźni obnosili go na barana, a on na dźwigarach naszej sali paradnej rysował kredą krzyże, co podobno miało chronić nas przed złem.

Zauważyłam, że matka bacznie go obserwuje. Domyśliłam się, że rozmyśla o katolicyzmie Honey i mojej nieszczęsnej

miłości do Careya. Przypuszczałam, że w głębi duszy modli się za nas obie.

Kate i Honey zostały u nas na koronację, która odbyła się piętnastego stycznia. Kate, jako lady Remus i Edward, jako przyszły lord Calperton mieli prawo do uczestniczenia w procesji koronacyjnej. Honey zaprosiła mnie, jako damę do towarzystwa, przeto widziałam wszystko na własne oczy. Zebraliśmy się przed Tower, gdzie królowa przyплыnęła barką z Westminster Pałace. To był wspaniały widok i pomimo przenikliwego chłodu bardzo podniósł wszystkich na duchu. W uroczystości wziął udział burmistrz Londynu, który powitał królową, jako swoją nową panią. Towarzyszyli mu przedstawiciele warsztatów i cechów. Widzieliśmy królową wysiadającą przy Tower Wharf.

Potem wróciliśmy do domu, a kilka dni później Elżbieta wjechała do City, by przed koronacją przyjąć hołd swoich poddanych. Najbardziej ekscytująca była parada żywych obrazów doskonale ilustrujących zmianę, jaka nastąpiła niemal z dnia na dzień. Nikt już teraz nie wspominał — jak robiono to za panowania poprzedniej królowej — że Elżbieta jest dzieckiem z nieprawego łoża. Mówienie takich rzeczy można było przypłacić życiem. Poustawiane wzdłuż Cornhill i Chepe żywe obrazy sławiły dom Tudorów. Po raz pierwszy postać przedstawiająca Annę Boleyn znalazła się u boku Henryka VIII. Jego matka, Elżbieta, trzymała w ręce białe róże, które symbolizowały ród Yorków. Wręczyła je swojemu mężowi, Henrykowi VII, a on w zamian za to ofiarował jej czerwoną różę Lancasterów. Obok żywych obrazów nie brakowało dzieci, które śpiewały pieśni i recytowały wiersze na cześć królowej.

Sama koronacja miała niezwykle uroczysty przebieg. Nie udało mi się dostać do opactwa, lecz Kate, jako była żona

para, została wpuszczona do środka i wszystko nam opisała. Królowa bardzo wyraźnie wygłosiła mowę, potem bez problemów przebrnęła przez poszczególne etapy ceremonii, jakkolwiek skarżyła się, że olej, którym ją namaszczano, jest tłusty i ma niemiły zapach. Podobno wspaniale prezentowała się w koronacyjnych szatach. Wszystkim spodobały się również dźwięki trąb. Zdaniem Kate szczególnie przedstawiciele najświetniejszych rodów gorliwie całowali królewską dłoń i ślubowali lojalność — zwłaszcza przystojny koniuszy, Robert Dudley.

— Krążą plotki — ciągnęła Kate — że Elżbieta ma zamiar wyjść za niego za mąż. Wyraźnie przypadł jej do gustu. Ponoć królowa nie odrywa od niego wzroku. Zapamiętajcie moje słowa — wkrótce będziemy świadkami królewskich zaślubin.

Miejmy nadzieję, że Elżbieta nie będzie tak zmienna w swych upodobaniach jak jej ojciec.

— Powiedz nam coś więcej o jej szatach — poprosiła szybko moja matka.

W związku z tym Kate szczegółowo opisała suknię królowej. Wszyscy cieszyli się tak samo jak w wigilię Trzech Króli.

Niemniej matka wciąż była trochę niespokojna. Jej obawy wzrosły, gdy papież Paweł publicznie oświadczył, iż nie jest w stanie zrozumieć, jakie prawo do dziedziczenia korony może mieć osoba zrodzona z nieprawego łoża. W dalszym ciągu swej deklaracji papież uznał, że legalnym potomkiem Henryka VII jest królowa Szkotów, jednocześnie żona delfina Francji, przeto zaproponował, by zwołać pod jego auspicjami sąd, mający rozstrzygnąć prawa Elżbiety i Marii do tronu Anglii.

Oczywiście, Elżbieta z pogardą odrzuciła tę propozycję.

Lecz niepokój mojej matki wzrósł.

— Obawiam się — powiedziała — że odżyje dawny konflikt między katolikami i protestantami, wówczas przedstawicielką katolików zostanie królowa Szkotów, a Elżbieta opowie się po stronie protestantów. To by oznaczało podział nawet w obrębie poszczególnych rodzin... Wcale to mi się nie podoba. Aż za dobrze znam te sprawy z przeszłości.

— Nie będziemy się kłócić z Honey, choć jest katoliczką — uspokajałam. — Z pewnością została nią tylko dlatego, iż chciała wyjść za mąż za Edwarda.

— Modłę się, żeby nie było kłopotów — odparła matka.

Spędziła tydzień u Honey, a po powrocie była już w znacznym nie najlepszym nastroju. Rozmawiała z lordem Calpertonem.

Co prawda zestarzał się i, jak mówił, nie umiał dostosować się do zmian, postanowił jednak wysłać młodego Edwarda na zachód kraju. Ich rodzina miała w pobliżu Plymouth posiadłość. Edward był bardziej zagorzały w swych przekonaniach niż ojciec i jeśli zdarzy się, że pochopnie coś powie — co przecież mogło się zdarzyć — lepiej, by zrobił to jak najdalej od dworu.

Matka rozpaczała, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie będzie mogła widywać Honey tak często jak dotychczas, z drugiej jednak strony zgadzała się z lordem Calpertonem, iż jest bezpieczniej, gdy młodzi znajdują się z dala od centrum konfliktu.

Wszystko zaplanowano latem tak, by Honey i jej mąż mogli przenieść się do Trewynd Grange w Devonshire. Ja miałam pojechać z nimi...

Powiedziałam matce:

— Bez nas obu poczujesz się bardzo samotna.

Ujęła moją twarz w dłonie i odparła:

— Lecz ty będziesz tam szczęśliwa... przynajmniej przez

jakiś czas, Cat. Zbierzesz siły, a po powrocie zaczniesz wszystko od nowa.

Nie chciałam jej opuszczać, wiedziałam jednak, że w słowach matki jest dużo racji.

W czerwcu, na miesiąc przed naszym wyjazdem, król Francji, Henryk II, zginął w turnieju, a na tronie zasiadł jego syn, Franciszek. Takim oto sposobem Maria Stuart została królową Francji.

— W związku z tym sytuacja jest teraz jeszcze bardziej niebezpieczna — oświadczyła matka — ponieważ Maria przybrała również tytuł królowej Anglii.

Rupert, który właśnie u nas był — co często mu się zdarzało — stwierdził, że póki Maria przebywa we Francji, nic nam nie grozi. Gorzej będzie, jeżeli nagle pojawi się w Szkocji, czego jako królowa Francji raczej nie powinna zrobić.

Popadłam w apatię i w ogóle przestałam się przejmować, czy wyjadę do Devon, czy też nadal będę przebywać w Abbey. Chciałam zostać ze względu na matkę, z drugiej jednak strony uznałam, że dobrze by było, gdybym nie musiała tak często widywać cioci Kate i mogła uciec od miejsc, z którymi wiązało się tyle gorzkich wspomnień. Obiecałam sobie jednak, iż za miesiąc lub dwa wrócę.

To była długa, nużąca podróż i nim dotarliśmy do Trewynd Grange, lato zaczęło powoli dobiegać końca. Gdy zobaczyłam cel naszej podróży, wyraźnie odczułam, że znajduję się trochę dalej od miejsca tragedii. Sam dom był znacznie wygodniejszy od opactwa. Wzniesiony został z szarego kamienia, miał dwieście lat, a jego prawdziwą chlubę stanowił piękny ogród. Główny budynek z trzech stron otaczał dziedziniec, a na każdym jego rogu znajdowała się urocza wieżyczka. Z okien każdej z nich roztaczał się



wspaniały widok na Hoe i morze. Bardzo mi się tu podobało. Sala paradna nie była tak przestronna jak w Abbey czy w Remus Castle, ale uznałam ją za przytulną, pomimo dwóch umieszczonych wysoko w murze otworów, przez które niewidoczni z dołu ludzie, znajdujący się w jednej ze specjalnych wnęk, mogli przyglądać się temu, co dzieje się na dole. Kaplica była wilgotna, zimna i raczej odpychająca. Może podświadomie obawiałam się kaplic ze względu na istniejący w naszej rodzinie — a w rzeczywistości w całym kraju — konflikt. Wyłożona kamiennymi płytami podłoga nosiła wyraźne ślady stóp wielu pokoleń mieszkających tu ludzi. W ciemnym rogu znajdował się ołtarz, a dawne pomieszczenie dla trędowatych używane teraz było przez służących, którzy chorowali na syfilis i z tegoż względu nie mogli przebywać wśród reszty domowników. Całość bardziej przypominała długi, chaotycznie stawiany budynek niż zaplanowaną budowlę, lecz cztery wieżyczki stanowiły naprawdę uroczy dodatek.

Ze zdumieniem obserwowałam swoją siostrę w roli pani domu. Małżeństwo bardzo ją zmieniło. Promieniała jakimś wewnętrznym blaskiem. Edward nie widział poza nią świata, a Honey zawsze była złaźniona miłości. Bez tego uczucia czuła się nieszczęśliwa — chciała, by ją kochano i uwielbiano bardziej niż innych. Teraz powinna być zadowolona, gdyż nigdy nie widziałam mężczyzny tak oddanego swej żonie — jedyny wyjątek stanowił zakochany w Kate po uszy, nieżyjący już lord Remus.

Mogłam prowadzić z Honey szczerze rozmowy. Wiedziałam, że nienawidziła mojego ojca jak nikogo innego na świecie. Nigdy mu nie wybaczyła, że nie chciał jej w swoim domu i całkowicie ją ignorował, gdy była jeszcze dzieckiem.

Próbowała ze mną rozmawiać na jego temat, lecz ja nie miałam na to ochoty, ponieważ nie byłam pewna, co do niego czuję. Teraz wiedziałam już, że był również ojcem Careya, i dlatego nie mogliśmy się pobrać. Zdawałam sobie też sprawę, że mój tata pozował na świętego, który w cudowny sposób przyszedł na świat, jednak w rzeczywistości nocami ukradkiem odwiedzał Kate — lub ona odwiedzała jego — na dodatek robili to w tym samym domu, w którym spała moja matka. Co gorsza, Kate przez cały czas udawała najdroższą przyjaciółkę i kuzynkę mamy.

Najprawdopodobniej Honey otrzymała od matki instrukcje, że ma mnie łagodnie traktować, a ona zawsze starała się zadowolić moją mamę. Może zresztą usłyszała również i inne wskazówki dotyczące mojej osoby, gdyż od naszego przyjazdu do Grange zorganizowała kilka przyjęć i zapraszała do nas miejscowych ziemian.

W dzień po niemiłym dla mnie spotkaniu w Hoe powiedziała:

— Jutro zjedzą z nami kolację sir Penn Pennlyon i jego syn. To bliscy sąsiedzi. Sir Penn jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w tej części kraju. Ma kilka statków. Wcześniej handlem parał się również jego ojciec.

— A ten żaglowiec, który kilka dni temu wpłynął do portu...? — zapytałam.

— Tak — odparła Honey. — To „Nieokiełznany Lew”. Wszystkie ich żaglowce to lwy. Jest więc „Walczący Lew”, „Stary Lew” i „Młody Lew”. Ilekroć zauważysz statek z nazwą lwa na burcie, możesz być pewna, że należy do Pennlyonów.

— Widziałam w Hoe mężczyznę i słyszałam, że zwracano się do niego per kapitanie Lyon.

— To był pewnie kapitan Pennlyon. Nie spotkałam go,

wiem jednak, że jest właśnie w domu. Wrócił po ponad — rocznym rejsie.

— To znaczy — powiedziałam — że tu przyjdą?!

— Edward uważa, że musimy zachowywać dobrosąsiedzkie stosunki. Ich dom jest o dwa kroki stąd. Można go zobaczyć z zachodniej wieżyczki.

Przy pierwszej sposobności poszłam więc do zachodniej wieżyczki. Zobaczyłam stojący nad stromym urwiskiem wspaniały dom, spoglądający z wysoka na morze.

Zastanawiałam się, co powie ten człowiek, gdy zda sobie sprawę, że młoda kobieta, którą znieważył — ponieważ jego zachowanie uznałam za zniewagę — jest gościem Ennisów. Z niecierpliwością czekałam na to spotkanie.

Była już jesień, wciąż jednak kwitły morskie goździki i kozłek lekarski. Mieliśmy za sobą łagodne lato. Zastanawiałam się, jaka będzie zima w Trewynd Grange. Nie mogłam wrócić do Londynu wcześniej niż na wiosnę. Ta myśl mnie przygnębiała. Byłam niespokojna i niepewna — chciałam wrócić do domu. Marzyłam o tym, by być z matką i bez końca rozmawiać o swoich kłopotach, wiedząc, że szczerze mi współczuje. Chyba wcale nie zależało mi na tym, by o wszystkim zapomnieć. W jakiś sposób lubiłam pogrążać się w smutku i ciągle wracać do zaznanego bólu.

Jednak ponieważ ten człowiek miał przyjść na kolację, na chwilę przestałam myśleć o Careyu — to samo zdarzyło mi się w Hoe.

Zastanawiałam się, w co mam się ubrać. Honey przywiozła ze sobą ogromną liczbę wspaniałych sukni, które podkreślały jej urodę, podczas gdy ja zabrałam swoją odzież bez zwracania na nią zbytnej uwagi. Teraz w głębi duszy tego żałowałam. Wybrałam aksamitną sukienkę, która w wyjątkowo uroczy sposób spływała mi z ramion. Nie była

zbyt modna, ponieważ w ciągu ostatniego roku kobiety zaczęły nosić brykle z fiszbinu oraz krynoliny, które uważałam za śmieszne i brzydkie. Poza tym nie cierpiałam obowiązującego teraz sznurowania gorsetów. Zamiast dotychczasowego układania włosów w delikatne fale modnie nosiły obecnie kędziory i ozdabiały je wszystkim, co się dało.

Ale znajdowałyśmy się z dala od dworu, przeto uznałam, że mogę pozwolić sobie na niezbyt modny strój. Honey niezmiennie ubierała się w to, co najlepiej podkreślało jej urodę. Miała doskonały gust i wyglądało na to, że w tajemnicy wyraźnie mu hołduje. Ona również zrezygnowała z kędziorów i fiszbin.

Przed szóstą przyjechali nasi goście. Honey i Edward czekali w sali paradnej, by ich przywitać. Ja stałam razem z nimi. Usłyszawszy stukot końskich kopyt na dziedzińcu, poczułam, że mocniej bije mi serce.

Najpierw do sali paradnej wkroczył zwałisty mężczyzna o czerwonej twarzy. Był wyjątkowo wysoki, miał szerokie barki i donośny głos. Wszystko, co wiązało się z sir Pennem Pennlyonem, było potężne. Skoncentrowałam się na nim, a nie na idącym w ślad za nim jego młodszym odzwierciedleniem, ponieważ nie miałam zamiaru okazać jego synowi ani odrobiny zainteresowania.

— Witamy — powiedział Edward, który przy tym gigancie wyglądał na człowieka wyjątkowo niskiego i słabowitego.

Błyszczące oczy sir Penna zmierzyły go od stóp do głów.

Gość wydawał się rozbawiony widokiem gospodarza i gospodyni.

— Matko Boska! — zawołał, ujmując dłoń Honey, przyciągając ją do siebie i umieszczając na jej wargach

głośnego całusa. — Jeśli to nie jest najpiękniejsza dama w całym Devon, gotów jestem zjeść „Nieokielznanego Lwa” z obrastającymi go puklami i całą resztą.

Honey uroczo się zarumieniła i powiedziała:

— Chciałabym przedstawić panu swoją siostrę.

Ukloniłam się. Poczułam na sobie badawcze spojrzenie błękitnych oczu gościa.

— Następna mała piękność — oświadczył. — Następna mała piękność. Słowo daję, dwie najpiękniejsze damy w Devon.

— Miło mi, że tak się panu podobam, sir — powiedziałam. — Ale na pewno nie każę panu połykać statku, gdyby się okazało, że jest pan w błędzie.

Wybuchnął gromkim śmiechem i uderzył dłońmi o uda. Uznałam, że jest dość nieokrzesany.

Za nim stał jego syn, który najpierw przywitał się z Honey, a potem podszedł do mnie.

Natychmiast mnie rozpoznał. Ujął moją dłoń i pocałował ją.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi — oświadczył.

Pomyślałam pogardliwie, że za trzydzieści lat będzie wyglądał dokładnie tak samo jak jego ojciec.

Honey sprawiała wrażenie zaskoczonej.

— Spotkałam kapitana Pennlyona w Hoe — wytłumaczyłam chłodno, nie patrząc na niego.

— Moja siostra jest zafascynowana okrętami — powiedziała Honey.

— No proszę! — Sir Penn patrzył na mnie z aprobatą. — Wie pani, co dobre. Młoda damo, istnieje tylko jedna rzecz piękniejsza od żaglowca — ładna kobieta. — Szturchnął syna. — Jake na pewno się ze mną zgodzi.

— Chcielibyśmy usłyszeć coś o pańskiej podróży —

ciągnęła Honey uprzejmie. — Chodźmy do salonu. Za chwilę podana zostanie kolacja.

Poprowadziła nas w górę po trzech kamiennych stopniach, a potem przez jadalnię do salonu. Gdy usiedliśmy, służący Edwarda przynieśli małmazję. Honey była bardzo dumna z przywiezionych przez siebie pięknych i bardzo modnych kieliszków z weneckiego szkła. Przypuszczałam, że sir Pennlyon nigdy czegoś takiego nie widział.

Siedzieliśmy dość sztywno na krzesłach z gobelinowymi oparciami i siedzeniami zrobionymi przez cioteczną babkę Edwarda. Myślałam, że krzesło złamie się pod sir Pennem, ponieważ usiadł na nim ciężko, nie zważając na to, jak jest delikatne. Honey zerknęła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Musimy się przyzwyczaić do większych obyczajów”.

Sir Penn powiedział, że to cudownie mieć tak wspaniałych sąsiadów, którzy wyjmują weneckie szkło, by można było się z niego napić. Gdy to mówił, jego oczy błyszczały, jakby się z nas naigrawał, wręcz nami gardził — oczywiście z wyjątkiem Honey i może mnie. Obydwaj — ojciec i syn — sprawiali wrażenie aroganckich, co sugerowało, że mogą w dość dziwny sposób oceniać nasze atrybuty.

— Jak długo zamierzają państwo tu zostać? — spytał sir Penn.

Edward odparł wymijająco, że na razie nie wie. Ojciec przysłał go tu na jakiś czas i kazał zająć się posiadłością. Wszystko zależy od tego, co będzie się działo w Surrey.

— Zapomniałem — wtrącił sir Penn — że wielkie rody mają siedziby porozrzucane po całym królestwie. Szanowny panie, czy czasami nie zastanawia się pan, skąd właściwie pochodzi — z Surrey, Dorset, czy jeszcze jakiejś innej krainy?

— Najważniejsze posiadłości mojego ojca znajdują się na

północy kraju — wyjaśnił Edward.

— Matko Boska! Trzyma pan łapę na każdej części naszego królestwa, młody człowieku.

— A czyż nie można powiedzieć — odparł Edward — że pańskie okręty pływają po wszystkich znanych morzach i oceanach?

— Może pan tak powiedzieć, sir, zaiste, może pan tak powiedzieć. A Jake potwierdzi, że to prawda. Właśnie wrócił z długiego rejsu, lecz jest tak zachwycony towarzystwem, że całkiem zaniemówił.

— Jak państwo widzicie, towarzystwo rzeczywiście bardzo mnie cieszy — rzekł Jake. Patrzył prosto na mnie. Drwił ze mnie, ponieważ znajdował się w Grange, choć powiedziałam, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, by został do nas zaproszony. — Mogę jednak potwierdzić, że ostatnio wróciłem z dalekiej wyprawy.

— Moja siostra była podniecona, widząc, jak pański statek wpływa do portu. Bez przerwy ogląda z okna żaglowce i nigdy jej to nie nudzi.

Jake przysunął swoje krzesło bliżej mnie. Nasi goście nie prezentowali manier, jakich należało się spodziewać. Obu panom brakowało subtelnosci — byli bardziej otwarci niż my i bardziej prostacy.

— A więc spodobał się pani mój żaglowiec? — spytał.

— Lubię wszystkie statki.

— To dobrze — uznał. — Pewnie nigdy wcześniej nie miała pani szansy ich oglądać.

— Mieszkałyśmy blisko rzeki. Często widywałyśmy przepływające łodzie.

Zaśmiał się szyderczo.

— Łodzie i holowniki — powiedział.

— A także królewskie barki. Widziałam królową płynącą

na koronację.

— A teraz mogła pani ujrzeć króla całej flotylli.

— Jakiego króla?

— Mam na myśli „Nieokiełznanego Lwa”.

— A więc tak wygląda król mórz?

— Zabiorę panią na jego pokład. Pokażę w całej okazałości.

Wówczas sama się pani przekona. — Wychylił się w moją stronę. Odsunęłam się i spojrzałam na niego chłodno, co go wyraźnie rozbawiło. — Kiedy pani przyjdzie? — spytał.

— Wątpię, czy w ogóle to zrobię.

Uniósł brwi o odcień ciemniejsze od włosów, co sprawiło, że jego błękitne oczy wyglądały na jeszcze bardziej zaskakujące.

— Nie przypuszczała pani, że kiedykolwiek się tu pojawię, tymczasem właśnie jestem. Teraz słyszę, że nigdy nie postawi pani stopy na moim statku, a ja gwarantuję, że w ciągu tygodnia będzie pani moim gościem. O co się pani założy?

— Nie zakładam się.

— Ale i tak pani przyjdzie.

Pochylił się w moją stronę, tak że jego twarz znalazła się blisko mojej. Staralam się patrzeć na niego z obojętnością, lecz chyba nie byłam zbyt przekonująca. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, jakie wywiera na mnie wrażenie. Odsunęłam się, a jego oczy wciąż ze mnie szczydziły.

— Tak — powiedział. — Odwiedzi pani mój zagłowiec. Za niecały tydzień. To zakład.

— Już powiedziałam, że się nie zakładam.

— Warunki omówimy później.

Doszłam do wniosku, że wcale nie mam ochoty przebywać z tym człowiekiem sam na sam na jego statku.



Przerwało nam pojawienie się następnego gościa. Była to panna Crocombe, głupio uśmiechnięta kobieta w średnim wieku. Gdy przyłączyła się do nas, by wypić kieliszek małmazji, jeden z lokajów oznajmił, że kolacja gotowa. Zeszliśmy schodami w dół, do jadalni.

Było to piękne pomieszczenie, moim zdaniem jedno z najładniejszych w Grange. Witrażowe okna wychodziły na dziedziniec, a na ścianach wisiały arrasycie obrazujące Wojnę Róż. Stół został nakryty z ogromnym smakiem. Stały na nim następne kieliszki z weneckiego szkła i lśniące srebrne półmiski. Na samym środku Honey ustawiła flakon z ziołami, które rosły w jej ogrodzie, co dawało wspaniały efekt.

Edward zajął miejsce na jednym końcu stołu, a Honey na drugim. Po prawej ręce mojej siostry zasiadł sir Penn, a po lewej Jake; na prawo od Edwarda usadzono mnie, a na lewo pannę Crocombe, toteż znalazłam się obok Jake'a, a panna Crocombe koło jego ojca.

Zastanawiałam się, czy to możliwe, by kapitan Pennlyon został tu zaproszony jako następny ewentualny kandydat do mojej ręki. Ta myśl bardzo mnie zdenerwowała. Czyżby przedstawiając mi niekończący się sznur młodych mężczyzn, próbowali zmusić mnie do tego, żebym zapomniała o Careyu? Biedacy, nie wiedzą, że tym sposobem jedynie przypominają mi o moim ukochanym, choćby tylko dlatego, że wszyscy poznawani przeze mnie ludzie bardzo się od niego różnili.

Honey niewątpliwie miała kilku doskonałych kucharzy. Wszystkie potrawy zostały pięknie podane. Była wieprzowina, mięso z jagnięcia, prosię, głowa dzika i mnóstwo placków. Moja siostra zadała sobie sporo trudu, by wprowadzić w tej części kraju miły obyczaj honorowania gości, od dawna praktykowany w naszym rodzinnym domu.

Jeden z placków miał kształt okrętu, a na jego wierzchu cienka warstwa lukru tworzyła napis „Nieokiełznany Lew”. Na ten widok obaj panowie okazali niemal dziecięcą radość — ze śmiechem pochłaniali ogromne kawałki ciasta. Dawniej nie widziałam ludzi o tak ogromnych apetytach. Jedzenie przepijane było, częstokroć dość głośno, muszkatelem i małmazją, coraz popularniejszymi winami pochodzącymi z Włoch i Lewantu. Goście równie dużo mówili, niemal przez cały czas dominując w rozmowie. Panna Crocombe wyraźnie adorowała pana Penna, co mogło nieco dziwić, zważywszy na to, że była zbliżającą się do czterdziestki starą panną i z pewnością nie należała do osób, które mogłyby przypaść do gustu człowiekowi w rodzaju sir Penna. Przypuszczałam, że jego apetyt w każdym względzie należy raczej do nienasyconych. Moim zdaniem patrzył na Honey w lubieżny sposób. Od czasu do czasu zerkał również na mnie — robił to z jakimś rozbawieniem, wręcz żalem, jakby sygnalizował, że zostawia mnie swojemu synowi. Uznałam, że prezentuje niewybaczalne maniere. Najwyraźniej żadnego znaczenia nie miał dla niego fakt, że Honey jest żoną gospodarza.

Odniosłam jednak wrażenie, iż moja siostra w ogóle tego nie dostrzega, choć może po prostu tak była przyzwyczajona do adoracji, że uważała ją za coś całkiem normalnego.

Zapytałam Jake’a, gdzie był podczas swojej ostatniej wyprawy.

— Aż u wybrzeży Afryki — odparł. — Co to był za rejs!

Mieliśmy poważne problemy. Zmagaliśmy się z wichurami i falami, które tak bardzo zniszczyły statek, że właściwie po winniśmy wrócić do domu. Na szczęście udało się nam pokonać przeciwności losu i popłynąć dalej zgodnie z planem.

— Podczas każdej wyprawy musi pan przynajmniej tysiąc

razy zaglądać śmierci w oczy — powiedziałam.

— To prawda, proszę pani. Ze względu właśnie na to marynarze tak bardzo kochają życie. Z drugiej jednak strony na łódzie od czasu do czasu również bywa niebezpiecznie.

Spoważniałam. Przed oczyma stanęła mi zaniepokojona twarz matki. Przypomniałam sobie, że mój dziadek poszedł na szafot za to, że udzielił schronienia przyjacielowi, a drugi mąż babci został spalony na stosie, ponieważ uparcie trzymał się swoich przekonań.

— To prawda — przyznałam. — Nikt nie ma całkowitej pewności, czy następnego dnia będzie jeszcze chodził po tym świecie.

Jake pochylił się w moją stronę.

— Dlatego powinniśmy cieszyć się każdą chwilą i nie myśleć o jutrze.

— Tak właśnie wygląda pańska filozofia? To znaczy, że nie robi pan żadnych planów na przyszłość?

Odważnie spojrział mi w oczy.

— Owszem... nawet często. A potem dokładam wszelkich starań, by moje życzenie się spełniło.

— Jest pan bardzo pewny siebie.

— Marynarz zawsze musi być pewny siebie. Powiem więcej.

Zawsze mu się spieszy. Widzi pani, żeglarz nie może sobie pozwolić na stratę czasu. Kiedy przyjdzie pani obejrzeć mój statek?

— Musi pan zapytać moją siostrę i jej męża, czy zechcą wybrać się na inspekcję.

— Ale ja zapraszam panią.

— Chciałabym usłyszeć opowieść o pańskich przygodach.

— U wybrzeży Afryki? To wcale nie byłaby miła historia.

— Nie oczekuję takowej.

Spojrzałam na drugą stronę stołu, na pannę Crocombe, która nieśmiało błagała sir Penna, by opowiedział jej swoje przygody przeżyte na morzu. Zaczął opowiadać niestworzone historie, które, moim zdaniem, miały po prostu nas zaszokować. Można było odnieść wrażenie, że nasz gość przeżył więcej przygód niż sam Sindbad. Walczył z morskimi potworami, pokonywał bestie, przybijał swoim statkiem do różnych wybrzeży, zatrudniał tubylców w kambuzie, tłumił bunty i pokonywał sztormy. Nie było takiej rzeczy, której sir Penn by nie robił, a wszystko, o czym mówił, pełne było niedopowiedzeń. Wyobraziłam sobie, jak on i jego ludzie wkraczają do niewielkiej afrykańskiej wioski, chwytają kobiety, gwałcą je i okradają.

Panna Crocombe skonsternowana zasłoniła ręką oczy i potwornie się zarumieniła. Była bardzo głupią niewiastą i zbyt wyraźnie okazywała, jakie ma zamiary względem sir Penna. Czy ona naprawdę myślała, że ten człowiek się z nią ożeni? Byłam zażenowana, obserwując te parę.

Wspomniano o Teneryfie. Była to największa wyspa w archipelagu niegdyś nazywanym Wyspami Psimi, ponieważ, gdy je odkryto, żyło tam mnóstwo psów. Teraz nosiły miano Wysp Kan aryjskich.

Teneryfa znajdowała się w rękach Hiszpanów.

— Hiszpańskie psy! — warknął sir Penn. — Przegnałbym ich wszystkich z mórz i oceanów. Tak, bardzo chętnie bym to zrobił... a kilka osób nawet by mi w tym pomogło. — Nagle się rozgorączkował i przestał żartować. Dostrzegłam w jego oczach błysk okrucieństwa. — Na Boga! — krzyknął, uderzając pięścią w stół, aż podskoczyły kieliszki z weneckiego szkła. — Należało by zmieść Hiszpańców z mórz, ponieważ, prawdę mówiąc, przyjaciele, albo zostaną tam oni, albo my. Nie ma miejsca dla obu naszych narodów.

— Oceany zajmują ogromne przestrzenie — zauważyłam, ponieważ było w tych mężczyznach coś, co skłaniało mnie do sprzeciwu i, jeśli to tylko możliwe, udowodnienia, że się mylą — a następne z pewnością zostaną jeszcze odkryte.

Spojrzał na mnie i przymrużył oczy — teraz przypominały one małe błękitne punkciki otoczone ze wszystkich stron ogorzałą, pokrytą zmarszczkami skórą.

— W takim razie to my je odkryjemy. Nie oni. A jeśli kiedykolwiek ich zobaczę, wyceluję w nich swoje działa, zmiotę ich z powierzchni mórz, przejmę ich statki ze skarbami i zawiozę całe bogactwo tam, gdzie powinno się znajdować.

— Skarby, które oni zdobyli? — spytałam.

— Tak! — powiedział siedzący obok mnie Jake. — Jest na świecie mnóstwo złota. Wystarczy przywieźć je do domu.

— Lub ukraść tym, którzy wcześniej je znaleźli.

Honey i Edward patrzyli na mnie zaniepokojeni. Nie zwracałam na to uwagi. Poczułam ogarniającą mnie przemożną chęć pokonania tych mężczyzn, ojca i syna, bandytów i korsarzy, ponieważ uważałam ich właśnie za bandytów i korsarzy, aczkolwiek rozmawiając z nimi, odczuwałam ożywienie i podniecenie, jakich nie zaznałam od czasu, kiedy straciłam Careya.

— Na Boga! — zawołał sir Penn. — Wygląda na to, że mamy do czynienia z damą, która jest przyjaciółką donów.

— Nigdy nikogo takowego nie spotkałam.

— To smagłe czorty. Powycinałbym im wątroby i ślepia.

Posłałbym ich na dno morza, tam gdzie ich miejsce. Niech pani nie bierze ich w obronę, dziecińco, ponieważ to byłoby wbrew zasadom zdrowego rozsądku.

— Nikogo nie biorę w obronę — zripostowałam. — Mówiłam jedynie, że jeśli znaleźli jakiś skarb, należy on do nich.

Gdyby pan go odkrył, nikt nie wątpiłby, że to bogactwo jest pańską własnością.

— Teraz z kolei, moja droga, usiłuje pani walczyć ze mną za pomocą szkolnej logiki. Złoto znalezione przez Hiszpanów wcale nie powinno u nich zostać. Nie, wszystkie skarby świata powinny znaleźć się w jednym właściwym dla nich miejscu — to znaczy na angielskich okrętach, przeto mamy zamiar zmieść Hiszpanów z mórz i dołożymy wszelkich starań, by tego dokonać.

— Jest ich wielu i z tego, co wiem, dokonali wielu wspaniałych odkryć.

— Zaiste, jest ich wielu, dlatego musimy dopilnować, by było ich trochę mniej. Wówczas odbierzemy im to, co zdążyli dotychczas zagarnąć.

— Czyż nie lepiej odkrywać nowe lądy samemu?

— Lepiej? Odkryjemy je, nie ma strachu, odkryjemy je i będą nasze. Ponieważ, młoda damo, morza należą do nas i żaden francowaty don nie odbierze nam ani sążnia wody.

Sir Penn oparł się o krzesło. Miał czerwoną twarz i niemal był na mnie zły. Panna Crocombe wyglądała na lekko przestraszoną. Poczułam, że się rumienię. Honey sygnalizowała mi oczyma, żebym się nie odzywała.

— Stara królowa zmarła w odpowiedniej chwili — wyznał Jake. — Nasza nowa władczyni, Elżbieta, ma całkiem inny charakter.

— Na Boga, tak! — zawołał sir Penn. — Będziemy jej bronić na morzu i lądzie. I jeżeli jakowyś francowaty don zwróci ryj w stronę naszych wybrzeży... zaiste, serdecznie tego pożałuje!

— Możemy się domyślać, do czego by doszło, gdyby Maria wciąż żyła — ciągnął Jake. — Mielibyśmy w Anglii inkwizycję.

— To niemożliwe. Dzięki Bogu w Kornwalii i Devon nie brak ludzi, którzy zawsze będą trzymać się razem i do tego nie dopuszczą — zadeklarował sir Penn. — Bogu niech będą dzięki, że mamy nową królową. To kobieta, która doskonale rozumie, że ludzie w tym kraju nie chcą mieć do czynienia z papistami. Maria paliła protestanckich męczenników na stosach. Bóg mi świadkiem, że zrobiłbym dokładnie to samo z sympatykami Rzymu, gdyby próbowali przywrócić w Anglii władzę papieża.

Edward zbladł. Przez chwilę myślałam, że ma zamiar zaprotestować. Honey patrzyła na męża ostrzegawczo i błagalnie. „Uważaj” — mówiło jej spojrzenie, i rzeczywiście musiał się pilnować. Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby obaj panowie dowiedzieli się, że ich gospodarz i gospodyni wyznają znenawidzoną przez nich wiarę.

Usłyszałam własne słowa, powiedziane piskliwym głosem:

— Jednym z owych męczenników był ojczym mojej matki.

Wówczas napięcie trochę opadło. W naszej rodzinie był ktoś, kto zaznał takiej śmierci — to mogło sugerować, że wyznajemy tę samą wiarę.

Sir Penn uniósł swój kieliszek i powiedział:

— Za naszą królową, która wyraźnie sprecyzowała swoje zamiary.

Wszyscy wzniesiliśmy toast za naszą władczynię. Ponownie zapanował spokój.

Rozmawialiśmy o koronacji i obaj panowie przez kilka minut chętnie słuchali naszych opowieści. Potem zaczęliśmy omawiać lokalne sprawy oraz szansę na upolowanie zwierzyny płowej. W końcu zostaliśmy zaproszeni do odwiedzenia Lyon Court.

Nasi goście wyszli późnym wieczorem. Kiedy znalazłam

się w swojej komnacie, wiedziałam, że nie zdołam zasnąć, przeto usiadłam w oknie swojej wieżyczki, zdając sobie sprawę, iż nie mam nawet po co kłaść się do łóżka.

Rozległo się pukanie do drzwi. To była Honey.

Miała na sobie długi niebieski szlafrok i rozpuszczone włosy.

— A więc nie śpisz? — spytała.

Usiadła i spojrzała na mnie.

— Co o nich sądzisz?

— Że to para prostaków — odparłam.

— Przebywają z dala od Londynu i dworu. Oczywiście, bardzo się od nas różnią.

— To nie chodzi tylko o ich złe maniery. Są arogancy.

— Ci mężczyźni wydają rozkazy grubiańskim marynarzom.

Muszą być stanowczy.

— Dali również wyraz swej nietolerancji — dodałam. — Jak zapalczywy był ojciec, gdy rozmawialiśmy o Hiszpanach! Są potwornymi głupcami. Jakby na świecie brakowało miejsca i ludzie nie mogli mieć tego, czego pragną.

— Człowiek zazwyczaj chce mieć to, co posiadają inni. To prawo natury.

— Wcale nie — zaprotestowałam. — To obyczaj wprowadzony przez człowieka i hołdują mu jedynie głupcy.

— Wywarłaś duże wrażenie na kapitanie, Catharine.

— Nawet jeśli tak, to wybrał zły moment.

— To intrygujący mężczyzna... Właściwie obaj tacy są.

— Ojciec zachowywał się tak, jakby miał zamiar sprzątnąć cię Edwardowi sprzed nosa.

— Nawet on nie zdobyłby się na coś takiego.

— Sądzę, że zdobyłby się niemal na wszystko — jego syn



również. Nie zaufałamby żadnemu z nich.

— No cóż, mieszkają w pobliżu. Ojciec Edwarda powie dział, że musimy żyć w zgodzie z naszymi sąsiadami, a zwłaszcza z Pennlyonami. W tej części kraju mają ogromne wpływy.

— Mam nadzieję, że nieprędko ich ponownie zobaczymy.

— Na twoim miejscu wcale bym na to nie liczyła. Wydaje mi się, że kapitan ma zamiar się do ciebie pozalecać, Catharine.

Wybuchnęłam szyderczym śmiechem.

— Lepiej zrobi, jeżeli będzie trzymał się ode mnie z daleka.

Honey, to wszystko twoja sprawa.

— Droga siostrzyczko, czyżbyś miała zamiar wiecznie opłakiwać poniesioną stratę?

— Wcale tego nie chcę, Honey, ale muszę.

— Gdy wyjdiesz za mąż i będziesz miała dzieci, zapomnisz o Careyu.

— Nigdy go nie zapomnę.

— W takim razie co masz zamiar zrobić? Opłakiwać go całe życie?

— Mam zamiar prosić cię, żebyś przestała przedstawiać mi wiejskich prostaków. Proszę, Honey, nie rób tego więcej.

— Zobaczysz, że wszystko się zmieni. Po prostu nie spotkałaś jeszcze odpowiedniego mężczyzny.

— Ta uwaga dotyczy również dzisiejszego wieczoru. Naprawdę sądziłaś, że człowiek taki jak ten zdoła obudzić we mnie inne uczucia niż chęć ucieczki jak najdalej od niego?

— Jest przystojny, władczy, bogaty... tak przynajmniej sądzę. Możesz się długo rozglądać, nim znajdziesz kogoś bardziej odpowiedniego.

— Przemawia przez ciebie zadowolona z siebie matrona.

Jeśli jeszcze raz będziesz próbowała szukać mi męża, wrócę do domu, do Abbey.

— Obiecuję, że już nie będę tego robić.

— Podejrzewam, iż był to pomysł mamy.

— Bardzo ci współczuje.

— Wiem o tym. Ale to nie jej wina, niech Bóg błogosławi jej dobre serce. Och, nie rozmawiajmy o moim nieszczęściu.

Czy naprawdę będziemy musieli złożyć wizytę w Lyon Court?

Chyba mają obsesję na punkcie tego zwierzęcia.

— Obrali lwa jako swój znak. Podobno na każdym ze swoich statków mają lwa. To zdumiewająca rodzina. Wzbogacili się w drugim i trzecim pokoleniu. Słyszałam, że ojciec sir Penna był skromnym rybakim parającym się handlem.

Pochodził z małej kornwalijskiej wioski rybackiej. Zbudował kilka łodzi i wysłał na nich ludzi, by dla niego łowili ryby.

Z czasem miał coraz więcej statków i stał się kimś w rodzaju wioskowego króla. Przekroczył Tamar i rozkręcił interes po tej stronie. Sir Penn w dzieciństwie był traktowany niczym młody książę. Gdy dorósł, kupił więcej statków, przestał zatrudniać rybaków i wypłynął w świat. Tytuł książęcy otrzymał od Henryka VIII, który sam kochał żaglowce i przewidział, że tacy awanturnicy jak Pennlyonowie mogą dużo dla Anglii zdziałać.

Ziewnęłam.

— Jesteś zmęczona? — spytała Honey.

— Mam dość Pennlyonów...

— Na pewno wkrótce ponownie wypłyną w morze, przy najmniej syn.

— Ucieszę się, nie musząc się z nim widywać.

Honey wstała i wyznała mi prawdziwy powód swej wizyty.

— Na pewno zdążyłaś się zorientować, że są fanatykami religijnymi.

— Zaiste, choć dziwi mnie, że w ogóle mają jakieś tego typu przekonania.

— Musimy być bardzo ostrożni. Nie byłoby dobrze, gdyby się zorientowali, że od czasu do czasu w naszym domu odprowadzana jest msza.

— Jestem znużona konfliktami na tym tle — zapewniłam ją. — Możesz być pewna, że nie powiem nic na ten temat.

— Wygląda na to — wyznała Honey — że wśród wyznawców prawdziwej wiary panuje ożywienie.

— A która z nich jest prawdziwa? — spytałam ze złością. — Pewnie mi powiesz, że jedyną słuszną drogą jest ta, która prowadzi do Rzymu. Edward w to wierzy, a ty przed ślubem również musiałaś opowiedzieć się po tej stronie. Lecz obie wiemy, że w naszej rodzinie nie brakuje osób, które wyznają protestantyzm. Kto zatem ma rację?

— Oczywiście, Edward... my.

— Wygląda na to, że w sprawach religii wszyscy ludzie są święcie przekonani, iż to oni znają właściwą drogę, a ci, którzy się z nimi nie zgadzają, są w błędzie. Z tegoż właśnie powodu nie mam zamiaru zajmować żadnego stanowiska.

— W takim razie jesteś osobą niewyznającą żadnej religii.

— Uważam, że będę lepszą chrześcijanką, nie żywiąc nienawiści do tych, którzy myślą inaczej niż ja. Nie obchodzą mnie doktryny, Honey. Ściągają na ludzi zbyt wiele cierpień. Nie zgadzam się z żadną z nich. Jestem zmęczona i nie mam dziś nastroju na teologiczną dysputę.

Wstała.

— Błagam, Catharine, bądź ostrożna.

— Możesz mi zaufać.

Pocałowała mnie delikatnie w policzek i wyszła, a ja doszłam do wniosku, że musi być bardzo szczęśliwa. Ma ubóstwiającego ją męża, jest niewiarygodnie piękna, a na dodatek żywi przekonanie, że wyznaje prawdziwą wiarę.

Jednakowoż moje myśli niemal natychmiast wróciły do naszych gości. Spojrzałam za okno, na stojący na kotwicy żaglowiec. Wkrótce — pomyślałam, wyglądając ze swojej wieżyczki — zobaczę, jak ten wspaniały żaglowiec wypływa w morze. Wyobraziłam sobie stojącego na pokładzie Jake'a. Miał szeroko rozstawione nogi, wykrzykiwał rozkazy i wzywał wszystkich śmiazków do stawienia mu czoła. Zobaczyłam spływającą po kordzie krew, usłyszałam triumfalny śmiech, zobaczyłam złote monety przeciekające między palcami Jake'a i wyzierające z jego oczu pożądanie — takie samo jak wtedy, gdy jego wzrok spoczywał na mnie.

Otrząsnęłam się. Poszłam do łóżka trochę poirytowana, ponieważ nie mogłam przestać myśleć o tym człowieku.

\* \* \*

Obudziłam się w środku nocy. Moją komnatę wypełniało światło księżyca. Nie byłam pewna, jak długo spałam. Leżałam w całkowitym bezruchu, nasłuchując dochodzących z okolicy dźwięków — nagłego szumu liści, pohukiwania sowy. Zazwyczaj doskonale sypiałam, czemu zatem się obudziłam? Czyżby coś mnie przestraszyło?

Zamknęłam oczy, pragnąc ponownie zasnąć, lecz w tym momencie usłyszałam trzykrotne uderzenie zegara na wieży. Był to niezwykły zegar i wszyscy nasi goście wychodzili na zewnątrz, by lepiej mu się przyjrzeć. Główną jego ozdobę stanowiła figurka mężczyzny, który przypominał zmarłego

Henryka VIII, ojca naszej obecnej władczyni. Człowiek ów o każdej pełnej godzinie uderzał w dzwon. Tutaj uważano takie urządzenie za coś niezwykłego, jakkolwiek w domu mieliśmy jeden lub dwa znacznie oryginalniejsze zegary.

Trzecia. Wstałam i zarzuciłam na siebie pelerynę obszytą futrem. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Mój wzrok niemal natychmiast pobiegł w stronę „Nieokiełznanego Lwa”, lecz nie zatrzymał się na nim, przesunął się dalej, ponieważ na otwartym morzu kołysało się istne чудо — żaglowiec, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Majestatycznie unosił się na wodzie. Niewiele wiedziałam o statkach — całą wiedzę na ten temat zdobyłam po przyjeździe tutaj — zauważyłam jednak, że forkasztel, zamiast wystawać poza dziób, wznosi się bezpośrednio nad forpikiem.

Nigdy nie widziałam tak majestatycznego żaglowca. W porównaniu z nim „Nieokiełznany Lew” wydawał się mały i nieładny.

Stałam przez jakiś czas, obserwując ów piękny statek. W pewnym momencie dostrzegłam przesuwające się na nim światełko, a potem ciemny punkcik na wodzie. Zniknął, lecz po chwili pojawił się ponownie. Zbliżał się. Po dłuższej obserwacji doszłam do wniosku, że to mała łódka, płynąca do brzegu.

Spojrzałam ponownie na „Nieokiełznanego Lwa”. Pomyślałam: „Dobrze by było, gdyby jego kapitan zobaczył ten piękny statek. Mógłby porównać z nim swojego «Lwa»».

Widziałam całkiem wyraźnie, jak łódeczka kołysze się na wodzie. Potem zniknęła i już więcej jej nie zobaczyłam — wszelkie wypatrywania były daremne. Lecz wspaniały żaglowiec został, a ja go obserwowałam i czekałam, jednakowoż nic więcej się nie zdarzyło.

Słyszałam, jak zegar na dziedzińcu uderza cztery razy. Nagle zdałam sobie sprawę, że jest mi zimno.

Żaglowiec wciąż tam był, lecz łódeczka nie wracała. Położyłam się do łóżka, ale nie mogłam rozgrzać stóp. W końcu udało mi się zasnąć. Obudziłam się późno. Od razu sobie wszystko przypomniałam i podeszłam do okna. Nie było ani śladu po okazałym statku i maleńkiej łódeczce. „Nieokiełznany Lew” dumnie kołysał się na wodzie, ponieważ nie było obok obcego majestatycznego żaglowca, który odwracałby od niego uwagę.

Cóż to był za statek! Nigdy wcześniej nie zetknęłam się z czymś takim, dlatego spoglądając na wodę, zadawałam sobie pytanie, czy naprawdę to wszystko widziałam, czy jedynie wyobraziłam sobie ów żaglowiec.

Nie. Na pewno obudziłam się w nocy. Co wytrąciło mnie ze snu? Instynkt? Przeczucie? Potem wyjrzałam i zobaczyłam żaglowiec.

A może tylko mi się śniło? Poprzedniego wieczoru bardzo dużo mówiliśmy o statkach. Obaj mężczyźni — zwłaszcza ten młodszy — siłą wtargnęli w moje myśli i za nic w świecie nie mogłam zapomnieć o żadnym z nich. Może rzeczywiście był to sen. Z drugiej jednak strony naprawdę się obudziłam. Widziałam statek. Czy to możliwe, by opowieści obu panów wykreowały w mojej wyobraźni coś tak wspaniałego i majestatycznego?

Nie, widziałam to, co widziałam, nie miałam jednak zamiaru nikomu o tym wspominać. Honey i Edward pomyśleliby, że Pennlyonowie bardzo przypadli mi do gustu, a była to ostatnia rzecz, do jakiej chciałabym się przyznać.

\* \* \*

W Trewynd zazwyczaj jeździłam na rozbrykanej młodej klaczy. Od bardzo dawna żyłam w dobrej komitywie z końmi, gdyż od dziecka uczono nas jazdy konnej. Było to konieczne, polegając bowiem na własnych nogach, nigdy nie dotarłoby się zbyt daleko od domu.

Lubiłam wyjeżdżać każdego dnia i uwielbiałam podczas tych przejażdżek być sama. Szczerze nienawidziłam towarzystwa stajennego, którego powinnam ze sobą zabierać. Marigold dobrze mnie znała, zresztą przybyła ze mną z Abbey. Rozumiałyśmy się nawzajem, a mój głos wpływał uspokajająco na konia i przekazywał mu polecenia.

Nazajutrz po wizycie Pennlyonów postanowiłam wybrać się na przejażdżkę. Opuszczając stajnię, usłyszałam dźwięczny głos Jake'a Pennlyona. Najwyraźniej przybył z wizytą. Pogratulowałam sobie, że zdołałam mu uciec.

Uwielbiałam tutejszy krajobraz — bardzo różnił się od najbliższych okolic Abbey. Nie brakowało stromych wzniesień, krętych ścieżyn i lasów sosnowych, a zieleń była znacznie bujniejsza ze względu na cieplejszy i wilgotniejszy klimat niż na południowym wschodzie Anglii. Wyobrażałam sobie, jakie wspaniałe kwiaty muszą kwitnąć tu na wiosnę, i nie mogłam doczekać się tej pory roku. Z drugiej jednak strony zastanawiałam się, czy mam zamiar tak długo pozostawać z dala od domu. Wciąż snułam swe rozważania, gdy usłyszałam za sobą stukot końskich kopyt, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam doganiającego mnie Jake'a Pennlyona na ogromnym białym koniu.

— Tylko nie to — oświadczyłam stanowczo.

— Powiedziano mi, że pani wyjechała, więc ruszyłem w pościg.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Oczywiście, by z panią porozmawiać.

— Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem.

— Ale wciąż mamy sobie dużo do powiedzenia.

— Ja wcale tak nie uważam.

— No cóż, powiedzmy, że to ja mam pani dużo do powiedzenia.

— Może innym razem.

Ścisnęłam piętami boki Marigold i ruszyłam szybciej, lecz Jake wciąż dotrzymywał mi towarzystwa. Od razu wiedziałam, że moja klacz nie zdoła zostawić w tyle jego mocnego rumaka.

— Marynarz nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Jedyłą rzeczą, jakiej mu brakuje... jest czas.

Zdając sobie sprawę, że nie zdołam mu uciec, zwolniłam.

— No cóż, w takim razie proszę powiedzieć, co pan ma do powiedzenia, a potem pojedę swoją drogą.

— Możemy jechać razem i przy okazji trochę sobie pogawędzić.

— Nie prosiłam pana o dotrzymywanie mi towarzystwa.

— A cóż to ma za znaczenie, jeśli wolno mi spytać?

— Lubi pan bez zastanowienia narzucać się innym, nawet jeśli oni nie mają na to ochoty?

— Nie mam się nad czym zastanawiać, jako że podjąłem decyzję i dążę do określonego celu.

— A jakiż to cel?

— Pani.

Prychnęłam śmiechem.

— Ma pan dziwne cele.

— Zapewniam panią, że są całkiem normalne.

— Prawie w ogóle pana nie znam. Widzieliśmy się zaledwie raz.

— Dwa razy — poprawił mnie. — Czyżby pani zapomniała o naszym spotkaniu w Hoe? To wtedy wszystko



się zaczęło.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że coś się wtedy zaczęło.

Chwycił uzdę Marigold. Miał surową, niemal groźną minę.

— Nie może pani zaprzeczać prawdzie, moja droga — oświadczył. — Dobrze pani wie, co się zaczęło.

— Wygląda na to, że zna mnie pan lepiej niż ja sama — lub tak przynajmniej się panu wydaje. Nie jestem jedną z pańskich przyjaciółek, które przylatują na każde pańskie skinienie i nie kryją radości, gdy pan na nie gwizdnie jak na psa.

— Panią zawołałbym po imieniu i na pewno szanowałbym bardziej niż psa.

— Kiedy pan wypływa?

— Za dwa miesiące.

— Tak późno? — spytałam.

— Tak szybko — odparł. — W ciągu tych dwóch miesięcy mam mnóstwo do zrobienia. Muszę wyremontować swój statek, zaopatrzyć go w prowiant, skompletować załogę i zabiegać o względy pewnej damy... wszystko jednocześnie.

— Życzę powodzenia. — Zawróciłam Marigold w kierunku Trewynd. — Chciałabym się z panem pożegnać, jako że jadę w przeciwnym kierunku niż pan.

— Prawdę mówiąc, oboje podążamy w tę samą stronę.

— Wracam do stajni.

— Właśnie pani z niej wyjechała.

— Mimo to wracam — oświadczyłam.

— Proszę się zatrzymać i ze mną porozmawiać.

— Muszę się z panem pożegnać.

— Boi się mnie pani. — Spojrzałam na niego pogardliwie.

— Jeśli nie — wypalił — czemu nie zatrzyma się pani i nie zamieni ze mną kilku słów?

— Na pewno się pana nie boję, kapitanie Pennlyon. Proszę

zatem powiedzieć, co ma mi pan do powiedzenia, ponieważ chcę już wracać.

— Wpadła mi pani w oko i sądzę, że ja również przypadłem pani do gustu.

— Nie zna pan moich upodobań.

— Ale uznała pani, że im odpowiadam.

— Uznałam, że jest pan bezczelny... arogancki...

— Proszę mnie nie oszczędzać — szydził.

— Że jest pan człowiekiem, którego wolałabym nigdy nie spotkać...

— Lecz któremu nie może się pani oprzeć.

— Kapitanie Pennlyon — powiedziałam — ma pan zbyt wysokie mniemanie o sobie i swoim statku.

— Mój statek jest najpiękniejszym żaglowcem, jaki kiedykolwiek pływał po oceanie.

— Dziś w nocy widziałam ładniejszy — wypaliłam.

— Gdzie?

— Na wodach zatoki.

— Widziała pani „Nieokiełznanego Lwa”.

— On też tam stał, lecz za nim kołysał się drugi żaglowiec, który całkowicie przyćmiewał pański statek i był dwa razy okazalszy.

— Może pani szydzić ze mnie, lecz nie z mojego żaglowca.

— Z nikogo nie szydzę, jedynie stwierdzam fakt. Wyrzesałam przez okno i zobaczyłam najpiękniejszy żaglowiec, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Najpiękniejszym żaglowcem, jaki pani kiedykolwiek widziała, jest „Nieokiełznan Lew”.

— Nie, ten wyglądał bardziej majestatycznie i elegancko. Był wysoki i wyniosły... niczym pływający zamek.

Kapitan wpatrywał się we mnie z natężeniem.?

— Czy widziała pani, ile miał masztów?

— Wydaje mi się, że cztery.

— A pokłady... czy znajdowały się wysoko?

— Chyba tak, w ogóle był bardzo wysoki. Nie przypuszczałam, że żaglowce mogą tak bardzo wznosić się nad wodę.

Wyglądało na to, że całkiem przestał się mną interesować. Kompletnie zaabsorbował go statek widziany przeze mnie w nocy. Wypytywał mnie gorliwie. Odpowiadałam najdokładniej, jak umiałam, ale moja wiedza na temat żaglowców była bardzo skromna. Nie zaprotestował, kiedy skierowałam swojego konia z powrotem do stajni w Trewynd, jedynie dotrzymywał mi kroku, zarzucając mnie pytaniami. Denerwował się, gdyż nie potrafiłam szczegółowo opisać mu widzianego w nocy statku. Nagle wybuchnął:

— To niemożliwe, ale, na Boga, wygląda na to, że opisuje mi pani hiszpański galeon.

\* \* \*

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak religijnym człowiekiem jest Edward. W Abbey matka nie narzucała mi żadnej doktryny. Była zwolenniczką tolerancji i wiedziałam, że jej zdaniem nie jest ważny sposób, w jaki oddaje się Bogu cześć, liczy się jedynie to, czy człowiek żyje jak chrześcijanin. Pewnego razu powiedziała: „Religijnych ludzi można poznać po tym, jak traktują bliźnich. Po co chwalić Boga, jeżeli jest się okrutnym w stosunku do Jego stworzeń?”

Niewiele osób się z nią zgadzało. Poprzednia królowa i jej ministrowie palili ludzi na stosie nie dlatego, że kogoś okradli lub zamordowali, lecz za to, że nie chcieli uznać zwierzchnictwa Rzymu. Teraz nastąpił zwrot, a religia

faworyzowana za panowania Marii została potępiona. Przywrócono ustawy obowiązujące w czasach jej poprzedników. Górę brał protestantyzm i chociaż istniała nadzieja, że na Smithfield nie zapłoną już stosy, niebezpiecznie było opowiadać się po stronie doktryny innej, niż życzyłyby sobie tego królowa.

Nie wiedziałam, czy Elżbieta naprawdę jest zwolenniczką protestantyzmu. Na pewno pamiętała niebezpieczne lata, kiedy nad jej głową bez przerwy wisiał katowski miecz. W owym czasie lawirowała, choć może w głębi duszy rzeczywiście skłaniała się ku religii reformowanej. Gdyby nie owe zręczne manewry, obecnie mogłaby nie zasiadać na tronie.

Teraz miała ważne polityczne powody przemawiające za protestantyzmem. Po drugiej stronie kanału La Manche przebywała królowa Francji i jednocześnie królowa Szkocji. Wiele osób uważało ją także za prawdziwą królową Anglii. Oczywiście, chodziło o Marię Stuart, wnuczkę Małgorzaty, siostry zmarłego króla Henryka VIII. Mnóstwo ludzi twierdziło, że jest bezsporną następczynią angielskiego tronu, podczas gdy Elżbieta — której ojciec rozstał się z prawdziwą żoną, Katarzyną Aragońską, by poślubić Annę Boleyn — jako dziecko z nieprawego łoża, nie ma prawa do korony.

Maria Stuart była katoliczką, a tym samym duchową przywódczynią ludzi, którzy chcieli, by Anglia wróciła pod zwierzchnictwo papieża. W związku z tym Elżbieta musiała opowiedzieć się po stronie protestantów. Byłam pewna, że naszą królową bardziej powodują motywy polityczne niż religijne.

Nikt nie mógł zaprzeczyć istnieniu owych politycznych aspektów sprawy i ludzie uczestniczący we mszy świętej i modlący się w sposób propagowany przez papieża byli

potencjalnymi wrogami Elżbiety, ponieważ pragnęli z powrotem uzależnić Anglię od Rzymu, a gdyby coś takiego naprawdę się stało, królową zostałaby Maria Stuart, a nie Elżbieta Tudor.

W związku z tym Edward i Honey, modląc się w taki, a nie inny sposób, narażali się na ogromne niebezpieczeństwo.

Zdawałam sobie sprawę, że za zamkniętymi drzwiami kaplicy odprawiane są msze. Wiedziałam, że pod leżącym na ołtarzu obrusem znajduje się schowek. Przypuszczałam, iż to właśnie w nim przechowywane są obrazy oraz wszystko, co jest potrzebne do odprawiania nabożeństw.

Nie uczestniczyłam w nich, lecz robiło to przynajmniej kilku domowników. Nie zastanawiałam się nad tym, aż do wieczoru, kiedy Pennlyonowie tak niechętnie wypowiadali się na temat Hiszpanów. Doszłam do wniosku, że to bardzo niebezpieczni i nietolerancyjni ludzie. Od tegoż dnia, ilekroć mijałam kaplicę, przenikał mnie dreszcz.

\* \* \*

Jennet, młoda dziewczyna, którą przywiozłam ze sobą z Abbey, układała moje ubrania, z zachwytem wygładzając materiał aksamitnej peleryny.

Jennet była mniej więcej o rok ode mnie młodsza — jej włosy stanowiły istną plątaninę ciemnych loków. Zauważyłam, że kilku lokajów śledzi ją wzrokiem, uznałam więc, iż muszę ją przestrzec.

Z błyszczącymi oczyma wykonywała swoją pracę, a ja zapytałam, czy jest zadowolona ze zmiany otoczenia.

— O, tak, panienko — odparła żarliwie.

— To znaczy, że podoba ci się tutaj bardziej niż w Abbey? Lekko zadrżała.

— Tak, panienko. Tutaj jest więcej otwartej przestrzeni.

Wszyscy mówili, że w Abbey... straszy. Nigdy człek nie miał pewności, co może wychylić się zza rogu.

Jennet uwielbiała plotki. Słyszałam, jak bez przerwy ucinała sobie pogaduszki z innymi pokojówkami. Jeżeli dam jej możliwość, sporo się od niej dowiem.

— A więc uważasz, że tu jest inaczej?

— Zdecydowanie, panienko. W Abbey... zdarzało się, że leżałam nocami na swojej pryczy i drżałam, chociaż nie byłam sama. Młoda Mary zaklinała się na wszystkie świętości, że pewnego dnia widziała o zmierzchu wchodzących do kościoła mnichów... Mieli na sobie długie habity i śpiewali. Opowiadała, że działy się tam okropne rzeczy, a tam, gdzie dzieją się okropne rzeczy, muszą być duchy.

— Lecz w rzeczywistości nigdy nie widziałas ducha, Jennet.

— Nie, panienko, ale wyczuwałam ich obecność, więc na to samo wychodzi. Tutaj jest większy dom. Może nie brak tu duchów, jako że można je spotkać niemal w każdym domu, ale w Trewynd raczej krąży upiór podobny do wszystkich innych — jakaś nieszczęśliwa dama, która przeżyła zawód miłosny, lub dżentelmen, który stracił dziedzictwo i rzucił się z wieży takiej jak... To są normalne duchy... Tymczasem Abbey nawiedzają jakieś potworne zjawy. Mnisi i zło... Och, tyle tam zła. Moja babcia pamięta czasy, kiedy pojawili się ci straszni mężczyźni, wie również, co zrobili... Tutaj jest inaczej. Poza tym tu są statki. Och, uwielbiam oglądać żaglowce. — Jennet zachichotała. — A kapitan Pennlyon, panienko! Powiedziałam do Mary: „Nigdy nie widziałam tak przystojnego dżentelmena”. Mary potwierdza moją opinię, panienko.

Nagle ogarnęła mnie złość. To znaczy, że na jego temat rozmawiają nawet pokojówki. Wyobraziłam sobie, jak dumnie przechadza się między nimi, najładniejsze obdarzając całusem i znakując je jako swoje ewentualne ofiary. Na myśl o tym człowieku robiło mi się niedobrze.

Dlaczego ja właściwie ucinam sobie pogaduszki z Jennet?!

— Zabierz to stąd, Jennet — powiedziałam. — I nie gadaj tyle. Masz za dużo czasu do stracenia?

Jennet, nieco zdezorientowana moją nagłą zmianą nastroju, zwiesiła głowę i delikatnie się zarumieniła. Miałam nadzieję, że wyraźnie okazałam swoją obojętność w stosunku do kapitana Pennlyona, Jennet przerwała pracę i wyrzała przez okno na dziedziniec.

— Co się tam dzieje, Jennet? — zapytałam.

— Jest tam jakiś młody mężczyzna, panienko.

Podeszłam i stanęłam obok niej. Zaiste, na dziedzińcu stał młody człowiek o przylizanych bardzo ciemnych włosach. Miał na sobie rdzawy kubrak i zielone rajtuzy. Gdy przyglądałyśmy mu się z góry, uniósł głowę i spojrzał na nas. Ukłonił się w wyszukany sposób.

— Kim pan jest?! — zawołałam.

— Jeśli jest pani gospodynią tego domu — odparł — chciał bym prosić o chwilę rozmowy.

— Matko Boska! — sapnęła Jennet. — Ależ z niego przystojniak!

— Nie jestem panią tego domu — odparłam — ale zejść na dół i porozmawiam z panem.

Zeszłam do sali paradnej. Jennet przez cały czas deptała mi po piętach. Gdy otworzyłam drzwi z żelaznymi okuciami, młody mężczyzna ponownie ukłonił mi się z ogromnym szacunkiem.

— Wydaje mi się, że gospodyni nie ma w domu. Może

powie mi pan, o co chodzi.

— Szukam pracy, milady.

— Pracy?! — zawołałam. — Jakiej pracy?

— Nie mam szczególnych wymagań. Z wdzięcznością przyjmę każde zajęcie.

— To nie ja zarządzam tym domostwem. Jestem tu tylko gościem.

— Czy mam odnaleźć pana? — zapytała Jennet ochotczo.

Spojrzał na nią z wdzięcznością, a ona ślicznie się zarumieniła.

— Bardzo proszę — odparł.

— Jennet pobiegła.

— Jak się pan nazywa? — zapytałam przybysza.

— Richard Rackell.

— Skąd pan pochodzi?

— Z północy. Jestem przekonany, że na południu łatwiej zdołam się czegoś dorobić niż w moich rodzinnych stronach.

— A na razie chce pan przez jakiś czas popracować tutaj, nim rozpocznie pan nową przygodę?

— To będzie zależało. Rozglądam się za miejscem, gdzie mógłbym osiąść na stałe.

Mężczyźni często poszukiwali pracy, zwłaszcza pod koniec lata, w dzień Świętego Michała. W tym okresie nie brakuje roboty na polu i w stodole. Trzeba wymłócić zboże i przesiać ziarno. Potem soli się mięso zwierząt, których nie warto żywić przez całą zimę. Aliści stojący przede mną młodzieniec znacznie się różnił od ludzi zazwyczaj pytających o pracę.

Zapytałam go, czy potrafiłby pomóc przy żniwach. Odparł, że nigdy tego nie robił, ale bardzo dobrze radzi sobie z końmi i ma nadzieję, iż znajdzie się dla niego miejsce w stajni.

W tym momencie na dziedzińcu pojawił się Edward. Był



eleganckim mężczyzną, jednak wydał mi się drobniejszy i delikatniejszy niż poprzednio. Być może podświadomie porównywałam go z Pennlyonami.

— Edwardzie — powiedziałam — ten młody człowiek szuka pracy.

Edward zawsze był bardzo uprzejmy i niezmiennie odnosiłam wrażenie, że stara się jak najlepiej wypaść w oczach innych. Cieszył się wśród naszej służby dużą popularnością, choć czasami podejrzewałam, że trochę nim gardzą. Nie byli przyzwyczajeni do tak łagodnego traktowania.

Zaprosił młodego człowieka do zimowego salonu i posłał po kufel piwa, by przybysz mógł przepłukać gardło. Niewielu przyszłych pracodawców traktuje ludzi w taki sposób, lecz Edward był swego rodzaju wizjonerem. Jakkolwiek posiadał ogromne bogactwo, nigdy nie wywyższał się nad innych. Zdawał sobie sprawę, że jest bardziej wykształcony, ma większą ogładę i prezentuje lepsze maniere niż ludzie pracujący na folwarku, lecz, jego zdaniem, żaden człowiek wykształcony, o dobrych manierach nie ma prawa zadzierać z tego powodu nosa, gdyż zawdzięcza to wszystko faktowi, iż jest synem lekarza, prawnika lub — jak to było w jego przypadku — lorda. Honey często mi powtarzała: „Edward to dobry człowiek”.

Miała rację.

Oczywiście, nie poszłam z nimi do zimowego salonu. Wróciłam do swojej komnaty, gdzie Jennet nadal układała ubranie.

— Och, panienko — powiedziała — jak panienka myśli, czy pan znajdzie dla niego jakieś zajęcie?

— Odnoszę wrażenie, że ten człowiek nie jest stworzony do ciężkiej pracy w polu, a takich właśnie ludzi trzeba o tej

porze roku.

— Wygląda na prawdziwego dżentelmena — przyznała Jennet, wyglądając moją pelerynę. — Na północy rodzą się bardzo przystojni mężczyźni.

— Za bardzo się nimi interesujesz, Jennet — zauważyłam poważnie.

— Och, bo to wyjątkowo ciekawy naród, panienko.

— Muszę cię ostrzec. Doskonale wiesz, co dzieje się z dziewczętami, które nie uważają.

— Och, panienko, chodzi panience o marynarzy. Oni rzeczywiście dzisiaj są, jutro ich nie ma. Richard Rackell ma zamiar tu zostać i jeśli coś przeskrobie, będzie musiał ponieść za to odpowiedzialność.

— Zauważyłam, Jennet, że bardzo lubisz zwracać na siebie uwagę.

— Och, panienko. — Mocno się zarumieniła i zachichotała.

— Jeśli ten młody człowiek będzie miał tyle szczęścia — ciągnęłam poważnie — że dostanie tu pracę, lepiej by było, gdybyś zaczekała, aż wykaże zainteresowanie twoją osobą, i nie zdradzała, iż przypadł ci do gustu.

— Ależ to tylko chłopiec, panienko — powiedziała Jennet z błyskiem w oku, a ja byłam na nią zła, ponieważ wiedziałam, że porównuje Richarda Rackella z kapitanem Pennlyonem.

\* \* \*

Dziwne by było, gdyby Edward nie znalazł pracy dla Richarda Rackella. Przyszedł do solarium, gdzie znajdowałyśmy się z Honey — ona hartowała, a ja przyglądałam się jej pracy — i przysiadł się do nas.

— Przydzieliłem go do stajni — powiedział. — Potrzebny jest tam dodatkowy człowiek, chociaż nie wiem, czy Richard będzie się nadawał do tej pracy. Nie wygląda na stajennego, choć z pewnością potrafi radzić sobie z końmi. Z czasem spróbuję znaleźć mu jakieś inne zajęcie. Moim zdaniem byłby doskonałym skrybą, lecz nie potrzebuję nikogo takiego.

Honey uśmiechnęła się do męża znad igły. Zawsze traktowała go z ogromną czułością i łagodnością, a on ją uwielbiał.

Moja siostra wyglądała ślicznie z igłą w ręce, z wyrazem rozmarzenia i zadowolenia na twarzy.

— W takim razie pozwólmy mu popracować w stajni — powiedziała. — Dzięki temu będzie pod ręką, gdyby pojawiła się jakaś inna możliwość.

— To miły młody człowiek — wyznał Edward. — Podejrzewam, iż posiadał nawet pewną wiedzę.

— Lecz dziwnie mówi — zauważyłam.

— To dlatego, że pochodzi z północy. Tamtejszy język tak bardzo różni się od naszego, że czasami trudno go zrozumieć.

— Richarda każdy zrozumie.

— O tak, ale jest wykształconym młodym człowiekiem.

W niczym nie przypomina ludzi, którzy normalnie pukają do naszych drzwi w poszukiwaniu pracy.

— Jennet mówi, że jest małowówny. Nie traciła czasu i niemal natychmiast zawarła z nim znajomość.

Edward odchrząknął i powiedział:

— Pod koniec tygodnia odwiedzi nas Thomas Elders.

Honey na moment zamarła w bezruchu z igłą w powietrzu. Wiedziałam, że ta uwaga trochę ją zaniepokoiła.

Musiałam zapewnić oboje, że z mojej strony nic im nie grozi. Nie zdradzę tego, co wiem. Nikomu nie powiem, że Thomas Elders jest księdzem, który podróżuje od jednego

katolickiego domostwa do drugiego, że w każdym z nich pojawia się jako gość i stary przyjaciel niektórych domowników, że w trakcie swego pobytu w każdym domu wysłuchuje spowiedzi i odprawia mszę, jednocześnie ściągając na siebie i rodzinę, którą odwiedza, ogromne niebezpieczeństwo w postaci niezadowolenia królowej.

Już raz u nas był. Wówczas nie zastanawiałam się zbyt wiele nad jego wizytą, aczkolwiek szybko zorientowałam się, jaki jest jej cel.

Wraz z nastaniem nowych rządów wszyscy spodziewali się bardziej wyrozumiałego podejścia do religii, chociaż i tak nie mogło być pod tym względem gorzej niż za panowania poprzedniej królowej. Jednakowoż czasy całkowitej tolerancji jeszcze nie nadeszły — Elżbieta miała swoje powody, by z tym zwlekać, jej ministrowie również. Łagodnie rzecz ujmując, podejmowanie w domu księdza wcale nie było przejawem mądrości.

Kiedy przypomniałam sobie, jak bardzo nietolerancyjni są Pennlyonowie, nie mogłam pozbyć się pewnych obaw.

Zmieniłam temat, kierując rozmowę na przybysza z północy, Richarda Rackella.

— Zaiste, ma wytworne maniery — stwierdziłam. — Swego czasu znałam kogoś z północy. Był to człowiek, który przyje chał odwiedzić mojego ojca, ale nie mówił ani nie zachowywał się tak jak ten młody mężczyzna.

— Ludzie zawsze bardzo się od siebie różnią — zauważyła Honey spokojnie.

Potem zaczęła opowiadać o sąsiadach, a ja, obawiając się, że wkrótce zacznę wychwalać Pennlyonów, wstałam i wyszłam.

Jake Pennlyon odwiedzał nas każdego dnia. Wszelka subtelnosc była obca jego naturze — zdecydowanie przyjeżdżał po to, by się ze mną zobaczyć.

Pewnego razu zauważył Richarda Rackella.

— Widziałem już tego faceta — powiedział. — Szukał pracy w Lyon Court.

— A pan nic dla niego nie miał.

— Nie spodobał mi się jego wygląd. Bardziej przypomina dziewczynę niż chłopca.

— Czyżby chciał pan, by wszyscy ryczeli jak lwy?

— Ten przywilej rezerwuję dla siebie.

— Albo zawodzili jak osły — dodałam.

— To zostawiam innym, ale ani lwów, ani osłów nie przyjmuję do pracy. Próbował mi wmówić, że pochodzi z pół nocy.

— Dlaczego miałby panu to wmawiać? Edward mu uwierzył.

— Edward wierzy we wszystko. Wydaje mu się, iż wszyscy mają równie wytworne maniere jak on.

— Może, póki się kogoś nie zna, lepiej dopatrywać się w nim tego, co najlepsze, a nie tego, co najgorsze?

— Nonsens. Zawsze trzeba być przygotowanym na najgorsze.

— Jak zwykle nie zgadzam się z panem.

— Bardzo mnie to cieszy. Boję się dnia, kiedy będziemy mieć takie samo zdanie.

Nie miałam wątpliwości, że nasze słowne potyczki sprawiają mi prawdziwą przyjemność. Ku mojemu zdumieniu — mnie również.

Kiedy pewnego dnia trochę się spóźnił ze swoją wizytą,

złapałam się na tym, że stoję w oknie i czekam na niego, choć wmawiałam sobie, że bardzo się cieszę, iż go nie ma. Jednak widząc jego białego konia na placu przed stajnią i słysząc donośny głos rzucający stajennym rozkazy, nie potrafiłam opanować dreszczyku emocji.

Złożyliśmy wizytę w Lyon Court — rezydencji, która została wzniesiona przez ojca sir Pennlyona. Po obu stronach werandy stały rzeźbione lwy z groźnymi minami, w podłodze na werandzie również wytłoczono głowę lwa. Sama budowla była młodsza niż Trewynd, a gotycka sala paradna miała wysokość kilku pięter. Główny budynek oraz jego wschodnie i zachodnie skrzydło otaczał dziedziniec. W skrzydłach mieściły się sypialnie i komnaty mieszkalne. W głównym budynku znajdowała się sala paradna, z której okazałe schody prowadziły na galerię. Całość była imponująca, wręcz ostentacyjna, czego właściwie można się było spodziewać po takiej rodzinie. Pennlyonowie nie zawsze posiadali tak ogromne bogactwo, dlatego się nim chwalili. Rodzina Edwarda była majątna od bardzo dawna, on sam dorastał otoczony przepychem, w związku z czym traktował to jako coś całkiem naturalnego.

Niemniej nie zdołałam obronić się przez entuzjazmem obu panów Pennlyonów zachwycających się swoim wspaniałym domem. W długiej galerii umieszczono portret ojca sir Penna, człowieka, który położył podwaliny pod późniejsze bogactwo. Miał na sobie eleganckie ubranie, sprawiał jednak wrażenie, jakby źle się w nim czuł. Znajdowały się tam również i inne portrety, między innymi samego sir Penna, który wyglądał na bardziej pewnego siebie, jego żony wyglądającej na raczej dość delikatną i zdezorientowaną damę, a także pełnego życia i aroganckiego Jake'a. Na portrecie jego promienne błękitne oczy były równie

zdumiewające jak w rzeczywistości.

W Lyon Court były też piękne ogrody. Sir Penn zatrudniał kilku ogrodników, którzy mieli za zadanie dopilnować, by jego posiadłość przyćmiewała wszystko, co znajdowało się w promieniu wielu kilometrów. Symetryczne ścieżki wysypane były żwirem, a kwietniki wyjątkowo zadbane, choć nie mogły się poszczycić taką mnogością barw, jaką na pewno można tu było zobaczyć w pełni lata. W różanym ogrodzie wciąż kwitły róże, które szczególnie zainteresowały Honey. Przyznałam się sir Pennowi, że nasza babcia jest prawdziwym autorytetem, jeśli chodzi o róże i zioła.

— W okolicy mieszkała czarownica — wyznałam. — Moja babcia zaprzyjaźniła się z nią, a starucha przed śmiercią podała babci kilka przepisów.

— Czarownice! — wybuchnął sir Penn. — Powywieszałbym to diabelskie nasienie.

— To była dobra czarownica. Pomagała ludziom.

— Moja droga młoda damo, nie istnieje coś takiego jak dobra czarownica. Każda z nich jest przeklęta, a jej jedynym celem jest ściągnięcie nieszczęścia na innych. Gdyby jakakolwiek wiedźma pojawiła się w okolicy, słowo pani daje, że natychmiast powiesiłbym ją na suchej gałęzi.

— Wolałabym, by nie dotrzymywał pan tej obietnicy — powiedziałam, zastanawiając się, czemu nie potrafię poradzić sobie z Pennlyonami.

— Tylko proszę nie zaczynać wychwalać czarownic, moja droga. Wiele kobiet gorzko żałowało tego, że opowiedziało się po niewłaściwej stronie.

— Wierzę, że jedynym bezpiecznym sposobem jest opowiedzenie się po właściwej stronie, to znaczy, oczywiście, pańskiej — przyznałam.

Lecz ironia nie trafiała do sir Penna.

Pokazano nam rzeźby, zegary słoneczne, fontanny i fantazyjnie poprzycinane cisy. Sir Penn był wyjątkowo dumny ze swojego ogrodu.

Podczas tej wizyty Jake zaprosił nas wszystkich na pokład „Nieokiełznanego Lwa”. Chciałam odmówić, lecz było to niemożliwe, ponieważ Honey i Edward przyjęli zaproszenie.

\* \* \*

Kilka dni po tej wizycie wyjechałam na popołudniową przejażdżkę, a kiedy wróciłam, w stajni czekała na mnie Jennet.

— Och, panienko — powiedziała. — Stało się straszne nie szczęście. Pani upadła, zraniła się w nogę i chce, żeby panienka natychmiast do niej przyszła. Zaprowadzę panienkę do niej.

— Gdzie ona jest?

— Na pokładzie „Nieokiełznanego Lwa”.

— To niemożliwe.

— Ależ tak, panienko. Poszła tam z wizytą.

— A pan?

— Nie mógł jej towarzyszyć. Powiedział: „Idź sama, moja droga”, i pani poszła.

— Sama na „Nieokiełznanego Lwa”?

— No cóż, kapitan wystosował nieoczekiwane zaproszenie i czekał na nich.

— Ależ ja też miałam tam pójść.

— Postanowili wybrać się bez panienki. W rezultacie... pana dokądś wezwano, a pani poszła.

Nagle ogarnęła mnie złość. Jak Honey mogła pójść sama na statek, którym dowodzi taki człowiek?

— Potem potknęła się i zraniła w nogę, a kapitan przysłał



posłańca, żebym przyprowadziła panienkę bez zwłoki.

Zaczęłam zastanawiać się nad Honey. Nigdy do końca jej nie rozumiałam. Często wydawało mi się, że coś przede mną ukrywa. Czy to możliwe, by ten zarozumiały pirat jakimś cudem przypadł jej do gustu i zdołał ją nakłonić do zdradzenia Edwarda?

To niemożliwe. Choć może rzeczywiście jest sama na okręcie i przysyła po mnie, żebym pełniła rolę przyzwoitki?

To miało sens.

Przed oczyma stanęła mi delikatna i wrażliwa twarz Edwarda. Postanowiłam uchronić go przed poznaniem niemiłej prawdy.

— W takim razie idziemy, Jennet.

Odczuła wyraźną ulgę. Szybko, niemal biegiem pokonałyśmy podjazd, a potem ruszyłyśmy w stronę Hoe, gdzie czekała na nas maleńka łódeczka, gotowa zabrać nas na „Nieokiełznanego Lwa”. Gdy byłyśmy już na wodzie, spojrzałam w stronę lądu. Zobaczyłam wieżyczkę w Trewynd, w której często siadywałam i oglądałam żaglowce.

Jake Pennlyon stał na pokładzie. Najwyraźniej na nas czekał. Chwyciłam się mocno sznurkowej drabiny i zostałam wciągnięta prosto w jego ramiona.

Śmiał się.

— Wiedziałem, że pani przyjdzie — oznajmił.

Jeden z jego ludzi wciągnął Jennet.

— Lepiej będzie, jeśli zaprowadzi mnie pan do mojej siostry — powiedziałam.

— Proszę za mną. — Ujął mnie pod ramię, jakby miał zamiar oprowadzić mnie po pokładzie.

— Dlaczego przyszła tu bez Edwarda? — zapytałam. — Nie rozumiem tego.

— Chciała zobaczyć mój okręt.

— Powinna zaczekać, aż przyjdziemy tu wszyscy. Musimy zabrać ją na brzeg, co nie będzie łatwe, skoro jest ranna. Jak poważne odniosła obrażenia? O Boże, mam nadzieję, że to nie złamanie!

Poprowadził mnie schodami w górę i otworzył drzwi.

— To moja kajuta — wyjaśnił.

Była przestronna, jak na kajutę, tak przynajmniej mi się wydawało. Na tym, co marynarze nazywali przepierzeniem, wisiał gobelin. Były tam też regały z książkami i półki z instrumentami, a na stole stał obracający się globus, na którym przedstawiona została powierzchnia kuli ziemskiej. Na ścianie zauważyłam mosiężne astrolabium, kompas, klepsydry i coś, co przypominało wydłużony krzyż. Później dowiedziałam się, że jest to kusza.

Wszystko to zauważyłam jedynie kątem oka, rozglądając się za Honey.

Gdy zorientowałam się, że jej tam nie ma, poczułam nagły strach, zmieszany z podnieceniem i oczekiwaniem.

— Gdzie jest moja siostra? — spytałam.

Roześmiał się, zamknął drzwi i pochylił się w moją stronę.

— W swoim ogrodzie albo spiżarni... Zajmuje się tym, co stanowi radość i obowiązek każdej pani domu.

— W swoim ogrodzie?! Ależ podobno...

Wybuchnął gromkim śmiechem.

— Czyż nie obiecałem pani, że w ciągu tygodnia znajdzie się pani na pokładzie mojego okrętu?

— Powiedziano mi, że jest tu moja siostra.

— Ale pani wcale w to nie wierzyła, prawda?

— Ależ...

— Och, niechże pani da spokój. Miała pani ogromną ochotę przyjąć moje zaproszenie, prawda? A ja chciałem, by pani to zrobiła. Dlaczego zatem miałby nas martwić sposób,

w jaki doszło do tego szczęśliwego zakończenia?

— Ja się nie martwię — powiedziałam.

— A należałoby, jeśli rzeczywiście się to pani nie podoba, lub przynajmniej tak pani udaje.

— Sądzę, że pan oszalał.

— Szczyć się tym, że nigdy nie tracę zdrowego rozsądku.

— Chcę wyjść — oświadczyłam.

— A ja chcę, żeby pani została. Jestem kapitanem tego statku. Tutaj wszyscy podlegają moim rozkazom.

— Może to prawda w wypadku owych biednych ludzi, którzy panu służą i którzy są całkowicie zdani na pańską łaskę i niełaskę.

— Sądzi pani, że to pani nie dotyczy?

— Mam dosyć tego szaleństwa.

— A mnie zawsze będzie za mało.

Podszedł do mnie i wziął mnie w ramiona, całkowicie unieruchamiając moje ręce, tak że poczułam się jak w pułapce.

— Kapitanie Pennlyon, nie ma wątpliwości, że pan oszalał.

Czy zdaje pan sobie sprawę, że moja rodzina nigdy nie wybaczy panu tej zniewagi?

Roześmiał się. Zauważyłam, że oczy Jake'a w kącikach delikatnie się unoszą, brwi również, dzięki czemu jego twarz nabiera psotnego, a jednocześnie satanistycznego wyrazu. Próbowałam się uwolnić.

— Proszę mnie puścić! — zawołałam.

Usiłowałam kopnąć go w goleń, trzymał mnie jednak w taki sposób, że moje wysiłki poszły na marne. Przyszło mi na myśl, że obejmował tak wiele kobiet. Wyobraziłam sobie, jak ze swoimi ludźmi najeżdża odległe sioła i wioski, a potem w taki właśnie sposób traktuje pojmane kobiety.

— Nie zdoła mi pani uciec — zadrwił — więc nie ma nawet sensu próbować. Jest pani całkowicie zdana na moją łaskę.

— Czego pan ode mnie chce?

— Na pewno pani to wie.

— Jeśli moje przypuszczenia są słuszne...

— Zapewniam panią, że tak...

— Powiem coś panu. Uważam pańskie maniery za grubiańskie. Moim zdaniem jest pan prostakiem, w przeciwieństwie do...

— Wytwornych dżentelmenów, których miałem nieszczęście w przeszłości poznać. No cóż, moja droga, spotkała pani mężczyznę, któremu przypadła pani do gustu, i chociaż brak mu dobrych manier, uważa go pani za człowieka o nieodpartym uroku.

Potem puścił mnie i ujął w dłonie moją twarz. Odchylił do tyłu moją głowę i zaczął mnie całować... Jego wargi były ciepłe, wmawiałam sobie jednak, że budzą we mnie odrazę. Próbowałam zaprotestować, lecz było to całkiem bezużyteczne. Nie mogłam wyrwać się z jego żelaznego uchwytu.

Kiedy w końcu mnie puścił, drżałam — przypominałam sobie jednak, że owo drżenie jest wynikiem złości.

— Jak pan śmie zachowywać się w taki sposób... — zaprotestowałam. — Nigdy wcześniej...

— To oczywiste, że nigdy wcześniej nie była pani tak całowana. Ale niech się pani nie martwi. Nie było to ostatni raz.

Poczułam, że ogarnia mnie strach. Byłam sama. Zostałam oszukana. Co prawda na statku nie brakowało ludzi, lecz byli to jego niewolnicy.

Odczytał moje myśli.

— Podniecające, prawda? Jest pani zdana na moją łaskę. Bez mojej zgody nie uda się pani stąd wydostać.

Byłam w stanie jedynie powtarzać w kółko:

— Nie ośmieli się pan mnie tknąć.

— Teraz, kiedy wiem, że pragnie pani tego tak samo jak ja... Jestem jednak człowiekiem bezpośrednim, dlatego nigdy nie kryłem swoich pragnień, tymczasem pani oszukiwała mnie i udawała niechęć.

— Nigdy nie słyszałam takich bzdur! Jest pan wstrętnym, źle wychowanym korsarzem i serdecznie pana nienawidzę.

— Zbyt gwałtownie pani protestuje — zauważył.

— Czeka pana za to szubienica. Moja rodzina...

— O tak — przerwał — jest pani dziewczyną z dobrego domu. To również wzięliśmy pod uwagę.

— Kto wziął to pod uwagę?

— Mój ojciec i ja. Na pewno wie pani, dlaczego.

— Nie mam zamiaru rozmawiać z panem na ten niemiły temat.

— To fascynujący temat. Ojciec powiedział: „Pora, żebyś się ożenił, Jake. Potrzebujemy więcej Pennlyonów. Ta dziewczyna urodzi ci wspaniałe dzieciaki. Nadszedł czas, żebyś wziął ją do łóżka, lecz tym razem zrób to legalnie. Chcę mieć wnuki”.

— Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać tych obelg. Musi pan gdzie indziej rozejrzeć się za dziewczyną, która będzie rodzic panu wspaniałe dzieciaki.

— Po co, skoro już ją znalazłem?

— Sądzę, że konieczne by było uzyskanie jej zgody.

— To wcale nie będzie takie trudne.

— Czyżby wydawało się panu, że jest pan jednym z bóstw, które zeszyły z Olimpu?

— Tak mogą myśleć o mnie inni. Ja sam uważam się za

mężczyznę, który dokładnie wie, czego chce, i zazwyczaj udaje mu się to zdobyć.

— Ale nie zawsze — przypomniałam mu. — Nie ma pan cienia szansy, jeżeli pańskie pragnienia dotyczą mojej skromnej osoby.

— Na wszystko istnieją pewne sposoby. Chce pani, żebym je zaprezentował?

Jego twarz znajdowała się blisko mojej. Poczulałam potworny ucisk w gardle. Żałowałam, że serce bije mi tak głośno. Mogło zdradzić mój strach i każde inne uczucie, jakie ten człowiek we mnie wzbudzał.

— Jest pan odrażający. Jeżeli natychmiast mnie pan nie wypuści, obiecuję, że moja rodzina postawi pana przed sądem.

— Och, ta dobra rodzina — zadrwił. — Przecież, moja śliczna damo, w propozycji małżeństwa nie ma niczego obraźliwego.

— Jest, jeśli owa propozycja pada z pana strony.

— Proszę mnie zbytnio nie drażnić. Łatwo wpadam w gniew.

— Ja również.

— Wiedziałem, że stanowimy dobraną parę. Będziemy mieli wspaniałych chłopców. Zaczniemy... od razu. Przysięgę małżeńską złożymy sobie później.

— Powiedziałam już, że musi pan gdzie indziej poszukać dziewczyny, która będzie rodzić panu dzieci.

— Już ją znalazłem i zaklinam się na Boga, że urodzi mi pani synów.

— Proszę się odsunąć i otworzyć drzwi — zażądałam.

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że obieca pani wyjść za mnie za mąż... bezzwłocznie i

że nim odpłynę, będzie pani w ciąży.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Nie daję mi pani wyboru.

Milczałam, a on szorstkim ruchem ręki pchnął mnie na swoją koję. Patrzyłam przerażona, jak rozmyślnie zdejmuje kaftan. Poderwałam się na równe nogi. Zaczął się ze mnie śmiać.

— W końcu pani zrozumiała... mojaż ty cudowna dziewico.

Zakładam, że jest pani dziewicą. Tak, jest nią pani. Potrafię to rozpoznać. Jest to coś specjalnego w dziewczęcym spojrzeniu.

— Pan mnie obraża.

— Prawdę mówiąc, wyświadczam pani honor. Wybieram tylko te kobiety, które są mnie warte.

— A jeśli nie obiecuję wyjść za pana za żonę — spytałam — naprawdę ma pan zamiar wziąć mnie siłą jak jakąś... jakąś...?

Przytaknął.

— Zwykłą ulicznicę. Aczkolwiek niektóre z nich są całkiem miłymi damami. Nic nie da pani spoglądanie na mnie z tak ogromnym niedowierzaniem. Wie pani, że potrafię dotrzymać słowa. Czyż nie obiecałem, że w ciągu tygodnia znajdzie się pani na moim statku? Co pani na to? Mówiłem już pani, że marynarze nie mają czasu do stracenia.

— Proszę mnie stąd wypuścić. Oszukał mnie pan. Przy szłam tu tylko dlatego, że...

— Że pani tego chciała.

— To ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę.

— Nie wierzę. Znam panią lepiej, niż pani przypuszcza.

— Jennet powiedziała mi...

— Proszę nie zrzucać winy na tę dziewczynę. Ona po

prostu wie, kiedy należy słuchać poleceń innych.

— Jennet! — zawołałam. — Czy ona wie, że zostałam oszukana?

— Oszukana?! Moja droga, dałam pani wymówkę, pozwalającą pani tu przyjść. Poza tym nie należę do ludzi cierpliwych.

— Chcę stąd wyjść — oświadczyłam.

— Traktuję to jako pani odpowiedź — powiedział, wkładając kaftan.

Otworzył drzwi, po czym sprowadził mnie schodami w dół. Czekala tam Jennet.

Podeszłam do niej i warknęłam:

— Kłamałaś, Jennet. Powiedziałaś mi, że jest tu pani Ennis. Doskonale wiedziałaś, że to nieprawda.

— Panienko, ja... ja... — Zerknęła za mnie, na Jake'a Pennlyona.

— Ty dziwko! — zawołałam, wyobrażając sobie, jak on na nią patrzy i obejmuje ją.

Nie musiał składać jej żadnych obietnic, i bez nich była wystarczająco chętna. Znałam Jennet, poza tym, ku własnemu zaskoczeniu, wiedziałam już, jaką moc nad kobietami potrafi mieć ten człowiek.

Jake Pennlyon wybuchnął niskim, szyderyczym śmiechem.

— Proszę natychmiast odwieźć mnie na brzeg — zażądałam.

Schodząc po drabince, drżałam. Nie obejrzałam się wstecz.

\* \* \*

Kiedy płynęłyśmy w stronę brzegu, Jennet siedziała z opuszczoną głową. Zauważyłam, że trzęsą jej się ręce. Wyskoczywszy na brzeg, pędem ruszyłam w stronę Trewynd.



Gdy dotarłam do swojej komnaty, byłam tak zła, że musiałam wyładować na kimś swój gniew. Posłałam po Jennet.

Przyszła roztrzęsiona.

Dotychczas byłam bardzo łagodna dla służby — prawdę mówiąc, Honey bardziej dręczyła ludzi niż ja — nie mogłam jednak zapomnieć szyderczego spojrzenia tego mężczyzny, dlatego miałam ochotę wyrządzić komuś krzywdę. Zwłaszcza że zdradziła mnie dziewczyna, która miała być moją wierną pokojówką.

Odwrociłam się do niej i krzyknęłam:

— Lepiej będzie, moja panno, jeśli się wytłumaczysz!

Jennet zaczęła płakać. Potrząsnęłam ją za ramiona. Wtedy zaczęła się jękać.

— Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Ten dżentelmen bardzo mnie prosił... przemawiał do mnie jak...

— Jak? — zapytałam. — No jak?

— Bardzo dobrze się o mnie wyrażał, powiedział, że wyglądam na dobrą służącą...

— Pocałował cię i popieścił, choć dziewica nie powinna pozwalać na to żadnemu mężczyźnie.

Wyraźny rumieniec na jej twarzy powiedział mi, że tak właśnie było, więc uderzyłam ją, aczkolwiek mój cios wymierzony został nie w policzek Jennet, lecz w twarz tego mężczyzny. Serdecznie go nienawidziłam, ponieważ mnie oszukał i próbował potraktować tak samo jak moją pokojówkę.

— Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że pani Ennis jest na pokładzie „Nieokiełznanego Lwa”. Jesteś moją służącą, lecz zapomniałaś o tym tylko dlatego, że ten liberyn cię pocałował.

Jennet opadła na podłogę, ukryła twarz w dłoniach i

zaczęła głośno płakać. Nagle zza moich pleców dobiegł głos:

— Catharine, co ci się stało?

W drzwiach stała piękna i spokojna Honey. Nie odpowiedziałam, tymczasem moja siostra weszła w głąb komnaty i spojrzała na szlochającą Jennet.

— Co się stało, Catharine? Zawsze byłaś taka dobra dla służących.

Te słowa w jakiś sposób przypomniały mi matkę, przeto moja złość błyskawicznie opadła. Zrobiło mi się wstyd, że tak łatwo dałam się oszukać i że nie zdołałam zapanować nad własnym gniewem skierowanym przeciwko biednej i głupiutkiej Jennet.

— Możesz już iść — powiedziałam do swojej pokojówki.

Poderwała się i wybiegła.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytała Honey zdezorientowana.

— O tego mężczyznę. Pennlyona.

Opowiedziałam jej, co się stało. Roześmiała się.

— Powinnaś wiedzieć, że nie poszłabym sama na okręt. Jak mogłaś być taka głupia i pomyśleć, że naprawdę to zrobiłam?

— Byłam zaskoczona.

— Lecz uwierzyłaś! Sądzisz, że kapitan Pennlyon ma tak ogromny wpływ na wszystkie kobiety?

— Zdaniem Jennet jest mężczyzną nie do odparcia.

— Jennet za bardzo interesuje się mężczyznami. Padnie ofiarą pierwszego flirciarza, który stanie na jej drodze.

— A może już nią padła?

— Wcale nie byłabym tym zaskoczona. Musisz mieć bardzo wysokie mniemanie o uroku osobistym tego człowieka, skoro myślałaś, że poszłam odwiedzić go sama.

— Przepraszam, zachowałam się potwornie głupio. Mogę

mieć pretensje tylko do siebie.

— No cóż, na szczęście nie wyrządził ci żadnej krzywdy.

To powinno cię nauczyć, by w przyszłości bardziej na nie go uważać.

— Gdyby to tylko było możliwe, wolałabym nigdy w życiu go już nie spotkać. Natomiast Jennet doprowadza mnie do rozpacz. Przydałaby mi się inna pokojówka. Może Jennet lepiej by się spisała w kuchni.

— Jak chcesz. Weź Luce. To dziewczyna, która nie prowokuje mężczyzn i na pewno nie napędzi ci strachu.

— Nie wyjaśniłam ci jeszcze — dodałam — jak udało mi się uciec.

— No więc?

— Powiedział, że albo obiecuję wyjść za niego za mąż, albo weźmie mnie siłą.

— Trzeba przyznać, że wpakowałam się w niezłe towarzystwo — zadrwiła Honey.

— I to w twoim domu — przypomniałam jej.

— Z drugiej jednak strony, poznaliście się wcześniej, nim pojawił się tu po raz pierwszy. — Musiała zauważyć moje zaniepokojenie, ponieważ dodała łagodnie: — Nie przejmuj się!

Nie może zmusić cię do ślubu i na pewno nie odważy się wyrządzić ci krzywdy. W końcu ma do czynienia z córką sąsiada i osobą należącą do naszej rodziny. Sąd skazałby go na szubienicę. To była jedynie czcza gadanina.

— Podobno tę okolicę określa się mianem „krainy Pennlyonów”.

— Nie możesz wierzyć we wszystko, co się mówi. Widzisz, Edward też ma tu coś do powiedzenia. Nasza posiadłość jest większa niż ich, ponadto jesteśmy tu dłużej. Kimże oni właściwie są, jeśli nie ważniakami zza Tamar?

— Dodałaś mi nieco otuchy, Honey.

— Cieszę się. A teraz pozwól, że przekażę ci najnowszą wiadomość. Będę miała dziecko.

— Honey! — Podeszłam do niej i pocałowałam ją. — To cudownie! Widzę, że jesteś szczęśliwa. Zmieniłaś się. Otacza cię jakiś macierzyński spokój. Mama bardzo się ucieszy. Na pewno będzie chciała, żebyś rodziła u niej. Tak, na pewno cię do siebie ściągnie. Wtedy obie z babcią będą się nad tobą rozczulać. Nie uwierzą, że ktoś inny mógłby zapewnić ci należyłą opiekę. Czy Edward jest zadowolony?

— Tak, i tym razem nie chcę go zawieść. — Miała na myśli poronienie, które przytrafiło jej się w pierwszym roku małżeństwa.

— Musimy podjąć wszelkie środki ostrożności — oświadczyłam i podniecona myślą o dziecku, natychmiast zapomniałam o niemiłym incydencie, jaki rozegrał się na statku.

\* \* \*

Dość szybko mi o nim przypominano.

Tego dnia pojawił się Thomas Elders. Ilekroć przyjeżdżał, zostawał na noc, potem w dzień odprawiał w kaplicy mszę i często dopiero następnego ranka wyruszał do kolejnej rodziny.

Przybył nie jako ksiądz, lecz jako przyjaciel Edwarda i zjadł z nami kolację. Przy stole nie poruszano tematów związanych z religią. Nazajutrz odprawiona została msza. Uczestniczyli w niej ci spośród zaufanych służących, którzy mieli na to ochotę. Pozostali o niczym nie wiedzieli. Kaplicy nikt nigdy nie otwierał, w związku z tym również nikt nie wygłaszał żadnych komentarzy, gdy podczas mszy była

zamknięta.

Ja, oczywiście, nie brałam udziału w nabożeństwie, chociaż o nim wiedziałam, jednak obecność Thomasa Eldersa trochę mnie niepokoiła, gdyż wciąż doskonale pamiętałam przeszłość i obawy żywione przez matkę.

Rano wybrałam się na przejażdżkę. Oswoiłam się już z nowiną, że Honey jest w ciąży, dlatego wróciłam myślami do owych żenujących chwil spędzonych przeze mnie w kajucie kapitana „Nieokiełznanego Lwa”. Po powrocie zaprowadziłam Marigold do stajni. Odebrał ją ode mnie nasz nowy człowiek, Richard Rackell.

— Wydaje mi się, że poluzowała jej się podkowa, Richardzie — powiedziałam.

Przytaknął. Miał głęboko osadzone, wyraziste oczy i był całkiem przystojny. Skłonił się nisko. Ten gest spodobałby się nawet na dworze.

— Jak ci się wiedzie?

Odparł, że dobrze.

— Wiem, że nie jesteś przyzwyczajony do takiej pracy.

— Przyzwyczajam się, panienko — odparł.

Zaciekawił mnie. Było w nim coś tajemniczego. Przypomniałam sobie, że Jake Pennlyon dość podejrzliwie potraktował jego opowieść o tym, iż pochodzi z północy. W tym momencie zapomniałam o Richardzie Rackellu, ponieważ od nowa ogarnęła mnie złość na mężczyznę, o którym ani na chwilę nie mogłam zapomnieć.

Droga do domu wiodła obok kaplicy. Msza mogła jeszcze trwać lub niedawno się skończyła.

Nagle serce podskoczyło mi do gardła. Ku własnemu przerażeniu zobaczyłam, jak otwierają się wąskie drzwi prowadzące do pomieszczenia dla trędowatych i pojawia się w nich Jake Pennlyon. Przez głowę przemknęła mi tylko

jedna myśl: „Z tego pomieszczenia bez trudu można zajrzeć do kaplicy!” Przez sekundę lub dwie na jego twarzy widać było wściekłość, potem jednak na mój widok się rozpromienił, a jego oczy błysnęły intensywnie niebieskim ogniem.

— A więc jednak spotkaliśmy się, panienko — powiedział i podszedł do mnie.

Miał zamiar mnie objąć, lecz błyskawicznie się cofnęłam, a on nie zaprotestował, sugerując tym samym, że szanuje mój sprzeciw, choć spokojnie mógłby go zignorować.

— Co pan tu robi?

— Składałam wizytę swojej narzeczonej.

— A kto to taki...? Czyżby wpadła panu w oko Jennet, moja pokojówka?

— Rozpustna służąca nie może być moją narzeczoną. Osoba, którą postanowiłem w ten sposób uhonorować, właśnie stoi przede mną.

— Chyba chciał pan powiedzieć, że chodziło panu o dziewczynę, którą próbował pan zhańbić.

Odwrociłam się i ruszyłam przed siebie, lecz on w mgnieniu oka mnie dogonił.

Chwyił mnie za ramię tak, że aż mnie zabolalo.

— Posłuchaj — powiedział. — W tym domu jest mój ojciec. Szukałem cię. Ten człowiek dla uświetnienia naszych zaręczyn ma zamiar zorganizować wspaniałą uroczystość. Oczywiście, przekazałem mu, że przyjęłaś moje oświadczyzny. Ojciec pragnie szumnie to uczcić. Zaprosił połowę ludzi z sąsiedztwa.

— W takim razie — odparłam — będzie musiał wszystko odwołać.

— Niby dlaczego?

— Nie będzie żadnych zaręczyn. Jak miałyby się odbyć

bez zgody ewentualnej narzeczonej?

— Ależ ona już się zgodziła. — Patrzył na mnie szyderczo. — Czyżbyś tak szybko zapomniała o wizycie w mojej kajucie? Z pewnością nie przyszłabyś tam, gdybyśmy wcześniej nie doszli do porozumienia.

— Oszukał mnie pan.

— Chyba nie masz zamiaru od nowa zacząć mi wmawiać, że nie przyszłaś tam z ogromną chęcią? — Uniósł brwi, udając pełną szyderstwa powagę.

— Nienawidzę pana! — krzyknęłam.

— No cóż, to dobry początek — odparł.

Próbowałam uwolnić ramię, lecz on mnie nie puścił.

— Co proponujesz? — zapytał.

— Niech pan idzie do swojego ojca i powie mu, żeby bezzwłocznie odwołał zaproszenia.

— On tego nie robi.

— W takim razie musi pan znaleźć sobie inną narzeczoną.

— Znalazłem taką, która mi odpowiada. Jest tutaj.

Rozejrzałam się dookoła.

— Nikogo nie widzę.

— Czemu udajesz niechęć, skoro masz na to ogromną ochotę? Wcale nie musisz tego robić. Skończmy z tym zakłamaniem. Bądźmy wobec siebie szczerzy.

Przyciągnął mnie do siebie i ścisnął tak mocno, że niewiele brakowało, a połamałby mi kości. Wściekłość wzięła górę nad wszystkimi innymi uczuciami.

Kopnęłam go, lecz on jedynie się roześmiał. Trzymał mnie tylko po to, by pokazać, jak mizerne są moje wysiłki.

Próbowałam za pomocą słów osiągnąć to, czego nie udało mi się zdobyć siłą.

— Pańskie pirackie metody mogą przynosić efekty na morzu. Stosując je w domostwie dżentelmena, nic pan nie

wskóra.

— Ponownie jesteś w błędzie, mój dziki kotku. Dadzą mi to, czego pragnę, a w tym momencie pragnę ciebie. W normalnych warunkach już bym cię miał, lecz tym razem muszę załatwić wszystko legalnie. Nasi synowie będą pochodzić z prawego łóża, choć wcale nie jestem zachwycony tą zwłoką.

Jednakowoż najpierw musimy wziąć ślub, a potem pójdziemy do łóżka.

— Podejrzewam, że nawet pańska żona musi złożyć przysięgę z własnej woli. Jak ma pan zamiar to osiągnąć?

— Na wszystko są sposoby — odparł.

— Jeżeli spodziewa się pan po mnie posłuszeństwa, dokonał pan złego wyboru.

— Dokonałem wyboru, ponieważ byłem do tego zmuszony, a ty wcale nie będziesz mi się sprzeciwiać. Oblaskawię dzikiego kota tak, że będzie mruczał z radości.

— Pańska metafora jest nieudolna, jak wszystko, co pan robi.

— Posłuchaj — oświadczył. — Pójdiesz i porozmawiasz z moim ojcem. Będziesz się uśmiechać i powiesz mu, jak bardzo się cieszysz, że spotkał cię z naszej strony taki zaszczyt.

— Chyba pan żartuje.

— Mówię poważnie. Obiecasz mi to i, na Boga, dotrzymasz słowa.

— Zmusi mnie pan?

— Tak. Nie bądź głupia, Catharine. Kiepsko by z tobą było, gdybym powiedział, co widziałem z pomieszczenia dla trędowatych.

Odwrociłam się z pobladłą twarzą, a w jego oczach pojawił się triumf.



— Od dawna to podejrzewałem — wyjaśnił. — Wolałbym nie mówić, co by się stało, gdyby dowiedział się o tym mój ojciec.

— Nawet jeśli chodzi o jego przyszlą synową?

— Ty nie jesteś papistką. Dobrze to wiem. Gdybyś nią była, wybiłbym ci to z głowy.

— Będzie pan bardzo miłym mężem...

— A więc jednak zgodziłaś się zostać moją żoną.

— Nie pozwolił mi pan skończyć. Miałam zamiar powiedzieć: ...jakiejś biednej prostytutki, która na tyle da się omamić, że wyjdzie za pana za męża.

— To wcale nie będzie prostytutka, lecz bardzo mądra kobieta o imieniu Catharine. Nikt inny mi nie odpowiada.

Przyrzekłem sobie, że ją zdobędę, a ja nigdy nie rzucam słów na wiatr.

— A jeśli odmówię?

— Jak mogłabyś ściągnąć na ten dom nieszczęście?

— Nie byłby pan tak okrutny.

— Zrobię wszystko, by osiągnąć swój cel.

— Nienawidzę pana, choć nigdy nie przypuszczałam, że jestem zdolna do tego uczucia.

— Jestem wystarczająco szczęśliwy, gdy od czasu do czasu twoje oczy rzucają na mnie gromy. Odczekam tydzień lub coś koło tego... lecz nie więcej. A teraz chodź ze mną. Spotkasz się z moim ojcem. Będziesz się uśmiechać i zachowywać tak, jakby cieszyła cię myśl o tym małżeństwie.

— Jakim cudem mam się zdobyć na tak potworny fałsz?

— Albo zdobędziesz się na fałsz, albo zdradzisz ten dom.

— Czy to znaczy, że wyrządziłby im pan krzywdę?

— Oczywiście.

— Najpierw próbował mnie pan zgwałcić, teraz używa pan szantażu.

— To jedynie początek — wyznał ze śmiechem.

Zostałam pokonana. Wiedziałałam o tym. Jacy oni są głupi, że przyjmują w domu księdza! Czemu nie pomyśleli o zabezpieczeniu pomieszczenia dla trędowatych? Zamknęli drzwi do kaplicy, a zapomnieli o tych, do których dostęp mają wszyscy.

Idąc z nim, myślałam: „W takim razie jesteście parą narzeczonych... ale na tym koniec. Znajdę sposób, by się z tego wyplątać. Wrócę do matki. Honey mi w tym pomoże. W końcu to ona i Edward wpakowali mnie w te tarapaty”.

Sir Penn siedział rozparty w ogromnym krześle z rzeźbionym drewnianym oparciem. Zachichotał, widząc, jak wchodzi z Jakiem do sali paradnej. Nie było przy nim Honey ani Edwarda. Zastanawiałam się, czy wciąż są w kaplicy.

Sir Penn dźwignął się z krzesła i podszedł do mnie. Objął mnie i pocałował mocno w usta. Wiedziałałam, że będę miała sińce.

— No cóż — powiedział — mój syn nigdy nie traci czasu. Robisz dobry interes, dziewczyno. Mogę za niego raczyć.

Dźgnął syna łokciem pod żebra, a Jake się roześmiał.

— Nie musisz jej tego mówić, ojczu — oświadczył. — Ona wcale nie jest głupia.

Obaj wybuchnęli, moim zdaniem, nieprzyzwoitym śmiechem. Jake otoczył mnie ramieniem. Czułam, jak jego palce wbijają się w moje ciało.

— Ślub zorganizujemy zaraz po zaręczynach. Nie ma sensu czekać. Chcemy, żebyś jak najszybciej dała nam małych Pennlyonów.

Miałam ochotę zawołać: „Nigdy nie wyjdę za mąż za tego człowieka! Wolę spłonąć na stosie”. Aliści bałam się, co może nas spotkać, gdy ten bezwzględny człowiek dowie się o mszy odprawianej w kaplicy. Tylko dlatego pozwalałam im

zakładać, że przyjął oświadczenia Jake'a.

Nagle pojawiła się Honey — tym razem nie otaczał jej tak charakterystyczny dla niej spokój. Miała zarumienioną twarz i była wyraźnie zdenerwowana. Widocznie jeden ze służących doniósł jej, że przybyli panowie Pennlyonowie, uznała więc, że musi chronić przed tymi ludźmi Thomasa Eldersa.

— Dzień dobry. Serdecznie witam — powiedziała. — Widzę, że jest tu Catharine. Właśnie dowiedziałam się o waszym przyjeździe. Napiją się panowie wina? — Podeszła do dzwonka.

Wszedł Edward i przywitał się z gośćmi.

— Mamy radosną nowinę! — zawołał sir Penn. — Ci młodzi ludzie... cóż, nie tracili czasu. Po co mieliby tracić czas?

Zaręczyny uczymy uroczyste w Lyon Court, a zaraz potem zorganizujemy weselisko. Są trochę niecierpliwi i, prawdę mówiąc, wcale ich o to nie winie. Wcale.

Honey bacznie mi się przyjrzała. Czekala, aż zaprotestuję.

Otworzyłam usta, by powiedzieć, że to wszystko pomyłka i że nie mam zamiaru wychodzić za mąż, lecz w tym momencie przechwyciłam spojrzenie Jake'a — było w nim szyderstwo, ostrzeżenie, okrucieństwo i nieustępliwość. Zdradzi ich — pomyślałam. Nie będzie miał żadnych skrupułów. To człowiek bezlitosny.

Potem przypomniałam sobie zasłyszana przy jakiejś okazji opowieść matki o tym, jak uwielbiany przez nią ojciec został uwięziony w Tower i pewnego dnia poprowadzono go na szafot, a jego głowę zatknęto na London Bridge. Wiedziałam, że matka nigdy nie zdoła uciec od tamtych wspomnień, że rzuciły one cień na całe jej życie. Ja sama straciłam Careya i żywiłam przekonanie, że już nigdy nie

będę szczęśliwa. Gdybym zdradziła Honey, jakże mogłabym stanąć twarzą w twarz z matką lub wybaczyć sobie samej?

Nagle ogarnęła mnie radość. Przechytrzę człowieka, który tak niedawno pojawił się w moim życiu i całkiem je zdominował. Pozwolę mu uwierzyć, że wygrał, lecz nigdy mu się to nie uda. W tym momencie muszę się zgodzić na zaręczyny, gdyż w innym wypadku ściągnę nieszczęście na Honey i Edwarda. Lecz zwycięstwo Pennlyona będzie krótkotrwałe. Jeśli myślał, że tak łatwo się poddam, bardzo się pomylił.

Ujął moją dłoń i mocno ją trzymał. Był to sygnał ostrzegawczy. „Jeśli zechcę, mogę połamać ci palce i równie łatwo złamię twój opór”.

— Catharine — powiedziała Honey — czy rzeczywiście mogę wam pogratulować?

— To dobra pora na gratulacje — oświadczył Jake. — Chcemy jak najszybciej się pobrać.

Honey przytuliła się do mnie swoim pachnącym policzkiem, a potem wpatrzyła się we mnie pytająco.

— A więc się zdecydowałaś, Catharine? — zapytała. — Jeszcze nie tak dawno temu zaklinałaś się, że nigdy nie wyjdiesz za mąż.

— Mój syn ma w sobie coś takiego, co pozwala mu przełamać opór nawet najbardziej nieśmiałej panienki.

— Wygląda na to, że tak.

Wniesiono wino i ciastka.

Edward rozlał trunek i wznosił toast.

— Za zaręczoną parę!

Jake ujął swój kieliszek i upił z niego, a potem podał go mnie. Przez chwilę patrzyłam na jego pełne zmysłowe wargi, a potem delikatnie odwróciłam głowę. Wetknął mi kieliszek do ręki, więc z niego wypiałam.

Czułam się tak, jakbym przypieczętowała swoją obietnicę.

Zacząła się rozmowa na temat zaręczyn, które miały się odbyć w Lyon Court. Uroczystości weselne postanowiono zorganizować tutaj.

— Chciałabym wziąć ślub w domu mojej matki — zaprotestowałam.

— Co takiego? Na przeciwnym krańcu Anglii?! — zawołał Jake. — Marynarze nie mają czasu na takie luksusy. Jeżeli twoja matka chce zatańczyć na naszym weselu, musi przyjechać do Devon.

— Spróbuję to jakoś zaplanować — odparłam.

Zobaczyłam uśmiech pojawiający się na wargach Jake'a Pennlyona.

Nie słuchałam zbyt uważnie rozmowy. Sir Penn zadawał pytania dotyczące posiadłości mojego ojca. Edward odpowiadał na nie najlepiej, jak potrafił. Powinłam dostać dobry posag — zauważył sir Penn — ale nawet jego całkowity brak nie stanowiłby żadnej przeszkody w zawarciu tego małżeństwa.

— Niech ktoś spróbuje powstrzymać mojego syna, jeżeli już się na coś zdecyduje! Nic z tego. Ja zresztą też bym tego nie chciał, bo niby dlaczego? Jake jest bardzo do mnie podobny. Zobaczył młodą klaczkę, ma zamiar jej dosiąść i wcale nie chce z tym zwlekać. — Pochylił się w moją stronę. — Jest bardzo namiętny. Przekonasz się, że obca mu jest opieszałość. To najlepszy sposób na synów. Nie jesteś jedną z owych słabowitych niewiast, które mdleją na widok mężczyzny. Nie masz z nimi nic wspólnego. Od razu to zauważyłem. Jesteś dziewczyną, która urodzi nieustraszonych synów, sama bowiem jesteś bardzo odważna. Będiesz za nim szaleć, tak jak on szaleje za tobą, a to dobry sposób, by w krótkim czasie dorobić się wielu synów. Młodych

Pennlyonów.

Nienawidziłam tego człowieka w takim samym stopniu jak jego syna. Ich bezpośrednie i nieprzyzwoite uwagi wywoływały w mojej wyobraźni konkretne obrazy. Byłam dziewicą, jednakowoż wiedziałam coś niecoś o seksie. Pewnego razu natknęłam się w polu na parę spółkujących służących. Niejedno też słyszałam, dlatego przed oczyma pojawiały mi się i znikwały obrazy. Wyobrażałam sobie siebie i tego mężczyznę o pożądlwym, szyderczym spojrzeniu. Ilekroć znajdowałam się blisko niego, owe obrazy odżywały i bardzo mi przeszkadzały.

Prawie w ogóle nie słuchałam rozmowy. Dotyczyła ślubu, a przede wszystkim uroczystości zaręczynowej. Honey była zdeorientowana, a ja wcale się temu nie dziwiłam, gdyż jeszcze nie tak dawno oświadczyłam jej, że nie lubię tego człowieka. Z kolei Edward nigdy nie zdradzał swoich uczuć, więc nikt by nie zgadł, że widzi w tych zaręczynach coś niezwykłego. Miały się one odbyć w następnym tygodniu, a ślub w miesiąc później.

— Dzięki temu Jake będzie miał trochę czasu, by się pozalecać. — Chichot tego starca był okropny. Oczywiście miał na myśli wcześniejsze skonsumowanie małżeństwa. — A im szybciej będą mogli wylądować w łóżku, tym lepiej. Dwa miesiące po ślubie Jake wypływa w morze. Lecz tym razem nie będzie to długa wyprawa. Mój syn na pewno nie będzie chciał tułać się po świecie, gdy w łóżku będzie nań czekać młoda zoneczka.

Robiło mi się niedobrze. Chciałam krzyknąć, że nigdy się na to nie zgodzę. Udaję. Nie mam zamiaru wychodzić za mąż za tego człowieka. Jednakowoż milczałam, ponieważ ilekroć kuśiło mnie, by się odezwać, wyobrażałam sobie Honey i Edwarda w jakiejś ponurej celi, widziałam zrozpaczone oczy

matki. Już zbyt dużo w życiu wycierpiała.

Tak czy inaczej, oszukiwałam ich. Pozwoliłam, by ten arogancki mężczyzna myślał, że zdołał mnie ujarzmić. Nic nie było w stanie skłonić mnie do dzielenia z nim łoża i — jak określił jego ojciec — rodzenia mu dzieci, co wydawało się najbardziej zaprzątać umysły obu panów.

Miałam wrażenie, że mnóstwo czasu upłynęło, nim w końcu wyszli. Na pożegnanie i ojciec, i syn mocno mnie objęli. Nie podobało mi się, że przy tej okazji obaj niemal przywarli do mnie całym ciałem.

Gdy odjeżdżali, staliśmy na dziedzińcu.

Kiedy zniknęli nam z oczu, Honey odwróciła się do mnie.

— Co się stało, że tak nagle zmieniłaś zdanie?

— Nie możemy tu rozmawiać — odparłam.

Wróciliśmy do salonu.

— Tu też nie — powiedziałam.

Do salonu można było podejść od strony jadalni, ponadto między tymi pomieszczeniami nie było drzwi, oddzielała je jedynie wisząca w łukowatym przejściu kotara.

— Chodźmy do kaplicy — zaproponowałam. — Zamknijmy do niej drzwi, także te, które prowadzą do pomieszczenia dla trędowatych.

Kaplica wyglądała jak zwykle. Nie było ani śladu po tym, że niedawno odprawiano tu mszę!

Podeszłam do drzwi prowadzących do pomieszczenia dla trędowatych i zajrzałam przez nie do maleńkiego pokoiku.

— Teraz drzwi są już zamknięte — powiedziałam. — Jaka szkoda, że zostawiliście je otwarte, gdy Thomas Elders odprawiał tu mszę.

— O czym ty mówisz? — spytała Honey.

— Był tam Jake Pennlyon. — Ręką wskazałam pomieszczenie dla trędowatych. — Spotkałam go, gdy stąd

wychodził. Powiedział, że jeśli nie zgodzę się wyjść za niego za mąż, doniesie gdzie trzeba, że był tu Thomas Elders, wyjaśni również, w jakim celu ten człowiek do nas przyjechał.

— Mój Boże! — zawołał Edward.

Honey położyła rękę na jego ramieniu.

— Co się z nami stanie, Edwardzie?

Jego palce opiekuńczo zamknęły się na jej dłoni. Jak bardzo mąż mojej siostry różnił się od Jake'a Pennlyona! Czy muszę porównywać z nim każdego mężczyznę? Był łagodny, troskliwy, kochający i czuły.

— Nie wiem — odparł Edward. — To może być bardzo niebezpieczne.

— A zatem, pragnąc nas uratować, wyraziłaś zgodę.

— Sądzę, że tak.

— Catharine!

— Nie myślcie, że mam zamiar wyjść za niego za mąż. Dam sobie z nim radę.

Poczułam ogromną radość. Walka z Jakiem Pennlyonem sprawiała mi niewiarygodną przyjemność. Chciałam go pokonać, zadrwić z niego, wyszydzić go. Nigdy nie przypuszczałam, że można na kogoś tak żywo reagować. Oczywiście, niegdyś odczuwałam coś takiego w stosunku do Careya, ale to była wielka miłość, natomiast tu miałam do czynienia z nienawiścią.

— Musiałam udawać, bo inaczej by was zdradził. To nikczemny człowiek. Nie cierpię go, jego ojca również.

— Ależ, Catharine, wkrótce mają się odbyć wasze zaręczyny.

— Nie złożę żadnej przysięgi. Będę się bronić.

Honey dziwnie mi się przyjrzała. Potem odwróciła się do Edwarda i przywarła do niego.



— Nie bój się, kochanie — powiedział. — Niczego nie są w stanie nam udowodnić. W przyszłości powinniśmy być ostrożniejsi. Muszę ostrzec Thomasa. Jeżeli młody Pennlyon wie o wszystkim, może zastawić gdzieś na niego pułapkę.

Pomyślałam o swoim dziadku, który ściągnął na nasz dom nieszczęście, a wszystko tylko dlatego, że chciał pomóc przyjacielowi. Edward też by to zrobił. Tak bardzo był podobny do mojego dziadka... urodzonego po to, by zostać męczennikiem, co w naszych czasach stało się czymś okropnym.

Poszłam do swojej komnaty, a w chwilę później przyszła do mnie Honey.

— Och, Catharine, w co myśmy się wpakowali?

Wyglądała na kruchą i przerażoną, jej dłoń delikatnie wspierała się na brzuchu, jakby próbowała ochronić rozwijające się tam dziecko.

Doszłam do wniosku, że muszę jej bronić.

— Nie martw się — powiedziałam. — Przechytrzę tego aroganckiego Pennlyona...

Nagle jej nastrój całkowicie się zmienił.

— Posłuchaj, Catharine — powiedziała. — Nie widziałam cię tak ożywionej od...

Nie dokończyła, wiedziałam jednak, że chodzi jej o chwilę, kiedy dowiedziałam się, iż Carey jest dla mnie stracony. Miała rację. Od tego czasu nie byłam tak ożywiona.

\* \* \*

Nazajutrz Pennlyonowie wyjechali na kilka dni, by pozałatwiać sprawy związane z następnym rejsem. Przed wyjazdem Jake Pennlyon pojawił się w Trewynd. Widziałam, że nadjeżdża, poszłam więc do Honey i wymusiłam na niej

obietnicę, że ani na chwilę nie zostawi mnie z nim sam na sam.

Przyjęliśmy go w sali paradnej. Objął mnie w ten swój charakterystyczny sposób, który sprawiał, że miałam ochotę go od siebie odepchnąć, lecz on jedynie się śmiał, czując mój opór. Sądzę, że to mu odpowiadało. Był całkowicie pewien, że w końcu skłoni mnie do posłuszeństwa, a z pewnością poczuje większą satysfakcję, jeśli osiągnie to siłą. Był myśliwym, a jego zdobycz stanowiły kobiety.

Honey posłała po wino i we trójkę przeszliśmy do salonu.

— Mam dla ciebie złą wiadomość — oznajmił Jake Pennlyon. — Muszę cię opuścić. — Uśmiechnęłam się, a on ciągnął: — Nie rozpaczaj. Nie będzie mnie tylko przez kilka dni. Potem nadrobimy okres rozłąki.

— Nie chcę, by zaniedbywał pan swoje sprawy — oświadczyłam.

— Nigdy nie tracę czasu. Mogę cię zapewnić, że załatwię wszystko najszybciej, jak to tylko będzie możliwe, i już wkrótce do ciebie wrócę. Chciałbym pospacerować z tobą po ogrodzie i przedyskutować pewne sprawy.

— Dotrzymam wam towarzystwa — powiedziała Honey skromnie.

— Nie chcielibyśmy pani przeszkadzać, madame.

— Zrobię to z prawdziwą przyjemnością — odparła Honey.

Błysnął oczami.

— Nie potrzebujemy przyzwoitki.

— Lecz wymagają tego dobre obyczaje.

— Nie mam ochoty na takie ceregiele — oświadczył Jake Pennlyon. — Jesteśmy prostymi wieśniakami.

— Moja siostra musi postępować w sposób obowiązujący w naszej rodzinie — odparła Honey.

Uśmiechnęłam się do niej. Kochana Honey, była bardzo wdzięczna za ochranianie jej i Edwarda przed Pennlyonami.

— Pospacerujemy po ogrodzie — zaproponowałam — a ty będziesz mogła obserwować nas z okna.

Byłam zdumiona samą sobą. Naprawdę miałam ochotę stoczyć z nim walkę — lecz z bezpiecznej pozycji. Nie mogłam się oprzeć chęci powiedzenia mu, jak bardzo go nie lubię.

Oczy Jake'a rozjaśniły się. Zastanawiałam się, na ile dobrze mnie zna.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, powiedział:

— Udało nam się w końcu uciec przed tym smokiem.

— Honey wcale nie jest smokiem. Jedynie przestrzega pewnych zasad.

— To są idiotyczne zasady! — orzekł. — Jesteśmy prawie po ślubie. Wcale nie zależy mi na tym, by pobaraszkować z tobą w trawie, zmajstrować ci dziecko, a potem zwiąć.

— Co byłoby zgodne z dotychczasową praktyką.

— Mężczyźni często tak postępują. Ale wcale nie musisz być zazdrosna. Gdy już będziesz moja, będę zadowolony.

— Wątpię.

— W moje zadowolenie?

— Nie, w to pierwsze.

— Nie próbuj uchylać się od odpowiedzialności. Jeśli to zrobisz, ściągniesz nieszczęście na siebie i swoją rodzinę.

— Jest pan okrutnym i bezwzględny człowiekiem. Nie stroni pan od szantażu i gwałtu, a zatem ma pan wszystkie te cechy, którymi gardzą... dobrzy, uczciwi mężowie... i niewiasty.

— Jesteś w błędzie. Mężczyźni starają się mnie naśladować, a jeśli chodzi o kobiety, wiele z nich chętnie oddałoby dziesięć lat życia, byle znaleźć się na twoim

miejscu.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Widocznie są tak samo zarozumiałe jak pan.

— Dobrze mi z tobą — przyznał.

— Przykro mi z tego powodu.

— Tak — ciągnął. — Dobrze mi z tobą, a tobie dobrze ze mną.

— Nie jest pan zbyt spostrzegawczym człowiekiem. Nienawidzę pana.

— Nienawiść, którą mnie darzysz, jest bardzo bliska miłości.

— Jeszcze bardzo dużo będzie się pan musiał o mnie dowiedzieć.

— Mam na to całe życie.

— Niech pan nie będzie tego taki pewien.

— Co takiego? Próbujesz wycofać się ze złożonej przysięgi?

— Przysięgi...? Jakiej przysięgi? Zagroził mi pan, że mnie zgwałci, zaszantażował mnie, a teraz mówi pan o przysiędze?

Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił mnie twarzą do siebie. Wiedząc, że Honey jest w oknie, czułam się całkiem bezpieczna.

— Spójrz mi prosto w oczy — powiedział.

— Potrafię wyobrazić sobie miłszy widok.

Chwytał mnie za ramię tak mocno, że aż jęknęłam.

— Proszę pamiętać, że nie jestem przyzwyczajona do prze mocy. Robi mi pan sińce na ramieniu. Już poprzednio zostawił mi pan kilka.

— Po prostu cię oznakowałem. To dobrze. Patrz na mnie.

Spojrzałam wyniośle w jego gorejące błękitne oczy.

— Powiedz mi teraz, że jestem ci całkiem obojętny.

Zawahałam się. Widząc to, wybuchnął triumfalnym

śmiechem.

Szybko wyjaśniłam:

— Uważam, że jeśli gardzi się kimś tak bardzo jak ja panem, trudno uznać to za obojętność.

— To znaczy, że mną gardzisz? Jesteś tego pewna?

— Absolutnie.

— Lecz ta pogarda sprawia ci przyjemność. Odpowiedz zgodnie z prawdą. Na mój widok szybciej bije ci serce, a oczy błyszczą. Nie zdołasz mnie oszukać. Będę musiał nauczyć cię wielu rzeczy, mój ty dziki kotku. Jestem dobrym nauczycielem, sama się o tym przekonasz.

— Jak wiele kobiet przede mną.

— Nie powinnaś być o nie zazdrosna. Dla ciebie gotów jestem z nich zrezygnować.

— Proszę nie odmawiać sobie przyjemności. Niech pan idzie sobie, gdzie chce. Może pan uczyć inne, proszę jedynie zostawić mnie w spokoju.

— Mam zostawić w spokoju matkę moich synów?

— Jeszcze nie zostali poczęci.

— Zaiste, ta sprawa nie daje mi spokoju. Zwiejmy temu smokowi... zróbmy to od razu.

— Już wiem, co pan miał na myśli, mówiąc o nauce. Zapomniał pan, że nie jestem ladaczną z jakiejś tawerny ani dziewczką służebną. Chcąc wyrzeć wrażenie na dobrze wychowanej damie, powinien pan całkowicie zmienić swoje postępowanie.

— Oczywiście, nie obracałem się w takich kręgach jak ty.

Masz prawo udzielać mi instrukcji, jeśli chodzi o maniery, jakich ode mnie oczekujesz, i kto wie, może spróbuję dostosować się do twoich życzeń... jeżeli ty dostosujesz się do moich.

— Chcę wrócić do domu — oświadczyłam. — Mam już

dość tego spaceru.

— A co będzie, jeżeli zabiorę cię ze sobą?

— Moja siostra nie spuszcza nas z oczu. Jej mąż natychmiast przyszedłby mi na ratunek.

— Dlaczego miałbym się ich bać?

— Jeśli chce się pan ze mną ożenić, nie może pan stwarzać żadnych dwuznacznych sytuacji. Doszliby wówczas do wniosku, że jest pan nieodpowiednim kandydatem na męża.

— W tych okolicznościach...

— W każdych okolicznościach — odparłam. — W takiej jak nasza rodzinie niedyskrecja, o jakiej pan właśnie napomknął, oznaczałaby konieczność zemsty.

— Masz ostry język. Matko Boska! Można by pomyśleć, że będziesz straszną jędzą.

— I potwornie męczącą żoną.

— Owszem, ale tylko dla pewnego rodzaju mężczyzn. Dla mnie nie. Wycisnę na siłę jad z twojego języka i sprawię, że będzie ociekał miodem.

— Nie miałam pojęcia, że potrafi pan wymyślić takie określenia.

— Jeszcze nie poznałaś moich talentów.

— Na dzisiaj mam ich dosyć. Wracam do domu. — Chwycił mnie za rękę. — Jeśli się pobierzemy, będzie pan musiał nauczyć się traktować mnie nieco delikatniej. Niemal łamie mi pan palce.

— Kiedy się pobierzemy — powiedział — będę traktować cię tak, jak sobie na to zasłużysz. A jest to sprawa niedalekiej przyszłości.

Jednym szarpnięciem uwolniłam rękę i ruszyłam w stronę domu.

\* \* \*

Jeszcze tego popołudnia Pennlyonowie wyjechali.

— Zrobiło się wyjątkowo spokojnie — powiedziałam do Honey. — A wszystko dzięki świadomości, że nie ma ich w pobliżu.

— Co masz zamiar zrobić, Catharine? — spytała wyraźnie zaniepokojona. — Możesz wrócić do domu. Powiedzielibyśmy, że matka zachorowała. Właśnie teraz, pod ich nieobecność, jest najlepszy czas na ewentualny wyjazd.

— Tak — przyznałam — to najlepszy czas.

Potem zaczęłam się nad tym zastanawiać. Jeśli wyjadę, Jake podąży za mną. Lub, co gorsza, zdradzi Thomasa Eldersa. Wyobraziłam sobie, jak wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek gościli tegoż księdza, wzywani są przed trybunał.

Edward był bardzo bogaty. Często najbardziej cierpieli ci, którzy mieli dużo ziemi do skonfiskowania.

Powiedziałam o tym Honey. Zbladła. Wiedziała, że to prawda.

— Nie ucieknę — oświadczyłam. — Zostanę. Znajdę jakiś sposób. Przyrzekam, że go znajdę. Nie martw się. To może zaszkodzić dziecku.

W głębi duszy wiedziałam, że lubię potyczki z Jakiem Pennlyonem. Dostarczały mi, być może, nieco perwersyjnej przyjemności. Chwilami naprawdę się bałam, lecz był to strach, jaki często ogarnia dzieci — strach przed chochlikami i czarownicami z lasu, przerażający, lecz nie do odparcia.

Oświadczyłam przeto, że zostanę.

\* \* \*

Trzy dni po wyjeździe Pennlyonów siedziałam w swoim oknie i spoglądałam na Hoe, gdy zauważyłam idącą przez dziedziniec Jennet. Przemykała ukradkiem w kierunku stajni, ukrywając coś pod fartuszkami.

Teraz moją pokojówką była Luce — biedna, niezbyt urodziwa dziewczyna, mająca lewe ramię wyższe od prawego i pokrytą dziobami twarz. W jakiś sposób brakowało mi Jennet. Luce pracowała dobrze i była mi bardzo oddana. Jennet mnie zdradziła i to przez nią zaczęła się cała afera z Jakiem Pennlyonem, aczkolwiek przypuszczałam, że gdyby mu nie pomogła, i tak znalazłby jakiś inny sposób, który doprowadziłby go do celu. Jednakowoż Jennet ze swoją śliczną buzią, delikatnymi, zmysłowymi wargami i gęstymi, wiecznie rozczochranymi włosami była znacznie bardziej interesująca. Zastanawiałam się, jak daleko posunął się Jake Pennlyon w stosunku do mojej pokojówki. Byłam święcie przekonana, że nie należy do mężczyzn, którzy tracą czas na zalecanie się do służących.

Czemu Jennet idzie do stajni? Czyżby wybierała się na spotkanie z jakimś stajennym? Koniecznie chciałam się tego dowiedzieć, przeto chyłkiem wyślizgnęłam się z domu i bocznymi drzwiami wyszłam na dziedziniec.

Zbliżając się do stajni, usłyszałam głosy. Dość piskliwy Jennet i ciche szepty innych osób.

Otworzyłam drzwi. Siedzieli na słomie. Jennet rozłożyła obrus i położyła na nim kawałki pieczonego jagnięcia, baraniny i pół placka. Towarzyszył jej Richard Rackell i jakiś obcy mężczyzna.

Jennet poderwała się na równe nogi i krzyknęła przerażona. Richard wstał, to samo zrobił przybysz. Był nim ciemnowłosy mężczyzna, mogący mieć nieco ponad trzydzieści lat. Obaj uklonili się, podczas gdy Jennet stała z



zaokrąglonymi ze strachu oczyma.

— Co to ma znaczyć? — spytałam.

— Panienko... — zaczęła Jennet.

Lecz w tym momencie odezwał się Richard.

— Odwiedził nas wędrowny kramarz ze swoimi towarami, panienko. Ma za sobą długą podróż i jest bardzo głodny. Jennet przyniosła mu coś do jedzenia.

— Kramarz? — powtórzyłam. — Dlaczego w takim razie przyszedł do stajni?

— Był w drodze do domu, widziałem jednak, że jest bardzo znużony, przeto zaproponowałem mu, by chwilę odpoczął, nim pójdzie pokazać swoje towary.

Richard miał w sobie dużo godności, był interesującym człowiekiem. Tak czy inaczej pojawieniu się kramarza zawsze towarzyszyło wielkie podniecenie, tutaj znacznie większe niż w Abbey. Tam mieszkaliśmy blisko Londynu i zawsze mogliśmy wybrać się barką do Chepe, by kupić coś u bławatnika, koronkarza czy innego kupca.

Kramarz wysunął się do przodu i uklonił się.

— Ma na imię John, panienko — przedstawił mi go Richard. — Prosi o pobłażliwość.

Mężczyzna ów ponownie się uklonił.

— Czy on sam nie umie mówić?

— Umie, panienko — odezwał się John. Miał głos bardzo podobny do Richarda.

— Z daleka pan przyjechał?

— Z północy — odparł.

— Powinien pan pójść do kuchni. Tam by pana nakarmiono. Pokojówka wcale nie musiała kraść jedzenia i przynosić go tutaj.

— Proszę jej nie winić — powiedział Richard łagodnie. — ja ją o to prosiłem. John miał otarte stopy i usiadł na słomie,

by trochę odpocząć.

— No cóż, niech naje się do syta. A ty, Jennet, możesz przynieść mu trochę piwa do przeplukania gardła. Potem zaprowadź go do pralni. Niech tam rozpakuje swoje tobołki, żebyśmy mogli wszystko obejrzeć. Ja tymczasem powiem pani Ennis, że przyszedł kramarz, który chce zaprezentować nam swoje towary.

Znalazłszy Honey, opowiedziałam jej, co się stało. Tak samo jak ja chciała zobaczyć, co przywiózł ze sobą kramarz. Rozłożył zawartość swoich pakunków. Miał w nich jedwab na chusteczki do nosa, różne świece, małe szkatułki i grzebyki. Zobaczyłam piękny grzebień do wpinania we włosy i podtrzymywania ich tak wysoko, że mogły dodać około siedmiu centymetrów wzrostu.

Porwałam ów grzebyk i wetknęłam go we włosy. Honey uznała, że jest mi w nim do twarzy.

Zostawiłam ją zastanawiającą się nad towarem kramarza, ponieważ chciałam wypróbować grzebień. Wyobraziłam sobie, że zakładam go na uroczystość zaręczynową, z której jeszcze nie tak dawno temu miałam zamiar uciec.

Włożyłam rdzawą aksamitną suknię i wpięłam grzebień we włosy. Spodobał mi się. Chciałam pokazać go Honey, postanowiłam więc do niej pójść, jednak w ostatniej chwili wpadło mi do głowy, że może wciąż jeszcze ogląda towary kramarza. Wyrzawszy przez okno, zobaczyłam ją idącą z przybyszem. Spakował już swoje manatki. Szli zatopieni w jakiejś poważnej dyskusji. Moja siostra poprowadziła go przez dziedziniec, po czym razem weszli do domu — nie do kuchni, lecz tam, gdzie znajdowały się apartamenty Honey i Edwarda.

Było to bardzo dziwne. Zazwyczaj gdy pojawiali się kramarze, nie zapraszało się ich na komnaty. Prezentowali

swoje towary, dostawali coś do zjedzenia i mogli trochę odpocząć, a w tym czasie zabierano ich muła lub muły do stajni, gdzie karmiono je i pojono. Po pokazaniu zawartości tobołków pani domu każdy wędrowny kupiec demonstrował je służbie. Pojawienie się kramarza było niemal świętem, wszystkich ogarniało ogromne podniecenie, jednakowoż wszystko odbywało się poza domem.

Doszłam do wniosku, że może Honey znalazła w jego jukach coś, co chciała pokazać Edwardowi. Byłam ciekawa, co to takiego.

Weszłam do salonu, przypuszczając, że znajdę ich właśnie tam. Nie było ich. Rozsunęłam portierę i weszłam po kamiennych schodach do solarium. Było to przestronne pomieszczenie przedzielone w połowie długości kotarami, które po zaciągnięciu rozgraniczały tę przestrzeń na dwie niezależne części. Story były zaciągnięte, przeszłam więc do drugiego pomieszczenia. Nikogo w nim nie było. Potem nagle dobiegły do mnie czyjeś głosy. Domyśliłam się, gdzie są. Na końcu solarium znajdowały się drzwi prowadzące do maleńkiej komnaty, w której wysoko w ścianie umieszczony był wziernik — miał kształt gwiazdy i prawie nie było go widać. Przez niego można było spojrzeć w dół, do sali paradnej, i zobaczyć, kto przyjechał.

Drzwi tegoż pomieszczenia były zamknięte, a zbliżając się do nich, usłyszałam ciche głosy.

Muszą tam być.

— Honey! — zawołałam. — Jesteś tam?

Zapadła cisza. Po chwili usłyszałam głos Honey:

— Tak, tak, Catharine. Jesteśmy... tutaj.

Otworzyłam drzwi. Honey i Edward siedzieli przy stole.

Towarzyszył im kramarz.

— Właśnie mieliśmy przejrzeć towary kramarza —

wyjaśniła Honey. — Chciałam, żeby Edward coś zobaczył.

Powiedziałam, że chętnie zobaczę wszystko jeszcze raz. Wybrałam batyst na halkę, a Honey kupiła igły i nici.

Nic nie zainteresowało Edwarda, w związku z tym zastanawiałam się, czemu moja siostra wprowadziła kupca do domu.

Edward sprawiał wrażenie spiętego, dostrzegłam nawet na jego skroni uderzenia pulsu, czego nigdy wcześniej nie zauważyłam.

\* \* \*

Trzy dni po wizycie kramarza ponownie zobaczyłam galeon. Pennlyonów wciąż nie było, lecz w każdej chwili spodziewałam się ich powrotu. Tak jak poprzednio obudziłam się w środku nocy. Była trzecia. Zastanawiałam się, co wytrąciło mnie ze snu. Coś się działo. Przez sen dotarły do mnie jakieś niecodzienne dźwięki — a może jedynie mi się zdawało? Do mojej komnaty zaglądał ogromny, niemal okrągły księżyc. Gdy wstałam i podeszłam do okna, zobaczyłam galeon w całej okazałości — miał cztery maszty i zdecydowanie był to najwyższy i najbardziej majestatyczny żaglowiec, jaki kiedykolwiek widziałam.

„Nieokielznany Lew” całkiem przy nim zniknął i wzbudzał jedynie śmiech. Szkoda, że nie ma tu Jake’a. Koniecznie powinien zobaczyć ten statek! Z drugiej jednak strony wcale nie chciałam, by ten korsarz znajdował się przy mnie. Było to całkowicie sprzeczne z moimi intencjami, przeto roześmiałam się, rozbawiona własną reakcją.

Potem na posrebrzonej blaskiem księżyca wodzie dostrzegłam kołyszącą się łódź. Wyraźnie zmierzała do brzegu. Wiedziałam, że znajduje się w niej ktoś z galeonu.

Niemal słyszałam słowa Jake'a: „Na Boga, opisuje mi pani hiszpański galeon”.

Nie wierzył, że naprawdę widziałam żaglowiec, o którym mu opowiadałam. Nie dopuszczał do siebie myśli, że jakikolwiek hiszpański galeon odważyłby się wpłynąć do angielskiego portu.

Gdy obserwowałam to wszystko, łódka, tak samo jak poprzednio, nagle zniknęła. Tym razem nie wróciłam do łóżka. Siedziałam i patrzyłam.

Minęło pół godziny. Galeon wciąż kołysał się na wodzie. Potem nagle usłyszałam jakiś ruch. Spojrzałam w dół i zobaczyłam na dziedzińcu światło. Instykt podpowiadał mi, że to, co się tam dzieje, ma coś wspólnego z galeonem. Musiałam zaspokoić swoją ciekawość. Zrzuciłam szlafrok, włożyłam kapcie i ruszyłam schodami w dół, na dziedziniec.

Kiedy owionęło mnie chłodne nocne powietrze, usłyszałam głosy — właściwie ciche szepty. Zobaczyłam latarnię, a po chwili Edwarda i kogoś obcego. Wślizgnęłam się z powrotem do domu, czując, jak mocno bije mi serce. Chyżo pobiegłam do solarium i wyjrzałam w dół przez wziernik. Edward wszedł do sali paradnej, prowadząc ze sobą obcego mężczyznę. Ze względu na słabe światło nie widziałam ich zbyt dobrze. Byli zatopieni w poważnej rozmowie. Potem Edward poprowadził przybysza schodami w górę do salonu i już więcej ich nie widziałam.

Byłam zdezorientowana, wiedziałam jednak, że ktoś z hiszpańskiego galeonu przyplłynął na brzeg, by zobaczyć się z Edwardem.

Wróciłam do swojej komnaty. Galeon ruszył z miejsca. Stałam w oknie i obserwowałam, jak powoli znika za horyzontem.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie. Edward, delikatny

Edward, wplątał się w jakąś intrygę. Tyle było dla mnie jasne. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? Na razie przez jego powiązania z wędrownym kapłanem znalazłam się w paskudnej sytuacji i gdyby to nie było takie śmieszne, musiałabym zacząć się bać. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie będzie mi łatwo wyplątać się z sieci zarzuconej przez Pennlyonów.

Wróciłam do łóżka, lecz nie mogłam zasnąć. Zaczynałam się domyślać, co może oznaczać ta nocna wizyta.

Nie — powiedziałam sobie. Edward nie byłby takim głupcem. Jest zbyt łagodny, ponadto ma charakter marzyciela. Z drugiej jednak strony to właśnie tacy ludzie najczęściej sami pakują się w tarapaty.

\* \* \*

Nazajutrz rano ucięłam sobie z Honey pogawędkę.

— Co się stało dziś w nocy? — spytałam.

Najpierw się zarumieniła, a potem zbladła, dzięki czemu nabrałam pewności, że coś wie.

— Widziałam w porcie hiszpański galeon — ciągnęłam.

— Hiszpański galeon?! Musiało ci się przyśnić.

— Nie tym razem. Widziałam go i nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ktoś wysiadł na brzeg i przyszedł do tego domu.

— Naprawdę coś ci się przyśniło.

— Nie, Honey. Widziałam mężczyznę, który tu przyszedł.

Wciągnęliście mnie w swoją niebezpieczną grę. Czyż nie przez was znalazłam się w tej rozpaczliwej sytuacji? Chcę znać prawdę.

Przez chwilę spokojnie mi się przyglądała, a potem powiedziała:

— Zaczekaj chwilę.

Wróciła z Edwardem. Wyglądał bardzo poważnie, lecz mocno zaciskał wargi, jakby miał zamiar kontynuować to, co zostało już zaczęte.

— Honey powiedziała mi, że dziś w nocy byłaś świadkiem dziwnych wydarzeń. Co dokładnie widziałas?

— Stojący w zatoce hiszpański galeon, łódź płynącą do brzegu i ciebie wprowadzającego do domu jakiegoś mężczyznę.

— W związku z tym przypuszczasz, iż mężczyzna, którego widziałas, przyplął tym właśnie żaglowcem?

— Jestem tego pewna. Dlatego zastanawiam się, co się tu właściwie dzieje.

— Możemy ci zaufać, Catharine. Wiem, że jesteś wspaniałą przyjaciółką nas obojga.

— W co ty się pakujesz, Edwardzie? Kim jest mężczyzna, który przybył dziś w nocy?

— To ksiądz.

— Tak też myślałam. Czy nie wystarczy ci książy?

— To dobrzy ludzie prześladowani w imię Boga.

— I ściągający prześladowania na innych — mruknełam.

— Każdy z nas musi cierpieć za wiarę, jeśli przyjdzie na niego kolej.

— W obecnych czasach nie ma sensu stawać na środku placu targowego i opowiadać się po konkretnej stronie, zwłaszcza jeżeli nie jest to doktryna zalecana przez naszą władczynię i jej ministrów.

— Masz rację i prawo do tego, by wiedzieć, o co chodzi. Honey i ja uważamy, że powinnaś wrócić do Abbey. Tutaj może być niebezpiecznie.

— Wszędzie jest niebezpiecznie. Powiedz mi, kim jest mężczyzna, który był tu w nocy.

— To jezuita. Anglik. Był prześladowany z powodu swojej wiary. Przyplął z Salamanki w Hiszpanii.

— Dotarł tu tym galeonem?

Edward przytaknął.

— Będzie w Anglii pracował na rzecz swojej wiary. Ma zamiar odwiedzać domy...

— Jak Thomas Elders — dodałam.

— Na razie zamieszka u nas.

— Tym samym narażając nas na ogromne niebezpieczeństwo.

— Jeżeli taka będzie wola boża.

— Czy jest tu teraz?

— Opuścił dom wczesnym rankiem, nim wstała służba. Przyjedzie dzisiaj po południu. Powitam go jako przyjaciela i przez jakiś czas zostanie z nami, póki nie opracuje planów. Przedstawię go jako Johna Gregory'ego, przyjaciela z dawnych lat. Aż do wyjazdu będzie naszym domownikiem.

— To potworne zagrożenie dla nas wszystkich.

— Możliwe, lecz jeżeli będziemy dyskretni, nic nam nie grozi. Gdybyś chciała wrócić do Abbey, Catharine, zrób to.

— A jak zareagują na to Pennlyonowie? Co zrobią, gdy ich zlekceważę? Miałabym pojechać do domu w czasie, kiedy planują uroczyste zaręczyny? Myślisz, że się z tym pogodzą?

— Zrobią to, co uznają za konieczne.

— A co się wtedy stanie z Thomasem Eldersem, twoim jezuitą, Honey i tobą samym?

— Musimy sami zatroszczyć się o siebie. To, co się tutaj dzieje, nie jest twoją sprawą.

Honey poważnie mi się przyglądała.

— Nie pozwolimy ci wyjść za Jake'a Pennlyona, jeżeli naprawdę jesteś temu tak bardzo przeciwna.

— Jeżeli naprawdę jestem temu tak bardzo przeciwna?!



Nienawidzę tego człowieka. Jakże miałabym zatem się na to zgodzić?

— W takim razie powinniśmy coś wymyślić, a najlepszym rozwiązaniem wydaje się twój wyjazd. Jak powiedział Edward, jeśli będą chcieli robić jakieś trudności, niech je robią.

Nie odpowiedziałam. Postanowiłam, iż nie wrócę do Abbey. Nie chciałam, by Jake Pennlyon myślał, że uciekłam. Zostanę i stawię mu czoło — przechytrzę go na swój własny sposób.

Tymczasem Edward i Honey tkwili po uszy w koszmarnej intrydze i poważnie się o nich bałam.

\* \* \*

Tego popołudnia przyjechał do nas John Gregory. Został przywitany przez Edwarda jako stary przyjaciel i dostał do dyspozycji czerwoną sypialnię z ogromnym łóżem z baldachimem. Z okna tej komnaty rozpościerał się widok w głąb łądu.

Przybysz lekko utykał, a na lewym policzku i nadgarstkach miał blizny. Był wysoki, lekko przygarbiony, a w jego oczach czaiła się jakaś udreka, której nie mogłam zapomnieć. Sprawiał wrażenie człowieka, który dużo wycierpiał. Doszłam do wniosku, że jest fanatykiem gotowym na następne cierpienia. Przy takich ludziach czułam się nieswojo.

Mogło się wydawać, że służący przyjęli do wiadomości wyjaśnienia dotyczące jego wizyty. Bacznie się im przyglądałam, by sprawdzić, czy czegoś nie podejrzewają, brakowało mi jednak Jennet, która dzięki swemu niepoprawnemu gadulstwu częstokroć zdradzała mi, co się

mówi w kwaterach dla służby. Luce była pracowita, lecz małomówna. Postanowiłam więc przywrócić Jennet do pracy. Była pełna skruchy. Z kolei ja sama zaczynałam wątpić w swoje motywy i nie miałam pewności, czy jej widok działa mi na nerwy z tego powodu, iż mnie zdradziła, czy też dlatego, że bez przerwy wyobrażałam sobie, jak Jake Pennlyon ją obmacuje. Zastanawiałam się, czy zdążył ją już uwieść.

Tak czy inaczej, w dzień po przyjeździe Johna Gregory'ego z powrotem została moją pokojówką.

Zrobiłam jej niewielki wykład.

— Masz służyć mnie, Jennet — przypomniałam jej. — Jeżeli jeszcze raz mnie okłamiesz, każę cię obić.

— Tak, panienko — przytaknęła skromnie.

— Muszę cię również przestrzec, żebyś nie słuchała bajek opowiadanych przez mężczyzn. Zmajstrują ci dziecko i co się z tobą wtedy stanie?

Potwornie się zarumieniła, a ja powiedziałam:

— Zapamiętaj to.

Nie potrafiłam zapytać jej o to, co zaszło między nią a Jakiem Pennlyonem, ponieważ, moim zdaniem, świadczyłoby to o braku godności — aczkolwiek bardzo chciałam to wiedzieć.

Minął następny dzień. Wiedziałam, że powrót Pennlyonów jest bliski. Okres wytchnienia dobiegał końca.

\* \* \*

Pennlyonowie wrócili. Wszyscy natychmiast odczuli to na własnej skórze. Nawet służba była podniecona, a napięcie w Trewynd wzrosło. Od powrotu obu panów obecność Johna Gregory'ego w naszym domu stała się bardziej

niebezpieczna.

Wkrótce przyjechał Jake. Czekałam na niego i byłam przygotowana. Powiedziałam Honey, że pod żadnym pozorem nie może zostawić nas samych.

Usiadł w sali paradnej i pił wino. Edward, Honey i ja wpatrywaliśmy się w niego z natężeniem. Wydawał się wyższy, bardziej władczy, bardziej arogancki i pewien, że jest w stanie osiągnąć to, czego pragnie. Czułam wzbierającą we mnie nienawiść i szalone podniecenie.

— Uroczyste zaręczyny odbędą się za trzy dni — oznajmił.

— To za wcześnie — odparłam.

— Za późno — poprawił mnie.

— Muszę się przygotować.

— Mogłaś się przygotowywać, gdy mnie nic było. Teraz nie ma już na to czasu.

A więc już mi rozkazywał.

— Ślub odbędzie się w dwa tygodnie po zaręczynach — oświadczył autorytatywnie. — A w miesiąc później wypływam w morze.

— Dokąd tym razem zawieją pana wiatry? — zapytał Edward uprzejmie.

— Zawozimy tkaniny do Gwinei i mamy nadzieję, że wrócimy ze złotem i kością słoniową. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, to nie będzie długi rejs. — Uśmiechnął się do mnie lubieżnie. — Będę tęsknił za swoją żoneczką.

Edward powiedział, że życzy mu dobrych wiatrów, i przez chwilę rozmawiali o życiu marynarza. Oczywiście Jake'a lśniły. Mówił o morzu z taką samą żarliwością jak o naszym małżeństwie. Ocean fascynował go swoją dzikością i nieprzewidywalnością, często musiał go pokonywać, wykorzystując w tym celu wszystkie swoje umiejętności. Był

człowiekiem, który musiał walczyć. Odczuwał palącą konieczność nieustannego ujarzmiania. Małżeństwo z nim musiałyby być ciągłą walką, ponieważ po odniesieniu zwycięstwa natychmiast przestałyby się nim interesować. Choć czemu w ogóle się nad tym zastanawiam? Żoną Jake'a zostanie jakaś inna nieszczęsna niewiasta. Miałam zamiar rozegrać niebezpieczną grę, podobną do tych, które on prowadził podczas swoich rejsów. Może w pewnym sensie byliśmy do siebie podobni, gdyż w końcu musiałam przyznać, że walka sprawia mi prawdziwą przyjemność.

Wszyscy wyszliśmy z nim na dziedziniec. Kiedy żegnaliśmy się, w bocznych drzwiach pojawił się John Gregory. Nie pozostało nam nic innego jak przedstawić sobie obu panów.

Oczy Jake'a błysnęły...

— Spotkaliśmy się wcześniej — oświadczył.

John Gregory wyglądał na zdumionego.

— Nie przypominam sobie, sir — odparł.

Jake przymrużył oczy, jakby próbował zobaczyć coś, co zamazało się w jego pamięci.

— Jestem tego pewien — obstawał przy swoim. — Nigdy nie zapominam twarzy.

— Może był pan kiedyś na północy kraju? — zapytał Edward.

— Nigdy — odparł Jake. — Dojdę do tego. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.

John Gregory zmarszczył czoło, uśmiechnął się, jakby próbował wydobyć coś z pamięci, odniosłam jednak wrażenie, że dzięki tym staraniom jedynie wyraźniej widać bliznę na jego policzku.

— Ucieszyłem się na widok starego przyjaciela — powiedział ciepło Edward. — Postanowił zatrzymać się u nas

na tydzień lub trochę dłużej.

Jake popatrzył na mnie, całkowicie zapominając o Johnie Gregorym.

— Mamy nadzieję, że pojawisz się w Pennlyon nieco wcześniej. Nie możemy dopuścić do tego, by narzeczona się spóźniła.

Mogłoby się wtedy wydawać, że jest niechętna.

Ujął moją dłoń i pocałował ją. Wydawało mi się, że jego wargi palą moją skórę. Wytarłam rękę o suknię. Rozbawił go ten gest.

Potem odjechał.

Gdy weszliśmy do domu, Edward odwrócił się do Johna Gregory'ego:

— Co ten człowiek miał na myśli, mówiąc, że cię zna?

— Jest po prostu podejrzliwy — rzekła Honey, lekko przez straszona.

— Nigdy wcześniej go nie spotkałeś? — zapytał Edward.

John Gregory przez chwilę marszczył czoło, a potem zdecydowanie odparł:

— Nigdy.

\* \* \*

Na przyjęcie zaręczynowe ubrałam się z niezwykłą starannością. Chciałam wyglądać najpiękniej, jak to tylko możliwe. Wmawiałam sobie, że robię to tylko dlatego, by bardziej się rozzłościł, gdy się zorientuje, że mnie stracił.

A co będzie po zaręczynach? Co powinnam zrobić? Jedynym rozwiązaniem był powrót do matki, do Abbey. Czy Jake pojedzie za mną? Wkrótce musi wyruszyć w rejs, więc jakże mógłby mnie ścigać?

Czy zdradzi Honey i Edwarda? Na pewno musiałby

dowieść, że Thomas Elders odprawiał mszę w kaplicy. Lecz ludzie królowej mogą pojmać i torturować Eldersa. Kto wie, co wtedy wypłynęłoby na światło dzienne? A co z Johnem Gregorym? Jeszcze przed moim wyjazdem będzie musiał opuścić dom. Oczywiście, nie mam innego wyjścia. Na pewno nie mogę zmarnować sobie całego życia tylko dlatego, że moja siostra i jej mąż wpakowali się w kłopoty.

Jednak na razie czekał mnie zaręczynowy bal połączony z bankietem. Miałam zamiar bawić się na nim tak dobrze, jak to tylko możliwe.

Jennet pomogła mi się ubrać. Była w tym lepsza niż Luce. Szczotkowała mi włosy aż do połysku, co chwilę zerkając w polerowane lustro. Miała zaróżowione policzki, a jej gęste, niesforne włosy wysunęły się spod czepka. Nie była piękną, niemniej wszystkim się podobała — wyraźnie to widziałam. Dostrzegłam na jej twarzy jakąś dziwną łagodność i tęsknotę. Doszłam do wniosku, że pora wydać ją za mąż.

— Lubisz Richarda Rackella, Jennet? — spytałam.

Zarumieniała się — zawsze przychodziło jej to bardzo łatwo — i spuściła oczy.

— Tak — uznałam. — Nie masz się czego wstydzić. Jeśli ty też mu się podobasz, może wyprawimy wam weselisko. Pan pewnie ofiarowałby wam jedną z chat i oboje moglibyście nadal tu pracować. Odpowiadałoby ci to?

— Tak, panienko.

— Powinnaś wkrótce... wyjść za mąż. Jestem tego pewna.

Za bardzo interesują cię mężczyźni, Jennet, przynajmniej tak mi się wydaje.

— O nie, panienko. Tylko...

— Tylko jeśli któryś z nich cię obejmie i powie, że jesteś ładna, nie potrafisz mu odmówić. — Zachichotała. — Ty

idiotko! Ciagniesz mnie za włosy!

Chciałam ją zapytać: „Jak to było, gdy Jake Pennlyon cię całował? Tylko nie próbuj mi wmawiać, że na tym się skończyło”. Mimo to milczałam.

Nadal szcztokowała mi włosy. Ciekawe, czy myślała o Jake’u, czy Richardzie Rackellu.

Przyszło mi na myśl, że mogę zaczesać włosy na czubek głowy i spiąć je grzebieniem, który kupiłam od kramarza.

— Modne są teraz kędziory, panienko. Mogę je panience zrobić — zaproponowała Jennet.

— Mam zamiar zachować swój styl. Nie chcę wyglądać jak każda inna modnisią czy hołdująca modzie dziewczyna służebna.

Jennet zrezygnowana ułożyła mi fryzurę. Włożyłam czerwoną aksamitną suknię z głębokim dekoltem i szerokimi rękawami, których rozcięte boczne końce spływały niemal do samej ziemi. Zaiste, nie był to ostatni krzyk mody, ale bardzo dobrze się w tej kreacji prezentowałam, a z grzebieniem we włosach wyglądałam iście po królewsku. Doszłam do wniosku, że potrzebuję dostojęstwa, by odwrócić uwagę od swojego niedosłego narzeczonego.

Jennet patrzyła na mnie zaokrąglonymi oczyma.

— Ślicznie panią wygląda... za ślicznie, jak na kobietę z krwi i kości.

— Zapewniam cię, Jennet, że jestem kobietą z krwi i kości — odparłam ze śmiechem.

Spuściła oczy i zachichotała. Ostro się do niej odezwałam. Wiedziała, że wciąż żywię do niej urazę o to, iż stanęła po stronie Jake’a Pennlyona. W jej spojrzeniu było coś wymownego. Zastanawiałam się, czy Jennet, jako kobieta urodzona po to, by sprawiać mężczyznom przyjemność, rozumie prawdziwą naturę moich uczuć, gdyż tym razem —

niezależnie od tego, jak bardzo starałam się udawać obojętność — byłam podekscytowana i nie przeszkadzała mi w tym nawet odczuwana do niego nienawiść.

W tym momencie pojawiła się Honey. W jej obecności natychmiast poczułam się jak ktoś, kto w ogóle się nie liczy. Ale tak się czuł każdy, widząc oszałamiającą urodę Honey. Miała na sobie błękitną suknię. Był to ciemny, niemal fiołkowy błękit, taki sam jak jej oczy, co jedynie dodatkowo podkreślało ich blask. Odkąd moja siostra była w ciąży, jej uroda nieco się zmieniła, lecz wcale nie zmalała.

Honey rozpuściła włosy i wpięła w nie perły.

Uścisnęła moją dłoń i spojrzała na mnie zaniepokojona.

— Wszystko w porządku, Honey — uspokoiłam ją.

— Wyglądasz wspaniale.

Przejrzałam się w polerowanym lustrze.

— Jak jedna z walkirii szykująca się do walki?

— Tak — przyznała. — Dokładnie.

Do Pennlyonów postanowiliśmy pojechać powozem. Powóz Edwarda był powodem nieustannych zachwytów, gdyż niewiele osób miało takowy pojazd. Większość naszych sąsiadów przemieszczała się na końskich grzbietach lub na piechotę. Jazda w zaprzężonym w parę koni powozie nie należała wcale do najwygodniejszych. Ludzie w Devon nigdy wcześniej nie widzieli takiego cudu techniki, mieliśmy jednak na sobie eleganckie stroje, był to zatem najodpowiedniejszy środek lokomocji. Inaczej musielibyśmy zabrać ze sobą jednego muła, pojechać konno i na miejscu się przebrać.

Kiedy podskakiwaliśmy na kamienistej drodze, szepnęłam do Honey:

— Bacznie mnie dziś obserwuj.

— Dobrze — odparła Honey żarliwie. — Edward i ja nie



spuścimy z ciebie oczu.

— Będę znajdować się w jego domu. To da mu przewagę i on na pewno ją wykorzysta, możesz być tego pewna.

— Chcesz go przechytryć.

— Tak, Honey, a potem mam zamiar wrócić do domu.

— Rozmawiałam na ten temat z Edwardem. Uważa my, że to najlepsze rozwiązanie. John Gregory nas opuści i wówczas będziemy bezpieczni. Pennlyon niczego nie zdoła dowieść. Edward jest wpływowym człowiekiem. Poradzimy sobie. Nie możesz wychodzić za mąż tylko po to, by nas uratować.

— Jednakowoż dzisiejszego wieczoru będę stwarzać wszelkie pozory. Uzna, że wygrał tę bitwę. Pozwolę mu w to wierzyć, gdyż dzięki temu przeżyje większy szok, gdy spotka go porażka.

— Widzę, Catharine, że sprawia ci to przyjemność. Co cię naszło? Niegdyś byłaś całkiem inna.

— Wszystko przez tego człowieka. Wzbudza we mnie takie uczucia, że prawie nie poznaję samej siebie.

— Uważaj, Catharine.

— Będę postępować z największą ostrożnością, by mu do wieść, jak bardzo nim gardzę i że nigdy nie zdoła mnie sobie podporządkować.

Powóz toczył się do przodu. Edward powoził końmi, a Honey i ja siedziałyśmy z tyłu. Wkrótce dotarliśmy do podjazdu, który prowadził do Lyon Court. Przez jakiś czas jechaliśmy aleją wysadzaną wiązami, a potem znaleźliśmy się pod domem. Płonące na werandzie latarnie rzucały nikły blask na wykonane z szarego kamienia lwy, które w świetle księżycy sprawiały wrażenie niezwykłych.

Z domu wybiegli służący. Byli to stajenni, którzy zabrali nasze konie. Nie mogli nadziwić się powozowi.

Sala paradna oświetlona setką płonących w lichtarzach

świec prezentowała się wspaniale. Na jej końcu, w ogromnym kominku, palił się ogień, chociaż mieliśmy dopiero wrzesień i wcale nie było zimno. Na gości czekał nakryty długi stół, a na podwyższeniu znajdował się drugi, znacznie mniejszy. Na specjalnym balkoniku dla minstrelki grali skrzypkowie.

Sir Penn chwycił mnie w ramiona i mocno przytulił do siebie. Manifestacyjnie mnie pocałował, po czym wybuchnął nad moją głową śmiechem, jakby drażnił się z Jakiem. Potem znalazłam się w objęciach Jake'a. Próbowałam się odsunąć, lecz bez skutku. Trzymał mnie pewnie i całował.

Sir Penn się śmiał.

— Daj spokój, Jake — powiedział. — Będziesz miał na to czas później.

Szturchnął Edwarda w żebra, na co mój szwagier blado się uśmiechnął. Okropne maniery prezentowane przez obu panów musiały bardzo go drażnić.

Jake objął mnie ramieniem i obrócił.

— Będziesz stać obok mnie i witać gości.

Powoli zaczęli się zjeżdżać najbliżsi sąsiedzi. Gratulowali nam. Czułam się z tego powodu potwornie zażenowana i z prawdziwą radością zasiadłam w końcu do suto zastawionego stołu, który ugiął się pod ogromnymi plackami i kawałami mięsa. Podano dziczyznę, ptactwo, ciastka, marcepany, głowy cukru, pierniki i wszelkie inne potrawy.

Jake Pennlyon bacznie mnie obserwował. Najwyraźniej sądził, że jestem oszołomiona ilością podanego jadła. Czułam się tak, jakby mnie kusił. „Zobacz, jak żyjemy! Spójrz tylko na nasz wspaniały dom! Wyobraź sobie, że wkrótce w nim zamieszkas. Zostaniesz jego panią — lecz zawsze będziesz musiała pamiętać, kto tu rządzi”.

Patrzyłam w inną stronę, nie chcąc, by się zorientował, że

naprawdę jestem pod wrażeniem. Położył dłoń na moim udzie. Poczułam żar płynący z jego wścibskich palców. Uniosłam jego rękę i odsunęłam ją od siebie.

— Jest pan zbyt obcesowy — wyjaśniłam. — Nie życzę sobie, by zostawiał pan na moim ciele sińce.

— Przecież ci już mówiłem, iż w ten sposób cię znakuję.

— Mógł mi pan to mówić, ale ja sobie tego nie życzę.

— I pewnie liczysz na to, że dostosuję się do twojej prośby?

— Tak zazwyczaj postępuje się podczas zalotów.

— Lecz my mamy już zaloty za sobą. Zostałaś pokonana.

— Wcale nie.

— Daj spokój, Cat, to nasza uroczystość ślubna.

— Tylko moja matka mówi do mnie „Cat”, i ona jedna ma do tego prawo. Nie życzę sobie, by ktokolwiek inny zwracał się do mnie w taki sposób.

— Będę nazywał cię, jak zechcę. Jesteś dla mnie Cat. Na razie drapiesz, lecz wkrótce będziesz mruczała w moich ramionach.

— Na pańskim miejscu wcale bym na to nie liczyła.

— Na szczęście nie jesteś na moim miejscu. Ależ z ciebie nieżnośna osóbka!

— Cieszę się, że doprowadzam pana do rozpacz, ponieważ dokładnie to samo mogę powiedzieć o efekcie, jaki pan wywiera na mnie.

— To jedynie dodaje smaczku łączącej nas namiętności.

— Nie odczuwam żadnej namiętności.

— W takim razie oszukujesz samą siebie. Skosztuj tej małmazji. Wprawi cię w łagodniejszy nastrój, poza tym spójrz, my też mamy weneckie szkło. Potrafimy być tak samo wykwinтни jak nasi sąsiedzi.

— Prawdziwa wytworność nie ma nic wspólnego ze

szkłem.

Liczą się dobre maniery.

— Uważasz, że mi ich brak?

— Z prawdziwym ubolewaniem stwierdzam, że tak.

— Zapewniam, że niczego więcej mi nie brakuje.

W Abbey bywało czasami bardzo dużo jedzenia, nigdy jednak nie podawano go w taki sposób. Ci ludzie oddawali jadłu specjalną cześć. Przed mistrzem ceremonii, który wnosił głowę dzika, szedł lokaj, który pocałował stół, nim położono na nim tacę. Sam mistrz, po starannym ustawieniu tejże potrawy, nisko jej się uklonił. Jeden z podkuchennych dostał nawet w ucho za to, że stał tyłem do dania. Gdy wniesiono proszę, z balkonika zaczęły płynąć dźwięki muzyki, a jeden z lokajów szedł przodem i z poważną miną wychwalał pod niebiosa serwowaną właśnie potrawę.

Zaczęliśmy jeść o szóstej, a o dziewiątej wciąż jeszcze siedzieliśmy przy stole. Wypito ogromną ilość wina i piwa, a Jake i jego ojciec dawali gościom przykład. Dawno nie widziałam, by na jeden raz skonsumowano tyle jadła.

Z rozbawieniem i radością dostrzegłam, że wypite wino zaczyna działać. Przypuszczałam, iż łatwiej sobie poradzę z nimi w takim stanie niż wówczas, gdy byli trzeźwi.

Niemal przez cały czas słychać było grania minstreli. Jeden z nich miał bardzo miły głos. Zszedł na dół i stojąc przed naszym stołem, zaśpiewał pieśń miłosną, wyraźnie kierując jej słowa do mnie i Jake'a Pennlyona.

Kiedy goście jedli kandyzowane przyprawy i marcepany, Jake rozkazał, by zagrano do tańca, po czym wziął mnie za rękę i wyprowadził na środek sali paradnej.

Pozostali ustawili się za nami. Jake nie był dobrym tancerzem, ale znał kroki. Przez chwilę kręciliśmy się w kółko, a potem wracaliśmy do siebie, biorąc się za ręce. Gdy

taniec dobiegł końca, Jake pociągnął mnie na stojącą nieco na uboczu ławkę. Przez cały czas nie puszczał mojej dłoni.

— O tym właśnie marzyłem... od momentu, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

— W takim razie pańskie marzenie się spełniło — powie działał.

— Pierwsze. Jest ich więcej. Ale i na nie przyjdzie czas.

Właściwie jesteśmy niemal mężem i żoną. Doskonale wiesz, że ta ceremonia jest wiążąca. Gdybyś chciała wyjść za mąż za kogoś innego, musiałabyś dostać kościelną dyspensę. Teraz już na zawsze jesteś ze mną związana.

— Wcale nie. Nie było żadnej ceremonii.

— Jesteśmy już ze sobą związani. Teraz nie pozostało ci nic innego jak pogodzić się z własnym losem.

— Czemu nie wybrał pan sobie kogoś innego? Nie brakuje tu kobiet, które byłyby szczęśliwe, wychodząc za pana za mąż.

Najwyraźniej nie brakuje panu pieniędzy. Dla każdej, która przypadłaby panu do gustu, byłby pan dobrą partią.

— Mam tę, która mi się podoba i której ja się podobam... po co mam się jeszcze rozglądać? Choć trzeba przyznać, iż jest przewrotna i ciągle udaje, że mnie nie chce. Dotychczas mnie to bawiło, lecz teraz już wystarczy. Chcę, żebyś okazała mi, co naprawdę czujesz. Mam zamiar oprowadzić cię po domu, w którym już wkrótce zamieszkasz. Pokażę ci komnaty, które będziesz miała do swojej dyspozycji. Chodź, na pewno uda nam się jakoś wymknąć.

— Goście zauważą, że nas nie ma.

Roześmiał się.

— Nawet, jeśli tak, jedynie wyrozumiale się uśmiechną.

Mozemy liczyć na ich pobłażliwość. Jesteśmy prawie po ślubie i niedługo odbędzie się końcowa ceremonia. Chcę

wyjąć ci z włosów ten grzebyk. Wygląda na hiszpański i wcale mi się to nie podoba. Skąd go wzięłaś?

— Kupiłam u wędrownego kramarza.

— U kramarza?! Próbują wprowadzić u nas wstrętą hiszpańską modę. Nie przyjmujemy jej.

— Będę nosić, co zechcę.

— Nie drażnij się ze mną, bo wyjmę ci go z włosów tu i teraz. Nie wątpię, że to by zaszokowało twoją siostrę i jej dobrze wychowanego męża. Będę jednak dyskretny. Chodź!

Pokażę ci nasze małżeńskie łożę. Wypróbujesz je i powiesz, czy ci odpowiada. Na pewno będzie, Cat. Jestem o tym święcie przekonany. Od początku coś mi mówi, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Próbował mnie podnieść, lecz mu się oparłam.

— Chcę... poważnie z panem porozmawiać.

— Mamy wiele lat na prowadzenie rozmów. Chodź ze mną.

— Nie kocham pana — oświadczyłam zdecydowanie. — Nigdy pana nie pokocham. Jestem tu tylko dlatego, że mi pan zagroził. Czy sądzi pan, że to jest dobry sposób na wzbudzenie miłości? Nic nie wie pan o tym uczuciu. Och, nie wątpię, że jest pan mistrzem, jeśli chodzi o wzbudzanie pożądania. Uważam, iż jest to nieodłączna cecha każdego pirata, który pustoszy miasta, gwałci kobiety i wymusza posłuszeństwo. Lecz miłości nie można zdobyć siłą. Nigdy pana nie pokocham.

— Miłość — powiedział, wpatrując się we mnie z napięciem. — Mówisz o niej z podejrzaną żarliwością. Co o niej wiesz?

Miałam ogromne trudności z zapanowaniem nad wyrazem twarzy, ponieważ nagle wyobraziłam sobie życie, o jakim marzyłam — życie u boku Careya. Mieszkalibyśmy w

Remus. Przypomniałam sobie tamtejszy park, otoczony murem różany ogród, a także ogród ze stawem i alejką, nad którą splatały się gałęzie drzew. Przed oczyma stanął mi obraz ukochanego Careya, z którym w dzieciństwie bez przerwy się kłóciłam — tak samo jak teraz kłóciłam się z tym mężczyzną, tylko że wtedy wszystko wyglądało nieco inaczej — Careya, który pod wpływem miłości stał się delikatny i czuły, co w wypadku Jake'a w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Pochylił się i bacznie mi się przyjrzał.

— Kiedyś kochałam — wyznałam. — I już nigdy w życiu nikogo nie pokocham.

— A więc nie jesteś dziewicą.

— Gdy pana słucham, robi mi się niedobrze. Nic pan nie wie o miłości, zna pan jedynie pożądanie. Nie oddałam się dotychczas żadnemu mężczyźnie, lecz kochałam i zamierzałam wyjść za mąż. Niestety, było to niemożliwe. Mój ojciec i jego matka popełnili potworny grzech. Ukochany przeze mnie mężczyzna okazał się moim bratem.

Przyglądał mi się spod przymrużonych powiek. Dlaczego w ogóle powiedziałam mu o Careyu? Przyznanie się do tego wszystkiego w jakiś sposób pozbawiało mnie sił, sprawiało, że łatwiej było mnie zranić. Jake wcale mi nie współczuł. Doszłam do wniosku, że gdyby mnie kochał, okazałby mi teraz czułość, zaczęłyby obchodzić się ze mną nieco łagodniej. On jednak wcale nie darzył mnie miłością, powodowało nim jedynie pożądanie i chęć podporządkowania mnie sobie.

— Sporo o tobie wiem — wyznał. — Musiałem sprawdzić pewne rzeczy, by wiedzieć, czego mogę się spodziewać po swojej żonie. Twój ojciec był szarlatanem.

— To nieprawda.

— Został znaleziony w żłóbku w opactwie Świętego

Brunona. Tę historię słyszała cała Anglia. Uważano to za cud, potem jednak okazało się, iż owo wydarzenie nie miało nic wspólnego z cudem. Twój ojciec był synem rozwiązłego mnicha i dziewczki służebnej. Czy powinienem żenić się z córką szarlatana, wnuczką służącej?

— Zaiste, nie powinien pan — zripostowałam. — Kulturalny, prezentujący nienaganne maniery dżentelmen nie może pozwolić sobie na taką niestosowność.

— Z drugiej jednak strony — ciągnął — ów szarlatan stał się bogatym człowiekiem, wszedł w posiadanie klasztornej ziemi, a z kolei twoja matka pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Biorąc pod uwagę te okoliczności, być może powinienem przymknąć na resztę oko.

— Na pewno wcale pan nie chce, by kobieta mająca takich przodków została matką pańskich synów.

— No cóż, muszę wyznać, że ma ona w sobie coś, co bardzo mi się podoba, a ponieważ sprawa zaszła już tak daleko, że zostałem jej narzeczoną, wezmę ją do łóżka i jeśli będzie w nim dobra, już jej stamtąd nie wypuszczę.

— Nie będzie dobra. Niech pan się wycofa, póki jeszcze jest na to czas.

— Posunąłem się za daleko.

— Z pewnością chętnie zwróci panu słowo.

— Prawdę mówiąc, to ja nie mam zamiaru zwracać jej słowa, zwłaszcza że już wkrótce będzie moja i tylko moja, a wtedy zaczniesz mnie błagać, bym jej nigdy nie opuszczał.

— To jedynie pobożne życzenie — odparłam. — Wiem, że nie ma nic wspólnego z prawdą.

— Chodź ze mną. Wymknijmy się. Pozwól, że ci pokażę, jak wygląda miłość.

— Jest pan ostatnim człowiekiem, od którego chciałabym się tego uczyć. Zostanę w towarzystwie, aż do naszego



wyjazdu.

Właściwie na nas już pora.

— Dzisiejszą noc spędzimy razem.

— Dzisiejszą noc? Jak to możliwe?

— To będzie całkiem proste. Wszystko załatwię.

— Tutaj?

— Wrócę z tobą. Otworzysz okno, a ja dostanę się przez nie do twojej komnaty.

— W domu mojej siostry?

— Twoja siostra jest kobietą. Zrozumie. Aczkolwiek lepiej by było, gdyby o tym nie wiedziała.

— Wciąż pan nie rozumie, że wcale nie odwzajemniam pańskich uczuć, wręcz czuję do pana odrazę.

— Czy właśnie dlatego na mój widok błyszczą ci oczy?

Wstałam i wróciłam na swoje miejsce przy stole. Nie mając innego wyjścia, Jake poszedł w moje ślady.

Pojawili się tancerze przedstawiający przygody Robin Hooda. Zaangażowano ich ku uciesze gości. Mieli na sobie mauretańskie kostiumy obwieszane dzwoneczkami. Za swoje figle otrzymywali rześiste brawa. Zaprezentowali sztukę z udziałem Robin Hooda i Marian, co bardzo spodobało się wszystkim zgromadzonym. Potem było jeszcze sporo śpiewów i tańców, w końcu jednak cała uroczystość dobiegła końca.

Wracałam powozem z Edwardem i Honey, lecz Jake Pennlyon uparł się, że będzie nam towarzyszył. Jechał na koniu obok naszego powozu. Oświadczył, że nie ma zamiaru narażać swej narzeczonej na spotkanie z włóczęgami lub rabusiami, którzy mogliby spróbować nas okraść.

W którymś momencie szepnęłam do Honey:

— Powiedział mi, że ma zamiar wkraść się w nocy do mojej komnaty.

— Gdy dotrzemy do domu — odparła — będę udawać, iż jest mi niedobrze. Poproszę, żebyś się mną zajęła.

W Trewynd, gdy tylko wysiedliśmy z powozu, Honey przyłożyła dłoń do czoła i jęknęła.

— Tak fatalnie się czuję — powiedziała. — Pomożesz mi się położyć do łóżka, Catharine?

Odparłam, że tak, po czym ukloniłam się Jakowi Pennlyonowi i powiedziałam mu „dobranoc”. Pocałował mnie w usta — był to jeden z owych pocałunków, których tak bardzo nie cierpiałam i starałam się ich unikać. Odwróciłam się i powędrowałam z Honey do jej komnaty.

— Teraz sobie pojedzie — powiedziała.

Jednakowoż nie знаła Jake’a Pennlyona.

Podeszłam ostrożnie do drzwi swojej komnaty, lecz ich nie otwierałam. Zerknęłam przez dziurkę od klucza. Usłyszałam, jak okno skrzypnęło i otworzyło się. Zgodnie z obietnicą Jake wspiął się po murze i wszedł przez okno. Wiedziałam, że jeśli wejść do środka, na pewno go tam zastanę.

Wyobraziłam sobie, jak wyskakuje z ukrycia i zamyka za mną drzwi. Byłabym całkowicie zdana na jego łaskę i tym razem nie miałabym szansy na ucieczkę.

Odwróciłam się i na paluszkach wycofałam do komnaty Honey. Powiedziałam jej o swoich obawach.

— Zostań u mnie — zaproponowała. — Edward będzie spał w swojej komnacie. Catharine, jutro musisz wrócić do matki.

Ten człowiek jest niebezpieczny.

Co to była za noc! W ogóle nie mogłam spać. Bez przerwy myślałam o Jake’u Pennlyonie czekającym w mojej komnacie i gotowym rzucić się na mnie. Wyobrażałam sobie jego okrzyk radości, gdyby udało mu się mnie złapać po wejściu do mojej sypialni. Słyszałam zgrzytnięcie klucza w zamku.

Wydawało mi się, że czuję, jak jego potężne ciało wgniata mnie w materac. Ta wizja była tak realistyczna, jakby wszystko działało się naprawdę. Zasnęłam dopiero tuż przed świtem, dlatego dość późno się obudziłam.

Po jakimś czasie pojawiła się Honey.

— Jeśli tam był, już sobie poszedł — oświadczyła. — W stajni nie ma jego konia.

Weszłam ostrożnie do swojej sypialni. Promienie słońca padały na moje łóżko — puste, lecz potwornie wygniecione. Musiał w nim spać.

Ogarnęła mnie potworna złość. Jak on śmiał korzystać z mojego łóżka? Wyobraziłam sobie Jake'a czekającego na narzeczoną, która w końcu nie przyszła. Stojąc i patrząc na wygniecioną pościel, poczułam się bezradna. Byłam ściganą zwierzyzną, otoczoną ze wszystkich stron przez ujadające psy, świadomą, że nieustępliwy łowca depta jej po piętach. Na razie udało mi się zbiec. Lecz niewiele brakowało, bym tej nocy beztrudnie weszła do swojej komnaty i znalazła się w pułapce.

Zdawałam sobie sprawę, iż Jake dotychczas zawsze zwyciężał. Jednak tym razem mu się to nie uda. Wiedziałam, że muszę mu się wymknąć i wrócić do domu. Lecz czy to go odstraszy? Za sześć tygodni wypływa w morze. Do tego czasu mogę być brzemienna. Jeżeli pozwolę mu się ujarzmić, już zawsze będę sobą gardzić, on również. Nie dopuszczę do tego. Muszę nadal walczyć.

Postanowiłam wybrać się na przejażdżkę. Przypuszczałam, że wkrótce Jake pojawi się w Trewynd. Za nic w świecie nie mogłam zostać z nim sam na sam.

Ruszyłam do stajni. Honey zobaczyła mnie i przyszła tam za mną.

Zmarszczyła brwi.

— Wybierasz się na przejażdżkę... sama? — zapytała.

— Muszę szybko coś zrobić.

— Nie powinniśmy do tego dopuścić.

— Dziś w nocy był w mojej komnacie. Widocznie czekał na mój powrót. Spał w moim łóżku.

— Co za zuchwałość!

— Honey, co ja mam teraz zrobić?

— Zaczekaj — powiedziała. — Pojadę z tobą. Wtedy przy najmniej nie będziesz sama. Po drodze porozmawiamy.

Wróciłam z nią do domu, gdzie włożyła strój do jazdy konnej, po czym wyruszyliśmy... kierując się w odwrotną stronę w stosunku do położenia Lyon Court.

— Muszę wrócić do domu — oświadczyłam.

— Masz rację.

— Lecz powinnam zrobić to w całkowitej tajemnicy. Może za dzień lub dwa.

— Bardzo będzie mi ciebie brakowało. Jake Pennlyon jest wyraźnie zdeterminowany, ale przynajmniej chce cię poślubić.

Roześmiałam się.

— Jesteś w stanie wyobrazić sobie małżeństwo z takim człowiekiem? Byłabym jedynie jego niewolnicą.

— Moim zdaniem wcale nie jesteś stworzona na niewolnicę.

— Czasami bardzo chciałabym dać mu to do zrozumienia.

Dziwnie mi się przyjrzała.

— Czy on naprawdę w ogóle ci się nie podoba, Catharine? — zapytała.

— Nie cierpię go tak bardzo, że z prawdziwą przyjemnością pokrzyżuję mu szyki.

— Sądzę, iż jego żona nie zazna przy nim zbyt wiele szczęścia. Będzie niewiernym i wymagającym mężem.

Słyszałam opowieści dotyczące jego ojca. Nie ma w okolicy dziewczyny, która byłaby przy nim całkiem bezpieczna.

— Doskonale o tym wiem. Nigdy nie zgodzę się wyjść za takiego mężczyznę.

Wyjechałyśmy na szczyt wzniesienia i spojrzałyśmy w dół na niewielkie sioło Pennyhomick. Była to uroczą osada z małymi domkami słoczonymi wokół kościoła.

— To miejsce wygląda na oazę spokoju — orzekłam. — Zjedźmy tam.

Pokonałyśmy strome zbocze, kiedy jednak znalazłyśmy się w krętej uliczce, przy której stały ozdobione szczytami domki, niemal stykające się nad brukowaną drogą, krzyknęłam do Honey, by się zatrzymała. W drzwiach jednej z chat zauważyłam kucającego mężczyznę. Było w nim coś złowieszczonego, coś, co mnie ostrzegło.

— Wracajmy — zaproponowałam.

— Czemu? — spytała moja siostra.

— Spójrz na tego człowieka. Idę o zakład, że to zaraza.

Honey nie potrzebowała ani słowa więcej. Szybko zawróciła konia. U podnóża wzniesienia zobaczyłyśmy idącą w naszą stronę kobietę. Niosła na plecach kosz. Z pewnością wracała z wodą ze źródła.

— Piękne panie — zawołała — trzymajcie się z daleka!

W Pennyhomick szaleją śmiertelne poty.

Wyjechałyśmy na pagórek tak szybko, jak to tylko było możliwe, i dopiero na szczycie obejrzałyśmy się na dotkniętą zarazą sioło.

Zadrzałam, Nim nastanie ranek, ta maleńka osada pograży się w żałobie. To była smutna myśl. Kiedy oddalałyśmy się od owego nieszczęsnego miejsca, coś wpadło mi do głowy. Zdałam sobie sprawę, że wcale nie mam ochoty wracać do domu. Chcę mieć satysfakcję, że przechytryłam Jake'a

Pennlyona, a nawiedzone przez zarazę Pennyhomick podsunęło mi pewien pomysł.

— Posłuchaj, Honey — zaczęłam. — Jeśli pojedę do domu, Jake będzie miał dwa wyjścia. Może wyruszyć w pogoń, by zawrócić mnie z drogi, albo zemścić się na was. To okrutny i bezwzględny człowiek. Na pewno nie okaże litości. Nie ucieknę. Zostanę tutaj i spróbuję go przechytryć. Mam zamiar rozchorować się na śmiertelne poty.

— Catharine! — Honey zbladła.

— Nie naprawdę, moja droga siostrzyczko. Będę jedynie udawać, że je mam. Zostanę w swojej komnacie, a ty będziesz się mną zajmować. Pamiętaj, byliśmy w Pennyhomick. Miałyśmy kontakt z chorymi. Musisz się o mnie zatroszczyć. Nie wyzdrowieję dopóty, dopóki „Nieokiełznany Lew” pozostanie w porcie.

Honey zatrzymała swojego konia i przez chwilę wpatrywała się we mnie.

— Ojej... Catharine... myślę, że możemy to zrobić.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Nawet on nie ośmieli się wejść do komnaty, w której leży chora na śmiertelne poty. Nie jest aż tak odważny. Czeką go rejs na „Nieokiełznanym Lwie”. Nie zaryzykuje przeniesienia zarazy na pokład swojego żaglowca. Zamknę się w swojej komnacie, a ty po prostu się mną zajmiesz. Przez okno będę obserwować, co się dzieje. Och, Honey, to cudowny plan. Jake będzie musiał odpłynąć, nie zaspokoiwszy swego niepokohamowanego pożądanego. Chyba umrę ze śmiechu.

— To wygląda na kuszenie losu.

— Nigdy bym nie pomyślała, że prawnuczka czarownicy okaże się takim tchórzem. Będziesz musiała przyrzucić mi miksturę, stanowiącą mieszaninę soku z jaskra, cynamonu i

kleiku z mąki. Dzięki niej upodobnię się do chorej i będę mogła pokazywać się w oknie. Jeśli będzie tamtędy przechodził, szybko minie mu pożądanie.

— Nikt nie może o tym wiedzieć, z wyjątkiem Edwarda i nas obu.

— Honey, nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy. Pójdę prosto do swojej komnaty, skarżąc się na ból głowy. Położę się do łóżka i pošlę Jennet po grzane mleko z winem i korzeniami.

Przyjdiesz do mnie, a wtedy zachoruję na śmiertelne poty i nikt nie będzie mógł się do mnie zbliżyć, z wyjątkiem mojej ukochanej siostry, która była ze mną w Pennyhomick i może być następną ofiarą.

Wróciłyśmy do domu. Gdy jeden ze stajennych zabierał nasze konie, powiedziałam:

— Dziwnie kręci mi się w głowie i wszystko mnie boli.

Pójdę do swojej komnaty.

— Poślę po jakieś zioła — oświadczyła Honey. — Idź do siebie i połóż się do łóżka.

Tak wyglądał początek. Wiadomość rozprzestrzeniła się bardzo szybko. Dziesięć osób zmarło w Pennyhomick, a potworna choroba wkradła się do Trewynd. Młodą panienkę pielęgnuje jej siostra, która miała pecha i również była w owej nieszczęsnej osadzie. Obie panie przywlokły śmiertelne poty do Grange.

Honey zarządziła, że nikt nie może wchodzić do wieżyczki, do której się wprowadziłam, by całkowicie odizolować się od reszty domowników. Posiłki przynoszono do komnaty znajdującej się na najniższym poziomie i zostawiano u podstawy spiralnych schodów. Honey schodziła na dół i zabierała jedzenie do mojej komnaty.

Edward w ogóle do nas nie przychodził. Gdyby to zrobił,

mógłby nas zdradzić. Musiałyśmy zachowywać się tak, jakbym naprawdę cierpiała na śmiertelne poty i była nianczona przez siostrę, która również mogła zarazić się tą chorobą.

Pierwszy dzień był bardzo ekscytujący, ponieważ, tak jak przypuszczałam, wkrótce pojawił się Jake Pennlyon.

Honey miała przygotowany kleik i szybciotko pokryła mi nim twarz. Spojrzałam w lustro i nie poznałam samej siebie. Położyłam się do łóżka i podciągnęłam kołdrę aż pod samą brodę. Usłyszałam dźwięczny, przyzwyczajony do wydawania rozkazów głos Jake'a:

— Odsuń się. Idę na górę. Śmiertelne poty?! Nie wierzę.

Honey stanęła przy drzwiach i drżała. Leżałam nieruchomo i czekałam. Jake jak burza wpadł do mojej komnaty i stanął na środku.

— Na litość boską, niech pan stąd idzie — wymamrotała Honey. — Trzeba być szaleńcem, by tu przychodzić.

— Gdzie ona jest? To sztuczka. Nie dam się oszukać!

Honey próbowała go powstrzymać.

— Byłyśmy w Pennyhomick — wyjaśniła. — Nie słyszał pan?

W tej osadzie ludzie umierają jak muchy. Niech pan nie naraża na niebezpieczeństwo siebie i innych.

Podszedł do łóżka i spojrzał na mnie.

— Dobry Boże! — szepnęła, a ja miałam ochotę parsknąć śmiechem.

Musiałam wyglądać bardzo groteskowo. Teraz już nigdy na mnie nie spojrzy — pomyślałam.

Wymamrotałam, udając delirium:

— Kto to... Carey... Czy to ty... ukochany...?

Dziwiłam się, że wymawiając to imię, jestem w stanie w głębi duszy się śmiać. Ale to była prawda. Cieszyłam się,



gdyż na tym śmiałym i znieprawdzonym mi obliczu dostrzegłam nieprawdopodobny strach. Twarz Jake'a wyraźnie zmieniała kolor. Widać to było, mimo smagłej cery. Wyciągnął rękę, a potem gwałtownie ją cofnął.

Odwrocił się do Honey.

— To... prawda... — wymamrotał.

— Niech pan stąd idzie — powiedziała. — Każda spędzana tu chwila jedynie zwiększa niebezpieczeństwo.

Wyszedł. Słyszałam jego ciężkie kroki na schodach. Usiadłam na łóżku i wybuchnąłam gromkim śmiechem.

\* \* \*

Powoli mijały dni. Były nudne i monotonne. Nie miałyśmy zbyt wiele do roboty. Pracowałyśmy nad gobelinem, ale nie bardzo odpowiadało mi to zajęcie. Często widywałam Jake'a Pennlyona. Musiałam być bardzo ostrożna, gdyż zawsze spoglądał w górę, w moje okno. Gdyby mnie w nim zauważył i domyślił się prawdy, trudno sobie wyobrazić, jak by na to zareagował. Czasami śmiałam się na myśl, że tak bardzo go oszukuję. Była to jedyna rzecz, która pozwalała mi przetrwać te ciężkie dni.

Pewnego razu zaproponowałam Honey, żebyśmy wykradły się w nocy i przejechały konno przy blasku księżyca. Zwróciła mi jednak uwagę, że gdyby zobaczył nas ktoś ze służby, wszystkie nasze wysiłki poszłyby na marne. Tak więc oparłam się pokusie. Ale były to potwornie nudne dni!

Każdego dnia spodziewano się mojej śmierci i fakt, że wciąż żyję, uznawano za swego rodzaju cud. Przypomniano sobie, że mojego ojca otaczała aura tajemniczości. Z kolei, Honey była prawnuczką czarownicy. Powiadano więc, że zna lekarstwa, które są w stanie wyleczyć nawet ze śmiertelnych

potów.

Jake codziennie odwiedzał Trewynd, nie wchodził jednak do domu. Rozmawiał ze służbą. Dokładnie ją przepytывał. Może nadal żywił pewne podejrzenia?

Plan okazał się zadowalający również dlatego, że dawał Johnowi Gregory'emu czas na spokojne opracowanie planów. Ludzie niechętnie odwiedzali Trewynd, bo panowały tu śmiertelne poty.

Po trzech tygodniach takiego życia Honey przyniosła wspaniałą wiadomość. Jake Pennlyon postanowił o dwa tygodnie wcześniej wypłynąć w morze. Tym sposobem będzie mógł liczyć na lepszą pogodę i zdoła uniknąć sztormów. Na razie i tak nie mogło być mowy o ślubie.

Ze swojego okna ukradkiem obserwowałam wzmożony ruch panujący w Hoe. Szybko dokonywano załadunku. Małeńkie łódeczki krążyły tam i z powrotem. Byłam zafascynowana. Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy „Nieokiełznany Lew” podniósł kotwicę i odpłynął, zabierając na pokładzie Jake'a Pennlyona.

Napisał do mnie list. Doręczono mi go, gdy obserwowałam znikający w oddali żaglowiec.

*Nie mogę już dłużej odwlekać podróży. Im wcześniej wyjadą, tym szybciej wrócę — napisał. — Czekał na mnie.*

Roześmiałam się radośnie. Zwyciężyłam.

\* \* \*

Gdy tylko „Nieokiełznany Lew” zniknął za horyzontem, zaczął się mój powrót do zdrowia. Po tygodniu byłam już na nogach. To był długi tydzień, jednakowoż musiałyśmy naszemu wybiegowi nadać pewne pozory prawdopodobieństwa. Służba była zdumiona. Niewiele osób

zdołało przeżyć śmiertelne poty. Z drugiej jednak strony pielęgnowała mnie Honey, która w ogóle wyszła z tego wszystkiego bez szwanku.

Pod koniec tegoż tygodnia wróciła do mnie, Jennet. Miło było posłuchać opowiadanych przez nią plotek.

Przyglądała mi się z pewnym respektem.

— Powiadają, panienko — wyjawiała — że ma panienka magiczną moc.

Cieszyło mnie to.

— Mówią, że jest panienka córką świętego. Czyż nie pojawił się na ziemi w tajemniczy sposób, inaczej niż reszta ludzi? A pani Ennis... jest wnuczką czarownicy. Wszyscy o tym wiedzą.

Przytaknęłam.

— Popatrz, Jennet. Jestem tak samo zdrowa jak zawsze.

— To cud, panienko.

Dni ciągnęły się bez końca, brakowało im dotychczasowego podniecenia. Hoe zapadło w drzemkę, odkąd na falach zatoki nie kołysał się „Nieokiełznany Lew”. Nie groziło nam niebezpieczeństwo, że w każdej chwili może się pojawić Jake Pennlyon. Zaczęłam myśleć o powrocie do domu, do Abbey. Matka z pewnością ucieszy się na mój widok.

Ponieważ właściwie nic się nie działo, większą uwagę zaczęłam zwracać na Jennet. Nastąpiła w niej jakaś subtelna zmiana. Otaczała ją aura tajemniczości. Czasami, kiedy do niej mówiłam, patrzyła na mnie, jakby obawiała się, że odkryję jakiś niemiły sekret. Często chodziła do stajni i raz czy dwa przyłapałam ją na prowadzeniu rozmowy z Richardem Rackellem.

Byłam pewna, że są kochankami. Jennet nie należała do kobiet czekających aż do ślubu. O czymże innym mogły

świadczyć delikatnie rozchylone wargi i zasnuć mgiełką oczy? Postanowiłam porozmawiać na ten temat z Honey.

— Tak musiała wyglądać Ewa, gdy zjadła jabłko — orzekłam.

— Może powinniśmy ich za siebie wydać — powiedziała Honey. — Edward nie pochwała niemoralnych obyczajów wśród służby. A jeśli Jennet rzeczywiście straciła dziewictwo, szybko zacznie zmieniać mężczyzn.

Pociągnęłam swoją pokojówkę za język.

— Mam zamiar wkrótce wybrać się w drogę powrotną do Abbey, Jennet.

— Ojej, panienko, a co będzie, jeśli on wróci?!

— Kto taki? — zapytałam ostro, doskonale wiedząc, kogo ma na myśli.

— Pan... kapitan.

— Odkąd to kapitan jest panem tego domostwa?

— No cóż, panienko, myślę, że on wszędzie jest panem.

— To bzdura, Jennet. Kapitan Pennlyon nic tu nie znaczy.

— Ależ miał się z panienką ożenić.

— Nic nie rozumiesz. Lecz, prawdę mówiąc, chodziło mi o coś innego. Często bywasz w stajni.

Czerwony rumieniec na jej policzkach powiedział mi, że mój wniosek jest słuszny. Opuściła głowę, a jej palce nerwowo zagłębiły się w fałdach sukni. Zrobiło mi się jej żal. Biedna Jennet. Była przeznaczona do roli żony i matki. Nigdy nie zdoła oprzeć się pochlebstwom mężczyzn.

— Dobrze, Jennet — ciągnęłam. — Nie jesteś już dziewczicą.

Równie dobrze możesz być brzemienna. Wzięłaś to pod uwagę?

— Tak, panienko.

— Pan — jedyny pan tego domu — byłby niezadowolony,

gdyby usłyszał, jak się prowadzisz. Wymaga od swoich służących przestrzegania chrześcijańskich zasad.

Wargi Jennet drżały. Objęłam ją. Byłam wobec niej opryskliwa, ponieważ Jake Pennlyon z wyjątkową łatwością zdołał ją namówić, by mnie zdradziła. Lecz teraz, kiedy została kochanką Richarda Rackella, bardzo wyraźnie widziałam jej kłopotliwe położenie. Biedna Jennet, była dziewczyną obarczoną — choć ktoś mógłby powiedzieć „obdarzoną” — ogromną zmysłowością. Urodziła się, by dostarczać mężczyznom przyjemności seksualnej. Zawsze będzie stanowić dla nich nieodpartą pokusę, tak samo jak oni dla niej. Takim kobietom znacznie trudniej podążać ścieżką cnoty niż wielu innym, przeto należy ją zrozumieć.

— No cóż, Jennet — powiedziałam — co się stało, już się nie odstanie. Nie ma sensu opłakiwać straconego dziewictwa, gdyż to go i tak nie przywróci. Byłaś głupia, dlatego teraz musisz powziąć decyzję. Ponieważ mam zamiar wracać, powinnaś pojechać ze mną, lecz w tych okolicznościach uważam, iż mężczyzna, który cię uwiódł, musi się z tobą ożenić. Wiem, kto to jest. Często widywałam was razem. Nie wyobrażaj sobie, że twoje ukradkowe wyprawy do stajni uszły mojej uwagi. Jeżeli Richard Rackell się na to zgodzi, wyjdiesz za niego za mąż.

Tego życzy sobie twój pan. Jesteś zadowolona?

— O tak, panienko, nawet bardzo.

— W porządku. W takim razie sprawdzę, co da się zrobić.

Z prawdziwą przyjemnością zauważyłam ulgę na jej twarzy, ponieważ bardzo lubiłam tę dziewczynę i chciałam, by wyszła za mąż i się ustatkowała.

Nim Jake wróci, Jennet z pewnością będzie już w ciąży. Nie wątpiłam w to. Przypuszczałam, że moja pokojówka okaże się bardzo płodna. Dzięki temu kapitan przestanie się

nią interesować i nic nie będzie jej groziło z jego strony. Natomiast, jeśli chodzi o mnie, do tego czasu powinnam być w opactwie.

Zrelacjonowałam Honey swoją rozmowę z Jennet.

— Wcale bym się nie dziwiła — powiedziałam — gdyby się okazało, że jest już brzemienna. Richard Rackell musi się z nią ożenić.

Honey zgodziła się i natychmiast posłała po Richarda.

Kiedy przyszedł do salonu i stanął przy stole, ponownie zaskoczyły mnie jego dobre maniere. Nie bardzo wierzyłam, by Jennet była dlań odpowiednią kandydatką na żonę, z drugiej jednak strony, skoro ją uwiódł, powinien się z nią ożenić.

— Richardzie — zaczęła Honey — myślę, że chętnie się ożenisz.

Uklonił się. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

— Wydaje mi się, że ty i Jennet pozostajecie w zbyt zażyłych stosunkach. — Podkreśliła słowo „zbyt”, a ponieważ Richard się nie odezwał, ciągnęła: — W tych okolicznościach pan Ennis oczekuje, że się z nią ożenisz. Kiedy masz zamiar to zrobić?

Wyrażnie się wahał. W końcu powiedział:

— W odpowiednim czasie.

— W odpowiednim czasie — powtórzyłam. — Co przez to rozumiesz?

— Może... za trzy tygodnie. Wcześniej nie mogę.

Byłam ciekawa, dlaczego, lecz otaczała go jakaś dziwna aura dostojności, dlatego trudno było go naciskać.

— W porządku — powiedziała Honey. — W takim razie za trzy tygodnie czeka nas wesele.

— Zorganizujemy wspaniałą uroczystość — dodałam.

Zależało mi na tym, by w jakiś sposób zrekompensować Jennet to, że byłam dla niej surowa.

A zatem wszystko było załatwione. Będziemy musieli ściągnąć do Trewynd jakiegoś kapłana — ślubu nie może udzielać ani Thomas Elders, ani John Gregory, ponieważ w ceremonii weźmie udział zbyt dużo ludzi.

Wezwałam Jennet i przekazałam jej tę wiadomość.

— Postanowiłam sprawić ci suknię ślubną. Musimy natychmiast zagonić Luce do roboty.

Jennet zaczęła szlochać.

— Panienko — wydukała. — Nie zasługuję na to wszystko, naprawdę.

— No cóż, Jennet — oświadczyłam — byłaś bardzo nie ostrożna, lecz teraz jest już po wszystkim. Mam nadzieję, że będziesz dobrą żoną dla Richarda i urodzisz mu mnóstwo dzieci. Może wówczas wszyscy zapomną, że nie czekałaś na ślub.

Poklepałam ją po plecach, aliści jedynym efektem tego gestu był jeszcze bardziej rozpaczliwy szloch.

\* \* \*

Ponieważ następne dni były raczej dość nudne, często rozmawialiśmy o ślubie Jennet. Edward oznajmił, że przybędą wędrowni aktorzy i odegrają jakąś sztukę, nie zabraknie również srebrnego pensa w placku, by ten, kto go znajdzie, mógł zostać królem balu.

Od odpłynięcia „Nieokielznanego Lwa” sir Penn leżał w łóżku, powalony jakąś nawracającą chorobą, lecz nikt nie był pewien, co to za dolegliwość, w związku z czym nie czuliśmy się zagrożeni ze strony unieruchomionego starca.

W kuchni rozpoczęły się przygotowania do spodziewanej

uroczystości. Jennet nigdy wcześniej nie miała tyle do roboty.

Mijały dni. Pewnego razu powiedziałam do Honey:

— Gdy tylko Jennet zostanie bezpiecznie wydana za mąż, zacznę szykować się do powrotu do domu.

— Scena została odpowiednio przygotowana — zauważyła Honey. — Jake Pennlyon wypłynął w morze, a jego ojciec leży w łóżku, na dodatek w całym domostwie panuje ogromne zamieszanie związane ze ślubem. Gdybyś wyjechała, przez kilka dni nikt by tego nie zauważył, choć Bóg mi świadkiem, że nie chcę się z tobą rozstawać. Bez ciebie, Catharine, będzie tu bardzo nudno. Lecz gdyby Jake skrócił rejs i wcześniej wrócił, okazałoby się, że jest za późno, a nie możemy liczyć na to, że ponownie uda nam się go oszukać.

— Gdyby kiedykolwiek się dowiedział, jak bardzo z niego zdrawiłyśmy, nigdy by nam nie wybaczył.

— Wolałabym nie mieć do czynienia z jego zemstą.

Zadrżałam.

— Tak, natychmiast po ślubie wyjeżdżam. Jak sądzisz, czy Richard będzie dobry dla Jennet?

— To spokojny i dobrze wychowany chłopiec.

— Jest dziwny. Trudno mi uwierzyć, by zdołał uwieść Jennet.

— Idę o zakład, że to raczej ona uwiodła jego.

— No cóż, jest bardzo miły, lecz tym razem naprawdę wpadł. Z drugiej jednak strony sędzę, że Jennet będzie dobrą żoną. Jake Pennlyon namówił ją, by mnie zdradziła. Wybaczyłam jej, gdyż sędzę, że Jennet gorzko tego żałuje.

— Dziewczyny w rodzaju twojej pokojówki nie potrafią oprzeć się mężczyznom takim jak Jake Pennlyon — powiedziała Honey.

Zmieniłam temat. Nie chciałam myśleć o tym, w jaki



sposób Jake Pennlyon zdołał przekonać moją pokojówkę. Już i tak zbyt dużo czasu poświęciłam na roztrząsanie tej sprawy.

\* \* \*

Nadeszła noc, kiedy po raz trzeci zobaczyłam hiszpański galeon.

Mieliśmy za sobą całkiem zwyczajny, cichy i spokojny dzień — ciepły, słoneczny i bardzo nietypowy jak na tę porę roku. Jak to się stało, że nikt nie przeczuwał, co nas czeka?

Idąc do łóżka, byłam trochę zmęczona, toteż niemal natychmiast zasnęłam.

Tak samo, jak dwa razy wcześniej, obudziły mnie dochodzące z dołu nietypowe dźwięki. Leżałam w całkowitym bezruchu i nasłuchiwałam. Docierały do mnie odgłosy kroków i szurania nogami. Czyżby któraś z rozpustnych służących potajemnie szła na spotkanie z kochankiem? Wstałam z łóżka i podeszłam do okna.

Wówczas ujrzałam zagłowiec w całej okazałości. Potężny, majestatyczny hiszpański galeon kołysał się na falach. Był bliżej niż poprzednio.

Muszę zejść na dół. Nie dopuszczę do tego, by tym razem ktokolwiek powiedział, że mi się wydawało. Obudzę Honey i Edwarda i zażądam, by wyjrzeni przez okno. Założyłam szlafrok i podeszłam do drzwi. W tym momencie się otworzyły i stanął w nich John Gregory.

— Co się stało? — zapytałam.

Nie odpowiedział. Miał na sobie długą pelerynę z kapturem. Dostrzegłam jego bladą twarz i błyszczące oczy. Gdy przemówił nieznanym mi językiem, zorientowałam się, że jest z nim ktoś obcy.

— Kto to jest? — spytałam. — Co wy tu robicie?

Obaj milczeli.

Obcy mężczyzna wszedł w głąb mojej komnaty. John Gregory kiwnął głową w moją stronę i ponownie coś powiedział.

Jego towarzysz podszedł do mnie. Próbowалаm go odepchnąć, lecz chwycił mnie mocno. Przez chwilę się broniłam, potem krzyknęłam, lecz w tym momencie John Gregory zatkał mi dłonią usta. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zakneblował mnie. Nie mogłam wydobyć żadnego dźwięku. Położyli mnie na łóżku. Przez głowę przebiegła mi myśl: „Czy po to broniłam się przez Jakiem Pennlyonem?”

Jednakowoż nie zauważyłam w tych mężczyznach ani śladu pożądania, raczej chęć wykonania rozkazu. Mieli przy sobie sznur. Związali mi nim ręce i nogi. Potem wynieśli mnie z komnaty. Byłam całkiem bezradna.

Wędrowali spiralnymi schodami w dół... aż wyszli na dziedziniec.

Zobaczyłam leżącą na nim postać. Wszędzie było mnóstwo krwi. Chciałam krzyknąć, lecz nie udało mi się wydobyć żadnego dźwięku. Odrętwiałam z przerażenia.

Kiedy przenoszono mnie obok owej zakrwawionej postaci, zobaczyłam, że to Edward.

— Honey! — chciałam zawołać. — Honey, gdzie jesteś?!

Na dziedzińcu czekał powóz Edwarda. Przy koniach stał Richard Rackell — przygotował trzy najlepsze i najbardziej ręce rumaki Edwarda.

Chciałam zawołać: „Richardzie Rackellu! Ty zdrajco!”, lecz nie byłam w stanie tego zrobić.

Wrzucono mnie do powozu. Leżały w nim już dwie inne osoby. Poczułam ogromną ulgę, a jednocześnie przerażenie, ponieważ były to Honey i Jennet.

Patrzyły na mnie, a ja na nie. Mogłyśmy porozumiewać się

jedynie oczyma. Obie były tak samo zdezorientowane jak ja. Zastanawiałam się, czy Honey wie, że Edward leży na dziedzińcu w kałuży krwi.

Rozległy się jakieś obce głosy. Domyśliłam się, że ludzie ci posługują się językiem hiszpańskim.

Powóz ruszył. Jechałyśmy w stronę morza.

Zostałyśmy uprowadzone przez korsarzy, jak to czasami zdarza się kobietom. Wśród naszych domowników byli zdrajcy, dlatego Edward leżał na dziedzińcu z kałuży krwi, a Honey, Jennet i mnie wieziono na hiszpański galeon.

## *Podróż w nieznane*

W porcie czekała na nas łódka. Richard Rackell trzymał w ręce latarnię. W rzucanym przez nią nikłym świetle zobaczyłam wyraźnie jego twarz. Chciałam krzyknąć: „Zdrajca!”, lecz poczułam jedynie potworny ucisk w krtani — wynik wściekłości i frustracji.

Przeniesiono mnie do łódki. Leżałam w niej bezradna. Obok mnie położono Honey, a potem Jennet. Nie widziałyśmy zbyt wyraźnie swoich twarzy, jako że panowała wyjątkowa ciemność. Nie było księżyca, jedynie gdzieś między chmurami połyskiwały gwiazdy.

Próbowałam zastanowić się, w jaki sposób mogłybyśmy uciec. Domyślałam się, co się z nami stanie. Od wielu lat w taki właśnie sposób uprowadzano kobiety. Korsarze często schodzili na ląd, pładrowali, kradli, palili wioski i dwory, po czym zabierali kobiety i wykorzystywali je.

Gdybym tylko mogła porozmawiać z Honey! Gdybym tylko zdołała wymyślić jakiś sposób ucieczki! Jednakowoż byłam całkiem bezradna. Leżałam spętana na dnie łodzi, którą energicznie wiosłowali jacyś nieznani mi ludzie, a pilnowali nas dwaj mężczyźni, z których jeden udawał stajennego, a drugi księdza.

Przez głowę przemknęła mi szalona myśl. Wydawało mi się, że nagle nie wiadomo skąd pojawił się „Nieokiełznany Lew” — całkiem niespodziewanie wcześniej wrócił z rejsu — i zaatakował galeon. Wyobraziłam sobie, jak Jake Pennlyon z błyszczącymi oczyma staje na pokładzie hiszpańskiego żaglowca, rozstawia szeroko nogi, wymachuje zakrwawionym kordem, a potem z głośnym śmiechem rozcina mi pęta.

Niestety, było to tylko marzenie. Małeńka łódeczka miarowo parła do przodu i coraz bardziej zbliżała się do hiszpańskiego galeonu.

Mężczyźni wciągnęli wiosła. Dotarliśmy do celu, a w pobliżu nie było „Nieokiełznanego Lwa”, z którego ktoś mógłby nas dostrzec, nie było też Jake’a Pennlyona, który zerwałby nasze pęta.

John Gregory pochylił się nade mną. Przeciął sznur, którym miałam związane kostki, i wyjął mi z ust knebel. Ponieważ wciąż miałam skrępowane ręce, podciągnął mnie do pozycji pionowej.

Niepewnie trzymałam się na nogach. Nad nami wznosił się galeon. Honey i Jennet stanęły obok mnie, lecz tak samo jak ja miały związane ręce.

— Honey — powiedziałam — zostałyśmy zdradzone.

Przytaknęła. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy widziała ciało Edwarda. Biedny Edward, był taki łagodny i miły. Potem pomyślałam o Jennet, która z związku z tym nie doczeka się ślubu.

Przez burtę statku przerzucono sznurową drabinę.

— Musicie po niej wejść — oświadczył John Gregory.

— Jak mam to zrobić, zdrajco, nie używając rąk? — spytałam.

— Rozwiążę was, lecz nie próbujcie żadnych sztuczek. Macie po prostu wspiąć się na pokład.

— Po co?

— Wszystkiego się dowiecie.

— Jest pan draniem! — zawołałam. — Przybył pan do nasze go domu... Oszukał nas pan...

— To nie jest odpowiednia pora na prowadzenie takich rozmów, panienko — odparł łagodnie. — Proszę wykonać moje polecenie.

— Mam wejść na pokład tego żaglowca? Po co? To hiszpański statek.

— Proszę mnie nie zmuszać, żebym wyrządził pani jakąś krzywdę.

— Krzywdę?! Nie wystarczy, że przywłókł mnie pan tu siłą... jeszcze próbuje mi pan grozić?

— Nie wściekaj się, Catharine — wtrąciła Honey. — To nam w niczym nie pomoże.

W jej głosie pobrzmiewała bezradność. W tym momencie doszłam do wniosku, że widziała leżącego na dziedzińcu Edwarda.

Mimo to byłam wściekła.

— Wcale nie jest pan księdzem — rzuciłam w stronę Johna Gregory'ego.

Nie odpowiedział. Uwolnił mi ręce i pchnął mnie w stronę drabinki. Richard Rackell czekał, by podprowadzić mnie do niej. Udałam, że patrzę w dół.

Ktoś zawołał coś po hiszpańsku, a John Gregory odpowiedział w tym samym języku.

Łódź kołysała się. Nie będzie łatwo wspiąć się po tej drabinie. Spojrzałam w dół, na ciemną wodę, i zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda śmierć przez utonięcie. Może byłoby to najlepsze wyjście — pomyślałam, lecz w rzeczywistości wcale nie brałam pod uwagę takiego rozwiązania. Niezależnie od tego, co niosło mi życie, zawsze kurczowo się go trzymałam. Włożono mi do ręki linę, więc powoli zaczęłam się wspinać. Potem zobaczyłam wysunięte w moją stronę ręce i zostałam wciągnięta na pokład. Otoczyły mnie śniade twarze, słyszałam pełne podniecenia głosy. Potem zapadła cisza. Do przodu wysunęła się jakaś postać. Mężczyzna ów odezwał się władczyim głosem. Musiał wydać jakiś rozkaz, ponieważ zostałam pochwycona przez dwóch

marynarzy. Zaczęli mnie gdzieś ciągnąć. Rozkazodawca ruszył za nami. Zaprowadzono mnie do kajuty, w której rogowa latarnia rzucała nikłe światło.

Potem drzwi się za mną zamknęły i zostałam sama. Drżałam, ponieważ miałam na sobie nocną koszulę, a na łodzi było zimno, aczkolwiek wcale nie byłam pewna, czy powodem tych dreszczy jest chłód, czy strach. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze wczoraj Honey i ja spokojnie układałyśmy plany dotyczące wesela Jennet. Teraz wszystkie trzy zostałyśmy uwięzione na korsarskim statku.

Zabrali nas — trzy kobiety — z powodów, co do których nie miałam żadnych wątpliwości. Nie mogłam jedynie zrozumieć, czemu to właśnie my padłyśmy ofiarą, dlaczego nie spalono domu i nie okradziono go? Choć może napastnicy mieli zamiar zrobić to później, po wywiezieniu nas z Trewynd. Obawiałam się, że Edward został zamordowany. Nie był to pierwszy atak od strony morza. Jake Pennlyon i jego ludzie postępowali dokładnie tak samo, gdy znajdowali się u obcych wybrzeży.

Nie powinnam przyjeżdżać do Devon. Trzeba było zostać w domu.

Spojrzałam na wylaniającą się z mroku przyszłość. Tak żałując broniłam się przed małżeństwem z Jakiem Pennlyonem, a teraz będę dostarczać satysfakcji mężczyznom, którzy od bardzo dawna przebywali z dala od domu i potrzebowali odmiany.

Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze. Zastanawiałam się, czy nie lepiej by było, gdybym odmówiła wejścia po drabinie i wybrała śmierć.

Na podłodze leżał dywan. Położyłam się na nim, gdyż nie byłam w stanie utrzymać się na nogach. Statek kołysał się na falach, a ja obserwowałam chwiejącą się latarnię.

Pomyślałam o matce. Zastanawiałam się, co zrobi, gdy usłyszy, że zostałam uprowadzona. Ileż ta kobieta już się w życiu wycierpiała! A teraz czeka ją jeszcze to, zwłaszcza iż ten sam los spotkał nie tylko mnie, lecz również Honey. Mama tak bardzo nas kochała.

Potem pomyślałam o Honey — pięknej, pełnej dostojeństwa, brzemiennej Honey. Świadomość, że będzie narażona na upokorzenia, bolała mnie tak samo jak zastanawianie się nad własnym losem. Będę walczyć. Będę kopać i krzyczeć. Spróbuję znaleźć nóż i będę się nim bronić. Wiedziałam, że jestem bezbronna wobec silnych mężczyzn, postanowiłam jednak dołożyć wszelkich starań, by nigdy nie czuli się przy mnie bezpieczni. Sprawię, że podczas snu nie będą mieli pewności, czy przez przypadek nie wbiję im noża prosto w serce lub nie dodam jakiejś trucizny do ich trunku. Ta myśl trochę mnie pokrzepiła. Jake Pennlyon nazywał mnie dzikim kotem. Przekonają się, iż dzikie koty mogą być niebezpieczne.

Dotychczasowe kołysanie statku uległo zmianie. Zdałam sobie sprawę, że podnieśliśmy kotwicę i wypływamy z portu. Drzwi kajuty otworzyły się i ktoś wepchnął do środka Honey. Moja siostra, tak samo jak ja, byk w nocnej koszuli. Mocno ścisnęła ją na piersiach. Zauważyłam, że materiał jest z przodu rozdarty.

Zaczyna się — pomyślałam.

Potem drzwi się za nią zamknęły. Wstałam. Podbiegłyśmy do siebie i przez chwilę trzymałyśmy się mocno w ramionach.

— Och, Honey, Honey! — zawołałam. — Co ci zrobili?

— Nic — odparła. — Był tam jeden mężczyzna... — Zadrżała. — Wziął mnie do kajuty bardzo przypominającej tę. Zdarł mi z ramion koszulę, aliści zobaczył medalik, który



zawsze noszę na szyi. Wtedy chyba się przestraszył, cofnął się bowiem i odesłał mnie tutaj.

— Honey — powiedziałam — to tylko jakiś koszmarny sen.

To nie może być prawda.

Nie odpowiedziała.

— Edward... — zaczęłam.

Nadal milczała, potem w geście rozpaczy — ukryła twarz w dłoniach.

Delikatnie dotknęłam jej ramienia.

— Próbował ich powstrzymać — ciągnęłam. — Gdzie była reszta domowników? Czy wszyscy nas zdradzili, jak John Gregory i Richard Rackell? Co się z nami teraz stanie, Honey?

Co możemy zrobić? Mamy wystąpić w roli markietanek, tyle że one robią to z własnej woli, a my zostałyśmy sprowadzone tu na siłę. Będą nas wykorzystywać... póki się nami nie zmęczą.

Potem pewnie wyrzucą nas za burtę. Może lepiej by było splatać im figła i od razu wskoczyć do wody?

Wciąż nie odpowiadała, jedynie tępo patrzyła przed siebie. Wiedziałam, że wyobraża sobie Edwarda leżącego na dziedzińcu w kałuży krwi.

Ciągnęłam, ponieważ musiałam coś mówić:

— Może teraz z kolei Jennet zmuszana jest do uległości...

Bóg jeden raczy wiedzieć, kto to robi.

Wyobraziłam sobie zaskoczoną i dezorientowaną Jennet. Może spodoba jej się takie życie? Bardzo się od nas różniła. Z zadziwiającą łatwością zgodziła się mnie zdradzić, wystarczyło, że poprosił ją o to Jake. Ciekawe, gdzie on teraz jest. Na morzu. Może właśnie napada na jakiś obcy port i uprowadza kobiety?

Och, czemu tak szybko wypłynął? Gdy go nie chciałam, był na miejscu i bez przerwy mnie nachodził, a teraz, kiedy mógłby się przydać, jest gdzieś daleko.

— Honey — powiedziałam — odezwij się do mnie, siostrzyczko.

— Zamordowali Edwarda — szepnęła. — Próbował mnie uratować, a oni go zabili. Jestem tego pewna.

— Może jeszcze żyje i ruszy nam na pomoc. Może podniesie alarm, zaczną nas szukać i zostaniemy uratowane? Gdyby tylko był tu Jake Pennlyon...

— Jake Pennlyon wypłynął w długi rejs. Wróci dopiero za kilka miesięcy.

— Może natkniemy się na niego na pełnym morzu.

Wyobraziłam sobie, jak z błyszczącymi oczyma wskakuje na pokład hiszpańskiego galeonu. Zabiłby każdego, kto śmiałyby mnie tknąć.

— Nikt nie próbował zrobić ci żadnej krzywdy, Catharine?

— Nie. Jedyne przyprawiono mnie tutaj.

— Czekają, aż oddalimy się od wybrzeży Anglii.

— Jak sądzisz, co będzie potem...?

— Cóż mogę ci powiedzieć? Na razie uratowało mnie to, iż jestem katoliczką. Musisz udawać, Catharine, że wyznajesz tę samą wiarę co ja. Jeśli tego nie zrobisz, może być z tobą źle.

— Niczego nie mam zamiaru udawać.

— Bądź rozsądna.

— Czuję się tak, jakbym całkiem postradała rozum i wpakowała się w sam środek koszmarnego snu.

— To, co nas spotkało, nie jest wcale taką rzadkością, jak ci się wydaje, Catharine. Powinnaś to wiedzieć. Piractwo ostatnio się rozprzestrzeniło. W grę wchodzi skarby i kobiety.

To właśnie tego mężczyźni najczęściej szukają na morzu.

— Musimy się zastanowić, co możemy zrobić.

— Na razie udało mi się uniknąć tragicznego losu. Ty też musisz to zrobić. Kiedy ten mężczyzna mnie zaatakował, zaczęłam modlić się do Matki Boskiej. Bardzo go to przstraszyło. Potem przyszedł John Gregory. Za jego pośrednictwem powiedziałam, że jestem brzemienna i że urodzę katolickie dziecko, dopiero wtedy ów człowiek dał mi święty spokój, a John Gregory przyprowadził mnie tutaj. Sądzę, że możemy traktować go jak naszego sprzymierzeńca.

— Sprzymierzeńca...?! Przecież to on nas zdradził!

— Zaiste, odnoszę jednak wrażenie, iż zrobił to wyjątkowo niechętnie.

— Niechętnie?! To kłamliwy drań!

— Trzymaj język za zębami, Catharine. Pamiętaj, że będzie nam potrzebny każdy sprzymierzeniec, jakiego uda nam się znaleźć. Bardzo się o ciebie niepokoję. Podejrzewam, że przeznaczono cię dla kogoś specjalnego... może dla samego kapitana.

Oddzielono cię od nas i przyprowadzono tutaj. Gdyby rzeczywiście doszło do czegoś takiego, spróbuj z nim porozmawiać. Może zna nasz język. Błagaj go, by nie działał pochopnie. Powiedz, że jeśli wyrządzi ci jakąś krzywdę, może się spodziewać zemsty.

— Takie słowa jedynie zachęcą go do jeszcze gorszego postępowania.

— Powiedz, że zostaniesz katoliczką. Że chcesz przyjąć jego wiarę.

— Prawdę mówiąc — oświadczyłam — postąpiłabym wbrew własnym przekonaniom, gdybym padła na kolana i błagała jakiegoś drania o to, by lepiej mnie traktował. Zapewniam cię, Honey, że to nic nie da. Nawet gdybyś

kazała mi zawiesić na szyi twój medalik, nie zrobię tego. Poszukam jakiejś broni. Jeśli uda mi się znaleźć nóż, przynajmniej będę miała czym walczyć.

— To nic nie da.

Wpatrzyła się w mrok, a na jej twarzy pojawił się smutek. Wiedziałam, że myśli o Edwardzie.

\* \* \*

Nie wiem, jak długo leżałyśmy w tej kajucie. Wydaje mi się, że nawet trochę się zdrzemnęłam. Byłam zmęczona nadmiarem emocji. Gdy się ocknęłam, przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Kołysanie statku i skrzypienie drewna szybko przypomniały mi ostatnie wydarzenia.

Zauważyłam leżącą obok mnie Honey. Chybocząca się z boku na bok latarnia rzucała nikłe światelko. Ponownie zdałam sobie sprawę z naszego przerażającego położenia.

Wiedziałam, że Honey nie śpi, ale nie podejmowałam rozmowy. W żaden sposób nie byłyśmy w stanie dodać sobie nawzajem otuchy. Prawdopodobnie był już ranek, lecz skąd miałyśmy to wiedzieć? Nic nie odmierzało upływającego czasu. Zaszło mi w ustach, miałam spieczone wargi. Prawdopodobnie byłam głodna, jakkolwiek myśl o jedzeniu napawała mnie odrazą.

Leżałyśmy jeszcze przez następną godzinę lub nieco dłużej. Potem drzwi się otworzyły. Poderwałyśmy się przerażone. Pojawił się w nich mężczyzna z miseczkami czegoś, co wyglądało na zupę.

— *Olla podrida* — powiedział, pokazując na miski.

Chciałam je od niego wziąć i rzucić mu tym w twarz, lecz Honey powiedziała:

— Jedzenie. Poczujemy się znacznie lepiej z pełnymi

żołądka mi. Może łatwiej przyjdzie nam stawić czoło temu, co nas czeka.

Wiedziałam, że ma na myśli swe nienarodzone dziecko.

Wzięłyśmy miski. Ich zawartość miała całkiem miły zapach. Mężczyzna przytaknął i wyszedł. Honey już jadła. Odkąd wyszło na jaw, że jest w ciąży, miała znacznie większy apetyt. Usprawiedliwiała się, mówiąc, że to jej dziecko jest głodne.

Skosztowałam przyniesionej potrawy. Była pikantna i rozgrzewająca. Zjadłam ją z prawdziwą przyjemnością.

Odstawiłyśmy miseczki i pełne obaw czekałyśmy, co będzie dalej. Wkrótce pojawił się następny gość. Był to człowiek, do którego zwracano się per „kapitanie”. Wszedł do kajuty i bacznie się nam przyjrzał. Był niezwykle dostojny i wytworny, co wzbudziło mój optymizm.

— Jestem kapitanem tego statku — powiedział, kalecząc język angielski. — Przyszedłem z wami porozmawiać.

— Lepiej będzie — oświadczyłam — jeśli szybko nam pan wyjaśni, co to wszystko ma znaczyć!

— Jesteście, panie, gośćmi na pokładzie mojego żaglowca — odparł. — Zabieram was w rejs.

— Po co? — spytałam.

— Tego dowiecie się w odpowiednim czasie.

— Zostałyśmy porwane z domu! — zawołałam. — Jesteśmy szlachetnie urodzonymi damami nieprzyzwyczajonymi do złego traktowania. Nie...

Honey położyła mi dłoń na ramieniu, starając się mnie uspokoić. Kapitan zauważył to i aprobująco kiwnął głową.

— Nie ma sensu protestować przeciwko temu, co już się stało — rzekł.

— Lecz ja i tak protestuję. To było nikczemne.

— Nie przyszedłem tu, by tracić czas i rozmawiać na ten

temat. Pragnę wyjaśnić, że jedynie wykonuję rozkazy.

— Czyje?

— Swoich przełożonych.

— To znaczy?

Ponownie Honey próbowała mnie powstrzymać.

— Wysłuchaj kapitana, Catharine — poprosiła.

— Jest pani mądra — uznał kapitan. — Przykro mi, że panią porwano. To była pomyłka. — Patrzył Honey prosto w oczy. — Rozumie pani, błąd.

— Byłybyśmy wdzięczne, gdyby wyjaśnił nam pan, co to wszystko ma znaczyć — poprosiła Honey pokornie.

— Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że jeśli będziecie mądre, na tym statku nie spotka was żadna krzywda. Spróbujcie zrozumieć, nie brak tu marynarzy, którzy są na morzu od wielu miesięcy... Mogą być trochę obcesowi, musicie więc uważać.

Nie chcę, by spotkało was jakieś upokorzenie. To byłoby sprzeczne z moimi życzeniami, nie spodobałoby się również moim przełożonym.

— Oprócz nas uprowadzono jeszcze jedną kobietę — zauważyłam. — Moją pokojówkę, Jennet. Co się z nią stało?

— Dowiem się — obiecał. — Dołożę wszelkich starań, by... zapewnić wam wszystkim wygodę.

Byłam nim zaintrygowana. Oczy kapitana w tak dobrze znany mi sposób biegły w stronę Honey. Moja siostra miała rozpuszczone włosy i wyglądała naprawdę pięknie. Zawsze sprawiała wrażenie tak delikatnej, że wszyscy mężczyźni natychmiast chcieli ją chronić. Wyglądało na to, że dokładnie tak samo zareagował kapitan hiszpańskiego statku korsarskiego.

— Nie jest wam tu zbyt wygodnie — zauważył. — Spróbuj my porozmawiać w bardziej odpowiednich

warunkach. Zapraszam panie do siebie na posiłek. Sądzę, że na razie nie dano wam zbyt dużo do jedzenia.

Honey i ja wymieniliśmy spojrzenia. Sposób, w jaki przemawiał do nas kapitan, dodawał nam nieco otuchy. Zauważyłyśmy, że nie jest prymitywnym marynarzem, poza tym traktował nas, jakbyśmy były gośćmi na jego żaglowcu, dzięki czemu poczułyśmy się znacznie lepiej.

W korytarzu czuć było mocny zapach tłuszczu i gotowania. Nagle statek przechylił się na bok, tak że musiałyśmy chwycić się poręczy, która biegła wzdłuż całego przejścia. Niepewnie posuwałyśmy się do przodu, wkładając w tę czynność sporo wysiłku. Po jakimś czasie kapitan otworzył drzwi i stanął z boku, wpuszczając nas do środka.

Była to jego kajuta. Wszystkie przepierzenia w tym przestronnym pomieszczeniu wyłożono boazerią. Całość przypominała niewielką komnatę, wypełnioną książkami i różnymi instrumentami. Najważniejszym meblem był długi, przymocowany na stałe do podłogi stół. Zauważyłam również działo na kółkach. Jego lufa wystawała na zewnątrz przez niewielki otwór. Na wyłożonej boazerią ścianie wisiał gobelin. Później dowiedziałam się, iż przedstawia on Granadę poddającą się królowej Izabelli i królowi Ferdynandowi.

W pierwszym momencie aż trudno było mi uwierzyć, że na statku można mieć tyle wygod.

— Proszę usiąść — powiedział kapitan. — Zamówię jedzenie.

Zajęłyśmy miejsca. Po chwili pojawił się bosonogi marynarz i nakrył do stołu. Wkrótce wniesiono dymiące talerze z czymś, co przypominało fasolkę i solone mięso.

Kiedy siadałyśmy, kapitan każdej z nas przytrzymał krzesło.

— Może nie jesteście głodne — powiedział — ale dobrze

by było, gdybyście trochę zjadły.

— Może mi pan wyjaśnić, czemu napadnięto na mojego męża? — spytała Honey.

— Nie wiem. Przez cały czas byłem na statku.

— Ale wiedział pan, że ci ludzie poszli nas zabrać?

— Taki jest cel naszej misji.

— Mieliście najechać wybrzeże, by uprowadzić kobiety... — zaczęłam.

— Nie — przerwał. — Mieliśmy zabrać tylko panią. W odpowiednim czasie wszystko pani zrozumie.

— Chyba zdaje pan sobie sprawę — wtrąciła łagodnie Honey — że jesteśmy trochę zdezorientowane. Chciałybyśmy wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Boimy się, że sprowadzono nas tutaj, by...

Uśmiechnął się do niej uprzejmie.

— Jeżeli będziecie się, panie, stosować do moich zaleceń, na moim statku nie spotka was żadna krzywda. Wydałem rozkaz, by nikt pani nie dotykał. — Patrzył prosto na mnie. Potem odwrócił się do Honey. — Także pani spróbuję zapewnić bezpieczeństwo.

— Już została zaatakowana — powiedziałam.

— Mam nadzieję...

Honey dotknęła medalika.

— To mnie uratowało — wyjaśniła. — To i John Gregory.

— Każdy człowiek, który ośmieli się tknąć jedną z was, zapłaci za to życiem — wyjaśnił kapitan.

— W takim razie niech nam pan powie, w jakim celu nas tu porwano — poprosiłam.

— Tego dowiedzie się z odpowiednim czasie.

— Zostałyśmy uprowadzone z domu... — zaczęłam, lecz ponownie Honey mnie powstrzymała.

— Na litość boską, Catharine, dowiemy się wszystkiego,



co będzie możliwe. Kapitan chce nam pomóc.

Po zejściu w ciążę Honey stała się wyjątkowo spokojną osobą, lecz jej opanowanie zupełnie nie pasowało do obecnej sytuacji. Myślała o dziecku i grała na zwłokę.

Kapitan obdarzył ją poważnym uśmiechem.

— Kazano mi dopilnować, by nie stała się paniom żadna krzywda. Mam zamiar wywiązać się z tego zadania. Lecz proszę o pomoc. Nie możecie nigdzie chodzić bez eskorty. Towarzyszyć będzie paniom John Gregory. Nie wychodźcie bez niego na pokład. Ludzie zostaną ostrzeżeni, ale nie zawsze można ich upilnować, i chociaż wiedzą, iż ryzykują życie, któryś z nich może być na tyle zdesperowany, że postanowi zaczepić którąś z pań.

— Dokąd płyniemy?

— Nie mogę powiedzieć. To nie będzie długi rejs. Zrozumiecie wszystko, gdy dotrzecie na miejsce. Wówczas poznacie cel swojej podróży. Najlepiej będzie, jeśli zapomnicie o przeszłości i zaczniecie spoglądać przed siebie. Na pokładzie tego żaglowca proponuję ochronę i wszelki komfort, jaki tylko mogę zapewnić. Mój galeon przypomina pływający zamek, w rzeczywistości jednak wcale nim nie jest i mam nadzieję, że to zrozumiecie. Jesteśmy na pełnym morzu, a to nie to samo, co pobyt na stałym lądzie. Na pewne luksusy nie możemy sobie tu pozwolić, niemniej chciałbym, żebyście czuły się na tyle dobrze, na ile to tylko możliwe. Na przykład ubrania. Nie jesteście najlepiej przygotowane do podróży. Spróbuję poszukać dla was jakiegoś materiału. Może zdołacie uszyć z niego suknie. Posiłki będziecie jadać w tej kajucie — czasami ze mną, czasami same. Mogę poradzić paniom jedno: spróbujcie ze spokojem i wyrozumiałością zaakceptować to, co się wydarzyło, i przyjmijcie do wiadomości, iż na tym statku nic złego wam

się nie stanie, jeśli tylko zastosujecie się do moich zaleceń.

Zabrał się do znajdującego się na jego talerzu mięsa i fasolki. Jeśli o mnie chodzi, nie byłem w stanie niczego przełknąć, Honey również. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko naprawdę mi się przydarzyło. Zapewniałam samą siebie, że wkrótce się obudzę, hiszpański galeon zamieni się w „Nieokiełznanego Lwa”, a kapitan przeobrazi się w Jake’a Pennlyona. Byłby to kolejny sen z udziałem tego apodyktycznego mężczyzny.

Mimo to ów sen — a raczej nocny koszmar — wciąż trwał, podczas gdy rzeczywistość całkiem zbladła.

Wkrótce Honey ciężko się rozchorowała. Trudno się było temu dziwić. Całkowitą nowość stanowiło dla nas kołysanie statku, ponadto byliśmy wyczerpane psychicznie i fizycznie, całkowicie zdezorientowane i niepewne jutra. Do tego wszystkiego Honey była brzemienna.

Opiekowałam się nią. Robiłam to z prawdziwą radością, gdyż dzięki temu mogłam zapomnieć o wszystkim, bałam się jedynie, że siostra umrze.

Przez cały czas miałam pod ręką Johna Gregory’ego. Serdecznie nienawidziłam tego człowieka, który podstępnie wkradł się do naszego domu w przebraniu księdza i wpuścił do środka naszych porywaczy. Szpieg! Zdrajca! Czy mógł istnieć ktoś gorszy? Jednakowoż teraz był naszym opiekunem. Ilekroć na niego patrzyłam, nie mogłam się powstrzymać od wyrażenia swojej pogardy. Aliści był bardzo użyteczny.

— Obawiam się — powiedziałam mu — że będzie pan miał na sumieniu śmierć mojej siostry. Wie pan, w jakim jest stanie. Przeżyła potworny szok. Nie wiadomo, czy zdoła się z niego otrząsnąć. Zawsze wierzyłam, że przyjaciele nie zdradzają, widocznie jednak byłam w błędzie. W naszym

najbliższym otoczeniu mieliśmy już kłamców i zdrajców.

Gdy go łajałam, stał przede mną ze spuszczoną głową, całą postacią wyrażając skrucę. Honey za każdym razem próbowała mnie powstrzymać, ja jednak nie mogłam przestać. Dając upust swojej złości, odczuwałam pewną ulgę.

Na następny dzień Honey była tak chora, że poważnie obawiałam się o jej życie, powiedziałam więc do Johna Gregory'ego:

— Przydałaby mi się moja pokojówka. Musi mi pomóc opiekować się siostrą.

Obiecał, że porozmawia z kapitanem. Wkrótce przyłączyła się do nas Jennet. Wyglądała jak zawsze. Zastanawiałam się, czy to możliwe, by tak szybko dostosowała się do nowej sytuacji. Miała na sobie swoją starą suknię, którą udało jej się chwycić, nim została uprowadzona. Ponadto zdołała już odzyskać swój zwykły spokój ducha.

Na jej widok najpierw poczułam ogromną ulgę, że żyje i że nic jej nie jest, potem jednak ogarnęła mnie potworna złość. Moja pokojówka wyglądała na zadowoloną ze swojego losu. Jak to możliwe? Co jej się właściwie przydarzyło?

— Pani Ennis jest bardzo chora — oświadczyłam. — Musisz mi przy niej pomóc, Jennet.

— Och, biedna pani! — zawołała. — Zwłaszcza przy jej stanie.

Ciąża Honey była już teraz wyraźnie widoczna. Z niepokojem myślałam o jej dziecku i serdecznie żałowałam, iż w dzień po wypłynięciu Jake'a Pennlyona w morze obie nie wyjechałyśmy do domu, do naszej matki.

Honey znacznie się uspokoiła, ponieważ byliśmy już razem, poza tym Jennet niewątpliwie należała do najlepszych pielęgniarek. Miałyśmy do dyspozycji twarde taborety, na których można było usiąść, i powoli zaczynałyśmy

przyzwyczajając się do kołysania statku oraz zapachów dochodzących z kuchni. W ciągu kilku pierwszych dni Honey niemal nieustannie spała, z czego byłam bardzo zadowolona. W tym czasie Jennet i ja prowadziłyśmy niekończące się rozmowy.

Dowiedziałam się, że podczas napadu na nasz dom jeden z mężczyzn dostrzegł Jennet. Był mocny i bardzo zręczny. Natknął się na nią, gdy szła do mojej komnaty. Złapał ją i coś jej powiedział, lecz go nie rozumiała. Wtedy wziął ją na ręce niczym wiązkę siana.

Ponieważ Jennet bez przerwy chichotała, domyśliłam się, co nastąpiło potem, już na żaglowcu.

— Był tylko on — wyznała Jennet. — Inni też chcieli mnie mieć, lecz ten człowiek wyjął nóż. Chociaż nie rozumiałam, co powiedział, prawdopodobnie uznał, że należą tylko do niego, i obiecał użyć tegoż noża, gdyby ktokolwiek spróbował mnie tknąć.

Spuściła oczy i zarumieniała się, a ja nie mogłam zrozumieć, jakim cudem tak rozpustna dziewczyna — gdyż Jennet wyraźnie była zadowolona z istniejącego stanu rzeczy — może jednocześnie być tak wstydliva. Nie udawała skromności, była na to zbyt prymitywna.

— Naprawdę, panienko, moim zdaniem to dobry człowiek — mruknęła.

— Ale nie jest twoim pierwszym mężczyzną — zauważyłam.

Jej rumieniec zrobił się jeszcze ciemniejszy.

— No cóż, w pewnym sensie ma panienska rację.

— Nie powinnaś tak postępować — skarciłam ją. — A co z Richardem Rackellem, za którego miałaś wyjść za mąż?

— Richard nie był prawdziwym mężczyzną — wyznała z po gardą.

Zaiste, moja pokojówka naprawdę była zadowolona ze swojego nowego opiekuna. Sporo o nim mówiła, gdy zajmowałyśmy się Honey. Chętnie odrywałam myśli od tego, co się nam przydarzyło, i słuchałam opowieści swojej pokojówki.

Prawdę mówiąc, nie miała zbytnej ochoty poślubić Richarda Rackella, uznała jednak, że rozpustna kobieta powinna mieć męża, zwłaszcza że postępując tak jak ona, no cóż, powinna się liczyć z ewentualnymi konsekwencjami.

— A co będzie, jeśli już są jakieś konsekwencje? — zapytałam.

Nabożnie odparła, że wszystko jest w rękach Boga.

— Raczej twoich i tego twojego kochasia — pirata — zauważyłam.

Byłam zadowolona, że mam ją przy sobie. Oświadczyłam, że wszystkie trzy powinnyśmy trzymać się razem, a ona musi mi pomóc przy Honey, ponieważ moja siostra bardzo potrzebuje opieki.

Tak więc Jennet w ciągu dnia przebywała z nami, aczkolwiek co noc wymykała się do swojego kochanka.

\* \* \*

To dziwne, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do nowego sposobu życia. Po trzech dniach przebywania na morzu przestałam się budzić z potwornym strachem, przywykłam do skrzypienia drewna, kołysania się statku, obcych głosów i mdlącego zapachu, który wiecznie dochodził z kambuza.

Honey powoli wracała do zdrowia. Powodem jej cierpienia było samo morze, nie żadna poważna choroba, przeto na jej twarz zaczęły powracać kolory i coraz bardziej przypominała

dawną siebie.

Gdy mogła już wstać, powędrowałyśmy do kajuty kapitana, by się posilić. Nie widziałyśmy go przez kilku dni, lecz w tym czasie oswoiłyśmy się z samym pomieszczeniem, które dzięki gobelinom i boazerii sprawiało wrażenie dziwnie eleganckiego w tym prymitywnym otoczeniu. Jennet jadła z nami. Obsługiwał nas smagły i oschły służący kapitana, człowiek, który przez cały czas zachowywał całkowite milczenie.

Po posiłkach, które składały się przede wszystkim z sucharów, solonego mięsa i ordynarnego wina, wracałyśmy do siebie i zastanawiałyśmy się, co oznacza ta dziwna przygoda.

John Gregory przyniósł nam dwa czy trzy zwoje materiału, żebyśmy uszyły sobie jakieś suknie. Z przyjemnością oddałyśmy się temu zajęciu, zwłaszcza że spore ożywienie w nasze życie wniosły dyskusje nad wyborem kroju. Jennet i Honey bardzo dobrze posługiwały się igłą, zabrałyśmy się więc do pracy.

Honey zazwyczaj dużo mówiła o dziecku, które miało się urodzić za pięć miesięcy. Dotychczas marzyła, by jej maleństwo przyszło na świat w Trewynd albo należącym do Calpertonów Surrey, choć brała też pod uwagę, iż spełni życzenie matki i na czas porodu wyjedzie do Abbey. Teraz wszystko się zmieniło. Gdzie jej dziecko przyjdzie na świat? Na morzu czy też w tajemniczym miejscu, do którego nas wiozą?

— Oboje z Edwardem snuliśmy plany dotyczące tego maleństwa — wyznała Honey. — Uważaliśmy, że nie ma znaczenia, czy będzie to dziewczynka, czy chłopiec. Edward był taki dobry i miły, byłby kochającym ojcem, a teraz... Czasami pojawia się w moich snach, Catharine. Leży na

dziedzińcu. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Uspokajałam ją, lecz nie mogłam jej zabronić opłakiwać Edwarda.

Jeśli o mnie chodzi, nie potrafiłam uwierzyć w to, co się stało. Wszystko wydawało się zbyt nierzeczywiste. Gdybyśmy były wykorzystywane przez obcesowych marynarzy, łatwiej by nam było zrozumieć, dlaczego zostałyśmy uprowadzone. Tymczasem rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej — znajdowałyśmy się pod ochroną i nasi porywacze traktowali nas wyjątkowo uprzejmie.

— To wszystko po prostu nie ma sensu — powiedziałam do Honey.

W ogromnym pośpiechu uszyłyśmy sobie suknie. Nie były eleganckie, ale nam wystarczały. Czasami pozwalano nam spacerować po pokładzie. Nie zapomnę chwili, kiedy po raz pierwszy wyszłam na otwartą przestrzeń i stanęłam na umieszczonym wysoko nad wodą pomoście. Byłam zdumiona wspaniałymi ozdobami i górującym nad pokładem forkasztele. Kiedy podeszłam do poręczy, spojrzałam na horyzont i przebiegłam wzrokiem otaczającą nas morską przestrzeń, stanowiącą szarobłękitną krzywiznę, ogarnęło mnie podniecenie, którego nie zdołałam stłumić, mimo towarzyszącego mi niepokoju i ciągłej złości, że znajdujemy się w tym właśnie miejscu.

Stojąc tam i wycężając wzrok, wypatrywałam na horyzoncie jakiegoś statku. W głębi duszy powtarzałam sobie: „On przyplynie. Tak długo będzie mnie szukał, aż w końcu znajdzie”. Cieszyłam się, ponieważ byłam pewna, że ta chwila kiedyś nadejdzie.

Ilekcroć zamknęłam oczy, natychmiast wyobrażałam sobie Jake’a Pennlyona. Krzyczał na naszego kapitana i nazywał go

hiszpańskim psem. Jakimś cudem dostał się na umieszczony wysoko pokład galeonu, nie przeszkodziły mu nawet mocne sieci rozciągnięte między burtami a centralną schodnią, która łączyła forkasztel z nadbudówką. Widziałam trudne do przeoczenia, ogromne działa, które były w stanie zmieść z powierzchni morza każdy statek — z wyjątkiem „Nieokiełznanego Lwa”.

Przypłynię — powtarzałam sobie. Uratuje nas, nim dotrzemy do naszego owianego tajemnicą celu.

Kilka dni później zobaczyłam na horyzoncie statek. Serce podskoczyło mi z ogromnej radości.

Honey stała obok mnie.

— Spójrz! — zawołałam. — Żaglowiec. To „Nieokiełznany Lew”!

Na pokładzie zapanowało potworne zamieszanie. Wokół nas rozległy się nawoływania. Żaglowiec został dostrzeżony. Byłam pewna, że to „Lew”. Udało mi się wychwycić słowo Ingles.

— Przypłynął — szepnęłam do Honey. — Wiedziałam, że nas znajdzie.

Stałyśmy, kurczowo trzymając się poręczy. Okręt trochę się powiększył, lecz nadal znajdował się wiele kilometrów od nas.

— Musiał wrócić — uznałam. — Widocznie rejs trwał krócej, niż Jake sądził. Usłyszał, co się stało, i wyruszył w pościg.

— Skąd masz taką pewność? — spytała Honey.

— Chyba tak właśnie powinien postąpić. Czy sądzisz, że pozwoliliby mi tak po prostu zniknąć?

Obok nas pojawił się kapitan.

— Widzę, że dostrzegłyście okręt — powiedział cicho. — To angielski żaglowiec.



Odwrociłam się do niego triumfalnie.

— Płynie w naszą stronę.

— Sądzę, że nie — odparł. — To jedynie karawela. Jest lekko uszkodzona. Z pewnością kieruje się do portu.

— To „Nieokiełznany Lew”? — zawołałam.

— Ten okręt? Znam go. Nie, to nie jest „Nieokiełznany Lew”, jedynie niewielka karawela.

Przeżyłam bolesne rozczarowanie. Poczułam ucisk w gardle. Byłam potwornie zła na kapitana i zdrajców, którzy ścignęli nam na głowy korsarzy.

— Nie ośmielą się do nas podpłynąć — ciągnął kapitan. — Zmiotlibyśmy ich z powierzchni wody. Znikną nam z oczu tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, a gdy w jakimś angielskim porcie będą czyścić tę łajbę z pąkli, marynarze z tego okrętu wszystkim opowiedzą bajkę o tym, jak udało im się uciec przed potężnym hiszpańskim galeonem.

— Nie zawsze tak jest — powiedziałam.

— Rzeczywiście — przyznał kapitan, być może rozmyślnie udając, że mnie nie rozumie. — Nie zawsze przed nami uciekają.

Lecz tym razem przewozimy niecodzienny ładunek, którego nie chcę narażać na niebezpieczeństwo.

Spojrzał na Honey, a potem spytał ją, jak się czuje.

Powiedziała, że znacznie lepiej, a on wyraził radość z tego powodu. Zachowywali się, jakby on był zaprzyjaźnionym sąsiadem składającym jej wizytę w Trewynd, a nie kapitanem korsarskiego statku, który wiozł nas dokądś wbrew naszej woli.

Uklonił się i odszedł. Kiedy się oddalił, Honey spytała:

— Naprawdę myślałaś, że to „Nieokiełznany Lew”?

— Tak! Naprawdę.

— Jeszcze nie tak dawno temu mówiłaś, że dałabyś

wszystko, by uciec przed Jakiem Pennlyonem.

— Dałabym wszystko, by uciec łajdakom, którzy trzymają nas w niewoli.

— Powinnaś przestać myśleć o Jake’u Pennlyonie. On po prostu przestał dla ciebie istnieć.

Ukryłam twarz w dłoniach. Nie mogłam patrzeć na Honey. Lecz to właśnie ona dodała mi potem otuchy.

\* \* \*

Kapitan rzeczywiście był uprzejmym dżentelmenem. Gdy jadał w naszym towarzystwie, często zadawał nam pytania na temat Anglii. Przez cały czas powtarzał, że nie brał osobiście udziału w ataku na Trewynd i jedynie wykonuje rozkazy. Miał za zadanie dopłynąć do wybrzeży Devon, zabrać stamtąd kobietę i zawieźć ją na miejsce przeznaczenia. W związku z tym po prostu spełniał swój obowiązek. Nie przyłożył ręki do samego uprowadzenia. Zresztą trudno byłoby wyobrazić go sobie w takiej akcji.

Po zaakceptowaniu tego faktu pozostawaliśmy w niemal przyjacielskich stosunkach. Szczególną sympatią darzył Honey. Chyba nawet się w niej zakochał. Od momentu, kiedy dowiedział się, że moja siostra jest brzemienna, zrobił wszystko, by zapewnić jej należyłą opiekę.

Pewnego dnia zapytała go, czy jej mąż miał szansę przeżyć. Prawdę mówiąc, obawiała się, że jest to raczej niemożliwe. Kapitan odparł, że nic na ten temat nie wie, lecz przepyta ludzi, którzy brali udział w napadzie.

Kilka dni później udzielił jej odpowiedzi.

— Pani mąż nie miał żadnej szansy na przeżycie — oznajmił.

Honey przytaknęła spokojnie, choć na jej twarzy malowała

się rozpacz. Ja jednak odebrałam to nieco inaczej. Byłam wściekła. Przecież ten dobry, miły człowiek został zamordowany przez bandytów i korsarzy!

Honey ujęła moją dłoń. Przypomniała mi, co zawdzięczamy kapitanowi. Otoczył nas osobistą opieką i przypuszczalnie oszczędził nam wielu tragicznych doświadczeń. Nie zapomniałam tego, więc umilkłam, jednakowoż w głębi duszy odczuwałam ogromną rozpacz i serdecznie opłakiwałam Edwarda.

\* \* \*

Potem nagle wpadliśmy w sztorm. Chyba nigdy nie byłam tak bliska śmierci jak wtedy, na tym oszalałym morzu. Nasz galeon był potężnym żaglowcem, dumnie, walecznie i z godnością prującym morskie fale, lecz nawet on musiał się ugiąć przed taką nawałnicą.

Przez cały dzień miotał nami porywisty wiatr. Słyszałyśmy pełne podniecenia głosy marynarzy, którzy opuszczali żagle i zamykali otwory strzelnicze oraz luki.

Kapitan kazał nam przejść do swojej kajuty i zostać w niej. Dotarliśmy na miejsce, potykając się co krok. Nie byłyśmy w stanie utrzymać się na nogach, a taborety, na których zazwyczaj siedziałyśmy, przesuwały się od ściany do ściany.

Jennet kurczowo się mnie trzymała. Jej kochanek był zajęty. Nie miał teraz dla niej czasu. Była przerażona.

— Umrzemy, panienko? — zapytała.

— Nie wątpię, że kapitan zdoła uratować statek i nas — oświadczyła Honey.

— Nie chciałabym umrzeć... bez możliwości wyznania popełnionych grzechów — martwiła się Jennet. — To byłoby okropne.

— Wątpię, byś miała na sumieniu jakieś wyjątkowo ciężkie przewinienia, Jennet — pocieszałam ją.

— Ale mam, panienko — odparła. — Paskudne.

— Bzdura — wypaliłam. — Chciałabym coś zrobić.

— Kapitan powiedział, żeby stąd nie wychodzić — przypomniała Honey.

— Możemy się potopić jak szczury w klatce.

— Nic na to nie poradzimy — oświadczyła moja siostra.

— Na pewno coś można zrobić. Idę zobaczyć.

— Nie wychodź — poprosiła Honey.

Spojrzałam na nią. Teraz wyraźnie było widać, że jest w ciąży. Przeniosłam wzrok na Jennet, obawiającą się, iż może umrzeć z ciężkimi grzechami na sumieniu, i oświadczyłam zdecydowanie:

— Zostań tutaj, Honey. Jennet się tobą zajmie. Jennet, przypilnuj, by pani miała wszystko, czego jej potrzeba — poinstruowałam swoją pokojówkę.

Patrzyły na mnie zdumione, ale nie mogłam beczynnie czekać na śmierć.

Wędrując na pokład, obijałam się o ściany korytarza. Galeon głośno wyrażał swój protest. Na szczęście, po wyjściu na górę, znalazłam się na zawietrznej, inaczej wiatr zdmuchnąłby mnie z pokładu. Głupio postąpiłam, przychodząc tu wbrew wyraźnemu rozkazowi kapitana, ale nie mogłam dłużej wytrzymać w trzeszczącej kajucie. Deszcz bezlitośnie smagał pokład, a wiatr wstrząsał całym statkiem. Gdy galeon zanurkował i przewaliła się nad nim wysoka fala, zostałam zmoczona od stóp do głów. Pokład był śliski i niebezpieczny. Wiedziałam, że czystym szaleństwem byłoby przechadzanie się po mokrych deskach, i chociaż wołałam świeże powietrze niż czeluście żaglowca, zdawałam sobie sprawę, że tam jest o wiele bezpieczniej.

Nagle wpadłam na mężczyznę, który z trudem dźwigał pudło z narzędziami w jednej ręce, a latarnię w drugiej.

Wokół było niemal całkiem ciemno, dlatego mnie nie rozpoznał, biorąc za chłopca okrętowego. Coś do mnie krzyknął. Domyśliłam się, że chce, bym wzięła od niego latarnię. Wykonałam jego polecenie i ruszyłam za nim.

Wędrowaliśmy w głąb statku. Na jego najniższym poziomie było wręcz niesamowicie. Udało mi się uciec od wycia wiatru i strug ulewnego deszczu, lecz tam, na dole, było bardzo duszno. Wszędzie unosił się smród zjełczałego jedzenia. Galeon jęczał i skrzypiał, wyrażając w ten sposób protest przeciwko cierpieniu i doznawanym torturom.

Jacyś mężczyźni pracowali przy pompach. W nikłym świetle widać było ich lśniące twarze. A więc mieliśmy przeciek.

Stałam, trzymając latarnię nad głową. Jak się okazało, człowiek, który mnie tu przyprowadził, był pomocnikiem stolarza. Miał znaleźć uszkodzenie i jeśli to tylko możliwe — załatać dziurę.

Marynarze przeklinali statek i morze, jednocześnie modląc się o ratunek. Obserwowałam, jak z trudem pompują wodę. Po ich twarzach spływał pot. Krzyczeli do siebie po hiszpańsku. Powoli zaczynałam rozumieć ten język.

Błagali Matkę Boską o wstawiennictwo i z modlitwą na ustach obsługiwali pompy. Wśród nich zobaczyłam Richarda Rackella. On również mnie zauważył i uśmiechnął się żałośnie, co, jak przypuszczałam, miało oznaczać skrucę.

Odwdzięczyłam mu się pogardliwym spojrzeniem, które zarezerwowałam specjalnie dla niego, potem jednak doszłam do wniosku, że to może być nasza ostatnia godzina na ziemi. Powinnam przynajmniej spróbować dowiedzieć się, czemu nas oszukał. Prawie się do niego uśmiechnęłam, a na jego

twarzy pojawiła się wyraźna ulga. Ktoś na mnie krzyknął, ponieważ nieco opuściłam latarnię. Zorientowałam się, o co chodzi, przeto podniosłam ją wysoko nad głowę.

Koszmar wydawał się ciągnąć bez końca. Od trzymania latarni rozboleły mnie ręce, lecz to i tak było lepsze niż bezczynność. Galeon nabrał teraz całkiem innego charakteru — w pewnym sensie przypominał żywego człowieka. Przyjmował potężne ciosy i spróbował je odpierać. W tym momencie w pewnym stopniu zrozumiałam, co czuje Jake Pennlyon do „Nieokiełznanego Lwa”. Kocha ten żaglowiec tak, jak zazwyczaj kocha się innego człowieka. Zdałam sobie z tego sprawę, obserwując walkę galeonu o przetrwanie.

Na dole pojawili się dwaj chłopcy okrętowi, gotowi pomóc przy pompach. Któryś z nich widocznie mnie rozpoznał, gdyż nagle usłyszałam słowo *señorita*.

Jeden z mężczyzn podszedł i bacznie mi się przyjrzał. Zdradziły mnie opadające na ramiona długie, mokre włosy. Odebrano mi latarnię i pchnięto w stronę schodów.

Wokół mnie rozlegały się rytmiczne odgłosy pompowania. Stolarze najpierw łatali dziury cienkimi blaszkami z ołowiu, a potem w miejsca, przez które wdzierала się woda, wbijali pakuły.

Znalazłam drogę powrotną do kajuty. Honey szalała ze strachu, lecz kiedy mnie zobaczyła, na jej twarzy pojawiła się ulga.

— Catharine, gdzie byłaś?

— Trzymałam latarnię. — Mówiąc to, uderzyłam się o ścianę.

Kurczowo chwyciłam się nogi przymocowanego do podłogi stołu. Poradziłam swoim towarzyszkom, by zrobiły to samo. Dzięki temu przynajmniej nie będziemy się od siebie oddalały.

Myślałam, że lada chwila statek się przewróci. Uniósł się i przechylił tak bardzo, że sterburta musiała być pod wodą. Galeon drżał, jakby ktoś nim potrząsał, mimo to pozostał w takiej pozycji przez kilka minut, dopiero potem opadł.

Słysząc było, jak ciężkie przedmioty obijają się o ściany. Rozległy się krzyki i przekleństwa. Gdybym w tym momencie była na pokładzie, na pewno wypadłabym za burtę.

Honey mruknęła:

— O Boże, to już koniec.

Czułam, że całe moje jestestwo protestuje. Nie chcę umierać. Tyle rzeczy pragnę jeszcze odkryć. Muszę się dowiedzieć, w jakim celu zostałyśmy uprowadzone. Muszę ponownie zobaczyć Jake'a Pennlyona.

Potem huragan wciąż jeszcze szalał, ale stopniowo się uspokajał. Był przerażający, lecz statek dzielnie trzymał się na powierzchni wody i wyglądało na to, że najgorsze jest już za nami.

Przez wiele godzin wiał jeszcze porywisty wiatr, galeon skrzypiał i jęczał, a my nie byliśmy w stanie utrzymać się na nogach, lecz przynajmniej byliśmy razem.

Spojrzałam na Honey. Leżała wyczerpana, a jej długie rzęsy wyraźnie odcinały się na tle jasnej skóry. Zalała mnie fala opiekuńczej miłości. Zastanawiałam się, kiedy urodzi się dziecko i w jaki sposób te okropne wydarzenia mogą wpłynąć na jego zdrowie.

Działając pod wpływem impulsu, pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek. To było z mojej strony bardzo dziwne, gdyż nigdy nie należałam do osób wylewnych. Honey otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Udało się nam przeżyć, Catharine.

— Tak — odparłam.

— Na dodatek jesteśmy razem — dodała.

\* \* \*

Sztorm szalał przez dwa dni i dwie noce, lecz teraz było już po wszystkim. Morze uspokoiło się, a na błękitno zielonej gładkiej powierzchni gdzieniegdzie widać było biały grzebień morskiej fali.

Wszystkie posiłki podawane były teraz na zimno — dostawałyśmy jedynie suchary i solone mięso — lecz byliśmy tak głodne, że cieszyłyśmy się nawet tym.

Gdy sztorm jeszcze szalał, do naszej kajuty przyszedł kapitan. Chciał spytać, jak się czujemy. Zauważyłam, iż czule i uspokajająco spogląda na Honey.

— Przetrwaliśmy sztorm — oświadczył. — Nasz statek zdołał oprzeć się morskim żywiołom. Musimy jednak zawinąć do portu, by usunąć powstałe zniszczenia.

Serce podskoczyło mi z radości. Oczywiście, to nie będzie port angielski. Żaden hiszpański galeon nie zaryzykowałby czegoś takiego. Aliści samo słowo „port” bardzo mnie podniecało. Mogłybyśmy uciec i znaleźć drogę powrotną do Anglii.

— Na czas postoju w porcie będę musiał zamknąć panie w kajucie — oświadczył. — Mam nadzieję, że rozumiecie tę konieczność.

— Może zrozumiemy, jeżeli zdradzi nam pan cel naszej wyprawy — odparłam.

— Dowie się pani, *señorita*, we właściwym czasie.

— Chcę wiedzieć teraz.

— Czasem trzeba trochę poczekać — powiedział kapitan, po czym odwrócił się do Honey: — Mam nadzieję, że nie bałyście się, panie.



— Wiedziałam, że bezpiecznie przeprowadzi pan statek przez tę zawieruchę — odparła.

Odnosiłam wrażenie, że łączy ich swego rodzaju porozumienie. Nigdy właściwie nie rozumiałam Honey. Może dlatego, że była prawnuczką czarownicy i w bardzo dziwny sposób pojawiła się w naszym domu.

Edward nie żył, a moja siostra pograżyła się w żałobie, lecz nie na tak długo, jak należałoby się spodziewać. Był dobrym mężem i z całego serca go opłakiwała, lecz, moim zdaniem, powinna okazywać większy smutek. Z drugiej jednak strony bez przerwy myślała o dziecku, a troskliwość kapitana przynosiła jej wyraźną ulgę.

— Gdy tylko będzie można zapalić w kuchennych piecach, otrzymacie, panie, gorący posiłek — powiedział.

— Dziękujemy — mruknęła Honey.

Zostawił nas.

— Ten człowiek doprowadza mnie do szału — oświadczyłam, gdy wyszedł. — Wie, dokąd nas wiezie i dlaczego zostałyśmy uprowadzone, lecz nie chce nam tego powiedzieć. Chętnie bym nim potrząsnęła.

— Jest dla nas bardzo dobry — przypomniała Honey — lecz widocznie musi dochować tajemnicy.

— Wygląda na to, że bardzo go polubiłaś — zauważyłam. Nie odezwała się.

\* \* \*

Sztorm ustał. Galeon zdołał go przetrwać, aliści z walki z żywiołem wyszedł sponiewierany, stracił też nieco na swym dostojństwie. Wciąż jednak utrzymywał się na wodzie i posuwał do przodu. Należało się z tego cieszyć.

Kapitan powiedział nam, że na pokładzie odbędzie się

msza dziękczynna. Mają w niej wziąć udział wszyscy, którzy zdołali ocaleć. Staniemy na pokładzie wraz z innymi. Ochraniać nas będą John Gregory i Richard Rackell. Wyjdziemy, gdy zbiorą się już wszyscy marynarze, a zejdziemy natychmiast po zakończeniu nabożeństwa.

Mocny wiatr pchał galeon do przodu. Nie zapomnę tej wspaniałej chwili, kiedy wspięliśmy się po schodkach. Przodem szedł John Gregory, a cały pochód zamykał Richard Rackell. Marynarze stali na pokładzie w jednym szeregu. Byli to mężczyźni w różnym wieku. Rolę podium pełniła drewniana skrzynia. Stał na niej kapitan. Był łagodnym człowiekiem, sprawiał jednak wrażenie mężczyzny, który w razie konieczności potrafi być nieugięty i groźny.

Tę chwilę z pewnością zapamiętam na wiele lat — chłodny wiatr dmuchał w żagle, rozwiewał nam włosy i wydymał nasze suknie, lecz sprawiał prawdziwą przyjemność, zwłaszcza po zaduchu panującym w kajucie. Po jasnobłękitnym niebie sunęły obłoczki. Wszędzie czuć było zapach wilgotnego drewna, spoconych ciał i stęchłej odzieży, dzięki czemu świeże powietrze sprawiało jeszcze większą radość.

Życie to dobra rzecz — wie o tym każdy, kto o mały włos go nie stracił — nawet jeśli jest się w niewoli na statku korsarskim, który płynie w jakimś nieznanym kierunku.

W tym momencie byłam pewna, że nigdy nie przestanę cieszyć się życiem. Niezależnie od tego, co mnie czeka, zniosę wszystko, aż do śmierci rozkoszując się każdą chwilą.

Kapitan zaczął czytać na głos Biblię. Nie wiem, jaki wybrał fragment, lecz brzmiał on wyjątkowo pięknie w ciszy zakłócaney jedynie przez łopot żagli. Podejrzewam, że wszyscy obecni na pokładzie z całego serca dziękowali Bogu za to, że pozwolił im przeżyć.

Potem zauważyłam biegnące w naszą stronę spojrzenia. Zorientowałam się, iż większość z nich skierowana jest w moją stronę. Co dziwne, w oczach marynarzy dostrzegałam coś, co przypominało nienawiść i... tak, strach! Co to ma znaczyć? Zerknęłam na Honey, lecz ona nie zdawała sobie z niczego sprawy. Poczułam dreszcz niepokoju. Wiedziałam, że grozi nam ogromne niebezpieczeństwo.

Gdy kapitan skończył czytać, John Gregory delikatnie dotknął mojego ramienia.

Nadeszła pora, by wrócić pod pokład.

\* \* \*

Zarzuciliśmy kotwicę mniej więcej dwa kilometry od lądu, a wówczas przyszedł do nas na rozmowę kapitan.

— Żałuję — powiedział — ale nie mogę pozwolić wam wy sięść na brzeg. Podczas pobytu w porcie musimy was pilnować ze zdwojoną siłą. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

Honey zapewniła go, że rozumie.

— Czy nie mogłybyśmy przynajmniej wyjść na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza? — zapytałam.

Odparł, iż zobaczy, co da się zrobić, lecz musimy dać mu słowo, że nie zrobimy nic głupiego.

— Czyżby próba powrotu do domu była czymś głupim? — zadrwiłam, jako że zawsze starałam się dać tym ludziom do zrozumienia, jak bardzo zostałam przez nich skrzywdzona.

— To nie tylko byłaby głupota, lecz również porywanie się z motyką na słońce — odparł łagodnie. — Znajdujecie się na terenie obcego kraju. Nie zdołacie wrócić do Anglii, nie mając na ten cel żadnych środków. Ze wszystkich stron groziłoby wam ogromne niebezpieczeństwo. Próbuję was strzec dla waszego dobra.

— I dla dobra swojego zwierzchnika.

Przytaknął.

Pozwolono nam wyjść na pokład w towarzystwie Johna Gregory’ego i Richarda Rackella. Znajdowaliśmy się trzy, może cztery kilometry od brzegu. Widziałam drzewa, trawę i skupiska domów. Dobrze było zobaczyć to wszystko po długim okresie wpatrywania się jedynie w ocean. Ku ogromnej radości Jennet pozwolono jej wybrać się na ląd. Obserwowałyśmy, jak schodziła w dół po sznurowej drabinie do kołyszącej się łódki. Jej marynarz chwycił ją w ramiona, a ona roześmiała się. Zauważyłam, jak z uczuciem szczyptała ją w pośladek, na co zareagowała następnym wybuchem śmiechu. Najwyraźniej wcale nie żałowała, iż została porwana. Nie znałam drugiej osoby, która równie łatwo jak Jennet godziłaby się z losem.

— Jest w stanie zaakceptować każde warunki, byle mieć obok siebie mężczyznę — powiedziałam do Honey.

— Wygląda na to, że lubi swojego Hiszpana — zauważyła Honey tolerancyjnie.

Bardzo chciałam zejść na brzeg. Zastanawiałam się, czy Jake Pennlyon kiedykolwiek odwiedził to miejsce. Przepuszczałam, że tak, gdyż prawdopodobnie znajdowaliśmy się u wybrzeży Hiszpanii i płynęliśmy w stronę Afryki. Rozmawialiśmy o tych wodach. Wpatrując się w odległy horyzont, w miejsce, gdzie woda stykała się z lądem, powtarzałam sobie, że pewnego dnia pojawi się tam „Nieokiełznany Lew”. To Jake przyplynie, by mnie uwolnić.

Oparłyśmy się o poręcz i obserwowałyśmy brzeg. Byłyśmy za daleko, by widzieć ludzi, dostrzegaliśmy jednak unoszące się na powierzchni wody łódzie.

Jennet po powrocie miała nam mnóstwo do opowiedzenia.

— Ludzie trajkoczą tu po hiszpańsku! — zawołała. — Nie

mam pojęcia, co mówią. Ale Alfonso ich rozumie.

— Mam nadzieję, że tak, w końcu jest Hiszpanem — wypaliłam.

Zabrał Jennet do winiarni. Piła piwo i jadła do tego „wyjątkowo smakowite” pikantne ciasteczka. Opowiadała o wielu miejscach, które pokazał jej Alfonso.

Następnego dnia wpłynęliśmy do portu i staliśmy w nim, póki nie dokonano koniecznych prac remontowych. Trzeba było sprawdzić i częściowo wymienić olinowanie, a także uszczelnić łączenia, w związku z czym cieśle okrętowi mieli mnóstwo roboty.

Przez cały dzień wrzała praca na pokładzie. Nie tylko dokonywano niezbędnych napraw, lecz również uzupełniano zapasy. Niektórzy marynarze zdezerterowali — sztorm niewątpliwie wyleczył ich z chęci dalszego przemierzania mórz. Trzeba było zatrudnić nowych.

To był dla nich bardzo pracowity czas, my jednak byłyśmy rozdrażnione, przeto z czystych nudów zaczęłam zastanawiać się nad ucieczką. Wiedziałam, że to absurdalny pomysł, ponieważ byłyśmy cudzoziemkami — aczkolwiek rozumiałyśmy już parę słów — a na dodatek jedna z nas była w ciąży! Lecz bawienie się tą myślą dodawało mi otuchy. Moja matka zawsze twierdziła, że jestem osobą impulsywną.

— Policz do dziesięciu, zanim coś powiesz, Cat — mawiała. — I dobrze się zastanów, nim zaczniesz działać.

Lecz rozmyślanie o ucieczce podnosiło mnie na duchu.

— Mogłybyśmy przebrać się za marynarzy — powiedziałam. — Gdyby udało nam się przedostać na brzeg, szybciotko opuściłybyśmy to niewielkie miasteczko.

— Bez odzieży, bez pieniędzy? Nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy — zauważyła praktyczna Honey.

— Szybko byśmy się dowiedziały.

— To byłby gorszy los niż pobyt na tym statku. Miałyśmy szczęście. Kapitan to dobry człowiek.

— Będzie cię ochraniał, Honey, ponieważ go oczarowałaś, ponadto twierdzi, że z jakiegoś powodu musi zapewnić bezpieczeństwo także mnie.

— Naprawdę jestem ciekawa, co nas czeka.

— Nie możesz od niego tego wyciągnąć?

— Nigdy nic na ten temat nie mówi.

Byłam sfrustrowana. Bez przerwy wypatrywałam na horyzoncie statku, lecz on się nie pojawiał.

Pewnego razu próbowałam wypytać Richarda Rackella, ponieważ wyjątkowo znaleźliśmy się na pokładzie sam na sam.

— Czemu nas okłamałeś? — zagałam. — Dlaczego udawałeś kogoś, kim nie jesteś?

— Robiłem to, co musiałem — odparł.

— Otrzymałeś rozkaz, by się u nas pojawić?

Przytaknął.

— W jakim celu?

— Nie wolno mi tego mówić.

— Oszukałeś nas, okłamałeś, wykorzystałeś naszą szczodrość i przez ciebie dobry człowiek leży teraz w grobie.

Richard Rackell przeżegnał się i mruknął:

— Niech spoczywa w pokoju.

— To ty go zamordowałeś.

— Nawet go nie tknąłem.

— Lecz Edward nie żyje tylko dlatego, że się u nas pojawiłeś. W końcu pracowałeś dla naszych wrogów.

Richard Rackell poruszył wargami, jakby odmawiał jakąś modlitwę.

— Jesteście mordercami, porywaczami, korsarzami, łajdaka mi i łobuzami! — zawołałam. — Jednak z tego, co

widzę, uważacie się za bardzo pobożnych ludzi. — Nie odezwał” się, a ja ciągnęłam: — A co z twoją narzeczoną? Uwiodłeś ją, a potem obiecałeś, że się z nią ożenisz, doskonale wiedząc, iż nigdy tego nie zrobisz. Mam rację?

Opuścił głowę.

— Będziesz potrzebował wielu modlitw — powiedziałam z sarkazmem. — Mam nadzieję, że po tysiącokroć zapłacisz za wszystkie wyrządzone krzywdy.

— Panienko — wydukał. — Błagam o wybaczenie.

— Możesz błagać.

Westchnął i spojrzał na morze.

Po chwili odezwałam się do niego:

— Powiedz, kto was przysłał i kazał wam mówić, że pochodzicie z północy.

— Nie mogę tego wyjawić.

— Ale zostałeś przysłany, i ten łajdak, Gregory, też.

— Tak.

— Mieliście za zadanie nas porwać.

Milczał.

— Oczywiście. Tylko dlaczego... właśnie nas? Jeśli zależało wam na kobietach, czemu nie napadliście na którekolwiek miasto leżące na wybrzeżu i nie wzięliście ich? Dlaczego ty i Gregory przybyliście do nas i czemu przypłynął po nas ten wspaniały galeon?

Nie odpowiedział.

— Przypłynąłeś tym galeonem, prawda? Obudziłam się w nocy i zobaczyłam go. Wówczas w porcie stał jeszcze „Nieokielznany Lew”. Widziałam łódkę płynącą w stronę brzegu.

To ty w niej byłeś, prawda? Najpierw poszedłeś do Pennlyon Court, lecz tam nie dano ci pracy. Więc przywędrowałeś do nas. Tak było, prawda?

— Tak, panienko.

— Potem galeon przyplłynął ponownie i tym razem był na nim John Gregory. Ten człowiek znalazł u nas schronienie tylko dzięki swoim kłamstwom. Gdy galeon pojawił się po raz trzeci, zabrał nas na swój pokład. Nie zdołasz mnie okłamać. Nie wmówisz mi, że miało być inaczej.

— Nie będę próbował, panienko — odparł pokornie.

— Dlaczego tak się stało? — dopytywałam się.

Nie udzielił mi odpowiedzi, a ja ani o krok nie zbliżyłam się do rozwiązania tej zagadki.

\* \* \*

Gdy stałam oparta o poręcz, nagle obok mnie pojawił się kapelan kapitana. Znał trochę angielski, dzięki czemu mogliśmy porozmawiać. Oświadczył, że kapitan chciałby, bym poznała podstawy wiary katolickiej.

— Nie zgadzam się — oświadczyłam porywczo. — Dlaczego miałabym to robić? Zostałam uprowadzona z domu. Mam zamiar zachować przynajmniej wolność myśli.

— To dla pani dobra i bezpieczeństwa — wyjaśnił.

— To pan tak myśli! Mam dość nietolerancji. Moja matka jest zwolenniczką tolerancji. Ja też tak zostałam wychowana.

Nie próbuję namawiać pana na zmianę przekonań. Czemu zatem pan stara się wpłynąć na moje?

— Dobrze by było, gdyby wyznawała pani prawdziwą wiarę.

Sądzę, że moja odpowiedź była bardzo głośna i energiczna.

Ogarnęła mnie potworna złość, że ci ludzie próbują narzucić mi swoją wiarę. Nie zauważyłam, że podeszło do nas kilku marynarzy, którzy uważnie przysłuchują się naszej



dyskusji.

— Nie zdoła mnie pan do tego zmusić! — zawołałam. — Będę myślała po swojemu. Nie dam sobie wmówić, że muszę oddawać Bogu cześć w taki, a nie inny sposób.

Ksiądz zdjął z piersi krzyż i bacznie mu się przyjrzał.

— Człowiek, który nie wierzy w to, co wy uważacie za słuszne — zawołałam — wcale nie musi być gorszym chrześcijaninem od was!

Zbliżył się do mnie, a ja pełnym zniecierpliwienia gestem odepchnęłam go. Robiąc to, wytrąciłam mu z ręki krzyż.

Jeden z obserwujących nas marynarzy zawołał coś, czego nie zrozumiałam. Nie interesowało mnie to zbytnio, gdyż wówczas nie zdawałam sobie sprawy, jakie to może być ważne.

\* \* \*

Płynęliśmy po spokojnych wodach. Teraz z prawdziwą przyjemnością wychodziłyśmy na pokład. Kapitan był niespokojny, gdyż zbyt słaby wiatr nie chciał pchać do przodu potężnego żaglowca.

Przez dwa dni było ciepło i wiała delikatna bryza, potem nawet ona ustała. Powietrze zamarło w całkowitym bezruchu, a woda była taka spokojna, że wyglądała jak namalowana. Morze szumiało cichutko, a na jego powierzchni nie można się było dopatrzeć nawet najdrobniejszej zmarszczki mogącej świadczyć o choćby najlżejszym podmuchu. Chodziłyśmy po pokładzie, jakbyśmy znajdowały się na lądzie stałym.

Na następny dzień żaglowiec nadal tkwił w tym samym miejscu. Nic nie zapowiadało wiatru, a żagle bezwładnie zwisały na masztach. Okręt przypominał zamek unoszący się na powierzchni spokojnego i cichego morza. Nim dzień

dobiegł końca, wiedzieliśmy, że zostaliśmy unieruchomieni przez morską ciszę.

\* \* \*

Świeciło ciepłe słońce. Znajdowałyśmy się wiele mil na południe od Anglii. Początkowo z prawdziwą przyjemnością spacerowałyśmy po pokładzie i pokonywałyśmy schodki, mając pod nogami tak spokojne podłoże, jakbyśmy stali w doku.

Każdego dnia wychodziłyśmy na pokład — towarzyszyli nam Gregory i Rackell. Jennet często pomagała marynarzom. Widywałam, jak na bosaka szorowała pokłady, podśpiewując pod nosem. Kiedy indziej rozlewała w kambuzie zupę.

Dostrzegałam też biegnące za nią spojrzenia mężczyzn. Jennet również zdawała sobie z tego sprawę — jak zwykle bez przerwy się rumieniła, lecz jej postawny Hiszpan zawsze kręcił się w pobliżu z nożem pod ręką. Alfonso był królem wśród żeglarzy — miał kobietę, czym nie mógł się poszczycić żaden z jego towarzyszy. Wiedziałam, że, ich zdaniem, powinien się nią podzielić, lecz ze względu na swoją pokojówkę byłam zadowolona, że jej mężczyzna jest taki zaborczy. Nie przestawałam jednak myśleć, na jakie niebezpieczeństwo naraża się Jennet, przebywając wśród marynarzy. Czasami zerkali też na nas — na piękną Honey z widocznym już teraz brzuchem i dziewczęcą o błyszczących oczach, czyli mnie. Wiedzieli jednak, że w razie jakiegokolwiek ataku będę się bronić zębami i paznokciami. Jednakowoż nie uratowałyby nas ani ciąża Honey, ani mój waleczny duch — bezpieczeństwo zawdzięczałyśmy rozkazom kapitana. Gdyby ktoś podjął próbę molestowania, czekała go chłosta, a gdyby mu się powiodło — śmierć. Tak

powiedział nam John Gregory.

Podczas wspólnego posiłku kapitan podzielił się z nami swoimi obawami.

Poprzedni sztorm był wyjątkowo groźny i istniała możliwość, że roztrzaska nasz okręt na kawałki, a my zostaniemy pochłonięci przez bezlitosne morze. Lecz w takich sytuacjach zawsze jest mnóstwo roboty. Nie można się poddać i nikt nie ma ani chwili do stracenia. Każdy marynarz, starając się uratować statek, jednocześnie walczy o swoje życie.

Natomiast cisza morska jest niebezpieczna z całkiem innych powodów. Na spokojnym morzu nie ma nic do roboty. Marynarze mogą jedynie obserwować czyste błękitne niebo, wypatrując na nim choćby najmniejszego obłoczku i śladu wiatru. Żagle całkiem oklapły, a słońce stawało się coraz mocniejsze. Jeżeli taka sytuacja się przedłuży, nim dopłyniemy do następnego portu, gdzie będziemy mogli uzupełnić zapasy, zabraknie nam jedzenia. Lecz najgorsze jest to, że nie mający żadnego zajęcia mężczyźni bywają bardzo niebezpieczni.

Kapitan modlił się o wiatr.

— Wiatr — powiedziałam do Honey — zbliży nas do tajemniczego miejsca przeznaczenia. Czy zatem mamy się też modlić? Może lepiej, że jesteśmy na statku?

— Musimy modlić się o wiatr — odparła Honey — ponieważ ludzie zaczynają być niezadowoleni, a niezadowoleni ludzie stają się wyjątkowo groźni.

Dlatego moja siostra naprawdę błagała Boga o zmianę pogody.

\* \* \*

Zażywałyśmy świeżego powietrza, spacerując po pokładzie. Minał następny dzień i kolejna noc, a wiatru ciągle nie było.

Napięcie wyraźnie rosło. Mężczyźni nie mający żadnego zajęcia zebrani w grupkach stali na pokładzie i rozmawiali półgłosem.

Zaczęto racjonować jedzenie, wody używano znacznie oszczędniej niż dotychczas. Oprócz czekania na bryzę niewiele można było zrobić. Wspaniały galeon stał się bezsilnym kolosem pełnym niezadowolonych ludzi.

Zauważyłam, że jeden z mężczyzn dziwnie mi się przygląda. Wiedziałam, co oznacza to spojrzenie. Widywałam je u Jake'a Pennlyona. Może John Gregory również je zauważył, ponieważ szybko zaprowadził nas pod pokład.

Nieco później tego samego dnia ponownie zobaczyłam tegoż mężczyznę. Stał blisko poręczy w moim ulubionym miejscu. Słyszałam, jak coś mamrocze. Byłam przekonana, że jego słowa skierowane są do mnie. Bałam się, lecz zapewniałam samą siebie, że marynarze muszą słuchać rozkazów swego kapitana i że dzięki nim jestem na tym statku bezpieczna. Nie wiedziałam, co się ze mną stanie u kresu tej podróży, lecz tutaj zapewniano mi ochronę, ponieważ czekała mnie jakaś specjalna misja.

Myślałam tak, nie biorąc pod uwagę nudy na unieruchomionym żaglowcu i związanych z morską ciszą obaw. Przez cały dzień żeglarze mieli niewiele do roboty. Mogli jedynie wypatrywać oznak wiatru. Morskie żywioły, zarówno te oszalałe jak ciche i spokojne, potrafią być zabójcze. Ludzie znajdujący się w takiej sytuacji są skłonni do ryzyka.

Wyraźnie odczuwałam obecność tego mężczyzny. Miał

kolczyki w uszach, ogorzałą twarz i błyszczące czarne oczy. Ukradkiem zbliżył się o kilka kroków. John Gregory ruszył w moją stronę, lecz ów człowiek również. Odwróciłam się do Johna i zapytałam:

— Czy nie powinniśmy zejść pod pokład?

Gdy skierowałam się w stronę schodni, ogorzały marynarz wystawił nogę. Potknęłam się, a wówczas mnie złapał i przez chwilę mocno trzymał. Zobaczyłam z bliska ciemne, pełne pożądania oczy... i błysk żółtych zębów.

Krzyknęłam, lecz on mnie nie puścił. Zaczął odciągać mnie na bok.

Aliści był tam również John Gregory. Obaj mnie trzymali i każdy ciągnął w swoją stronę.

Nagle nie wiadomo skąd pojawił się kapitan — widocznie przez cały czas obserwował pokład. Krzyknął jakiś rozkaz w kierunku grupy stojących w pobliżu mężczyzn. Przez kilka przerażających sekund wszystko zastygło w takim samym bezruchu, w jakim trwało morze. Nikt się nie poruszył. Przez głowę przemknęła mi myśl, że to bunt. Kapitan przemówił ponownie. Jego głos był wyraźny i pewny. Marynarze są przyzwyczajeni do reagowania na taki właśnie ton.

Do przodu wysunęło się dwóch mężczyzn. Chwycili ogorzałego marynarza i pewnie go przytrzymali. Po chwili odsunął się na bok.

— Powinna pani zejść pod pokład — powiedział do mnie kapitan.

\* \* \*

Mój napastnik został skazany na chłostę. Na pokładzie zebrano wszystkich marynarzy, by zobaczyli wymierzanie kary.

My, oczywiście, nie uczestniczyliśmy w tym wydarzeniu. Zostałyśmy pod pokładem w kajucie kapitana, wiedziałyśmy jednak, co się święci. Mogłam to wszystko sobie wyobrazić, jakbym widziała na własne oczy — skazany mężczyzna przywiązany został do palika, odsłonięto mu plecy, a potem bat zaczął zostawiać sine i krwawiące pręgi na jego ciele. Wiedziałam, że przeżywa potworne katusze, przeto miałam ochotę wybiec na górę i powstrzymać wymierzanie kary.

Gdy było już po wszystkim, w kajucie pojawił się kapitan.

— Został ukarany — oświadczył. — To będzie dla nich naučka. — Zadrżałam, a on ciągnął: — Dostał tylko trzydzieści batów. Przeżyje. Pięćdziesiąt by go zabiło.

— Czy to było konieczne? — spytałam.

— Chłosta jest jedyną karą, jaka przemawia do tych ludzi.

— A wszystko tylko dlatego, że mnie dotknął!

— Mam pewne obowiązki — powiedział kapitan.

— To znaczy, że musi mnie pan ochraniać.

Przytaknął.

— Ten człowiek nigdy mi tego nie zapomni — uznałam — nigdy mi nie wybaczy.

— Miejmy nadzieję, że przynajmniej będzie pamiętał o konieczności wykonywania rozkazów.

— Nie podoba mi się, że coś takiego spotkało go z mojego powodu.

— Wróćmy do modlitwy o wiatr — zaproponował kapitan.

Minał następny bezwietrzny dzień.

Po tym, co się stało, bałam się wyjść na pokład. Wiedziałam, że nie spotkam tego marynarza, ponieważ jest zbyt chory, by stać tam i mi się przyglądać.

— Ludzie powiadają, że cudem uniknął śmierci — doniosła Jennet. — Chłosta to okropna rzecz. Do końca życia będzie miał ślady na plecach.

— Biedny człowiek. Żal mi go.

— Przechwała się, że i tak będzie panienkę miał. Po wiedział, że nie obchodzi go, kim panienka jest. Nawet gdy by była panienka diabelskim pomiotem, on i tak panienkę weźmie.

Jennet nosiła na szyi maleńki medalik. Dostała go od swojego kochanka jako talizman mający strzec ją przed złem.

— Co to? — spytałam.

— Matka Boska — odparła. — Chroni kobiety.

Moja pokojówka wyraźnie się o mnie niepokoiła, dlatego chciała dać mi ten medalik.

— Proszę wziąć tę Matkę Boską, panienko — powiedziała — i nosić Ją na szyi.

— To ty jej potrzebujesz, Jennet. Ciągłe obracasz się między marynarzami.

Potrząsnęła głową przerażona.

— O co chodzi, Jennet? — spytałam.

— O to, co oni mówią, panienko. O to, co mówią o panience.

— A co takiego mówią?

— Kiedy go chłostano, zaczął krzyczeć. Powiedział, że do tego, co zrobił, skłonił go siedzący w panience diabeł. Oświadczył, że panienka jest czarownicą i heretyczką. Jego zdaniem wytrąciła panienka z ręki księdza krzyż i to właśnie panienka ściągnęła na statek wszystkie nieszczęścia. Ten marynarz uważa, że to czarownice wywołują sztormy, a ostatni był tak gwałtowny jak rzadko kiedy. Wszyscy mówią, że przez panienkę ten człowiek z trudem wywinął się śmierci, a na dodatek na morzu panuje teraz całkowita cisza. Boję się, panienko. Dlatego... proszę wziąć tę Matkę Boską. Ona panienkę uchroni.

Ogarnął mnie paniczny strach. Przypomniałam sobie

chwilę wahania, gdy kapitan rozkazał ująć napastnika. Czułam, że zanosi się na bunt, a największe niebezpieczeństwo groziło właśnie mnie, gdyż w przekonaniu tych ludzi byłam czarownicą. Zastanawiałam się, co robią z czarownicami.

Tymczasem cisza na morzu trwała nadal.

\* \* \*

Byłam na pokładzie i wpatrywałam się w odległy horyzont. Niebo miało jasnoniebieski kolor, a morze przypominało jedwabne prześcieradło bez jednej zmarszczki. Wszędzie dookoła panowała cisza. Na pokładzie grupka mężczyzn rzucała w moją stronę ukradkowe spojrzenia. John Gregory był zdenerwowany, a Richard Rackell aż zbladł.

— Gorąco tutaj — zauważył Gregory. — Sądzę, że powinniśmy zejść pod pokład.

— Nie od razu — powiedziałam. — Za chwilę.

Jakimś cudem wyczuwałam, że szybkie wycofanie się może skłonić tych ludzi do działania. Od momentu, kiedy po raz pierwszy postawiłam stopę na tym pokładzie, wielokrotnie się bałam, sądząc jednak, że ta chwila była dla mnie najbardziej przerażająca.

Spojrzałam na wspaniały nieboskłon, sprawdziłam horyzont i zapytałam Johna Gregory'ego, czy istnieje jakaś szansa na zmianę pogody, przez cały czas zdając sobie sprawę, że ludzie ci bacznie mnie obserwują. W końcu powiedziałam:

— Mam dosyć. Chodźmy do kajuty.

Powoli podeszłam do zejściówki. Liczyłam się z tym, że w każdej chwili mogę usłyszeć za plecami jakiś szelest, potem szybkie kroki, a w końcu poczuć mocne ramię. Wiedziałam,



że są gotowi, jedynie czekają na jakiś sygnał. Może usłyszę słowa: „Heretyczka! Czarownica!” Co robią w Hiszpanii z czarownicami i heretykami? Przywiązują ich do słupa, pod nogami układają im stos drewna, zapalają go i patrzą, jak płomienie powoli pochłaniają ciała heretyków. Ma to być przedsmak ognia piekielnego, który, zdaniem wielu ludzi, czeka owych nieszczęśników przez całą wieczność.

Byłam temu przeciwna, odkąd matka nauczyła mnie walczyć z bigoterią. Nigdy nie wierzyłam, by o dobroci człowieka świadczyła wyznawana przezeń wiara. Aliści teraz się bałam.

Kapitan kazał nas przyprowadzić do swojej kajuty i sam również do niej przyszedł.

— Sądzę, że powinniście tu zostać, póki nie ruszymy. Ludzie są w takim nastroju, że lepiej by było, gdyby was nie widzieli.

Przytaknęłam. Tym razem się z nim zgadzałam.

Zamknął drzwi. John Gregory i Richard Rackell stanęli na straży, a my zostałyśmy w kajucie.

Nadeszła noc. Każdy dźwięk powodował u mnie przyspieszone bicie serca. Wyobrażałam sobie, jak marynarze biorą szturmem tę kajutę, wyważają drzwi i chwytają mnie. Niemal słyszałam, jak krzyczą: „Czarownica! Heretyczka!”

Pragną mojej śmierci, ponieważ jestem na pokładzie, lecz trzymam się od nich z daleka. Mają na statku trzy kobiety, lecz tylko jedna z nich — Jennet, własność wielkiego Alfonso — służy w tym celu, do którego, zdaniem tych mężczyzn, została stworzona. Honey i ja, dzięki rozkazom kapitana, byłyśmy trzymane pod ścisłym nadzorem. Na dodatek panowała bezwietrzna pogoda, która okazała się bardziej zgubna niż sztorm.

Trochę się zdrzemnęłam, lecz był to niespokojny sen.

Szepnęłam do Honey:

— Kapitan nie może ochraniać nas w nieskończoność.

— Będzie to robił tak długo, jak to konieczne — odparła.

Ślepo w niego wierzyła. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, jaka naprawdę jest Honey. Wszystko wskazywało na to, że została wdową. Aliści ciężkie położenie i noszone pod sercem dziecko w jakiś sposób odsuwały od niej myśli o Edwardzie. Nie mogłam również zrozumieć uczucia łączącego ją i kapitana. Ono naprawdę istniało — było to swego rodzaju głębokie zrozumienie. Czy miało ono coś wspólnego z miłością?

Potem przypominałam sobie Jake'a Pennlyona. Serce zabiło mi mocniej na myśl, że on po mnie przybędzie. Że tak długo będzie mnie szukał, aż znajdzie.

Żaden żaglowiec nie jest w stanie pływać przy bezwietrznej pogodzie. Czy dlatego właśnie tak bardzo się boję? Jake nie może po mnie przypląć, gdyż „Nieokielznany Lew” byłby tak samo bezradny jak galeon.

Wrócił potworny strach. Byłyśmy uwięzione w miniaturowym zamku. Groziło nam ogromne niebezpieczeństwo, gdyż mogło się okazać, że nasi obrońcy nie poradzą sobie z bandą zdesperowanych mężczyzn.

Musiałam pogodzić się z faktem, iż pozostało mi tylko czekanie.

\* \* \*

Nadszedł piękny, lecz nadal bezwietrzny ranek. Wschodzące słońce zabarwiło morze na jasnoczerwono, po czym zaczęło powoli wspinać się na nieboskłon. Był to kolejny dzień całkowitej ciszy na morzu i rosnącego napięcia.

Zostałyśmy w kajucie. Ilekroć za drzwiami rozlegały się

czyjeś kroki, podrywałyśmy się na równe nogi.

Kapitan przydzielał ludziom zadania. Nie mogli szorować pokładów, jako że było za mało wody, kazał im jednak nosić na tacach kipiącą smołę, która służyła do odkażania tychże pokładów. Wszędzie czuć było mdlący, niemiły odór.

Reszta miała łowić ryby — było to bardzo pożyteczne zajęcie, gdyż każdy, kto coś złapał, mógł sobie to upiec i ewentualnie podzielić się z kompanami.

Lecz pomimo to napięcie rosło. Marynarze, łowiąc ryby, rozmawiali o heretyczce i czarownicy, która rzuciła urok na ich okręt i ściągnęła na nich wszystkich nieszczęście.

Jennet przyniosła nam wiadomość.

— Ludzie umawiają się na popołudnie — powiedziała. — Mają zdecydować, co zrobić. — Była przerażona. Bardzo mnie lubiła. — Panienko, proszę założyć na szyję Matkę Boską — błagała. — Ona panienkę uratuje.

Wzięłam medalik, by sprawić Jennet przyjemność, z drugiej jednak strony byłam gotowa chwycić się wszystkiego, co mogło mi pomóc, a to naprawdę powinno zadziałać.

Po południu odbyło się spotkanie. Siedziałam w kajucie razem z Honey. Nie powiedziałam jej, czego dowiedziałam się od Jennet. Gdyby moja siostra bardzo się przestraszyła, mogłoby to zaszkodzić dziecku.

Wyobrażałam sobie, co się stanie. Najpierw usłyszę dźwięk stóp na zejściówce, a potem walenie pięściami w drzwi.

Pod pierwszym lepszym pozorem wyszłam z kajuty. Przy drzwiach natknęłam się na Jennet. Miała zaokrąglone z przerażenia oczy.

— Co się stało, Jennet? — zapytałam.

— Są na pokładzie — odparła. — Nikt ich nie

powstrzyma, panienko, nawet kapitan. Mówią, że to czarna magia...

— Przyjdą po mnie...!

— Och, panienko, to okropne.

Ruszyłam schodkami w górę. Pociągnęła mnie za rękę.

— Proszę tego nie robić. Jeśli panienkę zobaczą, dostaną szau. Ma panienska Matkę Boską. Proszę się do Niej modlić. Ona chroni kobiety. — Usłyszałam krzyki mężczyzn. — Mówią, że panienska jest czarownicą — szepnęła Jennet. — Winią panienkę o wszystko. Och, panienko, chcą ułożyć na pokładzie... stos. Postawić palik, by panienkę do niego przywiązać. Tak postępują z czarownicami.

— O Boże, Jennet — powiedziałam. — To już koniec...

Okropny koniec.

— Nie, panienko, nie dopuszczę do tego. Znam miejsce, gdzie może się panienska ukryć. Alfonso mi je pokazał. Czasami tam mnie chowa... Kiedy musi gdzieś iść i nie może mnie przypilnować. Chodźmy szybko.

Ruszyłam za nią, nie zwracając uwagi, dokąd idziemy. Wyobraziłam sobie trzaskanie ognia, czułam, jak płomień liżąc moje stopy i przypalając ciało. Byłam o krok od śmierci — okropnej śmierci — a świadomość tego niemal mnie paraliżowała.

Jennet otworzyła włącz i znalazłyśmy się w ciemnej dziurze. Panujący tu zaduch powodował mdłości, lecz ciemność dodawała otuchy. Tylko jak długo możemy pozostawać w ukryciu?

Jennet modliła się do Matki Boskiej, obrończyni kobiet. Z pewnością bardzo potrzebowałam jej opieki. Modliłam się ze swoją pokojówką... błagałam o cud.

Nie mam pojęcia, jak długo przebywałyśmy w owej ciemnej dziurze, wiem jedynie, że cud naprawdę się zdarzył.

Po okresie, który wydawał się nam wiecznością, nagle zdałyśmy sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Statek się poruszał.

Jennet krzyknęła:

— Skończyło się! Skończyła się cisza!

Uniosła włąz i wyszła na zewnątrz, lecz nie pozwoliła mi pójść ze sobą.

— Proszę zostać. Tu przynajmniej panience nic nie grozi. Niedługo wrócę.

Po niedługim czasie była z powrotem. Na jej twarzy jaśniała radość.

— Skończyło się! — zawołała. — Wieje silny wiatr. Wszyscy są podekscytowani. Nikt już teraz nie myśli o panience. Jest panienka bezpieczna.

Tak, rzeczywiście zdarzył się cud.

\* \* \*

Jakież wspaniały widok stanowi okręt, gdy wiatr wypełnia żagle, a dziób z radością pruje fale oceanu! Zaczęliśmy posuwać się do przodu. Morze ponownie ożyło. Cisza morska się skończyła.

Napięcie opadło. Było zbyt dużo roboty, by marynarze mieli czas na planowanie buntu. Kapitan wykrzykiwał rozkazy, a oni radośnie je wykonywali. Wszyscy otrzymali dodatkowe racje żywnościowe i alkohol, by uczcić zmianę pogody. Odbyła się również msza dziękczynna, lecz tym razem nie wzięłyśmy w niej udziału.

Tydzień później zobaczyłyśmy ląd. Najpierw dostrzegłyśmy ośnieżony wierzchołek góry, stanowiący punkt orientacyjny na oceanie.

— Przygotujcie się do zejścia na ląd — powiedział

kapitan. — Dotarliśmy do kresu waszej podróży.

Zebrałyśmy kilka należących do nas przedmiotów — nie było ich dużo, właściwie miałyśmy jedynie odzież, którą zdołałyśmy sobie uszyć — po czym zeszyłyśmy do łódki, którą dopłynęłyśmy do brzegu. Obejrzałyśmy się za siebie — na majestatycznie kołyszący się na wodzie galeon — i wiedziałyśmy, że żegnamy dawny sposób życia i podążamy w nieznaną.

## *W hacjendzie*

Na brzegu czekała na nas grupka mężczyzn z mułami. Najwyraźniej się nas spodziewano. Sądzę, że pojawienie się galeonu dostrzeżono na dzień przed dopłynięciem przezeń do brzegu. Z pokładu widziałyśmy stożkowaty, pokryty śniegiem wierzchołek góry. W jakiś czas później musiano z łądu zauważyć nasz statek.

Do towarzyszącej nam niewielkiej grupki należeli również: kapitan, Richard Rackell i John Gregory. Oglądając się wstecz, by po raz ostatni zobaczyć zagłowiec, przypomniałam sobie te dni, kiedy tkwiliśmy w miejscu, unieruchomieni przez morską ciszę, a ja przeżyłam chwile grozy. Dlatego też nie ukrywałam ulgi, zaciekawienia i podniecenia. Byłam święcie przekonana, iż wkrótce poznamy przyczynę naszego porwania.

Jak zwykle dokładnie zlustrowałam horyzont w poszukiwaniu zagli, lecz zobaczyłam jedynie bezmiar błękitnych wód. Chociaż był dopiero luty, na niebie świeciło ciepłe słońce. Honey zostały do porodu dwa miesiące. Na przekór wszelkim przeciwnościom losu zdołała zachować spokój. Z kolei Jennet wyglądała na zdeorientowaną — najprawdopodobniej zastanawiała się, czy jej marynarz także zejdzie na ład. Nie towarzyszył nam, został na pokładzie galeonu. Niewątpliwie to właśnie z tego powodu moja pokojówka była taka niespokojna.

Kapitał poprosił, żebyśmy wsiadły na muły.

— Mamy do pokonania pewną odległość — wyjaśnił.

Posłuchałyśmy go i zaczęłyśmy przemieszczać się w głąb łądu. Zwierzęta posuwały się do przodu bardzo wolno, dlatego przebycie dziesięciu czy jedenastu kilometrów zajęło

nam dwie godziny. Kapitan kazał zatrzymać się na szczycie wzniesienia. Mogłyśmy spojrzeć w dół, na niewielkie miasteczko. Na jego skraju stał otoczony parkiem biały budynek.

— To rezydencja gubernatora tej wyspy, don Felipe Gonzalesa — wyjaśnił. — Ten dom to jego hacjenda i do niej właśnie zmierzamy.

— W jakim celu? — zapytałam.

— Dowie się pani — odparł.

Nasze muły schodziły w dół po zboczach, coraz bardziej zbliżając się do miasteczka i białego domu. W końcu dotarliśmy do zielonej bramy. Mężczyzna, który ją otworzył, uklonił się nam nisko. Ruszyliśmy podjazdem wiodącym wśród krzewów obsypanych różowym, białym i czerwonym kwieciem. W powietrzu unosił się ich ciężki zapach.

W końcu dotarliśmy do portyku. Trzy białe stopnie prowadziły do drzwi, które otworzył lokaj w żółto — czarnej liberii. Znaleźliśmy się w hallu, który po wejściu z jasnego słońca wydawał się bardzo ciemny.

Honey, Jennet i mnie zaprowadzono do niewielkiego pomieszczenia, w którym panowała niemal całkowita ciemność, gdyż barwione szyby i ciężkie draperie nie wpuszczały do środka promieni słońca.

Żadna z nas się nie odezwała, byłyśmy na to zbyt spięte. Dotychczas wiedziałam tylko tyle, że to ja miałam być uprowadzona. Jennet została kochanką marynarza, a ponieważ był on mocnym mężczyzną i nosił przy sobie nóż, nie musiała „świadczyć usług” nikomu innemu. Honey zostałaby zgwałcona, gdyby nie miała na szyi medalika. Być może pomogła jej też otaczająca ją aura dostojeństwa lub czary. Lecz to mnie pilnowano jak oka w głowie. Człowiek, który odważył się mnie dotknąć, skazany został na chłostę.



Tak więc jasne było, że cała misja zorganizowana została ze względu na mnie.

Kapitan wrócił.

— Proszę się nie bać — powiedział do Honey. — Zajmą się tu panią aż do rozwiązania.

Mówił bardzo łagodnym i dziwnie smutnym głosem. Uśmiechnęli się do siebie. Wiedziałam, że łączy ich coś w rodzaju miłości, miłości, która jakkolwiek nie znalazła spełnienia, na krótko ubarwiła ich życie i miała dla nich duże znaczenie.

— Pani pokojówką będzie Jennet i w razie potrzeby może pani korzystać z jej usług — ciągnął. — Panie zostaną tutaj. — Po czym zwrócił się do mnie: — Proszę za mną.

Ruszyliśmy schodami w górę. W całym domu panowała dziwna cisza. Wszędzie było ciemno, a w każdym kącie czaiły się ponure cienie. Czułam, że czeka mnie coś dziwnego i dramatycznego.

Kapitan prowadził mnie długim korytarzem. Barwione szyby przepuszczały do wnętrza jedynie nikłe, żółtawe światło. Odniosłam wrażenie, iż właściciel hacjendy pragnie odciąć się od słońca, ponieważ nie chce pokazać, co w rzeczywistości dzieje się w czterech ścianach jego domu.

Nagle ogarnęła mnie przemożna ochota, by odwrócić się na pięcie i rzucić do ucieczki. Lecz dokąd mogłam pójść? Jak mogłabym zostawić Honey i Jennet? W końcu obie znalazły się tu przeze mnie.

Kapitan zatrzymał się przed drzwiami, delikatnie w nie zastukał, a gdy ktoś odpowiedział, weszliśmy do środka.

Początkowo prawie nic nie widziałam w tym pogrążonym w mroku pokoju, potem jednak zdałam sobie sprawę, że jest w nim jakiś mężczyzna. To właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłam don Felipe Gonzalesa. Po plecach przebiegł mi

lekki dreszcz. Może było to przecucie, a może zadrżałam, czując respekt i jednocześnie odrazę do tego człowieka. Był znacznie niższy od Jake'a Pennlyona, lecz jak na Hiszpana mógł się poszczycić całkiem słusznym wzrostem. Miał na sobie czarny kubrak obszyty wspaniałą białą koronką, grube satynowe bryczesy i krótki miecz w aksamitnej pochwie. Nigdy wcześniej nie zetknęłam się z człowiekiem o tak ogromnym dostojęństwie, nigdy też nie widziałam tak zimnych oczu. Don Felipe Gonzales był przerażający. Miał oliwkową skórę, długi, orli nos oraz cienkie, proste i bezwzględne usta.

— A więc to ta kobieta, kapitanie? — spytał.

Znałam już na tyle język hiszpański, by to zrozumieć.

Kapitan przytaknął.

Don Felipe podszedł do przodu i chłodno, acz uprzejmie mi się uklonił. Odpowiedziałam na to pozdrowienie.

— Serdecznie witamy na Teneryfie — powiedział po angielsku.

Byłam przerażona, przeto puściłam w ruch swój ostry język.

— Co mi po serdecznym powitaniu — odparłam — skoro znalazłam się tu wbrew własnej woli?

— Cieszę się, że miała pani bezpieczną podróż — oświadczył.

Klasnął w dłonie, a wówczas pojawiła się kobieta. Mogła mieć tyle lat co ja, była jednak znacznie niższa, miała śniadą cerę i duże, ciemne oczy.

Gdy kiwnął głową, podeszła do mnie.

— Maria będzie pani pokojówką — wyjaśnił. — Proszę z nią iść. Wkrótce się spotkamy.

Byłam zdezorientowana. Dziewczyna poprowadziła mnie cichym korytarzem, aż dotarliśmy do przestronnego pokoju

tak samo ciemnego jak inne, pomimo ogromnego okna. Ciężkie haftowane draperie zatrzymywały światło, choć nie były zaciągnięte do końca. W pokoju stało ogromne łóżko z baldachimem, z którego zwisały haftowane zasłony. Słupki i sam baldachim były pięknie rzeźbione, a narzuta wykonana została z jedwabiu. Piękne rzeźbienia zdobiły także krzesła. W rogu pokoju stał masywny dębowy kufer. Na drewnianej podłodze leżały dwie duże maty o niezwykłym wzorze. Dawno nie widziałam tak pięknych dywaników.

Szybko przekonałam się, że Maria nie mówi po angielsku i że niewiele mogę się od niej dowiedzieć. Wciągnęła mnie z sypialni do łazienki, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Były tam weneckie lustra i wpuszczona w podłogę wanna.

Maria pokazała na wannę i na mnie, po czym pociągnęła mnie za ubranie. Wyraźnie sugerowała, iż powinnam się wykąpać.

Nie protestowałam. Czułam, że rzeczywiście jest mi to potrzebne. Chciałam zmyć z siebie wszystkie nie mile zapachy pochodzące jeszcze ze statku.

Zniknęła, a ja w tym czasie wyjęłam spinki i rozpuściłam włosy. Maria szybko wróciła z konewkami z wodą i zaczęła napełniać wannę. Pokazała na mnie, a ja dałam jej znak, że chcę, by wyszła. Zrobiła to. Zamknęłam drzwi, zrzuciłam ubranie i weszłam do wpuszczonej w podłogę wanny. To było cudowne uczucie. Leżałam wyciągnięta na całą długość, a wokół mnie na powierzchni wody unosiły się moje włosy. Potem je umyłam, siebie samą również, lecz kiedy stanęłam na wyłożonej kafelkami podłodze, zauważyłam czekającą z ręcznikami Marię. Nie mogłam pojąć, jakim cudem udało jej się wejść, skoro zamknęłam drzwi. Zauważywszy moje zaskoczenie, wskazała ręką na znajdującą się za jej plecami zasłonę. Domyśliłam się, że ukrywają się tam drugie drzwi

prowadzące do łazienki.

Wymarłam się, a Maria przyniosła wonną oliwkę i wmasowała ją w moje ciało. Poczulałam cierpki, nieprawdopodobnie słodki zapach — taki sam wydzielaly kwiaty rosnące wzdłuż podjazdu.

Owinęła mnie szlafrokiem i rozczesala mi włosy. Ze śmiechem cofnęła się, odciągnęła zasłony i otworzyła drzwi, przez które przyszła.

Okno sypialni wychodziło na balkon. Maria kiwnęła na mnie palcem. Wyszłam. Był to właściwie balkonik, mogły się na nim zmieścić dwie, góra trzy osoby. Wyjrzałam przez kutą żelazną balustradę na patio, na którym kwitły bajecznie kolorowe kwiaty. Na balkoniku znajdowało się siedzisko. Maria obróciła je tak, żebym znalazła się tyłem do słońca. Domyśliłam się, że w ten sposób chce wysuszyć mi włosy.

Skuliła się, jakby coś ją bawiło, po czym zniknęła. Siedziałam, potrząsając wciąż mokrymi włosami, wbrew wszystkiemu ciesząc się, że znowu jestem czysta. To dodawało mi odwagi. Przestałam się zastanawiać nad swoim losem, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że wkrótce się dowiem, po co mnie tu przywieziono. Byłam ciekawa, co stało się z Honey i Jennet, a także czy kapitan wrócił na statek.

Ciepłe promienie słońca były wyjątkowo miłe, czulałam, że poprawia mi się nastrój. Nie mogłam sobie wyobrazić, by ten dystyngowany mężczyzna, którego widziałam przez tak krótką chwilę, był zdolny do użycia przemocy, ale zdawałam sobie sprawę, że to on jest tu panem.

Przyszła Maria. Dotknęła moich włosów, przyniosła grzebień i zaczęła je rozczesywać, wystawiając każdy kosmyk na działanie promieni słonecznych. Próbowalałam wypytać ją, co wie, lecz uzyskanie odpowiedzi było

niemożliwe.

Siedziałam na balkoniku mniej więcej przez godzinę. Słońce powoli zaczynało chylić się ku zachodowi. Obliczyłam, że musi zbliżać się szósta.

Maria kiwnęła palcem, żebym weszła do sypialni. Było tam polerowane lustro, a przed nim krzesło. Usiadłam, a Maria mnie uczesała. Zebrała włosy wysoko na czubku mojej głowy i wpięła w nie grzebień bardzo podobny do tego, który kupiłam od kramarza. Uznałam, że jest to swego rodzaju symbol. Do tamtego wydarzenia doszło na samym początku. Teraz następował punkt kulminacyjny.

Wyjęła z szafy obszytą gronostajem aksamitną suknię w ciemnomorwowym kolorze. Było w tej kreacji coś królewskiego. Maria włożyła ją na mnie.

— Czyja to suknia, Mario? — spytałam.

Roześmiała się. Pokazała palcem na mnie.

— Ale do kogo należała poprzednio? — upierałam się.

Wyczułam, że z aksamitu unosi się delikatny zapach perfum — ten sam, jaki czułam w olejku, którym zostałam namaszczona.

Maria przez cały czas pokazywała na mnie, więc w końcu zrezygnowałam z zadawania pytań, uznając, że to beznadziejne.

Rozległo się pukanie do drzwi. Maria podeszła do nich i szybko wymieniła z kimś kilka zdań. Potem wróciła i kiwnęła na mnie.

Wyszłam za nią z sypialni i ruszyłam mrocznym korytarzem, aż dotarliśmy do pokoju, w którym byłam wcześniej. Teraz panował w nim mrok, ponieważ słońce zniknęło za horyzontem, a w tych okolicach nie było zmierzchu, do którego przywykłam w Anglii.

Maria wepchnęła mnie do pokoju i zamknęła drzwi.

Zobaczyłam stół nakryty do posiłku. Stały na nim kwiaty, a w lichtarzach migotały świece.

Wchodząc w głąb, zdałam sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje.

Don Felipe Gonzales wstał z krzesła, które ustawione było w cieniu, i uprzejmie mi się uklonił.

— Gdzie jest moja siostra? — spytałam.

— Będziemy jeść we dwójkę — odparł.

Ujął moją dłoń i uprzejmie podprowadził mnie do stołu. Usiadłam na jednym końcu stołu, a mój gospodarz zajął miejsce na drugim.

— Będziemy musieli rozmawiać w pani barbarzyńskim języku — oświadczył — ponieważ go znam.

— To doskonałe rozwiązanie — odparłam — jako że z pańskiego dzikiego języka zdążyłam poznać na razie zaledwie kilka słów.

— Proszę darować sobie bezsensowne zniewagi. To jedynie może pani zaszkodzić.

— Wiem, że jestem tu więźniem. Nie wątpię, iż może mnie pan zatrzymać, lecz nigdy nie uda się panu zmusić mnie do milczenia.

— Musi pani nauczyć się taktu i uprzejmości. Sama się pani przekona, że takie docinki w niczym nie pomogą.

Denerwował mnie jego sposób mówienia: „Ma pani zrobić to czy tamto”. Jakimś cudem sprawiał, że jego słowa brzmiały jak rozkazy. Wyraźnie podkreślał, że ma nade mną władzę, i był pewien, iż zdoła zmusić mnie do posłuszeństwa. To mnie przerażało. W tym człowieku było coś zimnego i nieprzejednanego.

— Teraz się posilimy, a potem porozmawiamy. Wtedy wyjaśnię pani, czego od pani oczekuję.

Kiedy klasnął w ręce, pojawili się służący. Wnieśli gorące

danie i postawili je na stole. Podano nam jakąś rybę. Pachniała całkiem nieźle, zwłaszcza po solonym mięsie, fasolce i sucharach, w których często natykałyśmy się na wołki zbożowe.

— Ta potrawa nosi nazwę *Calamares en su tinta* — wyjaśnił. — Na pewno będzie pani smakowała.

Rzeczywiście była pyszna. Dziwiłam się, że w takiej sytuacji i w tak dziwnym towarzystwie jestem w stanie odczuwać przyjemność.

Gospodarz hacjendy opowiadał mi o miejscowych potrawach.

— Gdy pani oswoi się z naszym jedzeniem, na pewno je pani polubi. To przyzwyczajenie w znacznej mierze decyduje o tym, co nam smakuje.

Potem podano jakiś rodzaj wieprzowiny z zielonymi warzywami, z którymi nigdy wcześniej się nie zetknęłam.

— To *Garbanzos con patas de cerdo* — wytłumaczył. — Proszę powtórzyć.

Wykonałam polecenie.

— Ma pani szokujący akcent — powiedział. — Brak w nim harmonii.

— Nie może pan oczekiwać, że osoba na co dzień posługująca się tak barbarzyńskim językiem jak ja będzie miała doskonały akcent — zripostowałam.

— Dobrze pani mówi — odparł.

— To znaczy, że w końcu udało mi się zdobyć pańską aprobatę.

— Sama się pani przekona, że słowa często są jedynie zwykłą rozrzutnością. Proszę jeść, a potem porozmawiamy. Dowie się pani, w jakim celu pani tu przybyła.

Nie odezwałam się już ani słowem — po prostu zajęłam się jedzeniem. Po posiłku podano owoce — były wśród nich

daktyle i nieznanne przeze mnie wcześniej banany. Bardzo mi smakowały.

— Pewnie chciałaby pani usłyszeć, gdzie pani jest. Nie widzę powodu, dla którego miałaby pani tego nie wiedzieć. Znajdujemy się na najważniejszej wyspie archipelagu nazywanego niegdyś Wyspami Szczęścia.

— A gdzie leży tenże archipelag?

— Proszę się nie odzywać, jeśli nikt pani o to nie prosi — powiedział. — Dawniej wyspy te określane były mianem Canarii, ponieważ, gdy po raz pierwszy dotarli tu starożytni Rzymianie, żyła tu ogromna liczba psów. Na cześć owych zwierząt nazwali te terytoria Wyspami Psimi. Teraz mówi się o nich: Wyspy Kanaryjskie, i wkrótce zrozumie pani, dlaczego tak właśnie jest. Psy zniknęły. Wyspy zamieszkiwało niegdyś wojownicze plemię Guanchów. Część z nich nadal żyje. Są dzicy i malują ciała czerwoną żywicą draceny. Ujarmiliśmy ich. Obecnie nad Wyspami Kanaryjskimi powiewa flaga Hiszpanii. Pierwsi osiedlili się tu Francuzi, lecz nie zdołali utrzymać porządku. My zrozumieliśmy, że wyspy te mają kluczowe znaczenie dla naszej żeglugi. Nie walczyliśmy o nie, po prostu kupiliśmy je od Francuzów i od tego czasu należą do nas. Zdołaliśmy też ujarzmić Guanchów.

— Teraz przynajmniej wiem, gdzie jestem.

— Znajdujemy się na przedmieściach miasteczka La Laguna, zbudowanego przez nas po przejęciu tych terenów. Może w przyszłości pozwolę pani chodzić do miasta. Wszystko zależy od tego, jak będzie się pani zachowywać.

Gdy to mówił, uprzątnięto ze stołu. Pozostał jedynie srebrny dzbanek, w którym było coś, co przypominało pitny miód. Drzwi zamknięto i zostaliśmy sami.

— Teraz wyjaśnię pani, czemu ją tu sprowadziłem i w jaki



sposób skrzyżowały się nasze ścieżki. Potrzebna mi jest pani do wykonania pewnego planu.

— Jak to możliwe?

— Proszę powściągnąć język i nie przerywać mi. Z pewnością nie zechce pani odgrywać swojej roli, nie wiedząc, czemu mi na tym zależy. Wolę, by nie uważała mnie pani za człowieka podobnego do barbarzyńców z jej rodzimej wyspy. Proszę zatem się nie odzywać i wysłuchać moich wyjaśnień. Jeżeli będzie pani rozsądna i uległa i zrobi to, czego oczekuję, oszczędzi sobie pani wielu dodatkowych kłopotów i upokorzeń. Nie jestem prymitywnym korsarzem. Odebrałem bardzo dobre wychowanie. Pochodzę z arystokratycznej rodziny, w moich żyłach płynie nawet królewska krew. Mam wyszukany gust i jestem bardzo wrażliwym człowiekiem, dlatego to, co muszę zrobić, napawa mnie obrzydzeniem. Mam nadzieję, że ułatwi mi pani nieco to zadanie. Czy mogę kontynuować?

Posłusznie skłoniłam głowę.

— Jestem gubernatorem tych wysp — zarządzam nimi w imieniu Hiszpanii. Powiedziałem już pani, w jaki sposób weszliśmy w ich posiadanie. Te tereny należą do nas, do nas również powinien należeć cały świat i niewątpliwie pewnego dnia tak właśnie się stanie. Nie brakuje jednak na morzach rozwdrzonych korsarzy, a najbardziej dokuczają nam przedstawiciele jednego narodu. Są wśród nich nieustraszeni marynarze, awanturnicy bez serca, okrutni mężczyźni, którzy napadają i łupią nasze nadmorskie miasta, przy okazji gwałcąc kobiety.

— Nie tylko jedna nacja stosuje takie praktyki — zauważyłam. — Mogę to powiedzieć na podstawie własnego doświadczenia.

— Będąc tutaj, musi się pani nauczyć trzymać język za

zębami. Kobiety nie powinny bez przerwy mówić. Ich obowiązkiem jest okazywanie łagodności i łaskawości wobec swoich panów.

— Nie wiedziałam, że waść jest moim panem.

— Musi się pani nauczyć jeszcze wielu rzeczy, a to będzie pierwsza lekcja. Ma pani mnie słuchać i będzie pani to robić. Proszę się nie odzywać, bo inaczej nadużyje pani mojej cierpliwości i niczego się nie dowie. Radzę zatem dostosować się do moich poleceń.

Po takim dictum mogłam jedynie umilknąć.

— Przejdźmy zatem do sedna sprawy — powiedział. — Przybyłem tu pięć lat temu. Byłem w owym czasie zaręczony ze szlachetnie urodzoną damą. Isabella otrzymała staranne wychowanie, lecz kiedy opuszczałem Madryt, była zaledwie trzynastoletnim dzieckiem, zbyt młodym, by wychodzić za mąż. Zdążyliśmy się więc jedynie zaręczyć. Miała przyjechać do mnie po ukończeniu piętnastego roku życia. Nie pozostawało mi zatem nic innego jak trochę poczekać. Po dwóch latach pobraliśmy się w Madrycie przez pełnomocnika. W uroczystej ceremonii wziął udział nawet sam król. Potem moja żona wyruszyła z Hiszpanii, a ja przygotowywałem się na jej przyjęcie. Nasze prawdziwe zaślubiny miały się odbyć tutaj, w katedrze w La Laguna, w dwa dni po przyjeździe Isabelli. Byliśmy gotowi na jej przyjazd. Rejs wydłużał się, ponieważ bezwietrzna pogoda na tydzień unieruchomiła żaglowiec na pełnym morzu. Wie pani, co to oznacza. Czekałem z ogromną niecierpliwością, lecz w tym czasie dotarła do mnie informacja, że na jednej z wysp Guancho wzniesiono rewoltę. Musiałem opuścić La Lagunę i po płynąć na tę wyspę. Przebywałem na niej trzy tygodnie. W tym czasie przyплыnęła Isabella. Nie mogłem jej osobiście przywitać, lecz dom już na nią czekał. Moja młoda

narzeczona została przyjęta ze wszystkimi honorami. Była zdeorientowanym piętnastoletnim dzieckiem, które nic nie wiedziało o życiu. Zdawałem sobie sprawę, że będę musiał wprowadzać ją we wszystko stopniowo i z ogromną delikatnością. Niestety, do tego nie doszło. Dwa dni po przyплыnięciu Isabelli, jej dueñi oraz całej świty pojawili się korsarze. Nie było mnie tu, by jej bronić — moja biedna narzeczona została zgwałcona, upokorzona i poniżona.

Zadrżałam.

— Biedne dziecko — mruknęłam.

— Zaiste, biedne dziecko, lecz to jeszcze nie koniec. Nie obeszło się bez okropnych konsekwencji.

Zapadła cisza. Nagle od portiery oderwała się ogromna ćma i podfrunęła do stołu. Przez dłuższą chwilę jak oszalała latała wokół płomienia świecy, przypalając sobie skrzydła, aż w końcu opadła. Oboje obserwowaliśmy ją w milczeniu.

— Próbowaliśmy powoli przywracać ją do zdrowia — wyjaśnił — lecz przekraczało to nasze możliwości.

— Zmarła? — spytałam.

Wpatrzył się w jakiś punkt za moimi plecami.

— Może lepiej by było, gdyby tak się stało.

Milczeliśmy przez jakiś czas. Przypomniały mi się lubieżne spojrzenia mężczyzn rzucające z moją stronę podczas morskiej ciszy i wyobraziłam sobie biedną małą piętnastoletnią dziewczynkę całkowicie zdaną na ich łaskę.

— Nie należę do mężczyzn, którzy łatwo wybaczą zniwagę — ciągnął. — Szukałem pomsty... Nic nie było w stanie mnie usatysfakcjonować, oprócz rewanzu. Postanowiłem zastosować zasadę: „Oko za oko, ząb za ząb”. Uważam, że mam do tego prawo. Proszę mi powiedzieć, że pani to rozumie.

— Rozumiem.

— Gdyby to panią w ten sposób skrzywdzono, rozumowałyby pani tak samo jak ja, prawda?

— Tak.

— Wyczuwam pani złość. To dobrze. Dzięki temu będzie pani bardziej uległa.

— Proszę o dalsze wyjaśnienia.

— To proste. Znam nazwę statku, z którego ludzie najechali owej pamiętnej nocy na nasze wybrzeże. Znam nazwisko gwałciciela Isabelli. Tym żaglowcem był „Nieokiełznany Lew”, a życie mojej narzeczonej zrujnował kapitan Jake Pennlyon.

Wstrzymałam dech i poczułam, że się rumienię. Wpatrywałam się w don Felipe. Moje wargi bezgłośnie powtórzyły: „Jake Pennlyon”.

— Teraz zaczyna pani rozumieć. Ten bandyta w okrutny sposób potraktował moją narzeczoną. Teraz jego narzeczonej jest w moich rękach. Nie jest pani głupia. Wie pani, o co mi chodzi.

— Wydaje mi się, że tak.

— Opowiem pani o Isabelli, pięknym, niedoświadczonym dziecku. Nasze narzeczone są młodziutkie... być może młodsze niż w Anglii. Miała piętnaście lat. Nic nie wiedziała o życiu ani małżeństwie. Miałem wprowadzić ją w te sprawy delikatnie... z ogromną czułością. Pani jest znacznie mocniejsza. Nie jest pani dzieckiem. Sporo wie pani o świecie. Może się okazać, że nie jest pani dziewczcą, lecz i tak mam zamiar się zemścić. On wziął siłą kobietę, która należała do mnie, więc ja wezmę należącą do niego. Mam nadzieję, że nie spodziewa się pani jego dziecka.

— Pan mnie obraża.

— Nie, szanuję pani dumę, ale znam mężczyzn takich jak on. Nie miałem zamiaru pani obrazić. Nie jesteśmy

bandytami.

Bardzo sobie cenimy dobre maniere, dlatego swój rewanz mam zamiar wziąć w stosowny sposób, o ile tylko mi pani na to pozwoli. Wiem, że nie była pani jego kochanką. Moi szpiedzy zdążyli mnie o tym poinformować.

— Fałszywy Rackell i jeszcze gorszy Gregory.

— To moi wierni ludzie — oświadczył — i tacy właśnie powinni być. Poprzysiągłem sobie, że się zemszczę, niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało. Bardzo bym się cieszył, gdyby się okazało, iż jest pani dziewczcą, gdyż dzięki temu mój odwet byłby całkowity.

— A więc tak wygląda pański cel?

— Nasz ślub odbył się zgodnie z planem. Niestety, Isabella postradała zmysły. Budziła się z krzykiem, miała koszmarne sny. Tylko jedna dueña umiała ją uspokoić. Gdy próbowałem zbliżyć się do swojej żony, odsuwała się ode mnie. Myliła mnie z nim. Potem okazało się, że jest brzemienna... że spodziewa się dziecka tego bandyty. Nie zdaje sobie pani sprawy z ogromu tej tragedii, ponieważ pani tego nie widziała. Po przysięgłem zemstę. W obliczu wszystkich świętych przyrzekłem, że nie spocznę, póki nie wezmę odwetu.

— Jak można składać taką przysięgę w świętym miejscu?

— Ślubowałem — ciągnął — w imię Boga Ojca i Najświętszej Marii Panny, położyłem na szali honor swojej rodziny i wiem, że w tej sprawie Bóg mnie wspiera, ponieważ właśnie znalazła się pani w moich rękach.

— Takim oto sposobem dramat rozegra się ponownie. Ja wcielę się w rolę Isabelli, a pan Pennlyona. — Odsunęłam się od tego dziwnego, zimnego mężczyzny. — Czy sądzi pan, że kiedykolwiek będzie pan taki jak on? Nie wyobrażam sobie człowieka, który bardziej różniłby się od niego...

— A pani w niczym nie przypomina Isabelli. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Dzięki bożej przychylności udało się nam wywieźć panią z Anglii. Przepłynęła pani niebezpieczne morze. A ja klnę się na swoich przodków i wszystkich świętych, że nie opuści pani Teneryfy, póki nie będzie pani nosić pod sercem mojego dziecka. Zawiezie pani temu człowiekowi mojego bękartą, tak jak on zostawił mi swojego.

— I sądzi pan, że potulnie panu ulegnę?

— Uważam, iż nie ma pani innego wyjścia.

— Mam pozwolić, by traktował mnie pan jak narzędzie umożliwiającej dokonanie zemsty?

— Isabella posłużyła temu człowiekowi jedynie do zaspokojenia pożądania.

— Uważa się pan za człowieka uprzejmego i wrażliwego?! Moim zdaniem jest pan draniem i korsarzem! Chociaż jest pan zbyt wytwornym człowiekiem, by tułać się po morzach i osobiście porywać kobiety, ma pan wiernych służących, którzy je panu przywiozą. Jest pan takim samym nikczemnikiem jak on.

— Złożyłem przysięgę i mam zamiar jej dotrzymać. Prawdę mówiąc, bardzo różnię się od mężczyzny, który miał zostać pani mężem. Daję pani wybór. Może pani potulnie się poddać. Jeśli nie, będę musiał użyć przemocy.

— Nie wątpię, że on też jej to zaproponował.

Wstałam i ruszyłam w stronę drzwi. Dogonił mnie.

— To wszystko jest dla mnie wstętnie — powiedział. — Proszę sobie nie wyobrażać, że czuję w stosunku do pani choć odrobinę pożądania.

— Czy zatem mogę mieć nadzieję, że jestem dla pana równie odpychająca jak pan dla mnie?

— Może mi pani uwierzyć, że robiąc to, co muszę zrobić, tak samo jak pani nie będę odczuwał żadnej przyjemności.

Ale jest to konieczność i do pani należy wybór, czy nasze spotkania przebiegną cicho i spokojnie, czy też będą dla pani wyjątkowo upokarzające.

Spojrzałam na niego. Był szczupły, nie wyglądał na tak silnego jak Jake Pennlyon, przy którym kobieta natychmiast wiedziała, że nie ma szansy. Mogłam walczyć z tym mężczyzną, lecz dokąd miałabym uciec?

Najwyraźniej odczytał moje myśli.

— Mam wielu służących. Wystarczy, że kogoś zawołam. To mocni mężczyźni, którzy błyskawicznie zwiążą panią niczym kurczaka. Ale nie chcę tego robić. Zależy mi na szybkim załatwieniu sprawy, pragnę również zaoszczędzić zakłopotania sobie i pani. Nie winie pani za to, co się stało. Jednakowoż jest pani niezbędna jako narzędzie zemsty.

Doszłam do wniosku, że bardziej bym go szanowała, gdyby powodowało nim pożądanie — wszystko byłoby lepsze niż ta zimna postawa intryganta.

— Poślę po Marię — oświadczył. — Ona zaprowadzi panią do sypialni i wszystko odpowiednio przygotowuje. Przyjdę do pani. Błagam jednak o rozwagę. Chyba zdaje sobie pani sprawę, że jest całkowicie bezradna i że nic nie może zrobić. Sprawa i tak jest już przesądzona. Od pani zależy jedynie, jak to wszystko się odbędzie.

Podszedł do drzwi. Maria musiała tam czekać, gdyż weszła i od razu wiedziała, co ma zrobić. Wróciłam z nią do sypialni.

Wydaje mi się, iż wcześniej zawsze działałam pod wpływem impulsu. Zdecydowanie wyrażałam zgodę lub odmowę. Rzadko bywałam niezdecydowana. „Policz do dziesięciu, nim coś powiesz” — mawiała matka. Teraz mogłam liczyć dzień i noc, a i tak nie wiedziałabym, co zrobić. Miałam zostać kochanką tego człowieka. To było nieuniknione jak wschód i zachód słońca. Nie widziałam

żadnej szansy, by temu zapobiec. Uwięziono mnie na tej wyspie i nic nie mogło mnie uratować. Powiedział, że jeśli spróbuję mu się oprzeć, zastosuje wobec mnie przemoc, a nie należał do ludzi, którzy robiliby coś takiego osobiście, tak samo jak nie wziął osobiście udziału w uprowadzeniu mnie. W tym celu wykorzystywał innych.

Maria rozebrała mnie i włożyła mi przez głowę jedwabną koszulę. Pachniała tak samo jak wszystko inne. Dziewczyna odsunęła narzutę i pokazała, że powinnam się położyć. Zrobiłam to, nie mogąc opanować drżenia. Toczyłam wewnętrzną walkę. Wyobraziłam sobie, że mam spętane kostki i że mój gospodarz bierze mnie przemocą, tak jak Jake Pennlyon zgwałcił Isabellę. Nie zniosłabym tego — a koniec byłby dokładnie taki sam.

Maria zdmuchnęła świece, po czym wyszła i zamknęła drzwi. W pokoju zapanowała ciemność.

Wyskoczyłam z łóżka i chwyciłam za klamkę. Drzwi były zamknięte. Podeszłam do okna i odciągnęłam zasłony. Do pokoju wpadło światło księżyca. Otworzyłam okno i wyszłam na balkon. Zastanawiałam się, czy zdołałabym zejść na dół, na patio. Mogłabym poszukać Honey i poprosić ją, by udzieliła mi schronienia.

Wyobraziłam sobie, że dotykają mnie szorstkie ręce. Ten człowiek miał rację, mówiąc, iż muszę dokonać wyboru. Czy mam udawać uległość, czy pozwolić na poniżające użycie siły?

Było już za późno. Usłyszałam, że ktoś wkłada klucz do zamka. Pobiegłam do łóżka i położyłam się w nim. Czułam przyspieszone bicie serca.

Wszedł do pokoju. W blasku gwiazd zobaczyłam stojącą przy łóżku postać. Gdy don Felipe zdjął szlafrok, zamknęłam mocno oczy. Potem poczułam wędrujące po moim ciele ręce i



delikatny oddech na twarzy.

Próbowałam się uspokoić, lecz nie mogłam przestać myśleć: „O Boże, uchroniłam się przed Jakiem Pennlyonem i lubieżnymi marynarzami z galeonu, a teraz...”

\* \* \*

Minął tydzień. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że coś takiego spotyka właśnie mnie. W ciągu dnia bardzo rzadko widywałam gospodarza hacjendy, który jednak niezmiennie odwiedzał mnie każdej nocy. Nigdy nie zostawał na dłużej. „Ta sprawa”, jak to określał, była dla niego tak samo odrażająca jak dla mnie. Nigdy nie przypuszczałam, że można mieć tak zimnego kochanka, z drugiej jednak strony to, co robił, nie miało nic wspólnego z miłością — była to jedynie zemsta.

Owszem, każdym z nas powodowały jakieś zdecydowane uczucia — nim chęć zemsty, a mną nienawiść. Nienawidziłam go za to, że wykorzystywał mnie w tak upokarzający sposób. Okradł mnie z godności i człowieczeństwa. Przestałam być kobietą, którą można kochać lub jej nienawidzić, byłam narzędziem zemsty, z której absolutnie nie mógł zrezygnować. Ilekroć się nad tym zastanawiałam, moja nienawiść rosła. Ten człowiek próbował dać początek nowemu życiu, starał się spłodzić dziecko, lecz robił to tylko po to, by wziąć odwet. Czy można sobie wyobrazić bardziej upokarzającą sytuację?

Tylko ktoś niezwykle butny może myśleć o wykorzystywaniu w takim celu innych ludzi. Don Felipe był tak samo podły jak Jake Pennlyon. Nienawidziłam ich obu. Jak oni mogą traktować kobiety w taki sposób?

Podczas owych nocnych wizyt myślałam o Jake’u

Pennlyonie i wyobrażałam sobie chwilę, kiedy pojawił się w tym domu i znalazł Isabellę. Byłam Isabellą, a człowiekiem, który właśnie mnie wykorzystywał, był Jake Pennlyon.

Za dnia traktowano mnie z szacunkiem. Wszędzie czekali na mnie służący. W ciągu pierwszego tygodnia nie pozwolono mi wychodzić z domu, jednakowoż widywałam się z Honey. Zaprowadzono mnie do niej po pierwszej nocy. Byłam zaszokowana tym, co mi się przydarzyło, potem jednak zaczęło zaskakiwać mnie co innego — fakt, że tak szybko przyzwyczajam się do wizyt don Felipe.

Pierwsze spotkanie mnie przeraziło — w końcu byłam dziewicą i chociaż trochę wiedziałam o seksie, nie miałam żadnego doświadczenia. Na szczęście mogłam przynajmniej porozmawiać z Honey.

Została dobrze przyjęta, dano jej miły pokój, a funkcję pokojówki pełniła Jennet. Moja siostra była zdezorientowana i nie wiedziała, czemu się tu znalazła, dopóki nie powiedziałam jej, co mnie spotkało.

Słuchała z niedowierzaniem.

— To zbyt nieprawdopodobne, by mogło być prawdziwe.

— Don Felipe to mściwy, zimny i okrutny człowiek, gotów zemścić się za wszelką cenę. Wyśle nas do Anglii, gdy będę brzemienna... Nie wcześniej.

— A więc to wszystko zostało starannie zaplanowane.

— Jakież człowiek byłby w stanie obmyślić coś takiego? Na tej podstawie można domniemywać, co to za mężczyzna. Oko za oko. Musi się zrewanżować dokładnie w taki sam sposób. To Jake Pennlyon zrujnował mi życie, Honey. Wiedziałam o tym od samego początku.

— Młoda żona don Felipe została zgwałcona! To okropne, Catharine.

— Nie wiem, co się z nią stało. Mogę się jedynie

domyślić, jak bardzo cierpiał nasz gospodarz, gdy po powrocie zastał... W końcu to było piętnastoletnie dziecko. Pomyśl o tym, Honey, pomyśl o niej i o Jake'u Pennlyonie.

Potem wybuchnęłam histerycznym śmiechem.

— Zostałam zgwałcona. Tak samo jak każda inna wykorzystana seksualnie kobieta, choć może dokonano tego w bardziej uprzejmy sposób. — Ukryłam twarz w dłoniach.

Honey potrząsnęła mną.

— Nie rób tego, Catharine — powiedziała. — Nie śmieję się w taki sposób. To już się stało. Zastanówmy się, co dalej. Ten człowiek...

— Będzie mnie odwiedzał co noc, tak przynajmniej powiedział. Och, Honey, kiedy pomyślę o...

— Nie myśl o tym. Nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić. Zostałyśmy uwięzione i teraz przynajmniej wiemy, w ja kim celu. Dobrze, że nie używa wobec ciebie przemocy.

— Jedyne wykorzystuje mnie seksualnie — uzupełniłam.

— Catharine, przeżyliśmy tyle potwornych tragedii. Tylko pomyśl. Edward nie żyje. Wkrótce urodzę dziecko. Jesteśmy z dala od domu. Ten człowiek wziął cię wbrew twojej woli, na szczęście nie użył w tym celu przemocy, choć mógł.

— Tak jak zrobił to Jake Pennlyon z Isabellą. Lecz może miała jakiś wybór. Ja zdecydowałam się na pasywność. Teraz żałuję, że z nim nie walczyłam.

— Spróbuj zachować spokój — doradziła mi Honey. — Za czekajmy. Zobaczmy, co będzie dalej. Nie wiemy, co nas czeka. Ten człowiek ma cię w swojej mocy. Takie sytuacje zdarzały się dziewczętom od dawna. Spróbujmy jakoś znieść to, co przynosi nam los.

Przez cały dzień byłam z Honey, lecz ani na chwilę nie mogłam przestać myśleć o tym, co mi się przydarzyło. Bez przerwy zastanawiałam się nad sobą i tym dziwnym, zimnym

człowiekiem, a także Isabellą i Jakiem Pennlyonem. Wieczorem przysłała do mnie Maria. Wykąpałam się, po czym zostałam namaszczona perfumowaną oliwką — don Felipe był bardzo wybrednym mężczyzną. Tej nocy ponownie do mnie przyszedł.

\* \* \*

Wszyscy domownicy wiedzieli, że jestem kochanką gubernatora. Nie chciał widywać się ze mną w ciągu dnia, lecz co noc mnie odwiedzał, aczkolwiek nie zostawał na dłużej. Jego wizyty były krótkie — zostawał dopóty, dopóki nie osiągnął swego celu.

Traktowano mnie z szacunkiem. Honey również. Ciche domostwo zapewniało o wiele lepsze warunki niż galeon, a Honey była już na takim etapie ciąży, że wymagała pewnych wygód, Jennet z łatwością dostosowała się do nowych warunków. Przez dzień lub dwa opłakiwała Alfonso, wiedziałam jednak, że niemal natychmiast znalazła sobie kogoś następnego. Wśród służby nie brakowało mężczyzn, którzy śledzili ją wzrokiem, do czego zdążyłam się już przyzwyczaić.

Przez pierwszy tydzień zbyt przejmowałam się sobą, by myśleć o swej siostrze lub pokojówce. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że coś takiego spotkało właśnie mnie. Liczyłam na to, że w pewnym momencie się obudzę, a wtedy okaże się, iż to tylko sen, który zaczął się owej nocy, kiedy w zatoce zobaczyłam galeon, a w naszym domu pojawili się obcy mężczyźni.

Potem ze zdziwieniem zauważyłam, że powoli zaczynam się do wszystkiego przyzwyczajać. Do cichych, spokojnych dni, domu, pięknego ogrodu z kwiatami, których na próżno

szukać by w Anglii, ciepłego słońca i rosnących na zamkniętej przestrzeni drzew i krzewów owocowych. Właściwie miałyśmy dość dużą swobodę, lecz przy bramie stali wartownicy, którzy nie wypuszczali nas poza obręb domu i ogrodu. Miałyśmy do dyspozycji salon z przyborami do szycia, krosnami i różnymi płótnami do haftowania. Honey mogła uszyć sobie suknie, lecz mnie na to nie pozwolono. W mojej sypialni stała szafa, a w niej suknie, spośród których mogłam swobodnie wybierać. Były tam piękne kobiece stroje, niestety większość pachniała tak samo jak oliwka, którą pod koniec każdego dnia smarowała mnie Maria. Bardzo chciałam wiedzieć, skąd pochodzą te suknie, lecz Maria jedynie potrząsała głową.

Od czasu do czasu widywałam don Felipe. Jeździł na pięknym białym koniu. Wspaniale prezentował się w siodle. Często przez cały dzień przebywał poza domem, lecz zawsze wracał na noc. Niezmiennie o określonej porze przychodził do mojej sypialni i rzadko ze mną rozmawiał.

Moje nastroje bardzo się zmieniały — czasami próbowałam okazać mu swoją pogardę, kiedy indziej robiłam wszystko, by wiedział, jak bardzo go nienawidzę. Niekiedy miałam ochotę zawołać: „Niech pan szybko spółdzi to dziecko, żebym mogła się już od pana uwolnić!” To znowu ogarniała mnie chęć, by mu oświadczyć: „A jeśli okażę się bezpłodna? Co wtedy, mój mściwy milordzie?”

Nigdy jednak nie powiedziałam ani jednego, ani drugiego. Tak minął pierwszy, bardzo dziwny tydzień.

Przestałam wypatrywać statku na horyzoncie. Pogodziłam się z losem. Walczyłam, lecz poniosłam porażkę. Zostałam zgwałcona i wykorzystana. Zaczynałam się zastanawiać, w jaki sposób można się zemścić na ludziach w rodzaju don Felipe i Jake’a Pennlyona, to znaczy mężczyznach, którzy

uważają, iż kobiety służą jedynie do zaspokajania pożądania lub chęci zemsty.

Nienawidziłam don Felipe Gonzalesa w takim samym stopniu jak Jake'a Pennlyona.

\* \* \*

Obie z Honey wypracowałyśmy sobie harmonogram dnia. Był marzec tysiąc pięćset sześćdziesiątego roku. Dziecko mojej siostry miało przyjść na świat za kilka tygodni. W związku ze zbliżającym się porodem wszystko inne wydawało się nie mieć żadnego znaczenia. Honey myślała wyłącznie o dziecku. Bez przerwy szła dlań wyprawkę, wykorzystując w tym celu materiały, które znajdowałyśmy w salonie do szycia. Ja co prawda nigdy nie lubiłam posługiwać się igłą, lecz w owym czasie znacznie udoskonaliłam swoje umiejętności, gdyż po prostu musiałam czymś się zająć. Często zastanawiałam się, czy to normalne, że w domu takim jak ten urządzono pokój do szycia. Honey traktowała to jako coś całkiem oczywistego i wręcz była za to wdzięczna naszemu gospodarzowi. Przypuszczałam, iż pomieszczenie to zostało przygotowane dla Isabelli. Ciekawe, czy kiedykolwiek z niego korzystała.

Często siedziałam beczynnie, snując bezsensowne spekulacje, lecz Honey prawie w ogóle mnie nie słuchała — była całkowicie zaabsorbowana dzieckiem.

W tydzień po naszym przyjeździe do hacjendy odkryłyśmy Casa Azul. Był to maleńki domek znajdujący się na terenie otoczonym wysokim murem. Widywałyśmy go z daleka i często zastanawiałyśmy się, co to jest. Tego ranka postanowiłam zaspokoić swoją ciekawość.

Uparłam się, by Honey mi towarzyszyła, lecz kiedy

zorientowała się, że podążam w stronę Casa Azul, chciała zawrócić.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Coś odpycha mnie od tego domku.

— Jesteś dziwaczką.

— Nie chcę robić niczego, co mogłoby zaszkodzić dziecku.

— Co cię naszło, Honey? Co jeszcze może się nam zdarzyć?

Dziecko, które zdołało przetrwać ostatnie miesiące, z pewnością poradzi sobie jeszcze przez kilka tygodni.

Podeszła ze mną do żelaznej bramy, przez którą obie zerknęłyśmy na dziedziniec wyłożony kamieniami w różnych odcieniach błękitu, skąd niewątpliwie wzięła się nazwa domu. Wszędzie rosło mnóstwo wszelkiego rodzaju kwitnących krzewów, stanowiących barwne plamy na tle zielonego listowia.

— Jak tu pięknie! — zauważyłam.

— Raczej ponuro — upierała się Honey.

Pchnęłam żelazną bramę i kiwnęłam na Honey. Ruszyła za mną, lecz zrobiła to bardzo niechętnie.

Dziedziniec spowijała całkowita cisza i atmosfera tajemniczości. Spoglądały na nas pozasłaniane okna z balkonami. Było to wyjątkowo malownicze miejsce. Wyobraziłam sobie siedzące dookoła dziewczęta w czerwonych halkach i czarnych koronkowych mantylach. Pod ścianą stała drewniana ławka z ażurowym oparciem. Przeszłam na paluszkach przez dziedziniec i usiadłam na niej.

Honey niechętnie poszła w moje ślady.

— Nie przyszło ci na myśl, że może właśnie wtargnęłyśmy na cudzy teren?

— To część jego posiadłości — wyjaśniłam. — Chcę

zobaczyć wszystko, co mogę.

Honey wyglądała na zrozpaczoną. Zachowywała się tak, ilekroć coś o nim mówiłam, lecz tym razem nie miałam ochoty rozmawiać o don Felipe. W ciągu dnia starałam się zapomnieć o jego ukradkowych wizytach.

Nagle w jednym z okiem dostrzegłam ruch, a potem na balkonie pojawiła się dziewczynka. Doszłam do wniosku, że wygląda jak lalka. Miała długie ciemne włosy. Odziana była w czarny aksamit ozdobiony wokół szyi i nadgarstków białą koronką. Uznałam, że to dziecko może mieć jedenaście lub dwanaście lat.

Zawołała coś po hiszpańsku, a ja domyśliłam się, że pyta, kim jesteśmy.

Odpowiedziałam po angielsku:

— Mieszkamy w hacjendzie.

Dotknęła palcem warg, jakby próbowała mnie uciszyć, a potem powiedziała coś jeszcze i zniknęła.

— Jaka śliczna dziewczynka! — uradowała się Honey. — Ciekawe, kto to jest.

Po chwili tajemnicza osóbka pojawiła się na dziedzińcu. Przyniosła laleczkę w czerwonej satynowej halce i czarnej mentyli. Lalka była bardzo podobna do swojej właścicielki.

Dziewczynka wyciągnęła laleczkę w naszą stronę i wykonała nią ukłon. Dygnęłam, a wówczas wybuchnęła głośnym śmiechem. Była oszałamiająco urodziwa, lecz w jej ogromnych ciemnych oczach czaiło się coś dziwnego.

Ujęła mnie za rękę i usiadła obok mnie na ławce. Potem zauważyła, że Honey jest brzemienna, i zaczęła krzyczeć: „Nie, nie!” Ukryła twarz w dłoniach, na których połyskiwały pierścionki. Na nadgarstkach zauważyłam złote bransoletki. Po chwili dziewczynka odwróciła się plecami do Honey, jakby koniecznie chciała zapomnieć o jej obecności, a patrząc



na mnie, uśmiechała się uszczęśliwiona.

Wymamrotała coś, lecz ja zdołałam jedynie wychwycić słowa *bella* i *muñeca*, a ponieważ myślałam, że mówi o swojej lalce, odparłam, kalecząc hiszpański, że rzeczywiście jest piękna. Zaczęła ją kołysać, tak jak kołysze się dziecko, a ja uznałam, że ta dziewczynka jest zbyt duża na takie zabawy.

Potem w drzwiach pojawiła się jakaś postać.

— Isabello! — zawołała piskliwie i rozkazująco.

Chociaż powoli zaczynałam domyślać się prawdy, i tak przeżyłam potworny szok. A więc to była żona don Felipe. Dziewczyna, którą zgwałcił Jake Pennlyon.

Isabella posłusznie wstała i podeszła do kobiety. Objęła ją jedną ręką, w drugiej wciąż trzymając lalkę. Z ust opiekunki popłynął potok słów. Sądząc po tonie, była to czuła połajanka. Przez cały czas kobieta bacznie się nam przyglądała. Jej przenikliwe oczy zerkały spod krzaczastych brwi, w których gdzieś widać było siwiznę.

Wzięła dziewczynkę za rękę i pociągnęła ją w stronę drzwi, lecz nagle Isabella zrobiła się nieznośna i zaczęła głośno protestować. Odwróciła się, spojrzała na nas, po czym wyrwała się swej opiekunce i ponownie podeszła do ławki. Wtedy poczułam dobrze sobie znany zapach, zapach, który unosił się w łazience i którym przesiąknięte były suknie. Czułam go w sypialni, doznając swego conocnego upokorzenia. Zastanawiałam się, co to jest.

Dziewczynka coś do nas powiedziała, lecz mówiła po hiszpańsku, dlatego jej nie zrozumiałam. Potem podeszła jej opiekunka, wzięła ją za rękę i zdecydowanie odciągnęła od nas.

W drzwiach odwróciła się i na odchodnym powiedziała coś, co przypuszczalnie oznaczało „idźcie sobie stąd”.

Drzwi się zamknęły i zostałyśmy same.

— Co to za dziwna scena! — powiedziałam.

— Zasłużyłyśmy sobie na to. Nie miałyśmy prawa ta przychodzić. Ciekawe, co to za dziewczynka.

— To musi być jego Isabella — wyjaśniłam.

— Masz na myśli... jego żonę? Ależ to było dziecko.

Drzwi na dziedziniec otworzyły się i stanął w nich Richard Rackell.

— Idźcie stąd — powiedział szybko. — Nie powinnyście tu przychodzić.

— To zakazany teren? — spytałam oziębłe. Nie mogłam zapomnieć, jaką rolę odegrał w naszym uprowadzeniu.

— Nie było żadnych wyraźnych rozkazów — odparł, nie zamykając drzwi. Potem dodał: — Proszę. — Gdy ruszyłyśmy, powiedział: — To była okropna tragedia.

— Niezależnie od tego, co tu się wydarzyło — rzekłam żarliwie — wcale nie usprawiedliwia to krzywdy, jaką nam wyrządzono, nie rozgrzesza również naszych krzywdzicieli.

— Widziałyście lady Isabellę — zauważył. — To dziecko. Po pojawieniu się „Nieokiełznanego Lwa” postradła rozum. Żyje jak dziecko pod opieką swojej dueńi.

— Jest piękna — zauważyłam.

— Widziała pani jedynie piękną, lecz całkiem pustą skorupkę. Isabella nie jest w stanie niczego pojąć, wróciła do dzieciństwa. Interesują ją tylko lalki. To ogromna tragedia. Mam nadzieję, że rozumiecie.

Chciałam zostać sama. Nie mogłam zapomnieć pięknej, lecz pozbawionej wyrazu twarzy.

Dręczył mnie również zapach perfum. Dopiero teraz zrozumiałam pewne rzeczy. Don Felipe próbował sobie wyobrazić, że jestem Isabella. Dlatego musiałam nosić jej suknie i używać jej perfum. Usiłował przekonać samego

siebie, że kobieta, do której co noc przychodzi, to Isabella.

\* \* \*

Moje podejście do niego uległo pewnej zmianie. Było mi go żal. Wyobrażałam sobie jego powrót z wyprawy. Spodziewał się, że zostanie czekającą na niego piękną narzeczoną. Już wcześniej załatwił ślubną ceremonię. Miał zostać mężem szlachetnie urodzonej Isabelli. Jego narzeczona mogła być piętnastoletnim dzieckiem, lecz w Hiszpanii dziewczęta wcześnie wychodzą za mąż. Felipe Gonzales był dżentelmenem — z pewnością zabiegałby o względy żony i powoli wprowadzał ją w arkana miłości. Jednakowoż nieco wcześniej pojawił się Jake Pennlyon ze swoimi ordynarnymi korsarskimi obyczajami, zgwałcił tę delikatną istotę i zniszczył pączek, który nie zdążył jeszcze rozkwitnąć. Dlatego pomieszało jej się w głowie.

Doszłam do wniosku, że serdecznie nienawidzę Jake’a Pennlyona, natomiast zaczęłam współczuć Felipe Gonzalesowi.

Jake Pennlyon! Żałowałam, że kiedykolwiek zobaczyłam tego człowieka na oczy! Ściągnął na mnie tyle nieszczęść. Byłam więźniem co noc skazanym na potworne upokorzenie — a wszystko przez Jake’a Pennlyona. Deptano moją dumę, a moje ciało wykorzystywano jako narzędzie zemsty. Stanowiłam substytut pięknej młodziczej dziewczyny, której pomieszało się w głowie przez Jake’a Pennlyona, a mój gwałciciel musiał sobie wmawiać, że jestem Isabella, inaczej nie byłby w stanie się ze mną pokochać — o ile w tej sytuacji w ogóle można użyć tego słowa.

Lecz pominąwszy moją urażoną dumę, zaczynałam poważnie obawiać się o Honey. Zbliżał się jej czas. W

pierwszym roku małżeństwa poroniła, dlatego tym razem musiała bardzo uważać. Za kilka tygodni miała urodzić dziecko. Co będzie, jeżeli maleństwo postanowi nieco wcześniej przyjść na świat? Kto zajmie się Honey?

Postanowiłam zobaczyć się z Felipe Gonzalesem. Naprawdę bardzo rzadko widywałam go w ciągu dnia, czasami wręcz dochodziłam do wniosku, że mnie po prostu unika. Był to bardzo dziwny związek między dwójką ludzi.

Wiedziałam, że o określonych porach dnia przebywa w pokoju, który nazywano *escritorio*. Postanowiłam go tam odwiedzić. Ilekroć zastanawiałam się nad swoimi uczuciami, zdawałam sobie sprawę, że od chwili, kiedy zobaczyłam Isabellę, uległy one znacznej zmianie. Byłam urażona, zrozumiałam, dlaczego kazał mi nosić suknie Isabelli i używać jej perfum, lecz jednocześnie trochę mu współczułam. Doskonale rozumiałam, co musiał przeżyć. Czekąco go wspaniałe małżeństwo, tymczasem po powrocie okazało się, że jego piękna narzeczona to jedynie pusta skorupka, pozbawiona jakiegokolwiek wnętrza. Wyobrażałam sobie smutną ceremonię i Isabellę krzyczącą ze strachu, ilekroć don Felipe próbował się do niej zbliżyć. Na domiar złego po jakimś czasie okazało się, że jest brzemienna i że nosi pod sercem dziecko Jake'a Pennlyona. To musiała być ogromna tragedia. Przypuszczałam, iż wzywał moce piekielne przeciwko człowiekowi, który był za to wszystko odpowiedzialny. Rozumiałam nawet powodującą nim chęć zemsty.

Lecz jednocześnie byłam zła. Choć jeszcze nie tak dawno byłam bardzo pożądana przez Jake'a Pennlyona i innych, teraz musiałam nosić suknie Isabelli, by ten człowiek zdołał się podniecić. Zdawałam sobie sprawę, iż owa złość jest głupia i bezsensowna, niemniej nie potrafiłam się jej pozbyć.

Doszłam do wniosku, że muszę porozmawiać z don Felipe, tym bardziej że naprawdę niepokoiłam się o Honey.

Siedział przy stole zarzuconym mnóstwem papierów. Gdy weszłam, wstał.

— Rozkazałem, by mi nie przeszkadzano — oświadczył.

— Muszę z panem porozmawiać — odparłam. — Mam panu coś ważnego do powiedzenia.

Ponownie się uklonił i jak zwykle zrobił to z ogromną uprzejmością. Cieszyłam się, iż w pokoju panuje półmrok. Byłam zażenowana, mogłam zresztą przysiąc, że on również. Oto stała przed sobą dwójka ludzi w ciągu dnia całkiem sobie obcych, aczkolwiek nocami łączyły ich bardzo intymne stosunki.

— Przyszłam porozmawiać z panem na temat swojej siostry.

Zauważyłam, że poczuł ogromną ulgę. Usiadłam, a don Felipe wrócił na swoje miejsce.

— Jak pan wie, wkrótce spodziewa się dziecka. Poród może się zacząć lada chwila. Chciałabym wiedzieć, co można dla niej zrobić.

— Wśród mojej służby nie brakuje niewiast — odparł.

— Honey będzie potrzebowała akuszerki.

— W La Laguna jest kobieta, która pomaga przy porodach.

— W takim razie koniecznie trzeba ją tu sprowadzić. Moja siostra nie może ponosić winy za to, że została porwana. — Przyznał mi rację. — To samo dotyczy mnie i mojej pokojówki — ciągnęłam ze złością, przeklinając jego nienaganne, lecz pełne rezerwy maniery. Nie mogłam przestać myśleć o tym, iż ten człowiek za wszelką cenę pragnie widzieć we mnie Isabelle. — Na siłę wyciągnięto nas z domu i wykorzystano w niecnym celu.

Uniósł dłoń.

— Wystarczy — powiedział. — Poślę po akuszerkę.

— Pewnie chciałby pan, żebym podziękowała, ale to przekracza moje możliwości.

— Wcale nie musi mi pani dziękować. Wystarczy, że będzie pani miała akuszerkę.

Podniósł się z krzesła — tym gestem próbował dać mi do zrozumienia, iż nasza rozmowa dobiegła końca, jednakowoż nie miałam zamiaru dać się zbyć. Byłam zła, że wykorzystuje mnie w taki sposób, lecz widząc jego eleganckie ubranie, zimną, pozbawioną wyrazu twarz i nienaganne maniery, ponownie zaczęłam myśleć o naszych nocnych spotkaniach. Byłam gwałcona, odzierana z godności, pozbawiana własnej woli, a wszystko dlatego, by mógł się zemścić. W tym momencie ogarnęła mnie tak potworna złość, że koniecznie chciałam sprawić mu ból.

— Modłę się — oświadczyłam — by jak najszybciej się od pana uwolnić.

— Na razie jest na to jeszcze za wcześnie — rzekł. — Lecz na równi z panią błagam niebiosą, byśmy wkrótce zostali uwolnieni od tego niemiłego obowiązku.

Wpadłam w taką wściekłość, że chętnie bym go uderzyła.

— Odnoszę wrażenie — krzyknęłam — że nie ma pan zbyt wielkich trudności w wywiązywaniu się z owego „niemiłego obowiązku”!

— Miło mi, że się pani o mnie martwi, aliści mogę zapewnić, iż istnieją powody, dla których trudno mi się podniecić.

— Jak długo ma pan zamiar spełniać tenże obowiązek?

— Mogę panią zapewnić, że gdy tylko przekonam się, iż moje wysiłki przyniosły efekt, z ogromną przyjemnością i ulgą przestanę panią odwiedzać.

— Prawdopodobnie jestem już brzemienna.

— Musimy mieć co do tego całkowitą pewność — oświadczył.

— Ale przecież to dla pana taki wysiłek. Chętnie bym go panu oszczędziła.

— Proszę nie odmawiać mi prawa do zemsty. Im wcześniej osiągnę oczekiwany efekt, tym lepiej.

— Czy kiedy przekona się pan, że pańskie obrzydliwe nasienie dało początek nowemu życiu, odeśle mnie pan do domu?

— Wróci pani do swojego narzeczonego w takim samym stanie, w jakim on zostawił Isabelłę.

— Zaiste, jest pan mściwym człowiekiem — powiedziałam. — Pragnąc się zrewanżować, jest pan gotów wdeptać innych w ziemię.

— Takie postępowanie wcale nie należy do rzadkości.

— Nienawidzę pana za pańskie okrucieństwo, brak wrażliwości, oziębłość, wyrachowanie i mściwość. Podejrzewam jednak, że to nie ma dla pana żadnego znaczenia.

— Żadnego — potwierdził, po czym wstał i uklonił się.

Wyszłam, lecz przez cały dzień o nim myślałam i zastanawiałam się, w jaki sposób mogę się na nim zemścić.

Później tego samego dnia przyjechała do hacjendy akuszerka. Zaprowadzono ją do Honey. Ku naszej ogromnej radości znała trochę angielski. Była kobietą w średnim wieku i swego czasu pracowała w Kadyksie u rodziny, która miała dwójkę angielskich służących. Oczywiście, jej znajomość naszego języka była bardzo ograniczona, lecz z prawdziwą ulgą stwierdziłyśmy, że jesteśmy w stanie się porozumieć.

Powiedziała nam, że Honey jest w dobrym stanie i że dziecko urodzi się mniej więcej za tydzień. Pytała, czy będzie

mogła zatrzymać się w hacjendzie, żeby nie trzeba było ściągać jej w środku nocy.

Przy tej rozmowie była obecna Jennet. Nagle owa kobieta odwróciła się i spytała moją pokojówkę, kiedy spodziewa się dziecka.

Jennet potwornie się zarumieniła. Spojrzałam na nią zdumiona. Dopiero teraz dostrzegłam to, co było wyraźnie widoczne i co dotychczas z powodzeniem udawało jej się przed nami ukrywać.

Powiedziała, że chyba minęło już pięć miesięcy. Akuszerka szturchnęła ją i zaproponowała, że ją zbada. Wyszły razem do sąsiedniego pokoju, gdzie sypiała Jennet.

— Wcale mnie to nie dziwi — wyznała Honey. — Wcześniej czy później coś takiego musiało się zdarzyć. To pewnie dziecko Alfonso.

— Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie Rackella. To dziwne. Mogłabym przysiąc, że od wypłynięcia z domu w ogóle nie zwraca na niego uwagi.

— Nie odpowiadałby jej po Alfonso.

— Sądzę, że Jennet woli mieć jakiegokolwiek mężczyznę niż żadnego.

— Czasami bywasz dla niej niemiła, Catharine. Trudno winić ją o to, że hiszpański żeglarz zmajstrował jej dziecko.

— Nie sądzą, by mu się zbyt opierała.

— Wcale nie byłoby dobrze, gdyby to zrobiła. Uległa mu, to wszystko.

Nagle zaczęłam się śmiać.

— Wszystkie trzy, Honey... pomyśl tylko! Wszystkie będziemy mieć dzieci. Ponieważ nie wątpię, że wkrótce i ja będę w błogosławnym stanie. I tylko ja jedna padłam ofiarą prze mocy. Zastanawiam się, co można czuć do nieślubnego dziecka, którego pojawienie się na świecie jest wynikiem



gwałtu. Oczy wiście, to bardzo uprzejmy gwałt. Nigdy nie myślałam, że spotka mnie coś takiego. — Śmiałam się, lecz nagle po policzkach popłynęły mi łzy. — Płacę — powiedziałam — po raz pierwszy płacę. Rozczulam się nad sobą. Jest we mnie tyle nienawiści, Honey... do niego i do Jake'a Pennlyona. Obaj próbują załatwić sprawę między sobą. Gdyby nie to, byłabym w Abbey u matki. — Ukryłam twarz w dłoniach, a Honey próbowała mnie pocieszyć. — Wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. Razem z Careyem planowaliśmy takie wspaniałe życie.

— Rzeczywistość zawsze znacznie odbiega od naszych marzeń, Catharine.

Na jej twarzy pojawił się smutek i żal. Przed oczyma stanął mi jej miły mąż, leżący na bruku w kałuży własnej krwi.

— Co z nami będzie? — spytałam.

— Przyszłość okaże — odparła.

Jennet wróciła z wypiekami i pewną dozą powagi na twarzy. Tak, była brzemienna.

— Wiedziałaś o wszystkim, tylko trzymałaś to w sekrecie — powiedziałam z wyrzutem.

— Brakowało mi odwagi, by się przyznać — odparła nieśmiało.

— Dlatego ukrywałaś prawdę, zakładając więcej halek.

— No cóż, panienko, nie miałam innego wyjścia.

— Rzeczywiście jesteś w piątym miesiącu ciąży?

— Prawdę mówiąc, w szóstym — wyznała Jennet.

Przymrużyłam oczy i spojrzałam na nią.

— Ojej! — zawołałam. — To się stało jeszcze przed wyjazdem z Anglii.

— Akuszerki czasem się myślą, panienko.

— Jennet — powiedziałam — idź do mojej sypialni i

zaczekaj tam na mnie. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Wyszła, zostawiając nas.

Honey przyznała, iż poczuła prawdziwą ulgę, mając świadomość, że w pobliżu jest akuszerka. Pozwoliłam jej się wygadać, lecz w tym czasie zastanawiałam się, co mam powiedzieć swojej pokojówce.

\* \* \*

Jennet patrzyła na mnie zawstydzona.

— Chcę znać prawdę, Jennet — oświadczyłam.

— Och, panienska już ją zna.

Wcale nie byłam tego taka pewna, więc powiedziałam:

— Nie myśl, że zdołasz mnie oszukać, Jennet.

— Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie — wyznała z zażenowaniem. — Ale to był naprawdę wspaniały mężczyzna. Nawet Alfonso...

Chwyciłam ją za ramię i spojrzałam jej prosto w oczy.

— Mów dalej, Jennet — rozkazałam.

— W porządku — mruknęła. — Nie mam ani cienia wątpliwości, że to jego dziecko. Zastanawiam się tylko, czy mój synek będzie następnym smykiem podobnym do kapitana.

— Oczywiście, masz na myśli kapitana Jake'a Pennlyona.

— Jego imię wymówiłam tonem sugerującym, że uważam go za najbardziej podstępą zmię.

— Panienko, temu człowiekowi nie można powiedzieć „nie”. On po prostu nie przyjmuje odmowy. To pan. Któż zdołałby mu się sprzeciwić?

— A już z pewnością nie ty, Jennet — rzuciłam ze złością.

— Zaiste, panienko. Widzi panienska, wpadłam mu w oko i wiedziałam, że wcześniej czy później i tak do tego dojdzie.

Byłam kompletnie bezradna. Mogłam sobie jedynie zaszkodzić, przeto powiedziałam: „Niech się dzieje wola nieba”.

— Tak samo postąpiłaś z Alfonso. Nigdy nie padłaś ofiarą gwałtu, Jennet. Zawsze chętnie ulegałaś. Tak było, prawda?

Nie odpowiedziała. Przez cały czas miała spuszczone oczy. Nie mogłam się nadziwić temu, że wygląda jak niewiniątko.

— Kiedy to się stało? — spytałam.

Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu chciałam usłyszeć wszystkie szczegóły. Zależało mi na tym, by poznać całą prawdę.

— W noc po zaręczynach. Och, nie może mnie panienka winić. Kapitan wziął mnie do łóżka... zamiast panienki, naprawdę.

— Pleciesz bzdury, Jennet.

— No cóż, panienko, to stało się po zaręczynach. Poszłam do komnaty panienki, chociaż słyszałam, że pragnąc pozbyć się kapitana, ma panienka zamiar spędzić tę noc z siostrą. Weszłam do środka. Zobaczyłam szeroko otwarte okno, a gdy zamknęłam drzwi, nagle pojawił się za moimi plecami i chwycił mnie.

Świeca, którą trzymałam w ręce, upadła na podłogę i zgasła.

Potem usłyszałam jego śmiech.

Cicho zachichotała, a ja potrząsnęłam nią i powiedziałam:

— Mów dalej.

— Ujął mnie pod brodę i szorstkim ruchem podciągnął moją twarz do góry. Powiedział: „A więc to ty. Gdzie jest twoja panienka?” Odparłam: „Nie ma jej tu”. „Widzę — przyznał. — Gdzie ona jest?” Powiedziałam: „Nie będzie dziś tu spała. Została z siostrą”. Wyciągnął ode mnie wszystko, co

usłyszałam, to znaczy, że panienka nie wierzy, iż będzie trzymał się z daleka, dlatego postanowiła panienka spędzić tę noc z siostrą. Bardzo się wściekał, a ja potwornie się go bałam. Okrutnie kłął na panienkę. Bardzo panienki pragnął. Był zły, ponieważ słysząc moje kroki, myślał, że to panienka.

Wybuchnęłam gromkim śmiechem.

— A więc dał się oszukać.

— Wygląda na to, że tak. Był zły. Chciałam pójść i powiedzieć panience, że on tam czeka, lecz on jedynie warknął: „Ty mała idiotko, czy sądzisz, że ona dzięki temu tu przyjdzie?”

Sądzę, że zastanawiał się, czy osobiście nie wybrać się po panienkę. Lecz nawet on nie mógł sobie na to pozwolić w domu sąsiada, prawda? Więc zmusił mnie, żebym została.

Powiedział: „Zrobimy inaczej, Jennet. Dziś w nocy zastąpisz mi swoją panienkę”. I wtedy to się stało. Byłam całkiem bezradna.

Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło.

— W moim łóżku?!

— Miałam je poprawić, panienko. Ale nie zdążyłam. Wyszedł o świcie, a ja zasnąłam. No cóż, panienko, to była taka noc... Trochę zasnęłam, więc po przebudzeniu pobiegłam do swojej komnaty, by doprowadzić się do porządku... a kiedy wróciłam, panienka widziała już komnatę, łóżko i...

— Scenę twojego triumfu, Jennet.

— Co to takiego, panienko?

— Dlatego właśnie jesteś w ciąży.

Ponownie była onieśmielona.

— Były i inne razy. Kiedy panienka chorowała na śmiertelne poty, często przyjeżdżał... i zapraszał mnie do Lyon Court.

— A ty, oczywiście, zawsze korzystałaś z tego zaproszenia.

— Nie śmiałam odmówić.

— Jennet — powiedziałam. — Jesteś złą służącą. Dwukrotnie mnie zdradziłaś.

— Nieprawda, panienko. Po prostu nic nie mogłam na to poradzić.

— Potem dostałaś się w ręce Alfonso, a idę o zakład, że i tutaj szybko wzięłaś sobie kogoś do łóżka.

— Tym razem robimy to w tajni. To jeden ze stajennych.

— Oszczędź mi wstrętnych szczegółów.

Nie mogłam przestać myśleć o Jake’u Pennlyonie czekającym w mojej komnacie i zadowolającym się Jennet. Dostrzegłam w tym pewne podobieństwo do mojego układu z Felipe Gonzalesem, który sypiał ze mną, wyobrażając sobie, że jestem Isabellą.

— I nie przyszło jej na myśl, że jeśli będziesz prowadzić tak rozwiążesz życie, możesz w końcu zająć w ciąży?

— O tak, panienko, ale sir Penn ma mnóstwo nieślubnych dzieci i bardzo się o nie troszczy. Każdemu z nich zapewnia całkiem niezłe życie, przeto powiedziałam sobie, że z kapitanem Jakiem na pewno będzie tak samo.

— Byłaś w błędzie.

— Wszystko się zmieniło, panienko. Kto mógł przewidzieć, że znajdziemy się na morzu, a potem przyplniemy tutaj?

Stała przede mną zrozpaczona, mimo to oczy błyszczały jej na samo wspomnienie romansu z tym człowiekiem. Zastanawiałam się, czemu wcześniej nie zauważyłam, że jest w ciąży. Teraz wydawało mi się to całkiem oczywiste.

Znowu Jake Pennlyon — pomyślałam. Wszystko sprowadza się do Jake’a Pennlyona. Bardzo chciałabym

wymazać z pamięci fakt, że sypiał z Jennet.

— Znikaj mi z oczu — powiedziałam. — Napawasz mnie obrzydzeniem.

Natychmiast uciekła.

\* \* \*

Nienawidziłam Jake'a Pennlyona. Nienawidziłam Felipe Gonzalesa. Nienawidziłam swojego ojca i Kate za to, że zrujnowali mi życie. Tak ogromna ilość nagromadzonych nienawistnych uczuć w pewien sposób przypominała chorobę. Czułam bolesny ucisk w gardle. Chciałam się w jakiś sposób wyładować, lecz w tym celu musiałabym zacząć działać. Pragnęłam się zemścić przede wszystkim na Jake'u Pennlyonie, lecz znajdował się poza moim zasięgiem. Myśląc o nim, zaczynałam czuć sympatię do Felipe Gonzalesa. To była raczej dość kiepska zemsta. On nie rozumiał, jak bardzo różnił się od Jake'a. Jake potrafił zadowolić się Jennet, ponieważ byłam dla niego nieosiągalna. Nigdy nie zrozumiałby oddania Felipe dla Isabelli.

Lecz nienawidziłam też Felipe — za to, że mnie upokarza, że mnie nie pożąda, że używa wobec mnie przymusu i że każe nosić mi odpowiednie stroje, by pozorować, iż ma do czynienia z Isabellą. W taki oto sposób wszystko wracało do Jake'a Pennlyona, lecz nie mogłam się na nim zemścić, gdyż był za daleko.

Bardzo chciałam kogoś ukarać. Wyżywanie się na Jennet nie miałoby najmniejszego sensu. Poza tym była w ciąży, a wcale nie miałam zamiaru wyrządzić krzywdy niewinnemu dziecku, nawet jeśli jego ojcem był Jake Pennlyon. Pomyślałam o Felipe. Zastanawiając się nad tym dziwnym, milczącym mężczyzną, zapomniałam o swojej komnacie w

Trewynd i Jake’u Pennlyonie, czekającym za drzwiami, by pochwycić w objęcia Jennet.

Przypomniałam sobie te ciemne noce, kiedy odwiedzał mnie Felipe Gonzales. Nie przyznawałam się do tego, lecz przestały mnie już szokować. Przyzwyczyłam się do jego wizyt. Przyjmowałam go biernie, lecz od spotkania z Isabellą moja sympatia do niego znacznie wzrosła.

Jednocześnie powoli coś się we mnie zmieniało — może chciałam się na nim zemścić, może dotknięta została moja kobieca próżność? Nie byłam pewna, lecz coraz częściej o nim myślałam i stopniowo zaczynałam inaczej do niego podchodzić.

Pewnego razu, gdy przyszedł, udawałam, że śpię. Leżałam nieruchomo. W pokoju, jak zawsze, panowała całkowita ciemność, lecz przez okno wpadało niktłe światło skąpego księżycy i lśniących na niebie gwiazd. Nie otwierałam oczu, mimo to zdawałam sobie sprawę, że stoi przy łóżku i bacznie mi się przygląda.

Zawsze zostawiał świecę za drzwiami. Podejrzywałam, że się wstydzi i że światło jedynie zwiększałoby jego zażenowanie. Nie otwierałam oczu, czułam jednak, jak don Felipe kładzie się do łóżka. Leżałam nieruchomo. Wiedziałam, że mnie obserwuje. Działając pod wpływem impulsu, wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego twarzy. Na chwilę zatrzymałam palce na jego wargach i mogłabym przysiąc, że je pocałował.

Nie dawałam żadnego znaku życia. Po prostu leżałam, jakbym spała. Obserwował mnie przez kilka minut, a potem po cichutku wyszedł.

Nasłuchiwałam jego oddalających się kroków. Czułam szalone bicie serca. Zalała mnie fala ogromnej radości. Nasz stosunek powolutku zaczynał się zmieniać. W głębi duszy

czułam pragnienie — nie miłości, lecz zemsty.

\* \* \*

Honey lada chwila miała rodzić, dlatego akuszerka wprowadziła się do hacjendy.

Poszłam do *escritorio*, wmawiając sobie, że pragnę podziękować Felipe za to, co zrobił dla mojej siostry, jednak w rzeczywistości chciałam z nim porozmawiać i sprawdzić, czy jego stosunek do mnie uległ jakiejś zmianie.

Przez kilka następnych wieczorów przychodził do mojej sypialni, lecz nie robił już tego codziennie. Nigdy nie wiedziałam, czy się pojawi, leżałam więc, nie mogąc zasnąć i nasłuchując jego kroków. Byłam zła, gdy mnie odwiedzał, i zła, gdy tego nie robił. Nie mogłam zrozumieć samej siebie.

Gdy weszłam, podniósł się z krzesła za biurkiem i przez chwilę uprzejmie stał. Potem zaproponował mi, żebym usiadła. Zrobiłam to.

— Przyszłam panu podziękować. Akuszerka jest już w hacjendzie. Wkrótce moja siostra będzie jej potrzebowała. — Skinął głową. — Dobrze, że traktuje nas pan jak ludzi. — W moim głosie słychać było lekki sarkazm, aliści mój gospodarz wydawał się tego nie dostrzegać.

— To nie jej wina, że się tu znalazła. Na pewno trzeba się nią zająć. W końcu wyda na świat katolickie dziecko.

— Podejrzewam, że jestem w błogosławionym stanie.

— Nie wystarczy podejrzenia. Muszę mieć całkowitą pewność.

— A gdy będzie pan już ją miał, jak szybko mnie pan stąd odeśle?

— Nad tą sprawą mam zamiar dopiero się zastanowić. Pani siostra na pewno przez jakiś czas nie będzie chciała



podróżować. Słyszałem również, iż wkrótce przyjdzie na świat dziecko pani pokojówki.

Nie miałam zamiaru mówić mu, kto jest ojcem dziecka Jennet.

— Została zgwałcona przez jednego z marynarzy — skłamałam.

— To godne ubolewania — odparł.

Podniósł się z krzesła, jakby chciał mnie odesłać.

— Jesteśmy trzymane tu jak w więzieniu — ciągnęłam. — Boi się pan, że znajdziemy drogę nad morze i popłyniemy wpław do domu?

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym was więzić. Gdy zajdzie pani w ciążę, będzie miała pani większą swobodę. Na razie trzymam panią w odosobnieniu, gdyż chcę mieć pewność, że to będzie moje dziecko.

Potwornie się zarumieniłam.

— Sądzi pan, że natychmiast znajdę sobie kochanka wśród Hiszpanów zamieszkałych w La Laguna? Obraża mnie pan.

— Proszę o wybaczenie. Nie o to mi chodziło. Pani służąca została zgwałcona. Jest w pani coś dziwnego... prezentuje pani egzotyczny typ urody... z tego powodu może grozić pani niebezpieczeństwo. Nie zawsze będę w pobliżu, by panią bronić.

— Mam nadzieję, iż wkrótce nie będę już potrzebowała pańskiej obrony.

— Ja również bardzo tego pragnę.

Przypomniałam sobie chwilę, kiedy przyszedł i obserwował mnie. Pamiętałam również, co zrobił, gdy położyłam palce na jego ustach. Widocznie musiałam sobie to wszystko wyobrazić. Nic nie było w stanie poruszyć tego dziwnego, małomównego mężczyzny.

Honey rodziła bardzo długo — dziecko przyszło na świat po całym dniu i całej nocy męczarni. Była to maleńka i mizerna, lecz na szczęście żywa dziewczyneczka. Nie należało się temu dziwić, zwłaszcza po wszystkich przejściach Honey.

Moja siostra leżała na łóżku i wyglądała niewiarygodnie pięknie z rozpuszczonymi ciemnymi włosami i macierzyńską miłością w fiołkowych oczach.

— Będę mówić na nią Edwina — oświadczyła. — To imię bardzo bliskie brzmieniowo imieniu jej ojca. Co o tym sądzisz, Catharine?

Spodobał mi się ten pomysł, z drugiej jednak strony poczułam tak ogromną ulgę, że Honey bezpiecznie przebrnęła przez tę ciężką próbę, iż zaakceptowałabym dosłownie wszystko. Kilkakrotnie bardzo poważnie obawiałam się o jej życie. Wówczas zdałam sobie sprawę, jak dużo znaczy dla mnie moja siostra. Przypomniałam sobie nasze dzieciństwo w Abbey. Przez chwilę zastanawiałam się, co robi nasza matka i czy o nas myśli — czy zastanawia się nad losem swych dwóch uprowadzonych przez Hiszpanów córek?

Niemowlę całkowicie pochłonęło nasz czas i uwagę. Sądzę, iż jego pojawienie się na świecie stanowiło swego rodzaju punkt zwrotny. Nie mogłam się nacieszyć widokiem maleńkich paluszków Edwiny, która stała się dla nas istnym pępkiem świata. Przestałyśmy myśleć o zemście i domu, bardziej interesowało nas, ile dziecko urosło od poprzedniego dnia.

W tydzień po urodzeniu się Edwiny miałam już całkowitą pewność, że jestem w ciąży.

Z wyrazem triumfu na twarzy stanęłam przez nim w *escritorio*.

— Nie ma wątpliwości — oświadczyłam. — Właśnie widziałam się z akuszerką. Pański niemiły obowiązek dobiegł końca. — Opuścił głowę. — Chcę wrócić do domu.

— Wyślę was w odpowiednim czasie.

— Powiedział pan, że tylko na tym panu zależy. Zgwałcił mnie pan, upokorzył, sprawił, że jestem brzemienna. Czyż to nie wystarczy? Miałam nadzieję, że jestem już wolna.

— Zaiste, jest pani wolna — powiedział...

— W takim razie chcę wrócić do domu.:?

— W tym celu potrzebny pani będzie statek.

— Przecież ma pan żaglowce. To pan mnie tu ściągnął. Proszę teraz odesłać mnie do domu.

— W tej chwili nie ma w porcie żadnego statku.

— Po mnie przysłał pan nawet galeon.

— To było dogodne rozwiązanie.

— W takim razie za równie dogodne powinien pan uznać wywiązanie się z umowy.

— Nie zawierałem z panią żadnej umowy. Złożyłem przysięgę i zrobiłem to w obliczu wszystkich świętych.

— Obiecał mi pan, że wrócę do domu.

— W odpowiednim czasie wyślę panią do Anglii. Tym sposobem ten korsarz i barbarzyńca dowie się, co spotkało szlachetnie urodzoną damę, a także co przydarzyło się pani. Usłyszy o zmarnowanym życiu młodej kobiety i mojej zemście. Zawiezie mu pani moje nieślubne dziecko, tak jak on zostawił mi swoje.

Wstałam.

— Czy kiedy w porcie pojawi się statek, będę mogła popłynąć nim do domu?

— Spróbuję to zorganizować — oświadczył. — Chciałbym jednak najpierw mieć pewność, że to dziecko przyszło na świat.

— On nie widział swojego, czemu pan miałby oglądać swoje? Czy pańska przysięga obejmuje i to?

— Dziecko tego drania żyje — powiedział. — Mam zamiar dopilnować, by moje też się urodziło.

— I tak pańska zemsta nie jest kompletna — wycodziłam. — Bardzo różnię się od Isabelli. Znieważył mnie pan i upokorzył, ale nie postradałam zmysłów. Nie zdołał więc pan wziąć całkowitego rewanzu.

— Urodzi pani to dziecko — oświadczył. — Nie opuści pani wyspy, póki ono nie przyjdzie na świat. Dopiero potem odeślę panią do domu.

Wysłałam z *escritorio*. Powiedział, że będę mogła wyjechać, gdy znajdę w ciąży — pomyślałam — a teraz nie chce mnie puścić. Roześmiałam się zadowolona. Doszłam do wniosku, że jest człowiekiem wrażliwym. Jeżeli poznam jego słabe punkty, będę mogła wziąć na nim odwet.

Nie miałam wątpliwości, że zemsta jest rozkoszą bogów. Przywróciła mojemu życiu sens, gdy przybrało ono zbyt tragiczny obrót. Zaczynałam rozumieć Felipe.

\* \* \*

Nasze życie uległo zmianie. Zawdzięczałam to głównie faktowi, że skończyły się nocne wizyty don Felipe. Poczułam się tak, jakbym z powrotem była panią samej siebie. Nie bez znaczenia pozostawała również obecność niemowlęcia.

Powoli powracały pewne pozory normalności. Co dziwne,

byłyśmy teraz znacznie spokojniejsze, czemu czasami wręcz nie mogłam się nadziwić. Lecz w ludzkiej naturze leży dostosowywanie się do każdego warunków, nawet bardzo egzotycznych. Człowiek po prostu się przyzwyczaja — lub przynajmniej tak mu się wydaje.

Teraz miałam sypialnię wyłącznie do swojej dyspozycji. Był to miły pokój. Zaczęłam go nawet lubić, zwłaszcza że przestał być sceną mojego conocnego upokorzenia. Lubiłam gustowne, acz nieco mroczne dekoracje, arras, który wisiał na jednej ze ścian, ciężki gobelin zasłaniający światło, zaciągnięte portierą łukowate przejście do łazienki i wpuszczoną w podłogę wannę. Było w tym wystroju coś wschodniego. Później dowiedziałam się, iż rodzina Felipe mieszkała w tej części Hiszpanii, gdzie najwyraźniej widać mauretańskie wpływy.

Może to ciąża sprawiała, że ogarnął mnie dziwny spokój. Wcześniej dostrzegłam to samo u Honey i Jennet. Ku własnemu zdziwieniu podniecała mnie myśl o dziecku, mimo że było ono wynikiem gwałtu. Jednakowoż szybko zapomniałam o sposobie, w jaki zostało ono poczęte, i liczyło się dla mnie tylko jedno — że noszę pod sercem nowe życie i że będę matką.

Śniłam o swoim dziecku i nie mogłam się już doczekać chwili, kiedy przyjdzie na świat... Moja niecierpliwość wcale nie była podyktowana faktem, że wtedy będę mogła wrócić do domu, bardziej zależało mi na wzięciu maleństwa w ramiona.

Pewnego razu pozwolono nam na wyprawę do miasta. Honey zostawiła dziecko pod opieką Jennet, po czym obie wsiadłyśmy na muły i wyruszyłyśmy w towarzystwie Richarda Rackella i Johna Gregory'ego, którzy ze względu na znajomość języka angielskiego pełnili funkcje naszych

strażników.

Jeden z nich jechał przodem, a drugi z tyłu. Zobaczywszy leżące w kotlinie miasto, poczułam, że poprawia mi się nastrój. Jasne promienie słońca odbijały się od białych domów i katedry, która, jak powiedział nam John Gregory, została wzniesiona na początku wieku. Z tego miejsca nie było widać wierzchołka Pico de Teide — góry, którą dostrzegłyśmy z morza, gdy zbliżyłyśmy się do wyspy. Starożytni wierzyli, że podtrzymuje ona nieboskłon i że tuż za nią kończy się świat. John Gregory twierdził, że może pewnego dnia będziemy mogły wybrać się na dłuższą przejażdżkę po wyspie i wtedy zobaczymy ową cudowną górę.

Zostawiliśmy nasze muły w stajni, a potem, pilnie strzeżone przez obu mężczyzn, pieszo przemierzałyśmy brukowane ulice. Kobiety najczęściej ubrane były w czerń. Na balkonach niektórych domów widać było damy, które opierały się o żelazne balustrady, by lepiej się nam przyjrzeć. Niektóre z nich miały na sobie kolorowe spódnice i mantyle.

— Wygląda na to, że wzbudzamy zainteresowanie — zauważyła Honey.

— Wiedzą, iż jesteście cudzoziemkami i mieszkacie w hacjendzie — wyjaśnił John Gregory.

— A czy zdają sobie sprawę — spytałam — że zostałyśmy sprowadzone tu wbrew własnej woli?

— Wystarczy im świadomość, że nie jesteście Hiszpankami — odparł John Gregory.

Zabrał nas do katedry. Wszyscy troje przeżegnali się przed wspaniałym ołtarzem, a ja w tym czasie oglądałam rzeźby i piękne ornamenty. Katedra była wspaniała. W powietrzu unosił się ciężki zapach kadzidła. Najbardziej zdumiewająca była figura Madonny. Stała otoczona kutą żelazną kratą i

miała jedwabną suknię ozdobioną wspaniałymi klejnotami. Na Jej głowę włożono koronę wysadzaną drogimi kamieniami, a na palce drogocenne pierścienie.

Obok mnie pojawił się John Gregory.

— Ludzie chętnie oddają swoje bogactwo Madonnie. Nawet najbiedniejsi ofiarowują jej to, co mają. W zamian za to Ona niczego im nie odmawia.

Kiedy się odwróciłam, szepnęła:

— Lepiej będzie, jeżeli zacznie się pani zachowywać, jak na dobrą katoliczkę przystało. Mieszkańcy tego miejsca nie powinni wiedzieć, że jest pani osobą, którą według tutejszych kryteriów należałoby uznać za heretyczkę.

— Zobaczyłam już wszystko, co chciałam — oświadczyłam. — Zaczekam na was na zewnątrz.

Wyszedł ze mną. Zostawiliśmy klęczących w kościele Honey i Richarda Rackella. Zastanawiałam się, za co moja siostra dziękuje Matce Boskiej — za śmierć męża, swoje porwanie czy bezpieczny poród dziecka?

Na zewnątrz świeciło wspaniałe słońce.

Postanowiłam zadrwić z Johna Gregory'ego.

— Widzę, że jest pan pobożnym katolikiem. Ciekawa jestem, czy wyspowiadał się pan z tego, że wyrządził pan krzywdę dwóm kobietom, które nie zrobiły panu nic złego.

Zadrzał. Zawsze czuł się nieswojo, ilekroć go karciałam, a robiłam to dość często. Złożył ręce. Gdy to robił, ponownie zauważyłam na jego nadgarstkach blizny. Byłam ciekawa, skąd je ma.

— Zrobiłem to, co musiałem — powiedział. — Nie miałem zamiaru pani skrzywdzić.

— Czyżby pan uważał, że można siłą wyciągnąć nas z domu, zgwałcić, upokorzyć i nikomu nie stanie się żadna krzywda?

Nie odpowiedział. Potem przyłączyła się do nas pozostała dwójka.

Chodząc po ulicach, czułam się dziwnie wolna. W miasteczku panowała atmosfera podniecenia. Byłyśmy oczarowane sklepikami. Od dawna nie widziałyśmy sklepów. Tutejsze wychodziły na ulice i bardziej przypominały zakłete pieczary. Można w nich było dostać pikantne potrawy i gorący chleb całkiem inny niż ten, który jadałyśmy w domu. Lecz najbardziej zafascynowały nas zwoje materiałów włożonych w jednej z owych grot.

Nie zdołałyśmy oprzeć się pokusie i musiałyśmy dotknąć paru tkanin. Honey z nieprawdopodobną przyjemnością muskała je palcami. Wyszła do nas ciemnooka kobieta w czerni, pragnąc pokazać nam swoje zasoby. Wśród nich znalazłyśmy ciemnogramatowy aksamit.

— Ojej, Catharine! — zawołała Honey. — Byłoby ci w nim do twarzy. Można by uszyć z niego dla ciebie wspaniałą suknię!

Przyłożyła materiał do mnie, a kobieta w czerni poważnie przytaknęła.

Honey owinęła mnie aksamitem.

— Co robisz, Honey? — spytałam. — Przecież nie mamy pieniędzy.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, iż mam na sobie suknię Isabelli, i postanowiłam, że już dłużej nie będę w niej chodzić. Moja siostra uszyła sobie suknie, ja też powinnam to zrobić. Z ogromną radością włożyłabym coś aksamitnego.

— Chodź, Honey — zaproponowałam. — To absurd.

Uparłam się, żebyśmy wyszły.

W zajeździe podano nam napój, który miał dziwny miętowy smak. Byłyśmy spragnione, więc wypiliśmy go szybko, a potem wsiadłyśmy z powrotem na nasze muły i



wróciłyśmy do hacjendy.

Gdy nieco później weszłam do swojego pokoju, znalazłam na łóżku paczkę. Po otwarciu jej ujrzałam zwój aksamitu. Był to materiał, który oglądałam w sklepie.

Patrzyłam nań zdumiona. Przyłożyłam go do siebie. Był piękny. Ale co to wszystko ma znaczyć? Czyżby kobieta ze sklepu uznała, że go kupiłam? Muszę natychmiast go zwrócić.

Poszłam poszukać Honey. Była zaskoczona w takim samym stopniu jak ja. Doszłyśmy do wniosku, że sklepikarka źle nas zrozumiała i uznała, iż chcemy kupić ten materiał.

Musimy poszukać Johna Gregory'ego i wszystko mu wyjaśnić. Gdy to zrobiliśmy, powiedział:

— To nie pomyłka. Ten materiał jest dla pani.

— Jak mam za niego zapłacić?

— Wszystko zostanie załatwione.

— Kto to załatwi?

— Kobieta ze sklepu wie, że mieszka pani w hacjendzie.

Nie będzie żadnych problemów.

— Czy to znaczy, że zapłaci za to don Felipe?

— Wszystko do tego się sprowadza...

— Nigdy nie zgodzę się na coś takiego.

— Musi pani.

— Zostałam przywieziona tu na siłę. Zmuszono mnie do uległości, lecz za nic w świecie nie przyjmę od tego człowieka żadnego prezentu.

— Teraz nie da się już zwrócić tego materiału. Sklepikarka jest przekonana, że znajduje się pani pod opieką don Felipe. To najważniejszy człowiek na tej wyspie. Oddanie mu tego aksamitu byłoby z pani strony ogromnym afrontem. Nie może pani tego zrobić.

— I tak mu to oddam. Nie skorzystam z tego materiału.

John Gregory uklonił się i wziął pakunek, który włożyłam mu do ręki.

— Szkoda — powiedziała Honey. — To byłaby bardzo twarzowa suknia.

— Chciałabyś, żebym przyjęła prezent od swojego gwałciciela? To byłoby równoznaczne z zaaprobowaniem tego, co się wydarzyło. Nigdy mu nie wybaczę tego, co zrobił.

— Nigdy, Catharine? Nie należy nadużywać tego słowa.

Mogło być znacznie gorzej. Przynajmniej traktuje cię z pewnym szacunkiem.

— Szacunkiem?! Byłaś przy tym obecna? Byłaś świadkiem mojego upokorzenia?

— Isabella doznała o wiele większej krzywdy ze strony Jake'a Pennlyona.

— Doznałam takiej samej krzywdy... choć wyrządzono mi ją w nieco inny sposób. Ona urodziła dziecko Jake'a Pennlyona, ja urodzę dziecko don Felipe. Na myśl o tym, Honey, robi mi się niedobrze.

— Mimo to — nie ustępowała Honey — szkoda tego aksamitu.

\* \* \*

Oznajmiono mi, że mam zjeść kolację z don Felipe. Takie zaproszenie otrzymałam po raz pierwszy od momentu, kiedy powiedział mi, w jakim celu zostałam tu przywieziona.

Zastanawiałam się, co to oznacza.

Ubrałam się z ogromną starannością. Przy pomocy Honey uszyłam sobie suknię z tkaniny, którą znalazłyśmy w pokoju do szycia. Kiedy włożyłam tę kreację, doszłam do wniosku, że wykorzystanie tegoż kawałka materiału było z mojej

strony bardzo nielogicznym posunięciem. Zwłaszcza że tak zdecydowanie odrzuciłam aksamit, który pochodził ze sklepu. Wszystko w tym domu należało do don Felipe, więc to samo można było powiedzieć o każdej rzeczy znajdującej się w pokoju do szycia. Żyliśmy na jego łasce.

Jednakowoż aksamit był swego rodzaju prezentem, dlatego go nie przyjął.

Don Felipe czekał na mnie w chłodnym, ciemnym salonie, w którym na początku naszej znajomości jedliśmy kolację. Tak samo jak poprzednio ja usiadłam na jednym końcu stołu, a gospodarz hacjendy na drugim. W czarnym kubraku ozdobionym olśniewająco białą koronką sprawiał wrażenie dżentelmena w każdym calu. Lecz gdy jakiś czas temu spożywalimy tu wspólny posiłek, nie mieliśmy jeszcze za sobą żadnego z owych zenujących nocnych spotkań. Przypuszczałam, że don Felipe — tak samo jak ja — nie jest w stanie wymazać tych wspomnień.

Zgodnie ze swym zwyczajem był powściągliwy, lecz uprzejmy. Obsługiwali nas milczący lokaje. Podano potrawy, które już teraz dobrze znałam. Nagle zdałam sobie sprawę z jakiegoś dziwnego podniecenia, jakiego nigdy dotychczas nie czułam. Bardzo żywo reagowałam na obecność Felipe, dużo o nim myślałam i bez przerwy wracałam do owej nocy, kiedy udając, że śpię, delikatnie i czule dotknęłam jego twarzy.

Do póki w salonie kręcili się służący, opowiadał o wyspie. Mówił o niej bez entuzjazmu, starając się nie okazywać zbytniego zainteresowania, wyczułam jednak, że pod tym pozorem oschłości skrywają się ogromne uczucia. Sprawował tu władzę. Rządził tym terenem w imieniu swego króla, Filipa II — bardzo podobnego do siebie, dziwnego i małomównego mężczyzny. Hiszpanie bardzo różnili się od Anglików — nie śmiali się na głos i uważali nas za

barbarzyńców.

Powiedział mi, w jaki sposób rdzenni mieszkańcy tych wysp, Guanche, malują skórę czerwoną żywicą draceny i jak mumifikują zmarłych.

Zainteresowało mnie to, chciałam coraz więcej wiedzieć o wyspie. Don Felipe wyznał, że góra Pico de Teide uważana jest przez Guanchów za bóstwo, które należy udobruchać, poza tym pięknie wygląda, ponieważ górujący nad równiną wierzchołek zawsze okryty jest grubą warstwą śniegu, który nie topnieje nawet wtedy, gdy na wyspie panuje potworny upał.

Kiedy posiłek dobiegł końca, zostaliśmy sami. Wtedy dowiedziałam się, czemu zostałam zaproszona na tę kolację.

— Była pani w La Laguna i zwiedzała pani katedrę — powiedział.

— Tak — przyznałam.

— Absolutnie nie może pani zachowywać się w La Laguna jak heretyczka.

— Będę się zachowywać, jak zechcę. Nie wątpię, że w waszym mniemaniu jestem heretyczka, mam więc zamiar stosownie do tego postępować.

— Kiedy odwiedza pani katedrę, przed ołtarzem i wizerunkiem Matki Boskiej musi się pani zachowywać jak każdy normalny katolik. Należy uklęknąć i pomodlić się.

— Namawia mnie pan do hipokryzji?

— Zależy mi na tym, żeby urodziła pani moje dziecko. Nie chcę, by zdarzyło się pani coś, co mogłoby temu przeszkodzić.

Położyłam dłonie na brzuchu. Wmawiałam sobie, że czuję ruchy dziecka. Oszukiwałam się, gdyż było na to dużo za wcześnie, lecz ja już bardzo tego pragnęłam.

— Co mogłoby temu przeszkodzić? — spytałam.

— Może pani stanąć przed Świętym Trybunałem. Mogą zabrać panią na przesłuchanie.

— Mnie? Co ja mam wspólnego z inkwizycją?

— To Hiszpania. Och, wiem, że znajdujemy się na wyspach leżących nieopodal wybrzeży Afryki, lecz Hiszpania jest wszędzie tam, gdzie zdołaliśmy się osiedlić, a z czasem będzie do nas należał cały świat.

— Oprócz Anglii — oświadczyłam dumnie.

— Łącznie z nią. Zapewniam panią, że z czasem do tego dojdzie.

— A ja zapewniam pana, że to niemożliwe.

Wyobraziłam sobie Jake'a Pennlyona, jak z błyszczącymi oczyma pogardliwie wywija kordem i zachęca wszystkich hiszpańskich donów, by przekonali się, co potrafi.

— Proszę mi uwierzyć — powiedział don Felipe. — Za jakiś czas cały świat będzie należał do nas. Wprowadzimy świętą inkwizycję także w pani kraju. Będzie tam obowiązywała tak samo, jak obowiązuje tutaj. To samo dotyczy każdego zakątka świata, który dostanie się we władanie Hiszpanii. Nikt nie zdoła przed tym uciec. Gdyby panią zabrano, nawet ja nie byłbym w stanie pani uratować. Inkwizycja ma władzę nad wszystkimi... nawet nad naszym królem, Filipem.

— Nie jestem Hiszpanką. Nie odważą się mnie tknąć.

— Tknęli wielu pani rodaków. Niech pani będzie mądra.

Proszę mnie wysłuchać. Od jutra zacznie pani poznawać prawdziwą wiarę.

— Nie zrobię tego.

— Jest pani głupsza, niż myślałem. Należałoby pani pokazać, co dzieje się z tymi, którzy nie podążają drogą prawdy.

— Czyjej prawdy? Pańskiej? Człowieka, który zdeptał nie

winność, byle móc się zemścić? Porwał pan trzy kobiety, podporządkował je sobie, poniżył i sprawił im ból. Jest pan odpowiedzialny za śmierć dobrego człowieka, który próbował bronić swojej żony. I teraz próbuje mi pan mówić o swojej wierze? Jedynej słusznej i prawdziwej wierze?

— Proszę przestać! — Po raz pierwszy zobaczyłam, że coś zdołało go poruszyć. — Ktoś ze służących może usłyszeć pani słowa.

— Niech pan nie zapomina, że ci ludzie nie znają mojego barbarzyńskiego języka, z wyjątkiem dwóch łajdaków, których pan zatrudnił, by nas tu ściągnąć.

— Staram się być tolerancyjny. Błagam panią o zachowanie spokoju. Proszę mnie wysłuchać, jak na cywilizowaną osobę przystało.

— Pan mówi mi, że mam się zachowywać jak osoba cywilizowana? To równie zabawne jak opowiadanie mi o zaletach waszej religii.

— Mam na względzie jedynie pani dobro. I dobro dziecka.

— Pańskiego nieślubnego dziecka, które zostało poczęte na skutek użycia przez pana przemocy.

Lecz mówiąc te słowa, jednocześnie mruknęłam uspokajająco do swojej pociechy: „To nieprawda, maleństwo. Pragnę cię i cieszę się, że cię mam. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła wziąć cię w ramiona”.

Widocznie głos mi się załamał, gdyż don Felipe powiedział łagodnie:

— To przeszłość. Co się stało, już się nie odstanie. Miała pani pecha, zaręczając się z łajdakiem. Teraz jest pani brzemienna. Proszę donosić tę ciężę i pogodzić się z własnym losem.

Przyrzekam, że teraz nie wyrządę już pani żadnej krzywdy. Wierzy mi pani? Przytaknęłam, lecz powiedziałam:

— Przeżyte przeze mnie cierpienia z pewnością na zawsze zostawiły ślad na mojej psychice. Czy o to panu chodziło?

— Nigdy nie chciałem zrobić pani nic złego, była mi pani jedynie potrzebna do wywiązania się ze złożonej obietnicy.

Teraz, do urodzenia się dziecka, mam zamiar zapewnić pani godne warunki życia.

— Obiecał mi pan, że gdy zajdę w ciążę, odeśle mnie pan do domu.

— Powiedziałem, że chcę dopilnować, by to dziecko rzeczywiście przyszło na świat. Z tego powodu musi pani zostać tu jeszcze przez jakiś czas, pragnę jednak zapewnić pani spokój i bezpieczeństwo. Dlatego musi pani mnie wysłuchać.

— Proszę nie myśleć, że zdoła mnie pan udobruchać za pomocą prezentów takich jak ten aksamit! — krzyknęłam.

— To nie był prezent ode mnie. Przysłała go sklepikarka.

— Dlaczego miałyby to robić?

— Kupujemy u niej dużo tkanin, przeto chciała sprawić mi przyjemność, ofiarowując pani prezent.

— Jakim cudem coś takiego miałyby sprawić panu przyjemność?

— Na pewno pani to rozumie. Na równi z innymi ludźmi ta kobieta wierzy, że jest pani moją kochanką. Że została pani przywieziona, by dzielić ze mną życie, a zatem to, co sprawia przyjemność pani, powinno ucieszyć także mnie i zapewnić ofiarodawcy moją przychylność.

— Ja miałabym być pańską kochanką?! Jak ona śmie!

— W pewnym sensie jest to prawda. Spójrzmy prawdzie w oczy. Z tego również względu znajduje się pani pod moją opieką. Lecz jak już wspomniałem, nawet ja nie jestem w stanie uchronić pani przed wszechpotężną inkwizycją. To właśnie dlatego pragnę, by zapoznała się pani z zasadami

prawdziwej wiary. Uczyć będzie panią John Gregory, który w rzeczy samej jest księdzem. Musi go pani wysłuchać. Naprawdę nie chcę, by zabrano panią... przed urodzeniem dziecka.

— Odmawiam — oznajmiłam kategorycznie.

Westchnął.

— Jest pani niemądra — odparł. — Powiem pani, co w czasie waszej nieobecności wydarzyło się w Anglii. Wasza królowa to głupia kobieta. Po śmierci swojej siostry mogła wyjść za mąż za Filipa. To umożliwiłoby połączenie naszych krajów i oszczędziło wielu kłopotów.

— Nie mogła poślubić męża swojej siostry. Poza tym nie spisał się najlepiej jako królewski małżonek.

— Wina leżała po stronie biednej, bezpłodnej kobiety.

A teraz na tronie zasiada jej głupia siostra przyrodnia, Elżbieta, dziecko z nieprawego łoża.

— Z czego w Anglii wszyscy bardzo się cieszą — oświadczyłam. — Oby żyła wiecznie!

— Od opuszczenia przez panią domu minęło sporo czasu.

Teraz tron Elżbiety drży w posadach. Już niedługo będzie na nim siedzieć. Wkrótce przejmie go królowa Francji i Szkocji, prawdziwa władczyni Anglii — Maria, a gdy to się stanie, do pani ojczyzny powróci prawdziwa wiara.

— Wspomagana przez waszą świętą inkwizycję?

— Nie obejdzie się bez tego. Trzeba będzie przeprowadzić wielką czystkę wśród heretyków na waszej wyspie.

— Boże broń — powiedziałam. — Wystarczy to, co już było. Wszyscy pamiętamy stosy na Smithfield. Nie chcemy ich już widzieć.

— Wiara zostanie przywrócona — orzekł. — To nieuniknione.

— Ludzie zdecydowanie popierają królową.



Przypomniałam sobie, jak obejmując tron, dostojnie przemawiała przed wejściem do Tower. „Muszę być wdzięczna Bogu i litościwa wobec ludzi...” Na tę myśl moje serce wezbrało miłością do niej i nienawiścią do naszych wrogów.

— To już przeszłość — wyjaśnił. — Pewne wydarzenia zmieniły uczucia ludzi do królowej.

— Nie wierzę w to.

Przyglądał mi się obojętnie w migotliwym blasku świec.

— Królowa nadała Robertowi Dudleyowi tytuł koniuszego królewskiego. Krążyły pogłoski, że ma zamiar go poślubić. Okazało się jednak, że Dudley jest już żonaty. Ożenił się o wiele wcześniej, ponoć działając pod wpływem impulsu. Dopiero później się okazało, iż miał szansę na znacznie lepszą pozycję. Ni mniej, ni więcej tylko króla — choć może niekoniecznie z nazwy — ponieważ królowa świata poza nim nie widzi. Ta kobieta to frywolna kokietka. Jest co prawda nieśmiała w stosunku do mężczyzn, słyszeliśmy jednak, że darzy Roberta Dudleya wyjątkowo głębokim uczuciem. Ostatnio jego żona, Amy Robsart, zginęła w dość tajemniczy sposób. Jej ciało znaleziono u podstawy schodów. Nikt nie wie, co było przyczyną śmierci. Niektórzy powiadają, że rzuciła się ze schodów, ponieważ mąż całkiem ją zaniedbywał. Ludzie, którzy pragną przypodobać się waszej królowej i lordowi Robertowi, twierdzą, jakoby był to wypadek. Lecz wiele osób uważa, iż została zamordowana.

— Królowa ma zamiar poślubić tego człowieka?

— Tak, a to będzie oznaczało koniec jej panowania. W dniu, w którym wyjdzie za mąż za lorda Roberta, sama się przyzna, że przyłożyła rękę do tego morderstwa. Straci królestwo, a kto przejmie wówczas władzę? Królowa Francji i Szkocji, kobieta, która jest prawdziwą władczynią Anglii.

Poprzemy ją. Zostanie naszą lenniczką. Przeto rozkazuję pani zacząć pobierać nauki u Johna Gregory'ego. Ze względu na pani dobro bardzo na to nalegam.

— Nie zdoła pan zrobić ze mnie katoliczki wbrew mojej woli.

— Jest pani głupia — powiedział cicho. — Przecież powiedziałem, że to może panią uratować.

Przyjrzałam się jego twarzy widocznej nad płomieniami świec. Był dziwnie poruszony. Wiedziałam, że się o mnie boi.

\* \* \*

Tak oto zaczęły się moje codzienne sesje z Johnem Gregorym. Początkowo w ogóle nie chciałam go słuchać. Powiedział, że muszę nauczyć się Credo po łacinie. Bez przerwy powtarzał mi tę modlitwę.

— Jeżeli nie będzie pani jej umiała — wyjaśnił — od razu, bez dalszych wstępów, zostanie pani uznana za heretyczkę.

Odwrociłam się od niego, lecz w końcu nie wytrzymałam. Nigdy nie należałam do osób, które potrafią milczeć.

— Jest pan Anglikiem, prawda? — spytałam. Przytaknął. — Ale zaprzedał się pan hiszpańskiemu psom.

W głębi duszy zadrwiłam z samej siebie, że przemawiam jak Jake Pennlyon.

— Mógłbym pani dużo opowiedzieć — odparł. — Może wówczas nie gardziłaby pani mną aż tak bardzo.

— Zawsze będę panem gardzić. Porwał mnie pan z domu, to przez pana musiałam przejść przez to wszystko. Przybył pan do nas i skorzystał z naszej gościnności, przez cały czas kłamiąc.

Takich rzeczy się nie zapomina.

— Obroni mnie Matka Boska — rzekł.

— Jej wstawiennictwo u mnie nic nie wskóra — wypaliłam ponuro. Później dodałam: — Nie zdoła mnie pan nawrócić. Nigdy nie opowiadałam się po tej czy tamtej stronie, a im bardziej będzie pan naciskał, tym bardziej będę oponować. Czy pan sądzi, że kiedykolwiek zdołam zapomnieć o okresie panowania kobiety, którą zwano Krwawą Marią? Niech pan posłucha, panie Gregory — mój dziadek został stracony, ponieważ udzielił schronienia swojemu przyjacielowi, księdzu takiemu jak pan, kapłanowi pańskiej wiary, wyznawanej zresztą także przez mojego dziadka. Ojczym mojej matki spłonął na stosie na Smithfield za przechowywanie w domu książek dotyczących wiary reformowanej. Ktoś złożył na niego donos, na mojego dziadka także. A wszystko to w imię religii. Czy dziwi pana, że nie chcę wyznawać żadnej z nich?

— Nie, wcale mnie to nie dziwi — powiedział gwałtownie. — Ale powinna pani słuchać moich słów. Powinna pani być przygotowana na wypadek niebezpieczeństwa.

— W takim razie będę to robić ze względu na ciało, nie na duszę.

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby pani uratować obu.

Bardzo dużo rozmawialiśmy i często o nim myślałam. Po kilku następnych tygodniach mój stosunek do tego człowieka powoli zaczął się zmieniać. Czułam się tak, jakbym wychodziła z otaczającej mnie mgły.

\* \* \*

Mijały dni i tygodnie. Byłam zdumiona samą sobą.

Zaczynałam być szczęśliwa w obcym kraju. Rozumiałam spokój Honey i jej całkowite zaabsorbowanie Edwiną. Jennet lada chwila miała rodzić. Czasami siadywała z nami w hiszpańskim ogrodzie, który don Felipe kazał założyć ogrodnikowi specjalnie sprowadzonemu w tym celu z Hiszpanii. Podczas upalnych dni panował tam spokój. Dużo szyłyśmy, jako że w naszym pokoiku pojawiło się mnóstwo pięknych płócienek oraz koronek, i chociaż niczego nie brałam dla siebie, chętnie wykorzystywałam znajduwane materiały na wyprawkę dla dziecka.

Czasami zdumiewała mnie absurdalność tej sytuacji. Myślałam o swojej matce, siedzącej w ogrodzie lub odwiedzającej babcię. Pewnie sporo o nas rozmawiały. Biedna mama, prawdopodobnie była bardzo smutna, gdyż jednocześnie straciła obie córki. Czy myślała o nas jak o osobach zmarłych? W takich chwilach najczęściej pogrążałam się w smutku, gdyż mama już wcześniej bardzo dużo wycierpiała, a każdą z nas szczerze kochała — zwłaszcza mnie, swoją rodzoną córkę.

Ale to wszystko działo się daleko stąd, w innym życiu. Tymczasem siedziałyśmy w hiszpańskim ogrodzie, a ruchy mojego dziecka przypominały mi, że z dnia na dzień rośnie i że coraz bliższy jest ów szczęśliwy moment, kiedy będę mogła wziąć je w ramiona.

Jennet była zadowolona z siebie — zrobiła się ociężała, niewzruszona i całkiem pogodziła się z życiem, co w moim przypadku było zupełnie niemożliwe. Ponieważ teraz nie ciążył jej już na sumieniu żaden sekret, można było odnieść wrażenie, że pozbyła się wszelkich trosk. Miała zwyczaj nucenia pod nosem, co trochę mnie denerwowało, gdyż były to melodie, które pamiętałam z domu.

Siedziałyśmy w cieniu z dala od słońca, które grzało tutaj

o wiele mocniej niż w Anglii. Honey bawiła się ze swoją córeczką, Jennet nuciła nad igłą, a ja haftowałam. Nagle zaczęłam się śmiać. To było takie absurdalne — trzy kobiety, które przeżyły mnóstwo przygód, teraz w końcu znalazły spokój. Jedna z nich była już matką, a pozostałe dwie spodziewały się dzieci.

Honey spojrzała na mnie z rozbawieniem. Mój śmiech wcale jej nie przestraszył — nie było w nim ani odrobiny hysterii, raczej sygnalizował szczęście. Pogodziłyśmy się z losem.

\* \* \*

Kochałam córeczkę Honey. Edwina była drobniutka i delikatna. Wątpiłam, czy kiedykolwiek będzie tak piękna jak jej matka. Na razie miała błękitne oczka i jasną cerę. Uwielbiałam się nią zajmować. Czasami zabierałam ją do hiszpańskiego ogrodu i delikatnie huśtałam. Spoglądała z ogromnym zdziwieniem w oczach. Byłam przekonana, że mnie rozpoznaje. Często śpiewałam jej piosenki, które słyszałam od swojej matki. Były to: *The Kings Hunt's Up* i podobno skomponowana przez naszego wielkiego króla Henryka *Greensleeves*.

Pewnego razu siedziałam sobie w treliazowej altanie w hiszpańskim ogrodzie, kołysząc na rękach niemowlę, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, iż ktoś mnie obserwuje. Uniosłam głowę i zobaczyłam stojącego kilka kroków ode mnie don Felipe.

Potwornie się zarumieniłam. Przyglądał mi się w ten swój obojętny sposób, do którego zdążyłam się przyzwyczaić. Spojrzałam na dziecko, udając, że go ignoruję, lecz on nadal tam stał. Edwina zaczęła kwilić, jakby wyczuła czyjaś

obecność.

— Ciii... dziecinko — mruknęłam. — Nic ci nie grozi, kochanie. Jest przy tobie Catharine.

Kiedy ponownie uniosłam głowę, już go nie było. Nie wiedziałam, iż jest w hacjendzie. Słyszałam, że pojechał odwiedzić jakąś odległą część wyspy.

Zawsze byłam trochę niespokojna, gdy przebywał w domu. Nie narzucał mi się, mimo to zdawałam sobie sprawę z jego obecności. W całym domostwie panował wówczas całkiem inny nastrój. Służba gorączkowo wykonywała swoje obowiązki i wszędzie można było wyczuć napięcie.

Tej nocy trochę się przestraszyłam. Leżałam w łóżku, nie mogąc zasnąć, gdy nagle usłyszałam na korytarzu niespieszne, ukradkowe kroki. Usiadłam i nasłuchiwałam. Ktoś powoli zbliżał się do moich drzwi. Potem zatrzymał się przy nich.

Idzie do mnie — pomyślałam, a potem sobie przypomniałam, jak obserwował mnie w ogrodzie.

Oszalałe serce zachowywało się tak, jakby lada chwila miało wyskoczyć mi z piersi. Instykt kazał mi się położyć i udawać, że śpię.

Przez półprzymknięte powieki zobaczyłam światło świecy i cień na ścianie. To był don Felipe.

Leżałam nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Stał obok łóżka, a płomień świecy delikatnie chwiał się w jego dłoni. Trzymając opuszczone powieki i udając, że jestem pogrążona we śnie, czekałam na dalszy rozwój wypadków.

Wiedziałam, że stoi obok łóżka i bacznie mi się przygląda. Wydawało mi się, że trwało to bardzo długo. Potem światło świecy zniknęło i usłyszałam ciche stuknięcie drzwi. Jeszcze przez jakiś czas nie śmiałam otworzyć oczy, ponieważ bałam się, że don Felipe wciąż jest w pokoju, lecz gdy usłyszałam

powoli oddalające się kroki, doszłam do wniosku, że zostałam sama.

\* \* \*

Jennet zaczęła rodzić. Przyszła akuszerka, lecz Jennet uwinęła się znacznie szybciej niż Honey. W kilka godzin po pierwszych bólach usłyszałyśmy głośny płacz dziecka.

Malec od pierwszej chwili przypominał Jake'a Pennlyona.

— Czy nigdy nie uda nam się uwolnić od tego człowieka? — powiedziałam do Honey. — Teraz będzie nam go przypominać nieślubne dziecko Jennet.

Myślałam, że nie polubię tego smyka, ale okazało się to niemożliwe. Po kilku pierwszych tygodniach przerósł Edwinę. Chętnie prezentował nam swoje złe humory. Nigdy bym nie uwierzyła, że maleńkie dziecko tak energicznie potrafi domagać się tego, czego chce.

Jennet była nieprawdopodobnie dumna. Malec był dzieckiem nie tylko jej, ale również kapitana Pennlyona. Zaklinała się, że jej maleństwo jest wyjątkowe.

— Tak samo myślą wszystkie matki — zauważyłam.

— Tak, panienko, lecz w tym wypadku to prawda. Tylko taki mężczyzna jak kapitan może mieć tak wspaniałe dziecko.

Z dnia na dzień chłopczyk coraz bardziej upodabniał się do swego ojca. Zaiste, Jake Pennlyon już nigdy nie zostawi nas w spokoju.

\* \* \*

— Gdy urodzi się moje dziecko — zwierzyłam się Honey — don Felipe nie będzie miał już powodu, by nas tu dłużej zatrzymywać. Odeśle nas do domu. Wrócę do Abbey.

Tęsknię za matką. Tak dużo mam jej do powiedzenia. Wcześniej byłam całkowitą ignorantką. Często zastanawiam się nad jej życiem u boku ojca. Sądzę, że dzieci nigdy nie poznają swoich rodziców, lecz ze względu na to, co mnie spotkało, i wszystkie niemiłe przygody, które ona przeżyła, teraz będziemy sobie znacznie bliższe.

Widziałam, że Honey również tęskni za domem.

Siedząc w ogrodzie, rozmawiałyśmy o dawnych czasach spędzonych w Abbey. Wspominałyśmy, jak babcia przychodziła z koszykiem wyładowanym maściami, łąkociami oraz kwiatami i opowiadała o swoich synach bliźniakach, którzy zresztą często zjawiali się razem z nią.

Gdy pewnego razu rozmawiałyśmy o dawnych czasach, nagle Honey zaczęła mi się zwierzać.

— Przez całe życie byłam o ciebie zazdrosna, Catharine — wyznała. — Zawsze miałaś to, o czym marzyłam.

— Czego mogłaś mi zazdrościć? W końcu to ty odznaczałaś się wspaniałą urodą!

— Byłam córką dziewczki służebnej i człowieka, który sprofanował klasztor. Moją prababcię uważano za czarownicę.

— Ale wspaniale ułożyłaś sobie życie, Honey. Wyszłaś za mąż za bogatego człowieka, który świata poza tobą nie widział.

Byłaś z nim szczęśliwa.

— Zawsze we wszystkim potrafiłam znaleźć szczęście lub przynajmniej udawałam, że je znajduję. Byłam adoptowaną córką, nieuznaną przez pana domu...

— Lecz twoja uroda pozwoliła ci uwolnić się od tego problemu. Edward Ennis w przyszłości miał zostać lordem Calpertonem, a ty wielką damą.

— Wyszłam za mąż za Edwarda, ponieważ to była dobra



partia.

— Sądzę, że tak. Matka bardzo się z tego cieszyła.

— Tak, wszyscy byli zadowoleni. Sierota zapewniła sobie bogactwo, dobrze wyszła za męża, miała najmilszego i najbardziej tolerancyjnego z mężów. Czy to jest szczęście?

— Tak, jeśli go kochałaś.

— Z czasem zdołałam go pokochać. Był miły i dobry.

Bardzo go lubiłam. To najlepszy człowiek, na jakiego mogłam liczyć.

— Co próbujesz mi powiedzieć, Honey?

— Że kochałam... tak mocno jak ty, lecz mój ukochany nie był dla mnie. Snułam wspaniałe plany. Ale on kochał inną. To było dla mnie jasne na długo przedtem, nim on i ona zdali sobie z tego sprawę. Widziałam to i nienawidziłam cię, Catharine. Było to uczucie znacznie mocniejsze od mojej dziecięcej zazdrości.

— Nienawidziłaś mnie?

— Tak. Nasza matka kochała cię o wiele bardziej niż mnie.

Byłaś jej rodzoną córką. Carey również oddał serce właśnie tobie. Zawsze szukał twój towarzystwa. Drażnił się z tobą, ty go tyranizowałaś, zazwyczaj kłóciliście się ze sobą... lecz niezmiennie byłaś mu bardzo potrzebna. Tylko przy tobie był wesoły i szczęśliwy. Wiedziałam o tym, dlatego przepłakałam wiele nocy.

— Kochałaś Careya?

— Oczywiście. Czyż można było go nie kochać?

— Och, Honey — powiedziałam. — Ty też?

Milczałyśmy przez chwilę, myśląc o Careyu, kochanym Careyu, który miał zostać moim mężem. Niestety, straciłam go, Honey również.

— Nasza miłość była skazana na porażkę — wyznałam. —

Choć z tobą wcale tak nie musiało być.

Roześmiała się.

— Jeśli straci się ukochaną osobę, może się okazać, że nikt inny nie będzie wystarczająco dobry.

— Ale on bardzo cię lubił.

— Zaiste, jak siostrę. Poza tym widziałam, że kocha ciebie.

Więc zgodziłam się wyjść za Edwarda. Dopiero po ślubie dowiedziałam się prawdy.

Odwróciłam się od niej. Spojrzałam na olśniewające niebo, palmy na horyzoncie i pomyślałam o smutnych kolejach losu, które przywiodły nas w to miejsce.

Po tym wyznaniu stałyśmy się sobie bliższe. Obie niegdyś kochałyśmy i straciłyśmy Careya.

\* \* \*

Dziecku Jennet, podobnie jak Edwinie, zorganizowano katolicki chrzest. Honey wyznawała tę wiarę jeszcze przed opuszczeniem Anglii, a Jennet była skłonna przyjąć każdą religię, jaką by jej zaproponowano. Na tę drogę pchnął ją Alfonso, a John Gregory jedynie wykorzystał ten fakt. Zastanawiałam się, co by powiedział Jake Pennlyon, wiedząc, że jego syn, aczkolwiek nieślubny, jest papistą. Ta myśl sprawiała mi przyjemność.

Jennet mówiła na niego: Jack — nie odważyła się nadać mu imienia bliższego imieniu ojca — z czasem jednak wszyscy zaczęli wołać na malca: Jacko.

Nasze życie było teraz całkowicie podporządkowane dwójce dzieci. Wkrótce dołączyło do nich następne.

Pewnego dnia odkryłam Carlosa. Biedny malec ująłby za serce każdą kobietę, przede wszystkim dlatego, że można

było w nim dostrzec jakąś dziwną radość życia i odwagę.

Myślałam o don Felipe więcej, niż chciałabym się przyznać. Często nie było go w domu, nawet jeśli wyjeżdżał tylko do La Laguna, a ilekroć przebywał w hacjendzie, za wszelką cenę starałam się go unikać. Jeśli jednak nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, lubiłam go obserwować. Czasami widywałam go ze swojego okna, gdy stałam w cieniu i wyglądałam na zewnątrz. Nierzadko zerkał w górę, jakby wyczuwał moje spojrzenie.

Zastanawiałam się nad jego stosunkiem do Isabelli. Była jego żoną. Czy często ją odwiedzał? O czym rozmawiali podczas takich wizyt? Czy wiedziała o mojej obecności w hacjendzie? Jeżeli tak, to co o tym sądziła? Czy ktoś powiedział jej, że spodziewam się dziecka?

Częstokroć spacerowałam w pobliżu Casa Azul. Zaglądałam przez kutą żelazną bramę na patio i widząc na bruku cienie rzucone przez oleandry, myślałam o pięknej twarzy dziewczyny, która bawiła się lalkami. Zastanawiałam się, jak wygląda jej życie pod opieką surowej dueñi.

Ten dom w pewnym sensie stał się moją obsesją. Łapałam się na tym, że gdy nie ma przy mnie nikogo innego, nogi same mnie niosą w tamtą stronę. Zerkając przez bramę, myślałam o Isabelli i o tym, co się dzieje, gdy odwiedza ją don Felipe.

Pewnego razu brama była otwarta, przeto weszłam do środka. Działo się to w porze popołudniowej sjesty. Dom był pogrążony we śnie, tak samo jak większość jego mieszkańców. Uwielbiałam wychodzić w tym czasie na spacer — lubiłam całkowity spokój oraz panującą ciszę i pomimo upału wracałam z odświeżonym umysłem. Podczas swoich samotnych spacerów myślałam o domu i matce. Miałam nadzieję, że zbytnio za mną nie rozpacza.

Zaczynałam odnosić wrażenie, iż dawne życie przypadło i muszę zacząć wszystko od nowa. Przestałam wierzyć, że don Felipe kiedykolwiek pozwoli nam wyjechać.

Przychodziłam do Casa Azul, ponieważ ten dziwny mężczyzna nieustannie zaprzętał moje myśli. Chciałam wiedzieć o nim coś więcej. Jak wyglądało jego życie w Hiszpanii przed przyłynięciem na Wyspy Kanaryjskie? Czy naprawdę tak bardzo kochał Isabelle? Widocznie tak, skoro zadał sobie tyle trudu, by się zemścić. Aczkolwiek powodem tego mogła być również duma.

Patio było pogrążone w całkowitej ciszy. Spojrzałam w górę, na balkon, na którym po raz pierwszy zobaczyłam Isabelle. Drzwi były zamknięte, dom sprawiał wrażenie wymarłego. Cicho obeszłam Casa Azul. Na jego tyłach zobaczyłam obrosniętą pnączem, cienistą, chłodną pergolę. Dotarłam do następnej kutej żelaznej bramy — za nią znajdował się niewielki kawałek ziemi i przypominający chatę mały domek.

Stałam, spoglądając przez tę bramę, gdy nagle z domu wybiegł mały chłopczyk. Mógł mieć dwa latka. Był bosy i brudny, miał na sobie bezkształtną koszulinę, która sięgała mu do kolan. Przecierał piąstkami oczy i najwyraźniej był zrozpaczony, ponieważ co kilka sekund jego ciałkiem wstrząsał szloch.

Uwielbiałam dzieci, a jego nieszczęście głęboko mnie poruszyło, dlatego chciałam je załagodzić.

Nagle mnie dostrzegł, zatrzymał się i popatrzył na mnie. Przez chwilę myślałam, że ucieknie.

— Cześć, mały! — zawołałam.

Wyglądał na zdezorientowanego, więc powtórzyłam swoje pozdrowienie po hiszpańsku. Mój głos musiał go uspokoić, albowiem podszedł do bramy i stanął przy niej. Spoglądała na

mnie para brązowych oczu. Malec miał ciemne proste włosy i oliwkową cerę. Był ładnym chłopczykiem i nie przeszkadzała w tym nawet brudna buzia, a pomimo rozpaczliwej promieniowała od niego jakaś dziwna radość życia.

Uśmiechnęłam się do niego i uklęknęłam, by nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie. Kalecząc hiszpański, spytałam, co się stało. Z drżeniem warg pokazał mi swoje ramię. Byłam zaszokowana, zobaczywszy na nim siniaki. Malec wyczuł moją sympatię i wyciągnął do mnie rękę. Pocałowałam ją delikatnie, a wtedy się uśmiechnął. Taki cudowny uśmiech miał tylko jeden człowiek na świecie, dlatego od razu się domyśliłam, kto to jest. Syn Jake'a Pennlyona, owoc gwałtu na Isabelli.

Serdecznie nienawidziłam Jake'a Pennlyona, ponieważ wszędzie zostawiał po sobie nieślubne dzieci i w ogóle nie przejmował się ich losem. W tym odległym zakątku świata była ich dwójka. Moja nienawiść do Jake'a Pennlyona jedynie zwiększyła sympatię do tego nieszczęsnego malca. Z drugiej jednak strony nigdy nie potrafiłam przejść obojętnie obok zaniedbanego dziecka. Przez pręty całowałam jego siniaki. Nagle rozległo się wołanie:

— Carlos! Carlos!

Towarzyszyła mu wiązanka słów, których nie byłam w stanie zrozumieć. Sądzę, że musiała to być jakaś gwara. Dziecko odwróciło się i uciekło. W pobliżu znajdowała się kępka krzaków. Brzdąc schował się za nią.

Kiedy zza chaty wychyliła się kobieta, cofnęłam się od bramy. Miała rozczochrane, zwisające jak postronki włosy, okrutne usta i czarne przeszywające oczy, a z głębokiego dekoltu sukni wystawały sflaczałe piersi.

Jeszcze kilkakrotnie powtórzyła imię „Carlos”. Obserwując ją, zastanawiałam się, co powinnam zrobić, jeżeli

znajdzie malca. Byłam pewna, że to ona jest odpowiedzialna za jego siniaki.

Miałam ochotę otworzyć bramę i wejść na ten niewielki teren. Chciałam zaprotestować, wiedziałam jednak, że to jedynie może pogorszyć sytuację dziecka.

Wyglądała na zadowoloną z siebie. Pokrzyrzała chwilę, po czym wróciła do chatki. Czekałam, aż dziecko wyjdzie, lecz ono tego nie zrobiło, zaczęłam więc podejrzewać, że zasnęło w krzakach.

Zamyślona wróciłam do hacjendy.

Poszłam do Honey.

— Chyba widziałam dziecko Jake’a Pennlyona — wyznałam i opowiedziałam jej o Carlosie.

— Nie powinnaś tam chodzić. Wyraźnie dano ci do zrozumienia, że nie jesteś tam mile widziana.

— Co to za dziwne domostwo, Honey! — zauważyłam. — Jak sądzisz, co się tu właściwie dzieje? Czy don Felipe często tam chadza?

— A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

— Oczywiście, żadne. Och, Honey, gdy tylko urodzi się moje dziecko, wracamy do domu.

Nie mogłam przestać myśleć o Carlosie. Prześladowały mnie jego ogromne brązowe oczy, spojrzenie, jakim mnie obdarzył, gdy pocałowałam jego siniaki, i strach na dźwięk głosu tej kobiety. Wyobrażałam sobie, jak zasłania się przed razami. Następnego dnia wzięłam szmacianą laleczkę, którą Honey uszyła dla swojej córeczki. Edwina całkowicie zignorowała zabawkę — najwyraźniej była za mała, by wiedzieć, co to jest.

Dziwne, ale chłopczyk czekał na mnie przy bramie. Wyraźnie miał nadzieję, że ponownie przyjdę. Gdy mnie zobaczył, złapał pręty i zaczął przy nich skakać. Ukłękłam, a

on wyciągnął rękę do pocałowania. Widząc ten gest, poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

Dałam mu szmacianą laleczkę. Złapał ją i wybuchnął śmiechem. Przytulił ją do siebie, a potem wyciągnął w moją stronę. Zdałam sobie sprawę, że mam ją pocałować.

— Carlos — powiedziałam.

Przytaknął.

— Catalina — przedstawiłam się, podając hiszpańską wersję swojego imienia.

— Catalina — powtórzył.

Potem uciekł, lecz przez cały czas oglądał się za siebie, wiedziałam więc, że chce, bym została. Wrócił z kwiatkiem — oleandrem — i wręczył mi go. Wzięłam kwiat i wetknęłam go w dekolot sukni. Roześmiał się. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Chciałam zadać mu kilka pytań, lecz ogromną barierę stanowił język, poza tym nagle dobiegły do nas jakieś głosy i malec ponownie ukrył się w krzakach. Cofnęłam się między oleandry i obserwowałam. Z domu wybiegło dwóch chłopców — jeden mógł mieć osiem lat, drugi sześć. Podbiegli do krzaka i wyciągnęli Carlosa. Usłyszałam jego krzyk. Odebrali mu szmacianą laleczkę i starszy z chłopców zaczął rozdzierać ją na strzępy. Carlos krzyknął ze złości, lecz był bezradny. Resztki okaleczonej szmacianej laleczki wylądowały na trawie.

Carlos położył się na ziemi i zaczął żałośnie zawodzić. Starszy chłopiec podszedł do niego i kopnął go, wtedy Carlos poderwał się na równe nogi. Obaj zaczęli się tarzać po trawie. Nagle pojawiła się kobieta. Starszy chłopiec uciekł. Kiedy Carlos usiłował wstać, kobieta go kopnęła.

Tego było już za wiele. Z całych sił pchnęłam bramę, która ku mojemu zdumieniu ustąpiła. Przebiegłam przez nią.

Kobieta odwróciła się od dziecka, spojrzała na mnie i wyrzuciła z siebie wiązkę przekleństw.

Carlos przestał krzyczeć i schował się za mnie. Czułam, jak jego rączki kurczowo ściskają moją spódnicę.

Kobieta próbowała go chwycić, lecz trzymałam ją od niego z daleka, starając się chronić dziecko. Była to niska, prymitywna i brzydka niewiasta — na jej twarzy trudno było dopatrzeć się choćby śladu inteligencji, miejsce to zajęły przebiegłość i okrucieństwo, potworne, pozbawione uzasadnienia okrucieństwo. I pomyśleć, że taka właśnie kobieta odpowiadała za dziecko Jake'a Pennlyona!

W jej oczach pojawiła się sadystyczna radość. Wiedziałam, że obmyśla, co zrobi, gdy dostanie malca w swoje ręce. Z jej ust sączyła się strużka śliny. Cofnęłam się. Była okropna i odpychająca — nie zostawiłabym pod jej opieką żadnego dziecka.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wzięłam Carlosa na ręce i wyszłam za bramę. Czułam na szyi kurczowy uścisk maleńkich rączek, a na policzku przytuloną, rozpaloną brudną buzię.

Kobieta ruszyła za nami. Próbowałam zamknąć jej bramę przed nosem, ale było już za późno, wbiegłam więc z dzieckiem na patio.

Zobaczyłam, że ktoś na nim jest. Była to dueña Isabelli, Pilar. Jej przenikliwe oczy bacznie się nam przyglądały spod krzaczastych brwi.

— Trzeba zająć się tym dzieckiem — powiedziałam.

Podeszła do mnie i próbowała odebrać mi Carlosa. Malec krzyknął i jeszcze mocniej się do mnie przytulił.

— Widzę — oświadczyłam — że chłopiec boi się was wszystkich. To dość jednoznacznie świadczy o tym, jak fatalnie go traktujecie. Zabieram go do hacjendy.



Pilar najwyraźniej rozumiała kilka słów po angielsku.

— Do hacjendy?! — krzyknęła. — Nie, nie! — Po czym zaczęła mówić coś o don Felipe.

— Nie obchodzi mnie, co powie na to don Felipe! — odparłam, co było ogromną głupotą z mojej strony, zważywszy na to, iż on tu wszystkim rządził.

Na patio pojawiła się Isabella. Zobaczyła dziecko i podbiegła do nas. Próbowwała odebrać mi Carlosa. Chłopiec zaczął wrzeszczeć, najwyraźniej potwornie przerażony.

— Isabella, Isabella, *favorita!* — zawołała Pilar.

Wiedziałam, że muszę chronić dziecko. Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę pozwolić, by matka dziecka dostała je w swoje ręce. Zachowywała się jak wariatka. Nigdy wcześniej nie widziałam wariatki. Ktoś mógłby wręcz powiedzieć, że diabeł ją opętał, i jeśli kiedykolwiek widziałam człowieka opętanego przez diabła, to właśnie wtedy. Zaczęła potwornie krzyczeć. Pilar podbiegła do niej. Isabella rzuciła się na ziemię. Zobaczyłam, jak Pilar wciska jej coś między zęby. Dziewczyna wiała się, jakby cierpiała potworne katusze.

Wybiegłam przez bramę, pokonałam trawnik i dotarłam do hacjendy.

— Wszystko w porządku, Carlosie — powiedziałam. — Te raz zostaniesz już ze mną.

\* \* \*

Don Felipe gdzieś wyjechał, z czego byłam niezmiernie zadowolona. Wiedziałam, że wszyscy domownicy są zdumieni moim niezwykłym postępkim. Nie mogłam zrobić nic bardziej oburzającego. Największa tragedia, jaka kiedykolwiek spotkała ten dom, zaczęła się owego dnia, kiedy „Nieokielznany Lew” przybił do wybrzeży Teneryfy.

Cień tamtych wydarzeń spowijał hacjendę od trzech lat, całkowicie zmieniając sposób życia domowników. Postępowali, jak przystało na typowych Hiszpanów — to znaczy ignorowali nieszczęście i zachowywali się, jakby nic się nie stało, choć narzeczona don Felipe jako osoba opętana przez diabła mieszkała w innym domu, a on, pragnąc się zemścić, sprowadził sobie inną kobietę. Teraz właśnie ta inna kobieta zabrała do hacjendy owoc owego przerażającego wydarzenia, czyli Carlosa. Nie przejmowałam się tym. Byłam brzemienna i kochałam wszystkie dzieci. Nie będę stać z boku i przyglądać się, jak inni wyrządzają im krzywdę, nawet jeśli to pozwala jakiemuś hiszpańskiemu donowi na zachowanie własnej dumy.

Ze smutkiem obserwowałam, jak Carlos mnie traktuje. Najwyraźniej byłam dlań kimś w rodzaju bogini, mogącej zrobić dosłownie wszystko. To ja całowałam jego siniaki, to ja zabrałam go z miejsca tortur i umieściłam w pięknym domu. Wykapałam go w swojej wpuszczonej w podłogę wannie i opatrzyłam liczne sińce, na których widok ogarniała mnie tak potworna złość, że gotowa byłam dokładnie w taki sam sposób ukarać kobietę o złośliwej twarzy. Przemyłam ciało Carlosa balsamem i ubrałam go w bawełnianą koszulkę, po czym zasnął w moim łóżku. Gdy obudziłam się nazajutrz, leżał blisko mnie z jedną rączką kurczowo zaciśniętą na mojej nocnej koszuli. Byłam przekonana, że trzymał ją przez sen, tak bardzo się bał, iż może mnie stracić. Wiedziałam, że nie mogę go zawieść.

Och, Jake’u Pennlyonie — pomyślałam. Mam zamiar walczyć o twojego syna.

Jennet nie mogła się nim nacieszyć. Carlos był bardzo podobny do jej dziecka. Choć jeden z chłopców miał jasną cerę, a drugi śniadą... Niemniej byli braćmi przyrodnymi.

Nikt w hacjendzie nie protestował, chociaż czułyśmy wzrastające wokół nas napięcie.

— Czeka ją na powrót don Felipe — zauważyła Honey.

\* \* \*

Wrócił trzy dni po sprowadzeniu przeze mnie Carlosa do hacjendy. Do tego czasu malec przestał się wszystkiego bać.

Nadal nie odstępował mnie ani na krok, lecz nie trzymał się już kurczowo mojej spódnicy. Dzięki moim staraniom siniaki powoli zaczęły znikać, zdrowiała również dusza chłopca. Miałam nadzieję, że wkrótce smutny okres wczesnego dzieciństwa pójdzie w zapomnienie i stanie się jedynie złym snem, znikającym w jasnych promieniach słońca. Do tego właśnie miałam zamiar doprowadzić.

Wszyscy czekali, co się teraz wydarzy. Wiedziałam, że w ich przekonaniu don Felipe błyskawicznie położy kres mojej samowoli.

Przez cały dzień nic się nie działo. Byłam niespokojna, wdrygałam się, ilekroć podchodził do mnie ktoś ze służby. Czekałam na wezwanie. Najmniej przejmował się główny sprawca całego tego zamieszania, czyli Carlos. Pokładał we mnie całkowitą ufność. Poza tym nie miał pojęcia, kim naprawdę jest.

Don Felipe przysłał po mnie dopiero wczesnym wieczorem. Miałam przyjść do *escritorio*.

Gdy weszłam, wstał. Jak zwykle sprawiał wrażenie całkiem obojętnego — na jego twarzy nie było ani śladu złości — z drugiej jednak strony nigdy nie widziałam na niej żadnych emocji.

— Proszę usiąść — powiedział.

Usiadłam.

Rozejrzałam się po *escritorio*, po wykładanych boazerią ścianach. Nad krzesłem don Felipe zauważyłam godło Hiszpanii.

— Okazała pani niewiarygodną zuchwałość, zabierając tego chłopca do hacjendy. Doskonale pani wie, kto to jest.

— To widać.

— W takim razie zdaje sobie pani również sprawę, że jego obecność tutaj jest dla mnie żenująca.

Roześmiałam się ze złości.

— Takie traktowanie dziecka jest zwykłym okrucieństwem. Przez ostatnie trzy dni ten malec po raz pierwszy w życiu zaznał odrobiny szczęścia.

— Czy dlatego właśnie złamała pani moje rozkazy?

— Uważam, że to wystarczający powód — odparłam bez wahania.

— Ponieważ jest to dziecko pani kochanka?

— Ponieważ jest to dziecko. A Jake Pennlyon nigdy nie był moim kochankiem. Nienawidzę tego człowieka tak samo jak pan. Nie będę jednak stać z boku i przyglądać się, jak inni źle traktują tego malca.

Wstałam. Moje oczy błyszczały. Byłam zdecydowana zatrzymać przy sobie Carlosa. Rzadko wcześniej mi się zdarzało, bym była tak pewna tego, czego chcę. Ktoś powiedział kiedyś o mojej matce — prawdopodobnie zrobiła to Kate — że ilekroć była brzemienna, stawała się matką wszystkich dzieci. No cóż, właśnie byłam brzemienna. Zawsze uwielbiałam dzieci, teraz jednak miałam zamiar w ich imieniu stoczyć ostrą walkę. Carlos urzekł mnie swoimi cudownymi oczyma i choć dostrzegłam jego podobieństwo do Jake'a Pennlyona, miałam zamiar oszczędzić chłopcu ciężkich przeżyć. Bez względu na to, ile przyjdzie mi za to zapłacić, chciałam, by był szczęśliwym dzieckiem.

— Była pani zaręczona z kapitanem Pennlyonem — powie dział. — Miała pani wyjść za niego za męża.

— Nigdy bym tego nie zrobiła. Widzi pan, pański plan zemsty się nie powiódł. Zaręczyłam się z Jakiem, ponieważ mnie do tego zmusił. Gdybym się nie zgodziła, zdradziłby moją siostrę i jej męża.

— Jest pani obrończynią innych — zauważył, a ja wcale nie byłam pewna, czy w tych słowach nie pobrzmiewa odrobina ironii.

— Temu człowiekowi obce są jakiegokolwiek uczucia. Miał zamiar zgwałcić mnie tak samo, jak zgwałcił pańską Isabellę. Zdołałam mu się wymknąć, lecz musiałam się zgodzić na zaręczyny. Potem udawałam, że choruję na śmiertelne poty, póki nie wypłynął w morze. Oto co czuję do Jake'a Pennlyona.

Don Felipe dziwnie mi się przyglądał.

— Ależ jest pani porywczą! Jaka zarliwa!

— Musiałam być taka. Proszę jednak pamiętać, że nie ma pan prawa osądzać Jake'a Pennlyona. Pragnąc zaspokoić własne pożądanie, zrujnował wielu ludziom życie. Pan zrobił to samo, kierując się li tylko swoją dumą. W moim przekonaniu zarówno pożądanie, jak i duma należą do grzechów śmiertelnych.

— Niech pani zamilknie.

— Nie będę milczeć. Don Felipe, pańska nadmierna duma kazała panu uprowadzić kobietę z jej domu. Jest pan winien gwałtu. Sprawił pan, że ta kobieta jest teraz brzemienna. A na dodatek skazał pan na ciągłe tortury niewinne dziecko, rezultat pożądanego innego mężczyzny. Wszystkiemu winna pańska duma. Niech diabli wezmą tę pańską dumę... i pana również.

— Niech pani uważa. Proszę nie zapominać o...

— O niczym nie zapominam. Nigdy również nie zapomnę, jak pan i Jake Pennlyon traktujecie kobiety i dzieci. Obaj uważacie się za wspaniałych mężczyzn! Władczych i twardych. Zaiste! Jesteście tacy, gdy możecie dręczyć słabszych i tych, którzy nie mogą z wami walczyć.

— Wcale nie wygląda pani na słabą istotę — zauważył.

— Mimo że musiałam panu ulec?

— Wydaje mi się, że dość szybko się pani z tym pogodziła.

Poczułam, że się rumienię.

— Nie rozumiem pana, don Felipe.

— W takim razie odłóżmy ten temat na później i wróćmy do sprawy, w jakiej panią tu wezwałem. Dziecko musi wrócić tam, gdzie było. Nie mogę pozwolić na to, by przebywało w hacjendzie.

— Nie może pan odesłać go z powrotem... Teraz byłoby mu znacznie trudniej niż poprzednio.

— No proszę! Widzi pani, do czego pani doprowadziła?

Podeszłam do niego ze łzami w oczach, ponieważ wyobraziłam sobie, że Carlos wraca na ten zamknięty teren, na którym władzę sprawuje podła kobieta. Byłam gotowa po tysiącokroć się upokorzyć, byle mu tego oszczędzić.

Położyłam dłoń na ramieniu don Felipe. Spojrzał na mnie z góry.

— Wyrządził mi pan ogromną krzywdę... Teraz pana proszę. Proszę dać mi to dziecko.

— Wkrótce będzie pani miała własne.

— Chcę mieć Carlosa.

— Nie powinna pani go tu sprowadzać.

— Proszę — powiedziałam. — Wykorzystał mnie pan w niecnym celu. To jedyna rzecz, o jaką proszę. Chcę się zająć tym dzieckiem.

Ujął moją dłoń, którą położyłam na jego ramieniu, przez chwilę ją trzymał, a potem puścił.

Wrócił za biurko, a ja wyszłam z pokoju. Wiedziałam, że wygrałam.

\* \* \*

To było prawdziwe zwycięstwo. Wszyscy spodziewali się, że Carlos zostanie odesłany tam, skąd przyszedł. Tej nocy, leżąc w łóżku, wciąż jeszcze byłam pełna obaw, lecz rano chłopiec nadal przy mnie był. Przez następne dwa dni odczuwałam pewien niepokój, lecz było to całkiem niepotrzebne. Don Felipe pozwolił chłopcu ze mną zostać.

Zaczęłam traktować naszego gospodarza nieco cieplej. Pewnego razu zobaczyłam go w ogrodzie i podeszłam do niego. Był ze mną Carlos, który wciąż niechętnie spuszczał mnie z oczu.

— Dziękuję, don Felipe — powiedziałam.

— Mam nadzieję, iż będzie pani trzymać to dziecko z dala ode mnie — odparł.

— Będę — obiecałam. — Ale i tak dziękuję, w jego imieniu.

Poczułam, że paluszki Carlosa zaciskają się na mojej spódnicy. Wzięłam go zdecydowanie za rękę i oddaliłam się.

Czułam, że don Felipe nas obserwuje.

Minęło kilka tygodni. Teraz wyraźnie było już widać, że jestem w ciąży. Edwina powoli zaczynała ujawniać swój charakter — była szczęśliwym dzieckiem. Czasami, przyglądając się jej w kołysce, myślałam: „Kochana Edwinka, śmieje się, ponieważ nie ma pojęcia, że jej ojciec został zamordowany przez korsarzy, a matka, będąc w ciąży, przeżyła potworne przygody”.

Carlos zadomowił się w pokoju dzieciennym i czuł się w nim, jakby spędził tu całe życie. Kazałam zbić dla niego pryczę i wstawić ją do mojej sypialni. Nie protestował, chociaż rano nadal przychodził do mojego łóżka. Prawdopodobnie pragnął się upewnić, że wciąż przy nim jestem.

Don Felipe ponownie wyjechał, a my wiodłyśmy swój normalny żywot. Lecz przed opuszczeniem hacjendy wezwał mnie do siebie. Bałam się, iż ma zamiar odwołać decyzję dotyczącą dziecka, jednakowoż byłam w błędzie. Chciał ze mną o czymś porozmawiać.

— Dowiedziałem się od Johna Gregory'ego, że nie robi pani zbyt wielkich postępów w nauce.

— Nie interesuje mnie to zbytnio — odparłam.

— To czysta głupota. Tłumaczyłem pani, że musi pani zostać dobrą katoliczką.

— Czy można zostać dobrym katolikiem, jeśli wcale się tego nie chce?

Spojrzał w stronę drzwi.

— Proszę mówić ciszej — zasugerował. — Ludzie słuchają. Paru służących rozumie angielski. Źle by było, gdyby wiedzieli, że jest pani heretyczką. — Niecierpliwie machnęłam ręką. — Nie zdaje sobie pani sprawy, ile korzyści płynie z faktu, że jest pani pod moją opieką.

— Nie potrzebuję pańskiej opieki.

— Ale i tak ją pani ma. Mówiłem już poprzednio, że istnieją pewne siły, na które nie mam wpływu. Błagam panią — przez wzgląd na panią, dziecko, które ma pani urodzić, i chłopca, którego ostatnio wzięła pani pod swoje skrzydła — proszę uważać.

— O co panu chodzi?

— O to, że jeżeli nie skorzysta pani z nauk Johna



Gregory'ego, może grozić pani ogromne niebezpieczeństwo. Ma pani wielu wrogów. W ostatnich tygodniach ich grono znacznie się powiększyło. Będą panią bacznie obserwować, wręcz szpiegować. Może się zdarzyć, że nie zdołam pani obronić. Proszę o tym pomyśleć. Jest pani porywczą. Niech pani uważa. To wszystko.

Uśmiechnęłam się do niego, lecz on nie odpowiedział na mój uśmiech. Zupełnie jakby uważał, że to byłoby niestosowne.

— Sądzę, że powinnam panu podziękować — odparłam.  
— Wiem, że ma pan na względzie moje dobro.

— Zależy mi na tym, by urodziła pani dziecko.

— A gdy to się już stanie, odeśle mnie pan do domu.

Przez chwilę milczał, a po chwili powiedział:

— Do porodu zostało zaledwie kilka miesięcy. W tym czasie musi pani uważać.

Po tych słowach mnie odesłał.

\* \* \*

Dwa dni później John Gregory oświadczył, że na polecenie gospodarza zabiera mnie do La Laguna.

— Dlaczego don Felipe chce, żebym tam poszła? — spytałam.

— Pragnie, by obejrzała pani pewne widowisko.

— A co z moją siostrą?

— Chodzi tylko o panią. Pójdziemy we trójkę z Richardem Rackellem.

Byłam zdumiona.

Panował potworny upał. Gdy jechaliśmy na mułach do miasta, żar lał się z nieba. Ze wszystkich stron waliły tłumy. Ludzie podążali do centrum.

— Dawno nie widziałam tu takiego tłumu — przyznałam.  
— To chyba jakieś ogromne święto.

— Sama pani zobaczy — oświadczył John Gregory cicho.

Baczenie mu się przyjrzałam. Słuchając jego nauk, doszłam do wniosku, że to mężczyzna skrywający wiele sekretów. Przede wszystkim był Anglikiem. Czemu zatem pracował dla Hiszpanów? Już wcześniej zauważyłam blizny na jego policzku i nadgarstkach. Kolejną dostrzegłam na szyi. Czasami, przekazując mi swoje nauki, bywał żarliwy, kiedy indziej wręcz niechętny. Próbowałam zadawać mu osobiste pytania, lecz niezmiennie udzielał mi wymijających odpowiedzi.

Teraz nagle zdałam sobie sprawę, że jest głęboko poruszony.

— Czy stało się coś, co pana niepokoi? — spytałam.

Potrząsnął głową.

Plac zaległy tłumu. Wzniesiono kilka podwyższeń. Podprowadzono mnie do jednego z nich. Było pięknie udekorowane i ozdobione herbem.

Weszłam na tę platformę. Stała na niej ławka. Usiadłam. Obok mnie usadowił się John Gregory, a z drugiej strony pozostali domownicy.

— Na co czekamy? — spytałam Gregory'ego.

— Proszę nie mówić po angielsku — szepnął. — Niech pani używa języka hiszpańskiego. Lepiej, żeby nie wiadano, iż jest pani cudzoziemką.

Zaczęłam potwornie się bać. Domyśliłam się, że wkrótce będę świadkiem czegoś przerażającego i że będzie to coś, co dotychczas wyobrażałam sobie jedynie w koszmarnych snach. Przypomniałam sobie okres, kiedy wiejący wzdłuż rzeki wiatr popychał w naszą stronę dymy wiszące nad Smithfield. W tym momencie zauważyłam stosy i

zrozumiałam, co one oznaczają. Przypomniałszy sobie ostatnią rozmowę z don Felipe, zrozumiałam, czemu chciał, żebym to zobaczyła.

— Źle się czuję — powiedziałam do Johna Gregory'ego.  
— Chcę wrócić do domu.

— Teraz jest już za późno — odparł.

— To zaszkodzi mojemu dziecku.

— Teraz jest już za późno — powtórzył.

Nigdy nie zapomnę tego popołudnia. Potwornego upału, zatłoczonego placu, skandujących ludzi, bicia dzwonów, postaci w długich szatach i ukrywających twarze kapturach z wąskimi szparkami na oczy. Było to groźne i przerażające widowisko. Wszyscy wiedzieli, że wkrótce zdarzy się coś potwornego.

Nie miałam ochoty oglądać tej sceny. Chciałam wstać i wyjść. Zdażyłam w połowie podnieść się z ławki, lecz John Gregory przytrzymał mnie na miejscu.

— Nie zniosę tego — szepnęłam.

— Musi pani — odparł cichutko. — Nie może pani wyjść. Na pewno by panią zobaczono.

Przymknęłam lekko oczy, lecz coś niezależnego ode mnie zmuszało mnie, by je otworzyć.

Nawet teraz doskonale pamiętam tamten dzień — obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie, przesuwwały się jeden po drugim, tworząc przerażającą całość.

Cały plac był pełen ludzi, jedynie środek został pusty, gdyż to tam właśnie miała się rozegrać największa tragedia. Patrzyłam na morze ludzkich twarzy i zastanawiałam się, czy ktoś z nich kiedykolwiek w życiu widział męczeńską śmierć ukochanej osoby. Czy wszyscy tu zebrani są „dobrymi katolikami”? Czy ich wiara — podobno opierająca się na miłości bliźniego — zaślepia ich do tego stopnia, że nie są w

stanie dostrzec nieszczęścia, które za chwilę ma się rozegrać na ich oczach? Czy godzą się na tę potworną nietolerancję, ponieważ są święcie przekonani, iż każdy, kto myśli inaczej niż oni, zasługuje jedynie na śmierć? Chciałam wstać i zacząć krzyczeć na tych ludzi, zaprotestować przeciw okrucieństwu i brakowi wyrozumiałości.

Potem wszystko się zaczęło. Nadeszły nieszczęsne ofiary w tragicznych *sambenito* — owych bezkształtnych workach, na których wymalowano płomienie piekielne i diabły. Twarze tych ludzi były szare na skutek długiego pobytu w wilgotnych, cuchnących celach. Niektórzy z nich zostali poddani tak potwornym torturom, że nie mogli iść. Właśnie miałam zamiar ukryć twarz w dłoniach, gdy John Gregory szepnął:

— Nie. Proszę pamiętać, że jest pani obserwowana.

Siedziałam przeto, opuściwszy oczy, by nie patrzeć na tę przerażającą scenę.

Nagle wszyscy wstali i zaczęli coś skandować. Zorientowałam się, iż jest to przysięga lojalności wobec inkwizycji. John Gregory stanął przede mną, by mnie ukryć przed wścibskimi spojrzzeniami. Zrobiło mi się niedobrze i słabo. Dziecko poruszyło się w moim łonie, jakby chciało przypomnieć, iż to ze względu na nie muszę udawać, że w niczym nie różnię się od tych ludzi i całkowicie podzielałam ich przekonania. W końcu po to tu przyszłam. W ten sposób don Felipe próbował mi wskazać ewentualne niebezpieczeństwo. Mogłam być jedną z osób stojących poniżej w żółtych *sambenito*. To mnie oprawcy mogli właśnie podprowadzać do stosu i przywiązywać do palika, to ja mogłam czuć, jak płomienie liżą mi stopy.

Ze względu na dziecko muszę przetrwać. Nie mam zamiaru umierać. Ponownie doszłam do wniosku, że będę

kurczowo trzymać się życia, niezależnie od tego, co mnie jeszcze czeka.

Byłam na tym placu, gdy podpalano stosy. Zauważyłam, że niektórym skazańcom okazano łaskę — duszono ich, a dopiero potem oddawano ich ciała na pastwę płomieni. Ci, którzy nie okazali skruchy i do końca byli wierni swym przekonaniom, nie mogli dostąpić tego zaszczytu. Palono ich żywcem.

Siedząc na placu w La Laguna, przypomniałam sobie stosy na Smithfield i dzień, kiedy zabrano ojczyrna mojej matki. Mój dziadek poszedł na szafot za udzielenie schronienia księdzu, a ojczyrn mojej matki został spalony na stosie za zainteresowanie reformacją. Na to wspomnienie zrodziła się we mnie potworna nienawiść do wszelkich prześladowań religijnych, zarówno katolickich, jak i protestanckich.

Nie możemy dopuścić do tego, by w Anglii zadomowiła się inkwizycja. Po powrocie do domu opowiem wszystkim o tym dniu. Musimy bronić się przed tym z całych sił.

Chciałam wyplenić wszelką nietolerancję i walczyć z okrucieństwem. Słyszałam krzyki konających, gdy płomienie powoli pochłaniały już wcześniej okaleczone i zniekształcone ciała.

„O Boże — modliłam się — zabierz mnie stąd. Zabierz mnie stąd do domu”.

\* \* \*

Leżałam w łóżku w ciemnym pokoju. W drodze powrotnej do domu co chwilę traciłam przytomność i nie mogłam usiedzieć na mule. Gdy tylko dotarłam do hacjendy, poszłam do swojej sypialni i położyłam się do łóżka.

Nie mogłam przestać myśleć o tym, co wcześniej

widziałam.

Po jakimś czasie pojawił się u mnie don Felipe. Usiadł na brzegu łóżka. Był w stroju do jazdy konnej, a zatem musiał właśnie wrócić. To znaczy, że przyszedł prosto do mnie.

— Widziała pani autodafe — wyjaśnił.

— Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiała uczestniczyć w takim widowisku! — zawołałam. — Jednakowoż najbardziej dziwi mnie to, że takie rzeczy robi się w imię Chrystusa.

— Chciałem, żeby zobaczyła pani to na własne oczy. Może dzięki temu zrozumie pani ewentualne niebezpieczeństwo — powiedział łagodnie. — To miało być ostrzeżenie.

— Nie byłby pan zadowolony, gdybym znajdowała się wśród owych nieszczęśników? Wtedy pańska zemsta przybrała by nieoczekiwany obrót.

— To byłoby niezgodne z moim planem — oświadczył.

Leżałam nieruchomo, patrząc na sufit z rzeźbionymi aniołami wstępującymi do nieba.

— Don Felipe — szepnęłam — nie podobało mi się to, co widziałam. Nienawidzę pańskiego kraju. Nienawidzę pańskiego zimnego i wyrachowanego okrucieństwa. Uważa się pan za dobrego katolika. Regularnie się pan modli. Każdego dnia dziękuje pan Bogu, że różni się pan od innych ludzi. Jest pan bogatym i wpływowym człowiekiem, lecz pierwsze miejsce zajmuje u pana niepohamowana duma. Proszę się zastanowić, czy tak powinno być. Czy uważa pan, że wszyscy ci ludzie, którzy zostali dziś zamordowani, byli większymi grzesznikami od pana?

— To heretycy — odparł.

— Jedynie myśleli inaczej niż pan. Czcili tego samego Boga, lecz robili to w nieco inny sposób. Tylko dlatego

skazani zostali na stos. Czy Jezus Chrystus nie kazał kochać bliźniego? Czyż ci ludzie nie są pańskimi bliźniami?

— Zobaczyła pani dzisiaj, co dzieje się z heretykami. Proszę, by była pani ostrożna.

— Ponieważ jestem heretyczką. Czy muszę zmieniać wiarę ze strachu przed okrucieństwem niegodziwych ludzi?

— Proszę nic nie mówić. Opowiada pani bzdury. Mówiłem już, że ktoś może podsłuchiwać. To, co pani dzisiaj widziała, było jedynie ostrzeżeniem. Chciałem uzmysłwić pani niebezpieczeństwo, na jakie się pani naraża. Poza tym nie powinna pani współczuć heretykom. Są skazani na ogień wieczny. Jakież może mieć dla nich znaczenie dwadzieścia minut płomieni na ziemi?

— Ci męczennicy wcale nie pójną do piekła. To okrutni ludzie, cieszący się ich nieszczęściem, skazani są na potępienie.

— Próbowałem panią uratować.

— Dlaczego?

— Ponieważ zależy mi na dziecku.

— Gdy je już urodzę, opuszczę pańską znienawidzoną ojczyznę i wrócę do domu. Nie mogę się już doczekać tego dnia.

— Jest pani wyczerpana nerwowo — powiedział. — Proszę trochę odpocząć. Każę przynieść pani jakiś środek uspokajający.

Kiedy wyszedł, leżałam, myśląc o nim. Dobrze było choć na chwilę zapomnieć o ponurych wydarzeniach. Nie mogłam się nadziwić tolerancji, jaką okazywał mi don Felipe. Powiedziałam tyle, że bez trudu mógł oddać mnie w ręce inkwizycji, on jednak nadal obchodził się ze mną bardzo łagodnie. Pozwolił mi się zająć Carlosem... Kiedy pomyślałam o tym chłopcu i dziecku, które nosiłam pod

sercem, byłam wściekła na siebie o to, że ujawniam własne uczucia. Muszę być ostrożna. Muszę przetrwać... ze względu na te dwójkę. Nie mogę się narażać. Powinnam być wdzięczna don Felipe za uzmysłowienie mi niebezpieczeństwa, jakie bardzo łatwo mogłam na siebie ściągnąć.

Zaczęłam słuchać, co mówi John Gregory. Znałam już na pamięć Credo. Potrafiłam odpowiedzieć na zadawane mi pytania. Jednym słowem — robiłam postępy.

Od czasu do czasu trochę rozmawialiśmy. John Gregory był smutnym i przygnębionym człowiekiem. Wyraźnie żałował, że przyłożył rękę do sprowadzenia mnie tutaj.

Pewnego dnia po skończonej lekcji zauważyłam:

— Wygląda na to, że miałby pan co opowiadać.

— Zaiste — zgodził się.

— Czasami jest pan dziwnie smutny. — Nie odezwał się, a ja kontynuowałam: — Jest pan Anglikiem. Czemu pracuje pan dla Hiszpanów?

— Nie miałem innego wyjścia.

Potem opowiedział mi swoją historię.

— Byłem angielskim marynarzem — wyznał. — Pływałem z kapitanem Pennlyonem.

— Czyżby pan go znał?

— Bałem się stanąć z nim twarzą w twarz, gdyż wiedziałem, że może mnie sobie przypomnieć. Gdy spotkaliśmy się w Devon, byłem przerażony, że mnie rozpozna.

— Powiedział, że chyba gdzieś pana widział.

— Tak, bo to była prawda, lecz nosiłem wtedy inny strój. Znał mnie jako angielskiego marynarza, członka swojej załogi. Niewątpliwie byłbym nim do dziś, gdybym nie dostał się do niewoli. Natknęliśmy się na potworny sztorm, wysokie



fale przelewały się przez pokład. Całą nadzieję na przeżycie pokładaliśmy z kapitanie Pennlyonie. Znużeni i przerażeni marynarze nabierali otuchy, widząc go biegającego po pokładzie, wykrzykującego rozkazy i obiecującego, że w porównaniu z je go gniewem ogień piekielny będzie łagodną karą. Wśród braci żeglarskiej krąży legenda, iż Pennlyonowie są niezwyciężeni.

Nie rozbili się, co w pewnym sensie zawdzięczali umiejętnościom Jake'a Pennlyona, musieli jednak jakoś dopłynąć do portu, by wyremontować okręt. John Gregory wraz z kilkoma innymi członkami załogi wsiadł do szalupy, by zbadać morze i zorientować się, na jakich są wodach.

— Przechwycili nas Hiszpanie — wyjaśnił John Gregory — i zostaliśmy odtransportowani do ich kraju.

— A tam?

— Oddani w ręce inkwizycji.

— Ma pan blizny na policzku, nadgarstkach... na szyi... i bez wątpienia na tym nie koniec.

— Tak. Byłem torturowany. Przeszedłem potworne męczarnie. Skazano mnie na stos.

— A zatem niewiele brakowało, a poniósłby pan okropną śmierć. Jakim cudem zdołał pan jej uniknąć?

— Doszli do wniosku, że mogą mnie wykorzystać. Pod presją przyjąłem ich religię. Spytałem, czy mogę zostać księdzem. Proszę nie zapominać, że mnie torturowano. Wiedziałem, iż czeka mnie straszna śmierć. Wyparłem się własnej wiary i odzyskałem wolność. Nie wiedziałem, dlaczego. Rzadko okazują miłosierdzie, potem jednak zdałem sobie sprawę, że chcą mnie wykorzystać jako szpiega. Za panowania poprzedniej królowej kilkakrotnie odwiedzałem Anglię, potem oddano mnie na służbę do don Felipe, a on wysłał mnie z tą misją.

— Dlaczego nie został pan w Anglii, gdy miał pan taką możliwość?

— Zostałem katolikiem, poza tym bałem się tego, co może mnie spotkać, gdybym ponownie wpadł w ręce Hiszpanów.

— Co by się stało, gdyby przyłapano pana w Anglii na szpiegostwie?

Wzruszył ramionami i wznosił oczy do nieba.

— A Richard Rackell? — ciągnęłam.

— To angielski katolik na usługach Hiszpanii.

— Don Felipe wysłał was, żebyście pomogli mu się zemścić. Zrobił pan to z prawdziwą ochotą!

— Wcale nie, lecz nie widziałem innego wyjścia. Ze względu na dziecko powinna pani zrezygnować ze swojej dumy i pryncypiów. To samo dotyczy reszty. Bardzo sobie cenię własne życie. Proszę pamiętać, że byłem torturowany przez inkwizycję. Z tego powodu zmieniłem wyznanie. Zdradziłem ojczyznę, by uniknąć następnych tortur i móc dalej żyć.

— Pokusa musiała być ogromna — uznałam.

— Mam nadzieję, że teraz nie będzie już pani tak źle o mnie myśleć.

— Wystarczy, że rozumiem pański dylemat. To pan chciał uniknąć tortur i dalej móc żyć.

Odetchnął z ulgą.

— Od dawna chciałem to pani powiedzieć. Siedząc w tam to popołudnie na placu w La Laguna, uznałem, że pora to zrobić.

Przytaknęłam, a on oparł brodę na dłoniach i popadł w zadumę... Przypuszczałam, że wrócił myślami do dawnych czasów, nim wpadł w ręce inkwizycji, nim przyjechał do Anglii, by porwać trzy niewinne kobiety, do czasów, kiedy był marynarzem służącym pod rozkazami Jake'a Pennlyona.

Poszłam do katedry. Wyznałam swoje grzechy księdzu, który mieszkał w hacjendzie, zapaliłam świece na cześć wszystkich świętych i skropiłam się święconą wodą.

Postanowiłam, że do urodzenia dziecka będę robić to, czego się ode mnie oczekuje. Z utęsknieniem wypatrywałam tego dnia. Chciałam mieć już za sobą długi okres wyczekiwania.

Don Felipe od czasu do czasu zapraszał mnie na kolację. Nie mogłam się doczekać owych wspólnych posiłków. Wiedziałam, że nie jestem mu tak obojętna, jak próbuje okazać, gdyż w innym wypadku nasze spotkania przy stole nie miałyby żadnego sensu.

Byłam już teraz bardzo ociężała. Minęły letnie miesiące, a poród miał nastąpić w styczniu. Regularnie odwiedzała mnie akuszerka. Robiła to na wyraźny rozkaz don Felipe. Często się śmiała i potrzasała głową.

— To dziecko będzie miało dosłownie wszystko — mawiała. — Wystarczy jeden rozkaz don Felipe... nic więcej.

Była dumna ze swej znajomości angielskiego i lubiła to okazywać.

— Zupełnie inaczej wszystko wyglądało w przypadku tam tego maleństwa.

Miała na myśli Carlosa. Zastanawiałam się, co się działo, gdy wyszło na jaw, że biedna Isabella jest brzemienna. Jak na ironię dziecko żony don Felipe zostało bardzo źle przyjęte, podczas gdy na moje czekano z ogromną niecierpliwością.

Doszłam do wniosku, iż powodem takiego stanu rzeczy ponownie jest duma don Felipe. W końcu miało to być jego dziecko. Między nami zaczęła powstawać jakaś nowa więź.

Czasami mówił mi, co dzieje się w Anglii, choć zawsze przekazywał mi te informacje z konkretnym nastawieniem, które nauczyłam się ignorować. Nasze kolacje stanowiły dla mnie swego rodzaju ucieczkę od towarzystwa Honey i Jennet. Chociaż to wcale nie znaczy, że próbowałam ich unikać. Obie bardzo dodawały mi otuchy — Honey dzięki swojemu spokojowi, a Jennet przez zadowolenie z obecnej sytuacji. Carlos również bardzo je polubił. Jennet go uwielbiała. Stawiała go na drugim miejscu po Jacku. Zaiste, z dnia na dzień obaj chłopcy stawali się coraz bardziej podobni do siebie. Momentami chciało mi się śmiać z absurdalności tej sytuacji. Opiekowałyśmy się dwoma synkami Jake'a Pennlyona, a on sam nawet nie wiedział o ich istnieniu.

Don Felipe wyraźnie bardzo interesował się wszystkim, co dzieje się w Anglii. Wyglądało na to, że inni Hiszpanie również podzielają jego ciekawość, jako że wszystkie opowieści na ten temat docierały do nas z Hiszpanii lub pochodziły od gości, którzy odwiedzali hacjendę.

Don Felipe z rozgoryczeniem przyznał, że wydarzenia wcale nie potoczyły się tak, jak przewidywał. Jego zdaniem panowanie angielskiej królowej powinno się skończyć, gdy znaleziono martwą żonę Roberta Dudleya, człowieka, któremu Elżbieta oddała serce. Jednak nasza władczyni wyszła zwycięsko z tej sytuacji. Mimo krążących plotek niczego jej nie udowodniono, poza tym wcale nie poślubiła Dudleya.

— Jest mądrzejsza, niż przypuszczaliśmy — wyznał don Felipe, gdy siedzieliśmy przy stole. — Dobrze wiedziała, że gdyby wyszła za mąż za Dudleya, straciłaby koronę. Postawiła więc sprawę jasno — uznała, że lord Robert nie jest wart takiego poświęcenia.

— A więc przyznaje pan, że jest mądra?

— Powiedziałbym raczej, że okazała pewną przebiegłość — odparł.

Kiedy indziej opowiedział mi o śmierci młodego króla Francji, Franciszka II. Wydarzyło się to w grudniu poprzedniego roku, lecz don Felipe dowiedział się o tym dopiero teraz.

Mój gospodarz był podniecony tą wiadomością, ponieważ wydarzenie to miało ogromny wpływ na życie królowej Szkotów.

Franciszek zmarł na zapalenie ucha, a jego młoda żona, Maria szkocka, dowiedziała się, że we Francji nie ma dla niej miejsca. Musiała więc wrócić do Szkocji.

— Teraz nie będzie już taka groźna — zauważyłam.

— Będzie stanowić większe zagrożenie — poprawił — dla kobiety, która uważa się za królową Anglii.

— Nie wierzę, by Elżbieta przejmowała się ludźmi przebywającymi poza granicami kraju.

— Maria wszędzie będzie miała zwolenników, nie tylko w Szkocji i we Francji. Jestem pewien, że w Anglii nie brakuje katolików, którzy chętnie zaciągną się pod jej sztandary, gdy tylko ruszy na południe.

— To znaczy, że chciałby pan, by w mojej ojczyźnie wybuchła wojna domowa?

Nie odpowiedział. Wcale nie musiał.

\* \* \*

Życie toczyło się do przodu. Moja ciąża powoli dobiegała końca. Bardzo chciałam mieć ją już za sobą. Tymczasem tkwiłam zamknięta we własnym świecie.

Przygotowania do porodu miały niemal uroczysty przebieg. Gdy rozpoczęły się pierwsze bóle, akuszerka już od

jakiegoś czasu przebywała w hacjendzie. Poszłam do sypialni — tego pokoju, z którym wiązało się tyle wspomnień — i to właśnie tam urodził się mój synek.

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy po raz pierwszy dano mi go w ramiona.

Był maleńki... znacznie mniejszy od Jacko. Miał ciemne oczy i delikatny ciemny meszek na głowie.

Gdy go zobaczyłam, natychmiast pomyślałam: „Mój maleńki Hiszpan!”

Byłam nim zachwycona. Przytuliłam go do siebie i poczułam, że zalewa mnie fala miłości. Miłości, jakiej nigdy dotychczas nie znałam i nie żywiłam do nikogo — może z wyjątkiem Careya. Ale między mną a tym brzdącem nie było żadnej bariery. Należał tylko do mnie.

Kiedy trzymałam go w ramionach, do pokoju wszedł don Felipe. Stał przy łóżku. Natychmiast przypomniałam sobie, jak stał w tym samym miejscu ze świecą w ręce, a ja udawałam, że śpię.

Wyciągnęłam dziecko w jego stronę, by mógł je zobaczyć, a kiedy, nie kryjąc zdumienia, bacznie mu się przyglądał, na oliwkowej skórze don Felipe dostrzegłam delikatne rumieńce. Potem przeniósł wzrok na mnie. Jego oczy błyszczały jak nigdy wcześniej.

Przyszło mi na myśl, że właśnie wypełniła się jego zemsta.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie, a potem objął wzrokiem i mnie, i dziecko. Nagle przestałam być pewna, czy znam uczucia tego człowieka.

\* \* \*

Don Felipe zażyczył sobie, by mój synek nosił imię Roberto. Powiedziałam, że będę nazywać go Robertem, lecz

jakimś cudem wkrótce sama zaczęłam zwracać się do niego: Roberto. Hiszpańska forma imienia lepiej do niego pasowała.

Został ochrzczony w kaplicy w hacjendzie, a uroczystości tej towarzyszyła pompa należna synowi pana domu.

W ciągu kilku pierwszych tygodni po urodzeniu dziecka nie myślałam o niczym innym, tylko o nim. Przypomniałam sobie, co przeżywała ongiś Honey, która pojawiła się w naszym domu przede mną i nie była rodzonym dzieckiem mojej matki. Bardzo mi zależało, by Carlos nie przechodził przez takie katusze. Staralam się zainteresować go maleństwem i to mi się udało. Opiekował się Roberto i bardzo delikatnie się z nim obchodził. W pokoiku dzieciennym panowała pełnia szczęścia. Jennet była wspaniałą opiekunką do dzieci i wcale się nie przejmowała, że są nieślubne.

— Zgodnie z prawem jesteśmy błogosławione — oświadczyła przy jakiejś okazji. — Dzięki dzieciom, naszym maleńkim bobaskom. Mnie to w zupełności wystarcza.

Don Felipe często przychodził do pokoju dzieciennego, by zobaczyć synka. Widziałam, jak pochylał się na kołyską i wpatrywał się w maleństwo. Wiedziałam, że jest dumny z dziecka.

Pewnego dnia poszłam do *escritorio*.

— Pański plan został zrealizowany — powiedziałam. — Urodziłam pańskie dziecko. Chyba nadszedł już czas, by dotrzymał pan obietnicy i odesłał nas do domu.

— Roberto jest za mały na podróż — oświadczył. — Musi pani poczekać, aż będzie nieco większy.

— O ile większy? — spytałam.

— Chciałaby pani zabrać kilkumiesięczne niemowlę w długi rejs?

Zawahałam się. Przypomniał mi się sztorm i cisza na morzu.

— Powinnyśmy popłynąć, gdy byłam w ciąży.

— Proszę zaczekać — powiedział. — Proszę zaczekać, aż Roberto będzie starszy.

Wróciłam do swojego pokoju i zaczęłam się zastanawiać nad jego słowami.

W głębi duszy nie mogłam opanować śmiechu. Don Felipe kochał swojego synka i nie chciał go stracić. Miłość! Co ten człowiek może wiedzieć o miłości? Jest po prostu dumny z syna. I nie chce się z nim rozstać.

\* \* \*

Nie brakowało nam niczego. Miałyśmy wszystko, czego dusza zapagnie. Postawiono nam tylko jeden warunek — że mamy zachowywać się, jak na dobre katoliczki przystało. Dla Honey i Jennet to było całkiem proste, ponieważ naprawdę nimi były. Jeśli chodzi o mnie, miałam dzieci — Roberto i Carlosa — i musiałam o nich myśleć. Chłopcy byli dla mnie ważniejsi niż wiara. Nie nadawałam się na męczennicę.

Don Felipe zaczął zupełnie inaczej mnie traktować. Często zapraszał mnie na wspólne kolacje. Przychodził do ogrodu, gdzie siadywałam z dziećmi, i nawet od czasu do czasu rozmawiał z Carlosem, który przestał się go bać. Lecz przede wszystkim był urzeczony Roberto. Nie mogło być nawet najmniejszej wątpliwości, że to dziecko don Felipe. Mój synek był bardzo podobny do swojego ojca. Co dziwne, wcale mi to nie przeszkadzało, raczej powodowało rozbawienie. Moja miłość do Roberto w ogóle na tym nie ucierpiała. Tak samo było z Carlosem. Widziałam w nim Jake'a Pennlyona i to mnie w jakiś sposób ujmowało.

Mijały miesiące i nie działo się nic ciekawego. Roberto miał pół roczku i powoli zbliżała się zima.



— Jest już znacznie starszy — powiedziałam do don Felipe. — Wkrótce powinniśmy wyjechać.

— Proszę poczekać zimę — zaproponował don Felipe. Na wiosnę Roberto miał już roczek.

## *Żony don Felipe*

Jadłam kolację z don Felipe. Siedzieliśmy przy świecach i rozmawialiśmy o Roberto — o tym, że wyrastają mu pierwsze ząbki, że raczkuje, że powiedział mądre.

Potem uniosłam wzrok i wpatrując się z natężeniem w swojego rozmówcę, powiedziałam:

— Często myślę o domu. Co nowego w Anglii?

— Nic ciekawego. Z tego, co pamiętam, spłonęła iglica Świętego Piotra i choć powiada się, że strzelił w nią piorun, tamtejszy robotnik na łożu śmierci wyznał, iż w wieży nieopatrzenie zostawiono pojemnik z węglem.

To musiała być potworna pożoga. Ciemną chmurę widać było wiele kilometrów od miejsca pożaru. Babcia pewnie wyszła do ogrodu, by baczenie się jej przyjrzeć. Może towarzyszyła jej moja matka. Kto wie, czy przy tej okazji nie przypomniały im się dymy nadciągające znad Smithfield? A może matka zaczęła wspominać zaginione córki?

Pewnie ze łzami w oczach powiedziała: „Kochane Cat i Honey”. Bez nas musiała się czuć potwornie samotna.

— O czym pani myśli? — spytał don Felipe.

— O swojej matce. O tym, że pewnie jest jej bardzo smutno, ilekroć wspomina mnie i moją siostrę. Obie zostałyśmy porwane. To musiała być dla niej ogromna tragedia, zwłaszcza że już wcześniej sporo w życiu wycierpiała.

Zamilkłam.

— Teraz się pani uśmiecha — powiedział po chwili.

— Wyobraziłam sobie nasz powrót. Mama na pewno pokocha Roberto. W końcu to jej wnuk. To kobieta uwielbiająca dzieci. Sądzę, że tę cechę mam po niej. Na

pewno nikt nie zapomni też o Carlosie. Powiem: „Mamusi, to mój adoptowany syn, tak jak Honey była twoją adoptowaną córką. Teraz należy do naszej rodziny”. Znowu będziemy szczęśliwe.

Twarz don Felipe była całkowicie pozbawiona wyrazu.

— Roberto ma roczek — ciągnęłam. — Jest wystarczająco duży, by podróżować. Teraz musi pan dotrzymać obietnicy. Pora, żebyśmy wróciły do domu.

Potrząsnął głową.

— Nie może pani zabrać dziecka — oświadczył.

— Mam zostawić tu swojego synka?!

— To również mój syn.

— Ale to ja go urodziłam. Jest mój. Za nic w świecie go nie opuszczę.

Uśmiechnął się do mnie łagodnie.

— Ależ pani błyszczą oczy! Istnieje pewne rozwiązanie. Nie chciałbym pozbawiać dziecka matki, nie mam jednak zamiaru rozstawać się z Roberto, jeśli więc nie chce go pani stracić, musi pani zostać tutaj.

Przez chwilę milczałam.

— Zawsze zapewniał mnie pan, że nie chce mnie skrzywdzić — rzekłam w końcu.

— Bo to prawda.

— Tłumaczył mi pan, że jestem tutaj tylko dlatego, by mógł pan wywiązać się ze złożonej przysięgi. A gdy to się uda, odzyskam wolność.

— Jest pani wolna... ale nie zgadzam się, by zabrała pani dziecko.

Wstałam. Chciałam wyjść, by przemyśleć tę sprawę. Don Felipe dotarł do drzwi przede mną i zablokował mi drogę.

— Nie zostawi pani dziecka — powiedział. — Proszę zaakceptować to, co nieuniknione. Może pani być tu

szczęśliwa. Czego pani chce? Proszę powiedzieć, a natychmiast będzie pani to miała.

— Chcę wrócić do domu, do Anglii.

— Może pani prosić o wszystko oprócz tego.

— Ale tego właśnie pragnę.

— W takim razie proszę się tam udać.

— I mam zostawić dziecko?

— Niczego nie będzie mu tu brakowało. To mój syn.

— Wygląda na to, że ucieszył się pan z jego urodzin.

— Nic, jak dotąd, nie sprawiło mi takiej przyjemności.

— Byłby pan bardziej zadowolony, gdyby urodziła go panu Isabella.

— Wówczas nie byłby to Roberto. Ten malec jest podobny do pani.

— I to pana cieszy?

— Nawet bardzo, bo jeśli pani wyjedzie, on będzie mi panią przypominał.

— Chce pan, żeby coś panu mnie przypominało?

— Prawdę mówiąc, wcale nie jest mi to potrzebne. I tak nigdy pani nie zapomnę.

Potem przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił.

— Chciałbym — powiedział — żebyśmy mieli więcej takich synów.

— Jak pan to sobie wyobraża?

— Jest pani wystarczająco mądra, by to zrozumieć.

— Ma pan żonę. Czyżby pan zapomniał?

— Trudno o tym zapomnieć!

— Nigdy się pan z nią nie widuje — zauważyłam.

— Krzyczy na mój widok.

— Na pewno można ją wyleczyć.

— Isabelli nie da się wyleczyć.

— Kiedyś pan ją kochał.

— Pokochałem w życiu tylko jedną kobietę — wyznał. — Nadal ją kocham i będę kochał do końca dni moich. — Mówiąc to, przez cały czas spokojnie patrzył mi w oczy.

— Proszę mi nie wmawiać, że kocha pan swoją ofiarę. Nienawidził pan naszych nocnych spotkań w takim samym stopniu jak ja. Chciał pan, żebym przypominała Isabellę. Bez przerwy musiał pan odwoływać się do swojej przysięgi. — Ujął moje dłonie i najpierw uniósł do ust jedną z nich, a potem drugą. — Jeżeli naprawdę mnie pan kocha — powiedziałam — powinien pan starać się sprawić mi przyjemność i puścić mnie do domu.

— Może pani prosić o wszystko oprócz tego — odparł.

Byłam zdezorientowana. Odniosłam zwycięstwo. Sytuacja się odwróciła. Teraz to on był zdany na moją litość.

— Proszę mi powiedzieć — ciągnął — że nie żywi pani do mnie urazy. Że w pani sercu nie ma nienawiści.

— To prawda — przyznałam. — W moim sercu nie ma nienawiści. Chyba nawet pana lubię. Był pan dla mnie miły... z wyjątkiem wymuszenia na mnie uległości, a i to — trzeba przyznać — zrobił pan w wytworny sposób... o ile coś takiego w ogóle można powiedzieć o gwałcie. Próbował mnie pan uchronić przed idiotycznym prawem obowiązującym w pańskiej ojczyźnie. Lecz nie kocha mnie pan na tyle, by mnie uszczęśliwić, pozwalając mi na wyjazd.

— Zbyt wiele pani żąda — oświadczył.

— Teraz wszystko się zmieni. Nie żywi pani do mnie urazy. Nie nosi w sercu nienawiści. Czy istnieje jakaś szansa, że mnie pani bardziej polubi?

— Nie może mi pan zaproponować małżeństwa, don Felipe — odparłam. — A to byłoby jedyne możliwe rozwiązanie.

— Proszę mi powiedzieć — wyjąkał — a gdybym

mógł...?

— Ale pan nie może, don Felipe. Ma pan żonę. Wiem, że jest umysłowo chora, że właściwie wcale nie jest pańską żoną i że jest to rozpaczliwa sytuacja. Zdaję sobie również sprawę, iż częściową odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponosi Jake Pennlyon. Ale chyba nie tylko on. Isabella musiała być chora, nim jeszcze on się pojawił. Proszę mnie teraz puścić. Chcę się zastanowić nad tym, co mi pan powiedział.

Cofnął się, lecz wciąż trzymał mnie za rękę. Potem pocałował je z niespotykaną u niego pasją. Wyrwałam mu dłonie i z szalonym biciem serca wróciłam do swojego pokoju. Zamknęłam się w nim, by móc spokojnie wszystko przemyśleć.

\* \* \*

Nazajutrz wczesnym rankiem don Felipe wyjechał. Miałam za sobą niespokojną noc. Branie pod uwagę małżeństwa z tym człowiekiem wydawało się całkowitym absurdem, aliści ja to robiłam. Był ojcem mojego ukochanego synka i ów synek w jakiś sposób nas łączył. Roberto już zaczynał rozpoznawać ojca, a don Felipe zawsze traktował go bardzo łagodnie i czule.

Doszłam do wniosku, że to śmieszne, niemniej obecna sytuacja bardzo mnie intrygowała.

Dowiedziawszy się, iż don Felipe wyjechał z hacjendy, byłam trochę zawiedziona. Dręczył mnie dziwny niepokój i chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o Isabelli.

Tegoż popołudnia, gdy większość ludzi odpoczywała podczas sjesty, zostawiłam Jennet przy dzieciach i powędrowałam do Casa Azul.

Świeciło mocne słońce. Odniosłam wrażenie, że cały dom

znajdujący się za żelazną kutą bramą pogrążony jest we śnie. Nagle w drzwiach pojawiła się Isabella. Trzymała w ręce lalkę — tę samą, którą widziałam poprzednio. Przechodząc przez patio, dziewczyna mnie zauważyła. Zawahała się. Uśmiechnęłam się do niej, a wtedy podeszła do mnie i wymamrotała jakieś pozdrowienie. Obecnie znałam już na tyle język hiszpański, że mogłam prowadzić w nim proste rozmowy, przeto odpowiedziałam na jej powitanie. Stała i przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem, dzięki czemu mogłam lepiej się jej przyjrzeć. Gdyby uroda ograniczała się jedynie do rysów twarzy, należałoby uznać Isabellę za prawdziwą piękność. Lecz jej wyjątkowo urzekająca twarz niczego nie wyrażała. Zaiste, była to piękna skorupka, brakowało jej jednak inteligencji, która nadałaby tym rysom jakiś charakter.

Isabella wyciągnęła w moją stronę lalkę. Uśmiechnęłam się i w odpowiedzi otrzymałam również uśmiech. Potem dziewczyna otworzyła bramę i wpuściła mnie na patio.

Nie byłam tu od dnia, kiedy zabrałam stąd Carlosa. Isabella ufnie ujęła moją dłoń i podprowadziła mnie do ławki. Usiadłyśmy, a ona zaczęła opowiadać mi o swojej lalce. Przypuszczałam, że nigdy się z nią nie rozstaje. Co chwilę powtarzała słowo *muñeca*\*. Pilar szła ubranka, które można było zakładać i zdejmować.

Nagle Isabella skrzywiła buzię i pokazała mi, że jej pupilka ma tylko jeden bucik.

— Zgubiła go — powiedziałam. — Chodź, poszukamy.

Przytaknęła, a wtedy zaczęłam rozglądać się po patio. Isabella wędrowała za mną krok w krok. Ucieszyłam się, znalazłszy zgubę przy bramie. Dziewczyna klasnęła w dłonie, po czym wróciłyśmy na ławkę i tam założyła lalce znaleziony trzewik.

---

\* Muñeca — lalka.

Nagle wstała, wzięła mnie za rękę i zaczęła ciągnąć w stronę domu. W końcu wprowadziła mnie do środka. Poczulałam delikatny zapach tak dobrze znanych mi perfum. Wewnątrz domu było ciemno jak w hacjendzie — wyraźnie został wybudowany tak, by odciąć mieszkających w nim ludzi od słońca.

Podłoga w hallu wyłożona została błękitną mozaiką, a na piętro prowadziły imponujące schody o wspaniałych rzeźbionych poręczach. Na suficie ktoś namalował anioły fruujące wśród chmur. Było tu piękniej, niż przypuszczałam.

Isabella, wciąż trzymając moją rękę, wprowadziła mnie do pokoju, który przylegał do hallu. Tak jak przypuszczałam, również tutaj panował półmrok, lecz zdumiała mnie tajemnicza, pełna zadumy atmosfera tego pomieszczenia — choć może to ja byłam w takim nastroju.

Isabella kazała mi usiąść. Nagle pojawiła się Pilar. Niechętnie zatrzymała się w drzwiach. Isabella z ogromnym podnieceniem zaczęła opowiadać jej o znalezionym przeze mnie buciku lalki, po czym oznajmiła, że chce pokazać mi resztę swoich lalek. Chciała zabrać mnie na górę, żebym mogła je zobaczyć.

— Przyniesie je tutaj, Isabello — zaproponowała Pilar.

Isabella wyduła wargi.

— Tak będzie lepiej — wyjaśniła Pilar. — Chodź, pójdziemy razem i przyniesiemy je.

Wzięła Isabellę za rękę i zostałam w pokoju sama. Rozejrzałam się dookoła. Zauważyłam kosztowne draperie i eleganckie hiszpańskie meble. To w końcu jej dom — pomyślałam — poza tym Isabella jest żoną don Felipe, nawet jeśli zachowuje się jak dziecko.

Znalazłam się w dość dziwnej sytuacji. Nie mogłam



zapomnieć namiętności widocznej w oczach don Felipe, kiedy mi powiedział, że chciałby mnie poślubić. Jak miał zamiar to zrobić, skoro na przeszkodzie stało stworzenie o mentalności dziecka?

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda dziewczyna. Miała ciemne włosy, owalną twarz, ogromne, niemal czarne oczy i oliwkową cerę.

— Proszę mi wybaczyć, señorita — powiedziała.

— Kim jesteś? — spytałam.

— Mam na imię Manuela. Pracuję tutaj. Jeśli można, chciałabym z panią porozmawiać, señorita.

— O czym?

— Chodzi mi o tego chłopca... małego brzdąca. — Jej twarz rozjaśnił uroczy uśmiech. — Carlota.

— Rozumiem.

— Chciałabym zapytać, czy jest teraz szczęśliwy.

— Jak nigdy dotąd.

Uśmiechnęła się.

— To dobre dziecko — mówiła. — Wspaniały chłopiec. Maria bardzo źle go traktowała.

— Maria? Czy to ta kobieta, która tam mieszka? — Machnięciem ręki pokazałam dziedziniec, na którym bawił się Carlos.

Przytaknęła.

— Była przybraną matką Carlota. To głupia kobieta... Nie kocha dzieci, choć ma pięcioro własnych. Carlos nie powinien u niej przebywać. Często z nim rozmawiałam.

Czułam, że zaczynam lubić Manuełę. Była miła dla Carlota. Widziałam to po wyrazie jej twarzy.

— Nie musisz się już martwić — zapewniłam ją. — Pilnuję, by Carlosowi niczego nie brakowało.

— Często przynosiłam mu słodycze. Biedne dziecko.

Brakowało mu miłości. Dzieci potrzebują miłości i słodczy. Dziękuję, że go pani stąd zabrała, señorita.

— Musisz odwiedzić Carlosa.

— Mogę? Jest pani taka dobra.

— Czym się tu zajmujesz? — spytałam.

Między jej brwiami pojawiła się delikatna bruzda.

— Pomagam w buduarze. Jestem pokojówką doñi Isabelli.

— Nie lubisz tej pracy?

— Kocham dzieci, señorita. Dona Isabella pod wieloma względami przypomina dziecko.

— Rozumiem — powiedziałam.

Nagle dygnęła i pospiesznie wyszła. Widocznie usłyszała kroki, jako że w chwilę później pojawiła się Pilar, lecz bez Isabelli.

— Śpi — wyjaśniła Pilar. — Rozumie pani. Gdy dotarła do swojego pokoju, zupełnie o pani zapomniała. Czasami tak bywa.

— Biedaczka — westchnęłam.

— Zaiste.

— Może nie powinnam z nią rozmawiać?

— Była szczęśliwa, mogąc zamienić z panią parę słów, poza tym bardzo się ucieszyła, że znalazła pani bucik lalki. Ale czasami o wszystkim zapomina.

— To wszystko nie stało się z dnia na dzień — zauważyłam.

Pilar przez chwilę milczała. Potem w końcu wyznała:

— Zawsze była trochę ograniczona. Nie potrafiła niczego się nauczyć, jednakowoż w przypadku wysoko urodzonej damy to nie ma żadnego znaczenia. Jej rodzice mieli powiązania z rodziną królewską i zapewniali jej wspaniałą posag, wystarczyło więc dobrze wydać ją za mąż.

— W związku z tym fakt, iż była trochę ograniczona, w

niczym nikomu nie przeszkadzał.

— Uważano, że będzie dobrą żoną... i urodzi mężowi mnóstwo dzieci. Zaręczono ją z don Felipe. To bardzo bogaty szlachcic, cieszący się na dworze sporym poważaniem. Uznano, że to dobry mariaż.

— Mimo że Isabella wciąż bawiła się lalkami.

— Była dzieckiem. Miała piętnaście lat. Zazwyczaj mawialiśmy: „Wydorosłeje, gdy będzie miała własne dzieci”.

— Pilar przymrużyła oczy. — Gdybym dostała w ręce tego gwałciciela, zadałabym mu takie tortury, jakich nie znał świat. Zrujnował młodej dziewczynie życie.

— Wygląda na to, że było zrujnowane, nim on się pojawił. W końcu od urodzenia różniła się od swoich rówieśników.

— Wyrosłaby z tego, mając własne dzieci.

Wcale nie byłam co do tego przekonana. Nie chciałam bronić Jake’a Pennlyona, choć on jedynie zaspokoił swoje pożądanie, a Isabella padła jego ofiarą. Wina za jej ciężkie położenie leżała nie tylko po jego stronie, aczkolwiek wywołał u dziewczyny potworny szok, niszcząc jej w połowie ukształtowaną psychikę.

— Czy wolałaby pani, żebym więcej nie przychodziła? — spytałam.

— Nie — odparła. — Proszę ją odwiedzać, ilekroć pani zechce. Pani ją rozumie. Wyświadczyła jej pani przysługę.

Zabrała pani dziecko. To dobrze. Carlos już nie jest dla nas ciężarem. Choć nie rozumiem, jak zdołała pani przekonać don Felipe, by pozwolił zatrzymać chłopca w hacjendzie.

Badawczo mi się przyjrzała, a ja zaczęłam się zastanawiać, ile ta kobieta wie. Czy zdaje sobie sprawę, że zostałam tu sprowadzona, by don Felipe mógł wyrzucić zemstę?

Wychodząc, zauważyłam pracującego w ogrodzie mężczyznę. Był za wysoki i zbyt szeroki w barkach jak na

Hiszpana. Gdy mnie zobaczył, wyprostował się i dotknął ręką czapki. Pilar podprowadziła mnie do bramy.

— To Edmundo — wyjaśniła. — Jest silny i pomaga mi, ilekroć jest to konieczne. Potrafi odpowiednio obchodzić się z Isabellą, gdy jest chora. Bierze ją wtedy na ręce i z największą ostrożnością zanosí do łóżka.

Pożegnałam się i obiecałam, że wkrótce znowu przyjdę odwiedzić Isabellę.

Opowiedziałam Honey o wszystkim, co się stało, zwłaszcza że nie wiedziała, iż don Felipe rozmawiał ze mną o małżeństwie.

Przykro nam było, że Isabella jest ograniczona. Uznałyśmy, iż rodzice nie powinni wydawać jej za tak inteligentnego i kulturalnego mężczyznę, jakim był don Felipe.

Wspomniałam siostrze o Manueli, która pytała mnie o Carlosa.

— Wyraźnie mu współczuła — wyznałam. — Musiała bardzo go lubić.

— Przydałaby się nam do pomocy przy dzieciach. Jak sądzisz, przysłałaby tu?

— Jestem tego pewna — odparłam.

Byłam również święcie przekonana, że don Felipe nie odmówi takiej prośbie.

Przedyskutowałyśmy zainteresowanie Isabelli lalkami, po czym Honey zaproponowała, żebyśmy uszyły ubranka dla jej pupilki i zaniósł dziewczynie w prezencie. Tak też zrobiłyśmy — przygotowałyśmy więc piękną kreację z kawałków aksamitu, który ozdobiłyśmy wspaniałą krezą z białej sztywnej koronki.

Isabella była szczęśliwa, gdy przyszłyśmy z tym prezentem do Casa Azul. Wybrałyśmy w tym celu spokojne

popołudnie. Potem usiadaliśmy razem na patio, a Isabella z prawdziwą dumą pokazała nam dwie lalki. Wydała okrzyk radości, gdy okazało się, że uszyta przez nas suknia pasuje jak ulał.

Pilar przyniosła miętowy napój i kilka aromatycznych małych ciasteczek. Isabella śmiała się radośnie i jak dziecko bez przerwy paplała o tym, co zrobiły jej lalki. W naszej obecności była taka szczęśliwa, że Pilar nic nie miała przeciwko składanym przez nas wizytom.

Od tego popołudnia często odwiedzałyśmy żonę don Felipe. Zazwyczaj czekała na nas na patio. Od czasu do czasu widywałyśmy też pracującego w ogrodzie postawnego Edmundo. Nie odrywał wzroku od Isabelli. Często przyłączała się do nas Manuela, dzięki czemu Honey mogła sama wyrobić sobie zdanie na jej temat. Uznała, że dziewczyna doskonale nadawałaby się do pomocy przy naszych dzieciach.

Tak mijają dni aż do powrotu don Felipe do hacjendy.

\* \* \*

Gdy wrócił, jeszcze tego samego dnia zaprosił mnie do *escritorio*. Nasze spotkania zawsze odbywały się właśnie tam. Inne pokoje nie zapewniały nam prywatności, a z apartamentem obecnie należącym tylko do mnie wiązało się zbyt dużo wspomnień z naszych pierwszych spotkań, które, jak przypuszczałam, także dla don Felipe nie należały do najmiłszych.

Kiedy weszłam, natychmiast do mnie podszedł, ujął moje dłonie i namiętnie je pocałował.

— Mam ci tak dużo do powiedzenia — oświadczył. — Będąc z dala od domu, bardzo wiele przemyślałem. Muszę

znaleźć jakiś sposób, żebyśmy mogli być razem. Jeśli mi się to nie uda, moje życie będzie jałowe jak pustynia. Wiem, Catalino, że nie nosisz w sercu nienawiści. — Moje imię wymówił z ociąganiem, nadając mu brzmienie, jakiego nigdy wcześniej nie miało. — Może więc zgodzisz się wyjść za mnie za mąż.

— Nie ma szans na to, abyśmy mogli zostać mężem i żoną. Jak pan chce to zrobić?

Westchnął.

— Bardzo długo się nad tym zastanawiałem. Obawiam się, że papież nie udzieliłby nam dyspensy. Lecz jeżeli ponownie się nie ożenię, nie mogę liczyć na legalnych synów, mimo że przecież dałbym ich kościołowi i swojej ojczyźnie. Rodzina Isabelli ma ogromne wpływy, większe niż moja. Przeto nie mogę liczyć na dyspensę.

— W takim razie nie mamy o czym dyskutować.

— Musi istnieć jakiś sposób. Zawsze jest jakiś sposób. Muszę ci coś powiedzieć. Wkrótce pojawi się tu Luis Herrera. Ma przejąć po mnie funkcję gubernatora tych wysp, lecz nie zrobi tego od razu. Będzie potrzebował przynajmniej roku, by nauczyć się wszystkiego, co spróbuję mu przekazać. Wyspy Kanaryjskie mają dla Hiszpanii ogromną wartość, stanowią bramę do nowego świata. Musimy je utrzymać, tymczasem wciąż zdarzają się napady. Dlatego nowy gubernator powinien wiedzieć, czego się od niego oczekuje. Po roku... najwyżej dwóch... wrócę do Madrytu. Catalino, chcę zabrać cię ze sobą... jako swoją żonę.

— Czyżby hiszpańscy donowie mogli mieć dwie żony?

— Biedna Isabella jest chora — powiedział z ociąganiem.

— Coraz częściej nękają ją ataki.

— A zatem pragnie pan jej śmierci.

Przez chwilę milczał, a potem w końcu powiedział:

— A czymże jest jej życie? Co ona właściwie z niego ma?

— Wygląda na to, że jest szczęśliwa, mogąc bawić się lalkami.

— Lalkami?! To dorosła kobieta!

— To wcale nie jest kobieta, lecz dziecko. Kiedyś pan ją kochał.

Spokojnie mi się przyjrzał.

— Pokochałem w życiu tylko raz i do końca moich dni będę kochał tylko jedną kobietę.

— Don Felipe!

— Nie mów do mnie „don Felipe”. Dla ciebie jestem Felipe. Powiedz to imię tak, jakbym był dla ciebie kimś bliskim.

Sprawiłabyś mi w ten sposób ogromną przyjemność.

— To musi samo wypłynąć z mojego serca.

— Kiedyś to zrobisz — oświadczył. — Wiem, że to zrobisz.

— Te znaczy, że nigdy nie kochał pan swojej żony? — wróciłam do poprzedniego tematu rozmowy. — Proszę powiedzieć mi prawdę.

— To była dobra partia. Isabella pochodzi z jednego z najwspanialszych rodów Hiszpanii.

— I tylko dlatego chciał się pan z nią ożenić?

— Zazwyczaj z takich właśnie powodów zawiera się małżeństwa.

— A zatem, kiedy wrócił pan po wizycie Jake’a Pennlyona, szalał pan ze złości, a nie z miłości do tego ograniczonego dziecka. Wściekał się pan, ponieważ ugodzono w pańską dumę.

W końcu wszystko to przydarzyło jej się pod pańskim dachem.

Dlatego poprzysiągł pan zemstę.

— Tak — wyznał. — Lecz dzięki temu poznałem ciebie.

— Lepiej nie rozmawiajmy już na ten temat. Proszę pozwolić mi na powrót do Anglii. Mój syn jest już wystarczająco duży, by znieść podróż.

— I miałbym stracić was oboje?!

— Tak byłoby o wiele lepiej dla pana. Ma pan wysoką pozycję. Wróci pan do Madrytu i zajmie jakieś następne ważne stanowisko. Może z czasem będzie pan mógł ponownie się ożenić. Kto wie? Ale powinien mnie pan odesłać.

— Nie mogę stracić i ciebie, i dziecka. Znaczysz dla mnie więcej niż cokolwiek innego na świecie.

Powiedział te słowa cicho i z ogromną powściągliwością, lecz to jedynie nadało im jeszcze większe znaczenie. Nagle zaczęłam się bać pasji, jaką obudziłam w tym chłodnym z natury człowieku.

— Gdybyśmy się pobrali — wyznał żarliwie — mógłbym uznać Roberto za swojego prawowitego syna. Mam w Hiszpanii mnóstwo posiadłości. Otrzymałby je w spadku, a i tak zostałyby jeszcze sporo dla naszych następnych dzieci. Żylibyśmy w wielkim stylu. Być może zrezygnowałbym z bywania na dworze. Nasze pociechy miałyby wszystko, czego dusza zapagnie.

Zastanowiłam się nad tą perspektywą, co było dość dziwne, bo choć kochałam Roberto nad życie i w jakiś sposób chciałam, by w przyszłości był bogaty, wcale nie przestałam tęsknić za domem. Chciałam zobaczyć matkę, wyobrażałam sobie jej radość, gdy dowie się, że jej córki żyją i nic im nie grozi. Marzyłam o tym, by zobaczyć kwitnące wiosną drzewa owocowe. Krótko mówiąc, pragnęłam wrócić do Anglii.

— To są jedynie pańskie marzenia — odparłam. — Ma pan żonę. Żal mi pana. Właściwie wszyscy zasługujemy na



współczucie. Jednakowoż Isabella uniemożliwia panu zrealizowanie tych marzeń.

Zostawiłam go, ponieważ chciałam zastanowić się nad swoimi uczuciami, które przestały być dla mnie jednoznaczne. Zdarzały się chwile, kiedy byłam zadowolona, że na przeszkodzie stoi nam Isabella i że w naszych stosunkach nie nastąpią żadne zmiany. Jednak kiedy indziej wcale nie byłam tego taka pewna.

\* \* \*

Mijające tygodnie powoli zamieniały się w miesiące. W domu panowało niemiłe napięcie. Zdawałam sobie sprawę, że don Felipe nieustannie bacznie mnie obserwuje. Często odwiedzał pokój dziecinny, a Roberto zazwyczaj na jego widok klaskał w rączki.

Jennet miała teraz do pomocy Manuełę i choć obie nie odnosiły się do siebie tak przyjaźnie, jak bym chciała, pozornie nie było między nimi żadnych tarć.

Mój syn miał już prawie dwa latka, a zatem od naszego wyjazdu z Anglii minęły trzy lata. Ojczyzna i dom wydawały się bardzo odległe, jednak niektóre wspomnienia były tak wyraźne, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Większość z nich wiązała się z moją matką. Gdybym mogła ją widywać, gdyby zamieszkała niedaleko ode mnie i gdyby nie było Isabelli, sądzę, że zgodziłabym się wyjść za Felipe.

Nie kochałam go, ale nie można mieszkać w hacjendzie, nie darząc jej gospodarza ogromnym szacunkiem. Bezspornie był bardzo dystyngowanym mężczyzną. Ludzi, którzy go urazili — a niewielu śmiało to zrobić — traktował wyjątkowo sprawiedliwie. Chwilami szczerze go podziwiałam. Był człowiekiem władczy. To bardzo mi się podobało. Gdybym

wyszła za niego za mąż, wiedziałabym, czego mogę się spodziewać. W końcu bywał już w moim łóżku. Mogłabym zatem liczyć na uprzejmość, łagodność i czułość. Kochał mnie z cichą desperacją, która dodawała mi otuchy. Wyobrażałam sobie czekające mnie miłe życie. Nie zakładałam, że go pokocham tak, jak niegdyś kochałam Careya, ale byłam w stanie polubić Felipe, poza tym musiałam brać również pod uwagę ewentualne korzyści, jakie mógłby wyciągnąć z tego Roberto. Pierwszą z nich byłaby możliwość odziedziczenia rozległych posiadłości. Mój syn z pewnością otrzymałby także najlepsze wykształcenie. Oczywiście, zostałby wychowany w wierze katolickiej, pojechałby do Hiszpanii, lecz fakt, iż jego matka jest Angielką, nie stanowiłby żadnej przeszkody, gdyby po jego stronie stał don Felipe.

Podczas jednej z moich rozmów z Felipe powiedziałam to wszystko na głos. Jakże inaczej wyglądałoby nasze życie, gdyby nie było Isabelli! Z drugiej jednak strony byłam jej wdzięczna. Dzięki niej nie musiałam podejmować niezwykle bolesnej decyzji.

Tak więc nie mogłam się zdecydować. Wiedziałam już, że don Felipe nigdy nie pozwoli mi wrócić do Anglii — ani samej, ani z dzieckiem, aczkolwiek nigdy nie brałam pod uwagę wyjazdu bez Roberto. Zdawałam sobie również sprawę, że obecność Isabelli nie pozwala nam na wykonanie jakiegoś zdecydowanego kroku.

Był to jedynie okres przejściowy. Pewne urozmaicenie wniósł przyjazd Luisa Herrery, człowieka, który z czasem miał zająć miejsce Felipe.

Don Luis był przystojnym, czarującym, uroczym i grzecznym mężczyzną, nieco młodszym od Felipe. Zauważyłam, że od pierwszej chwili całkowicie uległ

urokowi Honey.

Ilekróć na nią patrzyłam, zastanawiałam się, czemu don Felipe pokochał mnie, skoro miał pod ręką Honey. Była niewiarygodnie piękna, a uroku dodawały jej fiołkowe oczy i ciemne włosy. Wiedziałam, że brakuje jej mojej witalności, nie była też tak wojownicza jak ja, przeto zawsze pozwalała, by życie porywało ją ze sobą, niezależnie od tego, czy głęboko się nad nim zastanawiała, czy też po prostu zamykała się w sobie.

Jednakowoż zupełnie inaczej zachowywała się w obecności don Luisa i szybko się zorientowałam, iż nawzajem przypadli sobie do gustu.

Don Luis przywiózł wiadomości ze świata. Jedliśmy kolację we czwórkę — Honey, Luis, Felipe i ja. Felipe uznał, że dzięki temu będzie to miłe przyjęcie.

Luis sporo opowiadał o Anglii. Od naszego wyjazdu rywalizacja między Hiszpanią i Anglią jedynie przybrała na sile. Podobno nasza królowa czuła się na tyle niepewnie, że osadziła w Tower lady Catherine Grey — osobę, która mogła rościć sobie jakieś prawo do tronu. Oficjalną przyczyną uwięzienia był fakt, iż lady Catherine wzięła ślub bez zgody Elżbiety.

— Wasza władczyni bała się, że ewentualne potomstwo owej damy upomni się o tron — wyjaśnił don Luis. — Mimo to Elżbieta nie wychodzi za mąż. A w jaki sposób niezamężna niewiasta może dorobić się następców?

Skrzywiłam się, lecz zauważył to tylko don Felipe.

— Ostatnio była ciężko chora na ospę. Obawiano się, że może umrzeć, choć Hiszpania bardzo na to liczyła. Lecz nawet wtedy Elżbieta odmówiła wyznaczenia swego następcy.

— Proszę nie zapominać — wtrąciłam — że mówi pan o

naszej królowej.

— Najmocniej przepraszam. Chciałem jedynie przekazać wam najnowsze wiadomości.

— A my bardzo chcemy je usłyszeć — odparłam. — Lecz jeżeli nasza królowa odmawia wyznaczenia następcy, to znaczy, że zostało jej wiele lat życia i zdąży jeszcze mieć własne dzieci.

Don Luis był zbyt uprzejmy, by zakwestionować tę uwagę. Honey położyła dłoń na jego ramieniu.

— Proszę nie pozwolić, by Catalina (teraz już wszyscy tak mnie nazywali) panu przerwała. Bardzo chcemy dowiedzieć się dosłownie wszystkiego.

— Powiem wam coś innego — odparł don Luis. — Jeden z waszych kapitanów, John Hawkins, zaczął handlować niewolnikami.

— Handlować niewolnikami?! — zawołałam.

— Zaiste. Wyszukował trzy okręty i popłynął nimi na wybrzeże Gwinei. Tam złapał Murzynów i zawiózł ich w miejsce, gdzie mógł dostać za nich najwyższą cenę.

— To znaczy, że ten człowiek traktuje tych ludzi jak... rośliny i wywozi ich z dala od rodzin? To potworne.

Don Felipe bacznie mi się przyjrzał.

Wyobraziłam sobie, że jestem... niewolnicą. Odebrano mi Roberto... by z niego również zrobić niewolnika lub po prostu go zostawić. Skuto mnie w łańcuchy. Zawsze miałam bujną wyobraźnię — bez trudu potrafiłam wczuć się w sytuację innych ludzi. To między innymi dlatego reagowałam tak potworną złością, gdy kogoś spotkała niesprawiedliwość.

— Zrobił to wasz angielski kapitan, John Hawkins — zauważył don Felipe. — Nie powinnaś więc chyba tak bardzo wdychać za tą swoją wyspą. Powiedz mi, Luis, czy przez przypadek niektóre z okrętów Hawkinsa nie należą do

królowej Anglii? A to, Catalino, oznacza, że wasza władczyni nie ma nic przeciwko temu potwornemu procederowi.

— Powinnyście być wdzięczne, że jesteście tutaj — zauważył Luis i uśmiechnął się do nas obu. — Może zresztą wszyscy mamy powody, by się z tego cieszyć? — Rzucił w stronę Honey wymowne spojrzenie. — Zwłaszcza że życie na waszej wyspie jest bardzo niepewne. Z dnia na dzień Anglicy coraz bardziej dają się nam we znaki na morzu. Jesteśmy wspaniałym i potężnym narodem. Mamy zamiar skolonizować cały świat. Pewnego dnia zajmiemy również waszą wyspę. Anglia będzie należeć do Hiszpanii.

— Nie znacie nas — powiedziałam żarliwie.

W tym momencie przyszedł mi na myśl Jake Pennlyon. Gdyby wystąpił przeciwko tym uprzejmym dżentelmenom, postawiłabym na niego wszystko, co mam. Chociaż go nienawidziłam, znałam jego nieprawdopodobną odwagę, wiedziałam również, że miłość do ojczyzny jest dla niego czymś równie naturalnym jak oddychanie.

— Zaczynamy — przyznał Luis, łagodnie się uśmiechając. — To budzący grozę przeciwnik. Najpotężniejszy z naszych wrogów. Powinniśmy żyć w pokoju. Najlepiej by było, gdybyśmy połączyli się bez walki.

— To niemożliwe — oświadczyłam.

— Też tak sędzę — wtrącił łagodnie Felipe. — Niemniej szkoda.

— Wasz kraj traci swe tereny na kontynencie europejskim — ciągnął don Luis. — Warwick oddał Francuzom Hawr, jedyny mi łupami, z jakimi wrócił do kraju, były choroby. Dwadzieścia tysięcy ludzi zmarło w samym Londynie i jego najbliższej okolicy.

Zbladłam na myśl o matce i poprzednich epidemiach śmiertelnych potów w stolicy.

Dobrze było usłyszeć wieści z Anglii, nawet jeśli wcale nie były najlepsze. Przypuszczałam, iż zostały nieco ubarwione, by mogły przemawiać na korzyść Hiszpanii, i doskonale to rozumiałam. Nie mogłam jednak uwierzyć, że mężczyźni, którzy nas kochają (jako że Luis wyraźnie kochał Honey), cieszą się z nieszczęść, jakie spotkały naszych najbliższych.

\* \* \*

— Od kilku lat nie mam męża, Catalino — wyjaśniła mi Honey. — Jestem młoda.

— Masz więcej lat niż ja.

— Ale to wcale nie znaczy, że jestem stara. Sama musisz to przyznać. Poza tym bardzo lubię Luisa.

— Nie kochasz go.

— Nie szkodzi.

— A co z Edwardem?

— Edward nie żyje. Chyba zdajesz sobie sprawę, że nigdy stąd nie wyjedziemy. Spędzimy tu resztę życia. Nawet jeżeli don Felipe nas puści, jak się stąd wydostaniemy? Popłyniemy do Anglii hiszpańskim galeonem i zostaniemy wysadzone na brzeg?! „Proszę, zwracamy wam wasze kobiety!” Wyobraź to sobie. W domu dawno o nas zapomniano. Co się z nami stanie?

— Myślisz, że matka kiedykolwiek mogłaby o nas zapomnieć? Babcia też? Tęsknię za nimi i za domem.

— Ja również, lecz nigdy już tam nie wrócimy. Wiesz, że to niemożliwe. To jest dla mnie całkiem jasne. Don Felipe cię kocha, uwielbia również Roberto. Nigdy cię nie wypuści. Bądź rozsądna. To dobry człowiek.

— Tak, tylko pragnąc wziąć odwet, zmusił kobietę do dzielenia z nim łoża. I zrobił to nie z pożądania, lecz ze

zwykłej zemsty.

— To już minęło.

— Minęło?! Może dla ciebie. To nie ciebie wykorzystano.

— Dzięki temu masz Roberto, którego bardzo kochasz. Spróbuj spojrzeć na to rozsądnie, siostrzyczko. Czasami wynikiem zła jest dobro. Zostałaś tu sprowadzona wbrew własnej woli, lecz dzięki temu masz syna, poza którym nie widzisz świata. Bądź rozsądna. Życie nie daje nam tego, czego od niego oczekujemy, lecz przyrządza własne danie. Spróbuj wykazać się mądrością, Catalino, i nie rezygnuj z tego, co pcha ci się do rąk.

— Mam zostać jego kochanką?

— Byłabyś traktowana jak jego żona.

— Mów za siebie, Honey — oświadczyłam chłodno. — Mnie zostaw w spokoju.

— W porządku — powiedziała. — Chcę wyjść za Luisa.

— Cudzoziemca, wroga naszego kraju?!

— Dla zakochanych kobiet nie istnieją granice. Jestem kobietą. Kilka lat temu straciłam męża. Potrzebuję kogoś, a Luis będzie dla mnie dobry. Zastąpi Edwinie ojca.

Milczałam, a ona ciągnęła:

— Może za jakiś czas stąd wyjedziesz. Ja zostanę, gdyż Luis będzie gubernatorem.

— Wtedy będziemy musiały powiedzieć sobie „żegnaj”.

— Nie, jedynie *au revoir*. Gdy jego kadencja dobiegnie końca — czyli za osiem lat — wrócimy do Madrytu, a wówczas będziemy mogły się spotykać. Zobaczę twój piękny dom, w którym Carlos i Roberto będą się bawić ze swoimi braciszkami i siostrzyczkami. Pomyśl o tym.

— Uroczy obrazek — odparłam. — Wyjdź za mąż za Luisa, jeśli tak bardzo ci na tym zależy. Miejcie dzieci. Co za problem! Dla pewnych kobiet każdy mężczyzna jest dobry.

— Czemu tak mówisz? Och, wiem. To dlatego, że moja droga jest prosta. Twoja nie. Felipe wcale nie jest ci obojętny. Gdy on jest w domu, bardzo się zmieniasz. Przykro mi, Catalino, że na waszej drodze stoi Isabella.

„Na waszej drodze stoi Isabella”. To zdanie mnie prześladowało. Często śnił mi się Felipe. Leżał ze mną w łóżku, lecz między nami znajdowała się Isabella — blade, ograniczone dziecko z laleczką w ręce.

\* \* \*

Honey i Luis wzięli ślub w katedrze. Moja siostra była najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałam. Jaśniała jakimś dziwnym spokojem i szczęściem, tak samo jak przed urodzeniem Edwiny.

Honey zawsze chciała być kochana, rozkwitała pod wpływem miłości, a Luis naprawdę ją uwielbiał.

Wesele odbyło się w hacjendzie. Na tę uroczystość zaproszono ludzi z pobliskich miasteczek. W pewnym momencie nasi goście zaczęli tańczyć w ogrodzie. To był wspaniały widok. Dziewczęta i młodzi mężczyźni w tradycyjnych strojach prezentowali andaluzyjskie tańce przywiezione ze stałego ładu. Tańczyli i śpiewali przy akompaniamencie jednego z ludowych instrumentów. Wtedy to po raz pierwszy słyszałam *Isa i Folias*.

Śpiewano piosenki wychwalające młodą parę i małżeństwo, po czym panna młoda i pan młody udali się do sypialni. Przy tej okazji nie było żadnych, tak normalnych w Anglii, sprośności.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Doszłam do wniosku, że jesteśmy dalej od domu niż kiedykolwiek wcześniej. Honey pogodziła się z losem i teraz nawet gdybyśmy mogły



wrócić do Anglii, moja siostra na pewno nie zechce zostawić męża. W pewnym sensie stała się teraz Hiszpanką. Jak mogłabym wyjechać bez niej?

Doszłam do wniosku, że gdyby matka wiedziała, gdzie jestem, i gdybym od czasu do czasu mogła ją zobaczyć, bez ociągania wyszłabym za don Felipe. Byłby dobrym i oddanym mężem, Roberto go kochał — nie musiałabym ich rozdzielać. Coraz częściej dochodziłam do wniosku, że moje miejsce jest tutaj.

We śnie ujęłam dłoń don Felipe i mieliśmy wziąć ślub w katedrze, ponieważ przyjąłam jego wiarę. W tym momencie usłyszałam dźwięczny śmiech Isabelli.

Gdy się obudziłam, w uszach dzwoniły mi słowa: „To niemożliwe, póki żyje Isabella”.

\* \* \*

Felipe zażyczył sobie, żebyśmy wybrały się w podróż po wyspie. To będzie wspaniała przygoda dla dzieci — powiedział. Szczyt ogromnej góry Pico de Teide widziałam jedynie z morza. Powinnam zobaczyć, jak piękna jest w rzeczywistości. On sam w tym czasie musi odwiedzić inną część Teneryfy. Na okres naszej wyprawy pokójki dziecienny przeniesiony zostanie do położonego w dolinie domku, z którego czasami korzysta don Felipe. Służba we wszystkim nam pomoże. A po krótkich wakacjach pocujemy się znacznie lepiej.

Zdawałam sobie sprawę, że coś musi się kryć za tą propozycją. Don Felipe był tajemniczym mężczyzną. Często się zastanawiałam, w jakim stopniu okazywane przezeń uczucia zadają kłam temu, co naprawdę kryje się w głębi jego duszy. Byłam nim zafascynowana.

Gdy dowiedziałam się, że w La Laguna ma się odbyć autodafe, doszłam do wniosku, że już wszystko rozumiem. Mieszkańcy hacjendy powinni wziąć udział w tym widowisku, ja również — w końcu byłam kochanką gubernatora. Natychmiast zauważono by moją ewentualną nieobecność. Felipe chciał mi zaoszczędzić udziału w odrażającym dla mnie widowisku, poza tym mógł się bać, że nie zdołam ukryć własnych uczuć. Stąd ta wyprawa w góry.

Byłam wzruszona tą troską. Coraz lepiej czułam się pod jego opieką.

Wszystko, co chciałyśmy zabrać ze sobą, zostało załadowane na muły i juczne konie. Miałyśmy nawet kosz, w którym podróżowały dzieci pod czujnym okiem Honey, Jennet, Manueli lub moim. Czasami brałyśmy któreś z nich przed siebie na grzbiet muła. Dla mnie była to ogromna przyjemność.

Carlos i naśladowujący go Jacko wykazywali wyjątkową odwagę, czego zresztą należało się spodziewać po synach Jake'a Pennlyona. Byłam pewna, że Carlos całkowicie zdażył już zapomnieć o owych koszmarnych dniach spędzonych na tyłach Casa Azul. Tak jak jego ojciec należał do ludzi, którzy są w stanie przejść przez życie, nie ponosząc żadnego, nawet najmniejszego uszczerbku. Nie było w nim ani śladu bezradności biednej Isabelli, wszystkie cechy odziedziczył po Jake'u Pennlyonie. Wyglądało na to, że Jacko będzie taki sam, ponieważ we wszystkim naśladował Carlosa.

To nie była długa podróż — niecałe pięćdziesiąt kilometrów. Zaskoczyło mnie egzotyczne piękno tej krainy. Po drodze minęliśmy wspaniałe stare drzewo dracenowe, które podobno miało ponad dwa tysiące lat. Przypomniałam sobie, że żywicą tegoż właśnie drzewa Guanche malują skórę, gdy wyruszają do walki ze swoimi hiszpańskimi

najeźdźcami. Sporo opowiadał mi o tym John Gregory, z którym zawarłam swego rodzaju porozumienie. Towarzyszył nam także Richard Rackell, ponadto zabrałyśmy szóstkę służących, a bezpieczeństwo zapewniała nam grupka składająca się z kilku silnych mężczyzn.

Bawiło mnie, że don Felipe zadał sobie tyle trudu, by wysłać nas z La Laguna.

Po jakimś czasie dotarłyśmy do górskiej chatki, w której miałyśmy się zatrzymać. Byłyśmy traktowane z ogromnym szacunkiem, ponieważ przybyłyśmy z należącej do gubernatora hacjendy. Tutaj, w cieniu ośnieżonego szczytu Pico de Teide, spędziłyśmy kilka miłych dni.

Jeździłyśmy po górach, zbierałyśmy złociste pomarańcze i bawiłyśmy się z dziećmi. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, aczkolwiek Honey tęskniła za don Luisem, który został, by zarządzać wszystkim podczas nieobecności don Felipe. Jeżeli o mnie chodzi, zachwycało mnie piękno otoczenia i nie mogłam się nadziwić górującemu nad wszystkim stożkowi. Felipe dał mi książki napisane po hiszpańsku, żebym mogła dowiedzieć się czegoś więcej o jego ojczyźnie i udoskonalić swoją znajomość języka. Sporo wyczytałam z nich o Wyspach Kanaryjskich, zwłaszcza o Teneryfie, którą uważano za „ogród Atlasa”. Wierzano, że rosną w nim „złote jabłka”. Oczywiście, chodziło o pomarańcze. Pilnować tej pięknej krainy miały draceny nazywane smoczymi drzewami.

Z pewnym żalem wsiadłam na muła, by wyruszyć w drogę powrotną.

\* \* \*

W hacjendzie czekała nas szokująca wiadomość.  
Isabella nie żyła.

Zaczęłam się potwornie bać, ponieważ Isabella spadła ze szczytu schodów w Casa Azul i skręciła sobie kark. Wypadek nastąpił w pięć dni po naszym wyjeździe — w dniu autodafe.

Nie mogłam się otrząsnąć. Wszystko wydarzyło się w jak najbardziej odpowiedniej chwili. Nie było mnie w domu, don Felipe również. Ile razy mówił: „Gdyby nie Isabella”?

Żałowałam, że w ogóle zaproponował mi małżeństwo. Chciałam, by Isabella wciąż bawiła się lalką na patio Casa Azul.

Don Felipe wrócił do domu. Przywitał mnie uprzejmie, lecz chłodno, jednakowoż zdawałam sobie sprawę z tłumionej przez niego namiętności.

Jennet była przejęta i podniecona. To ona właśnie powiedziała nam, jak do tego doszło. Szczegółowe informacje zdobyła od kochanka ze stajni.

Zmusiłam ją, by przekazała nam wszystko, co wie.

— To nieszczęście, panienko — zaczęła — wydarzyło się owe go dnia, kiedy w mieście odbywało się autodafe. Wszyscy domownicy poszli do La Laguna.

— Pilar na pewno nie zostawiłaby Isabelli.

— Zrobiła to, ten jeden jedyny raz. Musi panienka zrozumieć, to był dzień autodafe... Wzięcie udziału w tym wydarzeniu jest świętym obowiązkiem.

Zamknęłam oczy. O Boże — pomyślałam. Wszyscy wyszli... by wziąć udział w autodafe. Zrobiła to nawet... Pilar. Czy Felipe tak to właśnie zaplanował?

— A co z... Isabellą?

— No cóż, ona została, panienko. Nikt nie oczekiwał, że będzie chciała wyjść. Bawiła się swoimi lalkami.

— Kto się nią zajmował?

— Edmundo, ten wysoki mężczyzna... — Głos Jennet zdradził jej radość na wspomnienie postawnego młodego

Edmundo, choć właściwie relacjonowała bardzo smutne wydarzenie. — Był tam. Pracował w ogrodzie. W razie potrzeby miał się nią zająć. Podobno potrafił podnieść ją jak szmacianą laleczkę, nawet gdy kopiała i krzyczała.

— Z pewnością był ktoś jeszcze.

— Dwie pokojówki... głupiutkie dziewczyny.

— Gdzie one były?

— Ponoć zostawiły ją śpiącą. Był potworny upał... więc podczas sjesty Isabella ucięła sobie drzemkę. Potem znaleziono ją u podstawy schodów.

— Kto ją znalazł?

— Obie pokojówki. Weszły do jej pokoju, lecz jej tam nie znalazły. Zobaczyły ją dopiero leżącą w hallu. Mówią, że dziwnie wyglądała. Przyjrzały się jej, a potem z krzykiem pobiegły do Edmundo. Zobaczył, co się stało, i zostawił ją tak, jak upadła. „Nie żyje — powiedział. — Biedna wariatka nie żyje”.

\* \* \*

Zamknęłam okiennice i położyłam się do łóżka. Chciałam poleżeć w ciemności, choć jasne promienie słońca przesączały się przez wąskie szpary i do pokoju wpadało trochę światła.

W pewnym momencie powoli otworzyły się drzwi i przy moim łóżku pojawił się Felipe.

— Nie powinien pan tu przychodzić — powiedziałam.

— Musiałem się z tobą zobaczyć.

— Trzeba było wybrać inne miejsce.

— Chciałem zobaczyć się z tobą sam na sam — wyjaśnił.

— Teraz, kiedy Isabella nie żyje...

— Zmarła tak niedawno i w taki dziwny sposób —

przerwałam.

— Spadła ze schodów i zabiła się. To cud, że coś takiego nie zdarzyło się wcześniej.

— Spadła, gdy była prawie sama w domu. Wszyscy, z wyjątkiem Edmundo i dwóch pokojówek, poszli na autodafe. Nawet Pilar.

— To był ich obowiązek. Isabella bardzo rzadko zostawała w domu sama.

— Prawdę mówiąc, coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy.

— Isabella nie żyje. Wiesz, co to oznacza. Że jestem wolny.

— Proszę nie mówić takich rzeczy. Może to usłyszeć ktoś ze służby.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Kiedyś to ja cię w ten sposób ostrzegałem.

— Teraz sytuacja wygląda znacznie poważniej niż wówczas.

— Masz rację. Zaczekamy. Nie będzie to takie trudne, gdyż po tym okresie spełnią się moje marzenia.

— Pamięta pan moją królową i jej ukochanego? Miał żonę, Amy Robsart. Zmarła. Spadła ze schodów. Jakaż to podobna sytuacja! Zupełnie jakby komuś tak bardzo spodobał się tamten wypadek, że postanowił go powtórzyć.

— Lord Robert Dudley zamordował swoją żonę w zмовie z królową.

— Naprawdę? Sądzę zresztą, że ma pan rację. Lecz niektórzy powiadają, iż było to samobójstwo. Inni — że wypadek.

— Nie brak ludzi, którzy znają prawdę.

— Królowa nie odważyła się go poślubić.

— Ponieważ nie zniosłaby rywala do tronu.

— Tak... ale też i dlatego, że gdyby wyszła za niego za mąż, musiałaby przymknąć oko na to morderstwo... ryzykowałaby również, że ludzie zaczną podejrzewać i ją.

— To możliwe.

— Don Felipe — powiedziałam. — Znalazł się pan w podobnej sytuacji. Służba Amy Robsart wyjechała na jarmark, pańska poszła na autodafe. Isabella zginęła, gdy dom był niemal pusty.

— Wielokrotnie porywała się na własne życie.

— Lecz tym razem nie było nikogo, kto by ją uratował.

Ludzie będą mieli dużo do powiedzenia na ten temat. Jeżeli teraz się pan ożeni, don Felipe, znajdą się tacy, którzy stwierdzą, iż właśnie w tym celu pozbył się pan żony.

— Jestem tu panem... Gubernatorem tych wysp.

— Moja królowa jest władczynią Anglii. Postąpiła mądrze.

Zrobił żalostną minę, potem uniósł głowę, a na jego twarzy malowała się duma i determinacja, każące mu dążyć do celu. To właśnie te cechy skłoniły go do zaplanowania zawilej operacji, pozwalającej na sprowadzenie mnie na Teneryfę. Teraz pchała go do działania chęć poślubienia mnie i uznania Rober — to za prawowitego spadkobiercę. Wiedziałam, iż nic nie zdoła powstrzymać don Felipe.

Dręczyło mnie jednak pytanie, jaką odegrał w tym wszystkim rolę. Nie było go tu, gdy zmarła Isabella. Ale też nie przyjechał po mnie do Anglii. Jest człowiekiem, który wytycza sobie cel, lecz do osiągnięcia go wyznacza innych ludzi. Niech pan uważa, don Felipe.

Wyciągnął do mnie rękę, lecz ja jej nie ujęłam.

— Proszę już odejść — powiedziałam. — Niech pan uważa i nie zdradza swoich zamiarów.

Zostawił mnie w ciemnym pokoju.

\* \* \*

Isabella została pochowana z odpowiednią pompą.

Powiadano, że gdy chciała zejść ze schodów, opętał ją diabeł, jak często jej się to zdarzało, i z tego powodu poniosła śmierć.

W całym domostwie zapanował smutek. Jedyne nasz pokój dziecinny zdołał się temu oprzeć. Honey i ja spędzałyśmy w nim mnóstwo czasu. Mijały tygodnie. Powoli wszyscy wracali do rutynowych zajęć.

Często myślałam o Isabelli i zastanawiałam się, co wydarzyło się naprawdę. Czyżby nagle zatęskniła za Pilar? Wyszła, by jej poszukać? Często wyobrażałam sobie, jak Isabella stoi na górnym podejście schodów, a potem nagle spada w dół. Biedna mała Isabella.

Felipe często mówił: „Gdyby nie Isabella”, lecz w chwili jej śmierci nie było go w domu.

Lorda Roberta Dudleya też nie było w Cumnor Palace w chwili śmierci jego żony, co jednak wcale nie oczyściło go z zarzutu popełnienia morderstwa.

Mężczyźni tacy jak sir Robert i don Felipe nie wykonują osobiście brudnej roboty. W tym celu wykorzystują innych.

Edmundo był w Casa Azul. Miał dość siły, by dźwignąć Isabellę i nosić ją jak szmacianą lalkę. Służył u don Felipe. Czy wykonałby każde polecenie swego pana... Każde?

To były bardzo dręczące myśli.

\* \* \*

Po sześciu miesiącach don Felipe powiedział:

— Pora, żebyśmy się pobrali.

— Jest na to za wcześnie — odparłam.



— Nie mogę czekać w nieskończoność.

— Sześć miesięcy temu miał pan jeszcze żonę.

— Teraz nie mam już żony... właściwie nigdy jej nie miałem.

— Nasz ślub byłby głupotą.

— Będę się o ciebie troszczył. Wkrótce wyjedziemy do Hiszpanii. Chcę zabrać cię ze sobą.

— Powinniśmy jeszcze jakiś czas poczekać.

— Nie mogę już dłużej czekać.

— Jestem niezdecydowana. Często myślę o domu. Matka nigdy o mnie nie zapomni. Na pewno mnie opłakuje.

— Obiecuj, że za mnie wyjdiesz, a wyślę do twojej matki człowieka z wiadomością. To czyste szaleństwo, ale jestem gotów to zrobić, by ci pokazać, jak bardzo mi na tobie zależy.

Spojrzałam na niego i ogarnęła mnie fala czułości. Otworzył ramiona, a ja podeszłam do niego. Przytulił mnie mocno. Nie mogłam dłużej opierać się miłości, jaką próbował mi ofiarować.

Czyżbym nie poznała jeszcze gorzkiej prawdy, że nikt nie otrzymuje dokładnie tego, czego pragnie? Honey od dawna o tym wiedziała. Wyszła za mąż za Edwarda i była z nim szczęśliwa. Teraz czerpała radość z faktu, że jest żoną Luisa. Don Felipe okazał mi czułość i oddanie, które zdumiewały nawet jego samego. Nie mogłam tego odrzucić.

— Kochanie — powiedział — wyślemy list do twojej matki. Napiszesz jej, że jesteś zdrowa i szczęśliwa. Zawiezie go John Gregory. Zorganizujemy wszystko jak należy. Następny wypływający w morze statek zabierze Gregory'ego. Muszę wszakże postawić jeden warunek — nie możesz wymieniać żadnych nazwisk ani pisać, gdzie jesteś. To byłoby zbyt wielkie ryzyko. Lecz uwierz mi, Catalino, wyślemy ten list. Przekonasz się, jak bardzo cię kocham.

Nie pozostało mi nic innego jak obiecać, że wyjdę za mąż za don Felipe.

\* \* \*

Wzięliśmy cichy ślub w prywatnej kaplicy w hacjendzie. Nie mogłam powiedzieć, że jestem z tego powodu nieszczęśliwa. Czasami śmiałam się z samej siebie, ponieważ nie potrafiłam zapomnieć o doznanym upokorzeniu i wymuszonej uległości. Pamiętałam, jak kazał mi nosić suknie Isabelli i używać jej perfum, by kładąc się ze mną do łóżka, mógł sobie wyobrażać, iż robi to ze swą piękną młodziutką żoną. Tymczasem teraz nie chciał myśleć o nikim innym, tylko o mnie. Niemniej kładł się na nas cień wspomnień o Isabelli, choć bardziej dokuczał jemu niż mnie.

Wszystko uległo całkowitej zmianie. Jak ten osobliwy, cichy mężczyzna mnie kochał! Nie mogłam się nadziwić, iż człowiek, który niezwykle rzadko dawał upust swoim emocjom, nagle zapalał tak gorącą miłością do cudzoziemki, osoby pochodzącej z kraju, którym gardził i który uważał za barbarzyński. Jak to się stało, że ten typowy Hiszpan pokochał właśnie mnie?

Nigdy nie zapomnę, że pozwolił mi napisać list do matki. Często mi się śniła. W ogrodzie w Abbey prowadziłyśmy wymyślane rozmowy. Byłam przekonana, że o mnie myśli.

Może do tego czasu otrzymała już mój list. Popłakała nad nim, a potem wetknęła go za dekolt, mówiąc: „Tych kartek dotykały ręce mojej Catharine!” Na pewno nigdy się z nim nie rozstanie.

Byłam wdzięczna don Felipe.

Kochał mnie i taką samą miłością darzył naszego syna.

Tylko nam obojgu ukazywał tę część swojej osobowości, która potrafiła kochać. Niegdyś doszłam do wniosku, że jeśli don Felipe oddaje komuś serce, na pewno robi to z całkowitym oddaniem. Miałam absolutną rację! Kochał z taką samą pasją, z jaką kiedyś się mścił.

Był niewiarygodnie szczęśliwy, a w centrum jego świata znajdowałam się ja i nasz syn.

Felipe lubił leżeć w łóżku, trzymając mnie w ramionach, i opowiadać o naszej przyszłości. Mnie ogromną przyjemność sprawiało słuchanie, jak z jego ust pada imię naszego syna. Gdy byliśmy sami, wymawiał je całkiem inaczej. Czułam, że wzbiera we mnie uczucie wywołane faktem, iż ten zimny i surowy mężczyzna tak bardzo potrafi kochać.

— Catalina, kochana Catalina — szeptał mi do ucha.

Rzeczywiście był szczęśliwy. Z zadowoleniem dostrzegałam, że człowiek potrafi tak dużo radości sprawić drugiej osobie.

Najważniejsze było dla niego uznanie Roberto za prawowitego syna. Od czasu do czasu do portu na Teneryfie zawijały okręty z Hiszpanii, przywożąc ludzi z Escorialu, gdzie w iście spartańskich warunkach mieszkał władca Felipe. W końcu z Madrytu nadeszły papiery, które mój mąż pokazał mi z prawdziwą dumą.

— Roberto jest moim pierworodnym — oświadczył. — Wszystko zostało załatwione tak, jakbyśmy w chwili jego narodzin byli małżeństwem. Nie będzie miał żadnych problemów z przejęciem dziedzictwa.

— A co z Carlosem?

Zmarszczył czoło. Nigdy nie lubił Carlosa, aczkolwiek, pragnąc sprawić mi przyjemność, zaakceptował jego obecność w pokoju dzieciennym.

— Nic ode mnie nie dostanie, lecz rodzina jego matki

uczyni z niego bogatego człowieka.

To mi wystarczało.

Felipe często snuł opowieści o tym, jak będzie wyglądało nasze życie w Hiszpanii. Bardzo chciał tam wrócić. Don Luis był gotów przejąć obowiązki, mogliśmy więc jechać.

\* \* \*

Byliśmy ślepcami, wyobrażając sobie, że możemy się pobrać, nie wywołując żadnych komentarzy. Królowa Anglii nie ośmieliła się wyjść za mąż za swego ukochanego po tajemniczej śmierci jego żony. Czy gubernator niewielkiego archipelagu mógł liczyć na większą pobłażliwość?

Krążyło mnóstwo plotek na nasz temat. Po raz pierwszy uświadomiła mi to Manuela.

— Proszę pani — powiedziała, zmarszczywszy czoło — powiadają, że jest pani czarownicą.

— Ja... czarownicą? Co za bzdury!

— Mówią, że urzekła pani gubernatora. Nigdy wcześniej nie był taki jak teraz.

— Co w tym dziwnego? Jestem jego żoną.

— Poprzednio też miał żonę, señora.

— To bzdura. Doskonale wiesz, jaka była pierwsza żona gubernatora.

— Była opętana przez diabła.

— Była ograniczona, niemal szalona.

— Mówią, że diabeł ją opętał. I że zrobił to na pani polecenie.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Mam nadzieję, że im powiesz, jak bardzo się mylą. Isabella była opętana, nim dowiedziałam się o jej istnieniu. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

— Lecz ludzie uważają, że to pani przysłała diabła, który ją opętał.

— Chyba sami są opętani.

— Chyba tak — odparła niepewnie.

Ale to był dopiero początek.

\* \* \*

Obserwowano mnie z ukrycia. Gdy wybrałam się do La Laguna, widziałam, iż ludzie patrzą w inną stronę, lecz jeśli gwałtownie się odwróciłam, łapałam ich na tym, że bacznie mi się przyglądają. Raz usłyszałam nawet wypowiedziane szeptem słowo „czarownica”.

W Casa Azul okiennice były zamknięte. Słyszałam, że Pilar chodzi po domu i lamentuje. Staje na górnym podejściu schodów i wzywa Isabelłę, by wróciła i powiedziała jej, co naprawdę się wydarzyło w owe brzemiennie w skutki popołudnie.

Felipe udawał, że nie zwraca uwagi na rosnące napięcie, lecz nie był w stanie mnie oszukać. Pewnego wieczoru przyszedł do naszej sypialni wyraźnie zaniepokojony. Znaczną część dnia spędził w La Laguna.

— Chciałbym, żebyśmy byli już w Madrycie. Tam nie będziemy musieli wysłuchiwać tych bzdur.

— O jakich bzdurach mówisz?

— Krąży mnóstwo plotek. Ktoś był w La Laguna i nierozważnie się wygadał. Teraz nie ma już innej możliwości — trzeba coś z tym zrobić.

— Z czym?

— Mam na myśli śmierć Isabelli. Wszczęto dochodzenie.

Manuela cerowała koszulkę Carlosa. Zauważyłam, że wyraźnie drżą jej ręce.

— Co się stało, Manuelo? — spytałam.

Spojrzała na mnie ogromnymi, smutnymi oczyma.

— Zabrano Edmundo na przesłuchanie. W końcu to on ją znalazł. Leżała u podstawy schodów ze skręconym karkiem. To on się na nią natknął. Teraz będą go przesłuchiwać.

— Na pewno odpowie na wszystkie pytania — orzekłam — i wróci do domu.

— Ludzie zabierani na przesłuchania często już nie wracają.

— Dlaczego coś takiego miałyby spotkać Edmundo?

— Ponieważ podczas przesłuchań — odparła — wymuszają odpowiedzi takie, jakie chcą usłyszeć.

— Edmundo wróci. Zawsze był bardzo dobry dla Isabelli. Ona też go lubiła.

— Isabella nie żyje — przypomniała Manuela — a Edmundo zabrano na przesłuchanie.

Kiedy Manuela zaczęła u nas pracować, dowiedziałam się, że ona i Edmundo należeli do orszaku, który przywiózł Isabellę z Hiszpanii. Manuela była jedną z jej pokojówek, a Edmundo potrafił opiekować się swoją panią, ilekroć „diabeł ją opętał”. Podczas napadu Manuela zdołała się ukryć, dzięki czemu udało jej się przeżyć. Potem opiekowała się brzemienną Isabella i była przy porodzie Carlosa. Kochała to dziecko i próbowała ochraniać je przed zmiennymi uczuciami matki, wahającymi się między całkowitym oddaniem a potworną nienawiścią. Kiedy malca przekazano w ręce tej strasznej wiedźmy, Manuela robiła, co mogła, by mu pomóc.

Nic więc dziwnego, że martwiła się o Edmundo.

Byłam zdumiona ostatecznym wynikiem przesłuchania. Edmundo wyznał, że zamordował swoją panią. Ukradł wysadzany rubinami krzyż, znajdujący się w jej szkatułce z kosztownościami. Miał zamiar sprezentować go ukochanej,

by sprawić jej przyjemność. Isabella przyłapała go na kradzieży, a ponieważ obawiał się ewentualnych konsekwencji, udusił ją wilgotną szmatką. Potem martwe ciało zrzucił ze schodów.

Powieszono go na placu w La Laguna.

— W taki oto sposób sprawa została zakończona — powie dział Felipe.

Nie mogłam zapomnieć, jak postawny Edmundo ostrożnie niósł Isabellę na rękach. Widziałam to podczas jednego z jej ataków.

— Był wobec niej taki delikatny — zauważyłam. — Nie wierzę, by mógł ją zamordować.

— Mężowie i niewiasty to bardzo skomplikowane istoty — odparł Felipe.

— Ale nie Edmundo — powiedziałam.

— Przyznał się i sprawa została zakończona, kochanie.

Martwiłam się, jednocześnie jednak byłam zadowolona, iż tajemnica została rozwikłana.

\* \* \*

Minęło Boże Narodzenie. Myślałam o domu, aktorach, wspólnym biesiadowaniu i świątecznych gałązkach bluszczu. Zastanawiałam się, czy John Gregory dotarł do Anglii i czy matka otrzymała mój list.

Jakiż wspانياły byłby to dla niej prezent świąteczny!

Felipe był zawiedziony, że jeszcze nie zaszłam w ciążę. Ja sama nie wiedziałam, czy jestem z tego zadowolona, czy nie. Chciałam mieć mnóstwo dzieci, aliści nie mogłam zapomnieć Isabelli. Chociaż Edmundo przyznał się, że ją zamordował, wciąż w jakiś sposób stała między mną a moim mężem. Czasami odnosiłam wrażenie, iż Felipe jest dla mnie całkiem

obcym człowiekiem. Wiedziałam, że nie kochał Isabelli. Uwierzyłam jego zapewnieniom, że pokochał tylko raz z życia i że to właśnie ja jestem jego miłością. Zresztą wcale tego nie krył. Sto razy dziennie okazywał mi swoje uczucie. Słysząc je było w jego głosie. Poza tym dałam mu Roberto — silnego chłopca, mającego obecnie trzy latka... Istniało jednak coś, co Felipe ukrywał nawet przede mną, i być może dlatego wcale nie miałam ochoty na następne dziecko. Tak czy inaczej na razie nie zachodziłam w ciążę i wcale mnie to nie martwiło.

Na Teneryfie nigdy nie było zimno — lato tylko nieznacznie różniło się od zimy. Jedyne niemiłe dni zdarzały się wówczas, gdy wiały południowe, afrykańskie wiatry, lecz to nie zdarzało się zbyt często. Odpowiadało mi ciepłe, wilgotne powietrze i wcale nie miałam ochoty na spore skoki temperatur, jakich spodziewałam się w Hiszpanii. Często myślałam o chłodnych zimowych dniach w domu, w Abbey. Pewnego razu Tamiza zamarzła i mogliśmy przejść po lodzie na jej drugi brzeg. Pamiętałam też, jak siadywaliśmy wokół ogromnego paleniska w sali paradnej i jak wędrowni aktorzy rozcierali zmarznięte ręce, a dopiero potem zaczynali przedstawienie. Nachodziło mnie mnóstwo wspomnień — czasami z tęsknoty czułam tępy ból w gardle.

Lecz tu miałam kochającego męża i uroczego synka.

W styczniu z okazji święta Trzech Króli zorganizowano w La Laguna procesję. Zabraliśmy dzieci, by ją zobaczyły. Były podniecone. Z przyjemnością słuchałam radosnej paplaniny malców.

Tak, naprawdę miałam się z czego cieszyć.

Mijał czas. Nadszedł Wielki Tydzień — okres wspaniałych uroczystości. W mieście zorganizowano następne procesje, lecz gdy zobaczyłam odziane w biel postaci podążające w



stronę katedry, przypomniał mi się dzień, kiedy siedziałam na placu patrzyłam na nieszczęście innych ludzi. Zrobiło mi się niedobrze i ogarnęła mnie nagła tęsknota za domem.

Powiedziałam o tym Honey. Przyznała się, że jej również dokuczają nostalgia. Luis ubóstwiał moją siostrę, ona miała córeczkę, a ja syna, aliści żadna z nas nie mogła zapomnieć domu. Byłam pewna, że każda z nas przede wszystkim tęskni za matką.

Pojechałyśmy na mułach do La Laguna, by obejrzeć wielkotypodniową procesję. Tym razem zostawiłyśmy dzieci w domu, obawiając się, że w tłumie coś może im się przydarzyć. Towarzyszyło nam dwóch stajennych — nigdy nie pozwalano nam na wyjazd bez obstawy. Stojąc na skraju tłumu, nagle poczułam, że ktoś się na mnie wpycha.

Odwróciwszy się gwałtownie, zobaczyłam parę ziejących nienawiścią oczu.

— Pilar — powiedziałam.

— Czarownica — syknęła. — Heretyczka i czarownica.

Zadrżałam. Zgromadzony na placu tłum wywołał niemiłe wspomnienia.

\* \* \*

Powiedziałam o tym wydarzeniu Felipe.

— Spotkałam w mieście Pilar. Ta kobieta serdecznie mnie nienawidzi. Widziałam to w jej oczach.

— Była szczerze oddana Isabelli. Opiekowała się nią niemal od urodzenia.

— Chyba uważa, że to ja jestem odpowiedzialna za śmierć twojej żony.

— Szaleje z rozpacy. Wkrótce otrząśnie się z żalu.

— Rzadko widziałam w czyichś oczach taką nienawiść.

Nazwała mnie czarownicą... heretyczką i czarownicą. Nie byłam przygotowana na taką zmianę wyrazu twarzy Felipe. Wyraźnie dostrzegłam na niej strach, a jego wargi powtórzyły wyraz „heretyczką”. Potem nagle całkowicie stracił tak charakterystyczne panowanie nad sobą. Wziął mnie w ramiona i mocno do siebie przytulił.

— Catalino — powiedział. — Wyjeżdżamy do Madrytu. Nie możemy tu już dłużej zostać.

\* \* \*

Coraz bardziej się bałam. Gdy zapadała ciemność, często miałam wrażenie, że jestem obserwowana. Nie potrafiłam dokładnie powiedzieć, w jaki sposób. Po prostu słyszałam, że ktoś po cichutku za mną idzie lub niemal bezgłośnie zamyka drzwi mojego pokoju, jakby otworzył je, by mnie przez chwilę śledzić, a potem odchodził. Raz czy dwa wydawało mi się, iż przeszukiwano mój pokój — drobiazgi zostały przeniesione w inne miejsce, a na pewno nie zrobiłam tego sama.

Próbowałam łącać samą siebie. Nie mogę pozwolić, by wyobraźnia brała górę nad zdrowym rozsądkiem. Od śmierci Isabelli i mojego ślubu — to drugie wydarzenie było naturalnym następstwem pierwszego — napięcie stopniowo rosło. Nie potrafiłam zapomnieć twarzy Pilar, gdy patrząc mi prosto w oczy, nazwała mnie czarownicą i heretyczką. Byłam wówczas tak potwornie przerażona, że nawet nie chciałam o tym myśleć.

Czułam, że ze wszystkich stron otacza mnie nienawiść, a złe moce próbują mnie zniszczyć. Przekonałam się o tym, gdy znalazłam w swojej szufladzie laleczkę.

Niczego nie podejrzewając, otworzyłam komodę. Z jej

wnętrza spoglądała na mnie figurka. Wykonano ją z wosku. Przedstawiała piękną dziewczynę w aksamitnej sukni, z czarnymi włosami upiętymi wysoko na czubku głowy za pomocą miniaturowego grzebyka. Natychmiast poznałam podobiznę. To była Isabella. Nikt inny.

Wzięłam laleczkę do ręki. Nagle ogarnęło mnie przerażenie, gdyż pod sukienką w okolicy serca sterczała szpilka.

Ktoś włożył mi tę figurkę do szuflady. Kto? Ktoś wykonał podobiznę Isabelli, wbił jej szpilkę w serce i podrzucił do mojej komody.

Stałam, trzymając laleczkę w rękach.

Nagle drzwi się otworzyły. Uniosłam głowę przerażona. Zobaczyłam w lustrze ciemne odbicie.

Z prawdziwą ulgą zauważyłam, że to Manuela.

Trzymając figurkę w zaciśniętej dłoni, odwróciłam się do dziewczyny. Zastanawiałam się, czy zauważyła, że jestem roztrzęsiona.

— Dzieci chcą powiedzieć pani „dobranoc” — oznajmiła.

— Już idę, Manuelo.

Zniknęła, a ja stałam i wpatrywałam się w trzymaną w ręce woskową laleczkę. Potem wcisnęłam ją z powrotem do szuflady i powędrowałam do pokoju dziecinnego.

W ogóle nie słyszałam, co mówią dzieci. Myślałam tylko o swoim przerażającym odkryciu i o tym, co ono oznacza.

Kto podłożył mi tę podobiznę? Ktoś, kto źle mi życzy. Ktoś, kto oskarża mnie o śmierć Isabelli. Jak najszybciej muszę zniszczyć tę figurkę. Dopóki ona tam jest, grozi mi ogromne niebezpieczeństwo.

Gdy tylko ułożyłam dzieci do snu i pocałowałam je na dobranoc, wróciłam do swojego pokoju.

Otworzyłam szufladę, lecz laleczka zniknęła.

Powiedziałam o swoim znalezisku Felipe. Zauważyłam, że potwornie się przestraszył.

— I zniknęła?! — zawołał. — Nie powinnaś wsadzać jej z powrotem do szuflady. Trzeba było natychmiast ją zniszczyć.

— Ktoś jest święcie przekonany, że to ja zabiłam Isabellę.

— Ktoś próbuje dowieść, że jesteś czarownicą — wyjaśnił. Nie musiałam pytać, co to oznacza.

— Oskarżano mnie o to na statku — wyznałam z drżeniem. — Niewiele brakowało, a poniosłabym okrutną śmierć.

— Widocznie któryś z marynarzy opowiedział tę historię. Musimy szybko stąd wyjechać.

Przyspieszył przygotowania do wyjazdu.

Na mieszkańców hacjendy padł strach. Zawisnął nad nami ponury cień inkwizycji. Czasami budziłam się w nocy z krzykiem, ponieważ śniło mi się, że jestem na placu. Patrzyłam z podwyższenia... i widziałam siebie w szkaradnym *somberito*. Słyszałam płomienie trzaskające u mych stóp. Przeżrana wyrywałam się ze snu, a Felipe uspokajał mnie w swoich ramionach.

— Wkrótce — mawiał — wyjedziemy do Madrytu i będzie my bezpieczni.

— Felipe — spytałam pewnego razu — co będzie, jeśli mnie zaborą... Kiedy oni zazwyczaj przychodzą?

— Najczęściej pojawiają się w nocy — odparł. — Łomoczą w drzwi i wołają: „W imię świętego urzędu, otwierajcie!” Tym słowom nikt nie śmie się sprzeciwić.

— A gdy mnie już stąd zaborą, Felipe? Będą mnie przesłuchiwać, prawda? Każą odpowiadać na pytania. Czego

zatem mam się bać?

— Każdy powinien się bać, jeśli dostanie się w ręce inkwizycji.

— Ale osoba niewinna...

— Nawet osoba niewinna. Jeżeli uwierzą, że jesteś czarownicą, zabiorą cię — ciągnął. — Gdyby przyszli w nocy, ukryję cię. Będziemy udawać, że zniknęłaś, że rzeczywiście byłaś czarownicą i przywołałaś na pomoc diabła. W sypialni są sekretne drzwi. — Pokazał mi je. — Będziesz się tam ukrywać, póki nie znajdę sposobu, by cię uratować.

— Felipe, czy ta kobieta mnie zadenuncjuje?

— Trudno to wykluczyć — odparł. — Jeśli tak, wówczas po ciebie przyjdą.

— Wierzysz, że ona to zrobi?

— Nie potrafię odpowiedzieć ci na to pytanie. Ludzie nie bardzo chcą mieć do czynienia z inkwizycją, nawet jeśli chodzi tylko o złożenie donosu przeciw komuś innemu, ponieważ często sami zostają wciągnięci w całą sprawę. Módl my się, by Pilar nikomu innemu nie mówiła tego, co powiedziała tobie.

— Czy ukrycie mnie, Felipe — spytałam — nie byłoby działaniem wbrew inkwizycji? — Nie odpowiedział. — Dla mnie — ciągnęłam — gotów jesteś złamać obowiązujące prawo? Ukryłbyś w domu heretyczkę tylko dlatego, że ją kochasz?

— Ciii... Nie mów tego słowa, Catalino, nawet gdy jesteśmy sami. Musimy bardzo się pilnować. Przyspieszę nasz wyjazd. Gdy opuścimy Wyspy Kanaryjskie, będziesz bezpieczna.

Mijały dni. Czekaliśmy na statek. Gdy przyplynie, pożegnamy hacjendę, Honey, don Luisa i Edwinę.

Nakłoniłam Felipe, by pozwolił Carlosowi jechać z nami. Miała nam towarzyszyć także Manuela i Jennet z małym Jacko.

Na myśl o opuszczeniu Honey ogarniał mnie potworny smutek, wiedziałam jednak, że grozi mi niebezpieczeństwo. Żyłam w ciągłym napięciu, wynikającym ze świadomości, że w każdej chwili może rozlec się łomotanie w drzwi, dlatego bardzo zależało mi na tym, by uciec stąd za wszelką cenę.

\* \* \*

Dowiedziałam się, że Pilar jest chora i leży w łóżku. Posłałam do niej Manuelę. Manuela była dobrą i oddaną służącą. Pamiętała, iż uratowałam uwielbianego przez nią Carlosa. Przyszło mi na myśl, że może zdoła się dowiedzieć, jak daleko w swoich oskarżeniach posunęła się Pilar.

Gdy Manuela wróciła, zabrałam ją do swojej sypialni, ponieważ tam mogłyśmy porozmawiać, nie obawiając się, że ktoś może nas podsłuchać. Zapytałam, czego zdołała się dowiedzieć.

— Pilar rzeczywiście jest chora — oznajmiła. — Ma chore serce i ciało.

— Czy mówiła coś o Isabelli?

— Przez cały czas. Pokojówki wyznały mi, że Pilar snuje się nocami po Casa Azul i woła Isabellę. Nie pozwala ruszyć jej lalek. Trzyma je w swoim pokoju.

— Manuelo, chcę usłyszeć wszystko — oświadczyłam — niezależnie od tego, jak bardzo będzie to niemiłe. Chcę wiedzieć, czy Pilar nienawidzi mnie za to, że poślubiłam męża Isabelli. Choć Isabella właściwie wcale nie była jego żoną. Dobrze o tym wiesz.

— Pilar przez cały czas mówi — wyjaśniła Manuela. —

Przechodzi od jednego tematu do drugiego. Przeklina Edmundo. „Wszystko z powodu krzyża — powtarzała. — Wysadzanego rubinami krzyża. Pamiętasz go, Manuelo? Tak rzadko go nosiła”.

— Naprawdę go pamiętasz, Manuelo?

— Tak. To był piękny klejnot. Zwróciłam na niego uwagę, ponieważ uwielbiam rubiny. Nigdy nie znaleziono tego krzyża.

— Uznano, że Edmundo komuś go dał. Może kobiecie, którą kochał?

— Kim była ta kobieta? Nigdy jej nie znaleziono.

— Nie można oczekiwać, że sama się ujawni. Na pewno by się bała. A może schował gdzieś ten krzyż? Mógł zakopać go w ogrodzie. Najprawdopodobniej go ukrył. Z drugiej jednak strony: czy to ma jakieś znaczenie?

— Edmundo był łagodnym człowiekiem. Trudno uwierzyć, by zabił dla wysadzanego rubinami krzyża.

— Nigdy nie wiadomo, co siedzi w drugim człowieku. Może kochał jakąś kobietę i chciał ofiarować jej ten klejnot. Kto wie? Ukradł go, działając pod wpływem impulsu. Lecz został przyłapany na gorącym uczynku i nad jego przyszłością zawisła groźna chmura. Za kradzież krzyża na pewno by go powieszono. Więc zabił, by ratować własną skórę.

Manuela potrząsnęła głową.

— Pilar strasznie go przeklinała. Gdy to robiła, miałam ochotę uciec. Potem zaczęła mówić o pani.

— Co o mnie mówiła, Manuelo?

— Powiedziała, że chce się z panią zobaczyć. Oświadczyła, że przyszlaby do pani osobiście, lecz jest chora, w związku z tym to pani musi przyjść do niej.

— Odwiedzę ją — powiedziałam.

Manuela przytaknęła.

\* \* \*

Nie powiedziałam Felipe, że wybieram się do Casa Azul. Doszłam do wniosku, że próbowałby mnie powstrzymać. Wiedziałam, że koniecznie muszę porozmawiać z Pilar. Muszę jej wszystko wyjaśnić. Żałowałam, iż nie zrobiłam tego podczas naszego spotkania, lecz wtedy byłam za bardzo zaskoczona, by podjąć jakiegokolwiek działanie. Chciałam ją zapewnić, że wcale nie jestem czarownicą ani heretyczką.

Przyszło mi na myśl, że Pilar wie coś o woskowej laleczce. Czy to ona mi ją podrzuciła? Jak mogła to zrobić? Nie była w hacjendzie. Może ma tu swoich ludzi, którzy nienawidzą mnie tak samo jak ona i chcą dowieść, że jestem winna śmierci Isabelli?

Wsadziłam do koszyka smakołyki i poszłam odwiedzić chorą.

Gdy otworzyłam bramę, poczułam instynktowną odrazę. Jakby całe moje jestestwo próbowało mnie ostrzec. Weszłam na patio. Spojrzałam w okno i na balkonik, na którym zobaczyłam Isabelę i jej lalkę. To tutaj Edmundo niezwykle delikatnie podniósł swą panią, gdy upadła. Oczyma duszy zobaczyłam martwe ciało ogrodnika, wiszące na szubienicy na placu w La Laguna.

Jak tu cicho! Otworzyłam drzwi, nie mając odwagi zajrzeć do środka. A oto i schody. Wyobraziłam sobie leżące w hallu bezwładne ciało.

Stałam, nie wiedząc, co zrobić.

Idź stąd — podpowiadał mi jakiś wewnętrzny głos. Uciekaj... póki jest jeszcze na to czas. Opuść to miejsce. Grozi ci tu ogromne niebezpieczeństwo.



Ktoś stanął za moimi plecami. Widocznie któraś ze służących widziała, jak wchodzę do domu, i przyszła za mną.

Wpatrywała się we mnie zaokrąglonymi oczyma. Widziałam, że się mnie boi.

— Przyszłam do Pilar — wyjaśniłam.

Przytaknęła i odwróciła wzrok, jakby się bała, że w jakiś sposób mogę ją zbrukać.

Pomknęła schodami w górę. Ruszyłam za nią. Na podeście otworzyła drzwi. Weszłam do środka. W pokoju było ciemno, jako że zrobiono wszystko, by nie wpuścić do wnętrza promieni słońca. Pilar leżała w łóżku. Zmierzwione włosy sprawiały, że wyglądała jak kobieta szalona.

Zrobiłam krok w jej stronę.

— Przykro mi, że jesteś chora, Pilar — powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał całkiem normalnie. — Przyniosłam ci coś. Podobno chciałaś się ze mną zobaczyć.

— Nie myśl, że wezmę do ust cokolwiek, co pochodzi z hacjendy... tego domu rozpusty. Sądzisz, że zjem coś, co pochodzi od ciebie? Ty... czarownico! Wszystko przez ciebie! To ty rzuciłaś czary. Chciałaś mieć don Felipe dla siebie, dlatego go urzekłaś. Czeka cię śmierć.

— Posłuchaj mnie, Pilar. Nie jestem czarownicą. Nic nie wiem o czarach. Nie było mnie tu, gdy zmarła doña Isabella.

Wybuchnęła okropnym — okrutnym i szyderczym — śmiechem.

— Nic nie wiesz?! Wiesz wszystko. Ty i podobne do ciebie kobiety posiadłyście wiedzę pochodzącą od diabła. Naznaczyłaś moją niewinną dziecinę. Już wcześniej tyle wycierpiała. Ale dla ciebie to było za mało. Chciałaś jego. Rzuciłaś czary. Więc umarła... moja biedna niewinna owieczka... moje słodkie dziewczątko.

— Nie umiem rzucać czarów...

— Nie kłam. Zostaw te bzdury dla innych... zaczekaj, aż nadejdzie odpowiedni czas. Nie uwierzą ci, tak samo jak ja.

Wsunęła rękę pod poduszkę, a gdy ją wyjęła, coś w niej trzymała. Ku swojemu przerażeniu zobaczyłam laleczkę przedstawiającą Isabelłę.

— Skąd to wzięłaś? Kto ci ją dał? — spytałam.

— Po prostu ją mam. Będzie stanowiła dowód. To ich przekona. A wtedy umrzesz... umrzesz... tak samo jak ona... tylko w bardziej okrutny sposób.

— Skąd wzięłaś tę lalkę? — powtórzyłam. — Widziałam ją tylko raz, kiedy znalazłam lalkę w swojej szufladzie. Ty mi ją tam podrzuciłaś, Pilar.

— Ja? Nie ruszam się z łóżka.

— To znaczy, że ktoś dla ciebie pracuje...

— Powiedz to, gdy staniesz przed trybunałem. Powiedz to, gdy poczujesz, jak płomienie liżą twoje stopy.

Nie mogłam tam dłużej zostać. Wiedziałam, że nie zdołam przekonać Pilar. Odwróciłam się i wybiegłam z pokoju, potem ruszyłam schodami w dół i wydostałam się na świeże powietrze. Zatrzymałam się dopiero po dotarciu do hacjendy.

\* \* \*

Felipe był przerażony, gdy powiedziałam mu, co się stało.

— Jeśli złożyła na ciebie donos, mogą przyjść w każdej chwili. Musimy być gotowi, gdy tylko przyplynie okręt.

Mijały niespokojne dni. Nie da się długo żyć w takim napięciu. Człowiek przyzwyczaja się nawet do tego.

— Nie rozumiem — powiedział Felipe. — Jeżeli Pilar cię zadenuncjowała, powinni się już pojawić. Nie opuszcza swojego pokoju, a więc nie może podjąć przeciwko nam żadnego działania. A zatem, dopóki jest chora, dopóty

jesteśmy bezpieczni. Statek przyplynie lada dzień.

Wyobrażałam sobie życie, jakie nas czeka w Hiszpanii. Mieliśmy zamieszkać w posiadłości wiejskiej don Felipe. Raz na jakiś czas mój mąż będzie musiał pojawić się w orszaku króla, odwiedzić ponury Escorial i być może wyjechać za granicę w jakiejś misji, lecz w takich wypadkach miałam mu towarzyszyć.

Będzie to życie dość podobne do tego, jakie prowadziliśmy w hacjendzie. Wiedziałam, że nigdy nie przyzwyczaję się do hiszpańskiej powagi, ponieważ nigdy nie będzie to mój świat, wierzyłam jednak, iż Felipe wcale by sobie tego nie życzył, gdyż pokochał mnie taką, jaka byłam. Może zresztą dlatego tak bardzo przypadłam mu do gustu, że różniłam się od jego rodaczek?

Będę musiała spróbować zapomnieć o Anglii. Zostałam żoną Hiszpana i w żyłach mojego syna płynęła hiszpańska krew. Byłabym jednak szczęśliwsza, gdybym tylko wiedziała, że matka jest zdrowa, bezpieczna i że się o mnie nie martwi, dlatego często zastanawiałam się, co się stało z Johnem Gregorym.

Wkrótce przyplynie statek, a wówczas opuścimy dom, w którym zaznałam tylu różnych uczuć. Gdy stąd wyjadę, będę próbowała zacząć wszystko od nowa.

Często rozmawiałam z Honey o przyszłości. Moja siostra dostosowywała się znacznie łatwiej niż ja. Była mniej porywcza, a może tylko nieco lepiej potrafiła ukrywać swoje uczucia. Niegdyś wydawała się całkiem szczęśliwa u boku Edwarda, teraz tak samo było z Luisem. Honey uważała, że musi akceptować to, co niesie jej życie, i dokładać wszelkich starań, by czerpać z niego radość.

Wiedziałyśmy, że rozstanie będzie gorzką pigułką dla każdej z nas, musiałyśmy się jednak z tym pogodzić.

Mogliśmy jedynie liczyć na ponowne spotkanie, obiecane nam przez Felipe i Luisa.

Moje obawy zostały niemal całkowicie uszione. Aliści w końcu nadszedł ów niezapomniany wieczór, kiedy usłyszeliśmy łomotanie do drzwi.

\* \* \*

Zapalono świece. Razem z Felipe, Honey i Luisem siedziałam w wytwornym salonie. Moja siostra grała na lutni. Wyglądała naprawdę pięknie, zwłaszcza gdy delikatnie pochyliła głowę i spuściła wzrok, dzięki czemu jej gęste rzęsy ocieniały twarz. Honey prezentowała niezniszczalny typ urody, której nie były w stanie zaszkodzić nawet najtragiczniejsze przeżycia.

Śpiewała hiszpańską piosenkę. Angielskie melodie przypominałyśmy sobie tylko wtedy, gdy we dwie znajdowałyśmy się na otwartej przestrzeni i nikt nie mógł nas usłyszeć.

Potem nagle z zewnątrz dobiegł jakiś dźwięk.

Poderwaliśmy się z miejsc. Felipe błyskawicznie stanął u mego boku i objął mnie ramieniem. Chciał mnie wyprowadzić do naszej sypialni i ukryć. Lecz już słychać było głosy i natarczywe łomotanie. W chwilę później ktoś krzyknął, po czym rozległy się czyjeś kroki.

Drzwi do salonu otworzyły się. Na widok Johna Gregory'ego poczułam ogromną radość.

— Wrócił pan z Anglii?! — zawołałam.

W chwilę później zobaczyłam mężczyznę, który często pojawiał się w moich myślach. Jego oczy rzucały błękitny ogień. Widać w nich było szyderstwo i żądzę krwi. W hacjendzie pojawił się Jake Pennlyon.

Spojrzał na mnie i wybuchnął triumfalnym śmiechem.

— Przy płynąłem po ciebie! — zawołał. — Który z tych facetów odebrał mi moją kobietę?

Był przerażający, wspaniały i niepokonany. Ileż to razy od chwili, kiedy przywieziono mnie na Teneryfę, wyobrażałam go sobie dokładnie w takiej właśnie sytuacji!

Odwrócił się do Felipe. Instynkt podpowiedział mu, że jest to człowiek, którego szuka. Potem zobaczyłam, jak mój mąż wyrzuca do góry rękę i pada na podłogę.

— O Boże! — zawołałam, widząc, że miecz Jake'a ocieka krwią.

Zrobiło mi się niedobrze. Byłam potwornie przerażona. Jake chwycił mnie.

— Czyżbyś wątpiła, że się pojawię? — spytał. — Na Boga, minęło tyle czasu.

\* \* \*

Po fakcie nie mogłam przypomnieć sobie wszystkich szczegółów owego zdumiewającego i przerażającego wieczoru. Moje myśli zdominowała jedna okropna prawda. Felipe nie żył. Zginął z ręki Jake'a.

Ileż razy zamknęłam oczy, widziałam salon — zaplamiony na czerwono arras i leżące w kałuży krwi bezwładne ciała mężczyzn. Wśród nich był także mąż Honey, a obok niego Felipe. Widziałam, jak ludzie Jake'a ogoławają ściany. Zdałam sobie sprawę, że zabierają wszystko, co ma jakąkolwiek wartość.

Stojąc nad ciałem Felipe, człowieka, którego znałam i szczerze kochałam, nagle pomyślałam o dzieciach. Rzuciłam się biegiem w stronę schodów, a potem do pokoju dziecinnego. Jake Pennlyon podążał tuż za mną. Dużo czasu

minęło od chwili, kiedy widziałam go po raz ostatni — zapomniałam o jego niewyczerpanej energii.

— Dokąd idziemy? — spytał. — Do łóżka? Daj spokój, dziewczyno, na to będziemy mieli jeszcze czas. Dziś w nocy czeka nas ciężka praca. Zrobiliśmy już to, po co przybyliśmy, ale nie ma sensu wracać z pustymi rękoma.

— Są jeszcze dzieci — powiedziałam.

— Jakie dzieci?

— Mój syn.

— Twój syn?

— Twój również — dodałam.

Próbowałam mu się wyrwać, lecz mnie nie puszczał. Weszliśmy schodami na piętro. Dzieci zdążyły się już obudzić. Roberto podbiegł do mnie, a ja chwyciłam go w ramiona.

— Twój syn... ten śniady bachor jest twoim synem?! — krzyknął Jake Pennlyon.

— Wszystko w porządku, Roberto — uspokajałam. — Nic złego ci się nie stanie, synku.

W błękitnych oczach Jake'a Pennlyona błysnęła wściekłość.

— To znaczy, że urodziłaś dziecko francowatemu donowi? Na Boga, nie wezmę na swój statek hiszpańskiego robactwa.

Trzymałam synka pewnie w ramionach. Po chwili podeszli do nas Carlos i Jacko. Carlos spoglądał na Jake'a z ogromnym zaciekawieniem.

— A to co za jedni?

— Twoje dzieci — odparłam. — Twój synowie, Jake'u Pennlyonie — jednego urodziła ci hiszpańska dama, a drugiego dziewczka służebna.

Spoglądał z góry na chłopców. Potem położył dłoń na ramieniu Carlosa.

— Na Boga! — powiedział.

Ujął Carlosa pod brodę i uniósł jego twarz do góry. Po chwili to samo zrobił z Jacko. Obaj bez cienia strachu spojrzeli mu w oczy. Jake Pennlyon wybuchnął gromkim śmiechem. Carlos również się roześmiał, choć niezbyt pewnie. Jake pociągnął malca za włosy. Na twarzy kapitana pojawiły się emocje.

Puścił Carlosa i klepnął go po pupie. Chłopiec potknął się, lecz nadal spoglądał wyczekująco i z zapalem. Jacko wysunął się nieco do przodu, nie chcąc być gorszy.

— No proszę — powiedział Jake. — Wiedziałem, że gdzieś na świecie istnieje taka para.

Potem spojrział na mnie i przymrużył oczy.

— Ci chłopcy powinni być twoimi dziećmi, tymczasem ty urodziłaś syna francowatemu Hiszpańcowi! — Spojrział z góry na obu malców. — Ubierzcie się w coś ciepłego! — krzyknął. — Pozbierajcie wszystko, co macie. Ile tylko zdołacie unieść. Zabieram was na najwspanialszy żaglowiec, jaki kiedykolwiek pływał po morzach i oceanach.

Honey, cichutko pochlipując, przyszła po Edwinę. Wzięła ją na ręce i wyniosła.

— Przygotuj się — warknął Jake Pennlyon — i chodź ze mną.

Zeszliśmy schodami w dół. Czekały na nas juczne konie. Zabrano je ze stajni Felipe. Załadowano już na nie wszelkie wartościowe przedmioty. Mniej więcej o północy wyruszyliśmy w kierunku wybrzeża. Drogę wskazywał nam nikły blask księżyca. Powoli posuwaliśmy się do przodu.

Jake Pennlyon jechał obok mnie, a ja miałam przed sobą Roberto. Była z nami również Jennet. Miała zaokrąglone z podniecenia oczy. Manuela trzymała się z pobliżu dzieci. W ogóle się nie odzywała, widać jednak było, że jest

zdeteminowana pójść tam, gdzie jej podopieczni. Honey dwukrotnie owdowiała i za każdym razem nastąpiło to w niemal identycznych okolicznościach. Teraz z całkowicie pozbawioną wyrazu twarzą wiozła Edwinę na swoim mule. Jacko jechał z Jennet, a Carlos dostał osobnego muła.

Miałam wrażenie, że nagle znalazłam się w koszmarnym śnie. Przez cały czas przed oczami miałam Felipe. Leżał w kałuży krwi, choć kilka minut wcześniej jeszcze żył i martwił się o moje bezpieczeństwo. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich godzin, wydawało się całkiem nierealne.

Byłam pewna, iż wkrótce się obudzę.

Obok mnie jechał Jake Pennlyon. Zapomniałam, jak dużo energii ma ten człowiek. To on zamordował Felipe — mężczyznę, którego zdążyłam pokochać.

Nigdy nie zapomnę jego delikatności i uprzejmości, a także zadziwiająco głębokiej sympatii, jaką mnie darzył. Zginął z ręki Jake'a, którego serdecznie nienawidziłam.

W końcu dotarliśmy nad morze. Mniej więcej półtora kilometra od brzegu stał na kotwicy „Nieokiełznany Lew”.

\* \* \*

Dopłynęliśmy do niego łódką i wdrapaliśmy się na pokład. Złożono na nim łupy, które ludzie Jake'a Pennlyona zabrali z hacjendy.

Błędym świtem „Nieokiełznany Lew” podniósł kotwicę i ruszył w stronę Anglii.



## *Powrót do domu*

Znajome trzeszczenie drewna i kołysanie się statku spowodowały, że nagle z niezwykłą wyrazistością odżyły wszystkie wspomnienia. Kajuta Jake'a Pennlyona w znacznej mierze przypominała pomieszczenie należące do kapitana hiszpańskiego galeonu. Nie była tak przestronna ani wysoka, lecz znajdowały się w niej takie same instrumenty. Zauważyłam astrolabium, kompasy i klepsydry.

Honey, Jennet i ja zostałyśmy zabrane z dziećmi do kajuty kapitana. Edwina kurczowo trzymała się matki, a Roberto mnie, lecz synowie Jake'a z zainteresowaniem rozglądali się po pomieszczeniu. Dotykali dosłownie wszystkiego, usiłowali nawet zrozumieć zasadę działania astrolabium. Przez cały czas paplali w swoim własnym języku — mieszaniu hiszpańskiego i angielskiego.

Jennet uśmiechała się do siebie.

— No proszę, pojawił się kapitan we własnej osobie — mamrotała nieustannie.

Honey zachowywała się jak w transie — siedziała nieruchomo i patrzyła przed siebie. Wiedziałam, co czuje. Straciła ukochanego męża. W jej głowie — podobnie jak i w mojej — musiały tłoczyć się setki wspomnień.

Doszłam do wniosku, że kochałam Felipe. Nigdy nie powiedziałam mu, jak bardzo, gdyż sama nie zdawałam sobie z tego sprawy, póki nie zobaczyłam go leżącego na podłodze.

To ponure wspomnienie bez przerwy kołatało się w moich myślach. Widziałam spływającą po kaftanie krew i powiększającą się kałużę. Widziałam poplamione ściany i zakrwawiony miecz Jake'a Pennlyona.

Muszę przestać o tym myśleć.

— Dzieci powinny iść spać — powiedziałam.

— Och, myśli pani, że zdołają zasnąć po takiej nocy? — spytała Jennet.

— Muszą — odparłam.

Byłam zadowolona, że nie widziały morderstw. Zastanawiałam się, co w tej chwili dzieje się w hacjendzie. Ilu służących zdołało przeżyć ten najazd? Co powiedzą po przebudzeniu? Pilar w Casa Azul będzie krzyczeć, że to wszystko sprawka czarownicy — angielskiej wiedźmy, która oczarowała gubernatora i stała się przyczyną jego śmierci?

Nagle otworzyły się drzwi i pojawił się John Gregory.

— No proszę — powiedziałam — oto podwójny zdrajca.

— Nie chce pani wrócić do domu? — spytał. — Czyż nie na to pani przez cały czas liczyła? Nie modliła się pani o to?

Nie odpowiedziałam. Przypomniałam sobie don Felipe. Nie mogłam przestać o nim myśleć.

— Mam zaprowadzić was do kajuty, w której będziecie spać. Pokażę wam drogę.

Powędrowaliśmy za nim korytarzem do pomieszczenia znacznie mniejszego niż to, w którym byliśmy przed chwilą. Na podłodze leżały koce.

— Możecie trochę odpocząć. Kapitan Pennlyon zobaczy się z wami później. Na razie przez kilka godzin będzie zajęty.

Wysłałam za Johnem Gregorym na korytarz.

— Proszę mi powiedzieć, co słychać w Anglii — zażądałam.

— Zostawiłem wszystkich w dobrym zdrowiu — odparł.

— Czy zdarzyło się panu dochować komuś wierności? Komu właściwie pan służy?

— Kapitanowi Pennlyonowi. To on jest moim prawdziwym panem i był nim, dopóki nie zostałem pojmany przez Hiszpanów.

— Już raz go pan zdradził.

— Dostałem się do niewoli i poddano mnie torturom. Zmuszono mnie do posłuszeństwa, lecz kiedy tym razem zobaczyłem zielone pola Anglii, wiedziałem, komu winienem dochować wierności. Nigdy więcej nie opuszczę swojego kraju.

— Znalazł pan moją matkę? Oddał jej pan list?

— Tak.

— Co ona na to?

— Kiedy wręczyłem jej list i powiedziałem, że jest pani zdrowa, na jej twarzy pojawiła się taka radość, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem.

— Co było potem?

— Uznała, że koniecznie musi pani wrócić do domu. Błagała mnie, żebym zawiózł wiadomość do kapitana Pennlyona, człowieka, z którym niegdyś była pani zaręczona, i powie dział mu, gdzie pani jest. Chciała, żebym doprowadził go do pani i umożliwił bezpieczne sprowadzenie pani do domu.

— I to właśnie pan zrobił. Dopuścił się pan podwójnej zdrady. Teraz wrócił pan do swego poprzedniego zwierzchnika. Jak długo pozostanie mu pan wierny, Johnie Gregory?

— Płynię pani do domu. Powinna się pani cieszyć.

— Tej nocy, kiedy zostałam porwana z Trewynd Grange, dokonano tam potwornego morderstwa — oświadczyłam. — Te raz krew popłynęła w hacjendzie. Wszystko to obciąża pańskie sumienie.

— Nie rozumiem, o czym pani mówi. Odpokutowałem za swoje grzechy — odparł.

— Ale muszą pana dręczyć wyrzuty sumienia — wyjaśniłam.

Zastanawiałam się, na ile kochałam Felipe. Bo naprawdę go kochałam. Z pewnością odczuwana przeze mnie pustka i paraliżująca rozpacz wynikały właśnie z owej miłości.

Wróciłam do kajuty. Roberto rozpaczliwie mnie szukał, przeto wzięłam go na ręce i uspokoiłam. Edwina błyskawicznie zasnęła. Carlos i Jacko o czymś szeptali.

— Powinnyśmy się położyć — powiedziałam. — Choć nie sądzę, by udało nam się zasnąć.

W chwilę później Jennet głośno chrapała. Spojrzałam na nią pogardliwie, zastanawiając się, co jej się śni. Dalsze igraszki z kapitanem? Na jego widok tylko błysnęły jej oczy. Honey leżała nieruchomo.

— Honey — szepnęłam. — O czym myślisz?

— Wciąż widzę go leżącego — odparła. — Mężczyznę, który sypiał w twoim łóżku... w którego ramionach leżałaś... Tam było tak dużo krwi, Catharine. Nie mogę jej zapomnieć.

Wszędzie ją widzę.

— Kochałaś Luisa?

— Był łagodnym i miłym człowiekiem. Dobrze mnie traktował. A ty Felipe, Catharine?

— Wziął mnie siłą, lecz nigdy nie był brutalny. Podejrzewam, że dość szybko zdołał mnie pokochać. Czasami wydaje mi się, iż nikt nie będzie mnie kochał tak jak don Felipe.

— Jake Pennlyon... — zaczęła.

— Nie mów o nim.

— Jesteśmy na jego statku. Jak sądzisz, co się stanie?

Zadrzałam.

— Poczekamy, zobaczymy — odparłam.

\* \* \*

Musiałśmy się trochę zdrzemnąć, ponieważ nastał ranek. Statek delikatnie kołysał się na falach, co oznaczało, że morze jest spokojne. Przyniesiono nam jedzenie — fasolkę, solone mięso i piwo. Dostarczył nam je John Gregory. Tak samo jak poprzednio miał za zadanie nas ochraniać.

— Wszystko idzie dobrze — powiedział. — Wieje mocny wiatr. Płyniemy do Anglii. Za wykonaną w nocy robotę załoga dostała podwójną porcję rumu. Kapitan obiecał ludziom, że jeśli bezpiecznie dotrzemy do Hoe, podzieli między nich łupy. Chce z panią porozmawiać, lecz wcześniej powinna się pani posilić.

Milczałam. Nie byłam głodna. Roberto oświadczył, że mu to nie smakuje, lecz Carlos i Jacko pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Edwina zjadła trochę fasolki, Jennet całkiem niezle sobie radziła ze swoją porcją, natomiast Honey niczego nie tknęła. Upiliśmy nieco piwa. Miało gorzkawy smak, lecz chcieliśmy przepłukać czymś gardło.

John Gregory zaprowadził mnie do kajuty kapitana.

Gdy zapukał, Jake Pennlyon krzyknął:

— Wejść!

Weszłam do środka.

— Usiądź — powiedział Jake.

Przycupnęłam na przymocowanym do podłogi taborecie.

— To twój drugi rejs — zauważył. — Choć tym razem jest trochę inaczej, no nie?

— Galeon był znacznie ładniejszy — odparłam.

Pogardliwie wydał wargi.

— Chciałbym się z nim spotkać. Wtedy zobaczyłabyś, kto jest lepszy.

— Był uzbrojony w osiemdziesiąt dział. Wątpię, byś zdołał dotrzymać mu pola.

— Widzę, że podczas rejsu z donami zdobyłaś ogromną

wiedzę na temat statków! Ale tego konkretnego Hiszpańca nigdy już nie zobaczysz.

Zadrżałam. Ponownie przypomniałam sobie Felipe leżącego na podłodze i płynącą po kafelkach krew.

— John Gregory powiedział, że go wypytywałaś.

— Nie liczb na to, że twoi jeńcy będą milczeć.

— Jeńcy?! Kto mówi o jeńcach? Uratowałam cię Bóg jeden raczy wiedzieć od czego. Zabieram cię do domu.

— Don Felipe Gonzales był moim mężem — wyznałam.

Na policzkach Jake'a pojawiły się rumieńce.

— Wiem, że zmajstrował ci hiszpańskiego bachora.

— Mieliśmy syna — sprostowałam.

— Ożenił się z tobą?! — warknął. — To wcale nie było małżeństwo!

— Zawarliśmy je zgodnie z obrządkiem kościoła katolickiego — ciągnęłam.

— Kościół katolicki! Jak mogłaś tak nisko upaść?!

Roześmiałam mu się w twarz.

— Wiem, że jesteś bardzo religijnym człowiekiem. Prowadzisz świątobliwy żywot. Niezależnie od tego, co robisz, postępujesz jak na świętego przystało.

— Jestem człowiekiem bardzo tolerancyjnym. Mam zamiar przyjąć swoją żonę z powrotem, jakkolwiek była kochanką jakiegoś francowatego dona.

— Mój mąż był człowiekiem o nienaganych manierach, których tobie zdecydowanie brak.

Chwycił mnie za ramię i potrząsnął mną. Od razu przypomniały mi się łagodne ręce Felipe.

— Byłaś ze mną zaręczona. To tak jakbyśmy zawarli ślub.

— Wcale nie traktowałam poważnie naszego związku. Gdy by tak było, nigdy nie zgodziłabym się na te zaręczyny.

— Kłamiesz. Pragnęłaś mnie. Gdybyś nie zachorowała na

śmiertelne poty, zostałabyś moją żoną i zamieszkałabyś w Pennlyon Court.

— Nigdy nie byłam chora na śmiertelne poty. — Patrzył na mnie zdumiony. A więc zdołałam całkowicie go oszukać. — To był jedynie podstęp. Sposób na to, by trzymać cię z daleka. Czy w związku z tym nadal sądzisz, że tak bardzo cię pragnęłam? Przeleżałam w łóżku kilka tygodni, byle uniknąć ślubu z tobą.

— Byłaś chora. Widziałem twoją twarz.

— To była maść... mieszanina rozsmarowana cienką warstwą po mojej twarzy. Nawet ty straciłeś na mnie ochotę, gdy to zobaczyłeś.

— Ty... diablico! — zawołał.

— Na Teneryfie uważano mnie za czarownicę, ty nazywaś mnie diablicą. Tymczasem jestem jedynie kobietą pragnącą uciec przed człowiekiem, który mi nie odpowiada.

Był roztrzęsiony. To znaczy, że wcale nie uwierzył w moją niechęć — był na to zbyt zarozumiały.

— Gdy dopłyniemy do Devon — powiedział w końcu — ożenię się z tobą. Na przekór wszystkiemu wywiążę się z podjętego zobowiązania.

— Uwolnię cię od tego obowiązku — obiecałam. — Opuścę Devon i zabiorę syna do swojej matki. Ucieszy się z naszego przyjazdu.

— Nie po to tyle ryzykowałem, by po prostu przywieźć cię do domu. Ty również wypełnisz swoje zobowiązania, a gdy urodzisz mi syna, z którego będziesz naprawdę dumna, zapomnisz, że poniżyłaś się do tego stopnia, by wziąć ślub z hiszpańskim psem.

— To ty jesteś winien wszystkiemu, co się stało! — krzyknęłam. — Ty, a także twoje pożądanie, okrucieństwo i nikczemność. To, co wydarzyło się tamtej nocy, wcale nie

było zwyczajnym najazdem na wybrzeże. Felipe chciał się zemścić za krzywdę, którą mu wyrządziłeś. Zgwałciłeś niewinną dziewczynę, którą miał poślubić, zmajstrowałeś jej dziecko. Carlosa! Zaiste, widzę, że na widok tego chłopca błyszczą ci oczy. Nie ma wątpliwości, że to twój syn. To przez niego dumny Hiszpan zapalał żądzą zemsty, dlatego zgwałcił mnie tak samo, jak ty zgwałciłeś Isabellę. Zrobił to, ponieważ byłem twoją narzeczoną. Nie wiedział, że mnie szantażowałeś i że z całych sił stawiałam ci opór! Przez twoją rozwiązłość zostałam porwana i potraktowana tak samo jak Isabella.

Zacisnął dłonie. Wiedziałam, że wyobraził sobie, jak walczę z całych sił i w końcu uległam znacznej przewadze.

— Bardzo się od ciebie różnił — wyjaśniłam. — Nie chciał używać przemocy. Nie powodowało nim pożądanie, lecz chęć zemsty. To ty jesteś za wszystko odpowiedzialny. Ty... ty... od chwili, kiedy pojawiłeś się w moim życiu, całkowicie zburzyłeś mój spokój. Przez ciebie musiałam przejść przez piekło.

— Lubiałś go. Wysłaś za niego za męż. A może zrobiłaś to ze względu na dziecko?

— Nie zrozumiałbyś tego człowieka. Nie wyobrażam sobie nikogo, kto byłby mniej do ciebie podobny. Wyjaśnił mi, co mnie czeka. Nie przyjechał po mnie osobiście. Dopiero po dotarciu do hacjendy musiałam mu ulec. Dał mi wybór. Nie chciał używać przemocy. Znalazłam się w pułapce. Więc zachowałam bierność. Potem... mnie pokochał i ożenił się ze mną... a życie z nim nie było wcale takie złe.

— To znaczy, że mój dziki kotek dał się obłaskawić... dał się obłaskawić francowatemu donowi!

Odwrociłam się. Ku własnej rozpaczcy byłam podniecona obecnością Jake'a Pennlyona. Czułam, że żyję, co nie



zdarzyło mi się od opuszczenia Anglii. Prawdę mówiąc, walka z nim sprawiała mi przyjemność, dlatego miałam do siebie ogromne pretensje, gdyż to wszystko, co działo się od śmierci Felipe, następowało zbyt szybko.

Wiem, że on to wyczuł. Nagle chwycił mnie w ramiona i przycisnął do siebie. Potem mnie pocałował, a ja poczułam podniecenie, jakiego nigdy nie zdołał wzbudzić we mnie Felipe.

— Nie pozwolę — oświadczyłby fakt, iż byłaś hiszpańską ladacznicą, przeszkodził naszemu małżeństwu.

— Nie waż się nigdy więcej tak mówić.

— Hiszpańska ladacznica — powtórzył.

Uniosłam dłoń, by go uderzyć, lecz chwycił mój nadgarstek.

Pochylił się i ponownie mnie pocałował.

— Och, Cat — powiedział. — Cieszę się, że cię odzyskałem. Byłem zbyt miły dla tego twojego Hiszpana. Powinienem przywlec go na statek i trochę się z nim pobawić przed wysłaniem go do piekła.

— Nienawidzę cię, kiedy o nim mówisz — warknęłam. — To był dobry człowiek.

— Zapomnijmy o nim. Odzyskałem cię i teraz jesteś moja. Wiem, że wkrótce staniemy się jednością, a myśl o tym sprawia mi taką radość, jakiej nie zaznałem od twojego zniknięcia.

Gdy powiedział te słowa, wyraźnie poprawił mi się nastrój. Zdałam sobie sprawę, że za nim tęskniłam i że często o nim myślałam. Choć go nienawidziłam, owa nienawiść sprawiała mi ogromną radość. Czułam się tak, jakbym po długim pobycie w więzieniu w końcu wyszła na świeże powietrze. Wyraźnie odżyłam i gdybym miała być wobec siebie całkiem szczerą, musiałabym przyznać, że zawdzięczam to Jake'owi

Pennlyonowi.

Wiedziałam, iż podczas długiej podróży do domu nie zdołam mu się wymknąć. Zdawałam sobie sprawę, że w ciągu kilku najbliższych dni zmusi mnie, żebym została jego kochanką.

Było to nieuniknione, jak następstwo dnia i nocy. Chociaż opłakiwałam Felipe, nie byłam w stanie stłumić ogromnej radości.

\* \* \*

Przez trzy dni trzymałam go od siebie z daleka. Podejrzewam, że chciał, by tak właśnie było. Drażnił się z samym sobą. Pozwalał mi myśleć, iż mam szansę na wygraną tej bitwy, jako że była to bitwa. Jednakowoż taki stan nie mógł trwać wiecznie. Znajdowaliśmy się w płynącym świecie, w którym Jake był bezdyskusyjnym władcą — mógł mnie wziąć w każdej chwili, gdyby tylko przyszła mu na to chętka. Aliści nie zbliżał się do mnie... przez trzy dni.

Pragnął utrzymać mnie w niepewności. Nasze słowne potyczki sprawiały mu ogromną radość. Fizycznie miał nade mną znaczną przewagę, lecz ja całkiem nieźle sobie radziłam, jeśli chodzi o dowcip. Oczywiście, znajdowałam się w pułapce. Nie mogłam ukryć się przed nim na jego własnym statku.

Przez te trzy dni mieliśmy idealną pogodę. Wiatr był na tyle mocny, że bez trudu utrzymywaliśmy się na kursie. Lubiłam stać na pokładzie i patrzeć na wydęte żagle. Na przekór samej sobie byłam dumna z „Nieokielznanego Lwa” i musiałam przyznać, iż ma on cechy, których brakowało statecznemu galeonowi. „Lew” był znacznie szybszy, lżejszy,

bardziej zwrotny i niezawodny. Wiedziałam również, że Jake posiadał większe umiejętności niż hiszpański kapitan. Przypuszczałam, iż na okręcie Jake'a Pennlyona nikt nigdy nawet nie pomyślał o buncie.

Był zmierzch. Po zjedzeniu kolacji natknęłam się na Jake'a na korytarzu nieopodal jego kajuty.

Zablokował mi drogę.

— A więc w końcu się spotykamy — powiedział.

— Idę do dzieci — wyjaśniłam.

— Nie — odparł. — Idziesz ze mną.

Chwycił mnie za ramię i wciągnął do swojej kajuty. Pod sufitem kołysała się latarnia, rzucając nikłe światło.

— Wystarczająco długo na ciebie czekałem — oświadczył.

— Spójrz, wiatr się wzmaga. To może oznaczać sztorm.

— Co to ma wspólnego ze mną?

— Wszystko. Kiedy człowiek znajduje się na morzu, pogoda ma dla niego niezwykle istotne znaczenie? Wkrótce mogę mieć sporo roboty. Potrzebuję trochę czasu na zaloty do swojej kobiety.

— Czyżbyś nadal nie mógł zrozumieć, że najlepiej by było, gdybyś zostawił mnie w świętym spokoju?

— Wcale tego nie chcesz.

Wyciągnął grzebień z moich włosów i rozpuścił je na plecy.

— Tak mi się bardziej podobasz — oznajmił.

— Jeżeli szukasz kogoś, kto pozwoliłby ci na zaspokojenie pożądania — syknęłam — polecam swoją pokojówkę, Jennet.

— Po co mi substytut, skoro mogę mieć oryginał?

— Chyba nie sądzisz, że będę chętna... i uległa... jak Jennet.

— Brakuje ci szczerości tej dziewczyny. Tłumisz swoje pragnienia, lecz mnie nie oszukasz. Nie uwierzę, że ich w

ogóle nie odczuwasz.

— Słowo daję, chciałabym mieć takie wysokie mniemanie o sobie.

— Dość tego dobrego! — zawołał i jednym szarpnięciem rozerwał mi suknię na ramieniu.

Oczywiście, wiedziałam, że nadszedł moment, któremu od dawna tak bardzo się opierałam. Nie byłam niewinną dziewczyną, która niegdyś przyjechała do Devon. Od tego czasu zostałam zgwałcona — z powodu zemsty, nie pożądania — a potem przyzwyczaiłam się do życia u boku Felipe. Urodziłam mu dziecko. Zaiste, nie byłam niewinną dziewczynką.

Lecz walczyłam, jak walczyłyby każda zakonnica w obronie swego dziewictwa. Musiałam się bronić, ponieważ na tym w pewnym sensie polegał nasz układ. Jednocześnie nie mogłam zaprzeczyć, że nawet sama walka sprawia mi ogromną radość. Bardzo zależało mi na tym, by nie okazać własnych uczuć. Byłam zdecydowana bronić się, dopóki starczy mi sił, jakkolwiek miałam świadomość, iż koniec jest już przesądzony. Jake wybuchnął śmiechem. Oczywiście, wygrał tę bitwę. Nie mogłam zrozumieć szalonej przyjemności, jaką mi sprawił. Było to coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałam, nawet nie wyobrażałam sobie, że to możliwe. Mamrotałam słowa nienawiści, a on triumfu. Nie potrafię powiedzieć, jak to się stało, że dostarczył mi więcej satysfakcji niż Felipe.

Uwolniłam się od niego. Leżał na swojej pryczy i śmiał się.

— Na Boga! — powiedział. — Nie sprawiłaś mi zawodu. Od chwili, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że tak będzie.

— Ja o tym nie wiedziałam — zauważyłam.

— Lecz teraz już wiesz.

— Nienawidzę cię — rzuciłam.

— Możesz mnie nienawidzić. Wygląda na to, że to lepsze niż miłość.

— Żałuję, iż kiedykolwiek przyjechałam do Devon.

— Będziesz musiała pokochać swój dom.

— Gdy tylko dotrzemy do Anglii, wracam do Abbey.

— Co takiego? — spytał. — Nosząc pod sercem mojego syna? Nie zrobisz tego. Będę uprzejmy. Mam zamiar się z tobą ożenić, mimo że byłaś hiszpańską ladacznicą i ze mną też się łądaczysz.

— Jesteś podły.

— Czy dlatego właśnie nie możesz mi się oprzeć?

Wstał.

— Nie! — krzyknęłam.

— Ależ tak, tak — odparł.

Walczyłam, zdawałam sobie jednak sprawę, że nie zdołam mu się oprzeć. Owszem, chciałam zostać, lecz on nie mógł o tym wiedzieć. Dopiero późną nocą wślizgnęłam się do kajuty, którą dzieliłam z Honey.

Spojrzała na mnie.

— Och, Catharine — szepnęła.

— Nic nie mogłam zrobić — wyjaśniłam. — Wiedziałam, że wcześniej czy później i tak do tego dojdzie.

— Nic ci nie jest?

— Mam trochę zadrapań i siniaków. To chyba normalne, jeśli weźmie się pod uwagę, że walczyłam z Jakiem Pennlyonem.

— Moja biedna, biedna Catharine! To już drugi raz.

— Było jednak trochę inaczej — wyznałam.

— Catharine...

— Nic nie mów. Nie chcę rozmawiać. Muszę się przespać. To było nieuniknione. Nic nie mogłam na to poradzić. Nie

jestem młodą, niedoświadczoną dziewczyną, jaką była Isabella...

Honey milczała, a ja leżałam, myśląc o Jake’u Pennlyonie.

\* \* \*

Podróż była długa i pełna wydarzeń. Jak każdy rejs po nieprzewidywalnym morzu. Nadszedł przepowiadany przez Jake’a sztorm. Pokonaliśmy tę nawałnicę. Zresztą daleko jej było do tej, z którą musiał walczyć galeon, a może po prostu „Lew” lepiej radził sobie z żywiołami lub zawdzięczaliśmy to kapitanowi — niepokonanemu Jake’owi Pennlyonowi. Potężny i imponujący hiszpański żaglowiec był niezgrabny w porównaniu ze zwrotnym „Lwem”. Statek dzielnie się bronił przed falami, miotającymi nim to tu, to tam. Drewno trzeszczało, jakby przechodziło ciężką próbę, lecz nie ulegało strugom deszczu. Wiatr zawodził w olinowaniu, gniewne fale uderzały o kadłub, a każdy powiew bezlitośnie szarpał takielunek.

U steru stał Jake Pennlyon. Dzięki swym umiejętnościom żeglarskim potrafił obrócić „Lwa” pod wiatr w taki sposób, by wysokie elementy chroniły zawietrzną, z której wydawał rozkazy, przekrzykując wyjący wiatr. Czy wszyscy ludzie znajdujący się na okręcie czuli to samo, co ja? Jesteśmy bezpieczni. Nic nie zdoła pokonać Jake’a Pennlyona — nawet morze i wiatr.

Tak więc zdołaliśmy wpłynąć do zatoki, gdzie przeczekaliśmy szalejący przez dwie noce i dzień sztorm. Potem nastąpiła cisza.

Gdy wiatr ustał, na pokładzie odbyło się nabożeństwo dziękczynne. Jakże różniło się ono od poprzedniego! Jake Pennlyon dziękował Bogu za bezpieczeństwo statku w

sposób, który sugerował, iż przetrwanie sztormu zawdzięczamy kapitanowi, a nie jakiemuś bóstwu. Uznałam, że Jake bardzo arogancko przemawia do Boga, lecz w głębi duszy serdecznie się z tego śmiałam. Jakież to do niego podobne! Zachowywał się zarozumiale, wręcz bluźnierczo! Właściwie tego można się było po nim spodziewać.

Oczywiście, następną noc spędziłam w kajucie kapitana.

Przyszedł do pomieszczenia, w którym urządziłam pokój dziecinny, i spytał Carlosa, co sądzi o sztormie.

— To była straszna zawierucha! — krzyknął Carlos.

— A ty pewnie mazgałeś się i myślałeś, że utoniesz?

Carlos wyglądał na zdumionego.

— Nie, kapitanie. Wiedziałem, że nie dopuści pan do tego, by statek utonął.

— A dlaczegoż to?

— Ponieważ to pański żaglowiec.

Jake pociągnął chłopca za włosy. Nabrał tego zwyczaju w stosunku do Carlosa i Jacko. Czasami wydawało mi się, że sprawia im ból. Widziałam, iż starają się opanować skrzywienie twarzy. Lecz obaj chłopcy byli bardzo dumni, ilekroć Jake zamienił z nimi choćby kilka słów. Wyraźnie go czcili. Byli jego synami i Jake rozkoszował się tą myślą. Mężczyźni w rodzaju Jake'a Pennlyona uważają się za tak wyjątkowych, że koniecznie chcą mieć jak największą liczbę potomków, a w swoich dzieciach przede wszystkim doszukują się własnych cech.

W Carlosie i Jacko wyraźnie było je już widać. Zresztą od wejścia na pokład bardzo się zmienili. Niemal we wszystkim naśladowali kapitana.

— I uznałeś, że będę chciał mieć go nadal?

— Tak jest, sir — odparł Carlos.

— Masz rację, chłopcze. Na Boga, masz rację.

Pociągnął chłopca za włosy, a Carlos z radością zniósł, ból, ponieważ wiedział, że ten gest oznacza aprobatę.

Potem Jake chwycił mnie za ramię.

— Chodź — powiedział.

Potrząsnęłam głową.

— Chcesz, żebym wziął cię przy tych chłopcach?

— Nie ośmielisz się tego zrobić.

— Lepiej mnie nie prowokuj.

Roberto, którego Jake zawsze ignorował, patrzył na mnie przerażony. Wiedziałam, że Jake jest zdolny do wszystkiego, jeżeli się go — jak to powiedział — „sprowokuje”.

— Daj mi kilka minut — poprosiłam.

— Popatrz, jak ci ustępuję.

Pocałowałam dzieci i powiedziałam im „dobranoc”, po czym poszłam do Jake’a.

Gdy znaleźliśmy się w jego kajucie, z przekąsem zauważył:

— Tym razem przyszedłeś z ochotą.

— Przyszedłam, ponieważ nie chciałam, by dzieci zobaczyły, że potrafisz być wyjątkowo brutalny.

— Rzeczywiście jestem bardzo brutalny, prawda?

— Zaiste.

— A ty mnie za to kochasz.

— Raczej cię nienawidzę.

— Bardzo odpowiada mi ta twoja nienawiść. Jest mi z tobą dobrze, Cat. Jest mi lepiej, niż przypuszczałem.

— Muszę to wszystko znosić...

— Musisz.

— Gdy tylko dotrzemy do domu...

— Zrobię z ciebie uczciwą kobietę. Przyrzekam ci, że do tego czasu będziesz w ciąży. Chcę mieć syna... naszego syna. Carlos jest wspaniałym chłopcem. Jacko również. Są moi, ale



widzisz... chcę mieć naszego syna, Cat. I na Boga, on będzie naprawdę wyjątkowy. Z pewnością już został poczęty. Czy na tę myśl nie rośnie ci serce?

— Gdybym rzeczywiście miała urodzić twoje dziecko — oświadczyłam — wolałabym nie widzieć w nim cech jego ojca.

— Kłamiesz, Cat. Przez cały czas kłamiesz. Zacznij mówić prawdę. Czy twój pieprzony hiszpański kochanek był podobny do mnie?

— Był dżentelmenem.

Roześmiał się, po czym upadł na mnie i dał upust swej dzikiej namiętności, którą, jak sobie wmawiałam, musiałam znosić.

Byłam zadowolona. Wmówiłam sobie, że nikt nigdy nie darzył nikogo taką nienawiścią, jak ja Jake'a Pennlyona.

\* \* \*

Pokonaliśmy zdradzieczą Zatokę Biskajską i wpłynęliśmy na jeszcze bardziej zdradziecki kanał La Manche. Na widok zielonej Kornwalii mną i Honey zaczęły targać nieprawdopodobne emocje.

Potem wpłynęliśmy do portu w Plymouth.

Tak dużo się nam przydarzyło — zostałam żoną, matką i wdową. Z pewnością byłam już teraz całkiem inną kobietą i bardzo się różniłam od dziewczyny, która odpłynęła stąd w ową pamiętną noc pięć lat temu. Jednak tutaj właściwie nic się nie zmieniło. Dotarliśmy na dobrze znane wody, zobaczyliśmy znaną linię brzegową. Wkrótce wyłonił się zarys Trewynd Grange.

Zarzuciliśmy kotwicę. Razem z dziećmi ruszyliśmy łódką w stronę brzegu. Towarzyszył nam Jake Pennlyon. Nigdy nie

wyglądał na bardziej aroganckiego i dumnego z siebie. Był marynarzem wracającym do domu. Zemścił się na Hiszpanie, który odważył się wejść mu w drogę.

Nie byłam przygotowana na to, co mnie czekało, jako że na nabrzeżu stała matka. Rozłożyła ramiona, a Honey i ja ruszyłyśmy biegiem w jej stronę. Objęła najpierw mnie, a potem moją siostrę. Przez cały czas powtarzała: „Moje kochane córeczki!”, jednocześnie śmiejąc się i płacząc, całując nas i głaszcząc po twarzach, odsuwając każdą z nas na odległość ramienia, by się nam przyjrzeć, a potem ponownie przytulić.

Dzieci zadzierały główki i przyglądały się jej ze zdumieniem. Przedstawiłyśmy ją Edwinie, Roberto, Carlosowi i Jacko. Oczy matki najdłużej zatrzymały się na Roberto. Wzięła go na ręce i powiedziała: „A więc to jest mój mały wnuczuś”. Potem takie samo zainteresowanie okazała Edwinie — nazwała ją swoją wnucuzią.

Matka zatrzymała się w Trewynd Grange. Lord Calperton oddał jej zamek do całkowitej dyspozycji. Żaden członek jego rodziny nie korzystał z Grange od tragicznej śmierci Edwarda. Kiedy Jake wyruszył w rejs, by nas przywieźć z powrotem do kraju, moja matka wyruszyła do Devon, ponieważ bardzo chciała osobiście nas powitać, gdy tylko staniemy na angielskiej ziemi.

Dziwnie się czułam, ponownie wchodząc do Grange i spoglądając na okno w wieżyczce, skąd po raz pierwszy zobaczyłam hiszpański galeon. Szłam obok matki, trzymając ją za rękę. Pod wpływem emocji nie mogła mówić, choć wiedziałam, że później z pewnością nadrobi zaległości.

Gdy tylko dostrzeżono „Nieokiełznanego Lwa”, natychmiast kazała służbie zacząć przygotowania do bankietu, dlatego powitały nas zapachy pikantnych mięs i

ciast. Tyle czasu upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni miałyśmy do czynienia z takim jedzeniem, że na przekór wszystkim emocjom zaczęła cieknać nam ślinka.

Weszłam do swojej dawnej komnaty, stanęłam w oknie i wyjrzałam na Hoe. Zobaczyłam kołyszącego się na falach „Nieokiełznanego Lwa”.

Za mną stanęła matka. W końcu byliśmy same.

— Kochana Catharine! — szepnęła. — Gdybyś tylko wiedziała...

— Wiem — odparłam. — Nieustannie o tobie myślałam.

— Spotkało cię tyle nieszczęść, choć byłaś jeszcze prawie dzieckiem.

— Teraz jestem matką.

Spojrzała na mnie niespokojnie. Zaczęłam jej tłumaczyć, czemu zostałyśmy porwane, lecz знаła już tę historię. Usłyszała ją z ust Johna Gregory’ego.”

— I mówisz, że ten człowiek... był dla ciebie dobry?

— Tak, mamusiu.

— Wyszłaś za niego za męża?

— Doszłam do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie. W końcu miałam z nim syna. Uznał Roberto za swego prawnowitego dziedzica. Lubiłam Felipe, ponieważ był bardzo dobry.

Pochyliła głowę.

— Ja też wyszłam za męża, Cat.

— Za Ruperta? — spytałam.

Przytaknęła.

— A co z moim ojcem?

— On nigdy nie wróci. Nie żyje, Cat. Od dawna o tym wiem.

— Wydawało mi się, że zniknął raczej w dość tajemniczych okolicznościach.

— W twoim ojcu nie było niczego tajemniczego, Cat — a przynajmniej nie więcej niż w każdym innym człowieku. Został umieszczony w kołysce przez mnicha, który był jego ojcem, i w taki oto sposób zrodziła się legenda. Zdobył bogactwo, sprzedając skarby opactwa, a zginął w wypadku w lochach Abbey. To tyle, jeśli chodzi o przeszłość. Teraz jestem żoną Ruperta.

— Powinnaś wyjść za niego za mąż już dawno temu, mamusiu.

— Jestem szczęśliwa — wyznała. — Rupert chciał, żebym tu przyjechała, ponieważ wie, że was kocham, lecz na pewno niecierpliwie czeka na mój powrót.

— A co słyhać u Kate?

— U niej wszystko po staremu.

— Nie znalazła sobie następnego męża?

— Kate nie chce wychodzić za mąż, choć wielu panów próbuje ją do tego skłonić. Twoja ciotka lubi wolność i swobodę.

Jest bogata, niezależna, nie chce, by rządził nią jakiś mężczyzna.

— Żaden mężczyzna nie byłby w stanie nią rządzić. To ona rządziłaby nim.

— Wciąż mówisz o niej z goryczą, Cat.

— Bo wciąż pamiętam. A co u Careya?

— Bywa na dworze.

— A zatem od czasu do czasu go widzisz.

— Tak.

— Czy mówi coś o mnie?

— Wszyscy rozmawialiśmy o tobie, zwłaszcza gdy zaginęłaś.

— Carey też?

— Oczywiście.

— Czy u niego wszystko w porządku, mamusiu?

— Tak. A teraz, Catharine, kochanie, powiedz mi, co zamierzasz zrobić. Wyjdiesz za mąż za Jake'a Pennlyona? Chcę, żebyś była szczęśliwa, Cat. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Jake przywiózł cię z powrotem. Ma zamiar cię poślubić. Niegdyś był z tobą zaręczony i czekał na ciebie.

Roześmiałam się na głos.

— Możliwe, że noszę pod sercem jego dziecko.

— To znaczy, że go kochasz.

— Czasami wydaje mi się, że raczej go nienawidzę.

— Ale...

— Zmusił mnie — wyjaśniłam. — Był kapitanem. Owszem, zaproponował mi małżeństwo, ale bardzo się niecierpliwił.

Ujęła mnie za ramiona i spojrzała mi w twarz.

— Cat, kochanie — powiedziała. — Zmieniłaś się.

— Nie jestem już twoją małą córeczką. Dwukrotnie zostałam zmuszona do uległości. To dziwne, mamusiu, ale obaj potem poprosili mnie o rękę.

— Spotkało cię tyle nieszczęść, Cat. Teraz musisz zacząć nowe życie. Jedź ze mną do domu, do Abbey.

— Myślałam o tym, lecz tam zapewne spotkałabym Careya. Nie chcę rozdrapywać starych ran. Może on się ożeni. No właśnie, ożenił się? — spytałam łagodnie.

Potrząsnęła głową.

— Wyszłaś za mąż za Hiszpana — przypomniała.

— Owszem. Zrobiłam to, ponieważ myślałam, że zostanę tam już na zawsze. Chciałam zapewnić swojemu synowi należną mu pozycję.

— A co z dzieckiem, które nosisz pod sercem?

Zawahałam się. Chyba powoli zaczynałam zastanawiać

się, czy zdołam zastąpić smutek związany ze stratą Felipe nienawiścią do Jake'a Pennlyona.

— Wyjdę za mąż za Jake'a — oświadczyłam. — Jest ojcem tego dziecka. Zostanę tutaj, mamusiu, bo chociaż bardzo chciałabym być z tobą, nie mogę wrócić do Abbey.

Zrozumiała. Jak zwykle.

\* \* \*

Jake Pennlyon triumfował. Natychmiast zaczęły się przygotowania do ślubu.

— Nasz syn powinien urodzić się w odpowiednim czasie.

Rok wcześniej ojciec Jake'a dostał ataku apopleksji i zmarł. Wszyscy uznali, że namiętnie korzystając z życia, znacznie je sobie skrócił. Tak więc Jake był teraz gospodarzem Lyon Court, a ja miałam zostać panią tegoż zamku.

Postawiłam wszakże pewne warunki.

Dzieci zostaną ze mną. Jake chciał odesłać Roberto razem z moją matką do Abbey.

— Bo, prawdę mówiąc — wyjaśnił — na widok tego bachora robi mi się niedobrze.

— To mój syn — zaoponowałam. — Nie rozstanę się z nim, póki żyję.

— Powinnaś się wstydzić, że zadawałaś się z naszymi wrogami. Ten bachor jest wynikiem gwałtu!

— To samo można powiedzieć o dziecku, które urodzę.

— Nieprawda. Chciałaś tego. Myślisz, że możesz mnie oszukać?

— To ty się oszukujesz. Mój syn zostanie. Inaczej nie będzie żadnego ślubu.

— Będzie ślub — oświadczył. — Nie myśl, że po raz

drugi uda ci się z tego wywinąć. Tym razem nie życzę sobie żadnych śmiertelnych potów, dziewczyno.

Roześmiałam się.

— Roberto zostaje — powiedziałam.

— I tamci dwaj — dodał. — Na Boga, nasz pokój dziecienny jest pusty. Musimy go zapełnić. Te dwa smyki to miłe szkraby. Lubię ich.

— To oczywiste. Są do ciebie bardzo podobni. Manuela i Jennet zajmą się dziećmi, lecz pozwól, że coś ci powiem: koniec z wciąganiem do łóżka służących.

Ujął mnie pod brodę i niezbyt delikatnym szarpnięciem uniósł moją twarz do góry.

— Musisz się postarać, żebym poprzestał tylko na tobie. Ostrzegam, że mam spory temperament.

— Nie potrzebuję ostrzeżeń.

— Musisz wziąć to pod uwagę. Jesteś w stanie utrzymać mnie przy sobie, Cat. Musisz to zrobić.

— Sądzisz, że sobie poradzę? — spytałam sarkastycznie.

— Owszem, Cat, jeśli będziesz mądra.

— I kto to mówi? A może będę się cieszyć, jeśli zaczniesz zaspokajać swoje pożądanie gdzie indziej. Zależy mi tylko na tym, żebyś nie robił tego w moim domu i z moimi służącymi.

— Nigdy nie miałem problemu ze znalezieniem chętnych kobiet.

— Miłe stwierdzenie jak na mężczyznę, który wkrótce ma się żenić.

— Lecz w końcu nie jesteśmy tacy jak inni, prawda, Cat? To właśnie dlatego nasze małżeństwo będzie takie wspaniałe. Powiedz mi, jak dzisiaj miewa się mój syn.

— Wcale nie jestem pewna, czy on w ogóle istnieje. Jeśli nie... może nie mamy po co brać ślubu.

— Jeśli jeszcze się nie począł, możesz być pewna, że

wkrótce się pocznie.

— Chciałabym zobaczyć dom — powiedziałam. — Może zechcę wprowadzić jakieś zmiany.

Wybuchnął radosnym śmiechem. Wiedziałam, że bardzo zależy mu na naszym ślubie.

\* \* \*

Ślub z Jakiem Pennlyonem wzięłam o świcie. Ceremonia odbyła się w kaplicy, do której niegdyś Jake zaglądał z pomieszczenia dla trędowatych. Potem w Trewynd Grange nastąpiła uroczystość, po której wróciłam z Jakiem do Pennlyon Court.

Nie mam zamiaru udawać, że ten człowiek mnie nie podniecał. Wróciliśmy do domu, którego panią właśnie się stałam, i powędrowaliśmy do naszej małżeńskiej komnaty. W pierwszej chwili wydawało mi się, że Jake jest wyjątkowo wzruszony. Wiedziałam, iż osiągnął to, o czym od dawna marzył, a kiedy wziął mnie w ramiona, jego dłonie stały się niezwykle delikatne. To wszystko w niczym nie przypominało jego dotychczasowych przygód.

Oczywiście, ta chwila nie mogła trwać wiecznie. Pałał ogromnym pożądaniem, a ja, wiedząc, jak bardzo potrzebna mu walka, po której mógłby nastąpić moment poddania, zaczęłam się opierać.

W rzeczywistości jednak dzieliłam jego namiętność. Wiedział o tym. Lecz nie chciałam, by zdawał sobie sprawę, że jego dotyk działa na mnie obezwładniająco i że w takich chwilach myślę tylko o jednym — o tym, jak bardzo chcę, by mnie zaspokoił.

Odczuwałam do niego ogromny pociąg fizyczny. Wciąż nie chciałam się przyznać do tego, jak ogromną przyjemność



sprawia mi sama obecność Jake'a, natomiast wcale nie starałam się ukrywać faktu, że w łóżku doznaję prawdziwej rozkoszy. Postanowiłam, że póki Jake nie zacznie być dla mnie tkliwy, ja też nie będę okazywać mu czułości. Nie miałam zamiaru udawać miłości. Nawet nie miałam zamiaru udawać, że go potrzebuję. Nadal uważałam go za człowieka prymitywnego, ordynarnego i aroganckiego. Wysłałam za niego za męża, ponieważ miałam urodzić jego dziecko, które było wynikiem gwałtu. Byłam kobietą łatwo ulegającą pierwotnym instynktom. Jake fizycznie bardzo mi odpowiadał. Można dzielić z kimś łóżko i wcale nie jest do tego konieczna miłość.

Całkiem wyraźnie dałam mu to do zrozumienia, lecz on jedynie wybuchnął gromkim śmiechem. Jego zdaniem od początku pragnęłam go w takim samym stopniu jak on mnie, dlatego wiedział, że wystarczy kiwnąć na mnie palcem, a natychmiast sama wskoczę mu do łóżka.

— Jakoś dość długo musiałeś kiwać — zwróciłam mu uwagę. — Poza tym wcale nie wskoczyłam ci do łóżka, dopóki nie wciągnąłeś mnie do niego na siłę, w dodatku zrobiłeś to na swoim statku, z którego nie było drogi ucieczki.

— Wiedziałem, że za mną tęsknisz.

— Wygląda na to, iż mylisz mnie z głupią Jennet. Pamiętaj, że nią nie jestem.

— Doskonale o tym wiem. Lecz tak samo jak ona jesteś kobietą, a kobiety takie jak wy potrzebują mężczyzn, i to takich jak ja.

— Bzdura! — zaprotestowałam.

— Pozwól, że ci to udowodnię.

Nie można było go powstrzymać.

Zaiste, w łóżku sprawiał mi ogromną przyjemność. Nie

mogłam tego ukryć.

— Jesteśmy dla siebie stworzeni — powiedział. — Wiedziałem o tym. Od momentu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w Hoe, powtarzałem sobie: „To kobieta dla ciebie, Jake’u Pennlyonie. Będzie lepsza od wszystkich, które dotychczas miałeś”.

Lecz potem często kłóciliśmy się i zazwyczaj to ja wygrywałam, a Jake chętnie mi na to pozwalał.

Wystarczyło, że chwycił mnie w objęcia, i chociaż zazwyczaj mu się opierałam, niezmiennie znajdował sposób... o każdej porze dnia i nocy. Powtarzałam, że jest bezwstydnym, a on odpowiadał, że ja też. Tak minął pierwszy miesiąc mojego małżeństwa z Jakiem Pennlyonem.

Potem mama oświadczyła, że musi wracać do domu. Rupert zbyt długo był sam. Wraz z nią miała pojechać Honey. W Trewynd prześladowało ją zbyt dużo niemiłych wspomnień. Miała zamieszkać u matki w Abbey. Obie stwierdziły, że to osłodzi im rozstanie ze mną.

Tak więc wyjechały, zabierając ze sobą Edwinę. Roberto, Carlos i Jacko zostali z nami. Zajmowały się nimi Manuela i Jennet.

Tym razem byłam już pewna, że jestem brzemienna. Obiecałam sobie, że wkrótce w pokoju dziecinnym pojawi się następne maleństwo.

\* \* \*

Roberto usychał z tęsknoty. W jego maleńkiej śniadanej twarzązce właściwie widać było jedynie ogromne ciemne oczy.

— Madre — powiedział kiedyś. — Chcę wrócić do domu.

— Roberto, skarbie — odparłam. — Jesteśmy w domu.

Potrząsnął głową.

— To nie jest mój dom, madre.

— Teraz już nim jest — oświadczyłam. — Twoje miejsce jest przy mnie i obecnie mieszkamy tutaj.

Dał za wygraną.

— Chcę mieć tatę. Gdzie jest mój tata?

— Odszedł, Roberto. Nie żyje. Dlatego masz nowego ojca.

— Chcę mieć swojego, madre. Kto jest moim nowym ojcem?

— Przecież wiesz.

Zadrżał z przerażenia.

— Chyba nie masz na myśli tego człowieka...

— Teraz to on będzie twoim ojcem, Roberto.

Zacisnął mocno powieki i potrząsnął główką. Źle mu to powiedziałam. Przestraszyłam go.

Wzięłam go na kolana i zaczęłam kołysać.

— Jestem przy tobie, Roberto.

To dodało mu nieco otuchy. Przyłgnął do mnie całym ciałkiem. Bał się Jake'a, który w ogóle nie rozumiał dzieci, przeto nie robił nic, by załagodzić tę sytuację. Carlos i Jacko byli zabierani na „Nieokiełznanego Lwa”. Mogli organizować tam dzikie zabawy w marynarzy i kapitanów. Carlos zawsze był kapitanem Pennlyonem, co bardzo cieszyło Jake'a. Był dumny z obu... swoich synów. Najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzało, że jeden z nich jest synem hiszpańskiej damy, a drugi dziewczki służebnej. Byli Pennlyonami, i to Jake'owi wystarczało.

Mój Roberto bardzo się od nich różnił. Tak bardzo martwiłam się o to dziecko, że postanowiłam porozmawiać o nim z Jakiem. Posunęłam się nawet tak daleko, że błagałam go, by okazał chłopcu choć odrobinę zainteresowania i życzliwości.

— Mam być miły dla syna innego mężczyzny?  
— To jest również mój syn.  
— I wcale mi się to nie podoba.  
— A powinno. Przygarnęłam twoje dzieci i zatroszczyłam się o nie.  
— Jesteś kobietą — skwitował.  
— Gdybyś miał choć odrobinę przyzwoitości...  
— Ale wiesz, że jej nie mam... Wszystkie moje myśli są nieprzyzwoite.  
— Proszę. Bądź miły dla mojego syna.  
— Nie mam zamiaru udawać tego, czego nie czuję.  
— No proszę, nagle stałeś się szczery!  
— W tej sprawie, tak. — Odwrócił się gwałtownie. — Po wiem ci coś. Nienawidzę tego chłopca. Ilekroć go widzę, wyobrażam sobie ciebie i tego Hiszpańca. Mam wtedy ochotę połamać temu malcowi wszystkie kości, by zniszczyć wszystko, co przypomina mi jego ojca.  
— Jesteś nieludzki! Jak możesz winą obarczać dziecko?  
— Lepiej by było, gdybyś wysłała go do matki.  
— Swojego syna?  
— Przestań mówić o swoim synu. Wkrótce będziesz miała mojego, a wtedy pozbędę się tego smagłego bachora. Może zabiorę go w rejs i podrzucę do jego ojczyzny. Jak ci się to podoba?  
— Nie odważysz się tknąć tego chłopca.  
— Bo co? — drażnił się ze mną.  
— Bo cię zabiję, Jake'u Pennlyonie.  
— Masz zamiar zostać morderczynią?  
— Tak, jeżeli skrzywdzisz mojego syna.  
— Och, daj spokój, od czasu do czasu pojawia się na świecie jakieś nieślubne dziecko. Wkrótce napelnisz nasz pokój dziecinny prawdziwymi chłopcami, wtedy nawet nie

będziesz miała czasu tęsknić za tym jednym.

Uderzyłam go w twarz. Takie zachowanie zawsze bardzo go podniecało. Unieruchomił mnie i powalił na łóżko.

Oczywiście, to musiało tak się skończyć, lecz nie załatwiało sprawy. Jake przenosił na mojego syna nienawiść żywioną do jego ojca i to mnie bardzo niepokoiło.

Gdy Roberto się rozchorował, bez przerwy siedziałam przy jego łóżku. Podejrzewałam, iż pokonała go chłodna nadmorska zima. Jennet i Manuela bardzo się o niego martwiły, a ja przez cały dzień nie wychodziłam z pokoju dziecinnego.

O zmierzchu Roberto poczuł się trochę lepiej.

— Wygląda na to, że dobrze mu robi pani obecność — zauważyła Jennet.

To była prawda. Gdy siedziałam przy jego łóżku, trochę się przespał, lecz przez cały czas trzymał mnie za rękę. Ilekroć próbowałam ją uwolnić, jego małeńka rozpalona dłoń natychmiast wzmacniała kurczowy uchwyt. Postanowiłam, że przy nim zostanę.

Gdy zapadła noc, w pokoju dziecinnym pojawił się Jake. Jennet i Manuela błyskawicznie zniknęły.

— Co to ma znaczyć? — spytał Jake. — Czekam na ciebie.

— Siedzę przy chorym dziecku — odparłam.

— Wystarczy, jeśli zajmą się nim te dwie kobiety.

— Jest niespokojny, gdy mnie przy nim nie ma.

— Ja z pewnością jestem bardziej niespokojny, gdy cię przy mnie nie ma.

— Zostaję tu na noc.

— Nie — oświadczył. — Idziesz ze mną do łóżka.

— Dziś w nocy zostanę z synem.

— Nic z tego — powiedział.

Chwycił mnie za ramię. Wstałam i odepchnęłam go.

— Obudzisz dziecko.

— Czemu miałbym się tym przejmować?

— Ja się tym przejmuję — odparłam.

Wyszłam z nim z pokoju, ponieważ bardzo się bałam, jak na tę scenę zareaguje Roberto.

— Idź sobie — powiedziałam. — Podjęłam już decyzję.

— A jeśli ja postanowię co innego?

— Będziesz musiał zmienić swoje postanowienie.

— Idziesz ze mną.

— Zostaję z synem.

Przez chwilę twardo patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

— Mogę cię tam zanieść — zauważył.

— Jeśli mnie tkniesz, opuszczę ten dom. Zabiorę swojego syna, wyjadę z nim do matki i już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Zawahał się, a ja wiedziałam, że odniosłam zwycięstwo.

— Idź sobie — powiedziałam. — I nie próbuj krzyczeć. Jeżeli obudzisz dziecko, jeśli je przestraszysz, nigdy ci tego nie wybaczę.

— Nie boisz się, że jeśli mi odmówisz, pójdę szukać pociechy gdzie indziej?

— Zrób to, skoro musisz.

— Wcale byś tego nie chciała.

— Powiem ci coś — dziś w nocy interesuje mnie jedynie spokojny sen mojego syna i osobiście mam zamiar tego dopilnować.

— Cat — powiedział. — Pragnę cię... teraz... w tym momencie.

— Idź sobie.

— Więc nie obchodzi cię, co zrobię?

— Rób, na co masz ochotę.

Chwycił mnie za ramię i mocno mną potrząsnął.

— Doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie odpowiada mi żadna kobieta oprócz ciebie.

Wybuchnęłam radosnym śmiechem. Oczywiście, wygrałam. Wróciłam do Roberto.

Rano maluch poczuł się lepiej, wiedziałam jednak, że nadal bardzo boi się Jake'a Pennlyona.

\* \* \*

Nadeszło lato. Teneryfa wydawała się bardzo odległa. Zadomowiłam się w Lyon Court. Jake właściwie powinien wypłynąć w rejs. Odłożył go ze względu na nasz ślub, wiedziałam też, że po prostu chce być ze mną. Z drugiej jednak strony nie mógł bez przerwy przebywać na lądzie. Czasami podejrzewałam, iż chętnie zabrałby mnie ze sobą, ale byłam w ciąży, a morze nie jest najlepszym miejscem dla brzemiennych niewiast. Jake był marynarzem, kochał morze, swój okręt darzył ogromnym uczuciem, niemniej przedłużał swój pobyt w domu. Śmiałam się z niego. Wyraźnie nie mógł mnie opuścić.

Nie potrafił zapomnieć o napadzie, do którego doszło, gdy go nie było. Obawiał się, że historia może się powtórzyć. Nie potrafił wybrać między żądzą przygód a życiem u mego boku.

Często odwiedzał Hoe. Płynął łódką na żaglowiec i spędzał na nim trochę czasu. W końcu doszedł do wniosku, że już dłużej nie może zwlekać.

Przez miesiąc mieszkał u nas kapitan Girling z St. Austell. Dzień po dniu we dwójkę płynęli na „Nieokiełznanego Lwa”. W porcie zapanowała ogromna krzątanina, ponieważ zaczęto załadunek statku. Tym razem „Lew” miał zabrać zwoje

materiałów.

Podczas kolacji zazwyczaj rozmawialiśmy o morzu, a moja wiedza na ten temat ciągle się poszerzała. Jej podstawę stanowiło osobiste doświadczenie w postaci dwóch rejsów. W końcu obaj panowie zaczęli wypytywać mnie o galeon, a ja nie mogłam się powstrzymać od wychwalania go i wykazywania jego wyższości nad „Nieokiełznanym Lwem” i innymi angielskimi okrętami, które widziałam, co obu panów doprowadzało do rozpaczy, a jednocześnie intrygowało.

Kapitan Girling nienawidził Hiszpanów i katolicyzmu tak samo zażarcie jak Jake. Zgadzał się w tej sprawie, w większości innych również. Nienawidzili inkwizycji, która przechwycała wielu angielskich marynarzy, poddała ich torturom i spaliła na stosie. Klasycznym przykładem był John Gregory, którego zwolniono pod warunkiem, że będzie szpiegował na rzecz Hiszpanii. Co dziwne, wyglądało na to, że Jake mu wybaczył, choć jego dawny i obecny podwładny przyłożył rękę do uprowadzenia mnie. Z drugiej jednak strony tylko dzięki niemu możliwe było sprowadzenie mnie z powrotem do kraju.

— Nadeszły dobre wieści z Niderlandów — oświadczył kapitan Girling. — Wybuchło powstanie i wszystko wskazuje na to, że ma ogromne szansę na sukces. Hiszpanie ustanowili tam inkwizycję i z tego powodu cały kraj ogarnęła rewolta. Na Boga, im wcześniej zmieciemy ich z mórz, tym lepiej.

Jake przyjrzał mi się z pewnym rozbawieniem.

— Poderżnąłbym gardło każdemu Hiszpanowi, jakiego bym zobaczył... niezależnie od tego, kto by to był.

— Podrzynanie gardeł to zbyt łaskawy rodzaj śmierci w przypadku donów — warknął kapitan Girling.

Zadrzałam o Roberto, który z każdym dniem coraz bardziej upodabniał się do swego ojca.



— Jeśli kiedykolwiek spróbują pojawić się w Anglii... — zaczął kapitan Girling.

Na tę myśl twarz Jake'a zrobiła się fioletowa, a w jego oczach błysnęło podniecenie.

— Cóż to by był za dzień! — zawołał. — Sprowokowaliby swój koniec. Posłuchaj, Girling, jak sądzisz, czy istnieje taka możliwość, że te łobuzy zdobędą się na takie ryzyko i spróbują tu przyplłynąć?

— Kto to może wiedzieć? Objęli w posiadanie ogromne terytoria na całym świecie. Idąc między dzikich, zabierają ze sobą narzędzia tortur i usiłują robić z tubylców papistów.

— Niech oni się tu tylko pojawiają! — krzyknął Jake. — O Boże, niech oni się tu tylko pojawiają! Niech sprowadzą do nas te cholerne narzędzia tortur! Pokażemy im, jak się tego używa.

— Boją się nas... a może szanują. Wolą eksperymentować na dzikusach — ciągnął Girling.

— Przysięgam, zrobię wszystko, by nadal się nas bali. Jeśli spotkam na morzu któryś z ich okrętów, nauczę ich szacunku.

— Dużo gadacie. Obiecujecie, co zrobicie w takim czy innym wypadku — wtrąciłam. — Usłyszałam już, co oni zrobią i jak wy na to zareagujecie. Ale powiedzcie jedno — po co mieliby przyplłynąć do Anglii? Na co mogliby u nas liczyć?

— Na zdrajców — wyjaśnił kapitan Girling. — Musimy strzec się zdrajców.

— Cholernych papistów — dodał Jake. — Zwłaszcza teraz, kiedy ta kobieta znajduje się w pobliżu naszych granic. Wład czyni Szkotów, dawna królowa Francji, mogłaby wyruszyć na Anglię z całą armią, zwłaszcza gdyby mogła liczyć na mieszkających w naszym kraju zdrajców, a na morzu otrzymałaby wsparcie od króla Hiszpanii.

— Wojna?! — zawołałam. — O Boże, tylko nie to!

— Na granicy trwają ciągle potyczki — wyjaśnił Girling.

— Nasza władczyni jest przebiegła. Stara się wprowadzić rozłam w szeregach szkockiej szlachty, a trzeba przyznać, że to kłótniwy narodek. Podobno Elżbieta w każdy możliwy sposób stara się poprzeć małżeństwo szkockiej królowej z lordem Darnleyem, choć udaje, iż jest temu przeciwna. Ten człowiek z pewnością nie przyniesie Marii szczęścia. To zarozumialec, samochwał, rozpustnik i tchórz. Bardzo zależy mu na tym, by zostać małżonkiem królowej Szkocji. Gdyby Maria Stuart była mądra, trzymałaby go z daleka od swojego tronu.

— Podczas mojej nieobecności — wtrąciłam — stosunki łączące Anglię i Szkocję znacznie się skomplikowały.

— Tak jest od chwili, kiedy zmarł mąż Marii, król Francji, a ona sama z dnia na dzień straciła swoją pozycję — wyjaśnił kapitan Girling. — Medyceuszka oświadczyła zdecydowanie, że nie chce widzieć Marii u siebie, a gdzież młoda królowa Szkotów mogła wyjechać, jeżeli nie do swojej ojczyzny?

— Nie zapominajmy — dodał Jake — że ta kobieta ma czelność mienić się królową Anglii. Nasza władczyni, Elżbieta, z pewnością o tym nie zapomina.

— Już tym samym Maria zasłużyła sobie na szafot.

— Królowa Szkotów nie uznaje Elżbiety, ponieważ nasza władczyni jest córką Anny Boleyn, którą katolicy określają mianem nierządnicy. Ich zdaniem nigdy nie była prawowitą małżonką króla Henryka, natomiast Maria Stuart jest legalną potomkinią jego siostry — przypomniałam. Jake rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

— Mówisz jak papistka. — Przymrużył oczy. — Pozwól, że coś ci powiem. Nie chcę mieć pod tym dachem żadnego papisty. Jeżeli znajdę kogoś takiego, sprawię, że będzie tego

gorzko żałował.

Wiedziałam, że ma na myśli Roberto, ponieważ bardzo uważnie obserwował tego chłopca. Choć drżałam o swojego syna, odparłam odważnie:

— Nie mam żadnych religijnych uprzedzeń. To, co powiedziałam, było jedynie stwierdzeniem faktu.

— Nasza królowa Elżbieta ma prawo do tronu, gdyż jest prawowitą córką króla Henryka — wypalił Jake. — Będziemy za nią walczyć. Każdy prawdziwy Anglik oddałby za nią życie — i za utrzymanie papistów z dala od naszego kraju.

Wypiliśmy za zdrowie królowej — zrobiłam to równie gorliwie jak reszta.

Byłam bardzo niespokojna. Obawiałam się, że w naszym kraju już nigdy nie zapanuje spokój, a obecny konflikt będzie trwał wiecznie. Kiedy pomyślałam o cichej determinacji i religijnej żarliwości Felipe oraz ludzi, którymi dowodził, a także potędze hiszpańskich galeonów, bałam się konfrontacji tych dwóch sił.

\* \* \*

Gdy obudziłam się w nocy, Jake poruszył się obok mnie.

— Wiesz, czemu wezwałem Girlinga? — spytał.

— Niewątpliwie chcesz mu oddać dowództwo jednego ze swoich statków.

— Jak myślisz, którego?

— Nie wiem.

— „Nieokiełznanego Lwa”.

— „Nieokiełznanego Lwa”?

— No cóż, stoi beczynnie w porcie.

— Nie wiedziałam, że kiedykolwiek oddawałeś go pod

dowództwo innych.

— Bo też dotychczas nigdy tego nie robiłem.

— To czemu robisz to teraz?

— Musisz pytać? Doszedłem do wniosku, że bardziej niż przygoda pociąga mnie kobieta. Jest tak samo zmienna jak morze. Na Boga, czasami szaleje ze złości, lecz kiedy indziej jest cudownie łagodna — chociaż stara się to ukryć. Czasami stoję u steru, a ona jest spokojna i cicha jak marzenie, lecz nigdy nie mogę być jej pewien.

— Brak ci wyobraźni, by wyrazić to, co czujesz. Na twoim miejscu nawet nie próbowałabym tego robić.

Roześmiał się.

— Wiem o tym. Pozwalam Girlingowi wziąć „Lwa”. To będzie krótki rejs. Gdy Girling wróci, przyjdzie kolej na mnie. Zabrałbym cię ze sobą, Cat. Ciebie i chłopca. Ale on jest za mały, prawda? Kto wie, co może się zdarzyć. I tu jest problem. Jeśli cię zostawię, co noc będzie mi się śnić, że Hiszpanie najeżdżają na wybrzeże. W dzień też nie będzie lepiej. Gdybym zabrał cię ze sobą... Jak mogę zabrać cię ze sobą?

— Będziesz musiał wypłynąć w morze, tak jak robią to inni mężczyźni.

— Ale za to jak ogromna radość zapanuje, gdy wrócę?! Będziesz czekać na mnie na nabrzeżu. Tylko podczas mojej nieobecności nie pozwalam ci na żadne igraszki, kochanie.

— Sądzisz, że wszyscy są tacy jak ty? Ciekawa jestem, na ile igraszek ty sobie pozwolisz podczas tej wyprawy.

— Nie możesz być zazdrosna, Cat. Jestem mężczyzną, który czasem musi się trochę rozerwać. Ale zawsze będzie tylko jedna kobieta, na której naprawdę mi zależy i dla której jestem gotów zrezygnować z wszystkich innych.

— Nie odmawiaj sobie przyjemności — powiedziałam. —

Baw się do woli.

— Nie, byłabyś zazdrosna. Mimo to musimy się rozstać. Jestem żeglarzem. Po raz pierwszy w życiu niemal tego żałuję. Widzisz, jak cię kocham? Darzę cię tak wielką miłością, że pragnąc z tobą zostać, oddaję Girlingowi dowództwo swojego statku.

Milczałam, wzruszona taką deklaracją. Po raz pierwszy pomyślałam o Jake’u z prawdziwą czułością.

\* \* \*

Girling wypłynął. Biedny Jake stał i obserwował statek, póki nie zniknął z pola widzenia — żegnał swoją miłość, swój żaglowiec, swojego „Nieokiełznanego Lwa”.

— Czuję się tak, jakbym zobaczył swoją kobietę z innym mężczyzną — wyznał.

Przez dzień lub dwa był humorzasty i zastanawiał się, czemu pozwolił Girlingowi zająć swoje miejsce. Potem skupił uwagę na innych statkach, które zawijały do portu i wypływały w morze. Lecz liczył się dla niego tylko „Nieokiełznany Lew”.

W wyobraźni sam nim płynął, dlatego studiował mapy i wytyczał kurs. Często mawiał:

— Jeżeli miał dobre wiatry, jeżeli nie został unieruchomiony przez ciszę morską, jeżeli nie natknął się na kogoś, z kim musiał walczyć, powinien być tutaj.

Czasami żałował, że nie jest na statku, a kiedy indziej był wyraźnie zadowolony, iż został w domu. W środku jednej z naszych kłótni powiedział:

— I pomyśleć, że dla takiej jędzy zrezygnowałem z „Lwa”!

Zdarzały się jednak chwile ogromnego zadowolenia.

Zaczynałam cieszyć się życiem. Czyżby ponownie ogarniał mnie spokój tak charakterystyczny przy ciąży? Może tak. Matka dość często przysyłała posłańca z listami.

Szkoda, że jesteś tak daleko — skarżyła się. — Bardzo chciałabym być z Tobą.

Babcia dostarczała mi przepisy, a nawet przyrządzone przez siebie mikstury. Po długiej rozłące, kiedy dzieliła nas ogromna odległość, teraz mogło się wydawać, że jesteśmy bardzo blisko siebie.

Mijały miesiące. Moje dziecko miało się urodzić w lutym. Jake nie posiadał się z radości. Wyobrażał sobie, że będzie miał krzepkich synów. Nadal pogardzał Roberto, a Carlos i Jacko nie przestawali sprawiać mu przyjemności. Z dnia na dzień stawali się coraz bardziej dzicy i nieujarzmieni. Jeździli konno, polowali z Jakiem, a także uczyli się szermierki i strzelania z łuku. Zatrudniłam dla nich nauczyciela, lecz bez przerwy mu uciekali, co serdecznie bawiło Jake'a.

Sam też niegdyś chodził na wagary. Wszystkie ich wybryki, które w jakiś sposób przypominały to, co robił Jake, znajdowały u niego poklask, i chłopcy doskonale o tym wiedzieli. Roberto świetnie się uczył, co bardzo mnie cieszyło — przynajmniej pod tym względem miał przewagę nad tamtą dwójką. Jeśli tylko było to możliwe, trzymałam go z daleka od Jake'a. Czasami udawało mi się tak wszystko poukładać, że nie widywali się całymi tygodniami. Byli z tego bardzo zadowoleni i sami ułatwiali mi zadanie.

— Gdy wróci „Lew”, chłopiec powinien być już na świecie — oświadczył Jake. — Damy mu na imię Lew.

— Nie ma takiego imienia — zaprotestowałam.

— W takim razie będziemy pierwsi.

— Chcesz z góry skazać dziecko na ciągłe drwiny? Przez całe życie będą się z niego śmiać.

— Nie będzie się tym przejmował.

— Zawrzyjmy kompromis, dajmy mu imię twojego ojca — Penn.

Nadeszło Boże Narodzenie. Posłaniec z Abbey przyniósł prezenty i jeszcze milej widziane listy. Honey bardzo chwaliła sobie życie w opactwie. Edwina czuła się dobrze. *Jak tu spokojnie, Catharine* — pisała moja siostra. — *Teneryfa wydaje się już tylko snem.*

Zastanawiałam się, co z Luisem. Czy Honey kiedykolwiek myśli o swoich dwóch zamordowanych mężach — z czego jeden zginął na jej oczach? Ja sama nie mogłam zapomnieć Felipe leżącego w kałuży własnej krwi. Zginął z rąk człowieka, który został moim drugim mężem. Tęskniłam za dobrymi manierami Felipe — czasami łapałam się na tym, że porównuję z nim Jake'a.

W tych okrutnych czasach życie nie miało zbyt dużej wartości. Mężczyźni w rodzaju Jake'a Pennlyona bez specjalnego zastanowienia wyjmowali miecz z pochwy, by wbić go w czyjeś serce. Drżałam na myśl o rzezi, jaka nieuchronnie musiałaby nastąpić, gdyby „Nieokiełznany Lew” natknął się na morzu na hiszpański galeon.

Kiedy skończy się wzajemna nienawiść ludzi? Miałam nadzieję, że nim Roberto dorośnie, będzie już po wszystkim.

Pod koniec stycznia „Nieokiełznany Lew” wrócił do domu. Był to ponury miesiąc. Od wschodu wiał zimny wiatr. Potem nagle zrobiło się ciepło i zaczął padać deszcz. Wszystko zasnuła gęsta mgła, z której całkiem niespodziewanie wyłonił się żaglowiec. Znajdował się niebezpiecznie blisko brzegu, a gęste opary w jakiś niesamowity sposób spowijały jego maszty. Pierwszy dostrzegł go stojący w oknie Jake.

— Na Boga! — zawołał, patrząc na statek.

Odwróciwszy się, zobaczyłam, jak krew odpływa z jego twarzy.

— Co się stało? — spytałam.

— Na Boga! — krzyknął. — Co oni zrobili z „Lwem”?

Potem wybiegł z domu i pędem ruszył w stronę Hoe. Poszłam za nim. Stałam na brzegu i patrzyłam, jak maleńka łódeczka płynie w stronę zniszczonego żaglowca.

To był sądny dzień. Nigdy nie zapomnę wilgotnej mgły i spokojnego niczym kałuża morza. Na delikatnych falach kołysał się ukochany okręt ze złamanym masztem i dziurą w burcie.

Tylko cud sprawił, że „Lew” zdołał dopłynąć do Hoe.

Widziałam ogorzałe, wymizerowane twarze wygłodzonych mężczyzn. Część z nich była ranna.

Niewiele mogłam zrobić. Serdecznie współczułam Jake’owi. Widziałam, że jest potwornie przerażony. Jego ukochanemu statkowi przytrafiło się nieszczęście. Teraz wiedziałam, jak musiał wyglądać, gdy wrócił z rejsu i dowiedział się, że porwali mnie Hiszpanie.

\* \* \*

To była historia stara jak świat. „Nieokiełznany Lew” natknął się na znacznie mocniejszego przeciwnika. Chyba nie trzeba wspominać, iż był to statek hiszpański.

Hiszpanie usiłowali pokonać „Lwa”, na szczęście im się to nie udało. Okręt Jake’a otrzymał niemal śmiertelne rany, lecz sam też mocno dał się przeciwnikowi we znaki. Zdołał wywołać w szeregach nieprzyjaciela takie zamieszanie, że Hiszpanie z trudem odpłynęli, umożliwiając „Lwu” zrobienie tego samego.

Kapitan Girling był ciężko ranny, lecz zmarł dopiero



cztery dni po ataku. Dowodził statkiem z pryczy, którą wyniesiono na pokład. Wiedział, że umiera, lecz koniecznie chciał oddać uszkodzonego „Lwa” w ręce właściciela. Dopiero gdy miał pewność, że mu się to udało, spokojnie oddał ducha.

Jeden z jego marynarzy bez przerwy powtarzał:

— Wyglądało na to, kapitanie Lyon, że za wszelką cenę starał się dożyć tej chwili. Jakby kurczowo trzymał się życia, dopóki nie uznał, że statek bezpiecznie dopłynie do portu.

Jake był spokojniejszy, niż przypuszczałam. Wyobrażałam sobie, że będzie miał do wszystkich potworne pretensje, sam jednak był żeglarzem, rozumiał więc, co się stało.

„Lew” nie przyniósł wstydu ani sobie, ani jemu. Dzielnie stawił czoło silniejszemu przeciwnikowi. Owszem, poniósł straty, lecz sam też wziął niezły odwet. Może nawet zadał cięższe rany — pocieszał się Jake. Z prawdziwą przyjemnością wyobrażał sobie tonących Hiszpanów. Był pewien, że poszli na dno.

Rzucał przekleństwa na hiszpański zagłowiec i jego załogę. Lecz przede wszystkim martwił się o „Lwa”. Został na nim do późnej nocy, próbując sprawdzić, czy wszystko da się naprawić i czy „Lew” będzie nadawał się do żeglugi. Dopiero potem wrócił.

— Pokazał, na co go stać, Cat — oświadczył.

— Zawsze o tym wiedziałem. Każdy inny okręt tej klasy poszedłby na dno, lecz „Lew” przetrwał i za kilka miesięcy z powrotem wypłynął w morze. Osobiście tego dopilnuję.

To rzeczywiście był tragiczny okres. Nazajutrz po powrocie „Lwa” do domu poczułam pierwsze bóle. Było na to za wcześnie. Urodziłam martwe dziecko.

Naszą rozpacz powiększała świadomość, iż był to chłopczyk.

Byłam potwornie chora. Fakt, że straciłam upragnione dziecko, wcale nie przyspieszał powrotu do zdrowia. Przez dwa tygodnie nie było wiadomo, czy przeżyję.

Jake przychodził i siadał na moim łóżku. Biedny Jake! W tym czasie go kochałam. Jego „Nieokiełznany Lew” był właściwie wrakiem, syn, o którym tak bardzo marzył, zmarł, a w jakiś sposób uwielbiana przez niego kobieta walczyła ze śmiercią.

Potem powiedziano mi, że szalał z rozpacz, nawet groził lekarzom, że ich pozabija, jeśli umrę. Swój czas dzielił między statek a siedzenie przy moim łóżku. Dopiero pod koniec drugiego tygodnia — kiedy stało się jasne, że mam szansę na wyzdrowienie, a „Nieokiełznany Lew” będzie pływał — mój mąż nieco się uspokoił.

Często majaczyłam. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Czasami wydawało mi się, że znajduję się w hacjendzie i że wkrótce do mojego pokoju przyjdzie Felipe. Raz widziałam, jak stał nad moim łóżkiem i trzymając w ręce świecę, patrzył na mnie. Kiedy indziej przytulałam do siebie syna, a on nas obserwował.

Pewnej nocy odzyskałam przytomność i zobaczyłam stojącego nad moim łóżkiem Jake’a. Zauważyłam, iż zaciska pięści, i słyszałam, jak mamrocze pod nosem.

— Czemu wołasz właśnie jego? Przestań. Jemu dałaś syna, a mnie nie.

Nagle zaczęłam się bać o Roberto, ponieważ w tym momencie zrozumiałam, jak gwałtowne uczucia miotają Jakim. Wiedziałam, jak zgubny wpływ na jego umysł ma fakt, że urodziłam Felipe syna. Zdawałam sobie również

sprawę, iż ogromna nienawiść do don Felipe i Hiszpanii może skrupić się na moim synu.: Postanowiłam zaapelować do swojego męża.

— Jake — powiedziałam — chyba umrę...

Kłęknął obok łóżka i chwycił mnie za rękę. Pocałował ją żarliwie.

— Będiesz żyła — zapewnił mnie, a jego słowa bardziej przypominały rozkaz. — Będiesz żyła, bo jesteś potrzebna mnie i naszym przyszłym synom.

W jakiś sposób rozumiałam jego uczucia do mnie. Byłam mu potrzebna. Nie wyobrażał sobie życia beze mnie. Przywarł wargami do mojej dłoni.

— Trzymaj się — powiedział. — Wykrzesaj z siebie wszystkie siły. Kochaj mnie, nienawidź, ale zostań ze mną.

Wtedy poczułam, że jestem bezpieczna, lecz kiedy zaczęłam wracać do zdrowia, moje obawy o Roberto wzrosły. Zastanawiałam się, co by się z nim stało, gdybym umarła.

Będąc w takim właśnie nastroju, wezwałam do siebie Manułę.

Od przyjazdu do Anglii Manuela nie rzucała się w oczy. Nawet jeśli tęskniła za Hiszpanią, nigdy tego nie okazywała. Ona i Roberto mieli ze sobą dużo wspólnego, ponieważ w ich żyłach płynęła hiszpańska krew.

Więc gdy jeszcze leżałam w łóżku, wezwałam ją i najpierw kazałam sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje, a potem wskazałam miejsce na pobliskim krześle.

— Manuelo — zaczęłam — powiedz mi, czy jesteś w Anglii szczęśliwa.

— Stała się moim drugim domem — odparła.

— Jesteś dobra dla Roberto. Mój syn ufa ci bardziej niż innym.

— Rozmawiamy po hiszpańsku. Miło jest posługiwać się

ojczystym językiem.

— Gdy byłam chora, dużo o nim myślałam. Jest jeszcze mały, Manuelo, i nie byłby w stanie zatroszczyć się o siebie.

— Kapitan go nienawidzi, señora. Nienawidzi go za to, że jest synem pani i don Felipe.

— Byłam bliska śmierci, Manuelo, lecz kurczowo trzymałam się życia, gdyż poważnie obawiałam się o Roberto.

— Pani życie było w rękach wszechmogącego Boga, señora — poprawiła mnie z wyrzutem.

— Aliści żyję, choć wciąż jestem bardzo słaba. Chcę, żebyś mi coś obiecała. Gdybym umarła, zabierz Roberto i natychmiast opuść ten dom. Zawieź go do mojej matki. Powiesz jej, że prosiłam, by się nim zajęła. Pokocha go, ponieważ jest moim synem.

— A kapitan, seniora?

— Jak wiesz, kapitan nie kocha Roberto.

— Nienawidzi go, ponieważ jest Hiszpanem.

— Brak mu w stosunku do chłopca cierpliwości — lawirowałam. — Roberto w niczym nie przypomina Carlosa ani Jacko.

Wiem, że swego czasu bardzo kochałaś Carlosa. Pamiętam, jak zaczynałaś pracę w pokoju dzieciennym w hacjendzie...

Głos mi się załamał.

— Carlos we wszystkim naśladuje kapitana — powiedziała Manuela gwałtownie. — Krzyczy. Przechwala się, że każdemu Hiszpanowi poderżnie gardło. Poza tym nie wyznaje już wiary swojej matki.

— Teraz jest synem swojego ojca.

Zauważyłam, że w jej oczach zbierają się łyzy złości. Znałam jej szczerze i żarliwe przekonania religijne, wiedziałam, że praktykuje, lecz robi to w ukryciu.

— Roberto — ciągnęła — jest inny. Trzyma się prawdy.

Nigdy nie zapomni, że jego ojcem był hiszpański dżentelmen.

— Kochasz tego chłopca, prawda, Manuelo? Carlos jest w stanie zatroszczyć się o siebie, lecz gdyby cokolwiek mi się stało, zajmij się Roberto.

— Zrobię wszystko, by go chronić — zapewniła mnie energicznie.

Przy tych słowach w jej oczach pojawił się fanatyczny błysk. Wiedziałam, że jest osobą szczerą.

\* \* \*

Obudziwszy się, zobaczyłam siedzącą przy moim łóżku matkę.

— Czy to naprawdę ty? — spytałam.

— Najdroższa Cat! Jake po mnie przysłał. Przybyłam od razu i zostanę, póki nie wrócisz do zdrowia. Babcia przysłała ci mnóstwo medykamentów, a sama wiesz, że jej metody zawsze są skuteczne.

Chwyciłam mamę za rękę i nie puszczałam jej. Chciałam mieć całkowitą pewność, że to nie sen.

Po jej przybyciu wyraźnie zaczęłam odzyskiwać siły. Czułam, że kiedy ona się o mnie troszczy, muszę wyzdrowieć. Zawsze miałam takie wrażenie, ilekroć kurowała moje dziecięce dolegliwości. Zazwyczaj mawiała: „Wszystko będzie w porządku. Mama jest przy tobie”. A ja obecnie wierzyłam w to tak samo jak niegdyś.

Ona i moja babcia uszyły wyprawkę dla mojego dziecka.

— Będzie jak znalazł dla następnego — powiedziała.

Wówczas poczułam przypływ optymizmu. Następne dziecko! — pomyślałam. Oczywiście. Spotkało mnie

nieszczęście, które często dotyka kobiety w okresie płodności. Mam syna. Będzie następny.

Matka wniosła do naszego domu jakiś dziwny spokój. Lubiłam słuchać, jak rozmawia ze służbą.

Powiedziałam jej o swojej rozmowie z Manuela.

— Droga Cat — uspokajała mnie matka. — Nie masz się o co martwić. Gdyby naprawdę spotkało nas to potworne nieszczęście, sama bym tu przyjechała i zabrała Roberto ze sobą.

Lecz przy bożej pomocy jego matka będzie długo żyła i zdąży zobaczyć, jak jej syn wyrasta na mężczyznę.

Zapytała mnie poważnie, czy jestem szczęśliwa w małżeństwie, lecz nie wiedziałam, jak powiedzieć jej prawdę.

— Wątpię, czy kiedykolwiek istniało małżeństwo podobne do naszego — odparłam.

— Słyszałam, że Jake wysłał swój okręt pod dowództwem innego człowieka, ponieważ nie chciał się z tobą rozstać.

Roześmiałam się.

— Najdroższa mamusiu, nie próbuj się zastanawiać, jak wygląda moje małżeństwo. Coś takiego nigdy by się nie przytrafiło osobie tak łagodnej jak ty. Jest we mnie coś dzikiego, dzięki czemu świetnie do siebie pasujemy. Mimo to nie brakuje w nas nienawiści.

— Ale kochacie się nawzajem?

— Nie nazwałabym tego miłością. Chciał mieć synów.

Mnie wybrał na ich matkę. Teraz go zawiodłam... i to w czasie, kiedy o mały włos byłby stracił swój żaglowiec! W głębi duszy żał mi Jake'a, choć samą mnie to dziwi. Mamusiu, wcale nie musisz się tak niepokoić. I tak nie zdołasz nas zrozumieć. Jesteś na to za łagodna, za miła.

— Moja droga córuchno, mam już trochę lat, lecz zawsze odnosiłam wrażenie, że życie i miłość potrafią być bardzo

dziwne.

— Jednakowoż teraz masz Roberta i wszystko, o czym marzyłaś.

— Niemniej mogłam wyjść za niego wiele lat temu. Nie zrobiłam tego. Widzisz, nic nie jest takie proste.

— Często myślę o tym, jak cudowne byłoby moje życie — wyznałam — gdybym mogła wyjść za mąż za Careya.

Trochę ją to zniecierpliwiło.

— Łudzisz się nadzieją — powiedziała. — To przeszłość. Masz już jedno dziecko i będziesz miała następne. Jesteś żoną Jake'a, mimo to nadal rozdrapujesz stare rany. Kochasz swojego męża. Doskonale wiesz, że to prawda. Przestań wracać do przeszłości. Kochałaś swojego Hiszpana, a teraz kochasz Jake'a. Spójrz prawdzie w oczy, Cat.

Czyżby moja mądra matka miała rację?

\* \* \*

Jake przyszedł i usiadł obok mnie.

— Wkrótce będziesz zdrowa — oświadczył — zwłaszcza że teraz masz najlepszą opiekę.

— Dziękuję, że ją tu ściągnąłeś.

— Skoro jest tu teraz twoja matka, postanowiłem na jakiś czas wyjechać. Dużo myślałem o rodzinie Girlinga.

— Miał jakąś rodzinę?

— Niedawno zmarła mu żona — chyba na poty — więc jego dzieci mogą być w potrzebie. Dobrze mi służył. Nie mogę go zawieść.

— Musisz dopilnować, by niczego im nie brakowało — potwierdziłam.

— Jestem tego samego zdania. Jadę do St. Austell. Mam zamiar osobiście się przekonać, co tam się dzieje. Zostawiam

cię w dobrych rękach.

Nazajutrz wyjechał.

Bez niego w domu zapanował spokój. Mogłam już wstawać. Często siadywałam w oknie i wyglądałam na Hoe. Widziałam stojącego w porcie „Nieokiełznanego Lwa”. Kipiała na nim praca. Naprawiano ożaglowanie i olinowanie. Pływającymi tam i z powrotem maleńkimi łódeczkami kursowali cieśle okrętowi. Mieli mnóstwo roboty przy naprawianiu zniszczonego poszycia.

Byłam ciekawa, jak szybko żaglowiec ponownie będzie zdalny do żeglugi. Wiedziałam, że gdy to nastąpi, Jake wypłynie w morze.

Piłam rosół przygotowany przez matkę, zażywałam medykamenty babci i już wkrótce mogłam po raz pierwszy odbyć spacer na świeżym powietrzu. Był koniec kwietnia i właśnie kwitły żonkile. Matka, która zawsze uwielbiała kwiaty i nosiła imię zapożyczone od róży damasceńskiej, zbierała je, układała we flakonach i wstawiała do mojej sypialni. Spacerowałyśmy aleją, nad którą splotały się gałęzie drzew, pokryte na razie pączkami i maleńkimi Usteczkami, dzięki czemu prześwitywało przez nie słońce. Siadałyśmy w ogrodzie nad stawem i ucinałyśmy sobie miłe pogawędki. To właśnie przy takiej okazji matka przekazała mi wiadomość, która musiała bardzo leżeć jej na sercu. Zdałam sobie sprawę, że czekała na chwilę, kiedy będę wystarczająco mocna i zdołam to znieść.

Usiadłyśmy w pobliżu stawu.

— Cat — zaczęła — muszę ci coś powiedzieć. Spróbuj być dzielna. Postaraj się zrozumieć. Zależy mi na tym, żebyś o tym wiedziała.

— Co się stało, mamusiu?

— Chodzi o Honey — wyjaśniła..



— Honey? Jest chora?

— Nie. Kochasz ją, prawda, Cat?

— Dobrze wiesz, że tak. Jest dla mnie niczym siostra.

— Zawsze chciałam, żeby tak właśnie było.

Wiedziałam, że nawet teraz odwleka tę chwilę.

— Proszę, powiedz szybko, o co chodzi — błagałam. —

Co stało się Honey?

— Ponownie wyszła za mąż.

— Co w tym dziwnego? Jest taka piękna. Wielu mężczyzn chciałoby ją poślubić. To dobra wiadomość, czyż nie? Czemu Honey nie miałyby wyjść za mąż?

Matka ponownie zamilkła. Zdumiona odwróciłam się w jej stronę.

Odniosłam wrażenie, że zbiera siły. W końcu powiedziała:

— Honey wyszła za Careya.

Spojrzałam na zieloną trawę i odbijające się od powierzchni stawu promienie słońca. Wyobraziłam sobie ich razem. Piękną Honey i Careya, mojego Careya... Dlaczego ogarnęła mnie nagle złość? Nie mogłam zostać jego żoną i było nieuniknione, że pewnego dnia postanowi dzielić z kimś życie. Czyż sama nie zrobiłam tego samego... nawet dwukrotnie? A jeśli miał już się ożenić, czemu jego żoną nie miałyby zostać Honey, która od dawna go kochała?

Matka sięgnęła po moją dłoń i gorąco ją ścisnęła.

— Prosiłam Manuele, by przyprowadziła do nas Roberto — wyjaśniła. — Chyba właśnie nadchodzą.

Wiedziałam, co próbuje mi powiedzieć: „Masz syna. Skończ z nierealnymi marzeniami. To przeszłość. Zaczynij żyć chwilą obecną. Przed tobą cała przyszłość”.

Pojawiła się Manuela, prowadząc za rękę Roberto. Kiedy mnie zobaczył, ruszył pędem w moją stronę.

— Madre! Madre! — wołał.

Zdałam sobie sprawę, że gdy leżałam chora i nie wpuszczano go do mnie, bardzo cierpiał.

— Jestem już zdrowa, Roberto — powiedziałam. — Bardzo się za tobą stęskniłam.

Jego obecność dodała mi otuchy.

\* \* \*

Matka mówiła o wszystkim, pomijała tylko temat małżeństwa Honey, lecz ja nie mogłam o tym zapomnieć. Wyobrażałam ich sobie na zamku w Remus, śmiejących się radośnie, rozmawiających o dawnych czasach, kochających się. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek mnie wspominają. A jeśli tak, jak czuje się w takich chwilach Careya.

Honey była piękna i miła. Jej uroda tchnęła jakimś dziwnym spokojem, co, moim zdaniem, jeszcze bardziej przykuwało do niej uwagę mężczyzn. Nie miała w sobie nic z dzikiego kota, łatwo się przystosowywała. Była dobrą żoną dla Edwarda, chociaż kochała Careya. Potem mogło się wydawać, że całkiem zapomniała o Edwardzie i poświęciła się Luisowi. Teraz, u boku Careya, na pewno zapomni o obu byłych mężach. Poza tym wyznała mi, że zawsze kochała Careya.

Matka opowiadała, co działo się w domu. Dowiedziałam się, że jej bracia przyrodni, bliźniacy, marzą o wypłynięciu w morze, a babcia próbuje odwieść ich od tego zamiaru. Wysłuchiwałam też opowieści o kwiatkach uprawianych przez babcie i rozlicznych butelkach z ziołami zajmujących mnóstwo półek w spiżarni.

— Babcia zaczyna zamieniać spiżarnię w aptekę, do której ludzie przychodzą po leki.

Matka była teraz nieco spokojniejsza, jako że nie groziło

nam powstanie katolików. Małżeństwo królowej Szkotów z lordem Darnleyem działało na korzyść Anglii. Młody małżonek był tak władczy, aroganckim i rozwiązłym człowiekiem, że wywoływał za naszymi granicami mnóstwo waśni.

— Lepiej, że się kłócą między sobą, bo wtedy nie mają czasu na wojnę z nami — mówiła matka. — Tak przynajmniej brzmi opinia ogółu.

Wrzawa u naszych północnych sąsiadów znacznie wzrosła po szokującym morderstwie sekretarza szkockiej królowej dokonanym podczas kolacji.

Matka zadrżała.

— Ludzie nie mówią o niczym innym. Maria jest brzemienna. Jadła kolację w Holyrood w wąskim gronie, kiedy wdarli się tam szkoccy panowie i odciągnęli owego młodziana od stołu. Podobno biedny chłopiec kurczowo trzymał się spódnicy królowej i błagał o ratunek. Cóż to za ciężka próba dla kobiety w szóstym miesiącu ciąży! Mówiono, że sekretarz Rizzio był jej kochankiem. To wydaje się całkiem niemożliwe. Biedna kobieta! Widzisz, Cat, ona jest mniej więcej w twoim wieku.

— Może powinnyśmy się cieszyć, że w naszych żyłach nie płynie królewska krew.

— Na każdego czyha wystarczająco duża ilość niebezpieczeństw — powiedziała matka poważnie — niezależnie od tego, czy pochodzi z rodziny królewskiej, czy nie. Wygląda jednak na to, że dzięki konfliktowi w Szkocji napięcie trochę opadło. Nasza dobra królowa Elżbieta jest bardzo rozważna i otacza się wielkimi mężami stanu. Potrzebny nam mądry monarcha. Oczywiście, nie należy zapominać o istnieniu konfliktu religijnego. Powiada się, iż Elżbieta jest protestantką, ponieważ nie ma innej możliwości,

a wybór wiary podyktowany został względami praktycznymi. Lecz muszę szepnąć ci coś na ucho, Cat. Trzeba uważać, co się mówi. Jesteśmy zadowoleni z naszej władczyni, lecz dopóki żyje królowa Szkotów, dopóty grozi nam niebezpieczeństwo. Nikt nie powinien cieszyć się z kłopotów innych, aliści wygląda na to, że im więcej nieszczęść zdarza się na szkockim dworze, tym możemy być spokojniejsi.

Był piękny majowy dzień. Drzewa owocowe tonęły w kwiatach, w żywopłotach pełno było dzikiej pietruszki i gwiazdnicy, a ze wszystkich stron dobiegał radosny śpiew ptaków. Wspaniały okres, kiedy natura budzi się do życia, rozlega się pieśń dziękczynna zięb, kosów, jerzyków i jaskółek.

W tym właśnie czasie Jake przywiózł do domu Romilly Girling. Miała dwanaście lat i była małym, smutnym, wyjątkowo chudym dzieckiem o ogromnych zielonych oczach i maleńkiej bladej twarzy.

Dotarli późnym wieczorem. Przebyli długą drogę z St. Austell. Gdy weszli do sali paradnej, dziewczynka niemal spała.

— To Romilly — powiedział Jake. — Córka kapitana Girlinga. Zostanie z nami. Teraz tu jest jej dom.

Natychmiast zrozumiałam. Dziewczyna straciła oboje rodziców. Nie miała domu. Byłam zadowolona, że Jake przywiózł ją ze sobą. Rozkazałam, by przygotowano dla niej komnatę, po czym dałam jej ciepłe jedzenie i wysłałam do łóżka.

— Prawie nic tam nie zostało — wyjaśnił mi Jake. — Dwójka dzieci... ona i jej brat... Byli w domu sami. Służba odeszła. Maluchy przymierały głodem. Daleki kuzyn kapitana wziął chłopca. Jedyne, co mogłem zrobić, to przywieźć ją tutaj. Jej ojciec dobrze mi służył.

— Zajmiemy się nią — powiedziałam ciepło.

Cudownie było obserwować, jak dziewczynka reaguje na dobre jedzenie i lepsze warunki życia. Trochę się zaokrągliła, wciąż jednak wyglądała jak sierota — była cicha, filigranową, przypominającą elfa istotką. Miała piękne, ogromne, zielone oczy, które natychmiast zwracały na siebie uwagę. Całości dopełniały ciemne, gęste, proste włosy i odcień od nich ciemniejsze krótkie, grube rzęsy.

W czerwcu matka oświadczyła, że musi wracać. Rupert był najcierpliwszym z mężów, lecz niewątpliwie za nią tęsknił. Pożegnaliśmy się, wcześniej jednak tak długo, jak mogłam, towarzyszyłam na koniu grupce, z którą matka wybrała się w pierwszy etap długiej podróży do domu.

W sierpniu „Nieokiełznany Lew” był gotów do drogi. Jake i tak zbyt długo pozostawał na lądzie. W tym czasie dotarła do nas wiadomość, że królowa Szkotów w czerwcu urodziła syna. Dano mu na imię Jakub. Ludzie powiadali, że chłopiec ów ma prawo do angielskiego tronu.

— Ci cholerni Hiszpanie — powiedział Jake — chętnie posadziliby jego matkę na naszym tronie. Wiesz, co by to oznaczało.

W niedługim czasie mielibyśmy tu papistów. Nim zdążylibyśmy się zorientować, na Smithfield zapłonęłyby stosy. Trzeba ich zmieść z powierzchni mórz, dlatego angielscy żeglarze muszą pokazać Donom, kto tu rządzi.

Wiedziałam, co to oznacza. Tęsknił za ponownym wypłynięciem w morze, lecz tym razem miał zamiar osobiście dowodzić „Nieokiełznanym Lwem”.

Znowu byłam w ciąży.

We wrześniu tegoż roku Jake wypłynął w morze.

## *Narodziny chłopca*

Kilka tygodni po wypłynięciu Jake'a w morze dokonałam niemiłego odkrycia. Nie mogłam znaleźć Roberto. Spytałam chłopców, gdzie on jest, lecz nie potrafili mi powiedzieć. Nie przejmowałam się tym zbytnio, aliści kilka dni później mój syn znowu zniknął.

Wiedząc, jak bliskie kontakty łączą go z Manuella, postanowiłam spytać ją, czy wie, gdzie on się podziewa, w związku z tym poszłam do pokoju, który dzieliła z innymi służącymi. Nie zastałam jej, lecz jedna z pozostałych dziewcząt powiedziała, iż widziała Manuellę idącą w stronę wieżyczki.

Wspinając się po spiralnych schodach prowadzących do pomieszczeń, których właściwie nikt nie używał, usłyszałam jakieś dziwne pomruki.

Po otwarciu drzwi natychmiast się zorientowałam, co się dzieje. Po obu stronach prowizorycznego ołtarzyka płonęły świece, a Manuela i Roberto klęczeli.

Poderwali się na równe nogi. Manuela obronnym gestem przytuliła Roberto do siebie.

— Manuelo! — krzyknęłam. — Co ty wyrabiasz?!

Jej oliwkowa skóra pociemniała, a w oczach pojawił się buntowniczy błysk.

— Do mnie należy opieka nad Roberto — wyjaśniła.

Przestraszyłam się. Zdałam sobie sprawę, że Manuela zapoznaje mojego syna z zasadami katolicyzmu, którego była wyznawczynią i który wyznawał także ojciec Roberto. Gdybyśmy zostali na Teneryfie, mój syn z pewnością wychowałby się w tej właśnie wierze, lecz Wyspy Kanaryjskie były daleko stąd. Wiedziałam, co by się stało,

gdyby Jake odkrył, że pod jego dachem żyją ludzie, których określał mianem papistów.

— Manuelo — powiedziałam — nigdy nie interesowały mnie twoje przekonania. Jeśli chodzi o ciebie, możesz robić, co chcesz, aczkolwiek powinnaś zachować daleko idącą ostrożność, by nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Doskonale wiesz, że zawsze byłam zwolenniczką tolerancji. Chciałabym, aby wszyscy ludzie mieli podobne zapatrywania. Wiem, iż jesteś osobą głęboko wierzącą, Manuelo, lecz jeśli chcesz praktykować, rób to sama i w odosobnieniu. Natomiast zostaw w spokoju moje go syna. Roberto musi wyznawać wiarę obowiązującą w tym domu, wiarę, z którą nauczyciel zapoznaje i jego, i pozostałe dzieci.

— Prosiła mnie pani, żebym się nim zaopiekowała, zajęła się nim i chroniła. Proszę nie zapominać, że najważniejsza jest dusza.

Roberto sprawiał wrażenie przestraszonego.

— Tak, synku — przyznałam. — Kiedy myślałam, że umrę, prosiłam Manuele, by zawiozła cię do babci, ponieważ ona na pewno by się tobą zajęła. Lecz wyzdrowiałam i wcale nie mam zamiaru umierać. Teraz sama będę się o ciebie troszczyć.

Podeszłam do ołtarza i zdmuchnęłam świece. Manuela stała w pewnej odległości ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Chcę wyznawać wiarę swojego ojca — oświadczył Roberto.

Ile Manuela zdążyła powiedzieć mu o Felipe — tym uprzejmym dżentelmenie, który nawet teraz tak często pojawiał się w moich myślach? Zauważyłam, że mówiąc o ojcu, Roberto zdecydowanie zacisnął szczękę. Nigdy nie zaakceptuje w tej roli Jake'a. Nienawidzi go. Istniała między nimi ogromna niechęć. Co zrobiłby Jake, gdyby odkrył, iż ma

pod swoim dachem katolika?

O Boże — pomyślałam. Czy nie ma ucieczki przed nietolerancją?

Wiedziałam tylko jedno — że muszę położyć kres tym ukradkowym praktykom. Po powrocie Jake'a Roberto będzie musiał razem z nami chodzić do kościoła, jak przystało protestanckiemu poddanemu protestanckiej królowej.

— Pozbieraj to, Manuelo — rozkazałam. — Musisz z tym skończyć. Nie jesteś już w Hiszpanii. Kapitan Pennlyon wyrzuci cię z domu, jeśli odkryje, co robisz.

Milczała.

— Chodź ze mną — powiedziałam, biorąc Roberto za rękę, po czym odwróciłam się do Manueli: — Postaraj się nie zostawić tu ani śladu. Nigdy więcej nie próbuj tego robić.

Zabrałam Roberto do swojej sypialni i próbowałam przemówić mu do rozsądku. Wyjaśniłam mu, na jak ogromne niebezpieczeństwo się narażał.

— Jestem Hiszpanem — oświadczył dumnie. W tym momencie bardzo przypominał swego ojca. — Anglia nie jest moją ojczyzną.

Wzięłam go w ramiona i mocno do siebie przytuliłam. Chciałam mu powiedzieć, że musimy być wobec siebie tolerancyjni. Musimy być prawdziwymi chrześcijanami — to znaczy kochać swoich bliźnich. Powtórzyłam to, co mawiała moja matka:

— Wystarczy być dobrym i miłym. Wystarczy kochać swoich sąsiadów. To właśnie czyni z nas prawdziwych chrześcijan.

Słuchał uważnie. Miałam nadzieję, że udało mi się trafić mu do przekonania.



W jakiś czas później poroniłam. Jake od pięciu miesięcy był na morzu. Od czasu odkrycia modlących się Roberto i Manueli dręczył mnie ogromny niepokój, nie sądzę jednak, by miało to coś wspólnego z faktem, że straciłam dziecko.

Zastanawiałam się, co się ze mną dzieje. Dlaczego obdarzyłam Felipe synem, a nie mogłam dać tego samego Jake'owi?

Staralam się zapomnieć o doznanym zawodzie i obawach dotyczących Roberto, całkowicie poświęcając się dzieciom. Odnosiłam wrażenie, że gdy nie ma Jake'a, chłopcy zachowują się nieco inaczej. Carlos i Jacko przestali tak bardzo się puszyć, a Roberto wykazywał nieco więcej odwagi. Zatrudniony przeze mnie nauczyciel, pan Merrimet, chętnie wykonywał swoje obowiązki, ponadto potrafił robić to na wesoło. Byłam zadowolona, że polubił Roberto.

Do Trewynd przyjechał kuzyn Edwarda, Aubrey Ennis. Miał zająć się posiadłością. Cieszyłam się, że on i jego żona, Alice, są naszymi sąsiadami. To od nich dowiedziałam się, iż Honey urodziła syna.

Często odwiedzaliśmy się nawzajem. Oczywiście, sporo rozmawialiśmy o wydarzeniach politycznych. Najbardziej sensacyjne z nich rozgrywały się w Szkocji.

Mąż królowej, Darnley, zginął w Kirk O'Fields. Niewątpliwie został zamordowany, a zdaniem niektórych zrobił to kochanek Marii, hrabia Bothwell. Sugerowano, że królowa Szkotów sama w jakiś sposób przyłożyła do tego rękę. Z północy wciąż napływały nowe wieści. Maria Stuart poślubiła Bothwella, mordercę swojego męża, tym samym przyznając się do winy. Tak dużo działo się wokół nas, a tak mało zmieniało się w naszym domostwie. Czułam się

całkowicie zamknięta w swoim małym kręgu, w którym właściwie liczyły się tylko dzieci, jako że traktowałam Carlosa i Jacko jak własnych synów.

Roberto rósł, choć nie miał tak wspaniałej postury jak pozostała dwójka. Coraz bardziej upodabniał się do Felipe i z taką samą łatwością mówił po hiszpańsku jak po angielsku. To mnie trochę niepokoiło, zwłaszcza że dużo czasu spędzał z Manułą. Czy wzięli pod uwagę moje ostrzeżenie?

Chyba trochę przymykałam oczy. Nie chciałam, by Roberto zwrócił się przeciwko mnie. Przypuszczałam, że często myśli o ojcu i o tym, jak mogło wyglądać nasze życie. Zastanawiałam się, czy Manuela powiedziała chłopcu, że Jake zabił jego ojca.

Tak, byłam winna. Chciałam zapomnieć o przeszłości. Nie zależało mi na wpatrywaniu się w przyszłość. Starłam się bardziej zainteresować Roberto zajęciami na świeżym powietrzu. Carlos celował w strzelaniu z łuku. Bardzo go to cieszyło i z ogromną niecierpliwością czekał, kiedy będzie mógł zaprezentować swoje umiejętności Jake'owi. Mając do dyspozycji prawie dwumetrowy łuk i półmetrową strzałę, trafiał do celu z niemal pięćdziesięciu metrów, co było wyjątkowym wyczynem jak na chłopca w tym wieku. W Pennlyon był kort tenisowy i obaj chłopcy całkiem nieźle grali. Ponadto rzucali młotem i uwielbiali zapasy. Często przyjeżdżali do nas ludzie z drugiej strony Tamar, by z nimi walczyć, jako że Kornwalijszczyki byli najlepszymi zapasnikami w Anglii.

Często słyszałam padające z ust chłopców słowa: „Gdy kapitan wróci do domu, pokażę mu to czy tamto. Gdy tylko kapitan wróci do domu...” Widziałam, że na wspomnienie o powrocie Jake'a na twarzy Roberto pojawia się cień.

Aubrey i Alice Ennisowie nie mieli dzieci. Powiedzieli mi,

że gdy Edwina ukończy osiemnaście lat, przyjedzie do Trewynd. Jest jedyną córką Edwarda, dlatego Grange będzie należało do niej.

— Wątpię — powiedziałam — by chciała przyjechać do De — von, porzucając ekscytujące życie u boku matki i ojczyma, który często bywa na dworze.

— Będziemy musieli poczekać. Wtedy się przekonamy — brzmiała odpowiedź.

Tymczasem mijały miesiące. Dotarły do nas nowe wieści ze Szkocji. Maria i Bothwell próbowali w Carberry Hill bronić się przed szkockimi możnowładcami, w końcu Bothwell uciekł, a Maria została ujęta. Wtrącono ją do więzienia w Lochleven, gdzie, jak słyszeliśmy, zmuszono ją do abdykacji. Jej syna uznano za króla Szkocji, Jakuba VI, a regentem owego nieszczęsnego kraju został Jakub Stuart, hrabia Moray.

— To sytuacja bardzo korzystna dla Anglii — oświadczył Aubrey Ennis podczas wspólnej kolacji. — Teraz ze strony Szkocji nic nam nie grozi.

\* \* \*

Pewnego popołudnia towarzyszyłam chłopcom oraz panu Merrimetowi i Romilly Girling podczas lekcji, gdy nagle Carlos zerknął w okno i wydał pełen podniecenia krzyk.

— To „Lew”! — zawołał.

Wszyscy natychmiast znaleźliśmy się przy oknie. Rzeczywiście daleko na morzu widać było żagle.

— Możemy się mylić — oświadczyłam.

— Nie! — krzyknął Carlos. — To „Lew”.

On i Jacko podskakiwali jak szaleni, obejmując się nawzajem. Dostrzegłam strach w oczach Roberto i to mnie

zmartwiło. Ujęłam jego rękę.

Nie było wątpliwości, „Nieokielznany Lew” wracał do domu. Tym razem był cały. Kołysał się dumnie na spokojnych falach, czekając na wiatr.

Powędrowałam do kuchni i wydałam odpowiednie polecenia. Kazałam przygotować wołowinę, mięso jagnięce, kapłony i kuropatwy. Zleciłam upieczenie kilku ciast. Chciałam urządzić bankiet, jakiego nie było od dwóch lat. Gospodarz wrócił do domu.

Przez całe popołudnie statek znajdował się w zasięgu wzroku. Dopiero o zmierzchu wpłynął do portu.

Czekałam na nabrzeżu. Obserwowałam, jak Jake płynie łódką. Był wyższy, niż pamiętałam. Miał ogorzałą twarz i oczy bardziej niebieskie niż zwykle.

Wyskoczył z łódki i objął mnie. Śmiałam się. Tak, naprawdę się cieszyłam, że bezpiecznie wrócił do domu. Carlos i Jacko skakali wokół nas.

— Kapitan jest w domu — śpiewał Carlos.

Jake odwrócił się do nich i poklepał ich po plecach.

— O Boże, jak oni urosli!

Rozejrzał się dookoła. Powinien go witać jeszcze jeden chłopiec. Syn, który był w drodze, gdy Jake wypływał w rejs.

Nic nie powiedziałam. Nie chciałam psuć pierwszych wspólnych minut.

— A więc cieszysz się, że mnie widzisz? Tęskniłaś za mną?

— Zaczynaliśmy odnosić wrażenie, że długo cię nie ma. Bez wątpienia miałaś dobrą podróż.

— Dużo podczas niej zarobiłem. Wszystkiego się dowiesz, ale w odpowiednim czasie. Pozwól, że ci się przyjrzę, Cat. Myślałem o tobie... w dzień i w nocy.

Byłam zadowolona, choć odczuwałam dawną potrzebę

walki. Miałam wrażenie, że wracam do życia. Bez wątpienia za nim tęskniłam.

Carlos podskakiwał.

— Kapitanie, miał pan dobrą podróż? Ilu Hiszpanów pan zabił?

— Zbyt wielu, by ich zliczyć, chłopcze.

— Wystarczy tego zabijania — wtrąciłam. — Kapitan wrócił do domu. Na pewno będzie chciał usłyszeć, co się u nas wydarzyło.

Uściskał moje ramię.

— Zaiste — powiedział. — Chcę pobyć z żoną. Chcę dowiedzieć się, co u was słycać.

Spojrzał na dom. Zauważyłam, że jest wzruszony. To chyba całkiem naturalne po dwuletniej nieobecności.

— Przypuszczam — powiedziałam — że jedną z najbardziej ekscytujących rzeczy związanych z pływaniem po morzach jest powrót do domu.

— Do domu — powtórzył. — Tak, do domu.

Wiedziałam, że ma na myśli mnie.

\* \* \*

Jake był człowiekiem, który w naszym związku najbardziej sobie cenił fizyczną satysfakcję. Ruszył więc prosto do sypialni, przez cały czas mocno mnie trzymając, jakby się bał, że spróbuje mu uciec.

— Cat — powiedział. — Wciąż ta sama Cat. Tak bardzo cię pragnąłem, że niewiele brakowało, a skierowałbym „Lwa” w przeciwną stronę i wrócił do ciebie.

Byłam ciekawa, ile kobiet musiało zaspokajać jego pragnienie, lecz nie spytałam o to.

W domu rozchodziły się wspaniałe aromaty — pachniało

piekącym się chlebem, ciastami i smażonym mięsem. Wiedziałam, że Jake będzie złakniony takich potraw. Podczas długiego rejsu nie mógł marzyć o frykasach.

— A gdzie jest chłopiec? — spytał. — Chcę zobaczyć swojego syna.

Wpatrywał się we mnie z natężeniem, ponieważ dostrzegł na mojej twarzy smutek.

— Nie ma żadnego chłopca — odparłam. — Poroniłam.

— Dobry Boże, znowu?

Milczałam. Był bardzo zawiedziony. Odwrócił się do mnie:

— Jak to możliwe, że temu francowatemu Hiszpańcowi urodziłaś chłopca, a mnie nie?

Nadal się nie odzywałam. Potrząsnął mną.

— Co się stało? Nie uważałaś. Byłaś głupia... nieostrożna...

— Wcale nie. To po prostu się stało. Bez powodu.

Zagryzł wargi i ściągnął brwi.

— Czy już nie doczekam się syna?

— Nie wątpię, że masz ich mnóstwo, jedynie są porzrucani po całym świecie — wybuchnęłam. — Dwóch z nich mieszka nawet pod tym dachem.

Spojrzał na mnie, a jego złość wyraźnie zniknęła..

— Cat, jak ja się za tobą stęskniłem!

Nagle zrobiło mi się go żal, więc powiedziałam z czułością, jakiej nigdy wcześniej mu nie okazywałam:

— Będziemy mieli synów. Na pewno będziemy mieli synów.

Poweselał. Przypomnił sobie, że nie było go w domu od dwóch lat.

W ogromnej jadalni suto pozastawiane stoły uginały się od jadła. Siedzieliśmy jak podczas bankietu. Przy stole

znajdującym się na podwyższeniu usiadłam ja, Jake i dzieci — Roberto z mojej lewej strony, Carlos na prawo od Jake'a, a nieco dalej Jacko. Obok Roberto siedziała Romilly. Jake powiedział, że dziewczyna należy do rodziny. W ciągu minionych dwóch lat bardzo wyciągnęło ją w górę, aliści zachowała swoją smukłość. Dzięki cudownym zielonym oczom była bardzo atrakcyjna.

Jake przywitał się z nią serdecznie i spytał, jak jej się wiedzie. Dygnęła i spojrzała na niego z wyrazem szacunku i podziwu w oczach. Jako córka Girlinga niewątpliwie słyszała sporo o niezwykłych przygodach kapitana Jake'a Pennlyona.

Służba usiadła przy długim stole. Ku uciechu wszystkich było mnóstwo jadła i napitków.

\* \* \*

Pan Merrimet skarżył się, że od powrotu Jake'a trudno zapędzić Carlosa i Jacko do nauki. Często natomiast chodziła do niego na lekcje i pomagała mu Romilly. Ponieważ wyrosła na cichą, atrakcyjną młodą dziewczynę, uznałam, że stanowią dobraną parę. Musiała mieć już prawie piętnaście lat i wcześniej czy później trzeba będzie poszukać jej męża.

Roberto uczył się pilniej niż poprzednio. Podejrzewam, że chciał wypaść dobrze w tym, w czym był najlepszy, poza tym miałam świadomość, że mój syn żyje w ciągłym strachu przed Jakiem.

Ileokroć przyjeżdżali do nas Ennisowie, dużo mówiło się o polityce, która niemal w całości skupiała się na królowej Szkotów. Teraz przebywała w Anglii, ponieważ udało jej się uciec z Lochleven, gdzie była więziona. Podobno nieroztropnie przekroczyła granicę, pragnąc uciec przed szkockimi możnowładcami, i tym samym wpadła w ręce

Elżbiety.

— Teraz jest więźniem naszej królowej — powiedział Jake z wyraźnym zadowoleniem. — Elżbieta już się nią zajmie.

Wszelako wyglądało na to, że Maria jest tak samo niebezpieczna, znajdując się w Anglii, jak wówczas, gdy przebywała na terenie Szkocji. Znaleziono koszyk, w którym podobno ukryte były jej listy do Bothwella. Zdaniem pewnych osób zostały one sfalszowane, lecz jeśli naprawdę napisała je Maria Stuart, to oznaczałoby, że stała się przestępczynią, cudzołożnicą i morderczynią.

Przy stole wytaczano argumenty dotyczące autentyczności tychże listów. Trochę mnie to niepokoiło. Aubrey Ennis wykazywał dużą ostrożność, lecz Alice zażarcie twierdziła, że są fałszywe. Jake, który każdego papistę uważał za przestępcę, był pewien, iż Maria osobiście napisała te epistoły. Ponadto obstawał przy tym, że będąc żoną Darnleya, dopuściła się cudzołóstwa, a potem maczała palce w morderstwie.

— Jest wrogiem naszego kraju i królowej — oświadczył.  
— Im wcześniej zostanie pozbawiona głowy, tym lepiej.

Zazwyczaj w takich sytuacjach próbowałam zmienić temat. Słyszałam, że w kraju zaprezentowana została nowa dziwna gra. Nazwano ją loterią.

— Ludzie wybierają numer! — zawołał Ennis. — Tak przynajmniej słyszałem. Jeżeli trafią na szczęśliwy, otrzymują nagrodę.

— Powiadają — dodałam — że sprzedaż kuponów trwała nieprzerwanie w dzień i w noc od stycznia do maja.

— Żeby nagroda warta była zachodu, w zabawie musi wziąć udział ogromna liczba ludzi.

— Loteria... — powiedziałam. — Tak bardzo chciałabym zobaczyć jej uczestników u drzwi Świętego Pawła.



Ale nie mogliśmy długo rozmawiać o loterii, aczkolwiek naprawdę była to ogromna nowość. Wróciliśmy więc do owej damy, która bez przerwy ściągała na siebie kłopoty, miała wielu stronników i potrafiła spowodować rozłam w rodzinie.

Książęta Northumberland i Westmorland wznieśli na północy rebelię, lecz nic z tego nie wyszło. Potoczyły się głowy. Niewątpliwie w najbliższych latach na szafot pójdą następni, jako że kłopoty się nie skończą, póki żyje królowa Maria.

Po takich rozmowach Jake często wyrażał podejrzenia, że nasi sąsiedzi są papistami. Obawiałam się, iż mogą wyniknąć z tego jakieś kłopoty.

Znowu byłam w ciąży.

— Jeśli tym razem nie urodzisz mi syna — powiedział Jake — zakuję cię w żelazo i przegonię z zawiązanymi oczyma po desce wystającej za burtę.

Roześmiałam się. Czułam, że tym razem go nie zawiodę.

\* \* \*

Jake wybierał się w krótki rejs do Southampton. Miało to coś wspólnego z następną wyprawą. Mój mąż zaproponował, że zabierze chłopców. Nic mi nie mówiąc, poszedł na lekcję i przekazał im tę nowinę. Carlos i Jacko szaleli z radości. Zdawałam sobie sprawę, jak musiał zareagować na to Roberto.

Gdy Jake przyszedł do naszej sypialni, przyparłam go do muru.

— Dotarły do mnie dziwne wieści. Co to za wyprawa?

— Krótka. Chcę zabrać chłopców, by nieco zakosztowali morza.

— Zabierz Carlosa i Jacko. Nie mam nic przeciwko temu.

— Mam zamiar wziąć też twojego bachora.

— Nie zrobisz tego.

— Bardzo głupio postępujesz w stosunku do tego dzieciaka. Czy chcesz, żeby w przyszłości do niczego się nie nadawał?

— Świetnie się uczy. Jest na tyle mądry, że potrafi zapędzić twoich nieślubnych synów w kozi róg.

— Uczy się! Kto by się przejmował nauką? Tych chłopców trzeba po prostu nieco zahartować.

— Pozwól mi wychowywać mojego syna tak, jak chcę.

— Żyje pod moim dachem. Nie pozwolę, by przynosił mi wstyd, jęcząc i wzdychając.

Roześmiał się.

Carlos i Jacko przestali uczęszczać na lekcje. Bez przerwy z krzykiem latali po domu. Wszędzie słyhać było ich piskliwe głosy.

— Tak jest, kapitanie. Kiedy wypływamy w morze? Czeka my na przyływ, kapitanie.

Jake śmiał się z nich, klepał ich po plecach, pociągał za włosy i niemiłosiernie z nich szydził, oni jednak go ubóstwiali.

— Kiedy dorosną, będą tacy jak ty — powiedziałam.

Nadszedł dzień, kiedy mieli wypłynąć. Nie było więcej mowy o udziale Roberto w tej wyprawie. Obiecałam mu, że zostanie w domu.

Mieli wyruszyć wieczorem, kiedy wieje najbardziej sprzyjający wiatr. Cała eskapada nie miała trwać długo. Jake chciał jedynie załatwić swoje sprawy w Southampton i wrócić. Stwierdził, że dla chłopców będzie to doskonała lekcja. Uznał, iż w przyszłości Carlos i Jacko zostaną marynarzami.

Tego popołudnia obaj chłopcy pożegnali się ze mną i

popłynęli łódeczką na statek. Jennet, Romilly i ja machałyśmy im z nabrzeża.

Wróciłam do domu zadowolona, że oszczędziłam Roberto ciężkiej próby, na którą wcale nie miał ochoty.

Wieczorem „Nieokiełznany Lew” odpłynął. Widziałam go ze swojej sypialni. Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie podniecenie chłopców i dumę Jake’a.

Mogłam się domyślić, że mój mąż mnie przechytry. Dowiedziałam się od Jennet, że Jake wcześniej zabrał Roberto na pokład, by chłopiec mógł popłynąć z nimi.

\* \* \*

Roberto wcale nie ucierpiał podczas tej wyprawy, mimo to pokłóciłam się z Jakiem. Śmiał się ze mnie.

— To mu dobrze zrobi, choć w przyszłości na pewno nie zostanie żeglarzem. Bardzo różni się od Carlosa i Jacko. Na Boga, z tych chłopców człowiek naprawdę może być dumny!

Lato było upalne, dlatego trudniej było mi dźwigać dodatkowy ciężar. Tym razem lepiej zdawałam sobie sprawę ze swojego stanu. To było bardzo ruchliwe dziecko, ruchliwsze niż Roberto. Lecz tego właściwie należało się spodziewać po synu Jake’a.

Mój mąż ponownie wypłynął w krótki rejs — tym razem do Londynu, na spotkanie z królową. Wrócił we wspaniałym nastroju.

— Co to za kobieta! — zawołał. — Całkiem poważnie rozmawiała ze mną o korsarzach takich jak ja. Stwierdziła, że sprawiamy dużo kłopotu hiszpańskiemu królowi. Okradamy go. Ona, jako władczyni, nie może tego tolerować. Lecz mówiąc to, przez cały czas błyskała oczyma.

— Ma swój udział w skarbach, które przywozisz do domu

— zauważyłam.

— Tak, i pamięta o tym. Chciała porozmawiać ze mną na osobności, a wtedy śmiała się i jasno dawała mi do zrozumienia, że podoba jej się to, co robię. Jest królową i na razie musi oszukiwać Hiszpanów. „Nie zawsze tak będzie, kapitanie — powiedziała. — Nadejdą czasy...” Na razie kazała mi postępować tak jak dotychczas... robić to, co robiłem, a im więcej Hiszpanów utopię w morzu i więcej skarbów przywiozę do Anglii, tym bardziej będzie z tego zadowolona. No cóż, Cat, nasza władczyni kocha korsarzy. Przy niej poczułem, że Jake Pennlyon nie jest wcale ostatnim z nich.

Nie mógł przestać opowiadać o królowej.

— Po jej urodzeniu — przypomniałam — zapanowało ogromne zamieszanie, ponieważ nie była chłopcem. Zdaniem niektórych Anna Boleyn nie poszłaby na szafot, gdyby zamiast Elżbiety dała królowi chłopca. Tymczasem czy może być lepszy władca?

Jake przyznał, że nie i że żaden król na świecie nie dorównuje naszej pani.

\* \* \*

Poczyniono już wszystkie niezbędne przygotowania, więc mogłam jedynie czekać. To nie był ciężki poród. Obudziłam się rano w chwili, kiedy dziecko postanowiło właśnie przyjść na świat. Akuszerka była już w Lyon Court. Przebywała u nas od dwóch tygodni, ponieważ chcieliśmy mieć całkowitą pewność, że nie stanie się nic złego.

Wczesnym popołudniem tysiąc pięćset siedemdziesiątego roku wydałam na świat dziecko. Przez chwilę leżałam wyczerpana, a potem poczułam ogromną radość, ponieważ

usłyszałam głośny krzyk niemowlęcia. Zamknęłam oczy. Udało się. Moje dziecko żyło i było zdrowe.

Weszła akuszerka, a wraz z nią Jake. Uśmiechnęłam się do niego, lecz natychmiast dostrzegłam na jego twarzy potworny zawód, niemal wściekłość.

— Dziecko...? — zaczęłam.

— To dziewczynka! — krzyknął. — Po prostu dziewczynka.

Potem wyszedł. Poprosiłam akuszerkę, by przyniosła mi dziecko. Dała mi je w ramiona. Natychmiast pokochałam tę maleńką czerwoną, pomarszczoną buźkę. Od momentu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam swoją córeczkę, wiedziałam, że pragnęłam, by była właśnie taka.

\* \* \*

Jake nadal się wściekał. Był pewien, że urodzi mu się syn. Wiedziałam, iż wyobraża sobie bardzo podobnego do siebie chłopca, którego będzie mógł zabrać w rejs. Niczego tak nie pragnął jak syna.

Przez dwa dni w ogóle trzymał się ode mnie z daleka. Nie przejmowałam się tym. Miałam swoją córeczkę.

— Jest wyjątkowo ładna — powiedziała położna. — Mogłabym przysiąc, że panią rozpoznaje.

Zastanawiałam się, jak ją nazwać. Gdyby to był syn, oczywiście, wybór imienia należałby do Jake'a. W pierwszych dniach życia moja córeczka przypominała mi małego ptaszka moszczącego sobie przy mnie gniazdko, dlatego zaczęłam mówić do niej: „moja mała Linnet<sup>\*</sup>”. Potem postanowiłam tak właśnie dać jej na imię.

---

\* Linnet (ang.) — makolągwa (przyp. tłum.).

Mniej więcej miesiąc po urodzeniu się Linnet Jake był gotów do drogi. Z tego, co wiedziałam, tym razem rejs mógł trwać nawet dwa lata.

Przed wyjazdem rozmawiałam z Jakiem o Romilly. Dziewczyna wyrosła i mogła już wyjść za mąż. Wydawało mi się, że ona i pan Marrimet przypadli sobie do gustu. Romilly często mu pomagała, poza tym pasowali do siebie. Czy coś stoi na przeszkodzie temu małżeństwu?

Jake wzruszył ramionami.

— Jeśli chcą, niech się pobiorą — odparł.

— Wtedy mogliby tu zostać. Pan Marrimet w przyszłości zająłby się edukacją Linnet i naszych następnych dzieci.

— To wspaniały pomysł — przyznał Jake. — Wypraw im weselisko. Mam dług wdzięczności wobec Girlinga i chciałbym, żeby jego córka została członkiem rodziny. W Lyon Court znajdzie się miejsce również i dla nich.

W piękny październikowy dzień wiatr wydał żagle „Lwa” i dwóch innych statków, które miały mu towarzyszyć. Stałam w Hoe, póki wszystkie żaglowce nie zniknęły za horyzontem.

Niemal natychmiast zabrałam się za kojarzenie małżeństwa Romilly. Zaczęłam od rozmowy z nią.

Była skromną dziewczyną i wyrosła na prawdziwą piękność. Jej zielone oczy nabrały nowego blasku.

— Romilly — powiedziałam — pora, żebyś pomyślała o małżeństwie. Zastanawiałaś się już nad tym?

— Tak... trochę — wyznała.

Uśmiechnęłam się.

— No cóż, nie jesteś już dzieckiem. Często widuję cię w towarzystwie pana Merrimeta. Wygląda na to, że go lubisz.

Zarumieniła się.

— Zaiste, jesteśmy przyjaciółmi.

— Może byłby dobrym mężem? Nie sędzę, by coś stało na przeszkodzie. — Milczała. — Oczywiście — ciągnęłam — jeśli tego nie chcesz, wcale nie będę upierać się przy tym pomysle.

— Czy kapitan mówił coś na ten temat? — spytała.

— Prawdę mówiąc, tak. Rozmawiałam z nim o tym, nim wypłynął w morze. Tak samo jak ja uważa, że pora, byś wyszła za mąż i że pan Merrimet byłby odpowiednim kandydatem.

Jeśli się pobierzecie, będziecie mogli zostać w Lyon Court. Pan Merrimet nadal uczyłby dzieci. Jeszcze przez jakiś czas będzie potrzebny chłopcom, a potem Linnet. Kapitan dużo zawdzięcza twojemu ojcu, dlatego cieszyłby się, gdybyś została pod naszym dachem. — Milczała, a ja ciągnęłam: — Chyba że jest jeszcze za wcześnie na tę rozmowę?

— Chciałabym się nad tym zastanowić...

— Ależ oczywiście. Nie ma pośpiechu. Decyzja należy do ciebie. Jeśli coś postanowisz, powiedz mi, żebym mogła wysondować pana Merrimeta.

Takie rozwiązanie wyraźnie jej odpowiadało, w związku z tym odłożyłyśmy całą sprawę na później.

Po miesiącu dokonałam odkrycia, które całkiem uniemożliwiło urzeczywistnienie tego planu. Do obowiązków Jennet należało przynoszenie wody do mojej sypialni. Kiedy się nie pojawiła, poszłam do kwater dla służby. W pokoju była tylko jedna pokojówka, wszystkie inne rozeszły się do swoich zajęć.

— Gdzie jest Jennet? — spytałam.

Dziewczyna wyglądała na przestraszoną.

— Nie wiem, proszę pani.

— Czy wstała o zwykłej porze?

Na twarzy służącej pojawiło się zażenowanie. Sporo czasu mi zajęło, nim zdołałam wyciągnąć od niej prawdę. Jennet rzadko sypiała w kwaterach dla służby. Niemal każdą noc spędzała z kochankiem. Wcale mnie to nie zdziwiło. Wiedziałam, że ma romans z jednym ze stajennych i że zawsze z kimś sypia. Przypuszczałam, iż w tym momencie jest w jednej z przegród w stajni, i wcale nie miałam zamiaru jej tam szukać. Wystarczy, że ją skarcę, gdy w końcu się pojawi. Może powinnam odesłać ją do swojej matki? Tylko wtedy na pewno Jennet chciałaby zabrać ze sobą Jacko, a Jake nigdy by na to nie pozwolił. Bardzo lubił chłopca. Nie mogłam również rozdzielić matki i syna.

Jakiś złośliwy zbieg okoliczności kazał mi skierować kroki do komnaty nauczyciela. Od jakiegoś czasu chciałam porozmawiać z panem Merrimetem o Roberto.

Delikatnie zapukałam w drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi, więc weszłam. Promienie słońca padały na wymiętą pościel i śpiącą parę: Jennet i pana Merrimeta. Byli nadzy i wciąż jeszcze przytulali się do siebie.

— Panie Merrimet! Jennet! — powiedziałam ostro.

Pierwszy otworzył oczy nauczyciel, następnie usłyszałam jęk Jennet.

— Potem z wami porozmawiam — oświadczyłam i zamknęłam za sobą drzwi.

\* \* \*

Natychmiast zwolniłam pana Merrimeta. Przyszło mi na myśl, że mężczyzna, który beztrósco nawiązuje kontakty seksualne z jedną z pokojówek, nie jest odpowiednim nauczycielem dla chłopców. Zawsze podejrzewałam go o sporą dozę beztróski, lecz nie aż do tego stopnia, poza tym



zakładałam, że po ślubie pan Merrimet spoważnieje. Jakże się myliłam! Wyobraziwszy sobie, że może zbyt wcześnie wprowadzić chłopców w pewne sprawy, wcale się nie wahałam.

Odszedł następnego dnia. Potem posłałam po Jennet. Wciąż była bardzo wstydliva — rumieniła się niczym dziewczyna przyłapana na pierwszym pocałunku. Oczywiście, uraczyła mnie tym samym wyjaśnieniem co zwykle:

— To wszystko stało się tak naturalnie, a pan Merrimet jest prawdziwym dżentelmenem...

Powiedziałam jej, że jest ladacznicą, że przynosi mi wstyd i że zastanawiam się, czy nie odesłać jej do matki. Dodałam, że zrobiłabym to, gdyby tak bardzo nie zależało mi na spokoju mamy i ogólnej atmosferze panującej w Abbey. Przeto Jennet musi się poprawić, bo inaczej wyrzucę ją i będzie chodzić po prośbie.? — Mam Jacko — zauważyła przebiegle.

— On pójdzie z tobą.

— Och, proszę pani, kapitan go uwielbia. Nie wiem, czy zdołałaby się pani przed nim wytłumaczyć.

— Przed nikim nie muszę się tłumaczyć! — krzyknęłam. — Sama decyduję o wszystkim, co dotyczy domostwa.

Nic nie powiedziała, przypomniawszy sobie, że kapitana nie ma w domu, a mnie nie da się tak łatwo zlekceważyć.

W końcu stwierdziła, iż w samej rzeczy jest dość rozwiązła i nie potrafi odmówić żadnemu dżentelmenowi, potem jednak uznała, że właściwie nic złego się nie stało, i obiecała wiernie mi służyć.

Lubiłam Jennet, toteż poprzestałam na wyrzuceniu pana Merrimeta i zaangażowaniu nowego nauczyciela. Był nim Robert Elmore, dżentelmen z Plymouth, prawdziwy erudyta,

który znalazł się w trudnej sytuacji. Bardzo się ucieszył, że będzie miał własny kąpiel. Był poważnym człowiekiem w średnim wieku. Czułam, że dokonałam bardzo dobrej zamiany.

\* \* \*

Linnet rosła jak na drożdżach. Była wesołym, zawsze skłonny do śmiechu dzieckiem o ogromnych, wiecznie zdziwionych oczach. Wszyscy ją lubili, zwłaszcza Romilly, która doskonale radziła sobie z dziećmi.

Byłam zmartwiona zachowaniem pana Merrimeta. Zastanawiałam się, jak zareaguje na to dziewczyna, która jeszcze nie tak dawno temu była gotowa wyjść za niego za mąż. Wydawało mi się, że nastąpiła w niej jakaś zmiana. Widocznie było to związane z odkryciem, że mężczyzna, który się do niej zalecał, jednocześnie sypiał z rozpustną Jennet.

Początkowo Romilly nie sprawiała wrażenia zbyt zrozpaczonej, wszakże w jakiś czas później zauważyłam, że dzieje się coś złego. Natychmiast zaczęłam podejrzewać, iż jej stosunki z panem Merrimetem wcale nie były takie niewinne. Ale jakie mogły być, skoro związała się z takim mężczyzną?

Mniej więcej trzy miesiące po zniknięciu nauczyciela udało mi się przyprzeć Romilly do muru. Wybuchnęła płaczem i przyznała się, że jest brzemienna.

— A cóż to za rozpustny człowiek! — zawołałam. — Sypiał z Jennet. W porządku. Moja pokojówka jest doświadczoną kobietą, jeśli chodzi o te sprawy, i nie wątpię, że miała przynajmniej setkę mężczyzn. Lecz ty byłaś niewinną dziewczyną... znajdowałaś się pod opieką moją i

kapitana! A to rozpustnik! Rozpustnik i łajdak. — Nadal szlochała. — Trzeba było powiedzieć mi o tym wcześniej — dodałam.

— Nie miałam odwagi — wyznała. — Co ja teraz zrobię?

— Nic. Teraz nie zdołam już znaleźć ci męża. Będziesz musiała znieść wstyd i urodzić nieślubne dziecko. — Zrobiło mi się jej żal, więc ją objęłam. — Byłaś głupiutka, Romilly. Niewątpliwie uwierzyłaś w jego obietnice i teraz spójrz tylko, do czego doszło.

Przytaknęła.

— Aliści takie rzeczy czasami zdarzają się dziewczętom. Nie jesteś pierwsza. Masz szczęście, że kapitan bardzo sobie cenił twojego ojca i pragnął mu się zrewanżować za jego usługi. Urodzisz to dziecko i zostanie ono naszym domownikiem. Popełniłaś błąd i musisz ponieść konsekwencje swego czynu. Taki jest los kobiet. Mężczyzna beztrzesko szasta swoim nasieniem i znika. Tak bywa w Anglii... Na całym świecie.

Serdecznie jej współczułam. Była taka młoda, tak wdzięczna za moją postawę wobec niej. Z drugiej jednak strony należała do istot, które łatwo się dostosowują, dzięki czemu szybko zapomniała o swoim nieszczęściu. Zajęła się szyciem wyprawki dla dziecka i pomagała mi cerować ubranka chłopców, ponieważ doskonale posługiwała się igłą.

W czerwcu urodziło się jej dziecko. Posłałam po akuszerkę, która się mną zajmowała, zapewniłam więc Romilly najlepszą opiekę, jaka tylko była możliwa. Wydała na świat syna — zdrowego, krzepkiego chłopca.

Poszłam się z nią zobaczyć — wyglądała niezwykle młodo i delikatnie. Jej zielone oczy lśniły jaśniej niż dotychczas. Z prawdziwym wzruszeniem podziękowała mi za okazaną dobroć, a ja pochyliłam się nad łóżkiem i pocałowałam ją.

— Czasami los kobiety bywa bardzo ciężki —  
powiedziałam. — Musimy pomagać sobie nawzajem.

— Mój synek jest ślicznym chłopcem — zauważyła.

— Akuszerka nie przestaje wychwalać go pod niebiosa.

— Tak bardzo jestem wdzięczna. Co by się ze mną stało,  
gdyby kapitan nie przyjechał do St. Austell i nie przywiózł  
mnie tutaj?

— Martwił się, ponieważ twój ojciec zginął podczas  
pełnienia u niego służby.

— Chcę okazać kapitanowi swoją wdzięczność... pani też.  
Czy pozwoli mi pani wołać na mojego synka Penn?

— Ależ oczywiście — odparłam.

Tak więc śliczny maleńki synek Romilly dostał na imię  
Penn.

## *Podjejrzenia*

Następny rok obfitował w ekscytujące wydarzenia. W styczniu książę Norfolk został postawiony przed sądem. Intrygował ze szkocką królową, mając nadzieję, że zdoła ją poślubić i osadzić na tronie, po wcześniejszym usunięciu zeń Elżbiety. Gdyby mu to udowodniono, miałby niewielkie szansę na uratowanie życia.

W maju rozeszły się plotki o następnym spisku, w który zamieszany był ambasador Hiszpanii. Tym razem chodziło o zamordowanie królowej Elżbiety i jej ministra, lorda Burghleya. W rezultacie nakazano ambasadorowi Hiszpanii, by opuścił nasz kraj.

Ludzie niechętnie nastawieni byli do Hiszpanii. W ostatnich latach po świecie podróżowało coraz więcej angielskich żeglarzy, którzy bez przerwy popadali w konflikt z Hiszpanami. Często Anglicy przejmowali hiszpańskie złoto i przywozili je do angielskich portów. Królowa bardzo się z tego cieszyła, jakkolwiek okazywała Filipowi hiszpańskiemu przyjaźń i udawała, że bardzo ubolewa nad poczynaniami angielskich korsarzy, lecz nie jest w stanie tego zmienić. Z drugiej strony Hiszpanie czasami też odnosili sukcesy. Wśród ludzi krążyły opowieści o angielskich marynarzach, którzy dostali się w ręce Hiszpanów. Odwożono ich do Hiszpanii, wtrącano do więzienia i torturowano — nie dlatego, że byli korsarzami, lecz protestantami. Niektórych z nich nawet palono żywcem na stosie.

John Gregory wspominał tragiczne momenty ze swego pobytu w więzieniu. Umknął śmierci tylko dlatego, że został szpiegiem don Felipe.

W czerwcu książę Norfolk poszedł na szafot, a

jednocześnie na niebie pojawiła się nowa gwiazda. Carlos sporo wiedział o ciałach niebieskich, przeto zabrał Jacko do najwyższej położonego pomieszczenia, by mu ją pokazać. Była jaśniejsza od Jowisza i znajdowała się w gwiazdozbiornie Kasjopei.

Ludzie dużo mówili na ten temat. Po nagłym pojawieniu się gwiazdy powstała teoria, że symbolizuje ona Hiszpanię, która wyraźnie rośnie w potęgę i podbija coraz dalsze zakątki świata. W zniknięciu owej gwiazdy próbowano się dopatrywać przepowiedni końca imperium hiszpańskiego, zwłaszcza że reszta ciał niebieskich została.

Dwudziestego czwartego czerwca, w wigilię Świętego Bartłomieja, nastąpiło wydarzenie, które zaszokowało cały świat — moim zdaniem nie tylko protestancki. Byłam pewna, że to, co wydarzyło się w Paryżu — a potem przetoczyło przez całą Francję — bardzo uraziłoby Felipe i ludzi takich jak on.

Wczesnym rankiem w całym Paryżu zaczęto bić w dzwony. Był to znak dla katolików, by wyszli z domów i mordowali każdego napotkanego hugenota. Zaczęła się potworna rzeź. Ulice Paryża spływały krwią, a do Sekwany wrzucano mnóstwo okaleczonych ciał. Masakra trwała nadal. Zaczęła się noc Świętego Bartłomieja, a okrzyk: „Na hugenota!” przetoczył się przez wszystkie prowincjonalne miasta Francji.

Efekt tego pogromu odbił się szerokim echem także w Anglii. W Plymouth ludzie stali na rogach ulic, zastanawiając się, co będzie dalej. Krążyła pogłoska, że Francuzi i Hiszpanie utworzyli ligę, w skład której wszedł również papież, i mają zamiar wymordować wszystkich protestantów na całym świecie, tak jak zrobili to we Francji.

Wielu ludzi twierdziło, że nadeszła pora, by zaaplikować

katolikom w naszym kraju kurację, jaką oni sami stosowali wobec wyznawców innej wiary. „Dajmy im zakosztować paryskiej sprawiedliwości!” — wołano.

Słyszeliśmy, że Burghley spiesznie wrócił ze swej wiejskiej posiadłości do Londynu. Obawiał się, iż w stolicy może zapanować chaos i powtórzyć się paryska masakra, jakkolwiek w odwrotną stronę, że protestanci zemszczą się na katolikach. Królowa pojawiła się publicznie w żałobie, a lord Burghley powiedział: „To największe przestępstwo od czasów Ukrzyżowania”.

Nie było wątpliwości, że to okropne wydarzenie będzie musiało w jakiś sposób odbić się na naszym życiu. Tego typu wydarzenia wstrząsają całym światem. Nikt z nas nie mógł zignorować przetaczającego się echa potwornej tragedii.

Rosła nienawiść do katolików. Wiedziałam, że wkrótce zacznie się polowanie na nich, zwłaszcza w krajach protestanckich, natomiast tam, gdzie społeczeństwo zdecydowanie opowiada się po stronie katolicyzmu, nasilą się wszelakie prześladowania. Większa liczba ludzi stanie przed inkwizycją i poddana zostanie torturom, rozlegać się będzie więcej przerażających krzyków, kiedy płomienie zaczną lizać ciała męczenników.

W rok później Jake wrócił do domu. Jego powrót był podobny do poprzedniego. Zorganizowałam ucztę, którą uświetniły występy wędrownych aktorów.

Mój mąż prawie w ogóle nie zwracał uwagi na Linnet, choć była uroczym i zdumiewająco podobnym do niego dzieckiem. Rozbawiła go historia Romilly, lecz w ogóle nie interesował się jej synkiem. Za to z prawdziwą przyjemnością spędzał czas z Carlosem i Jacko. Wyjątkowo cierpliwie znosił tysiące pytań, którymi go zarzucali, może dlatego, że przede wszystkim dotyczyły właśnie ukończonego rejsu. Siadywał w

ogrodzie, a oni rozkładali się u jego stóp i wpatrywali w niego z podziwem, gdy opowiadał im o swoich wyczynach na morzu.

Gdyby Jake miał prawowitego syna, byłby dumnym i szczęśliwym człowiekiem, a tak często bywał zamyślony i pełen urazy. Często łapałam go na tym, że zerka na Roberto. Był wyraźnie wściekły, że urodziłam syna Felipe, a nie jemu — momentami chyba mnie za to nawet nienawidził.

Po jego powrocie z następnej wyprawy doszło do pierwszego z całej serii dziwnych wydarzeń.

Zawsze osobiście odwiedzałam mieszkających w sąsiedztwie biednych. Niektóre kobiety, mające taką samą pozycję jak ja, korzystały z pomocy służby, która roznosiła pożywienie i ciepłą odzież, jednakowoż moja matka zawsze robiła to sama, a ja, jeszcze jako dziecko, często jej towarzyszyłam. Mawiała, iż zależy jej na tym, by ci ludzie nie traktowali naszych darów jak jałmużny, lecz by były to dla nich prezenty od przyjaciół.

Pewnego ranka właśnie miałam zamiar wyjść do ogrodu, kiedy przyszła do mnie jedna z pokojówek i powiedziała, że Mary Lee bardzo prosi, abym do niej przyszła.

Była to staruszka, która niegdyś miała trzech synów, lecz wszyscy zginęli na morzu. Odwiedzałam ją regularnie. Jake był z tego zadowolony, ponieważ zawsze zależało mu na tym, by rodziny żeglarzy otaczane były należyłą opieką. Mary miała ponad sześćdziesiąt lat i była częściowo unieruchomiona przez reumatyzm. Ilekroć się mnie spodziewała, siadywała w oknie i czekała.

Po południu zabrałam do koszyka trochę jedzenia i wyruszyłam w drogę. Dotarłszy na miejsce, byłam zdumiona, że Mary na mnie nie czeka.

Jej chatkę zbudowano w ciągu jednej nocy, ponieważ na



tym terenie obowiązywało prawo, że jeśli ktoś zdoła postawić w ciągu jednej nocy chatę, ziemia, na której ona stoi, należy do niego. Wewnątrz była tylko jedna izba.

Zobaczywszy uchylone drzwi, otworzyłam je i zawołałam:

— Mary! Jesteś tam?

W tym momencie ją zobaczyłam. Leżała na pryczy. W izbie panował półmrok, dlatego początkowo nie widziałam jej twarzy.

— Mary, dobrze się czujesz?

— Niech pani stąd idzie — szepnęła z wyraźnym trudem.

Podeszłam bliżej. Uklękałam obok niej.

— Co się stało, Mary?

— Proszę stąd iść. Proszę uciekać. To poty.

Spojrzałam na nią. Dopiero teraz dostrzegłam na jej twarzy przerażające znaki. Odstawiłam koszyk i wybiegłam z chaty. Na dziedzińcu zobaczyłam Jake'a. Później zaczęłam podejrzewać, że na mnie czekał.

— Byłam u Mary Lee — powiedziałam. — Jest chora na śmiertelne poty.

— Na Boga! — zawołał. — Wszłaś do jej chaty?

— Tak.

— Idź do swojej komnaty. Wezwę lekarza. Mogłaś się zarazić. Doktor sprawdzi również, czy można coś zrobić dla Mary Lee.

Poszłam do swojej komnaty i nie mogłam przestać myśleć o dniach, kiedy pragnąc utrzymać Jake'a z dala od siebie, udawałam, że jestem chora na tę przerażającą chorobę.

Spojrzałam na własne odbicie w lustrze. Byłam bardzo blisko Mary Lee. Śmiertelne poty są wysoce zaraźliwe. Może już...

— O Boże — modliłam się — uratuj nas od tego nieszczęścia.

Wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo chcę dalej żyć, jak bardzo pragnę nadal mieszkać w tym domu, patrzeć, jak dorastają moje dzieci, a potem wnuczęta. Może jedna z naszych pociech da Jake'owi wnuka. Czy zdoła on zastąpić mu syna?

\* \* \*

Mary Lee zmarła trzy dni po mojej wizycie, lecz choroba nie rozprzestrzeniła się po okolicy, jak zazwyczaj działo się w zatłoczonym Londynie. Przez tydzień pełna obaw czekałam na jakies objawy mogące świadczyć o tym, że się zaraziłam, lecz niczego nie zauważyłam.

— Dobrze by ci to zrobiło — powiedział Jake. — Kiedyś udawałaś tę chorobę, by się mnie pozbyć. — Śmiał się ze mnie. — Chyba naprawdę zależało ci na tym, by mi się wymknąć.

— Wykazałam wówczas dużo zdrowego rozsądku.

— Gdybym wtedy zabrał cię ze sobą w rejs, może zamiast tego hiszpańskiego bękarta urodziłabyś mojego syna.

— Nie mów tak o Roberto.

— Będę mówić, jak mi się spodoba.

— Nie o moim synu.

— Przestań wciąż mi przypominać, że masz syna z tym hiszpańskim donem, bo zrobię ci jakąś krzywdę. Za bardzo się ze mną drażnisz.

— Robię to świadomie — zemściłam się. — Może szkoda, że nie złapałam śmiertelnych potów i nie umarłam na nie. Wtedy mógłbyś znaleźć sobie nową żonę, która dałaby ci synów.

Spojrzał na mnie, jakbym dała mu w twarz. W tym momencie wydawało mi się, że przeraża go myśl, iż mógłby

mnie stracić. Później — znacznie później — przypominałam sobie tę scenę i zastanawiałam się, czy przez przypadek nie byłam bliska prawdy.

Jake był bardzo zajęty przygotowaniem do następnej wyprawy. Czasami zostawał na pokładzie aż do wczesnych godzin rannych. Carlos i Jacko pracowali razem z nim. Obiecał im, że zabierze ich ze sobą.

W taką właśnie noc coś nagle wyrwało mnie ze snu. Przez kilka sekund zastanawiałam się, co się właściwie stało. W chwilę później zobaczyłam — albo wydawało mi się, że widzę — iż drzwi mojej komnaty powoli i cichutko się zamykają — najciszej, jak to tylko możliwe.

Ktoś odwiedził moją komnatę.

Wyskoczyłam z łóżka. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że coś trzeszczy u moich stóp. Spojrzałam w dół. Zobaczyłam tłące się draperie, wiszące wokół mojego łóżka, i rozżarzone sitowie, które po chwili buchnęło płomieniem. Zerwałam ciężką narzutę i próbowałam ugasić pożar.

Potrzebowałam pomocy, więc pędem ruszyłam w stronę drzwi, wołając, że się pali. Dym zaczął już zasnuwać komnatę i wypełzać na korytarz.

Po całym domu rozniosły się krzyki. Niemal natychmiast pojawili się służący z wiadrami z wodą i zalali draperie oraz sitowie. Dym wciąż jeszcze gryzł w oczy, lecz pożar został ugaszony.

Nagle usłyszałam głos Jake'a.

— Co się tu dzieje?! — zawołał, wpadając do komnaty. Jego oczy były ciemniejsze niż zwykle.

— Mieliśmy pożar — wyjaśnił Carlos.

— W naszej sypialni? — W głosie Jake'a pobrzmiwało coś dziwnego.

Podszedł i objął mnie.

— Co się stało? — spytał.

— Coś mnie obudziło — powiedziałam.

— To nic takiego — powiedział Carlos. — Mogło być znacz nie gorzej.

Jake kazał przygotować inną komnatę i przynieść wino. Po wypiciu go poczułam się trochę lepiej. Mój mąż poprowadził mnie do innej komnaty, przez cały czas delikatnie mnie obejmując.

\* \* \*

Nazajutrz rano próbowałam się dowiedzieć, skąd wziął się ogień.

— Widocznie nieostrożnie obeszłaś się ze świecą — wyjaśnił Jake. — Zostawiłaś ją płonąca i zasnęłaś. Przewróciła się i stąd ten ogień.

— Nieprawda. Obudził mnie jakiś hałas.

— Zaiste, upadająca świeca. To cię nauczy na przyszłość bardziej uważać. — Roześmiał się. — Czy masz jakiś talizman, który chroni twoje życie, Cat? Nie tak dawno zetknęłaś się ze śmiertelnymi potami, a teraz w naszej komnacie wybuchł pożar. Tymczasem ty zdołałaś obudzić się na czas i wyszłaś z tego cała.

Czy mam jakiś talizman, który chroni moje życie? Wygląda na to, że tak.

Posłałam po Jennet.

— Jennet — spytałam — kto ci powiedziała, że Mary Lee chce się ze mną widzieć?

Była wyraźnie zdumiona.

— Nie bardzo pamiętam, proszę pani. Od tego czasu tak dużo się wydarzyło. Pożar i w ogóle.

— Spróbuj sobie przypomnieć, Jennet.

— Nie wiem. W tym czasie w domu panował taki rozgardiasz. Może ktoś zawołał z dolnego podestu schodów. Tak. Tak właśnie było.

— Czyj to był głos? — Zmarszczyła czoło. — To był ktoś ze służby, prawda? — upierałam się.

Powiedziała, że chyba tak. Nic więcej nie udało mi się z niej wyciągnąć. Zaczęłam coś podejrzewać.

Nie udało mi się urodzić chłopca. Gdyby Jake poślubił kogoś innego, może dorobiłby się upragnionego syna. Czy on też tak myśli? Wiedziałam, że swego czasu pragnął mnie jak żadnej innej kobiety na świecie. Jednakowoż przestałam być już dla niego nowością, nie stanowiłam żadnego wyzwania. Pożądanie mogło znacznie osłabnąć, lecz marzenie o synu nadal pozostało żywe.

Próbowałam dokładnie sobie przypomnieć, co się stało. Mógł poprosić kogoś ze służby o przekazanie Jennet, że Mary Lee chce się ze mną zobaczyć. To było całkiem prawdopodobne. A ogień? Kto cicho zamknął drzwi? Ktoś, kto chwilę wcześniej był w mojej komnacie.

Co się ze mną dzieje? To wszystko jest zbyt absurdalne. Czy Jake chce się mnie pozbyć? Czy to możliwe, że próbował, lecz mu się nie udało? Jeśli tak, podczas jego nieobecności będę bezpieczna.

W jakiś czas później wyruszył w morze. Carlos i Jacko popłynęli z nim, chociaż nie na „Nieokiełznanym Lwie”. Mieli służyć pod rozkazami innych kapitanów na innych okrętach.

\* \* \*

Kilka miesięcy później Jennet wpadła do mojej komnaty, by mi powiedzieć, że żaglowce wróciły. Wydałam rozkazy,

by rozpoczęto przygotowania do uczy, po czym poszłam do Hoe.

Nie widziałam „Nieokiełznanego Lwa”. Do domu wróciły dwa okręty, które mu towarzyszyły, lecz gdzie się podział najważniejszy z nich?

Poważnie zaniepokoiła mnie historia, którą usłyszałam od Carlosa i Jacko. Statki Jake’a zostały zaatakowane przez cztery hiszpańskie okręty. Nasi dzielnie się bronili, aż w końcu udało im się odpędzić napastników. Jake z „Nieokiełznanego Lwa” kazał innym zostać i walczyć, a sam ruszył w pościg za największym galeonem, który rzucił się do ucieczki. To wtedy po raz ostatni widziano i jego, i „Lwa”.

Nie mogli go szukać, jako że podczas walki bardzo ucierpieli. Wrócili więc do Plymouth, mając nadzieję, że „Nieokiełznany Lew” już tu jest.

Potem nieustannie wypatrywaliśmy Jake’a, lecz on nie wracał.

## *Długa nieobecność*

Minęły dwa lata, odkąd zaczęliśmy wypatrywać „Nieokiełznanego Lwa”. Dzień po dniu budziłam się z uczuciem oczekiwania i dzień po dniu o zachodzie słońca ogarniało mnie ogromne przygnębienie.

Nie dzisiaj — myślałam. Może jutro?

On jednak nie wracał.

Rozmawialiśmy o nim każdego dnia. Zastanawialiśmy się, gdzie może być. Ilekroć do portu zawijał jakiś statek, wędrowaliśmy do Hoe, by się dowiedzieć, czy nie przywiózł jakiejś wiadomości na temat „Nieokiełznanego Lwa”.

Powoli mijały miesiące, a ja coraz bardziej się martwiłam.

Co przydarzyło się Jake’owi? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że on dostał się do niewoli. Z drugiej jednak strony tylko coś takiego mogło na tak długo zatrzymać go z dala od domu. Chyba że nie żyje. Lecz to wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Nie znałam nikogo tak pełnego życia jak Jake.

Czasami ogarniał mnie potworny smutek. Zazwyczaj myślałam: „Jeżeli on gdzieś zginął, czy to oznacza także koniec mojego życia? Czy naprawdę już nigdy go nie ujrzę?”

Potem zawsze przypominałam sobie, że Jake jest niezniszczalny, i z nową nadzieją zaczynałam wpatrywać się w horyzont.

— Boże, pozwól mu wrócić — modliłam się. — Możemy walczyć jak dawniej. Niech nawet próbuje mnie zabić. Byle tylko wrócił.

Czyżbym potrzebowała tak długiej nieobecności, by w końcu zrozumieć, ile on dla mnie znaczy? Przez wiele lat nieprzerwanie myślałam o Careyu. O tak, darzyłam swego

kuzyna pierwszą dziewczęcą miłością, ale, prawdę mówiąc, moje uczucie znacznie przybrało na sile, gdy go straciłam. Zdawałam sobie sprawę, że podobnie było z Felipe — jego również bardziej pokochałam, gdy już nie żył. Czy to znaczy, że mam taką dziwną naturę?

A teraz Jake!

Doszłam do wniosku, że nie liczy się dla mnie nikt oprócz Jake'a. Och, Jake, wróć!

Jednakowoż mijały miesiące, a jego ciągle nie było.

\* \* \*

Ogromnym pocieszeniem była dla mnie Linnet. Promieniowała radością życia i bardzo przypominała Jake'a. Miała te same zdumiewająco niebieskie oczy i identyczną cerę, a zarys szczęki świadczył o uporze, zwłaszcza gdy coś nie szło po jej myśli. Często dochodziłam do wniosku, że gdyby mógł ją zobaczyć tak bardzo spragniony potomstwa Jake, natychmiast by się zorientował, jak dużo cech jej przekazał. Była bardziej podobna do niego niż Carlos i Jacko.

Wciąż słyszeliśmy opowieści o wielkich bogactwach, które nasi żeglarze przywożą do Anglii — w większości było to przejęte od Hiszpanów złoto. W miarę upływu lat rywalizacja między naszymi dwoma krajami coraz bardziej rosła.

Ilekcroć słyszałam te historie, myślałam o Jake'u. Wyobrażałam sobie przeżywane przez niego przygody. Wiedziałam jednak, że musiało się wydarzyć coś okropnego. Inaczej wróciłby do domu.

Wszyscy domownicy pogodzili się z tym, że już nigdy nie zobaczymy Jake'a, ja jednak nie przyjmowałam tego do wiadomości. Moje przekonanie podzielali Carlos, Jacko i



Jennet.

— Niezależnie od tego, co mu się przydarzyło — powtarzał bez przerwy Carlos — na pewno wróci do domu.

Dużo mówiło się o Francisie Drake’u, człowieku urodzonym w Devon, w pobliżu Plymouth, w Tavistock. Hiszpanie uważali go za istotę obdarzoną nadludzkimi cechami — wcielonego diabła, który pływa po morzach tylko po to, by prześladować dobrych katolików i odbierać im skarby. Nazywali go El Draque — smok.

W grudniu tysiąc pięćset siedemdziesiątego siódmego roku mieliśmy dużo radości, obserwując, jak wpływa do Plymouth. Jakiż to był wspaniały widok! Przez jakiś czas Drake przygotowywał się do następnej wyprawy. Nie wiedzieliśmy wówczas, że ma zamiar opłynąć kulę ziemską.

Jego żaglowiec, „Pelikan”, bardzo przypominał naszego „Lwa”. (Potem Drake miał zmienić nazwę owego okrętu na „Złotą Łanię”). Wraz z nim płynęła „Elżbieta”, „Nagietek”, „Łabędź” i „Krzysztof, a także szalupy, z których część zmagazynowano w kawałkach, lecz w razie potrzeby można było je pozbijać. Wszyscy byliśmy zdumieni, widząc dostarczane na okręty zaopatrzenie, zwłaszcza że niektóre talerze idące na stół Drake’a wykonane były ze srebra. Zabierał ze sobą także grajków. Uważał, że muzyka bardzo dobrze wpływa na ludzi, którzy znajdują się z dala od domu i zaczynają być zmęczeni długą rozłąką. Koncert jest w stanie rozwiać nudę, która może być zalążkiem buntu.

W pewnym stopniu udzieliło mi się powszechne podniecenie, lecz to wszystko w niezwykle dojmujący sposób przypominało mi przygotowania Jake’a do wypłynięcia w morze.

— Jake, Jake — mamrotałam — kiedy wrócisz do domu?

Pewnego dnia Carlos przyszedł niezwykle podniecony. Jak

zwykle rozmawiał z marynarzami i udało mu się osobiście spotkać tego wielkiego człowieka. Drake'a zainteresował fakt, że Carlos jest synem Jake'a Pennlyona.

Pozwolono chłopcu pomóc przy załadunku. Zazdrosny Jacko poszedł do portu i błagał, by i jemu dano coś do roboty.

Biorąc pod uwagę ich entuzjazm i fakt, że są synami Jake'a Pennlyona, Drake osobiście przyszedł się ze mną zobaczyć.

Należał do ludzi, którzy na zawsze zapadają w pamięć. Pomimo niewielkiego wzrostu był bardzo władczy. Miał mocne ręce i nogi, szerokie barki, jasną brodę, jasne włosy, promienną twarz i tak charakterystyczne dla marynarzy duże jasnoniebieskie oczy, przeszywające wszystko na wskroś i sięgające dalej niż wzrok zwykłych ludzi. Byłam serdecznie wzruszona, że mając tak dużo spraw do załatwienia, zdołał znaleźć kilka godzin, by mnie pocieszyć. Ponieważ to właśnie próbował zrobić.

— Raz czy dwa spotkałem kapitana Pennlyona — wyznał.  
— To wspomniały żeglarz. Anglia potrzebuje takich ludzi.

Byłam dumna, a w moich oczach pojawiły się łzy, co zresztą zauważył.

— Wielu z nas wypływa w morze na wiele lat — ciągnął — i często najbliżsi uważają nas za zaginionych. Lecz niektórych żeglarzy trudno się pozbyć, madame. Kapitan Pennlyon jest jednym z nich.

— Bardzo się boję, czy nie wpadł w ręce Hiszpanów.

— Raczej sam spuścił im tegie lanie, zapewniam panią.

— Wierzę, że wróci.

— Istnieje między wami więź i gdyby coś się stało, na pewno by pani o tym wiedziała. Często tak jest w przypadku żon marynarzy.

Powiedział, że jeśli wyrażę zgodę, może zabrać ze sobą

Carlosa i Jacko. Prawdę mówiąc, przyszedł, żeby spytać o to najpierw mnie. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że mogliby się znaleźć w jakimś niebezpieczeństwie, wiedziałam jednak, iż nie mogę ich zatrzymywać. Tak więc Carlos i Jacko popłynęli z nim.

Wyptywające w morze żaglowce stanowiły wspaniałą widok — radosny, a jednocześnie pełen spokoju.

Jennet stała obok mnie.

— Kto by pomyślał, że mój Jacko popłynie kiedyś ze sławnym Drakiem! — zawołała. — Wolałabym jednak, by wyruszał w drogę z kapitanem.

Potem odwróciła się, by otrzeć łzy, wszelako niemal natychmiast w jej oczach ponownie pojawił się blask.

— Ciekawe, co powie, gdy wróci.

Niewątpliwie Jennet, tak samo jak ja, wierzyła w niezniszczalność Jake'a.

Mijały dni, a ja wciąż nie miałam żadnej wiadomości.

Następnej wiosny w Trewynd Grange pojawiła się Edwina. Miała siedemnaście lat — za rok miała przejąć swoje dziedzictwo. Nieco wcześniej Pennlyon Court odwiedziła Alice Ennis, by powiedzieć, że czekają na przyszłą właścicielkę.

— Na razie z nią zostaniemy — wyjaśniła. — Tego życzy sobie jej matka. Młoda dziewczyna nie powinna samotnie zarządzać tak wielkim domem.

Edwina przyjechała z ogromną liczbą służących, których wybrała spośród osób pracujących w Remus Castle, domu jej ojczyma. Bardzo chciałam zobaczyć córkę Honey i gdy tylko dotarła do mnie wiadomość o jej przyjeździe, wybrałam się do Trewynd.

Ileokroć wchodziłam do tamtejszej sali paradnej, zalewała mnie fala wspomnień. Spojrzałam w górę, na wziernik, i

dzięki długiej praktyce wiedziałam, że ktoś mnie przezeń obserwuje. Przypomniałam sobie, jak obie z Honey patrzyłyśmy w dół, by zobaczyć wchodzącego Jake'a. W mojej pamięci odżyła też noc, kiedy zabrano nas na galeon. Ale to wszystko działo się dawno temu. Teraz była tu Edwina, córka Honey.

Kiedy zeszła do sali paradnej, wyciągnęłam rękę. Ujęła je i uśmiechnęła się. Sądzę, że od tego momentu przypadłyśmy sobie do serca.

\* \* \*

Edwina często przyjeżdżała do Court, stała się moją drugą córką i zaprzyjaźniła się z Linnet.

Nie mogłam zapomnieć Jake'a. Często mi się śnił, a kiedy po przebudzeniu okazywało się, że go przy mnie nie ma, ogarniało mnie potworne uczucie pustki.

W listopadzie tysiąc pięćset osiemdziesiątego roku do portu wpłynął Francis Drake.

Zapanowało niewiarygodne podniecenie. Przywiózł mnóstwo skarbów, jakich nikomu dotychczas nie udało się zgromadzić. Było wśród nich złoto i srebro, kamienie szlachetne, perły, jedwabie, goździki i przyprawy.

Wraz z nim wrócili Carlos i Jacko.

Jak oni się zmienili! Teraz byli już mężczyznami — doświadczonymi marynarzami.

Pierwszą osobą, za jaką zaczęli się rozglądać po wyjściu na brzeg, był ich ojciec. Potrząsnęłam smutno głową, lecz podczas urządzonych w domu uroczystości powitalnych wszyscy myśleliśmy przede wszystkim o Jake'u. Zdawaliśmy sobie sprawę z nieobecności pana domu — nawet Linnet, która prawie w ogóle go nie pamiętała.

Carlos i Jacko sporo opowiadali o swoich przygodach. Przeżyli sztorm i ciszę morską, odwiedzili egzotyczne kraje i otarli się o śmierć. Wyrosli i teraz mieli już całkowitą pewność, że w ich żyłach płynie morska woda.

Tę wyprawę z pewnością ludzie będą pamiętali przez wiele lat, bo choć Drake nie był pierwszym człowiekiem, który odkrył, że Ziemia jest okrągła, to, prawdę mówiąc, pierwszy zdołał zatoczyć pełny krąg, ponieważ Magellan, który wiedział, iż jest to możliwe, nie zdołał dokonać tego wyczynu — zmarł na Filipinach, nie ukończywszy swej podróży.

Drake został wielkim bohaterem Zachodu i w jakiś czas po powrocie wpłynął „Złotą Łanią” na Tamizę i dotarł do Deptford, gdzie królowa osobiście nadała mu tytuł książęcy.

Ludzie tacy jak Drake, Carlos i Jacko stawali się bohaterami naszych czasów, ponieważ wiadomo było, że gdy nadejdzie czas, to przede wszystkim oni będą musieli stawić czoło Hiszpanom.

Do grona tychże bohaterów należał też Jake Pennlyon.

\* \* \*

Nie było go już od tak dawna, że gdyby nie chodziło o Jake’a, nie miałabym podstaw, by liczyć na jego powrót. Carlos, Jacko, Jennet i ludzie, którzy bardzo dobrze znali mojego męża, nie wierzyli w jego śmierć. Wszystkim nam zdołał zaszczepić przekonanie, że jest niezniszczalny.

Czasami otwierałam komodę, w której trzymałam jego ubrania, i dotykałam tego czy owego. Wyobrażałam sobie, że słyszę jego śmiech i słowa:

— Nie pozbywaj się tego, Cat. Jeszcze będzie mi potrzebne.

Pewnego razu, kiedy otworzyłam szufladę, wyleciał z niej

mól. Bardzo mnie to zmartwiło. Uznałam, że trzeba zająć się odzieżą, lecz nie chciałam, by robił to ktoś inny. Postanowiłam, że wszystko wyjmę, od nowa poskładam i przesypię otrzymanym od babci proszkiem z ziół. Jej zdaniem miał on chronić przed molami i insektami.

To właśnie wtedy dokonałam przerażającego odkrycia. W kieszeni jednego z kaftanów Jake'a znalazłam laleczkę. Zacisnąwszy na niej palce, wróciłam myślami do tej chwili, kiedy w swojej szufladzie natknęłam się na podobiznę Isabelli.

Doskonale wiedziałam, kto to miał być. Ja! W materiał sukienki wbita była mała zardzewiała szpilka do włosów.

W kieszeni Jake'a!

To niemożliwe. Przypomniałam sobie, że przy kilku okazjach ciskał gromy na czarownice. Dlaczego to robił? Czyżby wierzył, że mogą wyrządzić jakąś krzywdę, nawet zabić, i dlatego się ich bał? Czemu ta laleczka znalazła się w jego kieszeni?

Baczenie jej się przyjrzałam. Istniało spore podobieństwo. Dzięki długim gęstym włosom i zielonym oczom nie było wątpliwości, o kogo chodzi.

Czy poszedł po pomoc do czarownicy? Czy postępował zgodnie z jej instrukcjami? Nie Jake! Z drugiej jednak strony miał w kieszeni moją podobiznę. Musiała leżeć tu od lat. Dlaczego ją tu zostawił i wyjechał? Czy miał nadzieję, że gdy wróci, będzie już po wszystkim?

Postanowiłam zniszczyć woskową laleczkę. Włożyłam ją do kieszeni swojej sukni i wyszłam do ogrodu. Na jego obrzeżach stała chata. Rzadko ktoś tam zaglądał. Zasypałam laleczkę warstwą orlicy i podpaliłam stosik. Trawa była bardzo sucha, orlica również — nawet nie przypuszczałam, że wybuchnie taki płomień. Gdy wosk rozprysnął się na

wszystkie strony, pojawiły się Jennet i Manuela. Musiały zauważyć dym.

— To nic takiego — uspokoiliam je. — Ten ogień wcale nie jest groźny.

— Jak to się stało? — spytała Jennet.

Nie odpowiedziałam.

Gdy ogień zgasł, Jennet zadeptała jego resztki. Manuela uklękła i podniosła kawałek zwęglonego materiału. Był to fragment, w którym tkwiła szpilka.

Nic nie powiedziała, lecz kiedy uniosła głowę i spojrzała na mnie, przypomniałam sobie tę chwilę, kiedy weszła do mojego pokoju w hacjendzie.

— Trzeba uważać z ogniem — powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał rzeczowo. — Ziemia jest teraz bardzo sucha.

\* \* \*

Carlos i Edwina już przy pierwszym spotkaniu bardzo przypadli sobie do gustu. Dwa miesiące po powrocie z wyprawy Drake'a córka Honey przyszła mi coś powiedzieć.

Ona i Carlos chcą się pobrać.

— Znacie się tak krótko — zaoponowałam.

— Wystarczająco długo — odparła. — Carlos jest żeglarzem, a żeglarze nie mają czasu do stracenia.

Z uśmiechem przypomniałam sobie, że słyszałam już te słowa.

— Widzisz, ciociu, faktem jest, że spotkaliśmy się zaledwie chwilę temu, ale znamy się od dziecka. Wychowywaliśmy się razem. To ciekawe, że oboje urodziliśmy się daleko stąd, za morzami... na dodatek w tym samym miejscu. Wygląda na to, że zetknęło nas

przeznaczenie.

— Wszystko w naszym życiu jest zgodne z przeznaczeniem.

— Ale los połączył nas w bardzo dziwny sposób! Ty i moja mama zostałyście porwane, a Carlos już tam był... Znalazłaś go i zabrałaś do hacjendy. Wiem o tym od mamy.

— Jesteś pewna, że kochasz Carlosa?

— Och, ciociu, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Nie jest łatwo być żoną marynarza. Czeka was wielomiesięczna rozłąka, a pewnego dnia może się zdarzyć, że...

Nie mogłam dalej mówić. Edwina serdecznie mnie objęła.

— Ojciec Carlosa wróci — uspokajała mnie. — Carlos jest tego pewien.

— Ja również — przyznałam gwałtownie. — Wiem, że pewnego dnia wyjrzę przez okno i zobaczę w zatoce jego statek. Ale lata mijają... a ja nie mam od niego żadnej wieści...

W jej oczach pojawiły się łzy. Dzięki miłości do Carlosa była w stanie zrozumieć, co czuję.

\* \* \*

W mojej komnacie pojawiła się Manuela. Wpatrzyła się we mnie swymi ogromnymi smutnymi oczyma. Dostrzegłam w nich paniczny strach.

— Muszę z panią porozmawiać, señora.

— O co chodzi, Manuelo?

— Widziałam wosk. To była woskowa laleczka. Został kawałek jej sukienki, a tu mam szpilkę. — Położyła ją na stole przede mną. — Była wbita w tym miejscu. — Dotknęła



lewej piersi. — Miała przejść przez serce. To musiała być figurka podobna do tej, która przedstawiała doñę Isabellę. Takie laleczki na całym świecie wyglądają tak samo. Czarownice są wszędzie... i wszędzie działają w podobny sposób.

— Co sugerujesz?

— Ktoś to spalił. W ten sposób pali się osobę, którą przedstawia laleczka.

— To ja spaliłam tę podobiznę, Manuelo.

— Pani, señora?! Życzy pani komuś śmierci?!

— Ta laleczka przedstawiała mnie. Znalazłam ją w... Po prostu ją znalazłam. Nie chciałam, by coś takiego znajdowało się w domu, więc ją spaliłam.

— Ależ, seniora, ktoś wykonał podobiznę Isabelli. Ona zmarła...

— Nie wierzę w takie bzdury.

Potrząsnęła smutno głową.

Kiedy wyszła, zaczęłam się zastanawiać, czy powiedziałam jej to, o czym myślę. W co naprawdę wierzę? Przypomniałam sobie, że zostałam posłana do domu Mary Lee, a potem ktoś był w mojej sypialni, widziałam nawet zamykające się za tym kimś drzwi. W chwilę później zauważyłam, że draperie wokół mojego łóżka płoną. Znalazłam laleczkę wśród ubrań Jake'a, a wraz z jego wyjazdem skończyły się dziwne zamachy na moje życie. Czy to możliwe, by próbował się mnie pozbyć, a kiedy mu się to nie udało, postanowił wyjechać, odkładając swoje plany na później? Nie wierzę w takie bzdury. Mimo to... ziarno podejrzewania zostało zasiane i nie mogłam przestać o tym myśleć.

W Trewynd miało się odbyć wesele. Edwina była bardzo podniecona.

— Spodziewam się przyjazdu mamy — oświadczyła. — Ojczym nie chciał jej towarzyszyć, ale napisałam, że nie uznaję żadnych wymówek. W końcu to mój ślub.

Przyszło mi na myśl, że zobaczę Careya. Zastanawiałam się, co będę czuła po wszystkich tych latach.

Ennisowie przygotowywali weselisko. Wszędzie rozchodził się zapach palonego rozmarynu i liści laurowych, które miały za zadanie odświeżyć powietrze. Rozkazałam zrobić to samo w Lyon Court, bo choć sitowie było regularnie wymieniane, od czasu do czasu wszystkie pomieszczenia wymagały okadzania. Normalnie robiliśmy to, przeprowadzając się do innej części budynku, lecz tym razem ze względu na spodziewanych gości należało odświeżyć powietrze w całym domu. Cieszyłam się, że dzięki babci sporo wiedziałam o ziołach i orientowałam się, jakie z nich dodać do normalnych składników, by umilić zapach.

W końcu nadszedł ów ekscytujący dzień, kiedy przyjechali goście. Mając na względzie bezpieczeństwo, podróżowali razem. Moja matka i Rupert mieli zatrzymać się u mnie, a Honey, Carey i ich dzieci — w Trewynd.

Cudownie było móc ponownie zobaczyć się z matką. Trochę się postarzała, lecz otaczał ją jakiś cudowny spokój, a Rupert powiedział mi, że są ze sobą bardzo szczęśliwi.

Wcześniej czy później musiało dojść do mojego spotkania z Careyem. Po raz pierwszy zobaczyliśmy się w sali paradnej w Trewynd, gdzie stał z Honey. Mimo upływu lat moja siostra nadal była piękna. Jej uroda należała do nie — zniszczalnych. Fioletowe oczy lśniły tak jak zwykle.

Natychmiast zdałam sobie sprawę, że w końcu znalazła szczęście w miłości. Była kobietą usatysfakcjonowaną i zadowoloną z życia., a dzięki temu jej uroda nabierała dodatkowej jakości.

Takie spotkania zawsze należą do wzruszających. Pocałowałam ją ciepło, przez cały czas zdając sobie sprawę z obecności Careya. Potem moje dłonie znalazły się w jego, a policzek Careya dotknął mojej twarzy. Poczulałam mocny uścisk jego palców.

— Catharine!

— Carey... Minęło tyle lat...

— Prawie w ogóle się nie zmieniłaś.

Za to on niemal w niczym nie przypominał dawnego Careya. Jego szczupła twarz, którą niegdyś tak bardzo kochałam i przez wszystkie minione lata doskonale pamiętałam, była dziwnie wymizerowana. Zastanawiałam się, czybym go poznała, nie wiedząc, że to on.

Mówiliśmy o podróży, o tym, co działo się w domu, i radości, jaką sprawiało im małżeństwo. Rozmowa przebiegała gładko i nie mogłam uwierzyć, że tak dobrze udało mi się ukryć własne uczucia podczas spotkania z Careyem.

Nieco inaczej było, gdy natknęliśmy się na siebie w ogrodzie nad stawem. Wtedy mogliśmy pozwolić sobie na całkowitą swobodę.

— Och, Catharine — powiedział. — Tak często o tobie myślę.

— A ja o tobie — odparłam.

— Musieliśmy się rozstać. — Potrząsnęłam głową. — Chciałem umrzeć — wyznał.

— Ja też. Ale żyjemy, ty masz dzieci, ja urodziłam syna i córkę.

— No cóż, oboje ułożyliśmy sobie jakoś życie — rzekł. — Kiedy dowiedziałem się, że zostałam porwana przez Hiszpanów, przeklinałem samego siebie, że mnie przy tobie nie było... że nie przeciwstawiłem się wszystkim i wszystkiemu.

— To było dawno temu. Jesteś teraz szczęśliwy... z Honey?

Jego twarz złagodniała.

— Kiedy cię straciłem, nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś spotka mnie szczęście.

Potem rozmawialiśmy o Roberto, a Carey uznał, że mój syn powinien zobaczyć trochę świata. Na pewno uda się znaleźć dla niego jakieś miejsce w kręgach dyplomatycznych.

To bardzo ucieszyło Roberto. Rzadko bywał taki podniecony.

\* \* \*

Po ślubie Carlos zamieszkał w Trewynd, a Ennisowie wyjechali z Roberto, moją matką, Rupertem, Careym, Honey i ich dziećmi.

Pomagałam młodej parze się urządzić.

Byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy. Ponownie zobaczyłam Careya i choć nie obeszło się bez rozdrapywania starych ran, nabrałam pewności, że pragnę Jake'a.

Kochałam Careya, kochałam Felipe, lecz obu straciłam. Z Jakiem było zupełnie inaczej. Stanowiliśmy jedność. Bez niego czułam się tak, jakby moje życie było połowiczne.

To dlatego musiałam nadal wierzyć w jego powrót.

\* \* \*

Był koniec lutego. Carlos przebywał na morzu, a Edwina spędzała Boże Narodzenie z nami. Udekorowałyśmy dom ostro krzewem i bluszczem, nie zabrakło też tradycyjnych gier i zabaw. Mijał czas. Linnet miała już prawie czternaście lat, a ja przekroczyłam czterdziestkę.

Bieda Edwina bardzo chciała mieć dzieci, lecz na razie nie miała o czym marzyć. Byłam bardzo wzruszona, widząc, jak jej wzrok biegnie w stronę horyzontu. Marzyła o dniu, kiedy pojawi się na nim statek z Carlosem na pokładzie.

W ciągu minionych lat ruch na morzach znacznie wzrósł. Obecnie pływało po nich sześć, może nawet siedem razy więcej żaglowców niż dawniej. Na morzu można było dorobić się bogactwa i sławy. Wszyscy mówili o Francisie Drake'u. Zdobył bogactwo i sławę — nie tylko dla siebie, lecz również dla kraju. Wszyscy ze śmiechem opowiadali sobie o Hiszpanach tak bardzo bojących się El Draque. Uważali go za potężne bóstwo — lub diabła — i drżeli przed nim.

Pewnego dnia Edwina przyszła do Lyon Court. Robiła to bardzo często. Powiedziała, że w Trewynd zatrzymali się na noc przyjaciele Careya jadący do swojej posiadłości w Kornwalii. Przywieźli wiadomości z Londynu. Wykryto tam następny spisek, który miał spore szanse na powodzenie. Gdyby do tego doszło, mielibyśmy już na tronie nową królową.

— To niemożliwe — powiedziałam. — Ludzie twardo stoją po stronie Elżbiety.

— Tak czy inaczej wydano z dworu ambasadora Hiszpanii. Bezzwłocznie ma wrócić do Madrytu. Ponadto aresztowano Francisa Throckmorta i osadzono go w Tower.

— Odkąd królowa Szkotów jest w Anglii, bez przerwy

mamy do czynienia z jakimiś spiskami.

— Zdaniem niektórych będzie tak nadal, aż do jej śmierci.

Nie rozumiem, czemu nasza władczyni z tym nie skończy. Ma Marię w rękach i podobno ministrowie nieustannie proponują pozbycie się królowej Szkotów, lecz Elżbieta wciąż z tym zwleka.

\* \* \*

Był czerwiec, a w ogrodzie zakwitły róże damasceńskie, które szczególnie lubiałam, ponieważ przypominały mi matkę. Nad stawem fruwały jętki, przy strumieniach kwitła tojeść, w żywopłotach i wśród róż mnóstwo było pokrzyw, a w powietrzu unosił się zapach kapryfolium.

Pogoda była wyjątkowo łagodna, a w powietrzu panował całkowity bezruch, jakby przyroda czekała na jakieś dramatyczne wydarzenie.

Doszłam do wniosku, że wkrótce Jake wróci do domu. W jeden z takich dni wyjrzę przez okno i zobaczę na horyzoncie „Nieokiełznanego Lwa”.

Gdy nadeszła noc, usiadłam w oknie i patrzyłam na morze. Na zewnątrz panował dziwny niepokój. Musiałam mieć jakieś przeczucie, ponieważ nagle usłyszałam dobiegający z oddali i powoli zbliżający się stukot końskich kopyt. Nikogo nie udało mi się zobaczyć. Po jakimś czasie zapadła cisza. Zastanawiałam się, kto może jeździć konno o tej porze. Wówczas ujrzałam na dole przemykającą przez dziedziniec postać.

Znałam tę sylwetkę. To Roberto — pomyślałam.

Szybko zeszałam na dół, otworzyłam ciężkie drzwi z żelaznymi okuciami i wyszłam na dziedziniec.

— Roberto! — zawołałam.

— Madre!

Wzięłam go w ramiona, a on niemal zaczął szlochać.

— Kochanie — powiedziałam. — Przyjechałeś do domu. Lecz dlaczego tak się skradasz?

— Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem — szepnął. — Mam ci tak dużo do opowiedzenia.

— Jesteś w opałach, Roberto?

— Nie wiem. Ale to całkiem możliwe.

Przerażona kazałam mu zdjąć buty. Uznałam, że musi dotrzeć do mojej komnaty najciszej jak to możliwe. W głębi duszy cieszyłam się, że Jake'a nie ma w domu.

Udało nam się bezpiecznie dojść do celu.

— Jesteś głodny? — spytałam.

— Jadłem w karczmie w pobliżu Tavistock — odparł.

— Powiedz mi, co się stało.

— Madre — wyznał — musimy osadzić na tronie prawdziwą królową. Koniecznie trzeba się pozbyć tego bękarta, tej Jezebel.

— O nie! — zawołałam. — Błagam, tylko nie to. Elżbieta jest dobrą i prawowitą władczynią.

— Ona nie ma prawa do tronu. Zapewniam cię, madre, że go nie ma. Kimże ona właściwie jest? Nieślubną córką Anny Boleyn. Maria jest potomkinią królów.

— Elżbieta jest córką wielkiego króla.

— I jego konkubiny. Prawowitą i legalną następczynią tronu jest królowa Maria. Dzięki niej w Anglii zwycięży prawdziwa wiara.

— Teraz już wszystko rozumiem — powiedziałam — masz na myśli katolicki spisek.

— Mam na myśli działanie mające na celu przywrócenie w Anglii prawdziwej religii, madre. Po naszej stronie stoi Hiszpania. Są gotowi do ataku. W ich dokach w dzień i w noc

wre praca. Budują armadę, jakiej świat nie widział. Nikt nie zdoła jej się oprzeć.

— Roberto, kochanie, my się jej oprzemy. Czy wyobrażasz sobie, że ludzie w rodzaju twojego ojczyma, Carlosa i Jacko ulegną choćby najwspanialszym okrętom świata?

— To samochwały. — Na twarzy Roberto pojawiła się pogarda i nienawiść. — Kiedy zobaczą, że płynie przeciw nim hiszpańska flotylla, zrozumieją, że zostali pokonani.

— Nigdy do tego nie dojdzie.

— Nie jesteś w stanie zrozumieć potęgi tych żaglowców, mądre.

Przypomniałam sobie majestatyczny hiszpański galeon.

— Ten dzień nadejdzie. Właściwie może się zdarzyć w każdej chwili. Nie powiodło nam się... ale za którymś razem się uda.

— Co cię tu sprowadza? — spytałam zaniepokojona. — Grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

— Trudno to wykluczyć. Nie mam pojęcia, czy wszyscy wiedzieli o moim udziale. Uznałem więc, że lepiej będzie, jeśli zniknę. Nikt nie wie, gdzie jestem. Mogą jednak wpaść na to, że byłem w sprawę zaangażowany. Throckmorton jest w Tower. Jeśli zaczną go torturować...

— Throckmorton?! — krzyknęłam. — Brałeś udział w jego spisku? Och, Roberto, Roberto, co ty najlepszego zrobiłeś?

— Otrzymałem swoje stanowisko z rekomendacji lorda Remusa i to może mnie uratować. Remus cieszy się ogromnym zaufaniem i poręczył za mnie. Uznałem jednak, że muszę zniknąć na jakiś czas. Więc przyjechałem tutaj. Lecz gdyby mnie szukali...

— Jak mamy utrzymać twoją wizytę w tajemnicy? —



zapytałam szybko.

— Tylko przez jakiś czas, madre... póki nie nabiorę pewności.

— Dzięki Bogu, że nie ma w domu twojego ojczyma.

Roześmiał się.

— Ależ miałyby radość, przekazując mnie Walsinghamowi.

— Walsinghamowi?! — zawołałam.

— Ten człowiek wszędzie ma swoich szpiegów. To on wpadł na trop naszego spisku.

— To wszystko przypomina koszmarny sen. Zawsze się tego obawiałam. Konflikty w rodzinie. Przez niego ucierpiała moja matka. A teraz...

W oczach Roberto dostrzegłam fanatyczny błysk. Ujął moje dłonie.

— Msdre — oświadczył — musimy w tym smutnym kraju przywrócić prawdziwą religię.

— Powiedz mi, jak bardzo byłeś w to zaangażowany. Co się stało?

— Francis Throckmorton dużo podróżował po Hiszpanii. Rozmawiał tam z wpływowymi ludźmi, widział podejmowane wysiłki. Z Madrytu pojechał do Paryża i tam spotkał się z agentami królowej Szkotów. Gwizjusze — rodzina Marii, obiecali wystawić armię, przeto Throckmorton wrócił do Londynu i usadowił się w domu przy Palus Harf. Tam przychodziły listy z Madrytu i Paryża. Następnie przekazywano je królowej Szkotów.

— O mój Boże, Roberto, w co ty się wpakowałeś?!

— W próbę ściągnięcia na ten kraj prawdziwego błogosławieństwa. W próbę przemówienia ludziom do rozsądku, pokazania im prawdy...

— A w ten sposób sam wpakowałeś się w niezłe tarapaty.

— Mądre, chętnie umrę dla wielkiej sprawy. Jakże

znaczenie będzie miała moja śmierć, jeśli ta sprawa zwycięży?

— Dla mnie będzie miała znaczenie — oświadczyłam ze złością. — Co mnie obchodzą wielkie sprawy! Interesuje mnie mój syn... moja rodzina. Nieważne, która doktryna bierze górę.

Wierzę w jedną prostą zasadę — miłość bliźniego. Nie ma znaczenia, w jaki sposób ktoś się modli, liczy się tylko to, czy postępuje jak na dobrego chrześcijanina przystało.

— Myślisz jak kobieta.

— Gdyby tak myślał cały świat, byłoby na nim o wiele więcej szczęścia.

— Szpiedzy Walsinghama zobaczyli, że Throckmorton od wiedza hiszpańskiego ambasadora. Został aresztowany, a jego dom przeszukano. Znalaziono w nim listę angielskich katolików gotowych wziąć udział w przedsięwzięciu mającym na celu przywrócenie dawnej religii.

— Czy na tej liście było twoje nazwisko?

— Możliwe.

Zamilkłam przerażona.

— Musimy cię ukryć, Roberto. Ale na jak długo? Musisz znaleźć się w kryjówce, nim jeszcze dom się obudzi.

— Manuela nam pomoże.

Wiedziałam, że ma rację.

— Zawołam ją — powiedziałam. — Lecz nikt nie może wiedzieć, dlaczego. Zostań tutaj. Nie ruszaj się z tej komnaty. Wychodząc, zamknę drzwi na klucz.

Zesłam do pokoju, który Manuela dzieliła z Jennet. Po raz pierwszy w życiu byłam zadowolona z rozwiązłego trybu życia swojej pokojówki, ponieważ jej nie było i zastałam tylko Manuellę. Miałam zamiar poprosić ją o coś na ból zębów, lecz ten wybieg okazał się zbędny.

— Manuelo — szepnęłam. — Jest tu Roberto.

Ochoczo poderwała się z pryczy.

— Wrócił? — spytała rozpromieniona.

— Być może grozi mu niebezpieczeństwo.

Przytaknęła, a ja wyjaśniłam:

— Musimy ukryć go na jakiś czas. Potrzebuję twojej pomocy.

Nie miałam wątpliwości, że ją uzyskam.

Wróciłyśmy do mojej komnaty i otworzyłyśmy drzwi. Manuela wzięła Roberto w ramiona. Zasypała go łagodnymi i pełnymi uczucia hiszpańskimi słowami. Zapewniała go, że gotowa jest za niego umrzeć.

Odwróciła się do mnie:

— Na obrzeżu ogrodu jest chata. Znajdują się w niej stare narzędzia ogrodnicze. Prawie nikt tam nie zagląda.

— Nawet ogrodnicy? — spytałam.

— Nawet oni tam nie chodzą. Wszystko, czego potrzebują, trzymają w altanie. Wokół chaty rosną chwasty i gęste krzaki.

Gdyby udało się nam ją zamknąć, można by ukryć w niej Roberto... przynajmniej na jakiś czas.

— Musimy to zrobić, póki nie wymyślimy czegoś lepsze go — uznałam. — Manuelo, nikt, z wyjątkiem nas dwóch, nie może wiedzieć, że ukrywamy tam Roberto.

Przytaknęła gorączkowo, a ja wiedziałam, że mogę całkowicie na niej polegać.

— Musimy zabrać jakiś pled, żeby nie było mu zimno, i ciepłe jedzenie. Możesz coś przynieść, Manuelo?

— Jeśli chodzi o opiekę nad Roberto, może pani całkowicie zdać się na mnie — odparła.

Wiedziałam o tym. Nie tylko naprawdę go kochała, lecz tak samo jak on była katoliczką i zależało jej na upadku królowej Elżbiety oraz osadzeniu na tronie Marii.

— Przyjechałeś na koniu — przypomniałam sobie. —  
Gdzie on jest?

— Przywiązałem go do palika.

Manuela i ja wymieniliśmy spojrzenia.

— Musimy zabrać go do stajni — powiedziałam. —  
Trzeba zrobić to tak, by wyglądało, że się zabląkał.

— Czy ktoś w to uwierzy? — spytał Roberto.

— A jakie mamy wyjście? Nie możemy go tam zostawić.  
Co więcej, gdyby był ci potrzebny, będziesz miał go pod  
ręką.

— Zajmę się tym — powiedziała Manuela.

Zrobiła to i chociaż w stajni mówiono o dziwnym koniu,  
który pojawił się nie wiadomo skąd, nikt zbytnio się temu nie  
dziwił. Zakładano, iż ktoś się po niego zgłosi. A do tego  
czasu należy o niego zadbać tak samo jak o inne.

Przez następne dwa tygodnie żyłam w ciągłym strachu i  
niepokoju.

\* \* \*

Nie przestawałam krążyć w pobliżu chaty. Umówiliśmy  
się, że będziemy pukać w drzwi w określony sposób i w  
żadnym innym wypadku nie wolno ich otwierać. Budziłam  
się w nocy zlana potem. Zdawało mi się, że słyszę, jak na  
dziejziniec wjeżdżają ludzie królowej. Nie miałam ani chwili  
spokoju. Nawet podczas posiłków podrywałam się na dźwięk  
końskich kopyt.

— Co ci dolega, mamusiu? — dopytywała się Linnet. —  
Podskakujesz przy byle dźwięku.

Cieszyłam się, że Jake'a nie ma w domu, bo gdyby był, na  
pewno nie udałoby się ukryć obecności Roberto.

Linnet poważnie się o mnie martwiła. Myślała, że jestem

chora. Chciałam powiedzieć córce, że udzielamy schronienia jej bratu, lecz nie wystarczyło mi na to odwagi. Ufałam jej, zależało mi jednak na tym, by nikogo w to nie wciągać.

Przez dwa tygodnie ukrywałyśmy Roberto w chacie. Sama nie wiem, jak nam się to udało. Manuela była stworzona do wszelkich spisków. To ona znalazła klucz do chaty i zamknęła w niej Roberto. Wysoko w ścianie znajdowało się okno, przez które, w razie konieczności, mógł uciec w gęste krzaki. Manuela potrafiła wszystko doskonale zaplanować, a dla Roberto pracowała ze zdwojonym zapalem.

Edwina przyniosła wiadomość, że Throckmorton został stracony w Tyburn. Trzykrotnie poddawano go torturom. Wyznał, że sporządził listę angielskich katolików, którzy gotowi byli poprzeć roszczenia królowej Szkotów. Wykonał również plany angielskich portów.

Tak więc Throckmorton nie żył. A co z ludźmi, którzy znajdowali się na jego liście?

Walsingham zawsze pracował w cieniu. Nawet jeśli wiedział, że ktoś brał udział w jakichś knowaniach, wcale nie spieszył się z aresztowaniem go. Często bardzo długo obserwował podejrzanego, licząc na to, że w ten sposób zdoła dotrzeć do innych spiskowców.

Skąd mieliśmy wiedzieć, czy Walsingham nie poszukuje Roberto?

Nikt nie pytał o mojego syna. Od chwili opuszczenia przez niego Londynu upłynęło już trochę czasu i z pewnością, gdyby był o coś podejrzany, zaczęto by poszukiwania od jego rodzinnego domu.

Roberto również zdał sobie z tego sprawę, dlatego postanowił wyjechać.

Pewnej nocy, kiedy całe domostwo pogrążone było we śnie, obie z Manuela powędrowałyśmy do stajni.

Osiadłałyśmy deresza i pożegnałyśmy się z Roberto.

Rano służący stwierdzili, że zwierzę zniknęło tak samo, jak się pojawiło. Na to właśnie liczyła Manuela.

— Uważaj na siebie, synu — prosiłam.

\* \* \*

Kilka miesięcy po wyjeździe Roberto, obudziwszy się rankiem, zobaczyłam na wodach zatoki dziwny zagłowiec.

W Hoe zebrał się niewielki tłum, który obserwował ów niezwykły statek. Nigdy wcześniej takiego nie widzieli. Był długi, miał jeden żagiel i egzotyczne napisy. Wyglądało na to, że jego załogę stanowią galernicy.

— To arabska galera — brzmiał werdykt.

— Turecka — uznał ktoś inny.

Jak zwykle powędrowałam do Hoe, mając nadzieję, że dowiem się czegoś o Jake'u.

Obserwowałam płynącą w stronę brzegu łódkę. Nagle zdarzył się cud. Zobaczyłam Jake'a. Przez chwilę stałam jak wryta i wpatrywałam się w niego. On również nie odrywał ode mnie wzroku. Potem niespodziewanie wokół mnie rozległ się hymn triumfalny, intonowany przez tysiące głosów.

Jake wrócił do domu.

## *Próba morderstwa*

Stał przede mną... Zmienił się, zaiste, bardzo się zmienił. Wyszczupłał, dzięki czemu sprawiał wrażenie wyższego niż zwykle. Od długiego pobytu na słońcu włosy niemal całkiem mu wybielały, ogorzała twarz pokryta była większą ilością zmarszczek, ale oczy nadal zaskakiwały swym błękitem.

Ogarnięta szaloną radością, rzuciłam mu się na szyję.

Obejmował mnie przez dłuższą chwilę, a potem odsunął od siebie i badawczo przyjrzał się mojej twarzy.

— Wciąż ta sama Cat — powiedział.

— Och, Jake — odparłam. — Tak długo cię nie było.

Po wejściu do domu rozejrzał się ze zdumieniem, po czym z miłością i podziwem dotknął ścian. W ciągu minionych lat bardzo musiał marzyć o tej chwili i o powrocie do nas, zwłaszcza do mnie!

— Nie przygotowaliśmy żadnego powitania — mówiłam zawstydzona. — Gdybym wiedziała, urządziłabym takie święto...

— Nie ma sprawy — rzekł. — Wystarczy, że jestem w domu.

\* \* \*

Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Stopniowo poznawałam całą historię i dowiadywałam się o wszystkim, co w tym długim czasie przydarzyło się Jake'owi.

Opowiedział mi o tym, jak spotkali Hiszpanów, a potem w pogoni za jednym z galeonów odłączył się od swojej grupy.

Hiszpanie uciekli. „Nieokiełznany Lew” znacznie ucierpiał podczas bitwy. Zdając sobie sprawę, że okręt nie nadaje się

do dalekiej podróży, Jake zaczął rozglądać się za jakimś miejscem, gdzie mógłby dokonać niezbędnych napraw. Nie było to łatwe zadanie, jako że znajdowali się na wodach, na których w każdej chwili mogli pojawić się Hiszpanie. Jake znał wybrzeże Afryki, przyszło mu więc na myśl, że może uda mu się — za pomocą groźby lub namowy — przekonać tubylców, by pomogli mu wyremontować statek.

Była to opowieść o nieszczęściach, trudnościach i chwilach rozpacz.

Przypuszczałam, iż musiał być potwornie wściekły, kiedy zostawił „Nieokiełznanego Lwa”, ruszył w głąb łądu, a po pokonaniu osiemdziesięciu kilometrów został pojmany przez Hiszpanów.

Dumny Jake w takich rękach! Jakże musiało go to złościć!

Nie opowiedział mi całej historii od razu. Poznawałam ją w kawałkach, z których dopiero potem udało mi się złożyć całość. Zapewniałam samą siebie, że z biegiem lat dowiem się więcej i dokładniej poznam wydarzenia, które przez tyle lat trzymały mojego męża z dala od domu.

Na razie zapoznawał mnie jedynie z drobnymi epizodami. Skuci w łańcuchy, maszerowali przez dżunglę pełną dokuczliwych moskitów, które stały się przyczyną śmierci kilku spośród marynarzy. Nie brakowało też pijawek, które przyczepiały im się do nóg, ilekroć próbowali ochłodzić je w strumieniach. Jednakże najgorsza był świadomość, że są niewolnikami Hiszpanów.

Jake spędził w dżungli dwa lata, nim wyruszył w drogę morską do Hiszpanii. Został ujęty wraz z członkami swojej załogi. Do tego momentu przetrwało ich zaledwie trzydziestu. Wiedzieli, co ich czeka... Hiszpania i inkwizycja. Człowiek, który pływał po morzach tylko po to, by okradać, plądrować i niszczyć hiszpańskie żaglowce, nie mógł liczyć na litość.



Na szczęście dla Jake'a — choć w tych okolicznościach właściwie trudno mówić o szczęściu — na Morzu Śródziemnym galeon, którym płynęli, natknął się na kilka statków tureckich piratów. W potyczce z nimi Hiszpanie ponieśli porażkę. Jake i jego ludzie zostali więźniami Turków.

Mój biedny Jake został sprzedany jako niewolnik! Dopisała mu jednak odrobina szczęścia, ponieważ razem z całą swoją załogą został odesłany na galere, gdzie przez wiele lat ciężko pracowali, poruszając wiosłami.

Stracił rachubę czasu, lecz zawsze powtarzał, iż pewnego dnia ucieknie. To bardzo spodobało się jego ludziom. Wciąż ich zapewniał, że wrócą do Anglii.

Opowiedział mi, jak bardzo marzył o powrocie do domu i nigdy nie dopuszczał do siebie myśli, że może mu się to nie udać.

Niezwykłe obrazowo odmalował życie na śmierdzącej galerze. Mówił o nieustannym znoju, monotonnym dudnieniu bębna, dzięki któremu wioślarze poruszali się w odpowiednim tempie, i właścicielowi galery wymachującym batem nad tymi, którzy opadli z sił.

— Och, Jake! — zawołałam. — Jak ty to zniosłeś?

Zniósł. Na dodatek wrócił. Wszyscy żeglarze, opuszczając dom, zdają sobie sprawę, że może spotkać ich coś złego. Choć spędził na morzu wiele lat, uprzednio zawsze dopisywało mu szczęście. Wszystko zmieniło się dopiero owego fatalnego dnia, kiedy wyruszył w pościg za Hiszpanem. Potem tylko pech kazał mu wysiąść na brzeg w miejscu zajętym wcześniej przez przekłętą wroga.

— Przez cały czas czekałem na właściwy moment — wyznał. — Przy pracy ani na chwilę nie przestawałem planować ucieczki. Czasami uwalniali nas z łańcuchów. W

końcu musieli utrzymać nas przy życiu. Mam dobrą i wierną załogę, dzięki temu udało nam się wykorzystać większość tych chwil.

Resztę opowie mi później. Zostało jeszcze mnóstwo niemiłych szczegółów. Jednak wcześniej chciałabym usłyszeć, jak udało mu się wrócić do domu.

Wraz z pięćdziesięcioma niewolnikami obezwładnili kapitana tureckiego statku. Pojmali go i po wielu przygodach dopłynęli do Plymouth.

Powiedziałam mu, że teraz przez jakiś czas nie powinien wpyływać w morze. Muszę go wykurować.

Słyszając to, wybuchnął gromkim śmiechem. Był zdrów jak ryba.

— Trudności jedynie hartują człowieka — oświadczył.

Lecz wyglądało na to, że chętnie przebywa w domu. „Nieokiełznany Lew” przepadł, trzeba więc wybudować nowy statek. Jake koniecznie chciał być świadkiem jego powstawania.

Ucieszył się, że chłopcy pływali z Drakiem. Doszedł do wniosku, iż każdy z nich powinien dowodzić własnym okrętem.

Wydaje mi się, że byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. W końcu pogodziłam się ze sobą. Aczkolwiek być może podczas nieobecności Jake’a trochę go gloryfikowałam. Wielu rzeczy musiałam uczyć się od nowa. Zapomniałam, że potrafi być bardzo szorstki, wymagający i kłótlivy. Chociaż w głębi duszy cieszyłam się z jego powrotu, ani na chwilę nie przestawałam się z nim sprzeczać.

Wciąż był zły, że nie dałam mu chłopca, a ja denerwowałam się, ponieważ nadal ignorował Linnet, choć była wyjątkowo ładna i bardziej podobna do niego, niż wydawałoby się to możliwe. Ona też go nie polubiła.

Prawdopodobnie, mówiąc o nim, stworzyłam obraz, który obecnie uznała za fałszywy. W ogóle się nie rozumieli.

Ku mojej ogromnej radości wkrótce po powrocie Jake'a zaszłam w ciążę. Doszłam do wniosku, że tym razem musi to być chłopiec.

Jakże pragnęłam tego syna, dziecka nowej Catharine, kobiety, która w końcu pogodziła się z losem i wiedziała, jak dobrze obeszło się z nią życie. Jake wrócił i niezależnie od tego, jak niemiłe słowa padały w naszych zażartych kłótniach, zdawałam sobie sprawę, że bez niego nie potrafię być szczęśliwa.

To była cudowna świadomość. Znowu był ze mną, dlatego bardzo mi zależało na tym, by dać mu syna.

Jake miał mnóstwo roboty przy budowie nowego statku.

Przyjemność sprawiało mu towarzystwo Carlosa i Jacko, a obecnie trzynastoletni synek Romilly, Penn, wyraźnie ubóstwiał mojego męża.

Mijały miesiące. Jake często opowiadał o swoich przygodach i coraz dokładniej poznawałam historię minionych lat.

Pewnego razu powiedziałam:

— Teraz, kiedy jesteś już w domu i nic ci nie grozi, pewnie nie będziesz chciał wrócić na morze.

Spojrzał na mnie zdumiony i wybuchnął śmiechem.

— Zwariowałaś? Przecież buduję sobie piękny statek. Jak żeglarz mógłby zrezygnować z pływania? Mam zamiar zabić jeszcze mnóstwo Hiszpanów. Muszę wyrównać rachunki...

Trochę się zmienił.

Często mówił o chłopcu, na którego właśnie czekaliśmy.

— Nasz syn — mawiał — będzie najlepszy z całej tej bandy. Nazwiemy go Jake — po ojcu.

Odparłam, że nie śmiałybym dać mu żadnego innego

imienia.

Jake znalazł też nazwę dla swego statku. Oczywiście, znowu był to „lew”. „Zwycięski Lew”, ponieważ stało przed nim ogromne zadanie — pomszczenie poprzednika. Miał być silniejszy, mieć ostrzejsze pazury i mocniejsze kły. Miał zmieść Hiszpanów z powierzchni mórz.

\* \* \*

Wszystko było gotowe do porodu. Akuszerka wprowadziła się do naszej rezydencji na tydzień przed tym wydarzeniem. Nie chcieliśmy ryzykować.

Tak oto przyszło na świat moje następne dziecko.

Leżałam w łóżku, czując tę dziwną mieszaninę wyczerpania i triumfu, tak doskonale znaną każdej kobiecie. Potem poznałam prawdę. Urodziłam zdrowe i wspaniałe pod każdym względem dziecko... nie zgadzała się tylko płeć, gdyż była to dziewczynka.

Wszedł Jake. Widziałam, jak skrzywił twarz.

— Dziewczyna! — zawołał. — Następna dziewczyna!

Łzy napłynęły mi do oczu, a potem potoczyły się po policzkach. Byłam potwornie osłabiona, dlatego trudno mi było znieść jego złość i rozgoryczenie.

Linnet stała obok mojego łóżka.

— Mamusiu, to cudowne! — zawołała. — Mam siostrzyczkę... kochaną maleńką siostrzyczkę. Wracaj szybko do zdrowia, mamusiu.

Pochyliła się nade mną i pocałowała mnie, a kiedy Jake wyszedł z komnaty, pobiegła za nim. Słyszałam jej głos:

— Ty draniu! Jesteś potwornym niewdzięcznikiem! Ona tak bardzo się nacierpiała, a ciebie to w ogóle nie obchodzi. Interesuje cię jedynie, czy masz syna. Nienawidzę cię!

Usłyszałam jakiś dziwny dźwięk, a potem plaśnięcie. Doszłam do wniosku, że Jake ją uderzył.

Próbowałam wstać, ale mi się to nie udało. Akuszerka przytrzymała mnie w łóżku.

— Przyniosę pani dziecko — powiedziała. — To śliczna mała dziewczyneczka.

Trzymając ją w ramionach, natychmiast zapałam do niej ogromną miłością.

Postanowiłam nazwać ją Damask, na cześć mojej matki.

\* \* \*

Potem Jake trochę żałował. On, człowiek, który nigdy nie okazywał żadnych uczuć, nie zdołał przy moim łóżku ukryć gorzkiego rozczarowania. Przyszedł zobaczyć dziecko, jednak na widok pomarszczonej różowej twarzyczki mojej drugiej córeczki nie zdołał ukryć obrzydzenia.

— Wygląda na to, że już nigdy nie dorobię się synów — powiedział.

— Wszystko na to wskazuje — odparłam. — Popełniłeś błąd. Wybrałeś mnie na matkę swoich synów. Pomyliłeś się. Powinieneś zdecydować się na kogoś innego.

Nagle się roześmiał.

— Nie ma sensu rozczulać się nad tym, co już się stało.

— Zaiste — przyznałam. — Każde z nas popełniło jakieś błędy i teraz musimy za nie cierpieć.

— Na Boga, pod tym względem całkiem się z tobą zgadzam. Tak więc mam następną córkę, która niewątpliwie wyrośnie na istotę podobną do swojej siostry. — Dotknął policzka. — To młode diable — ciągnął. — Uderzyła mnie. Zbesztła mnie za to, jak cię potraktowałam, a potem błyskawicznie podniosła rękę i dała mi w twarz. Tej młodej

kobiecie należałoby dać dobrą nauczkę.

— Uważaj, żeby to ona nie dała nauczki tobie.

— Nie tylko mam żonę, która nie potrafi urodzić mi syna. Dorobiłem się jeszcze córki — megiery. Na Boga, mój dom obraca się przeciwko mnie. — Zacisnął prawą rękę w pięść i uderzył nią w lewą dłoń. — Chciałem mieć chłopca — powie dział. — Niczego na świecie nie pragnąłem tak bardzo jak chłopca.

\* \* \*

Był w domu chłopiec — synek Romilly, Penn. Po urodzeniu się Damask Jake bardziej się nim zainteresował. Penn był bystrym, nieustraszonym smykiem, wykazującym ogromne zainteresowanie morzem i okrętami. Jake miał model „Nieokielznanego Lwa”. Przyłapał malca na rozbieraniu owego modelu na części. Powinien go za to skarcić, lecz potraktował całą sprawę z wyjątkową pobłażliwością. Pokazał chłopcu, jak obsługuje się zagłowiec. Byłam rozbawiona, widząc, jak puszczają miniaturowego „Nieokielznanego Lwa” na stawie w ogrodzie.

Romilly zaróżowiła się z zadowolenia. Podeszłam do niej. Stała nad wodą z zaciśniętymi pięściami, jakby była w stanie ekstazy, i obserwowała Jake’a bawiącego się z odważnym Pen — nem. Najprawdopodobniej liczyła na to, że Jake zrobi dla jej syna to, co zrobił dla Carlosa i Jacko. Byłam pewna, że jej tego nie odmówi. Penn miał morze we krwi, ponieważ jego dziadek, jak często mawiał Jake, był najlepszym kapitanem, jaki kiedykolwiek mu służył.

Mijały miesiące. Coraz częściej mówiło się o rosnącej potędze Hiszpanii. Przetrzymana w więzieniu królowa Szkotów stanowiła nieustające zagrożenie. Wciąż krążyły

pogłoski o spiskach mających na celu osadzenie jej na tronie i przywrócenie w Anglii katolicyzmu.

Królowa obsypywała żeglarzy ogromnymi zaszczytami. Dużo mówiło się o wielkiej flotyli budowanej przez Filipa hiszpańskiego. Ludzie wiwatami witali wpływające do cieśniny angielskie statki, jakby liczyli na to, że uchronią nas one od nieszczęść, jakie mogą ściągnąć na nas Hiszpanie.

Starzy marynarze w Hoo często opowiadali o Hiszpanach. Kilku z nich było w hiszpańskiej niewoli. Jeden z ludzi został postawiony przed inkwizycją, był torturowany, lecz jakimś cudem zdołał zbiec, dzięki czemu nie spalono go na stosie. Miał bardzo dużo do powiedzenia. Ludzie zaczęli rozumieć, że na statkach wchodzących w skład hiszpańskiej armady będą nie tylko armaty i skorzy do walki ludzie, lecz również narzędzia tortur: koło do łamania, urządzenie do miażdżenia kciuka i przypominająca zabawkę „córka zamiatacza ulic”.

John Gregory, który wciąż był z nami, żył w ciągłym strachu. Zastanawiałam się, co by się z nim stało, gdyby ponownie dostał się w ręce Hiszpanów.

W tym czasie Hiszpania i Anglia toczyły ze sobą niemal otwartą wojnę. Filip ogłosił, że przechwyci każdy statek napotkany na hiszpańskich wodach. Elżbieta obiecywała, iż odpłaci pięknym za nadobne. Pragnąc się zemścić za krzywdy wyrządzone jej i dzielnym angielskim marynarzom, wyposażyła dwadzieścia pięć okrętów. Kto mógł kierować tym wielkim przedsięwzięciem, jeśli nie sir Francis? Wyruszył więc na pokładzie „Elizabethan Bonaventure” z sercem przepełnionym żądzą zemsty.

Słyszeliśmy opowieści o jego wyczynach. Wiedzieliśmy, że atakuje hiszpańskie porty i wywozi skarby. Drake popłynął również do Wirginii, gdzie rozmawiał z kolonistami, którzy

zostali tam wysłani przez Waltera Raleigha.

W jakiś czas później w Anglii pojawiły się ciekawe produkty. Jednym z nich były ziemniaki, które bardzo przypadły nam do gustu i z doskonałym skutkiem zaczęliśmy podawać je do mięs. Po raz pierwszy zetknęliśmy się również z tytoniem, rośliną, której liście suszyło się, skręcało i paliło. Co dziwne, wiele osób zaczęło znajdować w tym przyjemność.

To były bardzo niespokojne czasy. Nie byliśmy pewni, kiedy z naszych okien zobaczymy hiszpańską armadę. Jake powiedział, że to bzdura. Zostaniemy wcześniej ostrzeżeni. Sir Francis Drake i ludzie tacy jak on wszystkiego pilnują. Nie mamy się czego bać. Hiszpanie nie są jeszcze gotowi, lecz kiedy rzeczywiście się pojawią, na Boga, będziemy na nich czekać.

Postanowił, że póki ta sprawa nie zostanie rozwiązana, nie wypłynie w żaden dalszy rejs. Oddał swoje okręty do dyspozycji królowej. Chętnie zaatakowałby hiszpańskie porty, lecz chciał być pod ręką, gdyby doszło do spodziewanej konfrontacji.

Jake trochę się zmienił. Wyglądało na to, że cieszy go przebywanie w domu. Stał się niemal domatorem. Nie dostrzegał Damask, lecz bacznie przyglądał się Linnet, a fakt, że nim gardziła, wyraźnie go bawił. Penn traktował go jak bohatera — chodził za Jakiem z dyskretnej odległości, czekając, aż mój mąż krzyknie na niego, żeby zmiatał, lub zamieni z nim kilka słów.

Wydawało mi się, iż Jake złagodniał. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Pogodził się z faktem, że nie będziemy mieli syna.

Na moje urodziny ofiarował mi krzyż wysadzany rubinami. Był to piękny klejnot. Zastanawiałam się, czy przez



przypadek nie został zabrany z jakiegoś hiszpańskiego domu, lecz nie pytałam o to, ponieważ nie chciałam kwestionować urodzinowego prezentu.

Jake lubił, gdy nosiłam tę ozdobę, więc dość często zakładałam ją na szyję.

Kilka tygodni po otrzymaniu tegoż krzyża zaczęły mnie dręczyć sporadyczne bóle głowy. W takich wypadkach wydawałam polecenia, by jedzenie przynoszono mi do mojej komnaty. Najczęściej robiła to Jennet, ponieważ na przekór wszystkim naszym nieporozumieniom zawsze chciałam, żeby była moją pokojówką.

Jake nie okazywał ani odrobiny wyrozumiałości. Nigdy nie mu nie dolegało, a całkowity brak wyobraźni uniemożliwiał mu zrozumienie tego, co czują inni ludzie. Dlatego, gdy nie czułam się najlepiej, wolałam być sama, zostawałam więc w swojej komnacie. Przychodziła do mnie Linnet i zabawiała mnie rozmową. Traktowała mnie z ogromną czułością i opiekowała się mną, co mnie serdecznie bawiło, ponieważ zawsze potrafiłam zatroszczyć się o siebie.

Przy jednej z takich okazji Jennet przyniosła mi coś w rodzaju zupy. Była w niej nowość — ziemniaki — i trochę grzybów. Smakowała mi, lecz w nocy bardzo źle się poczułam. Miałam mdłości i wysoką temperaturę. Zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, by zaszkodziła mi ta właśnie zupa.

Poszłam porozmawiać z kucharką. Dowiedziałam się od niej, że inni jedli to samo i czują się dobrze. Zdałam sobie sprawę, iż wszyscy się obawiają, czy przypadkiem nie złapałam śmiertelnych potów.

Powiedziałam, że w zupie były jakieś grzyby. Wiedziałam o istnieniu muchomorów, które bardzo przypominają grzyby jadalne. Czy to możliwe, by użyto jednego z nich?

Kucharka była oburzona. Czyż nie gotuje od dwudziestu lat? Gdyby nie odróżniała muchomora od normalnego grzyba, powinno się ją powiesić, żywcem odciąć i poćwiartować.

Powrót do zdrowia zajął mi kilka dni, a mniej więcej po tygodniu zapomniałam o tym incydencie. W jakiś czas później historia się powtórzyła.

Zjadłam w swojej komnacie połówkę kurczaka z chlebem, który namoczyłam w kuflu piwa, lecz pijąc je, poczułam w nim jakiś dziwny zapach. Po paru łykach postanowiłam go nie kończyć, gdyż w tym właśnie momencie przyszła mi do głowy przerażająca myśl.

Zjadłam zupeł. Inni też ją jedli. Źle się czułam, przeto moją porcję przyniesiono mi do komnaty. Co się z nią stało w drodze na piętro?

Powąchałam piwo. Coraz bardziej byłam przekonana, że wyczuwam w nim jakiś dziwny zapach. Ktoś czymś je doprawił, nim do mnie dotarło. Kto?

Znalazłam jakąś butelkę i wlałam do niej piwo. Resztę chlusnęłam za okno. Kiepsko się czułam. Byłam pewna, że piwo zostało czymś zaprawione. Czy to możliwe, że ktoś w tym domu próbuje mnie otruć?

Wyjęłam buteleczkę z szuflady, do której ją wsunęłam. Ponownie powąchałam jej zawartość. Na dnie powstał dziwny osad.

O Boże — pomyślałam. — Ktoś naprawdę próbuje mnie zabić. Ktoś z tego domu. Kto to może być?

Jake!

Czemu natychmiast na myśl przyszło mi właśnie jego imię? Czy dlatego, że najczęściej to mężowie usiłują pozbyć się żon? Jake mnie wybrał. Zaiste, miałam być matką jego synów. Czy to możliwe, by tak bardzo zależało mu na

chłopcach, że... Nie mogłam w to uwierzyć.

Dla ludzi takich jak on życie nie miało zbyt wielkiego znaczenia. Dokładnie przypomniałam sobie scenę, kiedy Jake wbił miecz w pierś Felipe. Ilu ludzi zabił mój mąż? Czy w związku z tym dręczą go wyrzuty sumienia? Z drugiej jednak strony wtedy chodziło o wrogów, a ja jestem jego żoną.

Mimo to, gdyby naprawdę chciał się mnie pozbyć...

Siedziałam w swoim oknie i wyglądałam na zewnątrz. Nie byłam w stanie stawić czoła Jake'owi. Po raz pierwszy czułam, że brakuje mi odwagi. Zawsze wcześniej miałam świadomość, że mój mąż bardzo mnie pragnie. Teraz szczerze w to wątpiłam.

Podeszłam do lustra i bacznie się sobie przyjrzałam. Nie byłam już młoda. Miałam czterdzieści pięć lat i zaczynało być już za późno na rodzenie synów. Człowiek nawet nie dostrzega, iż się starzeje. Nadal czułam się, jakbym miała dwadzieścia... no, powiedzmy: dwadzieścia pięć lat, dlatego wyobrażałam sobie, że nadal jestem w tym wieku. Lecz mijający czas na każdym wyciska swoje piętno. Kłopoty zostawiają linie wokół oczu i ust. Nie byłam już młodą kobietą. Jake także przestał być młokosem. Lecz mężczyźni tacy jak on nigdy się nie starzeją. Wciąż pragną młodych kobiet i sądzą, że mają do nich prawo.

Ponownie usiadłam w oknie.

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich Linnet.

— Co tu robisz, mamusiu? — spytała.

— Wyglądam przez okno.

— Źle się czujesz?

Podeszła do mnie i bacznie mi się przyjrzała.

— Jesteś chora?

— Nie, nie. Jedynie trochę boli mnie głowa.

\* \* \*

Zaniosłam buteleczkę z piwem do aptekarza mającego sklepik na jednej z wąskich uliczek Hoe. Dobrze go znałam. Przygotowywał dla mnie perfumy, poza tym często kupowałam jego ziołowe mieszanki.

Spytałam, czy mogę porozmawiać z nim na osobności. Poprowadził mnie do niewielkiego pokoiku na tyłach sklepu. Na dźwigarach wisiały wiązki suszonych ziół, a w całym pomieszczeniu rozchodziły się miłe zapachy.

— Czy byłby pan w stanie mi powiedzieć, co zawiera to piwo? — spytałam. Wyglądał na zaskoczonego. — Odnoszę wrażenie, że ma trochę zmieniony smak. Może pan zdoła mi wyjaśnić, dlaczego.

Wziął ode mnie buteleczkę i powąchał jej zawartość.

— Kto jest pani browarnikiem?

— Nie sądzę, by winę za to ponosił mój browarnik. Reszta beczułki jest zupełnie dobra.

— Coś zostało tu dodane — przyznał. — Proszę dać mi trochę czasu. Może uda mi się sprawdzić, co to takiego.

— Oczywiście — odparłam. — Wpadnę za dwa dni.

— Sądzę, że do tego czasu będę już umiał pani coś na ten temat powiedzieć — obiecał.

\* \* \*

Kiedy wróciłam do Lyon Court, nagle wszystko zaczęło wydawać mi się groźne. Lwy pilnujące werandy stały się potężne, przebiegłe, złowieszcze i żądne krwi. Odnosiłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, choć nie potrafiłam powiedzieć, z którego okna.

Bez przerwy wracała do mnie myśl, iż ktoś z domowników

chce mnie zabić.

Teraz byłam pewna, że do mojej zupy dodano jakąś truciznę. Następnie zaprawiono czymś piwo.

Bardzo dużo zależało od tego, co za dwa dni powie mi aptekarz.

\* \* \*

Źle spałam. Byłam błąda i miałam cienie pod oczyma. Leżałam w łóżku obok Jake'a i zastanawiałam się, czy to on chce się mnie pozbyć.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie życia bez niego. Pragnęłam nadal być z nim, zależało mi na tym, by w dalszym ciągu pragnął mnie bardziej niż ja jego. Chciałam się z nim kłócić. Krótko mówiąc, marzyłam o tym, by wszystko było jak dotychczas.

Lecz on się zmienił. Wydawało mi się, że całą jego uwagę pochłania zbliżająca się konfrontacja z Hiszpanią. Tylko czy tak było naprawdę?

Zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

O zmierzchu ze świeczką w ręce wybrałam się do wieżyczki, w której byłam kilka godzin wcześniej. Zgubiłam kokardę od sukni i chciałam sprawdzić, czy nie odpadła mi właśnie tam. To skrzydło domu było właściwie opustoszałe. Normalnie nawet bym się nad tym nie zastanawiała, ale ostatnio zrobiłam się nerwowa i podskakiwałam przy każdym dźwięku. Kiedy wchodziłam po spiralnych schodach, wydawało mi się, że słyszę dochodzący z góry hałas. Stałam. Trzymana przeze mnie świeca rzuciła na ścianę wydłużony cień. Zauważyłam coś, co przypominało pociągłą twarz — lecz był to jedynie powtórzony kształt zacieku z wosku.

Stałam w całkowitym bezruchu. Byłam pewna, że słyszę dochodzący z góry oddech. Kręte schody sprawiały, że widać było zaledwie kilka najbliższych stopni. Poczułam, że po kręgosłupie przebiega mi dreszcz. Instykt podpowiadał mi, iż grozi mi niebezpieczeństwo.

— Kto tu jest?! — zawołałam.

Nikt się nie odezwał. Słyszałam jednak, że ktoś szybko nabrał powietrza w płuca.

— Kimkolwiek jesteś, zejdź na dół! — rozkazałam.

Nadal panowała cisza.

Czułam się tak, jakbym zapuściła korzenie. Przez kilka sekund nie byłam w stanie się ruszyć. Ktoś tam na górze na mnie czyhał... ktoś, kto posłał mnie do chaty Mary Lee, ktoś, kto zatrzał moją zupę i piwo.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, żebym nie wchodziła wyżej i nie próbowała poznać prawdy. To nie była odpowiednia pora. Gdybym zrobiła następny krok, mogłoby to się dla mnie bardzo źle skończyć.

Nagle wydawało mi się, że słyszę skrzypienie deski. Odwróciłam się, i tak szybko, jak mogłam, zbiegłam ze schodów.

Poszłam do swojej komnaty. Położyłam się na łóżku. Serce biło mi jak szalone. Byłam przerażona. To zupełnie do mnie nie pasowało, lecz ostatnie wydarzenia wstrząsnęły mną bardziej, niż przypuszczałam, poza tym czułam się gorzej niż zwykle.

Doszłam do wniosku, że muszę być silna. Muszę dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi i czy rzeczywiście ktoś dybie na moje życie.

Przecież wiesz — powiedział mój wewnętrzny głos.

Nie wierzę w to — odparłam samej sobie. Jake nie mógłby tego zrobić. Wiem, że zabił kilku ludzi. Brał, co chciał...

zawsze tak było. O nie, to niemożliwe.

Czemu nie? Może już cię nie chce? Może stoisz między nim a czymś, czego pragnie? Na przykład młodą kobietą, która mogłaby dać mu synów?

W tym momencie drzwi się otworzyły. Wiedziałam, że to Jake.

Czyżby przyszedł prosto z wieżyczki? Co teraz zrobi?

Czy to możliwe, by naprawdę chciał się mnie pozbyć? Kiedyś bardzo mu na mnie zależało, jak może teraz chcieć kogoś innego? Jake nie dopuszczał, by ktoś lub coś stanęło mu na przeszkodzie. Życie innych? Jakież to ma dlań znaczenie? Nie mogłam zapomnieć martwego Felipe, leżącego na podłodze w hacjendzie.

Jake nigdy nie okazał wyrzutów sumienia z powodu tego morderstwa. Teraz stał przy moim łóżku i patrzył na mnie. Wymówił szeptem moje imię, choć zazwyczaj po prostu je wykrzykiwał.

Nie odpowiedziałam. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy, jednocześnie żywiąc owe potworne podejrzenia. Nie potrafiłam spytać: „Jake, czy to ty próbujesz mnie zabić?”

Bałam się.

Udałam przeto, że śpię. Po kilku minutach wyszedł.

\* \* \*

Poszłam do apteki. Na mój widok aptekarz uklonił się i wprowadził mnie do pomieszczenia, gdzie na dźwigarach porozwieszane były wiązki ziół.;

— Znalazłem w pani piwie ślady sporyszu — oznajmił.

— Sporyszu?

— To pasożyt, który atakuje trawę, a nierzadko żyto. Zawiera bardzo mocne trucizny znane jako toksyna

sporyszowa, ergometryna i ergotamina.

— Skąd wzięły się w piwie?

— Mogły zostać dodane.

— Jak to możliwe?

— Gotuje się liście i dodaje wywar. Po zjedzeniu chleba upieczonego z żyta zarażonego sporyszem ludzie zazwyczaj umierają.

— Rozumiem. A zatem piwo, które przyniosłam, było zatrute.

— Zawierało sporysz.

Podziękowałam mu i dobrze zapłaciłam za trud. Dałam też do zrozumienia, że nie chcę w tej chwili z nikim omawiać tej sprawy, a on taktownie zapewnił mnie, że rozumie moje życzenie i uszanuje je.

Wracając do Lyon Court, usiłowałam przypomnieć sobie to, czego nauczyłam się od swojej babci na temat roślin, które można zastosować w kuchni.

Przypomniałam sobie, jak mówiła: „Musisz umieć rozróżnić dobrą od złej. To sekret, Catharines. Weźmy na przykład grzyby. Wielu ludzi bardzo je lubi. Na polach, łąkach i w lesie można znaleźć najlepsze rzeczy do jedzenia, aliści istnieją też niszczące rośliny, które maskują się równie dobrze jak ludzie. Natkniesz się na paskudnego muchomora lub ciemiernik czarny, który odpędzi cię samym zapachem, lecz muchomor sromotnikowy i zdradziecki borowik szatański właściwie niczym nie różnią się od normalnego grzyba.

Byłam zdziwiona nazwami „muchomor sromotnikowy” i „borowik szatański”, zdumiewała mnie również powaga babci. Może zresztą dzięki temu tak dobrze to zapamiętałam.

Ktoś mógł dorzucić muchomora sromotnikowego lub borowika szatańskiego do mojej zupy. Ta sama osoba dodała



sporyszu do mojego piwa. Przed laty ktoś wysłał mnie do chaty Mary Lee. Ktoś po prostu pragnął mojej śmierci.

Jeżeli mam ująć z tego z życiem, muszę się dowiedzieć, kto to taki.

Roześmiałam się, dochodząc do wniosku, że przecież to wiem.

Nie, nie mogłam w to uwierzyć... przynajmniej jeszcze nie wtedy.

\* \* \*

To dziwne, że człowiek nie dostrzega rzeczy, które osobiście go dotyczą i które dla innych są całkiem jasne. Potem nagle odkrywa coś, co wiąże się z innymi sprawami, i nagle doznaje olśnienia.

Wyjrząwszy przez okno, zobaczyłam całą trójkę nad stawem. Romilly, Jaka i Penna.

Penn puszczał na wodzie model okrętu. Jake klęczał obok chłopca i kierował żaglowcem. Widziałam, że mój mąż pokazuje coś Pennowi.

Romilly stała w pobliżu z założonymi rękoma, a słońce lśniło w jej cudownych włosach. Uderzyło mnie coś dziwnego w jej postawie. Była zadowolona z siebie, usatysfakcjonowana. W tym momencie dotarła do mnie prawda.

Romilly i Jake! To on sprowadził ją do naszego domu. Była wtedy młodą dziewczyną — miała dwanaście lub trzynaście lat. Nie przejęła się zbyt, gdy przyłapałam nauczyciela w łóżku z Jennet, ponieważ ten człowiek nic dla niej nie znaczył. Była jednak gotowa wyjść za niego za mąż. Cóż w tym dziwnego, przecież wiedziała, że jest brzemienna.

Jake powiedział: „Musimy się nią zająć. Jej ojciec był

jednym z najlepszych ludzi, z jakimi pływałem”.

Nie dodał: „Ona jest moją kochanką”.

Lecz tak właśnie było.

\* \* \*

Kiedy Jake przyszedł do naszej sypialni, powiedziałam:

— Penn jest twoim synem.

Nie próbował temu zaprzeczyć.

— A zatem pod moim dachem...

— To mój dach — zaprotestował.

— Ona jest twoją kochanką.

— Urodziła mi syna.

— To znaczy, że mnie okłamałeś.

— Nie. Wcale mnie o to nie pytałaś. Założyłaś, że to dziecko nauczyciela. Nie było sensu cię denerwować.

— Przywiozłeś tę dziewczynę do domu, żeby zrobić z niej swoją kochankę.

— To kłamstwo. Przywiozłem ją, ponieważ nie miała dachu nad głową.

— Dobry samarytanin.

— Na Boga, Cat! Nie mogłem zostawić córki starego marynarza. Była jeszcze dzieckiem i nie mogła zająć się sobą.

— Przeto przywiozłeś ją tutaj, by urodziła ci nieślubnego syna. Ciekawa jestem, co powiedziałaby na to jej ojciec.

— Cieszyłby się. Był rozsądnym człowiekiem.

— Podejrzewam, że ja też powinnam być rozsądna.

— Nie, wcale tego od ciebie nie wymagam.

— Jesteś wyjątkowo troskliwym mężem.

— Och, daj spokój, Cat. Co się stało, to się nie odstanie.

— Ale ta dziewczyna wciąż tu jest. Czy następne dziecko w drodze?

— Przystań! Romilly ma chłopca. To mój syn. Teraz już o tym wiesz. No i co z tego? Wróciłem do domu. Urodziłaś mi córkę. Nie mam zbyt dużo czasu na lądzie.

— Oczywiście, musisz nadrobić okres przymusowej wstrzeźliwości na morzu, ponieważ gwałcenie szlachetnie urodzonych dziewcząt i przywózenie ich do szaleństwa się nie liczy. Masz na sumieniu sporo grzeszków, Jake.

— Słowo daję, że nie więcej niż inni mężczyźni. Och, daj spokój, Cat. Wziąłem tę dziewczynę. Nikomu nie stała się żadna krzywda. Ma wspaniałego chłopca, który sprawia jej dużo radości.

— Tobie też.

— Czemu nie? Ty nie dałaś mi synów. Urodziłaś chłopca te mu Hiszpanowi, a mnie raczysz... córkami... samymi córkami.

— Och, jak ja cię nienawidzę, naprawdę cię nienawidzę!

— Bóg mi świadkiem, że słyszałem to wystarczająco często.

Przyzwyczailem się.

— Myślałam, że będzie nam ze sobą dobrze. Wyobrażałam sobie, że razem... będziemy patrzeć na nasze wnuki bawiące się w ogrodzie... i będziesz szczęśliwy.

— Wcale nie mówię, że nie jestem szczęśliwy. Mam trzech wspaniałych synów, przynajmniej o tylu wiem. I nie chciałbym rozstać się z żadnym z nich. Spróbuj to zrozumieć, Cat. Z żadnym z nich. Jestem z nich dumny. Naprawdę dumny.

»i — Dumny z ich pochodzenia. Z tego, że jeden jest wynikiem gwałtu na niewinnej dziewczynie, drugiego urodziła ci rozwiązała służąca, a trzeciego ta przebiegła, podstępna... gnida, która zakradła się do mojego domu... Udawała biedną małą sierotę, opowiadała mi coś o

nauczycielu, a przez cały czas ze mnie kpiła, ponieważ urodziła twoje dziecko.

— Daj spokój, Cat, to było dawno temu.

— Dawno temu? Mam uwierzyć, że Romilly nie jest nadal twoją kochanką? Dopiero teraz wszystko widzę. Wstążki, które wplata we włosy, sposób, w jaki podsuwa ci chłopca. Co planuje ta mała podstępna istota? Na co liczy? Na to, że zajmie moje miejsce?

Odniosłam wrażenie, że go dotknęłam.

— A cóż to za pomysł?! Nie opowiadaj bzdur, Cat!

— To są bzdury? — spytałam powoli. — Skąd mam wiedzieć, co się tu dzieje? Przez cały czas jestem oszukiwana. Moje córki nic dla ciebie nie znaczą. Ale zawsze jesteś miły dla swoich nieślubnych synów.

— Bo to są moi synowie.

— Może ta kobieta... Romilly, mogłaby dać ci więcej chłopców. W końcu jednego już ci urodziła. Powoli zacznym wszystko rozumieć. Teraz już wiem.

— Widzisz to, co chcesz widzieć. Jesteś arogantką. Kazałaś mi tańczyć, jak żadna inna kobieta. Nim zostałam moją żoną, należałaś do Hiszpana. Dałaś mu syna, a co ja dostałam?

— Uważasz, że to moja wina? Przecież to wszystko stało się przez ciebie! To ty zgwałciłaś narzeczoną Felipe, Isabellę. To na tobie chciał się zemścić. Ja się nie liczyłam w tej grze... w waszej nikczemnej i okrutnej grze. Jake'u Pennlyonie, na Boga, serdecznie żałuję, że kiedykolwiek cię spotkałam. To był najgorszy dzień w moim życiu.

— Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście! — zawołałam. — Posłużyłeś się szantażem, wykorzystując to, co zobaczyłeś w pomieszczeniu dla trędowatych.

— Prowadziłaś ze mną swoistą grę. Sądzisz, że tego nie wiedziałem? Pragnęłaś mnie tak samo jak ja ciebie.

— I dlatego udawałam śmiertelne poty, by się od ciebie uwolnić?

— Na Boga, nigdy ci tego nie wybaczę!

— Jakie to ma znaczenie, skoro masz Romilly? Urodziła ci syna. Zostało jej jeszcze sporo płodnych lat, może więc dać ci następnych chłopców... tylko pomyśl, chłopców... chłopców.

— Nie może — odparł.

— Będą jedynie nieślubnymi dziećmi, chyba że...

— Kto by się tym przejmował? — spytał. — Mam trzech wspaniałych synów, z których jestem dumny.

Chciałam, by mnie chwycił, obcesowo mną potrząsnął, tak jak robił to tyle razy wcześniej. Chciałam, aby powiedział, że to bzdura. Penn był jego synem. Jake poszedł do Romilly, gdy chorowałam, a on sam przeżywał ogromny zawód, ponieważ nie dałam mu syna. Chciałam, żeby powiedział, że to już przeszłość. Że zdradził mnie, jak robił to setki... tysiące razy podczas swoich długich rejsów, kiedy przebywał z dala od domu.

Lecz tym razem było inaczej. Zostawił mnie samą i tej nocy już go nie widziałam.

A więc to prawda — pomyślałam. Chce się mnie pozbyć. Pragnie poślubić Romilly, która może dać mu synów... legalnych synów.

\* \* \*

Instynktownie czułam, że mojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo, i nie było już wątpliwości, z czyjej strony. Mój mąż chciał poślubić inną kobietę mogącą dać mu

synów. Przebiegła, uległa, lecz dla mnie niebezpieczną istotę, która niczym robak wślizgnęła się do mojego domu.

Wcale nie znaczyła dla niego więcej niż setki innych kobiet. Dowiodła jednak, że jest w stanie urodzić mu synów... a mężczyźni tacy jak Jake pragną mieć męskich potomków. Z czasem to staje się ich obsesją. Klasyczny przykład stanowił nasz ostatni król, który pozbył się kilku żon, a tematem przewodnim jego życia było zawołanie: „Daj mi syna!”

To marzenie aroganckich mężczyzn. Muszą zapewnić kontynuację rodu. Córki nic dla nich nie znaczą.

Chłopcy uwielbiali Jake’a, a on bardzo się nimi interesował. Dziewczęta w ogóle się nie liczyły, przynajmniej do czasu, kiedy nie podrosną na tyle, by obudzić jego pożądanie. Jake był upartym, niezdyscyplinowanym mężczyzną, który zawsze wiedział, czego chce.

Tak właśnie było i teraz.

Już mnie nie pożądał, ponieważ nie mógł liczyć na synów. Chciał się zatem mnie pozbyć.

Potem pomyślałam o Isabelli. Przypomniałam sobie pełną spokoju determinację Felipe. Pragnął mnie, chciał uznać naszego syna. Isabella stała na przeszkodzie, tak jak ja teraz zawadzałam Jake’owi i Romilly.

Isabellę znaleziono u podstawy schodów. Nie była pierwszą kobietą, która zginęła w taki sposób. Nieco wcześniej królowa podobno chciała poślubić Roberta Dudleya, on jednak miał żonę. Ją również znaleziono martwą u podstawy schodów.

Uważajcie, niechciane żony!

Co mogłam zrobić? Mogłam pojechać do matki i powiedzieć: „Mamusiu, pozwól mi ze sobą zamieszkać, ponieważ mój mąż próbuje mnie zabić”.

Chętnie zwierzyłam się ze swych podejrzeń córce. Ale jak? Serdecznie nienawidziła ojca. W domu było zbyt dużo nienawiści. Poza tym gdzieś w głębi duszy tliła się isierka nadziei, że może jestem w błędzie. Serce mówiło mi: „On cię nie zabije. Kiedyś cię kochał. O tak, to, co do ciebie czuł, na pewno było miłością. Jesteś tą samą kobietą, jedynie trochę się postarzałaś i nie możesz rodzić mu synów. Nigdy cię nie zabije. Wciąż jesteś w stanie doprowadzić go do szału, zdenerwować go. Jak miałby zapomnieć lata namiętności i radość, jaką sprawialiście sobie nawzajem — tak naprawdę było. Walczyliście ze sobą, lecz czy te kłótnie was nie cieszyły?”

To dlatego to wszystko tak bardzo mnie bolało i nie mogłam uwierzyć, że Jake chce mnie zabić.

Obudziłam się w nocy rozdygotana, ponieważ coś mi się przyśniło.

Jake często przebywał poza domem, a ja zostawałam sama. Odwiedzał miasta wzdłuż wybrzeża i sprawdzał przygotowania na ewentualne pojawienie się hiszpańskiej armady.

W pewnym sensie byłam z tego zadowolona. To dawało mi czas na zastanowienie. Przy okazji przypominałam sobie sporo drobnych wydarzeń z naszego wspólnego życia. Odżywały sceny z przeszłości. I zawsze potem mówiłam: „To nie jest tak. Nie wierzę, by był do tego zdolny... nie Jake”.

W ogóle nie chciałam widzieć Romilly. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, iż wiem, kto jest ojcem jej syna. Jake musiał jej powiedzieć.

Penna trzymano z dała ode mnie i prawie w ogóle go nie widywałam. Nie zniosłabym jego widoku. Był silny, zdrowy, czuł się u mnie jak u siebie w domu i był chłopcem, którego dała Jake’owi inna kobieta w chwili, gdy ja go zawiodłam.

Linnet bardzo się o mnie martwiła.

— Dobrze się czujesz, mamusiu? — pytała bez przerwy.

Potem kładła mnie do łóżka i siadała obok.

Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Pewnego razu, kiedy Jake'a nie było w domu, obudziłam się w nocy i zobaczyłam w swojej komnacie jakąś postać. Ukrytą w cieniu figurę w szarej sukni. Stała przy drzwiach. Nie widziałam jej twarzy, ponieważ spowijał ją całun.

Krzyknęłam i ktoś ze służby wpadł biegiem do mojej komnaty.

— Kto tu jest?! — zawołałam. — Ktoś wszedł do mojej komnaty. Sprawdź, kto to.

Przeszukali całe pomieszczenie, ale nikogo nie znaleźli. W jakiś czas później pojawiła się mocno zasapana Jennet. Wiedziałam, że musiała pokonać dłuższą drogę niż inni — z łóżka, które dzieliła z kochankiem.

— To tylko jakiś zły sen — pocieszała mnie Linnet. — Napiszę do babci, żeby przysłała ci coś, po czym lepiej się poczujesz. Ostatnio dziwnie się zachowujesz.

Kto wszedł do mojej komnaty i w jakim celu to zrobił? Co się ze mną dzieje? Nie należałam do osób, które łatwo zastraszyć. Skąd to ciągle znużenie tak obce mojej naturze?

Linnet powiedziała, żebym została na ten dzień w łóżku. Przeżyłam niemiły szok. Przyniosła mi jedzenie. Byłam bardzo śpiąca.

— To dobrze — powiedziała. — Widocznie potrzebujesz wypoczynku.

Zasnęłam, a kiedy się obudziłam, był zmierzch. Zobaczyłam obok łóżka pogrążoną w cieniu postać. Krzyknęłam. Linnet pochyliła się nade mną.

— Wszystko w porządku, mamusiu. Siedziałam tutaj, kiedy spałaś.



\* \* \*

Tak, rzeczywiście dziwnie się zachowywałam. Coś mi się stało. Bez przerwy byłam zmęczona. Łapałam się na tym, że zasypiam w ciągu dnia.

Zastanawiałam się, co się we mnie zmieniło. Ponownie pomyślałam o babci, która tak dużo wiedziała o ziołach i, gdy byłam dzieckiem, często mi o nich opowiadała. Zazwyczaj nie uważałam, lecz matka mawiała: „Postaraj się posłuchać babci, Cat. Bardzo dużo wie na ten temat i to wszystko jest dla niej niezmiernie ważne. Ilekroć zdarzało jej się jakieś nieszczęście, wędrowała do ogrodu i tam znajdowała pocieszenie. Jest dumna ze swej wiedzy, tak jak ty z jazdy konnej”.

Pragnąc sprawić matce przyjemność, próbowałam słuchać, dzięki czemu sporo zdołałam zapamiętać.

— Na tym niewielkim obszarze jest wszystko, Catharine — mówiła babcia. — Spotkasz tu życie i śmierć. Rośliny, które leczą, i rośliny, które mogą zabić. Rośliny, które cię pobudzą, i takie, po których ciągle będzie ci się chciało spać.

Będzie ci się chciało spać. Wiedziałam, że to wywar z maku. To po nim ciągle jestem taka senna.

Doszłam do wniosku, że ktoś próbuje wytrącić mnie z równowagi. Kto wszedł do mojej komnaty? Gdzie w tym domu znaleźć można szary całun? Kto go założył i przyszedł w nim do mojej komnaty?

Od lat toczyłam nieustającą walkę z Jakiem Pennlyonem i często wychodziłam z tych potyczek zwycięsko, dlatego zatem miałabym stopniowo zamieniać się w ospałą, przestraszoną kobietę? Muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Byłam pewna, że ktoś zatrzuwa moje jedzenie. Romilly i

Jake mogli pracować razem. Czy rozmawiają o tym, w jaki sposób mają zamiar się mnie pozbyć? Czy Romilly już widzi siebie w roli pani tego domu? Czy niecierpliwie wypytują się nawzajem: „Jak długo to jeszcze potrwa?”

Felipe nigdy mi nie mówił, jak bardzo pragnie śmierci Isabelli, mimo to jego żona zmarła w dniu, w którym wszyscy poszli na autodafe, i ani Felipe, ani mnie nie było w hacjendzie.

Jake wyjechał. Czy zrobił to celowo? Czy ma nadzieję, że gdy wróci, będę leżała martwa... na przykład u podstawy schodów?

Kto miałby mnie z nich zrzucić? Kto zrzucił Isabellę? Zrobił to Edmundo. Przyznał się do tego. Ale z pewnością wykonywał jedynie polecenie Felipe, a zatem to na niego spada cała odpowiedzialność. Kto zrobi to dla Jake'a? Jake bez wątpienia należał do ludzi, którzy takie sprawy załatwiają osobiście. Czy ukradkiem wślizgnie się do domu, zaciągnie mnie na schody i zrzuci z nich? Czy wcześniej mnie udusi? Podobno można to zrobić, przyciskając do ust ofiary wilgotną szmatkę. Tak przynajmniej postąpiono z Isabellą.

Muszę odzyskać siły i odwagę. Muszę najpierw dowiedzieć się, czemu jestem taka słaba i bezbronna.

Nie byłam już dzikim kotem Jake'a, stałam się przestraszona i uwięziona w pułapce oswojoną myszką. Pozwoliłam, by ktoś zaplanował moją śmierć, a ja w tym czasie jedynie beczynn timer czekałam.

Koniec z tym — powiedziałam sobie.

Nigdy więcej nie wypiję niczego w swojej komnacie. Tym sposobem niemożliwe będzie zatrucie moich potraw, jedząc bowiem przy stole, dostanę to, co wszyscy.

To był pierwszy krok. Zrobiwszy to, byłam zdumiona, jak bardzo poprawiło się moje zdrowie.

Ponieważ Jake'a nie było, zajęłam miejsce na końcu stołu. Była tam też i Romilly — siedziała z opuszczonym wzrokiem. Wcale mnie nie dziwiło, że nie śmiała spojrzeć mi w oczy.

Linnet była zadowolona.

— Wracasz do zdrowia, mamusi — powiedziała.

\* \* \*

Po trzech dniach odzyskałam siły. Śmiałam się z samej siebie. Nawet przestałam wierzyć w to, że Jake chciałby poślubić Romilly. W jaki sposób miałyby utrzymać jego uczucie? Po tygodniu byłby znużony jej potulnością. Byłam stworzona dla Jake'a, a Jake dla mnie.

By zdać sobie z tego sprawę, potrzebowałam ponad dwudziestu lat, na dodatek musiało mi grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Potem ponownie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Szukałam w szafie swojej peleryny i nie mogłam jej znaleźć. Posłałam po Jennet. Nie było jej.

— Z tej kobiety nie ma żadnego pożytku! — zagrzmiałam.

Poszłam do ogrodu i znalazłam ją wśród ziół i sałaty.

— Wzywałam cię — powiedziałam.

— Byłam tutaj — odparła.

— Nie mogę znaleźć swojej zielonej peleryny. Gdzie ona jest?

— Rano wisiała w szafie, proszę pani. Widziałam ją, gdy składałam ubranie.

— Teraz jej tam nie ma.

— Gdzie indziej mogłaby być, proszę pani?

Wróciłyśmy obie do mojej komnaty.

Jennet otworzyła drzwi szafy i pokazała mi pelerynę...

— Wisi tu przez cały czas, proszę pani — Nieprawda — powiedziałam.

— Ależ, proszę pani, jest dokładnie w tym miejscu, w którym ją powiesiłam.

— Dziesięć minut temu jej tu nie było.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem, którego nie śmiała wyrazić.

Tak było bez przerwy. Coś znikало, a kiedy zgłaszałam brak, jakimś cudem znajdowało się na swoim miejscu.

Domownicy zaczęli coś zauważać, a Linnet była wyraźnie zaniepokojona.

\* \* \*

Często odwiedzałam chatę, w której ukrywałyśmy kiedyś Roberto. Choć opuścił ją dawno temu, tego ranka byłam o niego bardzo niespokojna. Nie dawał znaku życia. Co u niego słyhać? Miałam nadzieję, że nie wplątał się w coś, co mogło ściągnąć na niego kłopoty. Był młody i porywczy. Stanowił łatwy cel dla ludzi w rodzaju Walsinghama.

Ukradkiem wymknęłam się do chaty i sprawdziłam, czy nie ukrywa się tam mój syn. Tak często mówiło się teraz o spiskach i zagrożeniu ze strony Hiszpanii, że moje obawy o Roberto znacznie wzrosły. Nie byłabym zaskoczona, gdybym znalazła go w chacie.

Czułam się o wiele lepiej. Gdyby nie dowód aptekarza, uwierzyłabym, że wszystkie moje obawy były jedynie wynikiem wybujałej wyobraźni. Teraz byłam pewna, że Jake wcale nie dybie na moje życie. To Romilly musiała zatruć moją zupę i piwo, a wiele lat temu wysłała mnie do chaty Mary Lee. Czy Jake opowiedział jej, że ongiś tak właśnie usiłowałam mu się wymknąć? Czy postanowiła zamordować

mnie w taki sposób, ponieważ wówczas nikt by jej o nic nie podejrzewał?

Potem Jake wyjechał i przez wszystkie te lata był dla niej stracony. Wtedy nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Czy to Romilly wykonała z wosku moją podobiznę? Jeżeli tak, jakim cudem laleczka znalazła się w kieszeni Jake'a? Może ona sama ją tam włożyła. Tylko czemu?

Teraz Jake wrócił. Romilly i Penn nieco podrośli. Jake chciał mieć syna. Ona urodziła mu chłopca, udowodniła zatem swą przydatność. Mogła spełnić marzenie Jake'a... lecz przeze mnie było to całkiem niemożliwe.

Wszystko pasowało.

Próbowałam dojść do tego, co się stało. Zjadłam całą zupe, lecz późniejsze zatrucie było stosunkowo lekkie. Tak więc ktoś, kto mi ją podsunął, wcale nie chciał mnie zabić albo nie wiedział, jaka ilość jest potrzebna, by osiągnąć zamierzony efekt. To samo może dotyczyć piwa. Tylko komu mogłoby zleżeć, żebym chorowała, lecz pozostała przy życiu?

Romilly! Zna działanie ziół, lecz nie potrafi ich stosować. Co mogę zrobić z Romilly? Odesłać ją do swojej matki. Podesłać matce potencjalną morderczynię?! To niemożliwe. A co z Pennem? Musiałby pojechać z nią. Nie, Jake nigdy by się na to nie zgodził.

Muszę pozostawiać pułapki. Snując te rozważania, dotarłam do chaty. Nie było w niej żywej duszy. Poczułam ogromną ulgę, ponieważ nie potrafiłam sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Jake znalazł Roberto.

Przez chwilę stałam w chacie, przypominając sobie ten niespokojny okres, a potem podeszłam do drzwi. Okazało się, że są zamknięte. Pchnęłam je z całych sił, lecz ani drgnęły.

Doszłam do wniosku, że zostałam uwięziona, i poczułam, jak włosy stają mi dęba. Po co ktoś miałby robić coś takiego?

Jestem z dala od domu. Nawet jeśli zawołam, nikt mnie nie usłyszy. Ostatnio zdarzały mi się dziwne rzeczy, a teraz z kolei zostałam zamknięta w chacie. Co się ze mną stanie?

Spojrzałam w górę, na umieszczone wysoko w ścianie okno, przez które Roberto miał uciec w krzaki, gdyby go zaskoczono. Jednak ów otwór znajdował się tak wysoko, że nie byłam w stanie doń sięgnąć. A nawet gdyby mi się to udało, musiałabym jeszcze wyważyć ramę i wyskoczyć na zewnątrz.

Wróciłam do drzwi i zaczęłam w nie walić. Bez skutku. Oparłam się o ścianę. Zastanawiałam się, co się ze mną dzieje.

Drzwi tejże chaty miały zamek. Manuela znalazła do nich klucz. Wisiał na ścianie. Stwierdziła, że jeśli zamkniemy Rober — to, nikt nie będzie mógł mu przeszkodzić. A gdyby przyszli po niego ludzie królowej, mógłby wyskoczyć przez okno.

Podeszłam do haka. Nie było na nim klucza. Ktoś musiał zauważyć, że czasami przychodzę do tej chaty, zabrał więc klucz i zamknął mnie w środku.

Ale dlaczego? W jakim celu?

Czy ten ktoś czai się na zewnątrz, czekając, kiedy będzie mógł wejść do środka i mnie zabić?

Jake?

Jake'a nie ma.

Kto mnie zamknął? Romilly? Czy zostawi mnie tu, aż Jake wróci... powiedzmy: o zmierzchu... i otworzy te drzwi? Czy Jake wkradnie się tu, zabije mnie, a potem ponownie wyjedzie? Mężczyzny nie powinno być w domu, kiedy mordowana jest jego żona. Felipe wyjechał z hacjendy, a mnie wysłał na wycieczkę.

Gdyby tylko ktoś przyszedł. Ktokolwiek. Wokół panowała

denerwująca cisza. Nikt nie kręcił się w pobliżu. Byłam sama. Waliłam w drzwi, póki nie posiniaczyłam sobie całych dłoni. Wołałam. Lecz kto mógłby mnie usłyszeć? Chata dlatego była tak wspaniałą kryjówką dla Roberto, że znajdowała się bardzo daleko od domu.

Było popołudnie. Czułam, że jest mi niedobrze, poza tym potwornie się bałam. Lecz gdyby pojawił się morderca, przynajmniej mogłabym się bronić, mogłabym walczyć o życie. Wszystko byłoby lepsze od czekania.

Wołałam. Lecz kto był w stanie usłyszeć głos wydobywający się z za grubych kamiennych ścian? Próbowałam wdrapać się i wyrzeć przez okno, lecz nie udało mi się tego zrobić. Miałam otarte do krwi ręce, ponadto dwukrotnie upadłam.

Minęło popołudnie. Wkrótce nadejdzie noc. Noc! Zadrzałam. To przecież oczywiste, że czekają na noc.

O Boże — modliłam się — co się ze mną dzieje? Jaki błąd popełniłam w swoim życiu? Dlaczego nie byłam z niego zadowolona? Miałam Jake'a, który mnie pragnął i na swój sposób nawet kochał — ja też po swojemu go kochałam. Miałam wspaniałe dzieci. Czegóż więcej mogłam chcieć?

Teraz stracę to wszystko, co tak bardzo sobie ceniłam. Ktoś próbuje mnie zabić.

Zapadł zmierzch. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk. Nic. Modliłam się, by ktoś tędy przeszedł. Linnet na pewno będzie się o mnie martwić. Powinnam być z nią i Damask. Będą mnie szukać, może nawet tu przyjdą. O Boże, niech te drzwi się otworzą i niech pojawi się w nich Linnet!

Podeszłam do drzwi i zaczęłam walić w nie pięściami. Ku mojemu zdumieniu drgnęły. Pchnęłam je. Otworzyły się. Wyszłam na świeże powietrze.

Pobiegłam do domu. Linnet krzyknęła na mój widok.

— Mamusiu, co się stało? Tak bardzo martwiliśmy się o ciebie! Gdzie byłaś?

Padłyśmy sobie w objęcia.

— Siedziałam zamknięta w chacie — odparłam.

— W chacie? Mamusiu, masz na myśli ten stary budynek...? Co ty tam robiłaś?

— Weszłam do środka... a wtedy ktoś zamknął drzwi.

— Kto mógł je zamknąć?

— Nie wiem.

— Szukano cię. Wysłałam dwie grupy mężczyzn. Byliśmy niespokojni. Widzę, mamusiu, że jesteś wyczerpana. Mam zamiar położyć cię do łóżka. Przyniosę ci coś ciepłego do picia.

Co za anioł! Jak ja ją kocham! Jakże mogłabym umrzeć, skoro mam kochaną Linnet?

Nie mogłam zasnąć. Nie chciałam również pić ciepłych ziół, które mi przyniosła. Stały na stoliku obok mojego łóżka.

— Spróbuj trochę odpocząć — powiedziała.

— Chcę porozmawiać. Kto mógł zamknąć mnie w chacie?

Linnet pogłaskała mnie po włosach. Dziwnie na mnie patrzyła, jakby mnie nie poznawała.

— Mamusiu — oświadczyła — nikt cię tam nie zamknął.

Drzwi przez cały czas były otwarte.

— Bzdura! Były zamknięte. Nie mogłam ich otworzyć.

— Może się zablokowały.

— To niemożliwe. Pchałam i pchałam, a potem w końcu ustąpiły bez najmniejszego oporu. Ktoś je otworzył.

— To nie ma teraz znaczenia. Musiało ci się wydawać, że są zamknięte. Klucz przez cały czas wisiał w chacie.

— Gdzie?

— Na haku.

— Nie było go tam. Ktoś mnie zamknął, a potem z



powrotem powiesił klucz.

— To nie ma znaczenia — powtórzyła Linnet uspokajająco.

Byłam potwornie zmęczona, przeto sama również uznałam, że to nie ma żadnego znaczenia. Cieszyłam się, iż Linnet siedzi obok mnie.

Dopiero później, gdy się obudziłam, zdałam sobie sprawę, jakie to było ważne.

\* \* \*

Obserwowano mnie. Widziałam dziwne spojrzenia. Mojej córki, Edwiny, Manueli, Romilly, służby... wszystkich.

Działo się ze mną coś niedobrego. Zmieniłam się. Wyobraziłam sobie, że w mojej komnacie pojawiła się spowita w całun postać. Spędziłam w chacie wiele godzin, myśląc, że jest zamknięta, choć przez cały czas drzwi były otwarte, a klucz wisiał na haku.

Powoli traciłam rozum. Tak przynajmniej uważali ludzie z mojego najbliższego otoczenia. Ja jednak doskonale wiedziałam, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo i że ktoś próbuje zrobić ze mnie wariatkę. Możliwe, iż kryje się za tym mój mąż, pragnący się mnie pozbyć, by poślubić młodą kobietę, która ma szansę urodzić mu synów. Śmierć zaglądała mi w oczy, a wraz z nią jej nieodłączny przyjaciel — szaleństwo.

Nikt nigdy nie określiłby mnie mianem słabej istoty. Zawsze potrafiłam się obronić, teraz też postanowiłam, że to zrobię. Nie byłam pomyłona. Miałam całkowitą pewność, że ktoś zamknął mnie w chacie, potem otworzył drzwi, a po moim wyjściu zawiesił klucz na haku. Po prostu mój prześladowca czaił się w krzakach. Po cichutku odemknął

drzwi, a kiedy wybiegłam i ruszyłam pędem w stronę domu, umieścił klucz na swoim miejscu.

Tak właśnie musiało być. Nie miałam co do tego nawet najmniejszych wątpliwości. Postanowiłam tego dowieść.

Co dziwne, wypadek w chacie dodał mi sił. Postanowiłam wyrwać się z letargu, w jaki zapadłam. Wiedziałam, że jest on wynikiem spożywania przeze mnie specjalnie zaprawionych potraw i napojów. Będę walczyć ile sił. Byłam pewna, że mam szansę na wygraną.

Och, Romilly Girling, jeszcze się przekonasz, jak silnego masz przeciwnika. Nie usunę się tylko po to, żebyś mogła poślubić mojego męża. A ty, Jake, jeszcze nie wygrałeś tej bitwy!

Linnet mnie zostawiła.

— Prześpię się — oświadczyłam. Lecz nigdy w życiu nie byłam bardziej trzeźwa.

Podniosłam napój stojący przy moim łóżku i powąchałam go.

Jakim cudem wywar przyniesiony przez moją ukochaną córkę miałby zostać zatruty?

Mimo to nie wypłam go. Zostawiłam napój na stoliku.

\* \* \*

Muszę opracować plan. Będę uważać, co jem. Powinam zachować czujność. Muszę być przygotowana o każdej porze dnia i nocy. Kiedy następnym razem w mojej komnacie pojawi się spowita w całun postać, nie zdoła mi umknąć. Miałam zamiar ją złapać, zedrzeć z niej zasłonę i dowiedzieć się, kto płata mi takie kawały.

Przez kilka dni zostanę w swojej komnacie. Będę udawać, że jestem chora. Każę przysyłać sobie jedzenie, lecz niczego

nie tknę. Zachowam próbki i zaniosę je do aptekarza, a gdy będę miała dowód, że moje jedzenie zostało zatrute, pokażę go... pokażę go... komu? Jake'owi! A jeśli moje podejrzenia są słuszne i to on pragnie mnie zamordować? Ależby się ze mnie śmiał! Linnet? Czy mogę jej powiedzieć, że ktoś próbuje mnie zabić? Czy mogę poprosić, by pomogła mi zdemaskować tę osobę? Jak mogłabym zrobić coś takiego? Nieważne. Poczekam i zobaczę, co uda mi się zdziałać. Tymczasem zacznę gromadzić dowody.

Zabrałam z kuchni spory kawał wołowiny i bochenek chleba. Ukryłam je w swojej komnacie. Zaopatrzyłam się również w butelkę muszkatelu, orzechy, jabłka i marcepan.

Niegdyś skutecznie udawałam śmiertelne poty. Wygląda na to, że jestem dobrą aktorką. Teraz postanowiłam pozorować letarg. Żywiłam się, wykorzystując w tym celu zebrane zapasy, i nie tykałam niczego, co przynoszono mi do komnaty, zachowałam jedynie niewielkie kawałki, które miałam zamiar zanieść do aptekarza.

Mój nastrój się poprawiał. Przynajmniej podjęłam jakieś działanie, co o wiele bardziej odpowiadało mojej naturze. Przechodziłam do ofensywy.

Nie wtajemniczyłam w to Linnet, choć kilkakrotnie byłam o krok od powiedzenia jej wszystkiego.

Chciałam być gotowa, gdy pojawi się gość z całunie. I byłam. Przez całe dni udawałam bardzo śpiącą. Wiedziałam, że większość potraw została zaprawiona wywarem z maku, powinnam zatem być otępiała i niezdolna do logicznego myślenia. Po jakimś czasie instynkt ostrzegł mnie, że ten ktoś zacznie działać.

Miałam rację. Trzeciego dnia o trzeciej nad ranem obudziła mnie czyjaś obecność w mojej komnacie. Ktoś delikatnie pociągnął za moją pościel.

Otworzyłam oczy. W nogach łóżka stała spowita w szary całun postać, którą już wcześniej widziałam. Na głowie miała całkowicie ukrywający twarz kaptur z wyciętymi szparkami na oczy. Leżałam nieruchomo i czekałam. Postać poruszyła się, lecz nie podeszła do mnie, ale do drzwi. Stała przy nich. Pod wpływem napięcia i długiego oczekiwania miałam ochotę wyskoczyć z łóżka. Gdyby zjawa drgnęła, natychmiast ruszyłabym za nią, zdarła z niej zasłonę i dowiedziała się, kto to jest.

Lecz nagle przyszło mi na myśl, że to może być duch. Duch Isabelli, która wróciła na ziemię, by mnie straszyć. W jakim stopniu przyczyniłam się do jej nagłej śmierci? Czy było to morderstwo? A jeśli tak, czyż nie popełniono go przede wszystkim ze względu na mnie?

Dlaczego w takiej chwili nagle przyszła mi na myśl Isabella? Wydawało mi się, że spowita w całun postać w jakiś sposób przypomina nieszczęsną żonę don Felipe.

Muszę się dowiedzieć, czy to duch, czy nie. Postać cofnęła się do tyłu. Po chwili zobaczyłam jej rękę. Kiwała na mnie palcem.

Miałam zamiar wyskoczyć z łóżka, lecz w ostatniej chwili zrezygnowałam z tego pomysłu. Jeżeli pod całunem kryje się morderca, oznacza to, że jest to ta sama osoba, która zatruwa mi jedzenie. Muszę udawać znużenie, choć wcale go nie czuję. Muszę zachowywać się jak osoba znajdująca się pod wpływem wywaru z maku.

Powoli wstałam.

Ręka zniknęła. Postać cofnęła się na korytarz.

Wyszłam. Zjawa znajdowała się kilka metrów przede mną. Ponownie kiwała na mnie palcem. Ruszyłam za nią, starając się udawać lunaticzkę.

Po chwili zniknęła za zakrętem. Przyspieszyłam kroku, by

ją dogonić. Zatrzymałam się na szczycie wspaniałych schodów prowadzących do sali paradnej.

Nigdzie nie było ani śladu po spowitej w całun postaci. Przez chwilę bezradnie stałam, potem nagle zorientowałam się, o co chodzi. Zjawa była o krok za mną. Wyciągnęła ręce, by zrzucić mnie ze schodów.

Odwrociłam się i zaczęłam się bronić.

Usłyszałam, że ktoś zawołał: „Już idę!”, a po chwili pojawiła się moja córka, Linnet. Chwyciła całun. Przez kilkanaście sekund wszystkie trzy zmagaliśmy się ze sobą. Potem poczułam, że tracę grunt pod nogami. Rozległ się potworny krzyk. Trzymałam w ręce kawałek szarego materiału, tymczasem ktoś toczył się po schodach w dół.

Obie z Linnet bez słowa podbiegłyśmy do dziwnie skrzywanej, leżącej twarzą do podłogi postaci. Zdjęłam kaptur i maskę, które ukrywały twarz.

— To Manuela — powiedziałam.

\* \* \*

Umarła dopiero w trzy dni po tym wypadku. Biedna Manuela!

Przed śmiercią odzyskała przytomność. Byłam przy jej łóżku. Poznała mnie. Oświadczyła, iż zostało jej niewiele czasu, a ma bardzo dużo do powiedzenia.

I pomyśleć, że ta Hiszpanka przez tyle lat mieszkała pod moim dachem, a ja tak niewiele o niej wiedziałam! To dziwne, że potrafiła być tak oddana Roberto, a jednocześnie chciała zamordować jego matkę.

To miała być zemsta. „Kara” — jak ona to określała.

— Kiedy zobaczyłam rubinowy krzyż, postanowiłam panią zabić — wyjaśniła. — Wcześniej chodziło mi jedynie o

to, by pani cierpiała.

— Ale aż do poprzedniej nocy wcale nie próbowałaś mnie zabić — przypomniałam jej. — Dawałaś mi niewielkie dawki trucizny i dokładałaś wszelkich starań, bym postradała rozum.

— Dokładnie coś takiego przydarzyło się Isabelli. Była chora, postradała rozum, a potem pewnego dnia zrzuciono ją ze schodów.

Opowieść Manueli była bardzo nieskładna, zawiała i początkowo trudna do zrozumienia. Dopiero później udało mi się ułożyć to w spójną całość. Manuela nie miała siły, lecz koniecznie chciała wszystko opowiedzieć. Miała to być swego rodzaju spowiedź. Zależało jej na tym, by otrzymać ostatnie namaszczenie, a ja postanowiłam, że zrobię wszystko, by spełnić jej życzenie. To oznaczało podjęcie ogromnego ryzyka, lecz znałam w sąsiedztwie katolickie rodziny i spytałam, czy mogą przysłać do Manueli księdza z ostatnią posługą.

Musiałby przyjść w całkowitej tajemnicy. Byłam skłonna w razie konieczności stawić czoło Jake'owi, byle Manuela mogła spokojnie umrzeć.

Dowiedziałam się, że Manuela była przyrodnią siostrą Isabelli — jej matka pracowała w domu rodziców narzeczonej don Felipe. Manuela, gdy tylko trochę podrosła i mogła podołać obowiązkom, również została w nim zatrudniona. Potem posłano ją na Teneryfę, gdzie Isabella miała poślubić don Felipe.

Podczas napadu Jake'a na hacjendę Manuela zdołała ukryć się przed rabusiami. Potem była przy narodzinach Carlosa i całym sercem pokochała tego chłopca. Dopiero kiedy po przyjeździe do Anglii Carlos odrzucił hiszpańskie obyczaje, przeniosła swe uczucia na Roberto.

Ale najważniejszą rolę w tej historii grał Edmundo. Kochała go i mieli się pobrać. Bardzo podobał jej się rubinowy krzyż, który często nosiła Isabella. Pewnego razu Manuela włożyła go, idąc do ogrodu na spotkanie z Edmundo. Za ten grzech musiała ciężko odpokutować.

Edmundo powiedział: „Chciałbym ofiarować ci taki krzyż”.

Może ktoś go podsłuchał. W każdym razie krzyż zniknął, a Edmundo przyznał się, że udusił Isabellę i zrzucił ją ze schodów. Postąpił tak, ponieważ ukradł krzyż, a Isabella przyłapała go na gorącym uczynku i zagroziła, że każe go aresztować.

Manuela uwierzyła w to wyjaśnienie, ponieważ wiedziała, że Edmundo ją kocha, a krzyż zniknął. Potem jednak zobaczyła ów przedmiot na mojej szyi. Wtedy nabrała przekonania, że miałam go przez cały czas, że dostałam go od don Felipe i że w związku z tym musiałam wiedzieć o niewinności Edmundo, który jedynie przyznał się do tego czynu pod wpływem tortur, jakim niewielu ludzi potrafi się oprzeć.

Wydawało się jasne, iż Edmundo zabił Isabellę na rozkaz Felipe. Służący należą do swoich panów i w związku z tym muszą wykonywać ich polecenia, lecz popełniane w ten sposób grzechy nie obciążają ich sumień...

Kiedy aresztowano Edmundo, don Felipe powinien go uratować, lecz tego nie zrobił. Nie chciał, by ktokolwiek się zorientował, że to na jego rozkaz Edmundo zabił Isabellę. To była bardzo niebezpieczna sytuacja, ponieważ don Felipe chciał się ze mną ożenić, a krążyły pogłoski, że jestem czarownicą i heretyczką. W związku z tym don Felipe nawet palcem nie kiwnął, by uratować Edmundo, gdyż w ten sposób skierowałby podejrzenia w swoją stronę, a przecież przez

cały czas chodziło o mnie. Rubinowy krzyż rzeczywiście mógł skłonić Edmundo do popełnienia morderstwa. Don Felipe był zadowolony z takiego obrotu sprawy i przyjął tę wersję do wiadomości, jakkolwiek przez cały czas krzyż był u niego. Tymczasem biednego Edmundo torturowano dopóty, dopóki się nie przyznał. Potem skazano go na śmierć.

Gdy Manuela zobaczyła krzyż na mojej szyi, była przekonana, że miałam go przez cały czas. Nie przyszło jej na myśl, że był on jednym z wartościowych przedmiotów wywiezionych przez Jake'a z hacjendy i że dostałam go dopiero ostatnio.

Zawsze mnie nienawidziła. Winiła mnie za wszystko, co się stało. Gdyby nie ja, nigdy by do tego nie doszło. Jej zdaniem to ja byłam odpowiedzialna za śmierć Isabelli. To Manuela podburzyła Pilar przeciwko mnie, to Manuela wykonała podobiznę Isabelli i włożyła ją do mojej szuflady. Później zaniósła ją Pilar. Woskowa laleczka miała stanowić dowód, że jestem czarownicą.

A potem, ponieważ wiedziała, że w głębi duszy jestem podejrzliwa, zasiała ziarno i czekała, aż urośnie. Chciała, żebym doszła do wniosku, iż mąż próbuje mnie zabić. Włożyła moją podobiznę między ubrania Jake'a i czekała, kiedy ją znajdzie. Doskonale zaplanowała zemstę. Nigdzie jej się nie spieszyło. Miała anielską cierpliwość. Chciała jedynie zmać mój spokój — koncepcję zmieniła dopiero wtedy, gdy zobaczyła krzyż.

Nabrała pewności, że jestem winna w takim samym stopniu jak don Felipe. Nie mogła zapomnieć o szczęściu, jakie na nią czekało, ani dzieciach, które zapewne miałyby z Edmundo. Była mściwa i zawzięta, nic nie mogło jej zadowolić oprócz zemsty.

Postanowiła więc, że będę cierpieć jak Isabella. Nie



chciała tak po prostu mnie zamordować. Pragnęła sprawiedliwości. Isabella zwariowała, więc ja też powinnam postradać zmysły. Isabella długo cierpiała, dlaczego zatem w moim wypadku miałoby być inaczej? A w odpowiednim czasie miano mnie znaleźć u podstawy schodów, tak jak Isabellę.

Manuela żyła zemstą. Była to jedyna rzecz, jaka mogła zrekompensować jej fakt, że straciła Edmundo.

Przeto dodawała do moich potraw trujące rośliny — ale nie tyle, by mnie zabić, pragnęła jedynie nadwerżyć moje zdrowie. Zamknęła mnie w chacie, a potem otworzyła drzwi i zawiesiła w środku klucz. Zrobiła sobie całun i próbowała mnie przestraszyć. Chciała, żebym postradała zmysły, a potem, gdy moje otoczenie zaczęło wątpić, czy jestem normalna, postanowiła otumanić mnie makiem, doprowadzić do schodów i zrzucić z nich. Ludzie powiedzieliby: „Była opętana przez diabła. Pamiętajcie, jak dziwnie ostatnio się zachowywała?”

— Biedna Manuela! — zawołałam.

Potem zapewniłam ją, że nigdy wcześniej nie widziałam krzyża i że dostałam go dopiero jakiś czas temu. Owszem, przypomniałam sobie, że przy okazji egzekucji Edmundo była mowa o takowym klejnocie, lecz nie powiązałam tych opowieści z prezentem, który otrzymałam od swojego drugiego męża.

Och, Jake — pomyślałam — zabrałeś krzyż, będąc w hacjendzie. Zrabowałeś wszystko, co miało jakąś wartość i co zdołałeś unieść. A ty, Felipe... byłeś winien śmierci Isabelli w takim samym stopniu, jakbyś własnymi rękoma najpierw ją udusił, a potem zrzucił ze schodów.

Poczułam prawdziwą ulgę, że teraz Manuela już wie, iż nie przyczyniłam się do śmierci Isabelli.

— Proszę zająć się Roberto — powiedziała. — Kochałam go... bardzo go kochałam..

Odparłam, że nie musi prosić o to jego matki.

Pojechałam do mieszkającej w pobliżu rodziny, która często przyjmowała i ukrywała księży. Robiła to od czasu, kiedy katolicycy duchowni odwiedzali Trewynd.

Jeden z nich właśnie u nich był. Wyszedł z kryjówki, do której się chował, ilekroć w domu pojawiał się jakiś gość; przebrał się za stajennego i wyruszył ze mną do Lyon Court.

Wiedziałam, że narażam się na niebezpieczeństwo. Gdyby w tym czasie Jake wrócił do domu, najprawdopodobniej prze — szłabym potworne piekło.

Powiedziałam księdzu o swoich obawach, a on odparł, że jest przyzwyczajony do podejmowania ryzyka i nie odmówi umierającej kobiecie ostatniej przysługi.

Zabrałam go do Manueli. Podsunął jej krzyż. Po chwili straciła przytomność.

Sądzę, że zmarła już spokojna, ponieważ zapewniłam ją, iż jej wybaczam. Była zadowolona, że jej zamach na moje życie się nie powiódł. Dzięki temu nie stanie przed obliczem swego Stwórcy z morderstwem na sumieniu.

Zmarła, kurczowo trzymając w ręce krzyż.

\* \* \*

Ponownie poczułam, że żyję. Ależ byłam idiotką! Wierzyłam, że Jake chce mnie zamordować i że próbuje zrobić to skrycie. Gdyby naprawdę miał taki zamiar, wyjąłby miecz i wbił mi go prosto w serce. Roześmiałam się. Dobrze jest żyć. Teraz nic mi już nie groziło. Jake nie dochowywał mi wierności. Właściwie robił to od początku. Czy naprawdę spodziewałam się po nim czegoś innego? Przecież pod moim

dachem znalazło schronienie jego dwóch nieślubnych synów. Penn był trzeci. Jake uwielbiał chłopców, zwłaszcza że ja dałam mu tylko córki.

Odzyskałam dotychczasową energię życiową. Ponownie mogłam walczyć.

Linnet wiedziała o wszystkim. Wcześniej czy później i tak musiałabym opowiedzieć jej całą tę historię — tak jak moja matka opowiedziała mi swoją. Zrobiła to, gdy byłam mniej więcej w wieku Linnet. Całe domostwo również dowiedziało się, że pani, którą uważano za pomyloną, jest całkiem normalna, szalona natomiast była Manuela, która zatrzymała jej jedzenie i usiłowała zrzucić ją ze schodów. Wcale nie musieli wiedzieć, co nią powodowało. Uznali po prostu, że diabeł ją opętał.

Manuela została pochowana na cmentarzu w części należącej do Lyon. Na jej grobie zasadziliśmy rozmaryn.

Na pewno nigdy jej nie zapomnę.

## *Uciekinier*

Byłam tak pochłonięta swoimi sprawami, że nie wiedziałam, co się dzieje na świecie. Teraz zaczęły docierać do mnie pełne podniecenia rozmowy o czymś, co nazywano spiskiem Babingtona. Wszyscy wierni poddani naszej wspaniałej królowej Elżbiety cieszyli się, że owe nieczne knowania zostały wykryte. Anthony Babington w młodości był paziem Marii Stuart i zakochał się w niej. Nawiązał kontakt z grupą gorliwych katolików i wspólnie postanowili osadzić królową Szkotów na tronie oraz przywrócić w Anglii katolicyzm. Spisek ów uzyskał błogosławieństwo Hiszpanii i papieża.

Spiskowcy spotykali się w tawernach wokół St. Giles's oraz w domu Babingtona w Barbican i tam opracowywali plan działania. Chcieli zamordować Elżbietę, uwolnić Marię i osadzić ją na tronie. Katolicy w całym kraju mieli podążyć z pomocą. Papież udzielił im błogosławieństwa, a Filip hiszpański obiecał, że w razie konieczności wyśle do Anglii stale rosnącą armadę.

Korespondencję do królowej Szkotów szmuglowano do więzienia w niezwykle pomysłowy sposób. Wykonano zakorkowane rurki, w których można było ukryć listy. Wnoszono je w baryłkach piwa dostarczanych do apartamentów Marii, która po przeczytaniu listów ukrywała odpowiedź w rurce i wkładała do pustych baryłek, odsyłanych z powrotem do browarnika. Mogło się wydawać, że jest to niezawodny sposób, i naprawdę tak by było, gdyby nie to, że ów browarnik był człowiekiem Walsinghama i królowej. Tak więc listy wsadzane do pełnych baryłek, a także odpowiedzi, trafiały do rąk Amyasa Pauleta —

strażnika królowej — i dalej, do Walsinghamu. W taki oto sposób sekretarz stanu Elżbiety wiedział dosłownie wszystko na temat spisku Babingtona.

Nie spieszył się z aresztowaniami, ponieważ chciał złapać w sieć jak najwięcej osób, a najbardziej zależało mu na obciążeniu królowej Szkotów, gdyż wówczas Elżbieta nie miałaby już innego wyбору jak posłać Marię na szafot.

Teraz zaczęły się aresztowania i w całym kraju zapanowało ogromne podniecenie. Królowa Szkotów podobno była bardzo zaangażowana w te knowania, istniała przeto szansa, że będzie to już ostatni spiszek.

Potwornie się niepokoiliłam, jak przy każdej tego typu okazji. Za każdym razem zastanawiałam się, czy Roberto również bierze w tym udział.

Docierały do nas nazwiska aresztowanych. Nie było wśród nich mojego syna, lecz każdego dnia spodziewałam się wieści, że go zabrano.

Wrócił Jake. Był bardzo podniecony. Uważał, że w najbliższym czasie możemy się spodziewać ataku Hiszpanów.

Słyszał, że Manuela targnęła się na moje życie. Cieszyłam się, bo wyglądało na to, że bardzo się tym przejął.

— Hiszpanie! — zawołał. — Nie powinienem wpuszczać żadnego z nich do domu. — Potem ujął mnie za ramiona i bacznie mi się przyjrzał.

— Myślisz, że mogłeś się ode mnie uwolnić? — spytałam.

Wybuchnął śmiechem.

— Wygląda na to, że rzeczywiście istniała taka możliwość. Sądzę jednak, że nikt nie poradziłby sobie lepiej niż ty.

— Może z wyjątkiem ciebie.

— Z pewnością.

Ponownie się roześmiał i przytulił mnie do siebie.

— Jeszcze nie tak dawno myślałam, że masz zamiar się mnie pozbyć i poślubić młodszą kobietę — wyznałam.

Przytaknął, udając, że rozważa taką możliwość.

— Na przykład Romilly. Urodziła ci syna. Jest wystarczająco młoda, by wydać na świat następnych.

— Zaczynasz mnie kusić.

— Wcale nie muszę cię kusić. Poza tym mężczyźni tacy jak ty nie mają czasu na pokusy. Biorą, co mogą, nie zwracając uwagi na konsekwencje.

— To jest jakiś sposób na życie, Cat.

— Doprawdy? Kraść prawowitej małżonce nieślubne dzieci?

— Żadnego ci nie przywiozłem. To ty ich ze sobą zabrałaś, a Penn urodził się tutaj. Poza tym czyż nie pozwoliłem ci zabrać twojego?

Na myśl o Roberto zmiękłam.

Jake zacisnął palce na mojej szyi i wybuchnął gromkim śmiechem.

— Wystarczy, jeśli trochę ścisnę.

— W takim razie czemu tego nie zrobisz?

— Ponieważ jesteś matką moich córek i mimo twojej potwornej jędzowatości postanowiłem jeszcze na razie cię nie zmieniać.

Potem pocałował mnie z wyjątkową czułością, która trochę mnie wzruszyła. Pociągnął mnie za włosy, jak to od czasu do czasu robił z chłopcami. Wiedziałam, że jest to gest miłości.

— Nie należę do ludzi cierpliwych, Cat — powiedział. — Przebieram nogami... czekam... czekam na Hiszpana. Musimy być gotowi na jego przyjście. Na Boga! Mógłbym spotkać się z nim już dziś. Albo jutro. Czemu on ciągle zwleka? A teraz jeszcze ten łobuz, Babington. Zasłużył sobie na śmierć godną zdrajcy. Mam nadzieję, że kat nie będzie się

spieszyć z wykonaniem wyroku. Ten drań chciał zamordować naszą królową i osadzić na tronie tę szkocką ladacznicę. Pora, by jego głowa rozstała się z resztą ciała. Powiesiłbym i poćwiartował każdego człowieka, który maczał palce w tym bezceństwie.

Och, Roberto — pomyślałam. Gdzie jesteś, Roberto?

— Czy złapano wszystkich uczestników tego spisku? — spytałam.

— Kto wie? Może część z nich jest jeszcze na wolności. Walsingham to szczywany lis. Wie, kiedy uderzyć. Daje im trochę swobody... by potem złapać większą ich liczbę. Musimy ich wyplenić, Cat. Co do jednego... wszystkich zdrajców Anglii, przyjaciół naszego wroga, Hiszpanii! Chętnie zdmuchnąłbym ten kraj z powierzchni ziemi.

Wyraźnie pałał chęcią zemsty, a w jego oczach gorzał błękitny płomień.

Och, Roberto — pomyślałam — gdzie jesteś?

\* \* \*

Wiedziałam, że się pojawi. Może było to przecucie. Tak jak poprzednio przyjechał w nocy i przyszedł prosto do mnie. Byłam potwornie zdenerwowana i czekałam. Widocznie ostrzegł mnie mój instynkt macierzyński, jako że lekko spałam i od razu usłyszałam grudkę ziemi rzuconą w moje okno.

Wyślizgnęłam się cicho z łóżka, przerażona, że mogę obudzić Jake'a.

Oczywiście, wiedziałam, że to Roberto. Jak mógł przebywać w Londynie i blisko dworu w czasie, kiedy ujęto Babingtona! Gdyby nie wspaniała i pomysłowa sieć szpiegów Walsinghama, Elżbieta mogłaby już nie żyć, a na tronie

zasiadałaby katolicka królowa.

Jeżeli nazwisko Roberto było na liście znalezionej w domu Throckmorta, Walsingham pewnie kazał go szpiegować. Nawet jeśli mój syn nie brał udziału w spisku Babingtona, mógł przygotowywać jakąś inną zasadzkę.

Wyślizgnęłam się z łóżka i spojrzałam w dół. W blasku księżyca dostrzegłam wyraźnie jego sylwetkę. Patrzył w górę, w moje okno.

Obejrzałam się za siebie, na łóżko. Dzięki Bogu Jake zawsze mocno spał, a teraz na dodatek wyjątkowo szybko zasypiał. Dałam sygnał Roberto. Zrozumiał i pokazał ręką w stronę chaty. Przytaknęłam, po czym wróciłam do łóżka. Na pewno będzie wiedział, że Jake jest ze mną.

Położyłam się rozdygotana.

Chata nie była teraz takim bezpiecznym miejscem jak niegdyś. Moja przygoda zwróciła uwagę wszystkich na ten zapuszczony budynek. Jake nawet powiedział, że może go przebuduje, by mogło tam zamieszkać paru służących.

Dokoła kamiennej ściany wciąż rosły krzaki, do pewnego stopnia ukrywając chatę przed ludzkim wzrokiem. Musiałam wybrać się tam tak szybko, jak to tylko możliwe.

Byłam potwornie przerażona.

Carlos, który ze względu na rosnące zagrożenie najazdu hiszpańskiej armady podobnie jak Jake nie oddalał się zbyt daleko od Plymouth, przyjechał tego dnia zobaczyć się z ojcem. Czekałam na odpowiednią chwilę, by wyślizgnąć się i zanieść do chaty jakieś jedzenie. Wcześniej jednak musiałam się upewnić, że nikt mnie nie widział. Mogłabym zwrócić się o pomoc do Linnet, nie chciałam jednak wciągać w to córki.

Carlos opowiedział o egzekucji Babingtona i Ballarda. Opisał ostatnie chwile obu mężczyzn. Wyrok śmierci wykonano na polu na północnym krańcu Holborn, nieopodal



drogi do St. Giles's. To tam właśnie ustawiono szafot. Najpierw stracono Ballarda, drugiego z głównych konspiratorów. Powieszono go, żywcem odcięto ze sznura i poćwiartowano. Babington musiał na to patrzeć. Potem jego spotkał taki sam los.

— Tak giną wszyscy zdrajcy! — zawołał Jake.

Zrobiło mi się niedobrze.

Jake dziwnie mi się przyjrzał.

\* \* \*

Przy pierwszej sposobności zabrałam z kuchni trochę jedzenia i poszłam do chaty.

Wzięłam syna w ramiona i przytuliłam go mocno do siebie.

— Och, Roberto. Powiedz mi, co się stało.

— Kiedy aresztowano Babingtona, doszedłem do wniosku, że w Londynie grozi mi niebezpieczeństwo. Musiałem uciec.

— Brałeś udział w tym spisku?

— Nie... nie pracowałem dla Babingtona. Gdybym dlań pracował...'

Zrozumiałam. Nikt, kto brał udział w tym spisku, nie zdołał się wymknąć.

— Ale Walsingham chce mieć jak najwięcej dowodów. Moi przyjaciele nagle zniknęli. Wiem, że zostali aresztowani. Jeżeli spisek Babingtona nie zaprowadzi królowej Szkotów na szafot, będą szukali innych świadectw przeciwko niej. Są zdeterminowani. Żaden katolik, żaden człowiek, który kiedykolwiek w coś się włączył, nie jest bezpieczny. Polują na nas, madre.

— Na ciebie też!

— Przyszli do mojego mieszkania. Miałem szczęście.

Ostrzeżono mnie. Gdybym wrócił, zostałbym ujęty. Teraz mnie szukają.

— Kapitan jest w domu — powiedziałam.

— Widziałem w Hoe jego żaglowiec.

— Och, Roberto, musimy zachować daleko idącą ostrożność.

— Manuela nam pomoże.

— Manuela nie żyje.

Powiedziałam mu pokrótce, że próbowała mnie zabić, wyjaśniłam również, z jakiego powodu. Milczał, potwornie zaszokowany.

— Madrze, jakie życie jest okrutne! A teraz na dodatek można odnieść wrażenie, że wszyscy kierują się jedynie nienawiścią między Hiszpanią a Anglią.

— Rzeczywiście, to zhora naszych czasów. Religia — katolicka i protestancka. To trwa już tyle lat. Ten konflikt zatrął życie mojej matce. Ja także nie zdołałam się przed tym uchronić. Kiedy Manuela umierała, przyprowadziłam jej księdza. Bardzo chciała się z nim zobaczyć. Liczę na to, że nikt się nie zorientował. Ale czy można mieć całkowitą pewność?

Pocałował mnie w rękę.

— Kocham cię, mądre. Przez całe życie byłaś dla mnie wszystkim. Zawsze mogłem na tobie polegać.

— Nadal możesz, synu. Nie dlatego, że jestem katoliczką czy protestantką, ale po prostu jestem twoją matką. Niewiele wiem o doktrynach, nie bardzo zresztą mnie to obchodzi. Wiem jednak, czym jest miłość. Uważam ją za najważniejszą rzecz pod słońcem.

— Pozwolisz mi tu zostać?

— Nie możesz się tu długo ukrywać, Roberto. To miejsce nie jest już takie bezpieczne jak niegdyś. Gdy Manuela mnie

tu zamknęła, wszyscy domownicy uświadomili sobie istnienie tegoż budynku. Przedtem niewiele osób o nim pamiętało.

Wkrótce będziesz musiał wyjechać.

— Myślałem, madre, że gdyby udało mi się dotrzeć do Hiszpanii, znalazłbym tam swoich krewnych. Rodzina mojego ojca na pewno wie o moim istnieniu, poza tym powinienem mieć tam jakieś posiadłości, prawda? Z tego, co wiem, ojciec uczynił mnie swoim spadkobiercą.

— Tak, lecz to było dawno temu. Do tego czasu twoje dziedzictwo mogli przejąć inni.

— Ale należałbym do rodziny. Przyjęliby mnie.

— Roberto, w jaki sposób chcesz się dostać do Hiszpanii?

— Muszę uciec z Anglii. Jestem poszukiwany, Walsingham nigdy nie zostawi mnie w spokoju. Zabrano by mnie jak Babingtona...

Na twarzy Roberto pojawiło się przerażenie, widać je było także w jego oczach. Wydawało mi się, że widzę w nich tragiczny skrawek ziemi nieopodal Holborn, z szafotem i torturowanymi Babingtonem i Ballardem.

Taki los nie może spotkać Roberto — pomyślałam. Nie może spotkać małego chłopca, którego niegdyś trzymałam w ramionach i który skłonił Felipe do poślubienia mnie.

Cóż to za okrutny świat?! Czemu jedni ludzie dręczą innych? Nie pozwolę, by coś takiego przytrafiło się mojemu synowi. Zrobię wszystko, byle mu tego oszczędzić.

Muszę go uratować. Muszę w jakiś sposób wysłać go do Hiszpanii. Kto może mi pomóc? Carlos? Jacko? Jake? Co za ironia! Co by zrobili, gdybym powiedziała, że Roberto jest tutaj, ponieważ brał udział w spiskach i teraz musi uciec? Wszyscy trzej tak serdecznie nienawidzą Hiszpanii. W najlepszym wypadku wyjęliby miecze i po prostu go zabili.

Jednakowoż bardziej prawdopodobne jest, że oddaliby go w ręce tych, którzy go szukają, tym samym skazując go na śmierć, jaką ponoszą wszyscy zdrajcy.

— Potrzebuję czasu na zastanowienie — powiedziałam. — Muszę znaleźć jakiś sposób. Jedno jest pewne — nie możesz się tu długo ukrywać. Koniecznie powinniśmy wymyślić inną kryjówkę.

— Mądre, nie wolno ci się w to angażować. Ludzi, którzy pomagają katolikom, nazywa się tu zdrajcami.

— Mogą nazywać mnie, jak zechcą. Mam zamiar zadbać o bezpieczeństwo swojego syna. Teraz muszę cię zostawić. Po moim wyjściu zamknij drzwi i otwieraj je tylko mnie. Zjedz to, co ci przyniosłam. Nie możesz tracić sił. Widzę, że nie masz ich za dużo.

— Przebyłem daleką drogę, mądre.

— Zjedz i odpocznij. Wróć. — Podeszłam do drzwi. — Zamknij je, gdy wyjdę, i nikomu nie otwieraj. Pamiętaj, że to miejsce wcale nie jest dla ciebie bezpieczne.

Otworzyłam drzwi i zamarłam z przerażenia. Stał w nich Jake.

— Rzeczywiście nie jest bezpieczne — powiedział. — Zdrajcy nie powinni ukrywać się na mojej ziemi.

Wszedł do chaty i zamknął drzwi. Czułam się tak, jakbym lada chwila miała zemdleć. Oparłam się o kamienną ścianę, żeby nie upaść.

— No proszę — ciągnął Jake, a ja nigdy nie widziałam u niego tak błyszczących oczu i okrutnego uśmiechu na ustach. — A zatem uciekasz przed prawem? Jesteś straszliwym głupcem, skoro tu przyszedłeś.

Jake był znacznie wyższy niż Roberto. Chwycił go za ramię i mocno nim potrząsnął. Przez cały czas drugą rękę trzymał na mieczu.

Podbiegłam do przodu i złapałam go za nadgarstek. Z całych sił zawisłam na jego ramieniu. Jake spojrzął na mnie z góry i zacisnął mocno usta. Dotychczas robił to tylko wtedy, gdy mówił o Hiszpanach.

— Jake — błagałam. — Na litość boską! To mój syn.

— Twój hiszpański bękart — poprawił.

Wyjął miecz. Zobaczyłam błysk stali. Próbowałam wsunąć się między mojego męża a Roberto.

Jake odepchnął mnie na bok. Przycisnął czubek miecza do gardła Roberto.

— A więc przyszedłeś tutaj, psie.

Roberto nie odpowiedział. Stał nieruchomo z bladą twarzą. Wyraźnie widać było jego hiszpańskie dostojeństwo. Modliłam się nieskładnie, nie do Boga protestantów czy katolików, lecz do Boga miłości. „Oszczędź mego syna. Pozwól mu żyć. Niezależnie od tego, co stanie się ze mną, pozwól mu żyć. Pozwól mu uciec i wieść dalej spokojne życie. Mogę już nigdy więcej go nie zobaczyć, byle żył i był szczęśliwy”.

— Jake! — zawołałam. — Jake... błagam cię...

Zawahał się. Nie wiem, jak to się stało, aliści schował miecz do pochwy.

— Uciekłeś ze swojego mieszkania — powiedział. — Jesteś poszukiwany. Dopadną cię. Czeka cię śmierć należna wszystkim zdrajcom. Ale na tym nie koniec — przyszedłeś tutaj. Naznaczyłeś swoją zdradą matkę. Teraz będą ją podejrzewać, że brała udział w twoich niecznych postępkach. Gdyby do tego doszło, nawet ja nie zdołałbym jej pomóc. Wiesz o tym, tchórze?

— Nie wciągnąłbym jej. Złożyłbym uroczystą przysięgę, że nic nie wiedziała o moich knowaniach. Powiedziałbym, że nawet nie wie, iż się tu ukrywam.

— Milcz! — Jake kołysał się na piętach i zagłębił się w myślach.

Zdjął klucz z haka.

— Zostaniesz tutaj — oświadczył.

Potem zwrócił się do mnie:

— Chodź, Cat. Zostaw go.

Wyciągnął mnie na zewnątrz i zamknął chatę.

— Co masz zamiar zrobić, Jake? — spytałam.

— Zobaczysz — odparł.

Wiedziałam, że na razie ma zamiar trzymać Roberto pod kluczem, a potem przekaże go tym, którzy postawią go przed sądem i skażą na śmierć.

\* \* \*

Nie wiem, jak zdołałam przeżyć ten dzień. Nie miałam pojęcia, co zrobić.

Jake był ponury i zawzięcie milczał. Zdawałam sobie sprawę, że układa plan. Zastanawiałam się, czy Roberto ma szansę na ucieczkę. Lecz nawet gdyby to zrobił, nie umknąłby daleko. Był wyczerpany. Wcale nie miałam pewności, czy zdołałby wspiąć się do małego okienka, wyłamać je i wyskoczyć na zewnątrz. Nie był tak sprawny jak poprzednio, gdy ukrywałam go tam z Manuela.

Jake należał do ludzi mściwych, obce mu były łagodność i czułość. Gdyby mnie tam nie było, na pewno zabiłby Roberto. Lecz nie chciał tego robić w mojej obecności.

Wyszedł, a ja zostałam w swojej komnacie. Nie odważyłam się iść do chaty w obawie, że go tam zastanę.

Przez cały dzień czekałam, aż coś się wydarzy. Bez przerwy wydawało mi się, że słyszę stukot końskich kopyt — że ludzie królowej przyjechali zabrać Roberto. Tego dnia

każde pięć minut ciągnęło się jak godzina, a godzina wydawała się bardziej przypominać dobę.

Było mi niedobrze i źle się czułam. Nie mogłam przestać myśleć o cierpieniu ludzi, których zaprowadzono na szafot. Coś takiego nie może zdarzyć się Roberto... nie może spotkać mojego syna, tego małego chłopca, z którego oboje z Felipe tak bardzo byliśmy dumni.

Późnym popołudniem Jake wrócił do domu. Przyszedł do naszej sypialni.

— Jake! — zawołałam. — Co masz zamiar zrobić?

— Czego się po mnie spodziewasz?

— Wydasz go?

— Wciąż jest w chacie. Związałem go, żeby nie uciekł, i zabrałem klucz.

— Błagam, Jake... nigdy o nic cię nie prosiłam, ale teraz... puść go. Proszę, Jake, jeśli tego nie zrobisz...

— To co?

— Jeżeli skrzywdzisz mojego syna, już zawsze będę cię nienawidzić.

— Od lat bez przerwy słyszę, że mnie nienawidzisz.

— Dotychczas w ten sposób tylko się z tobą drażniłam, lecz teraz naprawdę cię znienawidzę. Jeśli wyrządzisz Roberto jakąś krzywdę...

— Dramatyzujesz. To zdrajca. Czy ty tego nie rozumiesz, Cat? Wkrótce czeka nas walka na śmierć i życie z takimi draniami jak twój Roberto. Hiszpanie przygotowują się do ataku... chcą nas podporządkować obowiązującym u nich doktrynom, oddać w ręce inkwizycji. Czy wiesz, co to oznacza?

— Tak... aż za dobrze. Nienawidzę tego. Z całych sił będę z tym walczyć.

— W takim razie jesteś z nami, Cat, a ci, którzy są z nami,

nie mogą pozwolić, by nasi wrogowie uciekli... niezależnie od tego, kim są.

— Puść go, Jake. Pomóż mu. Ty jeden możesz to zrobić.

Możesz dać mu konia, wysłać go do Kornwalii. Wiódlby tam spokojne życie.

— Spokojne życie?! Czy on kiedykolwiek to robił? Niezależnie od tego, gdzie się znajdzie, będzie próbował stawiać swojemu bóstwu ołtarz.

— Jake, Jake, błagam.

Zapadła cisza. Wyszedł i zostawił mnie samą. Wiedziałam, że wyjechał gdzieś daleko, bo gdy wrócił, jego koń był wyczerpany.

Nadeszła noc. Nie mogłam zasnąć. Siedziałam na krześle i cichutko pochlipywałam. Jake leżał w łóżku i spał albo udawał, że śpi. Po jakimś czasie obudził się, a ja wciąż siedziałam. Podszedł do mnie, wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka. Przez jakiś czas trzymał mnie w ramionach.

— Rozchorujesz się — powiedział czule.

Nie odezwałam się. Zdawałam sobie sprawę, że słowa nie mają teraz znaczenia. Czułam, że podjął już decyzję.

W końcu, wyczerpana nadmiarem emocji, zasnęłam. Obudziłam się o świcie, lecz Jake'a przy mnie nie było.

Chciałam pójść do chaty, lecz Jake zdecydowanie mi tego zabronił, więc nigdzie się nie ruszałam. Musiałam wymyślić, jak uratować Roberto. Na pewno istniał jakiś sposób.

— Proszę, Boże — modliłam się. — Powiedz mi, co mogę zrobić. Pomóż mi ocalić syna.

Przez cały ranek nie widziałam Jake'a.

Przyszła Jennet. Miała mi dużo do powiedzenia.

— Niech pani tylko zobaczy. „Złote Runo” jest gotowe do wypłynięcia w morze. Podobno ma wyruszyć z przypiływem.

Nie chciałam jej słuchać. Zastanawiałam się, co mogę



zrobić, by uratować Roberto.

Czekałam, kiedy Jennet powie, że ktoś był w chacie, ale nic na ten temat nie wspomniała. Nie mogła się nadziwić niespodziewanemu wcześniejszemu wypłynięciu „Złotego Runa” w morze. Znała marynarza, który należał do załogi tego statku.

Zdecydowanie kazałam jej zamilknąć. Nie miałam nastroju do wysłuchiwania wynurzeń Jennet. Nawet jeżeli musiała rozstać się z marynarzem pływającym na „Złotym Runie”, na pewno wkrótce zastąpi go kimś innym.

Jake wrócił dopiero po południu. Oświadczył, że chce ze mną porozmawiać, przeto poszliśmy do naszej sypialni.

— Są już w drodze.

— To znaczy, że ich uprzedziłeś?

— Nie, nie uprzedzałem ich. Szukają go. Poszukują wszystkich podejrzanych o zdradę. Twój syn jest jednym z nich. Nie powinien tu przychodzić. Jeśli kogoś się szuka, zaczyna się od jego rodzinnego domu.

— O Boże, znajdą go.

— Przeszukają cały teren.

— Pójdą do chaty. — Ukryłam twarz w dłoniach.

W tym momencie usłyszałam na dziedzińcu zamieszanie.

Jake podniósł mnie i doprowadził do okna.

— Spójrz — powiedział. — Widzisz „Złote Runo”? Właśnie podnoszą kotwicę. Wypłyną, gdy nadejdzie przyływ. Jest dobry wiatr. Przed zapadnięciem zmroku zdążą pokonać sporą odległość.

Nie patrzyłam. Potrząsnęłam głową, znużona, wyobrażając sobie ukrytego w chacie Roberto. Był związany przez Jake’a, mógł zatem jedynie czekać, kiedy po niego przyjdą.

— Jestem dobrym patriotą — ciągnął Jake. — Wszyscy o tym wiedzą. Walczyłem na morzu z Hiszpanami. Nikt nie

uwierzy, że mógłbym udzielić w domu schronienia zdrajcy.

— Tobie nic nie grozi — odparłam z przejęciem.

— Mam zamiar zaręczyć za swoją żonę — dodał.

— Czemu drwisz ze mnie... w takiej chwili?

— Wcale nie drwię — odparł. — Czemu nie patrzysz na „Złote Runo”? Mam ci powiedzieć, jaki ładunek zabrał ten statek?

— Nie interesuje mnie jego ładunek.

— Nawet jeśli jest nim twój syn Roberto?

Spojrzałam na niego.

— Jake! Co to znaczy?! Czyżbyś...

Uniósł ręce do góry i zacisnął je w pięści.

— To zdrajca. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że będę pomagać zdrajcy. Ale skoro tak kazała mi moja jędzowata żona...

Przyłgnęłam do niego. Potem bacznie przyjrzałam się jego twarzy.

— Och, Jake, to prawda? Nie drażnisz się ze mną?

— Pójdą do chaty. Lecz ptaszek już z niej wyfrunął. Albo został wypędzony. Dziś rano przetransportowałem go na pokład „Złotego Runa”.

Co mogłam powiedzieć temu mężczyźnie? Jak miałam mu pokazać, co czuję?

Ujęłam jego dłoń i pocałowałam. Wydawało mi się, że był wzruszony.

Potem usłyszałam stukanie do drzwi.

## *Zwycięstwo „Lwów”*

Wszystkich dręczyły złe przeczucia.

Czuliśmy, że zbliżają się Hiszpanie. Wiedzieliśmy, że podbili znaczną część świata, zdawaliśmy sobie też sprawę, iż przyplyną nie tylko ze skorymi do walki mężczyznami. Przywiozą ze sobą również narzędzia tortur, o jakich nikt w Anglii jeszcze nie słyszał. Na pokładach ich żaglowców będą nie tylko rycerze, lecz także fanatycy religijni. Jeżeli zdołają nas podbić, tak jak zrobili to z innymi narodami, będziemy musieli pożegnać się z dotychczasową wolnością. Będziemy musieli zaakceptować nie tylko ich, lecz także wyznawaną przez nich wiarę.

Ludzie tacy jak Jake, Carlos, Jacko i Penn nawet nie chcieli myśleć o tym, że mogliby przegrać. Wierzyli tylko w jedno — w swą niepokonaną ojczyznę, Anglię.

Ludzie mogli mówić o Niezwyciężonej Armadzie, lecz żeglarze jedynie pogardliwie się z tego śmiali. To oni byli niepokonani, niezwyciężeni.

Tegoroczne Zielone Świątki na zawsze pozostaną w pamięci tych, którzy poszli w ów ranek do kościoła. Było to coś więcej niż świąteczna msza — było to zjednoczenie się narodu, zwłaszcza że w porcie stały wspaniałe żaglowce. Mieszkańcy Plymouth nigdy nie widzieli tylu wspaniałych okrętów jednocześnie.

Wybraliśmy się wszyscy razem — Jake, ja, Carlos, Edwina, Jacko, Penn, Linnet i Damask. Promienie słońca tańczyły na wodzie, a wąskimi uliczkami mieszkańcy miasta podążali w stronę kościoła, gdyż pragnęli zobaczyć sir Francisa. Ponieważ on tam właśnie był — wspaniały żeglarz, postrach Hiszpanów i bohater wszystkich wiernych

poddanych królowej Elżbiety.

Wiedzieliśmy, że wkrótce rozegra się największa bitwa w dotychczasowej historii naszego kraju. Ludzie o trzeźwych umysłach podkreślali, iż od niej zależeć będzie nasza przyszłość. Hiszpanie byli już gotowi do wyruszenia w drogę.

Na wodach zatoki kołysały się okręty pod angielską banderą — był to czerwony krzyż na białym tle. Wiał mocny wiatr, dlatego żaglowce sprawiały wrażenie, jakby niecierpliwie szarpały kotwice, pragnąc wyruszyć w rejs. Była tam „Zemsta” Drake’a, „Arka” Howarda of Effingham oraz „Biały Niedźwiedź” i „Triumf Martina Frobishera. Nie zabrakło również „Elizabethan Bonaventure” i „Niezrównanego”. To był wspaniały widok. Jake oddał się pod rozkazy lorda Howarda i sir Francisa. Carlos i Jacko zrobili to samo.

Nie wybaczyliby sobie nigdy, gdyby w odpowiednim czasie nie wypłynęli w morze, aby wziąć udział w wielkiej bitwie z hiszpańską armadą.

Siedząc tego dnia w kościele, zastanawiałam się, co będzie dalej.

„Złote Runo” jeszcze nie wróciło. Często myślałam, czy nie wpadło w ręce Hiszpanów. Gdyby tak się stało, Roberto byłby uratowany. Mógłby zamieszkać w Hiszpanii z rodziną swego ojca. Lecz czy nie mam zbyt wielkich wymagań? Kto to może wiedzieć? Z drugiej strony nie wypłynęli aż tak dawno, przeto „Runo” mogło jeszcze zawrócić i przywieźć go z powrotem. A jeśli tak się stanie, czy Roberto będzie mógł prowadzić spokojne życie?

Zaangażowana w spisek Babingtona królowa Szkotów w ubiegłym roku została ścięta w Fotheringay Castle. I teraz, gdyby udało się nam pokonać armadę, nic nie groziłoby Anglii ani od wewnątrz, ani z zewnątrz. Czy mogliśmy liczyć

na kilka spokojnych lat?

Powiedziałam Linnet o ucieczce Roberto. Coraz częściej jej się zwierzałam. Miała teraz osiemnaście lat — była śliczną, pełną zapału dziewczyną. Przypominała i mnie, i Jake'a. Podkreśliłam, że to Jake uratował Roberto, wysyłając go na pokładzie „Złotego Runa”, zaznaczyłam też, że był to z jego strony niezwykle szlachetny uczynek, jako że zawsze miał bardzo zdecydowane przekonania.

— Zrobił to dla mnie — podkreśliłam. — Nigdy tego nie zapomnę.

Linnet — z godną młodej osóbką emocjonalną impulsywnością — zmieniła swoje podejście do ojca. Zobaczyła go w nowym świetle. Uznała, że ten grubiański i brutalny człowiek ma bardzo dobre serce. Przestała nim gardzić. Po jakimś czasie, ku własnemu zaskoczeniu, zauważyłam, że Jake jest ogromnie zadowolony ze zmiany uczuć córki.

Nadal byli nieufni w stosunku do siebie, odnosiłam jednak wrażenie, że Linnet chce być dumna z ojca, a on pragnie jej miłości.

Tak wyglądała sytuacja w Zielone Świątki.

\* \* \*

Następne tygodnie były frustrujące, ponieważ Hiszpanie nie przyплыwali. Żaglowce nadal stały w porcie. Słyszeliśmy, że między admirałami są jakieś tarcia.

Jake nie cierpiał bezczynności, dlatego codziennie chodził do Hoe i czekał na sygnał.

Po jakimś czasie dotarły do nas wiadomości, że armada wypłynęła z Lizbony, lecz pogoda tak dała się statkom we znaki, iż musiały zawinąć do portu w Corunna, by uzupełnić

zapasy i dokonać niezbędnych napraw.

W Anglii z ogromną radością przyjęto tę wiadomość. Zdaniem obserwatorów był to wyraźny znak, po czyjej stronie stoi Bóg.

Czekaliśmy więc nadal. Napięcie rosło. Nigdy nie widziałam człowieka tak niecierpliwego jak Jake.

— Co jest z tymi Hiszpańcami? — warczał. — Czyżby bali się tu przypląć?

Drwiliśmy, że Niezwyciężona Armada nie zdołała stawić czoła pogodzie i musiała zdecydować się na naprawy, ja jednak bałam się tego, co przyniesie ta nieunikniona bitwa. Przez całe moje życie w Anglii istniał konflikt religijny. Tak samo było przez całe życie mojej matki. Zdawałam sobie sprawę, że teraz mamy do czynienia z punktem kulminacyjnym. Bałam się o Jake'a. Wiedziałam, iż Edwina jest niespokojna o Carlosa, Jennet o Jacko, a Romilly o Penna. Wszystkie kobiety, których mężowie lub synowie mieli wziąć udział w tej bitwie, odczuwały ogromny niepokój. Żadna z nas nawet się nie zastanawiała, co by się stało, gdyby najeźdźca postawił stopę na naszej ziemi. Nie wybiegałyśmy myślami tak daleko w przód. W głębi duszy wierzyłyśmy, że Hiszpanie nigdy nie zdołają podbić naszego kraju.

Na razie zapowiadała się decydująca bitwa. Słyszeliśmy, że w Tilbury zebrała się armia, a królowa towarzyszyła swojemu wojsku.

Oczy Jake'a błyszczały z dumy, gdy o tym mówił.

— Niczym żołnierz dosiadła konia i wzięła do ręki buławę marszałkowską. Na Boga, chciałbym tam być i zobaczyć to na własne oczy.

— Twoje miejsce jest tutaj — przypomniałam.

— Zaiste — odparł — u boku Drake'a, Frobishera i reszty.

Przypomniałam sobie, jak wiele lat temu Elżbieta przybyła do Tower of London i powiedziała, że będzie wdzięczna Bogu i miłosierna dla ludzi. Teraz — tak samo jak ja — nie była już młoda, a w ciągu minionych lat sporo się nauczyła, ja również.

Była kobietą, która potrafiła zdobyć się na wspaniały gest, jeśli tylko wymagała tego sytuacja, a na Boga, ta sytuacja naprawdę tego wymagała.

Po całej Anglii krążyło jej przemówienie, które bardzo podniosło wszystkich na duchu. Do końca życia będę pamiętać niektóre fragmenty tej mowy.

„Jak widzicie, jestem wśród was. Przyszłam tu nie dla własnej przyjemności, lecz po to, by znaleźć się w ogniu walki, żyć lub umrzeć razem z wami. Jeśli będzie taka potrzeba, jestem gotowa oddać swój honor i krew za Boga, moje królestwo i mój lud. Wiem, że mam ciało słabej kobiety, lecz serce i duch należą do angielskiej królowej. Nie mogę się pogodzić z myślą, że książe Parma, Hiszpan czy jakikolwiek inny władca Europy chce przekroczyć granice mojego królestwa...”

Te słowa wszystkich bardzo podniosły na duchu.

Tak więc czekaliśmy — niektórzy z trwogą, inni, jak Jake, z frustracją i niecierpliwością.

\* \* \*

Dziewiętnastego lipca do Plymouth dotarła wiadomość, że z Lizard dostrzeżono armadę.

Ludzie wylegli z domów i tłoczyli się na wąskich brukowanych uliczkach. W powietrzu unosiły się krzyki. Wszędzie panowało podniecenie.

Sir Francis grał w kule w Hoe, lecz po godzinie czy dwóch

oświadczył, że musi kończyć. Przyszła pora, by pokonać Hiszpanów.

\* \* \*

Z Linnet, Edwiną, Romilly i Jennet obserwowałam wypływające statki. Żadna z nas się nie odezwała, lecz wszystkie czułyśmy to samo. Nasi mężczyźni podążali na spotkanie z największym wyzwaniem swojego życia. Statki z wydętymi żaglami prezentowały się wspaniale, ja jednak drżałam na myśl o ich spotkaniu z hiszpańskimi galeonami.

Hiszpanie byli już na wodach kanału La Manche — w naszą stronę podążała ich sławetna armada. W porównaniu z galeonami okręty angielskie wyglądały niczym karły.

Lecz stojąc na nabrzeżu i obserwując ich wypłynięcie, wierzyłyśmy w zwycięstwo. Admirał Drake tak bardzo był pewien, że zdoła pokonać Hiszpanów, iż wszyscy podzielaliśmy jego przekonanie. Mężczyźni tacy jak Jake nigdy w to nie wątpili. Mówiono, że Hiszpanie zdają sobie sprawę z tej dziwnej pewności w angielskich szeregach. Są przekonani, iż jest to wynik czarów diabelskiego smoka.

Obserwowałam żaglowiec Jake'a — „Zwycięskiego Lwa” — póki nie zniknął za horyzontem. Carlos i Jacko dowodzili dwoma innymi okrętami Jake'a.

— O Boże — modliłam się. — Wiem, że pokonamy Hiszpanów, ale pozwól, by nasi mężczyźni bezpiecznie wrócili do domu.

\* \* \*

Wszyscy znali przebieg bitwy. Potężne i dostojne galeony nie były równym przeciwnikiem dla zwinnych małych



angielskich statków. Flotylla Drake'a zablokowała wejścia do Newport i Dunkierki, odcinając wszelkie transporty z Flandrii.

Wiedzieliśmy też, że Anglicy nic nie mogli zrobić potężnym galeonom, dlatego chytrze zaczęli do zmierzchu, po czym podpalili małe stateczki i wpuścili je między galeony. Hiszpańskie żaglowce zaczęły się palić, więc kapitanowie kazali przeciąć liny i okręty rzuciły się do ucieczki. Mniejsze i dysponujące lepszą załogą angielskie żaglowce wzięły do niewoli kilka hiszpańskich jednostek, wiele innych zniszczyły. Reszta uciekła na wody kanału i pełne morze, lecz część wyrzucona została na brzeg, gdzie czekało Hiszpanów miłe przyjęcie.

Dobry nastrój nie opuszczał ludzi takich jak Drake i Jake Pennlyon — wiedzieli, że zwyciężą, podczas gdy Hiszpanie bali się przegranej. Bez wątpienia, Hiszpanie wcale nie są tchórzami, niemniej nie zdołali stawić czoła Anglikom. Anglicy bronili swojej ojczyzny, Hiszpanie próbowali ją podbić. Nasze statki były zaopatrywane z ładu — przez cały czas tam i z powrotem kursowały maleńkie łódeczki.

Przeciwko nam wystąpiła największa flotylla świata. Hiszpanie określali ją mianem Niezwyciężonej Armady. Jednakowoż poniosła klęskę.

Statki powoli wracały do portu. Linnet, Penn, Romilly, Jennet, Edwina i ja czekałyśmy, wyteżając wzrok i wypatrując swoich. Czy wszystkie żaglowce wrócą? Czy nasi mężczyźni są cali i zdrowi?

Spojrzałam na Edwinę, która czekała na Carlosa. Ujęłam jej dłoń. Rozumiałam obawy córki Honey i podzielałam je. Myślami wróciłam do swojego pierwszego spotkania z Jakiem Pennlyonem tutaj, w Hoe. Przypomniałam sobie, że byłam zdecydowana walczyć z nim z całych sił.

Teraz modliłam się, by wrócił. Chciałam do końca swoich dni żyć u boku Jake'a Pennlyona.

\* \* \*

Ileż było radości, gdy wszyscy wrócili! „Zwycięski Lew” miał lekkie uszkodzenia, mimo to bezpiecznie dotarł do portu.

A jego kapitan? Drżałam, lecz już wszedł do łódki.

Wokół mnie rozległy się szalone wiwaty. Wieść rozeszła się po całym kraju. Zapalano ogniska, bito w dzwony. Hiszpańska armada została pokonana. Niektóre galeony dryfowały w stronę oceanu, inne morze wyrzucało na brzeg. Niewiele z nich zdołało wrócić do Hiszpanii.

To było ogromne zwycięstwo. Zawdzięczaliśmy je angielskim marynarzom.

A oto i Jake. Podbiegłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję. Jego oczy lśniły.

— Na Boga! — zawołał. — Udało się nam, Cat! Zmiotliśmy ich z powierzchni mórz! Są skończeni. Nadszedł kres hiszpańskiej potęgi. Początek naszej. Będziemy panami mórz i nowych krain. Ten dzień może być powodem do dumy. Tak, to dzień triumfu. Dzień lwa... Mojej rodziny, Cat, moich statków, „Zwycięskiego Lwa”. To najlepszy dzień w moim życiu. Teraz panem mórz będzie angielski lew, Cat. Lwy odniosły zwycięstwo.

Roześmiałam się.

— Wydaje mi się, że dzisiaj jesteś zadowolony z życia, Jake.

— Nigdy nie byłem szczęśliwszy.

— Gdybyś miał jeszcze legalnego syna, naprawdę niczego by ci już nie brakowało.

Spojrzał na Linnet.

— Na Boga! — oświadczył. — Myślę, że wystarczy mi Linnet.

Podeszła do nas i wsunęła mu się w ramiona. Potem we trójkę wróciliśmy do domu.